



PETER F. HAMILTON

P U S T K A

EWOLUCJA

Peter F. Hamilton

Pustka: Ewolucja

Część trzecia trylogii „Pustka”

Przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału:
The Evolutionary Void

Copyright © 2010 by Peter F. Hamilton
Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo
MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Tomasz Maroński

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-46-8

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63,
04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

*Dla Felixa F. Hamiltona,
który pojawił się równocześnie z „Pustką”.
Nie martw się, świat ojca jest jednak nieco inny.*

Statek nie miał imienia; nie miał numeru seryjnego ani nawet logo. Zbudowano tylko jeden taki egzemplarz. Nigdy drugi nie będzie potrzebny, więc żadnych oznaczeń mu nie nadano. Po prostu – „statek”.

Mknął przez podstrukturę czasoprzestrzeni z prędkością pięćdziesięciu dziewięciu lat świetlnych na godzinę. Żaden pojazd zbudowany przez człowieka nie podróżował tak szybko. Przy tej fantastycznej prędkości nawigacja odbywała się za pomocą interpretacji podobieństwa szczeliny kwantowej, która określała względne położenia masy w zewnętrznym rzeczywistym wszechświecie. Ten sposób nawigacji zmniejszył konieczność użycia prostego hiperradaru i czujników – urządzeń możliwych do wykrycia. Nadzwyczaj wyrafinowany ultranapęd „statku” mógłby osiągnąć jeszcze większą prędkość, ale znaczną część fenomenalnej energii wykorzystywano do tłumienia fluktuacji. Dzięki temu w polach kwantowych nie pojawiały się charakterystyczne deformacje, mogące zdradzić pozycję „statku” innym okrętom, które chciałyby go namierzyć.

Imponująca zdolność maskowania się, a przy tym ten ogrom: jajo długości sześciuset metrów i średnicy dwustu metrów w centrum. Faktyczna przewaga polegała jednak na uzbrojeniu: na pokładzie znajdowały się bronie zdolne zlikwidować pół tuzina okrętów Wspólnoty klasy Capital, i to w zasadzie bez wychodzenia z trybu oczekiwania. Tylko raz je sprawdzono. By uniknąć wykrycia, „statek” odleciał na dziesięć tysięcy lat świetlnych od Wielkiej Wspólnoty i dopiero tam je przetestował. W międzygwiazdnej pustce rozeszły się kolorowe mgławice. Przez następne milenia prymitywne obce cywilizacje z tego rejonu Galaktyki będą im oddawać cześć jako bogom.

Neskia siedziała w czystej, półkolistej kabinie „statku”, mając w egzowizji spokojnie tańczące trajektorie lotu. Przeszedł ją

dreszcz trwoźnej emocji, gdy wspominała widok gwiazd rozrywanych na strzępy. Co innego pracować dla Frakcji Progresywistów, zarządzać tajną stacją wytwórczą, wysyłać statki i sprzęt do rozmaitych agentów i przedstawicieli. To łatwe: bezduszna maszyneria, której precyzja napawała Neskię dumą. Co innego widok broni w akcji. Neskia poczuła niepokój, jakiego nie zaznała od ponad dwóch wieków, odkąd stała się Elewatem i rozpoczęła migrację do centrum. Nie negowała swej wiary w Progresywistów, ale świadomość istnienia tak potężnych broni oddziaływała mocno na pierwotnym poziomie, który nigdy nie został w pełni wyparty z jej ludzkiej psychiki. Trwogą przejmowała ją moc, którą władała jedynie ona.

Inne elementy jej zwierzęcej przeszłości zostały spokojnie i skutecznie wymazane. Najpierw dzięki biononice i uznaniu filozofii kulturowej Elewatów, czego kulminacją było przyjęcie doktryny Frakcji Progresywistów. Potem dla pokreślenia przywiązania do nowej wiary subtelnie odrzuciła swoją dotychczasową formę cielesną. Obecnie skóra Neskiej połyskiwała metaliczną szarością, komórki naskórka przepojono najnowszą półorganiczną tkanką, która wpasowała się z idealną symbiozą. Twarz – kiedyś wzbudzała zachwyty mężczyzn – przybrała teraz bardziej efektywny, płaski profil, a biononicznie zmodyfikowane, duże, okrągłe oczy widziały w wielu szerokich spektrach. Dzięki wydłużonej i bardziej giętkiej szyi głowa zyskała znacznie większą manewrowalność. Obciągnięte połyskliwą skórą mięśnie wzmocniono i Neskia potrafiła biec jak ścigający ofiarę lampart, i to jeszcze zanim zadziały u niej modyfikacje biononiczne.

Największą ewolucję przeszedł jednak jej umysł. Zrezygnowała z bioneuronalnego profilowania; nie potrzebowała genetycznego wzmocnienia wiary. Cześć i uwielbienie – byłoby to dla jej procesów myślowych określenie zbyt uproszczone – ale bez wątpienia była oddana sprawie. Całkowicie się poświęciła Progresywiutom, zaangażowana na pełnym poziomie emocjonalnym. Dawne ludzkie troski i imperatywy biologiczne już jej nie obchodziły, cały intelekt poświęciła frakcji i jej celom. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat tylko ich projekty i plany były dla

niej źródłem satysfakcji i cierpienia. Całkowicie z nimi zintegrowana, stała się uosobieniem wartości Progresywistów. Dlatego liderka frakcji, Ilanthe, właśnie ją wybrała na dowódcę „statku” podczas tej misji. I właśnie to, jedynie to, dawało jej satysfakcję.

„Statek” zwalniał, osiągając współrzędne, które Neskia wcześniej wprowadziła do smartkoru. Prędkość słabła, aż „statek” zastygł bezwładnie w transwymiarowej stazie, a displej nawigacyjny Neskii pokazywał Układ Słoneczny oddalony o dwadzieścia trzy lata świetlne. Dogodna odległość. Znajdowali się poza rozległą siecią czujników otaczającą macierzysty świat ludzkości, lecz „statek” mógł tam dotrzeć w niecałe trzydzieści minut.

Neskia kazała smartkorowi wykonać pasywne skanowanie. Wykrył pył międzygwiazdny i dziwną lodową kometę. W promieniu trzech lat świetlnych żadnej innej masy nie stwierdził. Na pewno nie było żadnych statków. Aliści skanowanie wykazało małą, charakterystyczną anomalię; na jej widok Neskia uśmiechnęła się z satysfakcją. W otoczeniu „statku” ultranapędy trzymały się w transwymiarowej stazie, niewykrywalne. Zdradzał je tylko ten jeden specyficzny sygnał. Należało wiedzieć, czego się szuka, żeby go wykryć. Ale kto by tu czegokolwiek szukał? A już na pewno nie ultranapędów. „Statek” potwierdził, że jest tu osiem tysięcy maszyn na stanowisku, czekających na instrukcje. Neskia nawiązała połączenie i uruchomiła procedurę sprawdzania. Rój był gotowy.

Spokojnie czekała na kolejną rozmowę z Ilanthe.

Zebranie Rady EgzoProtektoratu zakończyło się i Kazimir zamknął połączenie z perceptualną salą konferencyjną. Był sam w swoim biurze na szczycie Pentagonu II. Nie miał dokąd pójść. Trzeba uruchomić flotę odstraszącą, teraz nie ma żadnych wątpliwości. Tylko tak można pokonać nadciągającą armadę Imperium Ocisenów bez nieakceptowalnej liczby ofiar po obu stronach. A gdyby wyciekła informacja, że Ocisenów wspierają

statki alf... A na pewno wycieknie. Ilanthe się tym zajmie.

Nie ma wyboru.

Podszedł do panoramicznego okna, po raz ostatni poprawiając niesforny kołnierz z szamerunkiem. Spojrzał w dół na bujny park Atolu Babuyan, oświetlonego łagodnym blaskiem emitowanym przez kryształową kopułę w górze. Przez sztuczny brzask widział jednak rozmyty półksiężyc Icalanise. Podczas swej kadencji obserwował ten widok mnóstwo razy. Traktował go jako coś oczywistego. Teraz się zastanawiał, czy jeszcze kiedyś to zobaczy. U prawdziwego wojskowego nie była to myśl niezwykła – co więcej, jej rodowód mógł napawać dumą.

Jego u-adiunkt otworzył połączenie z Paulą.

– Rozmieszczamy flotę odstraszającą przeciw Ocisenom – powiedział.

– O, rety! Wnioskuje, że ostatnia misja uwięzienia się nie powiodła.

– Nie powiodła się. Statek alf wybuchł, gdy wycofywaliśmy go z hiperprzestrzeni.

– A niech to! Samobójstwo nie leży w naturze psychologicznej alf.

– Oboje to wiemy. ZAN:Władze też oczywiście to wiedzą, ale jak zawsze potrzeba niezbitego dowodu, a nie poszlak – stwierdził.

– Lecisz z flotą?

Kazimir mimowolnie się uśmiechnął. Gdybyś tylko wiedziała.

– Tak, lecę.

– Powodzenia. Spróbuj zwrócić się przeciwko niej. Będą tam prowadzić obserwacje; jest szansa, że uda ci się ich wcześniej wykryć?

– Na pewno spróbujemy. – Zerknął na stacje przemysłowe krążące wokół „Wysokiego Anioła”: na tle niebosłonu tworzyły wąski, połyskujący, srebrny pierścień. – Słyszałem o Ellezelinie.

– Właśnie. Digby nie miał wyboru. ZAN wysyła zespół kryminalistyczny. Jeśli uda im się odkryć, co przewoził Chatfield, może zdołamy doprowadzić Progresywistów przed sąd, zanim dotrzesz do Ocisenów.

– Wątpię. Ale mam dla ciebie nowiny.

- Tak?

- „Lindau” opuścił układ planety Hanko.

- Dokąd leci?

- To najciekawsze. O ile się zorientowałem, leci do Szpikulca.

- Do Szpikulca? Jesteś pewien?

- Ekstrapolacja na podstawie ich obecnej trajektorii. Nie zmienia się od siedmiu godzin.

- Ale to... nie.

- A dlaczego nie? – Kazimir był rozbawiony reakcją śledczej.

- Po prostu nie wierzę, że Ozzie znów będzie wtrącać się do spraw Wspólnoty. Nie w taki sposób. A już na pewno by nie zatrudnił kogoś takiego jak Aaron.

- Dobra, przyznaję ci rację. Ale w Szpikulcu są również inni ludzie.

- Są. Mógłbyś kogoś wymienić?

Kazimir się poddał.

- Więc co Ozzie ma wspólnego z całą sprawą?

- Nie mam pojęcia.

- „Lindau” nie leci z szybkością, do jakiej jest zdolny. Prawdopodobnie został uszkodzony na Hanko. Do Szpikulca bez trudu zdołasz dotrzeć przed nim, a nawet go przechwycić.

- Kuszące, ale nie zamierzam ryzykować. Już i tak straciłam za dużo czasu na swoją osobistą obsesję. W tym momencie nie mogę znów ryzykować i szukać wiatru w polu.

- Jasne. Przez kilka dni będę zajęty. W razie pilnej konieczności możesz się ze mną skontaktować.

- Dziękuję. Teraz mój priorytet to zabezpieczenie Drugiej Śniącej.

- Powodzenia.

- Tobie też tego życzę, Kazimirze. Szczęśliwej drogi.

- Dziękuję.

Zamknął połączenie z Paulą i jeszcze przez chwilę stał przy oknie.

Potem aktywował funkcję interfejsu swojego pola bionicznego, które dopasowało się do T-sfery floty. Teleportował się do terminalu wormholowego, orbitującego

poza gigantycznym statkiem-arką obcych, i przez wormhol wyłonił się w terminalu Kerensk. Kolejny skok teleportacyjny i wynurzył się wewnątrz Wyspy Heweliusza – jednej z ziemskich stacji T-sfer, unoszącej się siedemdziesiąt kilometrów nad Południowym Pacyfikiem.

– Gotowe – zameldował ZAN:Władzom.

ZAN otworzył tajny wormhol do Proximy Centauri, oddalonej o 4,3 lat świetlnych, i Kazimir przeszedł przez niego. Układ Alfa Centauri okazał się wielkim rozczarowaniem, gdy w 2053 roku Ozzie i Nigel otworzyli tam swój pierwszy wormhol dalekiego zasięgu. Ponieważ dzięki standardowym astronomicznym procedurom wykryto już tam podwójną gwiazdę typu widmowego G i K oraz planety, wszyscy mieli nadzieję na znalezienie tam światów odpowiednich dla ludzi. Nic takiego nie odkryto. Ale ponieważ Ozzie i Nigel skutecznie dowiedli, że między odległymi gwiazdami można stworzyć wormhol, udało im się zdobyć dodatkowe fundusze dla swojej firmy, która szybko przekształciła się w Sieć Transportu Tunelowego (STT), oraz założyć Wspólnotę. Nikt nigdy nie powrócił do Alfa Centauri i nikt nigdy nie był w układzie Proxima Centauri, która ze swoją małą gwiazdą typu widmowego M nie mogła mieć planety odpowiedniej dla ludzi. Właśnie dlatego stanowiła doskonałą lokalizację – ZAN zbudował tam „flotę odstraszącą” i tam też miała ona swoją bazę.

Kazimir zmaterializował się pośrodku prostej, przezroczystej kopuły, która u podstawy miała dwa kilometry średnicy. Stanowiła mały pęcherz na powierzchni jałowej, pozbawionej powietrza planety, okrążającej drobnego czerwonego karła w odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów. Ciężenie wynosiło jakieś dwie trzecie standardowego. Okoliczne niskie wzgórza strzępiły linię horyzontu, szarobrazowy regolit przybierał ponurą rdzawą barwę w niewydajnym promieniowaniu Proximy.

Stopy Kazimira stały na czymś, co wyglądało jak matowy szary metal, ale gdy próbował skoncentrować wzrok na jednolitej powierzchni, ta się skręciła, jakby coś oddzielało podeszwy

butów od fizycznej struktury. Jego bioniczna funkcja skanowania pola wykazała, że wokół niego ożywiają się potężne siły, wznoszące się z dziwnej podłogi.

– Jesteś gotowy? – spytały ZAN:Władze.

Kazimir zacisnął zęby.

– Zaczynaj.

Zapewniał Gore'a i Paulę, że flota odstrasząca to nie blef. Stanowiła szczyt technicznych osiągnięć ZAN i mogła przynajmniej dorównać okrętom raielów-wojowników. Musiał jednak przyznać, że nazwanie jej flotą to była lekka przesada.

Nieunikniony problem polegał na tym, komu ufać, gdy ma się taką siłę rażenia. Im większa załoga, tym większe prawdopodobieństwo złego wykorzystania albo przecieku informacji do którejś frakcji. Paradoksalnie sama technika dostarczała rozwiązania. Potrzebowała tylko jednej sterującej świadomości. ZAN odmówił przejścia dowództwa z powodów etycznych, odrzucając koncepcję odgrywania roli absolutnej omnipotencji. Dlatego zadanie zawsze spadało na naczelnego admirała.

Siły roily się wokół Kazimira, wzbierały w bazie jak fala przyływu, odczytywały go na poziomie kwantowym, a potem przekształcały pamięć. Admirał przechodził transformację: czysto fizyczna struktura przemieściła się do równoważnej z nią funkcji energii zawartej w pojedynczym punkcie, który wtargnął do czasoprzestrzeni. Jego „objętość” – sygnatura energii, którą się stał – była zwinięta w głębi pól kwantowych, przy czym została wykorzystana podobna zasada konstrukcyjna jak w przypadku ZAN. Zawierała jego umysł i wspomnienia wraz z pewnymi podstawowymi zdolnościami motorycznymi i zmysłowymi, lecz w odróżnieniu od ZAN nie był to punkt o stałej lokalizacji.

Kazimir wykorzystał swoje nowe wejścia sensoryczne, by zbadać siatkę wewnątrzprzestrzenną w swoim bezpośrednim otoczeniu; przeglądał czekający układ przetransformowanych funkcji zgromadzonych wewnątrz skomplikowanych mechanizmów egzotycznej materii kopuły. Wybierał te, które mogły się przydać w misji, i wcielał je do własnej sygnatury –

podobnie w dawnych czasach postępowali rycerze, gdy przechodzili przez zbrojownię i brali z półek broń i tarcze.

W końcu do swojej pierwotnej sygnatury wcielił osiemset siedemnaście funkcji. Funkcja dwudziesta siódma była zdolnością podróży ponadświatlnych i umożliwiała Kazimirowi przesunięcia całej sygnatury energii przez hiperprzestrzeń. Nie zachował żadnej masy, prędkość jaką mógł osiągnąć, była kilka rzędów większa od ultarnapędu.

Kazimir wystrzelił się z bezludnej planety w kierunku Floty Ocisenów i pędził z prędkością stu lat świetlnych na godzinę. Potem przyspieszył.

Statek międzygwiazdny był gotów do wejścia w atmosferę planety. Dostawca uśmiechnął się do stewarda, który szedł przez kabinę i zbierał od pasażerów niedopite drinki. Powinien to robić bot albo wbudowany zsympłomator, ale towarzystwa lotnicze zawsze zatrudniały załogę ludzką, gdyż większość pasażerów (przynajmniej nie-Elewatów) lubiła odrobinę kontaktu osobistego podczas podróży. Ponadto załoga ludzka przydawała nieco wyrafinowania i elegancji wieków minionych.

Uzyskał dostęp do czujników, gdy wokół statku gęstniała atmosfera. Na drugim co do wielkości południowym kontynencie planety Fanallisto padał deszcz. Potężne, spizowe chmury przetaczały się nad ląd napędzane wiatrem, który nad pustymi przestrzeniami Oceanu Antarktycznego nabierał straszliwej prędkości. Deszcz był tak potężny, że miasta aktywowały pola siłowe kopuła pogodowych. Do rozrastających się stref rolniczych słano ostrzeżenia o powodziach.

Fanallisto rozwijała się od ponad stu lat. Całkiem przyjemna planeta, niczym się niewyróżniająca na firmamencie Światów Zewnętrznych. Dziesiątki milionów ludzi żyły w nudnawych strefach zurbanizowanych. Każda miała świątynię Żywego Snu i okazały zastęp wyznawców. Perspektywa Pielgrzymki wywoływała napięcia i spory, a sytuację pogarszały ostatnie wydarzenia na Viotii. Każdy dzień kryzysu przynosił nowe akty

przemocy wobec świątyni.

Nic szczególnego. Podobnych konfliktów było mnóstwo w Wielkiej Wspólnocie. Na Fanallisto jednak przemoc spotkała się kilka razy z odwetem ludzi o wzbogaconych biononikach. Frakcja Konserwatystów bardzo chciała odkryć, co takiego szczególnego ma w sobie Fanallisto, że aż potrzebne są wsparcie i ochrona prawdopodobnych agentów Progresywiwistów.

Dostawca się tym nie przejmował, o czym wyraźnie powiedział frakcji. Na Fanallisto przebywał jednak obecnie agent Frakcji Konserwatywnej, a standardowe procedury operacji w terenie wymagały zapewnienia niezależnego wsparcia ewakuacji. Dlatego właśnie Dostawca nie pojechał prosto do Londynu z kosmoportu Purlap, lecz poleciał na Trangor, a potem najbliższym statkiem na Fanallisto. Przynajmniej nie brał aktywnego udziału w operacji. Drugi agent nawet się nie dowiedział o przybyciu Dostawcy.

Statek komercyjny przebił się przez mokrą atmosferę i lądował w kosmoporcie Rapall. Wszyscy pasażerowie wysiedli. W budynku terminalu Dostawca odebrał bagaż; dwie średnie walizki sunęły za nim na regrawie i zaparkowały się w bagażniku taksówki. Zamówił taksówkę i do komercyjnej dzielnicy miasta odbył krótki lot w małej kapsule regrawowej, która przemknęła pod polem siłowym kopuły. Stamtąd pomaszerował na inne lądowisko taksówek i – używając innej tożsamości – poleciał do hotelu Foxglove we wschodniej części miasta.

Na dziesięć dni zarezerwował pokój 225, wykorzystując certyfikat trzeciej tożsamości i płacąc niewykrywalną monetą. Cztery minuty zajęło mu włamanie się do węzła cybersferycznego pokoju i zainstalowanie rozmaitych procedur, dzięki którym pokój wyglądał na zamieszkaną. Miła, profesjonalna robótka, ocenił. Mała jednostka kuchenna będzie wytwarzała posiłki, które bot-pokojówka, podczas codziennego porannego sprzątnięcia, wyrzuci do toalety. Od czasu do czasu włączą się prysznic sporowy oraz inne urządzenia; klimatyzatory zmienią temperaturę, węzeł przekaże do unisfery kilka rozmów. Zużycie energii będzie się zmieniało.

Wstawił obie walizki do jedynej szafy, żeby pokój wyglądał porządniej, i aktywował ich mechanizmy obronne. Nie chciał wiedzieć, co jest wewnątrz, ale domyślał się, że jakiś dość agresywny hardware. Upewnił się, że mechanizmy działają poprawnie, opuścił pokój i zamówił taksówkę pod westybul hotelu. To nie on wróci po walizki – to by stworzyło wzorzec. Był wdzięczny za takie procedury operacyjne. Po ostatnim śnie Justine chciał tylko jednego: wrócić do rodziny. Już postanowił, że przez kilka następnych tygodni nie przyjmie żadnych dalszych zleceń od Frakcji Konserwatywnej, bez względu na to, jak bardzo będą go ostrzegać i jak uprzejmie prosić. Wydarzenia gęstniały, zbliżał się punkt kulminacyjny, a było tylko jedno miejsce, w którym powinien przebywać prawdziwy ojciec.

Szklane, kurtynowe drzwi westybulu rozsunęły się, przepuszczając Dostawcę. Taksówka już na niego czekała, unosila się kilka centymetrów nad betonowym placikiem. Nie zdążył do niej dotrzeć, gdy zadzwoniła do niego Frakcja Konserwatywna.

Odmówię im, obiecał sobie. Choćby nie wiem co.

Usiadł na wklęsłym fotelu taksówki, powiedział smartnetowi, że chce jechać do centrum, a potem przyjął rozmowę.

– Tak?

– Rozmieszczono flotę odstraszącą – powiedziała Frakcja Konserwatywna.

– Dziwi mnie, że tak długo to trwało. Ludzie denerwują się z powodu Ocisenów, a przecież nawet jeszcze nie wiedzą o alfach.

– Uważamy, że całe to rozmieszczenie to wynik knowań Progresywiwistów.

– Naprawdę? A co mieliby przez to zyskać?

– Poznaliby w końcu naturę floty odstraszącej.

– No dobrze, ale w czym im to pomoże?

– Nie wiemy. Ale to ma być kluczowa sprawa w ich planach, postawili prawie wszystko na jedną kartę, żeby zmanipulować to jedno wydarzenie.

– Gra się zmienia – powiedział Dostawca słabo. – To właśnie powiedział Marius: gra się zmienia. Myślałem, że mówi o Hanko.

- Najwyraźniej nie.
- A więc rzeczywiście wkraczamy w fazę krytyczną?
- Tak się wydaje.

Od razu nabrał podejrzeń.

- Już nic więcej dla was nie będę robił – oznajmił. – Nie teraz.
- Wiemy. Dlatego dzwoniemy. Stwierdziliśmy, że na to zasługujesz. Rozumiemy, jak wiele znaczy dla ciebie rodzina. Jak bardzo chcesz z nią być.

- Aha. Dziękuję.
- Jeśli chcesz wrócić do bardziej aktywnego statusu...
- Dam wam znać. Czy mój zastępca przejął śledzenie Mariusa?
- Informacje operacyjne są niedostępne.
- Oczywiście, przepraszam.
- Jeszcze raz dziękujemy za współpracę.

Koniec rozmowy. Dostawca wyprostował się w fotelu.

Cholera! Flota odstrasżająca! Sprawa robiła się poważna, potencjalnie zabójcza. Do diabła z procedurami: kazał taksówce lecieć prosto do kosmoportu. Lot, który miał zarezerwowany, startował dopiero za dwie godziny. U-adiunkt natychmiast wyszukał mu pierwszy statek w stronę jednego ze Światów Centralnych. Lot linii PanCephei na Gralmond, za trzydzieści pięć minut. U-adiunkt zdołał zarezerwować miejsce z olbrzymią dopłatą za kabinę w salonce pierwszej klasy. Ale lot miał trwać dwadzieścia godzin. Plus dwadzieścia minut przesiadki przez wormhol na Ziemię i za dwadzieścia jeden godzin z kawałkiem Dostawca dotrze do Londynu.

Tyle czasu wystarczy. Czy aby na pewno?

Araminta tak strasznie chciała uciec jak najdalej od Colwyn City, że zupełnie nie myślała o praktycznych aspektach marszu ścieżkami silfenów między światami. Spacerek przez tajemnicze lasy i słoneczne polany uznała za pomysł romantyczny. Równocześnie pokazałaby środkowy palec: niech się odpieprzą Żywy Sen i ten sukinsyn Kleryk Konserwator. Gdyby się chwilę zastanowiła, staranniej by dobrała odzież i na pewno włożyłaby

solidniejsze buty. No i wzięłaby coś do jedzenia.

Na razie nie zwracała uwagi na te sprawy. Niecałą godzinę szła beztrudnie przez mały zagajnik, w którym wynurzyła się ścieżka z Francola Wood. Araminta dziwiła się po prostu, jakie ma szczęście, że w końcu udało jej się wybrnąć z trudnej sytuacji.

„Musisz sobie uzmysłować, czego chcesz”, powiedział jej Laril.

Właśnie zacznę to robić. Znow przejmuję kontrolę nad swoim życiem.

Wtedy cztery księżycy zaszły za horyzont. Uśmiechnęła się do odchodzącego kwartetu, zastanawiając się, kiedy znowu się pojawią. Szybko przesuwały się po niebie, więc na pewno okrążyły tę planetę kilkakrotnie w ciągu doby. Odwróciła się za siebie i uśmiech zamarł jej na twarzy. Gruby wał ciemnych, nieprzyjaznych chmur rósł nad wysokimi wzgórzami okalającymi dolinę. Dziesięć minut później lunęło i w kilka sekund przemoczyło Aramintę do suchej nitki. Wygodny stary polar chronił przed mżawką, ale nie przed niemal tropikalną ulewą. Araminta odsunęła z oczu kosmyki – teraz szczurze ogonki – i zdecydowanie brnęła naprzód, mając widok najwyżej sto metrów przed sobą. Buty o cienkich podszewkach rozjeżdżały się na niebezpiecznie śliskim trawopodobnym podłożu. Mozolnie schodziła po stoku na dno doliny, przez połowę czasu w kucki, jak goryl. I tak przez trzy godziny.

Przez resztę dnia trawersowała szeroką, pustą dolinę. Chmury z łoskotem przetoczyły się gdzieś dalej. Pomarańczowo zabarwione światło słoneczne wysuszyło jej kurtkę i spodnie, ale bielizna nie wyschła i zaczęła ją wkrótce ocierać. W końcu Araminta dotarła do szerokiej, meandrującej rzeki.

Brzeg po tej stronie doliny był niepokojąco grząski. Najwyraźniej silfeni nie używali łodzi. Nigdzie nie było brodu ani kamieni, ułatwiających przejście przez rzekę. Araminta z nieufnością obserwowała szybki nurt. Zaciśnęła zęby i ruszyła w dół rzeki. Szła pół godziny, ale nie znalazła żadnego naturalnego miejsca, gdzie mogłaby przekroczyć rzekę. Musiała wejść do wody.

Zdjęła kurtkę, spodnie, bluzkę i związała je swoim wiernym

pasem narzędziowym. Nie mogła zostawić ubrań, choć gdyby musiała płynąć, stanowiłyby wielkie obciążenie. Brodząc, trzymała ciężki tobołek nad głową. Dno rzeki było śliskie, szybki prąd – niebezpieczny, a woda lodowata, że aż zapierało dech. Pośrodku rzeki woda sięgała prawie do obojczyków, ale Araminta z determinacją szła naprzód.

Słaniając się, wyszła na drugi brzeg. Skórę miała zdrętwiałą. Tak się trzęsała, że nie mogła odwiązać tobołka, który teraz był jej jedynym dobytkiem. Idąc, albo drżała z zimna i kuliła się, albo dla rozgrzewki okładała się ramionami. W końcu palce odzyskały czucie. Ciało było przeraźliwie blade, gdy znów wkładała drżące ręce i nogi w ubranie.

Marsz jej zbytnio nie rozgrzał. Przed nocą nie udało jej się dotrzeć do linii lasu. Zwinęła się przy niewielkiej skale i drżąc, zapadła w niespokojny sen. W nocy dwa razy padało.

Rano uświadomiła sobie, że nie ma nic do jedzenia. W brzuchu jej burczało, gdy schyliła się nad małą strużką, by napić się lodowatej wody. Nigdy nie czuła się tak podle. Nawet w dniu gdy opuściła Larila, nawet gdy widziała swoje mieszkanie w płomieniach. Ale paskudnie! Co gorsza, nigdy przedtem nie czuła się tak samotna. To nie był świat człowieka. Gdyby przytrafiło jej się coś banalnego – skręcona kostka, rozcięte kolano – nie mogła wezwać pogotowia, żadnej pomocy w promieniu lat świetlnych. Leżałaby tu w dolinie i umierała z głodu.

Wyobraziła to sobie, świadoma teraz, jak wielkie ryzyko podjęła wczoraj, przechodząc przez rzekę. Kończyny zaczęły jej drżeć. Doszła do wniosku, że to opóźniona reakcja szokowa, następstwo strasznej walki w Parku Bodant i brodzenia w lodowatej rzece.

Z większą ostrożnością ruszyła ku linii drzew w górach. Nie znalazła nic nadającego się do jedzenia. Ziemię pokrywały żółtawe, trawiaste rośliny o małych lawendowych kwiatkach. Wlokąc się posępnie, próbowała sobie przypomnieć wszystko, co słyszała o ścieżkach silfenów. Niewiele. Nawet encyklopedia powszechna, załadowana do spacji pamięci, zawierała na ten temat więcej mitów niż faktów. Ścieżki istniały, map nie było; jacyś ludzie-mediewiści wyruszyli tu w poszukiwaniu celów

osobistych, nieracjonalnych; potem o wielu z nich słuch zaginęł. Oczywiście z wyjątkiem Ozziego. Araminta mętnie wiedziała, że Ozzie jest przyjacielem silfenów. Również Mellanie, kimkolwiek kiedyś była. Araminta pluła sobie w brodę, że nie kazała swojemu u-adiunktowi zrobić prostej kwerendy. Ponad tydzień temu Cressida poinformowała ją o jej osobliwym rodowodzie, ale Araminta nie dopytywała ani nie próbowała się czegoś sama dowiedzieć. Idiotka za mnie.

Na wspomnienie Cressidy postanowiła się zebrać do kupy. Cressida nigdy się nie poddawała, nie rozczułała nad sobą. A przecież jestem z nią również spokrewniona.

Szukała więc pozytywów, podchodząc do lasu, gdzie powinna się zaczynać następna ścieżka. Po pierwsze, wyczuwała ścieżki, co znaczyło, że ta wędrówka się zakończy, będzie miała jakiś finał. Brak jedzenia wkurzał, ale Araminta miała przecież silne dziedzictwo Awangardów, a ich etos polegał na przygotowaniu ludzkości, by mogła przeżyć w całej Galaktyce. W dzieciństwie, na farmie, bawili się z rodzeństwem w „spróbuj to zjeść” i wtedy się przekonała, że Awangarda dość trudno otruć obcą roślinnością. Jej kubki smakowe posiadały wyostrzoną zdolność wyłapywania tego, co niebezpieczne. O ile roślina nie była ekstremalnie trująca, metabolizm Araminty potrafił sobie z nią poradzić.

Mimo to rosnąca tu trawa jej się nie podobała.

Poczekam do następnej planety, zanim skosztuję tej trawy.

Gdy dochodziła do pierwszych, porośniętych mchem drzew, powietrze znacznie się oziębilo. Daleko znad doliny nadciągały gęste chmury w kształcie kowadła. W tej temperaturze deszcz zmyłby resztki morale, jakie jej zostały.

Wchodziła w las. Długie, miodowobrazowe liście trzepotały na gałęziach drzew. Z trawy wyzierały białe kłębuszki jakby ciasno zwiniętej pajęczyny. Wśród drzew wiatr ucichł. Araminta nabierała wiary w siebie. W jakiś sposób wyczuwała, że coś się zmienia. Gdy spojrzała w górę, między płataninę gałęzi, widziała nikiłe prześwity nieba podbarwione turkusem. To dodawało otuchy. Niebo było tu zdecydowanie jaśniejsze i bardziej

przyjazne niż nad górami.

Głęboko w gajasferze albo w dumaniu silfeńskiego Ostrowa Matki – gdziekolwiek dryfował jej umysł – mogła śledzić subtelne zmiany przestrzeni wokół siebie. Ścieżka cały czas była w ruchu, nie mając ustalonego początku ani końca; droga reagowała na życzenia podróżnego. Ale chyba, z pewnej niewiarygodnej odległości, Aramintę obserwowała jakaś świadomość. I Araminta miała mgliste wrażenie, że na ścieżkach znajduje się wiele istot. Nieprzebrane miliony wędrowały tu i tam; niektórzy mieli cel, chcieli czegoś doświadczyć, inni dawali się prowadzić ścieżkom losowo przez Galaktykę, by coś znaleźć i poznać.

Między oblepionymi mchem pniami pojawiały się nowe drzewa o gładkich białawozielonych pniach. Bujne zielone liście przywoływały na myśl wiosnę w lesie. Po pniach pięły się bluszcze i winorośle, obwieszane girlandami szarych kwiatów. Ścieżka wiła się wśród pagórków, wkraczała w wąskie doliny. Araminta szła przed siebie. Mijała szemrzące strumyki. Raz nawet dobiegł ją grzmot potężnego wodospadu, ale gdzieś dalej od drogi, więc nie poszła za dźwiękiem. Czerwone liście przeplatały się w jasnobrązowym baldachimie. Butami deptała kruche liście w trawie. Powietrze robiło się ciepłe i suche. Deszczowa dolina została wiele godzin z tyłu. Araminta usłyszała cichy madrygał śpiewany głosem obcej istoty. Nie знаła słów, ale harmonie wydały jej się przepiękne. Przystanąła nawet na chwilę zasłuchana. Wiedziała: to silfeni, liczna grupa krocząca radośnie do nowego świata, oferującego świeże widoki i ekscytacje. Przez chwilę miała ochotę do nich podbiec, widzieć to, co oni widzą, czuć wszystko tak, jak oni czują. Ale wtedy do jej umysłu wsączył się obraz Cressidy, inteligentnej, samodzielnej, skupionej na celu, i zrozumiała skonfundowana, że wędrowka z bandą obcych elfów nie jest rozwiązaniem. Bez entuzjazmu ruszyła w dalszą drogę. Na pewno gdzieś daleko był świat Wspólnoty, choć obecnie droga do niego była mało używana. Silfenów nie obchodziły planety, na których powstały inne cywilizacje, szczególnie te poniżej pewnego poziomu technologicznego.

Drzewa się przerzedzały. Westchnęła z ulgą, gdyż z każdym

krokiem robiło się bardziej biało, jaśniej i cieplej. Teraz przeważały drzewa o liściach czerwonych, grubych i woskowych oraz jasnoszarych cienkich gałązkach, dziwnie od siebie odseparowanych. Uśmiechnęła się radośnie. To niesamowite, że między światami są takie ścieżki.

Szlak zaprowadził ją na skraj falujących drzew.

– O, Wielki Ozzie! – szepnęła przerażona, mrużąc oczy w oślepiającym świetle. Aż po horyzont rozciągał się przed nią widok płaszczyzny pokrytej białym piaskiem. Gorącego słońca nie przesłaniała żadna chmurka. – To pustynia!

Araminta wykonała pełny obrót i nagle zobaczyła, że jest pośrodku nędznej kępki drzew na skraju długiego, błotnistego stawku. Gdzieś w tych drzewach ginęła ścieżka, kurcząc się do nicości.

– Zaraz, to nie tak, coś się nie zgadza. Nie chcę tu być. – I wtedy ścieżka zniknęła. – O, w mordę!

Araminta może niewiele wiedziała o obcych planetach, ale jednego była pewna: bez przygotowania nie wyrusza się na pustynię w samo południe. Powoli obeszła staw, szukając śladów obecności innych ludzi. Poza bardzo starymi odciskami w wyschniętym mule nie znalazła żadnych dowodów na to, by ktoś mógł tu regularnie bywać. Słońce się wznosiło. Usiadła i oparła się plecami o szary pień, usiłując schować się w nędznym cieniu mięsistych liści drzewa.

Ponownie osaczyły ją wątpliwości, których udało jej się przedtem pozbyć. Już znowu zaczynała uzalać się nad sobą. Może silfeni uczestniczyli w wydarzeniach galaktycznych bardziej, niż przypuszczano? Może ją tu specjalnie wyrzucili, żeby nie mogła poprowadzić Pielgrzymki ludzi? Od razu zobaczyła Cressidę z brwiami uniesionymi w charakterystyczny, pogardliwy sposób. Na ten widok aż się skuliła.

Daj spokój, weź się w garść!

Spojrzała na pas z narzędziami. Niewiele ich było, a niektóre wykazywały niski poziom naładowania. Przydadzą się.

Do czego? Jak mi pomogą w przejściu przez pustynię?

Znów rozejrzała się po cichej oazie, próbując myśleć inteligentnie i analitycznie, tak jak by to zrobiła Cressida.

Dobrze, czyli mam wodę. Jak ją wziąć?

Potem zauważyła, że z gruntu wystaje kilka pniaków, ale nie ma powalonych drzew. Podeszła do jednego pnia i przekonała się, że drzewo ścięto czysto i równo. Ktoś je piłował. Świetna wskazówka. Teraz wymyśl, jak wykorzystać drzewo.

Niewielka piła z jej arsenału potrafiła zrobić małe nacięcia, ale nie przetnie całego drzewa, choćby nawet cienkiego. Nacięła pień wokoło i udało jej się go powalić. Czarne drewno pod korą było niewiarygodnie twarde. Wycięła kilka walców metrowej długości, potoczyła je w cień i usiadła przy nich. Wiertarką wywierciła dziury pośrodku walców, potem przełączyła wiertarkę w tryb rozszerzania i po kilku uzyskała wydrążone walce. Powstały doskonałe butle o parocentymetrowych ściankach. Zaniósła je do stawu, by je napełnić wodą. Wtedy poczuła pod stopami, że coś się pod nią ugina. Wyłowiła granatową kulę, oślizłą i galaretowatą. Jajo! Rozejrzała się nerwowo. Jakie zwierzę je złożyło, lądowe czy wodne? A może to nasiono?

Napełnione butle wytaszczyła szybko z wody, nie wypuszczając miękkiego jaja. Było wielkości pięści. Wilgotna powłoka sprawiała wrażenie śliskiej gumy. Na sam widok jajka Aramincie z głodu burczało w brzuchu. Nie jadła nic od ostatniego śniadania z rodziną Tandry, a to było dawno temu.

Umieściła jajko między kamieniami, skierowała na niego szeroki promień lasera ustawionego na niską moc i wachlarzowym ruchem omiotła giętką skorupę. Barwa jajka ciemniała aż do brudnobrązowej, a na powierzchni pojawiły się drobne pęknięcia, gdy jajko powoli twardniało. Po kilku minutach doszła do wniosku, że jest gotowe, więc śrubokrętem wystukała w nim dziurkę. Nie pachniało przyjemnie, ale rozszerzyła otwór i wydobyla ze środka parujący, zielonkawy glut.

Krzywiąc się z obrzydzenia, wzięła odrobinę na czubek języka.

Brak smaku, może trochę jak lekko miętowa galaretka. Wynik testu pogań kanałami nerwowymi od kubków smakowych i procedury podrzędne w klastrach wielokomórkowych zinterpretowały wynik. W gorącej, organicznej papce nie wykryły niczego śmiertelnego, z pewnością niczego, co mogłoby ją natychmiast zabić. Zamykając oczy, przełknęła porcję. Żołądek burknął z ulgą, więc nabrała większą porcję.

Gdy skończyła jeść jajko (sądziła, że to raczej jakieś wodne nasiono), próbowała wydobyć ich więcej. W sumie wyłowiała dziewięć. Cztery, ugotowane laserem, popiła wodą z butli. Butle nie przeciekały, co uznała za drobny sukces. Uspokoiła żołądek i pozbierała trochę drewna na małe ognisko. Pozostałe jajka upiekła w płomieniach, oszczędzając laser. Zdecydowanie dumna z tej innowacji, pomyślała, że powinna wcześniej na to wpaść.

Gdy płomienie przygasły, odłupała korę ze ściętego drzewa, pocięła ją na cienkie paski i próbowała zrobić kapelusz. Do trzech razy sztuka. W końcu udał jej się płaski stożek, który trzymał się na głowie. Potem spłotła koszyk na jajka.

Późnym popołudniem znów wybrała się na połowy. Miała pięć kolejnych jajek. Postanowiła odpocząć przed nastaniem nocy. Pracowała tyle godzin, a słońce dopiero schodziło nad horyzont. Dni były tu długie. Logicznie rzecz biorąc, noce też powinny być długie, więc uda jej się pokonać sporą odległość, nim słońce znów wstanie.

Drzemiąc, śniła o jakiejś wysokiej blondynce, też samotnej. W niewyraźnym śnie dziewczyna była na zboczu góry, nie na pustyni. Pojawił się przystojny mężczyzna i serce dziewczyny zabiło mocniej. Potem blondynka sprzeczała się z mężczyzną o złotej twarzy.

Araminta zbudziła się gwałtownie. To był Gore Burnelli. Sądziła więc, że sen wysnuł się z gajaszfery. Pole było tu słabe, lecz Araminta je wyczuwała. Gore był z jakiegoś powodu wściekły. Przez chwilę miała ochotę wniknąć w gajaszferę i spróbować odtworzyć sen, ale zrezygnowała z tego. Na pewno nie chciała znów ryzykować kontaktu z Żywym Snem. Z drugiej strony, jakże mogli by ją tu znaleźć? Ona jednak miała pilniejsze sprawy.

Małe, jasne słońce zniknęło wreszcie za horyzontem. Zebrała swój prowizoryczny zestaw pustynny. Napełnione po brzegi butle zatkała kawałkami drewna. Zarzuciła je na plecy za pomocą uprząży splecionej z pasków kory. Skrzywiła się pod ciężarem. Przez ramię przewiesiła koszyk z pieczonymi jajkami. Dodatkowe pasy kory wisiały na szyi – Araminta nie wiedziała, do czego się przydadzą, ale to były owoce jej własnej pracy i nic więcej nie miała. Tak wyposażona ruszyła w drogę.

Ku jej radości zmierzch się przeciągał – w całkowitej ciemności czułaby przygnębienie, nawet przerażenie. Powoli pokazywały się gwiazdy. Araminta nie rozpoznała żadnych konstelacji, na pewno nie było ich w jej plikach encyklopedycznych. A więc jestem daleko od Wielkiej Wspólnoty. Mimo to była pewna, że znajduje się blisko ścieżki, która ją tam zaprowadzi. Nie miała wątpliwości, opuszczając oazę. Wiedziała, jaki kierunek powinna obrać.

Butle były okropnie ciężkie. Nie mogła ich porzucić, musiała nieść jak najwięcej wody. Nie najadła się i głód ciągle jej doskwierał. Doszła do wniosku, że jednak te jajka nie są zbyt pożywne dla ludzi. Ale przynajmniej ich nie zwymiotowała. To plus.

Myśląc o tym, uśmiechnęła się. Dziwne, jak zmienia się percepcja zależnie od okoliczności. Tydzień temu przejmowałaby się tym, czy kupcy apartamentów terminowo wpłacą kaucję, i wściekałaby się na spóźnionych dostawców. Teraz rozsądne osiągnięcie to nie dostać torsji podczas włóczędzy przez nieznaną pustynię gdzieś w połowie Galaktyki.

Po trzech godzinach przystanąła na odpoczynek. Tylko blask gwiazd rozświetlał pustynię. Ten świat najwyraźniej nie miał księżyca. Pewne obiekty na niebie były dość jasne; żałowała, że nie zna astronomii na tyle, by określić, czy niektóre z nich są planetami. Nie miało to wielkiego znaczenia. Teraz się już zaangażowała. Dobrze jest mieć konkretny cel, coś, czym można mierzyć sukces.

Napiła się trochę wody, ostrożnie, by nie uronić ani kropli. Jajka zostawiła na później. Gdy naprawdę będę się skręcała z głodu,

pomyślała.

Po półgodzinie wyczuła, że powietrze stało się znacznie chłodniejsze, gdy żar ulatywał w niebo. Zsunęła kurtkę i ruszyła w drogę. Stopy ją bolały. Buty nie nadawały się na taką wędrówkę. Ale przynajmniej teren był płaski.

Idąc mozolnie, zastanawiała się, co zrobi, gdy znów dojdzie do Wspólnoty. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, jeden wybór. Zbyt wielu ludzi jej szukało. Ulec ruchowi Żywego Snu – to ją instynktownie odrzucało. Ale Larila – wprawdzie lojalnego i chętnego do pomocy – wydarzenia przerosły. A kogo nie przerosły? Chociaż może mógłby on negocjować z jakąś frakcją? Ale z którą? Im dłużej o tym myślała, tym bardziej nabierała przekonania, że powinna skontaktować się z Oscarem Monroe. Jeśli ktoś mógłby jej udzielić schronienia, to sam ZAN. A jeśli ZAN chce ją jedynie wykorzystać, to naprawdę nie było żadnej nadziei.

Szła naprzód. Dręczyły ją głód i brak prawdziwego snu. Czuła się wyczerpana, ale wiedziała, że nie może się zatrzymać. Nocą musi pokonać jak największą odległość, bo dniem nie da się iść. Bolały ją ręce i nogi, zwłaszcza nogi. Za każdym razem, gdy stawała, by się napić, coraz trudniej było jej zarzucić z powrotem butle na plecy. Kręgosłup naprawdę czuł ten cały ciężar. Nic nie mogła na to poradzić, najwyżej ignorować pulsujący ból w stopach, gdy buty raniły otartą skórę. Od czasu do czasu drżała na całym ciele w lodowatym teraz, nocnym powietrzu. Zawsze wtedy przystawała, otrząsała się jak pies wychodzący z wody i szła dalej. Nie mogę się poddać.

Miała tyle do zrobienia, musiała tylu rzeczy spróbować, tyle dokonać, by powstrzymać to szaleństwo Żywego Snu. Jej umysł zaczynał dryfować, widziała swoich rodziców, ale nie tych, z którymi stale się kłóciła jako starsza nastolatka, ale takich ze swojego dzieciństwa, gdy ją rozpieszczali, bawili się z nią, pocieszali ją, kupili konika na Boże Narodzenie, gdy miała osiem lat. Po rozwodzie nawet do nich nie zadzwoniła. Zbyt uparta albo raczej zbyt głupia. Doskonale sobie wyobrażam, co by powiedzieli, gdybym im powiedziała, że spotkałam pana Boveya i

zamierzałam stać się wieloczołwiekiem. Gdy Laril opuścił planetę, Araminta prawie co wieczór odwiedzała z Cressidą kluby, randkowała. Wolna odkrywała z radością, jak to jest być młodą singielką we Wspólnocie. Niezależną i całkiem dumną z tego powodu.

Zastanawiała się, czy takie życie kiedyś wróci. Teraz zależało jej tylko na tym, żeby to niebezpieczne szaleństwo się skończyło, żeby Żywy Sen został pokonany. A sobie życzyła zostać panią Bovey. Czy możliwe, że przejdzie znów w stan błogosławionego zapomnienia? Innym ludziom to się udało, tysiące razy mieli chwile sławy i niesławy. Mellanie chyba to osiągnęła.

W egzowizji Araminty migał purpurowo czasomierz, a natrętny sygnał dźwiękowy zabrzmiał w nerwach słuchowych, odciągając jej uwagę od błogich rozmyślań. Westchnęła z ulgą i uwolniła się z szelek. Na szczęście nie było teraz tak zimno. Gdy podniosła do ust butelkę z wodą, kątem oka dostrzegła światła pełznące po nieboskłonie. Długo mieszkała w Colwyn City i potrafiła rozpoznać gwiazdolit.

– Co, do diabła? – I wtedy zdała sobie sprawę z tego, że już opuściła ścieżkę silfenów. – Ozzie!

Umysłem wyczuła serię spokojnych emisji w gajasferze pochodzących gdzieś z pobliza. Pośpiesznie ekranowała własne myśli, aby nic nie wypłynęło i by nikt nie został ostrzeżony o jej obecności.

Na Ozziego, gdzie ja właściwie jestem?

Rozejrzała się. Niewiele było widać, ale chyba w jednym miejscu horyzont lekko pojaśniał. Poweselawszy, usiadła i czekała.

Pół godziny później okazało się, że miała rację. Jasnoróżowy snop światła pełzł w górę. Świtało. Zobaczyła, że nadal jest na pustyni; jednolity ocean piasku zostawiła za sobą, a tu widziała głązy w kolorze ochry i sypką glebę. Gdzieniegdzie burą ziemię pokrywały płachty zielononiebieskich roślin, małych mrozoodpornych krzewów wyglądających na półmartwe. Ze szczelin i kamiennych potoków wystawały wysokie, pierzaste kępkęki bladokremowych traw, suchych i nędznych. Daleko, niemal zagubiona w migoczącym powietrzu, szeroka linia gór strzelała

w niebo. Imponująco wysokie nie miały jednak śniegu na szczytach. Pustynia ciągnęła się aż do podgórza. W innym miejscu Araminta widziała niski grzbiet w odległości przynajmniej pięciu mil; w tak monotonnym krajobrazie trudno to było dokładnie ocenić.

Stała na gruntowej drodze ubitej przez jakieś pojazdy. Droga prowadziła po długim, łagodnym stoku do skrzyżowania z solidną, betonową szosą. Już sam jej widok przynosił ulgę. Araminta prawie dwadzieścia lat spędziła na rolniczej prowincji planety Zewnętrznej i wiedziała, że drogi to rzadkość. Obecnie wszyscy używali kapsuł regravowych. Miała szczęście, że natknęła się na drogę pośrodku pustyni. Duże szczęście.

„Dziękuję ci”, powiedziała do silfeńskiego Ostrowa Matki.

Napiła się wody i ruszyła przed siebie. Wyczucie odległości jednak ją zawiodło. Ciągle szła, a wydawało się, że szosa wcale się nie przybliżyła. Gdy Araminta schodziła po stoku, zobaczyła kilka kapsuł regravowych przelatujących za grzbietem górskim. W innych miejscach rozległej pustyni nic się nie poruszało. Teraz wiedziała przynajmniej, gdzie się udać, gdy dotrze do skrzyżowania. Najwyraźniej za grzbietem było jakieś osiedle. Ostrożne sprawdzenie gajASFery potwierdziło, że stamtąd pochodzi gwar umysłów.

Po kolejnych trzech godzinach dotarła na szczyt grzbietu górskiego. I znów złudzenie: pojęcie „grzbietu” okazało się mylące. Im bliżej pod niego podchodziła, tym wyżej wyrastał w górę. Był jak wydłużone wzgórze. Poprzednie szczęście widocznie ją opuściło; po drodze nie przejechał ani jeden pojazd.

Dokuśtykała na samą górę. Mogła się spodziewać każdego widoku, ale nie takiego, jaki ją powitał. Wrażenie wydłużonego wzgórze było słuszne. Grzbiet okazał się stokiem krateru. Wielkiego krateru z pięknym, owalnym jeziorem o średnicy przynajmniej dwudziestu mil. Oaza nad oazy. Wewnętrzne stoki pokrywały zielone lasy i tarasy uprawne, przypuszczalnie winnice. Droga wiła się w dół do miasteczka, w którym kolorowe, zdobione domy stały wśród skupisk wysokich drzew. Choć wyczerpana, obolała, z poranionymi nogami, Araminta

odruchowo zaśmiała się na ten cudowny widok. Wytarła łzy z oczu i powoli zdjęła butle z pleców. Położyła je ostrożnie za przydrożnymi skałami, obok koszyka z jajkami. Mając ramiona wolne od ciężaru, radośnie ruszyła w dół.

Kulejąc, wchodziła do miasta, a ludzie gapili się na nią. Nic dziwnego. Jej ubranie było zniszczone, ubłocone, na głowie miała dziwny, stożkowaty kapelusz. Na pewno też cuchnęła. Gdy ostrożnie sięgnęła do lokalnej gajafery, wyczuła instynktowne zaskoczenie jej widokiem oraz konsternację.

Budynki, przeważnie szalowane, pomalowano na jasne kolory. Rzadko stosowano nowoczesne materiały budowlane. Miasto sprawiało więc przyjemne staroświeckie wrażenie i harmonizowało z widokiem spokojnego jeziora.

Późnego poranka panował upał, choć wysokie, smukłe drzewa dawały trochę cienia. Na ulicach prawie nikogo nie widziała. Wyczuła jednak parę starszych osób, które nie podzielały obaw innych obywateli. Ze swoich gajafejsów kobieta emitowała nawet lekkie zatroskanie i wyrazy współczucia.

– Przepraszam – zagadnęła Araminta. – Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłabym się zatrzymać?

Para wymieniła spojrzenia.

– Ma akcent nie z tej planety – stwierdziła kobieta.

Araminta stłumiła chichot. Według niej to akcent kobiety był dziwny, bełkotliwy. Na szczęście ci ludzie nie mieli na sobie staromodnych strojów, tak lubianych przez wyznawców Żywego Snu. A przecież to niezwykle widzieć osoby, których ciała się do tego stopnia zestarzały.

– Niestety. Właśnie tu przybyłam.

Kobieta wyemitowała poświęcie satysfakcji.

– No, to świetnie, moja droga. Długo byłeś w podróży?

– No... nie jestem pewna – odparła uczciwie.

– Raz tego spróbowałam. – W głosie kobiety brzmiała nutka melancholii. – Nigdzie nie dotarłam. Może znów spróbuję po rejuwenacji.

– No... tak. A jeśli chodzi o hotel...?

– Dlaczego nie każesz poszukać hotelu swojemu u-adiunktowi?

– spytał mężczyzna. Miał siwą, rzadną czuprynę. Wyglądał na osobę łagodną, ale mówił ostrym tonem.

– Jestem Naturalnym człowiekiem – wyjaśniła Araminta.

– Widzisz, Earl – skarciła go kobieta. – Moja droga, niedaleko Caston Street jest motel „Gwiazda na Uboczu”. Cztery przecznice stąd. – Wskazała drogę z uprzejmym uśmiechem. – Tani, ale czysty. Trafisz bez problemu.

– Dziękuję.

– A masz pieniądze?

– Tak. Dziękuję. – Araminta skinęła im głową i odeszła. Po kilku krokach przystanąła. – Co to za miejsce?

– Milowa Głębia. Wiesz, jesteśmy na kontynencie równikowym Chobamby. To Świat Zewnętrzny, wiesz? – wyjaśnił mężczyzna zgryźliwym tonem.

– Jasne. – Araminta uśmiechem chciała podkreślić, że akurat ta informacja wyleciała jej z pamięci.

– Ścisłej mówiąc, jesteśmy jedynym osiedlem na całym kontynencie, który poza tym jest jedną wielką pustynią. Doprawdy, to wielki fart, że nas znalazłaś. – Mimo dziwnego akcentu aż kipiał ironią.

– Oczywiście.

Kobieta szturchnęła go lekko, by się ruszył. Araminta uśmiechnęła się i podjęła marsz. Idąc Caston Street, miała nieprzyjemne wrażenie, że para stoi i ją obserwuje. Umysł mężczyzny wypełniało lekkie rozbawienie z odcieniem irytacji.

Mogło być gorzej, pomyślała. Mogli być podejrzliwi albo mnie rozpoznać.

Ze swoich plików encyklopedycznych Araminta dowiedziała się, że Chobambę zasiedlono zaledwie dwieście pięćdziesiąt lat temu. Prawdopodobnie motel „Gwiazda na Uboczu” to jeden z najwcześniejszych biznesów. Domki różniły się od szalowanych budynków w mieście. Wyhodowano je z suchego koralu, który od dawna był martwy i zaczynał się łuszczyć w bezlitosnym słońcu. Jasnioletowego, podobnego suchego koralu użyto na farmie w Langham do budowy stodoły, więc Araminta wiedziała, że po stu latach materiał osiąga ten stan zniszczenia.

Na sporym terenie domki ustawiono w kręgu wokół basenu. Betonowe lądowiska dla kapsuł były popękane, poprzerastane chwastami i nieprzyjemnymi z wyglądu, czerwonymi grzybami. Teraz tylko jedna kapsuła tu parkowała.

Z dysz irygacyjnych pulsacyjnie przyskała woda na trawnik przed budynkiem recepcji. Araminta sądziła, że cała misa krateru jest sztucznie nawadniana.

Właściciel reperował na zapleczu starodawny klimatyzator. Wyszedł, wycierając dłonie w sfatygowany biały podkoszulek. Przedstawił się jako Ragnar.

– Dawno nikt tu nie przychodził – powiedział z naciskiem na „przychodził”. Omiótł wzrokiem jej ubranie. Miał taki sam akcent jak para starszych ludzi, których wcześniej spotkała.

– Ale nie jestem pierwsza? – spytała ostrożnie.

– Nie, proszę pani. Ścieżka silfenów kończy się daleko tam, za kraterem. Przez te wszystkie lata spotkałem kilku podróżników takich jak pani.

– Jasne. – Trochę się odprężyła.

Ragnar wychylił się nad kontuarem.

– Długo tam pani była? – spytał cicho.

– Nie jestem pewna.

– Nieważne. No, cóż, nie najlepszy czas pani wybrała, żeby wrócić. Dla Wielkiej Wspólnoty nastały ciężkie czasy, bez wątpienia. – Zmrużył oczy, patrząc na jej obojętną twarz. – Wie pani, co to Wspólnota?

– Wiem – zapewniła poważnie.

– To dobrze. Tylko chciałem się upewnić. Wszyscy mówią, że te ścieżki są bardzo pogmatwane. Kiedyś przyszli tu jacyś prosto z wieku przedwormholowego. O, rety, ale byli zdezorientowani!

Araminta nie chciała się spierać, że to mało prawdopodobne. Z uśmiechem wyciągnęła monetę gotówkową.

– Pokój, proszę.

– Sie robi. Na jak długo?

– Tydzień. – Podała mu monetę.

Ragnar sceptycznie spojrział na jej ubranie, zwracając monetę.

– Dam pani dwunastkę. Jest cicha. We wszystkich naszych

pokojach są bezpłatne przybory toaletowe.

– To świetnie.

Pociągnął nosem.

– Dam pani dodatkowy zestaw.

Pokój dwunasty – pięć metrów na trzy – miał tylne drzwi prowadzące do małej łazienki z wanną i ubikacją. Bez prysznica sporowego, co Aramintę rozczarowało. Usiadła na podwójnym łóżku i spojrzała na swoje stopy. Dotkliwie bolały. Po dłuższej chwili postanowiła zdjąć buty. Gdy je rozwiązała, zobaczyła zakrwawione skarpetki. Krzywiąc się, zdjęła je ostrożnie. Pęcherze były starte do żywego ciała. Powstały obrzęki.

Patrzyła na nogi przez łyzy, pełna żalu. Ale przede wszystkim była zmęczona. Powinna coś zrobić z tymi stopami, przynajmniej je umyć. Nie miała energii. Przykryła się cienką kołdrą i natychmiast zasnęła.

W Parku Bodant nadal pracowali sanitariusze jeszcze dziesięć godzin po zamieszkach... walkach, potyczce... można to dowolnie nazwać. Wiele osób nazwało to masowym morderstwem. Kleryk Phelim wyrzucił ze swej kwatery obwiniających go delegatów senatu, którzy niedwuznacznie sugerowali, że Wspólnota powoła trybunał do osądzenia zbrodni wojennych, a on będzie głównym oskarżonym. W nadzwyczaj kulawej propagandowo operacji, pięć godzin po tym, jak agenci przerwali strzelaninę, Kleryk zniósł w końcu zakaz dla lokalnych karettek-kapsułów. Nie wyłączył jednak pola siłowego miejskiej kopuły pogodowej ani nie pozwolił, by rannych transportowano do szpitali w innych miastach. Z ofiarami musiały sobie poradzić szpitale i kliniki w Colwyn, już przepełnione rannymi z wcześniejszych starć między obywatelami a paramilitarnymi.

Trudno ocenić liczbę ofiar, ale terenowi reporterzy unisfery oszacowali ją na sto pięćdziesiąt ofiar ciałoutraty. Rannych było ponad tysiąc, może nawet dwa tysiące z różnego rodzaju

obrażeniami.

Oscar bezpośrednio spowodował dwie ciałoutraty. Nie był pewien, ile osób postronnych ucierpiało, ale na pewno wiele. W tej walce nikt się nie hamował. Oscar był w duchu przerażony własną bezwzględnością, gdy chronił Aramintę przed osaczającymi ją agentami. Dopuszczał do tego, by programy bojowe sterowały jego reakcjami. A jednak jego własne instynkty też miały swój udział, zwiększały dzikość walki, która wykorzystywała każdy błąd przeciwników. Jego pierwszorzędną bionikę wytwarzała prądy energii formatowane przez najlepsze programy klasy broń zaprojektowane przez Rycerzy Strażników. Bardzo pomogli Tomasio i Beckia, którzy błyskawicznie przyłączyli się do walki i wsparli ją swą siłą ognia i zaciekłością. A jednak wytrzymał sam przez kilka pierwszych, decydujących chwil. Uczucie było takie samo jak podczas misji Hanko w starych dobrych czasach, gdy wykonywał prawie samobójcze manewry nad gwiazdą, ponieważ to było potrzebne.

Teraz, następnego dnia po bitwie, zaczynały go dręczyć wyrzuty sumienia. Może powinien się trochę powstrzymać, mieć wzgląd na niewinne osoby postronne, usiłujące jak najprędzej stamtąd uciec. Głębsza racjonalność mówiła mu jednak, że musiał osłaniać ucieczkę Araminty. Od tego zależało, która frakcja ją przechwyci; od tego zależał los Wspólnoty. Dlatego walczył tak bezwzględnie, wiedział, że musi zwyciężyć. Nawet nie chciał rozważać alternatywy, była zbyt przerażająca, by ją sobie wyobrazić, by do niej dopuścić.

Z pewnością Tomasio i Beckia okazali mu pewną dozę szacunku, którego przedtem nie mieli. Oscar wolałby zasłużyć na to w inny sposób.

Ich pożyczona kapsuła opuściła bazę sił Ellezelinu w dokach, wykonała łuk i przeleciała nad Cairns, zmierzając w stronę wielkiego jednoprzęsłowego mostu.

– Ktoś musi ją mieć – powiedziała Beckia.

To zdanie często powtarzali. Gdy wydostali się z pola walki w Parku Bodant, resztę nocy pomagali Liatrisowi szukać Drugiej Śniącej. Zniknęła. To była częściowo ich wina – Liatris ubił

wszystkie czujniki w promieniu pięciu kilometrów od parku. Wtedy wydawało się to w pełni uzasadnione, gdyż tak bardzo im zależało, by uciekła. Zaskoczyła ich jej skuteczność. Poszukiwania nie dostarczyły im żadnych wskazówek, gdzie się udała po ucieczce od Oscara w parku. Miało to swoje zalety: nikt, kto na nią polował – a Liatris odkrył pięć nadal aktywnych zespołów – również jej nie znalazł.

– Żywy sen jej nie ma – powiedział Tomansio spokojnie. – Na tym się koncentrujemy. Póki nie potwierdzimy jej sytuacji, kontynuujemy misję. Tak, Oscarze?

– Tak. – Znów zobaczył jej twarz, przez krótką chwilę kontaktu wzrokowego, gdy zaskoczona, wystraszona dziewczyna patrzyła na niego oszalałymi oczyma. Wydawała się taka krucha.

Jak, do diaska, udało jej się uciec przed wszystkimi? A jednak, kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, że nadzwyczajne sytuacje często stymulują nadzwyczajne zachowania.

– Coś się udało z przeglądem nagrań? – spytała Beckia.

– Nie – odparł Liatris.

Ich ekspert techniczny uruchomił przeszukiwanie starych zapisów z czujników, by sprawdzić, jak Araminta przybyła do Parku Bodant. Zespół powitalny analizował dane ze wszystkich publicznych sensorów w mieście, by ją wysledzić. Liatris (oraz konkurujące zespoły agentów) zakłócił wejścia ich na wpół rozumnych przeglądaczy i niech szukają wiatru w polu. Znamienne jednak, że żaden z ich obserwatorów nie namierzył jej ani w ciągu dnia, ani wtedy, gdy zbliżała się do Parku Bodant. Pierwszy raz w ogóle zlokalizowano jej pozycję, gdy jej gwałtowne myśli wybuchły w gajaserę – wtedy, gdy ujrzała swoje mieszkanie w płomieniach. Do tej pory nikt nie zrozumiał, jak udało jej się ukryć. Nie wiadomo, jakiego sposobu przedtem używała, ale okazał się on równie skuteczny, gdy niepostrzeżenie zniknęła w samym ogniu walki.

Teraz Oscar i jego ludzie liczyli na dwie rzeczy. Po pierwsze: że Araminta zadzwoni do niego na podany kod, może z wdzięczności albo ze zwykłego pragmatyzmu. Po drugie: że prześledzą wskazówki jak zawodowi detektywi policyjni. Paula

byłaby dumna, pomyślał, uśmiechając się w duchu.

Mimo gradu usilnych anonimowych ostrzeżeń zespół powitalny zaaresztował prawie całą rodzinę Araminty z wyjątkiem budzącej respekt Cressidy, która dokonała aktu zniknięcia równie doskonałego jak Araminta. Wszystkich zwieziono do doków Colwyn City na przesłuchania. Liatris powiedział, że Żywy Sen sprowadza z Ellezelinu kolejnych specjalistów od czytania pamięci.

Zostawali więc tylko przyjaciele Araminty tu, w mieście, ale z wyjątkiem Cressidy nie miała ich zbyt wielu. To dziwne, pomyślał Oscar, atrakcyjne, młode, niezależne kobiety mają zazwyczaj dużą grupę znajomych. Na razie Liatris odkrył zaledwie paru. Najbardziej perspektywicznym wydawał się dostawca hurtowy pan Bovey. Chcieli mu złożyć dyskretną wizytę zaraz po wykonaniu pierwszego zadania.

Tomansio pokierował kapsułę od rzeki, nad dzielnicę Coredna. Siedli na lądowisku przy końcu ulicy. Był to jeden z najbiedniejszych rejonów miasta: parterowe domki z suchego koralu miały ogródki albo wypieszczone, albo zmienione w składowisko śmieci i starych mebli. Wyszli z pojazdu. Na odległym końcu ulicy parkowała kapsuła sił Ellezelinu.

– En garde – szepnął Tomansio.

Nie mieli na sobie zbroi, tylko proste bluzy sił okupacyjnych. Oscar ustawił swoją bionikę na pełną gotowość. Prądy energetyczne obrony i jego zintegrowane pole siłowe mogły zaskoczyć w milisekundę. Miał nadzieję, że to wystarczy. Gdy w trójkę szli ulicą, przeprowadził skanowanie polowe odległej kapsuły. Była pusta, bezczynna.

– Należy do oddziału FIK67 – rzekł Liatris, gdy przekazali mu numer seryjny. – Obecnie pełnią służbę, pilnując granic miasta.

– Cholera! – Oscar podszedł do domu, który ich interesował. Skaner pola wykrył, że w środku jest ktoś, kto ma bionikę, a prądy energii znajdują się w trybie gotowości. – Progresywiści?

– Darwinista – stwierdziła Beckia.

– Separatysta – rzekł Tomansio.

– Przejmuję część tej akcji – powiedział Liatris. – Zapisz mnie do

Konserwatystów.

Tomansio podszedł do aluminiowych drzwi wejściowych i zapukał. Czekali z napięciem, nasłuchując odgłosu kroków.

Drzwi się otworzyły, ukazując niską kobietę w granatowym szlafroku.

– Tak? – Miała udręczoną minę.

Oscar rozpoznał Tandrę z pliku ze spisem personelu, który Liatris wydobyl z sieci zarządzającej restauracji Nika.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań – rzekł Tomansio.

Tandra wywróciła oczyma.

– Ojej, znów jakaś banda. O co chcecie pytać?

– Przepraszam, moglibyśmy wejść? – spytał Oscar.

– Myślałam, że wy, sukinsyny z Żywego Snu, nie pytacie o pozwolenie.

– Niemniej chcielibyśmy wejść, proszę pani.

– Dobra! – burknęła i szeroko otworzyła drzwi. Głośno stąpała małym korytarzem. – Wejdźcie, dołączcie do towarzystwa. Jeden z waszych już tu jest.

Oscar wymienił nerwowe spojrzenia z kolegami i poszedł za Tandrą. Weszli do małego salonu i zamarli, emitując silną burzę szoku do gajASFery. Na kanapie siedziała kobieta o aktywnej bionice; z obu stron miała szczęśliwych bliźniaków. Nienagannie skrojony mundur majora świetnie na niej leżał – wyglądała jak uosobienie zawodowego oficera. Martyn pochylał się ku niej z filiżanką kawy.

– Cześć, Oscar. – Kotka się uśmiechnęła. – Kopę lat. Co porabiałeś przez ostatnie tysiąc lat?

Oscar westchnął smętnie. Daj spokój, wiedziałeś, że kiedyś to się musiało stać.

– Byłem w stazie, tam gdzie ty powinnaś być.

– Znudziło mnie to – odparła Kotka. Spojrzała na Tomansia i Beckię. Oscar nigdy nie widział Rycerzy Strażników tak skonsternowanych; byli zaskoczeni bardziej niż on. – Moi ludzie – powiedziała Kotka drwiąco. – Witajcie.

– Wcale nie. Pracujemy dla Oscara – stwierdził Tomansio.

– Oczywiście uchylam to. Ja was stworzyłam.

– Wierzą w swoje zasady – powiedział Oscar łagodnie. – To jest związane z siłą...

Kotka zaśmiała się zachwycona.

– Zawsze cię lubiłam.

– Co jest? – Martyn patrzył to na Oscara, to na Kotkę. – Myślałem, że wszyscy jesteście jednym.

– O, jesteśmy – rzekła Kotka.

– Nie jesteśmy – oponował Oscar z naciskiem.

– Mixal, Freddy, chodźcie do mnie! – zawołała Tandra.

Kotka uśmiechała się radośnie, obejmując mocno dwójkę dzieci.

– Lubię te bliźniaki – powiedziała spokojnie.

Martyn rzucił się w przód, gdy Mixal i Freddy zaczęli się wyrwać z jej mocnego uścisku. Tomansio błyskawicznie go powstrzymał.

– Nie ruszaj się – warknął.

– Nie! – Beckia schwyciła Tandrę, która rzuciła się ku dzieciom.

– Puść mnie! – krzyczała Tandra.

– Jeszcze raz się ruszysz, to cię zastrzelę – rzekł Oscar stanowczo.

Nienawidził się za to, ale nie miał wyboru. Ponadto liczył na to, że strach skłoni ją do posłuszeństwa. Nie była w stanie zrozumieć, że bliźniaki przeżyją następne pięć minut tylko wtedy, gdy on i jego drużyna wkroczą do akcji. To była ich jedyna szansa.

– Wielkie słowa – powiedziała Kotka.

– Nie mam wielkiego wyboru – odparł Oscar.

– Jak tam Paula?

– Myślałem, że ją widziałas.

– Niezupełnie. Jeszcze nie.

– Zawsze jest następny raz, co?

– Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie.

– Wiesz, poprzednio, gdy widziałem cię w samolocie w drodze na Far Away, nie byłaś tak zła.

– Zapewniam cię, że byłam – odparła Kotka.

– Dziwne, bo to byłaś ty terazniejsza. Ta ty, która założyła Rycerzy Strażników, jest w twojej przyszłości twoich osobistych

wspomnień.

– Mój drogi, to brzmi strasznie mętnie i pokrętnie.

– Jak się nad tym zastanowić, to ty ty nigdy w zasadzie nie spotkałaś mnie wtedy w samolocie. Twoje wspomnienia pochodzą z dnia, zanim zostałam wysłana do Randtown.

– Do czego zmierzasz?

– Interesujące, że przestudiowałaś materiały na swój temat.

– Poznaj swoich wrogów.

– Aha, teraz to ma sens. Zwłaszcza w stosunku do wersji, którą jesteś teraz.

– Tymczasem ty żyjesz w szczęśliwym świecie.

Oscar uśmiechnął się do niej krzywo.

– Ty jesteś w tym świecie.

– Oj, to wycieczka osobista, mój drogi.

– Oczywiście, że osobista. A czego oczekiwałaś po tym wszystkim, co stało się między nami w samolocie? Zaraz, zaraz, ty przecież nie masz tych wspomnień.

Kotka rzeczywiście patrzyła zaskoczona.

– Chyba sobie kpisz, mój drogi. Ty przecież nawet nie lubisz dziewczyn.

– Nie. Ale jak powiedziałaś, ty mnie lubisz, a gdy się mknie na pewną śmierć, wyzwalają się rozmaite odruchy. Musiałem pracować z dostępnym materiałem.

– Teraz mnie znieważasz.

Oscar zachowywał doskonale obojętną minę.

– Nie, to nadal wycieczki osobiste. Ponadto, czyje dziecko urodziłaś po zlikwidowaniu Gwiazdokrażcy?

– Dziecko? – wybełkotała. – Ja? Z tobą?

– Ludzie, co wy?! – krzyczała Tandra. – Idźcie sobie wszyscy. Idźcie i zostawcie nas w spokoju.

Oscar wznosił ostrzegawczo palec, rzucając spojrzenie zrozpaczonej kobiecie, ale po chwili postanowił ją zignorować.

– Jeśli nie zebrałaś informacji w tym zakresie, zapytaj tych tu Rycerzy Strażników, których stworzyłaś. Czy w twojej historii jest jakaś dziura?

Kotka spojrzała na Tomansia, który ciągle trzymał Martyna.

– Faktycznie, po katastrofie w twojej linii czasowej brakuje kawałka – powiedział powoli. – Nikt nie wie, co wtedy robiłaś.

– Pieprz się – warknęła. – I ty. – Spojrzała wściekle na Oscara. – Ty też nie wiesz. Przez tysiąc lat byłeś komórką pamięci dyndającą na łańcuchu Pauli.

– Dzieciak mnie odwiedził, gdy zostałem ożywiony. Opowiedział mi całą historię.

– Przestańcie. Już.

– Dobrze – powiedział pojednawczo. – Czy zdążyłaś zapytać o coś tych dobrych ludzi?

– Nie możesz grzebać w moim umyśle.

– Już zrobiłem to z twoim ciałem. – Oscar mrugnął. Zwrócił się do Tandry: – Czy wypytywała cię o Aramintę?

Tandra rozwarła ramiona do dzieci na kanapie, które cały czas starały się wyrwać z uścisku Kotki.

– Proszę?

Oscar wyciągnął rękę. Czerwony laser zaświecił przez skórę jego palca wskazującego i pacnął kropkę na czole Freddy'ego. Wszyscy zamarli. Freddy zaczął płakać i przytulił się do Kotki, wierząc, że go ochroni.

Gdybyś tylko wiedział, jaki to zwodniczy instynkt, pomyślał Oscar ponuro.

– Wypytywała?

– Nie ważysz się. – Kotka spojrzała szybko na Tandrę. – To przyzwoity facet, nie zabija dzieci. To ja to robię. I jestem w tym bardzo dobra.

– Nie zastrzeliłbym naszych – powiedział Oscar. Bawiła go zjadliwa mina na twarzy Kotki. – Co się wydarzyło przed moim przyjściem?

– Nic! – ryknął Martyn. – W imię Ozziego, przestań, proszę. Proszę! To tylko dzieci.

Oscar patrzył na Kotkę z kamienną twarzą. Laser celownika zgasł.

– Podzielimy się wiedzą, a potem oboje wyjdziemy.

– Jakie to nadzwyczaj słabe z twojej strony – stwierdziła Kotka.

– Jakie nadzwyczaj taktyczne – kontrował Oscar. – Jeśli stawisz

opór, zaatakujemy cię w trójkę. Ktoś z nas może doznać ciałoutraty, ale ZAN w pół dnia nas ożywi. Ty natomiast z pewnością umrzesz. A wraz z tobą umrze informacja, niewykorzystana. Progresywiści nie odzyskają Araminty, a ty... A co to takiego? Wiadomość od Pauli. Odwiedziła księżyc lodowy stacji Progresywistów. Było tam kilka ciebie w stazie. Teraz nikogo nie ma.

Kotka znacząco spojrzała na płaczące dzieci.

– Przypuszczalny koniec Galaktyki, a z drugiej strony dwie żywe istoty – powiedział Oscar. – Innego wyboru nie ma. Zwróć uwagę, że służyłem jako oficer we flocie. Jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. Konieczność zawsze bierze górę nad sentymentami. Rozwaliłem słońce planety Hanko, co uśmierciło całą planetę.

– Prawdę mówiąc, mój drogi, to ja uśmierciłam Hanko, ale nie wchodźmy w to teraz.

– W nic nie będziesz wchodzić. Nie masz wyboru. Odejdiesz albo umrzesz. I zastanów się: jeśli Żywy Sen albo Progresywiści zwyciężą, twoje realne ciało nigdy nie wyjdzie ze stanu stazy. Ziemia zostanie zamieniona w czystą energię przez granicę Pustki, by spełnić marzenia jakiegoś idioty, na długo przed terminem twego zwolnienia.

Oscar odwrócił się do Kotki plecami. Ilu to zrobiło i przeżyło? Ponieważ natychmiast nie otworzyła do niego ognia, spytał Tandrę:

– Proszę, powiedz mi o Aramincie.

– Była tu – wygadał się Martyn. – Ta dziwka. Przez nią to wszystko, a ona tu przychodzi! Do naszego domu.

– Kiedy?

– Noc przed walką w Parku Bodant – rzekła Tandra znużonym głosem. – Powiedziała, że boi się tłumu w parku i nie ma dokąd iść. Pozwoliliśmy jej tu przenocować. Na kanapie.

– Czy powiedziała wam, że jest Drugą Śniącą?

– Nie. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. To po prostu pokręcona dziewczyna.

– Jest czymś znacznie większym. Jak się tu dostała?

– Powiedziała, że na piechotę.
– Nigdy w to nie wierzyłem – burknął Martyn.
– Widziałeś trycykl albo taksówkę? – spytał go Oscar.
– Nie, ale przecież z Parku Bodant jest kawał drogi. A ona cały czas kłamała.
– W porządku. A kiedy opuściła wasz dom?
– Poszła – powiedziała Tandra. – Widziałam, jak odchodzi, nie widziałam żadnego trycykla, nic takiego. I była sama.
– Dokąd poszła?
– Nie powiedziała. – Tandra zawahała się. – Pomyślałam, że chodzi o mężczyznę. Użyła moich kosmetyków. Długo robiła sobie makijaż. Gdy wyszła, wyglądała wspaniale.
– Czy była do siebie podobna? – spytała Beckia.
– Niezupełnie. Dużo rzeczy zmieniła. Włosy były bardzo ciemne. Jej naturalny kolor lepiej jej pasuje.
– Sprytne.
– No dobrze. – Oscar spojrzął na Kotkę. – Chcesz jeszcze o coś spytać?
– Kogo pieprzy? – spytała Kotka.
– Nie wiem – odparła Tandra. – Całe wieki jej nie widziałam. Zdziwiłam się, gdy tu przyszła.
– Więc jesteś jej najlepszą przyjaciółką? Osobą, do której zwraca się, gdy ma problemy?
– Chyba tak. – Tandra wzruszyła ramionami.
– To mi wystarczy. – Kotka uwolniła bliźniaki i wstała jednym sprawnym ruchem.
Oscar zmrużył oczy. Błyskawicznie się ruszyła, na pewno ma włączone akceleranty, pomyślał.
Tandra i Martyn skoczyli do dzieci.
– Zobaczymy się. – Kotka spojrzała szelmowsko na Oscara.
– Powiem wnukom, że przyjdiesz. Jest ich mnóstwo. Przecież minęło tysiąc lat.
Jej chichot zabrzmiał szczerze.
– Wiesz, to całkiem możliwe.
Oscar przygotował się: jeśli Kotka coś zamierza zrobić, zrobi to teraz. Chwila minęła i Kotka wyszła.

Odprężona Beckia westchnęła i gwizdnęła.

– Wiesz, jesteś prawie tak stuknięty jak ona. – Tomansio położył Oscarowi dłoń na ramieniu. – Hm, ty i ona w samolocie, czy wtedy...

– Gentleman nigdy takich rzeczy nie powie – rzekł Oscar poważnie.

– Pocałuj mnie w dupę.

– Zajmę się tym, jak się to wszystko skończy. A teraz już chodźmy.

Skanowanie polowe pokazało mu, że skradziona kapsuła Kotki wzlataje. Oscar znów się spiął. Czy Kotka przeleci nad domem i go zbombarduje?

Tandra i Martyn przywarli do siebie, mocno obejmując wystraszone, szlochające bliźniaki.

– Radzę wam, jak najszybciej opuście ten dom. Zamieszkajcie u znajomych lub w hotelu, gdziekolwiek, byle nie tu, bo możecie się spodziewać więcej takich najść.

– Niech Ozzie pośle was prosto do piekła, dranie – syknął Martyn z wściekłością. Po twarzy ciekły mu łzy.

– Poznałem Ozziego – rzekł spokojnie Oscar. – Jest zupełnie inny, niż wszyscy sobie dziś wyobrażają.

– Idźcie już! – błagała Tandra.

Oscar poprowadził Tomansia i Beckię do kapsuły. Gdy tylko wyszli z domku, zadzwonił do Pauli.

– Kotka tu jest.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej. – Oscar wzruszył ramionami. – Odbyliśmy dość długą rozmowę.

– I ciągle żyjesz. To robi wrażenie.

– Taaak, udało mi się odwrócić jej uwagę w skali kosmicznej. Przez chwilę wytrąciłem ją z jej gry.

– Czy dołącza do polowania na Aramintę?

– Tak.

– Można się było spodziewać. Progresywiści desperacko chcą ją mieć dla siebie.

– Sądziłem, że my też.

- Owszem. To stało się konieczne.
- Robię, co mogę. Ciągle mam nadzieję, że do mnie zadzwoni. Niezupełnie jest taką superkobietą, jak wszyscy sądzą.
- Ja jej nigdy za taką nie uważałam. Jaki jest twój następny krok?
- Odwiedzimy pana Boveya. Liatris odkrył pewne powiązania między nim a Aramintą.
- Dobrze, informuj mnie na bieżąco.
- A ty co robisz?
- Nie martw się. Wyruszam na Viotię.
- Myślałam, że ja to zrobię, żebyś ty mogła trzymać się w cieniu.
- Ten okres już oficjalnie minął.

Zbliżając się do Floty Ocisenów, Kazimir utrzymywał z ZAN pojedyncze połączenie komunikacyjne w hiperprzestrzeni. Rada EgzoProtektoratu oczekiwała, że będzie im w czasie rzeczywistym przekazywał sprawozdania z bitwy, ale to by dostarczyło Ilanthe za dużo informacji. Statki alf podróżujące ze statkami Ocisenów klasy Gwiazdóbjca zostałyby ostrzeżone o jego zbliżaniu się. I tak by to im nie dało specjalnej przewagi nad jego techniką, to wiedział, ale z drugiej strony oni nie stanowili prawdziwego zagrożenia. Coś innego będzie tam czyhać, obserwować, wysłać Progresywiściom cenne informacje o naturze flotyli odstraszałającej. Tego był pewien.

Kazimir dostosował prędkość do olbrzymiej armady obcych i rozpoczął rozpoznanie. Funkcje czujnikowe łatwo się z tym uporały: ponad dwa tysiące osiemset statków Ocisenów, w tym dziewięćset klasy Gwiazdóbjca, mknęło z prędkością czterech i pół lat świetlnych na godzinę w przestrzeni międzygwiazdowej. Swoim podglądem zbadał kadłuby i uzbrojenie: mieli dość bomb kwantowych, by zmieścić większość planet Wielkiej Wspólnoty, o ile dotarliby do celu. Ale nic więcej, żadnych postfizycznych systemów, na które by się gdzieś natknęli i je skopiowali. Kazimir przyjął to z ulgą. Zbadał teraz trzydzieści siedem statków alf towarzyszących flocie. Używały wyrafinowanych hipernapędów,

skonfigurowanych tak, by deformacje czasoprzestrzeni były jak najmniejsze. Ich uzbrojenie, znacznie bardziej zaawansowane od tego, czym dysponowali Ociseni, dorównywało skutecznością statkowi Wspólnoty klasy Capital. I tylko tyle. Nie stanowili dla niego niebezpieczeństwa. W promieniu roku świetlnego od Floty Ocisenów nie wykrył innych statków, żadnych tajnych obserwatorów, żadnych nieznanymi linków w hiperprzestrzeni. Jednakże każdy statek alf miał otwarte połączenie hiperprzestrzenne z pewnym punktem wokół przestrzeni Wspólnoty, ale Kazimir je wyczuwał – te wąskie wątki pulsujące informacją, ciągnące się przez pola kwantowe.

Doszedł do wniosku, że statki alf to obserwatory. Prawdopodobnie uważają, że nie będzie w stanie wyeliminować wszystkich trzydziestu siedmiu statków jednocześnie. To ich pierwszy błąd.

Kazimir zmanifestował dodatkowe funkcje czujnikowe pięciu statkom alf. W czasoprzestrzeni miały zaledwie rozmiar neutronu, ale powłokami potrafiły odbierać całą komunikację wewnętrzną między alfami. Każdy statek alf miał sterującą alfę osiadłą, która wykonywała zadania takie, jak smartkor na statkach ludzi, i bezpośrednio zarządzała techniką oraz wysyłała instrukcje do alf osiadłych. Statki reprezentowały mikrokosmos społeczeństwa alf. W erze pretechnologii alfy komunikowały się w ten sposób, że dotykały swych odnóży w górnej części ciała, uruchamiając impulsy nerwowe, które przepływały między nimi. To zostało zastąpione przez proste nośniki elektroniczne, umożliwiając alfom osiadłym rozciągnięcie sterowania na duże odległości.

Kazimir odczytywał zdigitalizowane impulsy. Wspólnota miała duże doświadczenie w komunikacji między alfami. Zwłaszcza flota, która opracowała cały zestaw procedur zakłócających i technik wojny elektronicznej. Gdyby alfy kiedyś uciekły przez bariery pary Dysona i znów stanowiły zagrożenie dla ludzi, przekonałyby się, że ich myśli zostały dosłownie wygaszone.

Pierwsza rzecz była oczywista: alfy w statku kosmicznym to prości biologiczni gospodarze dla ludzkich myśli. Paula miała

rację, skonstatował Kazimir ponuro.

– Zgadza się z moją oceną? – spytał ZAN:Władze.

– Tak.

– Bardzo dobrze. – W zalewie obojętnych dyrektyw był świadom, że strumień danych został zakodowany i wysłany ultrabezpiecznym połączeniem w hiperprzestrzeni do Wspólnoty. Było tam mnóstwo danych z czujników, ale nic powyżej poziomu klasy capital. – Progresywiści będą wiedzieli, że przechwyliłem flotę, gdy sygnał zostanie przerwany. Potrafię jednak zagwarantować, że nie poznają natury tego przerwania.

– Kontynuuj zadanie.

Wewnątrz każdego ze statków alf Kazimir zmanifestował serię funkcji-agresorów i wykorzystał je do ataku na systemy komunikacyjne w hiperprzestrzeni. Gdy bezpieczne połączenia zostały zlikwidowane, zabrał się do destrukcji samych hipernapędów. Statki kolejno, co pięćdziesiąt milisekund, wypadały do rzeczywistej przestrzeni. Osłabiwszy ich zdolności latania, zaczął eliminować broń pokładową. Funkcje-agresory w półtorej sekundy zniszczyły hardware. Potem Kazimir zajął się Ocisenami.

Stał przed problemem: wyeliminować militarne zagrożenie ze strony obcych, nie powodując katastrofalnych ofiar śmiertelnych. Nie mógł tak po prostu zniszczyć napędów aż tylu statków, ponieważ Imperium nie miało możliwości uratowania tak wielu swoich obywateli z tak dużej odległości. Zainstalował więc specyficzne funkcje-agresory wewnątrz każdego statku i zrujnował broń poza możliwość ich reperacji czy odzyskania. W tym złomie nie zostało dość komponentów, by złożyć pojedynczy laser, nie mówiąc o bardziej zaawansowanych urządzeniach.

Całkowity czas wyeliminowania wszystkich dwóch tysięcy ośmiuset statków: jedenaście sekund. Wystarczająco długo, by się zorientowali, że dzieje się coś złego, ale Kazimir nie dał im czasu na reakcję. Zresztą, nawet gdyby wiedzieli, i tak nie byliby zdolni zrobić mu krzywdy.

Puścił ich wolno. Błyskał sygnaturami energii ku rejonowi

przestrzeni, gdzie wielkie statki alf unosiły się bezradnie. Tym razem manifestował funkcję komunikacyjną jednemu ze statków – jej możliwości były identyczne z systemem między-alfami. Jak wszystkie ludzkie umysły, ten zajmujący ciała alf wykorzystał skojarzenia jako swoją główną procedurę pamięci.

Kazimir wprowadził: Pochodzenie.

Tożsamość.

Cel.

Każda z tych rzeczy wywoływała zalew myśli. Kazimir zidentyfikował animowaną osobowość: pochodziła z umysłu Chatfielda, jego ludzka persona została odarta z większości cech emocjonalnych; poczucie celu było zdecydowane, podobnie jak jego oddanie Progresywiom. Statki alf miały eskortować Ocisenów i chronić ich przed próbami przejścia przez Flotę Wspólnoty, ale ich najważniejsza misja polegała na raportowaniu pojawienia się floty odstraszałej, rozpoznania cech i zdolności bojowych. Poza tym nie było innych wymagań.

Sprokowany przez Kazimira wybuch myśli gasł w głównej świadomości i wtedy wrażenie zaskoczenia błysnęło między alfą osiadłą a jej alfami wędrownymi. I pojawiło się zrozumienie. Wysłała określony kod do bomby autodestrukcyjnej. Kazimir nie był dość szybki, by temu zapobiec. Teraz wiedział, czego szukać, więc w pozostałych statkach szybko zmanifestował funkcje, które wszędzie unieszkodliwiały bomby.

– Czy teraz macie wystarczające dowody? – zapytał ZAN: Władze.

– Tak. Progresywiści działali lekkomyślnie. Popierając Ocisenów i manipulując Żywym Snem, naruszyli zasady, na jakich ja zostałem powołany. Zwołam konklawe zawieszające.

– Będą wiedzieli, że flota odstraszałca przechwyciła Flotę Ocisenów, choć nie będą świadomi mojej natury. Muszą zakładać najgorsze: odkryłem, że wyszukują alfy.

– To by było logiczne. Ale ich agenci niewiele mogą zrobić. Gdy w życie wejdzie zawieszenie, ich operacje będą poddane pełnej kontroli i zneutralizowane.

Kazimir przejrzał statki, które biernie dryfowały.

- Ciągłe jednak nie rozumiem, co Progresywiści mieli nadzieję osiągnąć, poza prymitywną manipulacją polityczną. Ilanthe jest na to za bystra. Czułbym się spokojnie, gdybym podczas wysłuchania był w zasięgu ręki. Wracam natychmiast.

- A co z Flotą Ocisenów? Myślałem, że zamierzasz ich monitorować.

- Nie są zdolni wyrządzić żadnej krzywdy. Gdy komandor zda sobie z tego sprawę, nie będą mieli innej opcji jak powrót do domu. Nasze statki klasy Capital podejmą obowiązki obserwacyjne.

- Komandor doznał poważnego uszczerbku na swej dumie. Może nie chce wrócić do Imperium.

- O tym zdecydują statki Capital. Ja wracam do Układu Słonecznego.

- Jak sobie życzysz.

Kazimir zmanifestował funkcję komunikacyjną i rozesłał do statków prostą wiadomość.

- Uwaga osobowości Chatfielda: tu flota odstrasżająca Wspólnoty. Wiemy, kim jesteście i co zamierzaliście. Nie próbujcie więcej aktów samobójczych. Statki klasy Capital spotkają się z wami wkrótce. Będziecie wzięci do aresztu floty.

Kazimir wycofał manifestowane funkcje i skierował się ku Układowi Słonecznemu.

Justine: rok trzeci, reset

Egzowizyjne ikony medyczne wychynęły z mroków i otoczyły świadomość Justine Burnelli. Ten sam zestaw odczytów widziała już wcześniej.

– O, rety! – stęknęła zszokowana i zachwycona. – To zadziało.

Próbowała się zaśmiać, ale jej ciało stanowczo odmówiło współpracy; upierało się, że właśnie spędziło w stazie trzy, a nie... Cóż, tak naprawdę nie była pewna, jak długo trwało zresetowanie Pustki z powrotem do tego punktu czasowego.

Wiek komory medycznej odsunęło się, a ona znowu rozejrzała się po kabinie „Silverbirda”. Naprawdę znowu. Usiadła i otarła łzy z policzków.

– Status? – zapytała smartkoru. Wskoczyła nowa porcja ikon egzowizyjnych. Potwierdzały, że „Silverbird” podróżował trzy lata, a teraz ostro hamował. Coś się zbliżało.

– Taa... – powiedziała z satysfakcją, kiedy czujniki statku omiotły przybysza. To był Władca Niebios z w pełni rozwiniętymi skrzydłami próżniowymi.

Kiedy się zbliżył, jeszcze raz przyjrzała się niesamowitej elipsoidzie. Nadal nie mogła ustalić, czy fantastyczne fałdy krystalicznej materii rzeczywiście się poruszają, czy to tylko gra refrakcji na jej powierzchni. Czujniki „Silverbirda” nie mogły dokładnie się skupić na tej substancji.

Tak jak poprzednio, usadowiła się na najdłuższej kanapie „Silverbirda” i sięgnęła do Władcy dalmową.

– Cześć – powiedziała.

– Jesteś jak najmilej witana – odparł Władca Niebios.

Jak dotychczas, to samo. Zobaczmy...

– Przybyłam do tego wszechświata, by osiągnąć spełnienie.

– Wszyscy tutaj przybyli do tego dążą.

– Czy mi pomożesz?

– Twoje spełnienie może być osiągnięte jedynie przez ciebie

samą.

- Wiem o tym. Ale ludzie, tacy jak ja, osiągają spełnienie przez uczestnictwo w naszym własnym społeczeństwie. Proszę, zabierz mnie na Querencię, na stały świat, gdzie mieszka mój rodzaj.

- Moi krewni nie są świadomi żadnych myśli charakterystycznych dla twego gatunku w żadnym miejscu tego wszechświata. Żadne nie pozostały.

- Też o tym wiem. Jednak jestem po prostu tylko pierwszą z nowego pokolenia mojego gatunku, które dotrze do tego miejsca. Wkrótce pojawi się tu nas milion. Pragniemy mieszkać i osiągać spełnienie na tym samym świecie, gdzie ludzie dojrzewali wcześniej. Wiesz, gdzie to jest? Było tam wielkie miasto, które nie należało do tego miejsca. Pamiętasz, jak prowadziłeś ludzkie dusze z tamtego świata do Serca?

Justine zamarała na kanapie. To było pytanie krytyczne.

- Pamiętam tamten świat - odpowiedział Władca. - Poprowadziłem wielu z tamtego miejsca do Serca.

- Zabierz mnie tam, proszę. Pozwól mi osiągnąć spełnienie.

- Tak zrobię.

Zdała sobie sprawę, że ciążenie w kabinie jakoś się zmienia. Smartkor donosił o alarmującym wysypie usterek na całym statku. Nie zwracała na to uwagi - okropnie kręciło jej się w głowie. Usta napełniły się śliną - preludium do mdłości. Nie mogła się skupić na wklęsłej ściance działowej - ścianka poruszała się tak szybko. Justine zacisnęła powieki, ale to tylko pogorszyło sprawę. Zmusiła się więc, by ponownie otworzyć oczy, i spojrzała wprost, intensywnie koncentrując się na komorze medycznej. Procedury wtórne w klastrach wielokomórkowych zaczęły edytować nieregularne impulsy, które jej ucho wewnętrzne wtłaczało do mózgu, przeciwdziałając potwornemu zawrotowi głowy. Uczucie zaczęło nieco ustępować. Sprawdziła obrazy z czujników.

-- Jasna cholera.

„Silverbird” toczył się po krzywej trajektorii. Został złapany w kilwater Władcy jak drewno unoszące się na wodzie. Kągłe desenie w krystalicznych płachtach Władcy gwałtownie falowały.

Jego skrzydła próżniowe wirowały jak opalizująca mgiełka na tle łagodnego światła pustkowych mgławic. Justine przypominało to ptaka łopoczącego gorączkowo skrzydłami. A potem zmiana kursu się skończyła. Sensory „Silverbirda” raportowały, że światło gwiazd wykazuje zauważalny efekt Dopplera. Przyśpieszali z setkami g, dokładnie tak jak przyśpieszał Władca Niebios przy ich pierwszym spotkaniu.

To jest pierwsze spotkanie, zreflektowała się. Czy też trzeba powiedzieć...? W końcu uznała, że ludzka gramatyka niezupełnie nadąża za własnościami Pustki.

Jednakże dziwaczna temporalna korekta, ułatwiająca Władcy osiągnięcie podobnego przyśpieszenia, wkrótce się skończyła. Przed nimi kilka gwiazd świecących wśród mgławic zabarwiło się lekko na niebiesko, a widmo gwiazd za statkiem dotarło do czerwieni. Smartkor „Silverbirda” ustalił, że osiągnęli obecnie dziewięćdziesiąt trzy setne szybkości światła. Na pokładzie liczba usterek zmniejszyła się do znośnego poziomu możliwego do przyjęcia, a zawrót głowy Justine ustąpił.

Westchnęła głęboko z ulgą, a potem smętnie się uśmiechnęła.

– Dzięki, tato – powiedziała głośno.

Można mu było zaufać, że zawsze coś wykombinuje. Posmutniała na myśl o milionach, które przybędą do Pustki. Że cholerna Pielgrzymka również wyruszy na łowy na Querencię. Czyli Drugi Śniący zgodził się ich poprowadzić? I jak, do cholery, mają zamiar minąć raielów w Zatoce?

Gore kazał jej się skupić na dotarciu do Makkathranu, więc musi zaufać, że ojciec wie, co robi. Niezbyt napawało ją to otuchą. Najwidoczniej coś sobie zaplanował, ale ona by prawdopodobnie nie zaaprobowała takiego planu.

Nie. Nie „prawdopodobnie”. Na pewno by go nie zaaprobowała.

Niestety miała niewielki wybór.

Kiedy już byli w drodze, smartkor „Silverbirda” wykreślił tor ich lotu. Justine przyjrzała się projekcji. Ostra, zielona linia przebiegała w pobliżu fioletowo-szkarłatnej mgławicy w

kształcie obuwika. Koniec trasy przesłaniały stopy czarnego pyłu międzygwiazdowego oraz światło tej mgławicy oddalonej o jedenaście lat świetlnych.

Po śniadaniu i turze ćwiczeń w statkowej siłowni Justine usiadła znowu na kanapie i przemówiła dalmową do Władcy Niebios.

– Ile potrwa dotarcie do stałego świata, do którego podróżujemy?

– Tyle, ile będziemy tam lecieć.

Miała ochotę się uśmiechnąć. Naprawdę przypominało to rozmowę z pięcioletnim sawantem.

– Świat okrąży swą gwiazdę ze stałą szybkością. Ile razy ją okrąży do czasu naszego przybycia?

Zastanawiała się tylko, czy Władca Niebios w ogóle zna pojęcie liczb. Dlaczego kosmiczne stworzenie miałoby rozwijać matematykę?

– Świat, którego szukasz, okrąży swą gwiazdę trzydzieści siedem razy, zanim się tam dostaniemy.

Cholera! A rok Querencji jest o wiele dłuższy od roku ziemskiego. Czy ich miesiące trwają coś około czterdziestu dni?

– Rozumiem. Dziękuję.

– Czy inni twego rodzaju przybędą wkrótce do wszechświata?

– Ta, do której przemawiali twoi krewniacy, ta, która was poprosiła, byście mnie wpuścili. Ona ich powiedzie. Nadśłuchujcie jej.

– Wszyscy moi krewniacy to robią.

Na te słowa Justine przeszedł lekki dreszcz.

– Chciałabym spać przez resztę podróży.

– Jak sobie życzysz.

– Jeśli coś się zdarzy, obudzę się.

– Co się zdarzy?

– Nie wiem. Ale jeśli coś się zmieni, będę obudzona, by z tobą o tym porozmawiać.

– Zmiana w tym wszechświecie to znalezienie spełnienia. Jeśli śpisz, spełnienia nie znajdziesz.

– Rozumiem. Dziękuję.

Dalszą część dnia spędziła na przygotowaniach. Sprawdziała różne systemy. Załadowała całe serie instrukcji dotyczących przypadków, w jakich smartkor ma ją wybudzić. W końcu musiała przyznać, że to zwykłe zabijanie czasu. Wreszcie, kiedy się już rozebrała, wyłączyła gniazda konfluencyjne, żeby już żaden sen nie wyciekł i nie wywołał zaskakujących zniekształceń rzeczywistości. I nagle myśl, której starała się uniknąć: Kazimir, porzucony na zboczach imitacji Mount Herculaneum. Pozostał z niego tylko wzór w warstwie pamięciowej Pustki. Żyć tak krótko tylko po to, by zostać odwołanym, to nie fair.

Znowu uczynię cię rzeczywistym, obiecała Justine swemu bolesnemu wspomnieniu. Położyła się w szafie medycznej i aktywowała funkcję stazy.

Aramintę obudziły głód i dokuczliwy ból. Leżała na motelowym łóżku senna i ponura. Jasne światło dnia wdzierало się przez żaluzje, ogrzewając zastygłe powietrze. Próbowwała usiąść, ale sztywne mięśnie protestowały. Wszystko ją bolało. Stopy pulsowały bólem. Odwinęła kołdrę i skrzywiła się na ich widok.

– O, Ozzie!

Nie ma co się wylegiwać i uzalać nad sobą. Najpierw musi umyć nogi. Przerzuciła je na brzeg materaca i powoli zdjęła brudne, całkowicie zniszczone ubrania. Trzeba się ich pozbyć.

W pokoju przy łóżku znajdował się węzeł cybersfery tak stary, że prawdopodobnie zainstalowany w czasach, gdy tylko suchy koral przestał rosnąć i przybrał ostateczny kształt. Araminta użyła nowego konta, które założyła sobie w gabinecie Hiszpańskich Naleśników. Stukając w małą klawiaturę, dowiedziała się, że Milowa Głębia nie ma centrum handlowego przy lądowisku, za to w środku miasta na ulicy Stoneline było mnóstwo sklepów, oferujących wszystko, czego potrzebowała. Po kolei wchodziła do quasi-inteligentnych programów zarządzających i składała zamówienia, dodając kolejne zakupy do wynajętej wcześniej usługi dostawczej.

Wodę do kąpieli ustawiła na temperaturę nieco poniżej temperatury ciała, potem usiadła na brzegu wanny i ostrożnie zanurzyła stopy. Odmokły największy brud i zaschnięta krew; stopy wyglądały nieco lepiej. Schły, gdy usłyszała pukanie. Owinęła się w hotelowy płaszcz kąpielowy i pokuśtykała do drzwi. Spodziewała się, że usługa dostawcza to będzie skrzynka kurierska unosząca się na regrawie, całkiem bezosobowa. Tymczasem za drzwiami stała nastolatka o imieniu Janice, w czapeczce z logo firmy dostawczej. Trzymała dwie duże torby naramienne.

Araminta cieszyła się, że jej włosy sterczą w nieładzie, a wytarty

płaszcz kąpielowy ma idiotyczny wzór w biało-czerwone pasy. Nawet gdyby dziewczyna wiedziała wszystko o drugiej Śniącej, nigdy by jej nie rozpoznała w Aramincie.

– Od frontu chyba podjechał Ranto. – Janice wręczyła jej torby.

– Ranto?

– Zamówiła pani jedzenie na wynos w Smokey James? On u nich rozwozi.

– Ach, rzeczywiście. – Nie potrafiła się zorientować, czy Janice czeka na napiwek. O ekonomii Milowej Głębi świadczyło dobitnie to, że usługę dostawców wykonywali ludzie, a nie boty. Pamiętała jednak, jak zaledwie pół roku temu była zależna od napiwków u Nika, więc dała dziewczynie monetę. Słusznie postąpiła, gdyż Janice uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Nie zdążyła zamknąć drzwi, a już Ranto wręczał jej pięć termoplastycznych pudełek z jedzeniem ze Smokey James. I od razu miała dylemat. Zamówiła środki medyczne i musiała jak najszybciej opatrzyć sobie rany, ale zapach dochodzący z pudełek prowokował żołądek, słyszała, jak się w nim kotłuje. Usiadła na łóżku, uniosła nogi nad podłogą i po kolei otwierała pudełka. Znalazła naleśniki w syropie jagodowym ze śmietaną, uniwersalne śniadanie złożone z bekonu wędzonego, jajecznicę z miejscowych czulfowych jajek, smażone ziemniaki, pieczony galow i smażone grzyby. Pudełko z napojami zawierało mrożony sok pomarańczowy i butelkę angielskiej herbaty. Zjadła wszystko, na deser spałaszowała babeczki i wtedy poczuła, że stopy nieco przestały ją boleć. Oczyściła je środkiem antyseptycznym, krzywiąc się, gdyż bardzo ją piekło, potem popryskła sztuczną skórą w spreju, zabezpieczając otwarte rany. Wreszcie zwinęła się w kłębek na materacu i od razu zasnęła.

Obudziła się w ciemnościach nieco zdezorientowana. Coś było nie w porządku i jej podświadomość próbowała się z tym uporać. Nie chodziło o kolejne senne połączenie z Władcą Niebios, nie przypominała sobie, by miała połączenie w czasie ostatniego snu.

Ale przynajmniej nie czuła już głodu. Czas pomyśleć o sobie.

Wanna miała bicze wodne, ale nie działały. Araminta napełniła wannę i wlała pachnące płyny do kąpieli, które sobie kupiła. Gdy woda się lała, Araminta wróciła do węzła cybersfery i pracownicy wstukiwała zapytania na temat Oscara Monroe. Przeszarpały software wydobyl z unisfery listę odnośników. Osiem i pół miliona. Nie spenetrował głęboko zarchiwizowanych baz danych.

- Wielki Ozzie! - westchnęła. Bardzo jej brakowało u-adiunkta, który w pół sekundy podałby informacje w użytecznej formie. Jeszcze przez minutę wklepywała zapytania z nowymi parametrami i filtrami, ograniczając listę do danych biograficznych - zawsze to dobry punkt wyjścia. Liczba wyników wynosiła teraz milion dwieście tysięcy.

W tym czasie wanna się napełniła. Araminta weszła do wody i rozkoszowała się bąbelkami. Brud powoli z niej schodził. Czytanie informacji o Oscarze musiało poczekać. Wiedziała przynajmniej, że Oscar to ktoś ważny. Nie okłamał jej. Wyszła z wanny. Czuła się znacznie lepiej.

Wysypała na łóżko pozostałą zawartość toreb i przeglądała ubrania. Większość pochodziła ze sklepu turystycznego. Praktyczne buty turystyczne sięgały do połowy łydek. Przymierzyła. Nadzwyczaj wygodne. Solidne ciemnobrązowe dzinsy były wodoodporne, co prowokowało interesujące pytania o ich użyteczność na pustynnym kontynencie. Wcisnęła się w prostą, czarną koszulkę, na wierzch włożyła luźny T-shirt w kolorze burgunda. Polarowa, granatowa kurtka przypominała tę, w której Araminta tu dotarła, ale była wodoodporna i zrobiona z półorganicznych włókien zapewniających termoregulację. Użyteczna funkcja, ponieważ nawet w nocy nad Milową Głębą docierały gorące powiewy znad pustyni. Pozostałe akcesoria: plecak, butelka na wodę wraz z ręczną pompką filtrującą, kuchenka słoneczna, scyzoryk wielofunkcyjny, namiocik, rękawiczki, termoregulowalny trykot, pakiet higieniczny, apteczka. Z takim wyposażeniem mogła wędrować wszędzie. Na tę myśl uśmiechnęła się ponuro. Wszystko zamówiła instynktownie. Wiedziała, że Milowa Głębą to tylko przystanek

na drodze, chociaż niewykluczone, że pozostanie na Chobambie.

Przeczesała palcami wilgotne włosy. Znów opadły ją wątpliwości. Siedzieć w motelu i się zamartwiać to nie jest decydowanie o własnym przeznaczeniu. Zapięła kurtkę i wyszła zobaczyć, co miasto ma do zaoferowania w dziedzinie nocnych rozrywek.

Odpowiedź uzyskała po półgodzinnym spacerze wymarłymi ulicami: niewiele. Parę otwartych barów i restauracji oraz kilka wygodnych całonocnych autosklepów dla ludzi o skromnym budżecie. Pięknie położone miejsce o uroczych domach zbyt przypominało Langham, więc nie czuła się tu swobodnie. Małe miasteczko i adekwatny styl życia.

Uwagę Araminty przyciągnęły emocje wynurzające się z gajaszfery. To w barze nad brzegiem jeziora ludzie się z czegoś cieszyli. Fałszywy śpiew dochodził przez otwarte drzwi. W oknach skrzyło się holograficzne światło. Podeszła bliżej. Emisje gajaszfery stały się silniejsze, bardziej wyraziste. Araminta pozwoliła, by obrazy i wrażenia przepływały przez jej umysł, przeżywała przebudzenie Justine w „Silverbirdzie”. W głowie Araminty rozbrzmiewały wątki jej rozmowy z Władcą Niebios. Wrażenie wzmacniała ekstaza barowych gości.

Justine jest w drodze do Makkathranu.

Uświadomiła sobie, kto właściwie jest w barze, i uśmiech zamarł jej na ustach. Wyznawcy Żywego Snu świętowali ostatnie, korzystne wydarzenia. Araminta nie chciała wzbudzać alarmu i zrobiła wszystko, by do gajaszfery nie przedostała się ani odrobina jej gorzkiego rozczarowania. Odwróciła się i szybko wycofała. Nie dziw, że w Milowej Głębi są wyznawcy; przebywali na wszystkich Planetach Zewnętrznych Wielkiej Wspólnoty i nawet Światy Centralne nie były od nich wolne. Co by zrobili, gdyby weszła do baru? Uwięziliby ją czy padli jej do stóp?

Może Justine uda się coś zrobić. Araminta nie mogła sobie przypomnieć dokładnie ostatniego snu, gdy widziała Gore'a i Justine w jakimś pokoju. Muszę zobaczyć pozostałe sny Iniga, dowiedzieć się, co się stało z Edeardem, dlaczego tak wszystkich inspiruje. Muszę zrozumieć, przeciwko czemu wystąpiłam. Wtem

stanęła jak wryta, gdyż jej podświadomość w końcu uruchomiła wspomnienie, które ją dręczyło: displej czasu w węźle unisfery. Nie dbając o to, że może zwrócić na siebie uwagę, pognąła do motelu „Gwiazda na Uboczu”. Ignorując solida ruchu, pędziła przez skrzyżowania.

Zamknęła się w pokoju i włączyła węzeł unisfery. W górnym rogu ekranu migał centralny displej czasu – stale ziemskiego GMT – i wskaźnik wtórny pokazujący czas lokalny. Araminta przestawiła go na czas Viotii, potem na Colwyn City. Wspierana przez klastry wielokomórkowe wykonała obliczenia, potem je sprawdziła. Jeśli się nie pomyliła – a procedury podrzędne w klastrach wielokomórkowych były w zasadzie niezawodne – to od czasu, gdy weszła do Lasu Francola, minęło zaledwie piętnaście godzin. To niemożliwe! Przecież cały dzień i noc trwał mozolny marsz mokrą, zimną doliną, potem dzień w oazie, marsz przez pustynię do Milowej Głębi i sen w hotelu. Czyli marsz przez pustynię plus sen zajęłyby jakieś dwanaście godzin z tych piętnastu.

Jak to możliwe, że wędrówka ścieżkami silfenów praktycznie wcale nie trwała? A przecież nie byłam na ścieżkach cały ten czas. Słodki Ozzie, czy oni manipulują czasoprzestrzenią również na planetach? W takim razie, kto wie dokładnie, gdzie są te planety, w jakim wszechświecie czy wymiarze? A skoro o tym mowa, czy w ogóle są rzeczywiste?

Spojrzała na swoje stopy w otulinie sztucznej skóry. Przecież całymi godzinami gdzieś chodziła. Co się wtedy stało, albo raczej gdzie i kiedy podążała ścieżkami silfenów, nie miało znaczenia. Wiedziała wtedy, że silfeni nie pozwolą jej, by schroniła się na ich ścieżkach i światach. To była wiedza intuicyjna, pochodząca prosto z serca Ostrowa Matki Silfenów.

Muszę się z tym naprawdę sama zmierzyć.

– Do dupy! – Odgryzła duży kawałek batonu czekoladowo-pomarańczowego, który przyszedł w zamówionej paczce, i rzuciła się na łóżko.

Od czego zacząć? Dowiedziała się o Edeardzie i od tego się oczywiście zaczęło. Bardzo chciała znów się zanurzyć w jego

życiu. Czuła jednak, że teraz ważniejsza jest Justine. Araminta spowolniła swoje myśli, stwierdzając z zadowoleniem, że aby osiągnąć stan spokojnej gotowości, konieczny do poważnej interakcji z gajasferą, nie potrzebuje już programu mieszającego Likana. Z drugiej strony myśli Władcy Niebios nie przenosiły się przez gajasferę. Można je było odnaleźć w jakiejś równoległej domenie, myśli pogodne i pozytywne.

– Witaj – powiedziała.

– Zawsze jesteś mile widziana.

– Dziękuję. I dziękuję za przyjęcie naszego emisariusza. Czy to ty towarzyszysz jej do Makkathranu?

– Ja ze swoimi krewniakami. – Niewiarygodne zmysły Władcy Niebios ukazały rozległe, pozbawione gwiazd połacie przestrzeni między mgławicami. Przelatywał przez bezkres, a za nim leciała gromada jego krewniaków, którzy nawoływali się poprzez Zatokę. Wszyscy uradowani, że umysły znów wyłaniają się w Pustce, wielkie, posępne myśli pobudzone niecierpliwym oczekiwaniem.

– Och. Czy wiesz, gdzie ona jest?

– Ta, której szukasz, jest w naszym wszechświecie. Wszyscy mamy tę wiedzę. Składamy za nią dzięki. Wkrótce będą następni. Wkrótce znowu powiemy twój rodzaj do Serca.

– Czy możesz połączyć się z tym, który z nią jest?

– Moi krewniacy rozjechali się po wszechświecie. Większość jest poza moim zasięgiem. Po pewnym czasie spotkam się z nimi, wewnątrz Serca.

– Więc jak się dowiesz, że jedno z nas przybyło?

– Serce to czuje. Wszyscy znamy Serce.

– A niech to! Dobrze, dziękuję.

– Kiedy przyjdiesz? Kiedy tu będziesz ze swoim rodzajem?

– Nie wiem.

Araminta wycofała umysł z połączenia i pozwoliła sobie na przelotne uczucie rozczarowania. Fajnie by było pogadać z Justine. Teraz mogła liczyć tylko na siebie. Coraz bardziej się przyzwyczajała do takiego stanu. Umysłem znów sięgnęła do ludzkiej gajasfery, ukradkowo, jak złodziej przeniknęła do

lokalnego gniazda konfluencyjnego. Myśli zatrzepotały na widok, smak i zapach Edearda. I do mózgu wskoczyło cudowne, leniwe obudzenie na miękkim materacu, gdy świt rozpalał niebo nad Makkathranem. Dotyk pocałunku na policzku Edearda – i fantomowy dotyk powodujący rozkoszne ciarki na plecach Araminty. Nos muska jej ucho. Czuje rękę sunącą po swoim/jego brzuchu; pikantne doznania wywołują jej uśmiech. Jessile chichocze tak blisko i tysiąc lat temu.

– To się nazywa stanąć na powitanie świtu – powiedziała.

Druga dziewczyna też chichocze. Oczy Edearda otwierają się nagle i Araminta patrzy przez jego oczy na jego apartament.

Kapsuła sił Ellezelinu sunęła nad gładką, szybko umykającą powierzchnią Cairns. Bezpośrednio z przodu wyłonił się duży, stary dom o fasadzie z białych łuków wypełnionych fioletowo-srebrnym szkłem. Dookolne balkony wychodziły na basen wabiący migotliwym turkusem. Zadbane formalne ogrody schodziły stokiem na południowy brzeg szerokiej rzeki. Gościnnie, prawdziwy dom – tak wyglądał nawet w mizernym świetle przefiltrowanym przez szare chmury płynące na tle miejskiej kopuły pogodowej Colwyn City.

– Bardzo fantazyjne – mruknęła Beckia, gdy kapsuła osiadała na rozległym trawniku. – Skład budowlany najwyraźniej daje lepsze dochody, niż sądziłam.

– W gospodarce Planety Zewnętrznej przejście w stan multiosoby to sprytny sposób na unikanie podatków – stwierdził Tomansio lekceważąco. – Bovey nie mógłby sobie pozwolić na ten dom, gdyby każdy on płacił podatek dochodowy.

Drzwi kapsuły rozpostarły się.

– Mogę wam ufać? – spytał Oscar cicho.

Zamarli i spojrzeli na niego oboje. Emisje Beckii do gajASFery prychały urazą. Tomansio był raczej rozbawiony.

– Możesz nam ufać – stwierdził, pchając do gajASFery wrażenie serdecznego zaufania.

– Ona was powołała. Bez niej w ogóle byście nie istnieli. I

wszyscy czekacie na jej powrót.

– Elementarny błąd – rzekł Tomansio. – Rozumiemy jej wady, ale nie przebaczymy. Powstaliśmy dzięki jej zdecydowaniu, ale teraz znacznie ją przerośliśmy.

– Relacja uczeń-mistrz, co? – zauważył Oscar.

– Właśnie. W swoim czasie sporo dokonała, ale większość to katastrofa. Jesteśmy chyba jedyną dobrą rzeczą, jaka wynikła z życia Kotki. – Uniósł brwi. – Chyba że rzeczywiście miała dzieci...

W odpowiedzi Oscar uśmiechnął się krzywo.

– Zdecydowanie – podjął Tomansio. – Więc jej dalsze istnienie, aczkolwiek w stazie, jest dla nas komplikacją. Prowadzi do nieporozumień, jak przed chwilą.

– Far Away zbuntowała się, gdy śledcza Myo zaareztowała Kotkę – zauważył Oscar.

– Far Away tak, ale my nie – rzekła Beckia. – W tamtym czasie urosła do symbolu niepodległości Far Away. Jej aresztowanie uznano za polityczny akt represji autorytarnej Wspólnoty wobec rządu planetarnego. Zwróć uwagę, że zamieszki nie trwały długo, ustały, gdy dowiedziano się o potwornościach w Katedrze Pantar.

– Kultuwujemy jednak jej zasady – stwierdził Tomansio. – Respekt dla siły. Od początku nigdy nie złamaliśmy naszego kodeksu. Pozostajemy lojalni wobec naszego klienta bez względu na okoliczności. Nawet Kotka tego nie naruszyła. Na pewno nigdy cię nie zdradzimy. Oscarze, okazałeś najwyższą ludzką siłę, gdy zostałeś męczennikiem, by nasz rodzaj mógł przeżyć. Mówiłem ci już, szanujemy cię prawie tak jak Kotkę.

Oscar spojrział na jego przystojną twarz emanującą prawdą. Emisja Tomansia do gajASFery też wyrażała szczerłość. Oscar miał tylko nadzieję, że jego zażenowanie z powodu tej deklaracji nie jest nadto widoczne.

– W takim razie w porządku.

– Ponadto to nie była nasza Kotka, nie założycielka Rycerzy Strażników. Gdybyśmy już nie mieli zobowiązań wobec ciebie, z wielką satysfakcją bym ją tropił, żeby wykryć, która dokładnie Frakcja zgwałciła naszą Kotkę dla własnych celów. Mówiłeś

chyba, że sklonowali więcej jej egzemplarzy.

– Już nie istnieją – odparł Oscar stanowczo i odszedł od kapsuły. Beckia i Tomansio wymienili uśmiechy i poszli za nim po przystrzyżonym trawniku.

Na spotkanie kapsuły wyszedł z domu pan Bovey, potrójny. Oscar nie spotkał przedtem multiludzi. Nie przypominał sobie nawet, żeby na Orakum coś o nich wspomiano. Stojący z przodu przywódca trójki, czarnoskóry, miał twarz bardziej pomarszczoną niż Oscar. Na skroniach rosło mu kilka siwych pasm. Po jego lewej stał wysoki mężczyzna o azjatyckiej urodzie. Trzeci był nastolatkiem z gęstą blond czupryną. Żaden z nich nie wysyłał nic do gajafery, ale postawą demonstrowali, że są nadzwyczaj uparci.

Oscar natychmiast pożałował, że nosi mundur sił Ellezelinu. Ten widok prowokował każdego obywatela Viotii. Potem pojawiło się głębsze poczucie winy. Przecież nie miał tu wsparcia władzy Ellezelinu – jego protektor był znacznie potężniejszy. Na tym polegała rozterka. Wkraczał siłą i władczo do czyjegoś domu, by żądać współpracy. To był rodzaj faszystowskich represji, które tak wzburzały młodego Oscara Monroe, obudziły jego instynkt polityczny, co z kolei spowodowało, że w college'u przystąpił do Partii Socjalistycznej i w końcu dał się uwieść radykałom. Ta droga zakończyła się tragedią na Stacji Aberdan.

Mówi się: zatoczyć pełny krąg. Ale musimy ją znaleźć. Lekceważąc determinizm, syreni śpiew wszystkich tyranów. Wiem, że nie można pozwolić, by wpadła w ręce frakcji. Cholera, jak Paula może żyć w ten sposób?

– Czego chcecie? – spytał kwaśno pierwszy pan Bovey.

Oscar uśmiechnął się, wypuszczając swoje rozbawienie do gajafery.

– Daj spokój. Wiemy, że ty i ona mieliście romans.

Trzej panowie Bovey patrzyli buntowniczo przed siebie.

– Zrozum. – Oscar szarpnął swoją bluzę. – Ten mundur to bzdety. Nie jesteśmy Żywym Snem. Nigdy nawet nie byłem na Ellezelinie. Pracuję dla ZAN.

– Taaa? A ja pracuję dla raielów – odparli trzej panowie Bovey

jednocześnie. – W takim razie obaj jesteście supertajnymi agentami.

– Widziałem ją w Parku Bodant. Ja i moi ludzie osłanialiśmy ją, żeby mogła uciec. Spytaj ją. To dzięki nam nadal tam jest. O ile nadal jest.

W oczach czarnego pana Boveya błysnęła iskra niepewności.

– Spotkałem Aramintę kilka razy, to wszystko.

– To coś więcej. Daj spokój, człowieku, ona tkwi w gównie po uszy i utonie, jeśli nie dostanie poważnej pomocy z zewnątrz. Więc jeśli wiecie, gdzie jest, powiedzcie, proszę.

– Od wielu dni jej nie wiedziałem.

Tomansio chrząknął znacząco.

– Nie powiedziała ci, prawda? Nie wiedziałeś, że jest Drugim Śniącym?

Pan Bovey patrzył spode łba, żaden z trzech nie spojrział na Tomansia.

– Cholera, to musi boleć. Prawdopodobnie próbowała was chronić – rzekł Oscar.

– Rzeczywiście – powiedział pan Bovey.

– Była przerażona, wiesz o tym. Najechano na tę planetę tylko dlatego, że ona tu mieszka. I jest zupełnie sama. Nie wie, co robi, naprawdę nie ma pojęcia. Jeśli domyślasz się, gdzie mogę ją znaleźć, jeśli masz jakieś wskazówki, to koniecznie musisz mi powiedzieć. Nie wierzysz, wywołaj ZAN, żeby potwierdzić mój status. Inni też jej intensywnie szukają i nie chodzi mi o Żywy Sen. Drugi Śniący stał się teraz ważnym narzędziem politycznym. Jak myślisz, kto wywołał walki w Parku Bodant?

– Masakrę w Parku Bodant – skorygował pan Bovey. – Rozpętałeś masakrę na naszej planecie. Setki poległy.

– To była zaledwie rozgrzewka – stwierdził Tomansio. – Agenci, którzy na nią polują, mają w nosie cywili stojących im na drodze. Odczytanie pamięci to będzie twoje najmniejsze zmartwienie, gdy tamci tu przyjdą. A przyjdą. Wkrótce.

– Myśmy ciebie znaleźli – wtórowała mu Beckia. – Tamci są tuż za nami. Pomyśl. Bądź realistą. Szukają jej najpotężniejsze organizacje Wielkiej Wspólnoty. Najechano waszą planetę,

ponieważ Żywy Sen jest doprowadzony do ostateczności. Czy naprawdę sądzisz, że uda jej się wymknąć nam wszystkim?

– Nie wiem. – Blondyn mówił sam, przez zaciśnięte zęby. – Nie powiedziała mi. Jak mogła przede mną zataić, kim się stała?

– Jeśli cię kocha, to prawdopodobnie próbowała chronić cię przed tym wszystkim – rzekł Oscar. – To było uroczo naiwne, ale ten czas się skończył. Musisz dokonać wyboru. Czy chcesz jej pomóc? Jeśli tak, rozmawiaj z nami. Jeśli nie, uciekaj. Każdy z ciebie musi spróbować rzucić się do ucieczki i modlić się, żeby was wszystkich nie wyłapano.

Trzej panowie Bovey spojrzeli po sobie. Oscar zdawał sobie sprawę, że w domu stoją spokojnie kolejne postacie.

– Daj mi chwilę – powiedział pan Bovey.

– Oczywiście. – Oscar skinął głową ze zrozumieniem. Odsunął się i szeptem spytał swój zespół: – Co o tym myślicie?

– On nic nie wie – stwierdziła Beckia. – Gdyby wiedział, toby jej pomagał. Jest załamany, że się wyrwała. Kocha ją albo uważa, że ją kochał.

– Przychyłam się do tej opinii – powiedział Tomansio.

– Może kilkanaście jego egzemplarzy pomaga jej się ukryć? – zauważył Oscar.

– Trudno mi w to uwierzyć. – Tomansio westchnął niechętnie.

– Czy można zastosować odczyt pamięci multiczłowieka? – spytała Beckia.

– Trzeba by chyba było zebrać ich wszystkich razem – rzekł Tomansio. – I nie wiedziałbyś, że masz ich wszystkich, póki nie byłoby za późno. Multiludzie zawsze mówią wymijająco o tym, w ilu dokładnie są ciałach. To instynktowny, dodatkowy środek ostrożności. Interesująca ewolucja psychologiczna. I tak mamy mało czasu i nie możemy sobie pozwolić na taki luksus. Jeśli ma być użyteczny, musi to zrobić dobrowolnie, i to natychmiast.

U-adiunkt Oscara powiadomił go, że dzwoni Cheriton przez superbezpieczny kanał. Liatris dołączył się do rozmowy.

– Przygotuj się na złe wiadomości – powiedział ekspert gajaszki. – Żywy Sen ją znalazł.

– Cholera – burknął Tomansio, patrząc oskarżycielsko na pana

Boveya. – Gdzie?

– To właśnie jest najciekawsze. Gdy gniazda konfluencyjne złapały ją w Bodant, Żywy Sen cyzelował procedury rezonansu emocjonalnego oparte na dokładnych wzorcach jej myśli. Dzięki upgrade'owi mają pewien rodzaj wrażliwości, która potrafiła wykryć najsłabsze emisje z jej umysłu. I kwadrans temu zaczęła współdzielić Ósmy sen Iniga.

– Po co ona grzebie w życiu Stąpającego po Wodzie akurat teraz? – spytała zirytowana Beckia. – Na litość Ozziego, czy Bodant jej niczego nie nauczył?

– Złe pytanie – powiedział Cheriton.

– Gdzie ona jest? – spytał Tomansio.

– Chobamba.

Zaintrygowany Oscar musiał wezwać listę planet Wspólnoty ze spacji pamięci.

– To sześćset lat świetlnych stąd. To nie może być prawda – protestował. – Szesnaście godzin temu jeszcze tu była.

– Twój ultranapęd dałby radę – stwierdził Tomansio ostrożnie. – Ledwo.

– Znalazła sposób na okantowanie gajASFery – rzekła Beckia. – Na pewno. Jest przecież Drugim Śniącym. To musi dawać jej zdolności, jakich reszta z nas nie ma.

– Cheriton, jesteś pewny? – spytał Tomansio.

– Jesteśmy zamknięci w budynku – odparł Cheriton. – Używam ukrytego przekaźnika, by wejść do unisfery. Gdy gniazda znalazły Aramintę, Mistrz Snu Yenrol dostał świra. Wszyscy Mistrzowie Snu o tym wiedzą; bardzo się starają utrzymać to w tajemnicy. To raczej nie jest oszustwo.

– Do diabła, jak się dostała na Chobambę? – dziwił się Oscar.

– I czy wiedzą, gdzie dokładnie na Chobambie? – pytał Tomansio.

– Jeszcze nie – odparł Cheriton. – Ale to kwestia czasu. To świat Zewnętrzny, Żywy Sen ma tam kilku Mistrzów Snu.

– Czy możesz ją znów ostrzec? – spytał Oscar.

– Nie jestem pewien. Rozważa się zamknięcie gniazd konfluencyjnych Chobamby i odizolowanie Araminty od

gajASFery.

– Głupi pomysł. To ją zaalarmuje i uświadomi jej, co się dzieje – uznał Tomansio.

– Liatris, czy możesz wysłać w unisferę Chobamby ostrzeżenie rozproszone dla Araminty? – spytał Oscar.

– Nie wchodziła do unisfery przez wiele dni. Nie ma gwarancji, że wiadomość do niej dotrze – wyjaśnił Liatris.

– Jeśli ludzie się dowiedzą, cała planeta będzie o tym gadać. Araminta na pewno się zorientuje. Musimy tylko podać informacje do publicznej wiadomości – zaproponowała Beckia.

Tomansio szturchnął lekko Oscara. Pan Bovey najwyraźniej podjął decyzję. Podchodził do nich Bovey ciemnoskóry, dwaj w zadumie stali z tyłu.

– Tak? – spytał Oscar.

– Sprawdziłem w ZAN. – Pan Bovey wydawał się lekko zdziwiony. – Jesteście tymi, za których się podajecie.

– A więc?

Twarz Boveya wyrażała lęk, odzwierciedlony u nich wszystkich.

– Ona nie wie... nie potrafi sobie z tym poradzić. Nikt nie potrafi. Muszę zaufać ZAN. Czy to nie ironia? Bycie multiczłowiekiem miało zastąpić techniczne rozwiązania problemu nieśmiertelności.

– Czy możesz się z nią skontaktować?

– Nie. – Pan Bovey pokręcił głową. – Kiedy tylko się dowiedziałem, próbowałem co minutę. Jej u-adiunkt jest odłączony. Ona nie odpowiada na moje wezwania.

– Wiem, że to bolesne, ale czy jest ktoś jeszcze, do kogo mogłaby się zwrócić?

– Jej kuzynka Cressida, były blisko. Właściwie była jej jedyną przyjaciółką w Colwyn City, zanim się poznaliśmy.

– Wiemy. Ona też zniknęła, ale dziękuję. Jeśli Araminta się skontaktuje, proszę mnie zawiadomić. – U-adiunkt Oscara przesłał panu Boveyowi unisferowy kod dostępu. – I to natychmiast, proszę. Czas jest kluczowy.

– I to wszystko? – zdziwił się pan Bovey, gdy Oscar już zmierzał do kapsuły.

– Proszę się nie martwić, będziemy nadal szukali. Radzę też wziąć pod uwagę zalecenie mojego kolegi i rozproszyć się po mieście. Uczciwie ostrzegam: po nas złożą tu wizytę inni, a my jesteśmy dobrymi facetami.

Pan Bovey patrzył chmurno na zamykające się drzwi kapsuły. Maszyna wzniosła się pionowo, skręciła nad mętną rzekę i poleciała w stronę doków.

– Co teraz? – Pytanie Tomansia wydało się Oscarowi retoryczne.

– Zamierzam się zameldować.

– No i? – spytała Paula, gdy otworzyło się bezpieczne połączenie.

– Znaleźliśmy ją – powiedział Oscar.

– Wspaniale.

– Niezupełnie. Ona jest na Chobambie.

Moment wahania.

– Jesteś pewien?

– Żywy Sen podkreślił swoje gniazda konfluencyjne, chodziło im o uzyskanie przyzwoitego wzorca emocjonalnego, pomocnego w prowadzeniu rozpoznania. Według nich ona jest na Chobambie i dobrze się bawi, odgrywając sen Iniga.

– To nie ma zbyt wielkiego sensu.

– Jak szybko możesz się tam dostać?

– Niewiele szybciej niż ty.

– Przypuszczam, że masz swoje źródła w Żywym Śnie. Jeśli zamierzają ją schwytać, musi być ostrzeżona.

– Najpierw trzeba by ją znaleźć.

– Z pewnością ZAN może ją wytropić. Ktoś musiał zauważyć, że jej statek nadlatuje.

– Miałyby ultranapęd, a to znaczy, że pomogła jej jakaś frakcja. Ale która?

– Zastanawiałam się nad wysłaniem ostrzeżenia do unisfery.

– Tak. To mogłoby się udać. Skonsultuję się.

– Skoro my wiemy, Kotka też się dowie, to tylko kwestia czasu.

– Właśnie. Jeśli ruszy na Chobambę, musisz lecieć za nią.

– O, cholera. Na to się nie pisałem.

– Masz zaufanie do swojego zespołu?

- Myślę, że będą mi wierni.
- Świetnie. Wywołam cię, jak porozmawiam z ZAN. Nawiasem mówiąc, w ciągu godziny Progresywiści znajdą się w gruncie rzeczy przed sądem. Stali za inwazją Imperium Ocisenów.
- Cholera. Naprawdę?
- Tak. Jeśli zostaną uznani za winnych, zauważymy znaczne zmniejszenie napięcia. - Paula zakończyła rozmowę. Tomansio i Beckia patrzyli na Oscara wyczekująco.
- I co twój szef myśli? - spytał Tomansio.
- To samo, co my: to wszystko jest bardzo dziwne. Wracajmy na statek, bo może będziemy musieli pilnie lecieć na Chobambę.

Smukły statek z ultranapędem wyszedł z hiperprzestrzeni pół roku świetlnego od Ellezelinu. W jego kabinie Valean przejrzała dane dostarczane przez czujniki statku. Widziała intruzje egzotycznej materii znamionujące wielkie wormhole, które łączyły Ellezelin z podporządkowanymi mu ekonomicznie planetami tworzącymi Strefę Wolnego Handlu. Wormhole o imponującej skali pochodziły jeszcze z pierwszej ery Wspólnoty, gdy Duże15, czyli planety Wielkiej Piętnastki stały się centrum ekonomicznej sieci łączącej setki światów. Valean sprawdziła ich klasyfikację - rozmiar i moc - i z zadowoleniem stwierdziła, że każdy z nich można wykorzystać do wypełnienia zadania wyznaczonego jej przez Athę. Jednakże najlepiej nadawał się ten łączący z Agrą. Był najnowocześniejszy i sięgał najdalej.

Jak większość długoterminowych Elewatów, Valean użyła bioniki do modyfikacji ciała, osiągając - jak sądziła - bardziej funkcjonalną i użyteczną formę. Teraz, pozbawiona włosów, wyglądała jak osoba wycieńczona; skóra dziwnie szaro opalizowała i tak ciasno opinała szkielet, że widać było wszystkie żebra. Twarde sznury mięśni wystawały butnie, poruszając się jak malmetal. Twarz kontynuowała motyw wychudzenia - zapadnięte policzki i cienki nos o nozdrzach jak skrzela. Gałki szeroko osadzonych oczu połyskiwały lekkim, jednolitym różem. Jediną ozdobę stanowił złoty krąg pod szyją, skomponowany z

ciasno upakowanych nici, które wyglądały, jakby się powoli poruszały.

Stała już dziesięć minut w pozbawionej sprzętów kabinie, gdy jej statek odkrył drobne zakłócenie w polach kwantowych. Inny statek z ultranapędem wyszedł tuż obok z hiperprzestrzeni. Był nieco większy, na jajowatym kadłubie miał opływowe wypukłości. Oba statki, manewrując, połączyły swoje śluzy.

Mariusz wślizgnął się do kabiny Valean, jego toga emitowała smugi ciemności znaczące jego ślad.

– Fizyczne spotkanie ma w sobie coś teatralnego, nie sądzisz? Czy nasze połączenia przez kanały transwymiarowe są nadal bezpieczne?

– Tak – zapewniła go. W uśmiechu odsłoniła rząd małych, błyszczących, mosiężnych zębów. – A jednak uznano, że takie spotkanie mocniej zaakcentuje wiadomość, którą mam ci przekazać.

– To znaczy?

– Twoja nawalanka z Chatfieldem przyniosła niepożądane skutki uboczne, a właśnie wybieram się, żeby większość z nich rozwiązać.

– Paula Myo go namierzyła. Ulokowanie go na Ellezelinie to prosty środek ostrożności.

– A masz jakieś usprawiedliwienie dla Kotki?

Mariusz pozostał niewzruszony.

– Potrafi się zachowywać nieprzewidywalnie. Taką ma naturę. Jak sobie przypominam, jej wydostanie z Kingsvill nie było wyłącznie moją decyzją.

– To nie ma znaczenia. Twoje działania przyniosły niepożądane rezultaty w krytycznym czasie. Teraz jesteś zdegradowany.

– Protestuję. – Gdy to mówił, równocześnie usiłował dzwonić do Ilanthe, ale połączenie zostało odrzucone. Mimo to zachowywał spokój.

Znów błysnęły mosiężne, równiutkie, ostro zakończone zęby.

– To nie ma znaczenia. Twoje nowe zadanie to Dostawca.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknął Mariusz.

– Zbliżamy się do rozmieszczenia, do kulminacji wszystkiego,

czym jesteśmy. Nie można dopuścić, by nam przeszkodzone. Widziano go na Fanallisto. Dowiedz się, dlaczego. Co on tam robi, co planują Konserwatyści? Musimy również wiedzieć, jak agenci pozostałych frakcji zareagują po wszystkim.

- Od zwycięstwa dzielą nas godziny, a ty mnie wysyłasz na jakieś zadupie poza cywilizacją, żebym tropił niekompetentne, półetatowe zwierzę. Nie zasługuję na to.

- Odmowa wykonania polecenia skutkuje ciałoutratą. Gdy Rój się uaktywni, powrót do życia nie będzie dostępny. Sugeruję, żebyś dokonał wyboru.

Ciemne, mgliste macki wyciekały z togi Mariusa i wirowały z niepokojem. Spojrzał wściekle na Valean, przesyłając majestatyczny zalew pogardy przez swoje gajafejsy.

- Prawdziwy powód fizycznego kontaktu, teraz rozumiem. Dobrze. Zastosuję się. Bez całkowitego poświęcenia się naszej sprawie jestem niczym.

- Bez wątpienia.

Mariusz wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i wymknął się do swojego statku.

- Dziękuję - powiedziała Valean do zamykającej się śluzy. Rozkazała smartkorowi, by zabrał ją na Ellezelin.

Kleryk Konserwator Ethan wrócił do owalnego sanktuarium burmistrza w Pałacu Sadowym. Służba Bezpieczeństwa obniżyła poziom zagrożenia częściowo wskutek rozmowy Ethana z ZAN:Władzami. Statek, który przeżył, zachowywał po prostu stabilną orbitę wokół Ellezelinu i zbierał fragmenty pokonanego wroga.

Obsługa podała Ethanowi spóźnioną kolację: grillowane filety z gurelola, ziemniaki z miętą i małe marchewki, do tego musujące białe wino podobne w smaku do wina z Przystani Miłości, jakie Edeard polubił podczas swojego pierwszego życia z Kristabel. Na zewnątrz było ciemno. Przez okna sanktuarium zaglądało kilka gwiazd. Ethan jadł sam przy małym stole, stojącym dość daleko od wielkiego, murdębowego biurka. Na wysokim suficie świeciły

jasnopomarańczowe linie w kształcie płatków. Cienie na ścianach błądy i pokój wydawał się jeszcze większy.

Ethan nalewał sobie drugi kieliszek wina, gdy u-adiunkt zameldował mu, że jest priorytetowa rozmowa z Phelimem.

O, Pani, proszę, nie chcę dziś już więcej złych wiadomości, pomyślał Ethan, zmęczony, przyjmując rozmowę. Nadal oczekiwał połączenia z „przyjacielem” Mariusa.

– Znaleźliśmy ją – oznajmił Phelim.

– Kogo? – Ręka Ethana zastygła, wino nie zdążyło się przelać przez szyjkę butelki.

– Drugą Śniącą. Zlokalizowały ją zaawansowane procedury rozpoznawania wzorców. Współni Jedenasty sen Iniga, uwierzyłybyś?

– Wielka Pani! Jest u was bezpieczna?

– Tu mamy problem. Już nie ma jej na Viotii.

– Cholera. To gdzie jest?

– Na Chobambie.

– Gdzie? – U-adiunkt Ethana natychmiast ściągał dane z centralnego rejestru. – Nie może być – stwierdził Ethan, odstawiając butelkę.

– Dokładnie to samo powiedziałem. Ale procedury działają poprawnie. Mistrz Snu, który je zapuszcza, przysięga, że odczyt jest precyzyjny. Zaczęła współnić Ósmy sen dwadzieścia minut temu.

– Ósmy?

– Tak.

– Dlaczego przeskoczyła do Jedenastego? – Ethan wiedział, że to nie ma specjalnego znaczenia, ale zżerała go ciekawość co do tej tajemniczej Araminty.

– Nie przeskoczyła. Przegląda je liniowo.

– Cztery sny w dwadzieścia minut?! – zawołał zdziwiony.

W pustym sanktuarium rozległo się głośne echo. Rozpamiętywanie pojedynczego snu Iniga zajmowało Ethanowi przynajmniej kilka godzin, i to tylko dlatego, że już go dobrze znał. Wiedzano, że niektórzy gorliwi wyznawcy Żywego Snu spędzali wiele dni w jednym śnie, odżywiając się za pomocą

kroplówki.

– Tak jest. To właśnie mnie przekonało, że odczyt nie jest fałszywy. Jej umysł jest... inny.

– W imię Pani, jak ona się dostała na Chobambę? Przecież w Parku Bodant to była na pewno ona. Potwierdziłeś to.

– Ktoś musiał ją tam zawieźć statkiem. I to z ultranapędem, bo tylko taki jest wystarczająco szybki.

– Więc jedna z frakcji złapała ją i wywiozła z planety. O, Pani, niech będą przekłęci.

– Nieodparty wniosek. Ale to dziwny sposób ukrywania się. Jeśli chciałaby być zupełnie bezpieczna, powinna się udać do Świata Centralnego, gdzie nie mamy kontroli nad gniazdami konfluencyjnymi. Frakcja na pewno o tym wiedziała. Może to jest jakieś przesłanie. Ale jakiej natury – nie mam pojęcia.

Ethan, odchylony do tyłu na krześle, wpatrywał się w sufit. Linie światła rysowały kwiaty, jakich nigdy nie widziano na Querencii ani nigdzie w Wielkiej Wspólnocie. O ile to w ogóle były kwiaty. Edeard zawsze miał nadzieję, że gdzieś je znajdzie, ale nawet jego wielkie podróże w Dwudziestym Ósmym i Czterdziestym Drugim śnie nie zaprowadziły go na lądy, na których takie kwiaty kwitną. A teraz Araminta dostarczała jeszcze większej zagadki.

– Musimy ją mieć. I tyle. Bez względu na koszty – oznajmił Ethan. – Bez niej jedyny kontakt, jaki ludzkość ma z Pustką, to... – zadrżał. – Gore Burnelli. I chyba wiem, jakie jest jego stanowisko.

– Justine nic nie może zrobić – oponował Phelim łagodnie.

– Nie bądź taki pewny. To niezwykła rodzina. Zapoznałem się z ich historią, choć podejrzewam, że bardzo wielu faktów nie umieszczono w żadnych bazach danych. Gore był jednym z założycieli ZAN, wiesz o tym. Krążą pogłoski o jego specjalnych przywilejach.

– Więc co chcesz zrobić?

– Kiedy otrzymasz jej dokładną lokalizację?

– Araminta przebywa w mieście Milowa Głębia, a to pewien problem. Miejsce jest dość izolowane. Nie mamy tam obecnie nikogo godnego zaufania. Mistrzowie Snu zamierzają

przeprowadzić inspekcję gniazda konfluencyjnego i uzyskać dokładne współrzędne Araminty. Nim dowiemy się dokładnie, gdzie ona jest, minie co najmniej godzina. Mam tylko nadzieję, że będzie dostatecznie długo współśniła sny Iniga.

– Czy na Chobambie mamy ludzi, którzy potrafiliby ją do nas doprowadzić?

– Jest tam paru bardzo lojalnych wyznawców. Mogę im ufać. Pragnąłbym zasugerować, żebyśmy wynajęli oddziały ludzi naduzbrojonych w ramach wsparcia. To prawie pewne, że strzegą jej reprezentanci frakcji.

– Jak sobie życzysz. I słuchaj, Phelim, nie chcę drugiego Parku Bodant.

– Nikt nie chce. Ale to prawdopodobnie nie leży w naszej gestii.

– Tak, pewnie masz rację. Proszę, informuj mnie o postępach.

Połączenie z Phelimem zamknęło się. Ethan spojrzał na szybko stygnącą kolację. Odsunął talerz.

– Wyglądasz na strapionego, Konserwatorze.

Zaskoczony odwrócił się na krześle i spojrzał tam, skąd dochodził głos. U-adiunkt Ethana już wzywał pomocy z Gabinetu Bezpieczeństwa.

Kobieta-rzecz wychodząca spokojnie z cienia po drugiej stronie biurka drażniła jego wrażliwość.

– Sądzę, że mnie oczekujesz – powiedziała.

Była naga, więc Ethan tym bardziej ją potępiał. Ciało nie miało żadnych cech płciowych. Jej skóra – rodzaj sztucznej powłoki – wytwarzała szarą warstwę o rozmytej granicy. Znacznie gorsza była figura: jakby narządy wewnętrzne były zbyt małe dla szkieletu i skóra musiała się zawijać wokół każdego zębra. Z oczami było nie lepiej – małe plamy różowej poświaty, które nie zdradzały, gdzie skierowany jest wzrok. Tuż poniżej karku biegł złoty okrąg, z niego wyrastały dwie długie wstążki ciemnoszkarłatnej tkaniny; spowijały ramiona i unosiły się poziomo w powietrzu kilka metrów za kobietą. Falowały z leniwą płynnością pęcherza płodowego.

Przez główne drzwi wpadło pięciu uzbrojonych strażników z uniesioną bronią. Kobieta Elewat przechyliła głowę, podczas gdy

gajasfera ujawniała stalową uprzejmość w jej umyśle.

Ethan uniósł palec.

– Czekajcie – polecił strażnikom. – Czy to Marius cię przysłał?

Wąskie usta rozwarły się, ujawniając błyszczące, metalowe zęby.

– Mariusa przesunięto do innych zadań. Jestem Valean, zastępuję go. Jestem tu, żeby rozwiązać nasz wspólny problem ze statkiem ZAN orbitującym nad waszymi głowami.

Ethan odprawił strażników, sądząc, że długo by nie wytrzymali w starciu z tą kobietą.

– Czego chcesz?

Podeszła do niego. Szkarłatne wstęgi falowały za nią sinusoidalnie. Ethan zauważył, że jej pięty zakończone były zwężającymi się stożkami, jakby obie stopy wyhodowały własne wysokie obcasy.

– Domagam się dostępu do generatora wormholu w Agrze. Proszę, poinformuj załogę operacyjną, żeby w pełni ze mną współpracowała.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zapobiec temu, by agent ZAN odzyskał kolejne fragmenty.

– Nie mogę sobie pozwolić na żaden konflikt z ZAN. Niektórzy w senacie bardzo chcą znaleźć najmarniejszy pretekst prawny, by autoryzować interwencję floty.

– Przypuszczamy, że wkrótce wszelkie tego rodzaju obawy staną się nieistotne. Możesz być pewien, Kleryku Konserwatorze, że nie będzie tu żadnego fizycznego starcia.

– Bardzo dobrze, dopilnuję, byś miała pełny dostęp do wszystkiego.

– Dziękuję. – Pochyliła głowę i odwróciła się w stronę głównych drzwi.

– Proszę, powiedz przywódcom swojej frakcji, że wolałbym mieć do czynienia z Mariusem – rzekł Ethan.

Valean nawet się nie odwróciła.

– Oczywiście, powiem im. – W jej myślach nie było ani śladu ironii, fasada uprzejmości pozostała nienaruszona.

Drzwi się za nią zamknęły. Ethan zrobił długi wydech.

Zrozumiał. Czuł się tak, jakby w końcu mu pokazano, co czeka zagubione dusze, które spadły do Honiousa.

Wstępne analizy chmury szczątków, przeprowadzone przez czujniki, wskazywały na to, że istnieje tam 1312 krytycznych fragmentów, do których zaliczono wszystko o wymiarach ponad pięciu centymetrów. Gdy eksplodował statek Chatfielda, ponad jedna trzecia odłamków została wyrzucona na Ellezelin po trajektoriach, na których spłonęły w atmosferze w ciągu pół godziny. Reszta pędziła szybko na różnych dziwacznych orbitach. Odzyskanie ich to będzie cholerna praca.

Digby był dość zadowolony ze sposobu, w jaki smartkor „Columbii505” przeprowadzał operację zbierania. Zmodyfikowane emisje napędu ingrawowego wyciągały odłamki z ich śmiertelnych trajektorii; czujniki zidentyfikowały kilka cząstek posiadających składniki egzotycznej materii i cały czas tropiły. Elegancki statek o napędzie ultra śmigał, ściągając pierwsze kawałki do ładowni, gdzie zostały umieszczone w polu stabilizującym. ZAN:Władze zapewniły Digby’ego, że w ciągu dziesięciu godzin przybędzie zespół analiz sądowych. Digby bardzo na to liczył, gdyż pola stabilizatora nie były przeznaczone do utrzymywania materii egzotycznej. Sporo rozpadało się na jego oczach i nic z tym nie mógł zrobić.

Nagle egzowizja zaczęła mu wyrzucać ostrzeżenia, jakich nigdy by się nie spodziewał. Bardzo duży wormhol wtargnął w przestrzeń niecałe trzy kilometry przed „Columbią505”.

– Co, do diabła?

Smartkor wykrył kilka kawałków wraku koziołkujących do gardzieli wormholu. Potem wormhol przesunął współrzędne wyjścia i pojawił się znowu pięć kilometrów dalej. Zassane zostały kolejne odłamki. Displeje egzoobrazów pokazały Digby’emu, że normalnie ten wormhol łączy Ellezelin z Agra. Ktoś go irytująco umiejętnie przekierowywał, zagarniając cenne dowody. U-adiunkt Digby’ego połączył go bezpośrednio z planetarną cyberprzestrzenią i próbował wejść do sieci

generatora.

- Została odizolowana – informował u-adiunkt. – Nie mogę nawet uzyskać dostępu do sieci budynku. Ci, którzy tam są, szczególnie się zamknęli.

Czujniki „Columbii505” przeczesaly kompleks generatora na peryferiach Riasi, oddalony o siedem tysięcy kilometrów, już za krzywizną planety. Pole siłowe chroniło cały obszar.

- Co za gówno.

Digby polecił smrtkorowi zakłócić wormholową pseudostrukturę. Strumienie ujemnej energii sięgnęły z napędu statku, usiłując zdestabilizować integralność wormholu. Ale generatory planetarne dysponowały znacznie większą mocą w porównaniu ze statkowymi. Tę walkę Digby musiał przegrać.

- Leć na dół. Szybko – polecił smartkorowi.

Gdy statek zanurkował w atmosferę, Digby wezwał ZAN:Władze i wyjaśnił, co się stało.

- Zadzwońię do Kleryka Konserwatora – powiedziały ZAN:Władze. – Trzeba mu wyjaśnić, że nie może działać przeciwko nam bezkarnie.

Digby miał pewność, że Kleryk Konserwator o tym wie, ale powstrzymał się od uwag. W Makkathranie2 było już dawno po północy, a to znaczyło, że Riasi przeszło przez linię terminatora, wchodząc w światło dzienne. „Columbia505” hamowała z przyśpieszeniem piętnastu g i weszła w stratosferę nad kontynentem Sinkang, na którego północnym wybrzeżu leżała poprzednia stolica. W niższych warstwach atmosfery statek pędził jak drzazga odłupana od gwiazdnej korony. Wyhamował pięćset metrów bezpośrednio nad generatorem pola siłowego wormholu Agra. Hipersoniczna fala uderzeniowa rozbiła wszystkie niechronione okna w promieniu trzech kilometrów. Niczym liście podczas zamieci koziółkowały w powietrzu pobliskie kapsuły regrawu, a ich smartnety uruchomiły zasilanie awaryjne, by je ustabilizować. Lokalny system kontroli ruchu wysyłał do Digby’ego wrzaskliwe ostrzeżenia na wszystkich częstotliwościach. Krążowniki policji metropolitalnej otaczały go, by go przechwycić. Rozesłał globalną wiadomość, którą miały

odebrać wszystkie węzły cybersfery i klaster wielokomórkowy otaczający pole siłowe.

– Do wszystkich w kompleksie generatora: wyłączcie pole siłowe i dezaktywujcie wormhol. Przeszkadzacie w operacji zatwierdzonej przez ZAN. Mam upoważnienie do użycia ekstremalnych środków, by zakończyć waszą niesubordynację.

Nie było odzewu. Nie mogło być. Tego się spodziewał. Tracił tu sekundy na udawanie dobrego chłopca, a tymczasem tam na orbicie wymazywano cenne dowody. Teraz musiał tylko zlikwidować pole siłowe, nie wymazując przy tym połowy miasta.

Osiem wąskich promieni atomowej deformacji dźgnęło ze statku w szczyt kopuły pola siłowego, rozrywając molekuly powietrza w požodze. Potężne wyładowania elektrostatyczne strzelały w falującą atmosferę. Pole siłowe zaczęło się jarzyć bladym fioletem, jakby nabito mu siniaka. „Columbia505” rzuciła klaster sieci, które padły na pole siłowe, wzbijając kwiaty mrocznych zmarszczek. Ciemność wokół nich narastała i rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Po takim ataku przeciążenie było kwestią czasu. Pole siłowe zapadło się i lawina błysków dzikiej energii oraz przegrzanych fal uderzeniowych zburzyła okoliczne budynki. „Columbia505” otrzymała potężny cios, który smartkor próbował odparować i utrzymać stabilność statku ponad kręgiem oślepiających płomieni jonowych, wgryzających się w budynek generatora. Czujniki raportowały, że wormhol jest zniszczony. Digby myślał z niepokojem, ile dowodów zostało dotychczas wessanych.

Pola siłowe Agencji Cywilnej Obrony Ellezelinu nasuwały się nad Riasi – seria wielkich, zachodzących na siebie półkul chroniących dzielnic miasta. Wokół planety pędziło pięć potężnych krążowników Floty Ellezelinu, ostro zakrzywiły trajektorie, by ustawić się nad miastem.

Znad zniekształconego kompleksu generatora pognał w górę statek, przyspieszając do prawie czterdziestu g. Wystrzelił w „Columbia505” zaporowo promienie energii i impulsy zakłócające – statek zaczął wirować bezradnie i Digby’ego

złapała siatka awaryjna. Atmosfera planetarna to dla statku obce środowisko; systemy przeznaczone do walki w kosmicznej próżni nie pracowały optymalnie we mgłę gęstych gazów. Pole siłowe migotało bursztynowo, tryskając skrzącymi się scyntylacjami. Digby miał wrażliwe wewnętrzne uszy i od razu falami zalały go mdłości. Daleko w dole seria fal uderzeniowych napierała na znękane budynki komercyjne i magazyny w Riasi, tworzące szeroko rozlany region międzygwiazdowego handlu.

„Columbia505” ustabilizowała się. Procedury w klastrach wielokomórkowych Digby’ego zneutralizowały uczucie mdłości. Na displejach egzoobrazów zobaczył inny statek mknący przez troposferę; za statkiem ciągnęła się olbrzymia jonowa smuga kondensacyjna.

– Leć za nim! – Digby wydał rozkaz smartkorowi.

Powietrze nad nękanym wstrząsami miastem znów wyło, gdy „Columbia505” przyśpieszyła, ignorując usiłujące ją osaczyć krążowniki. Tamten drugi statek wślizgnął się w hiperprzestrzeń. „Columbia 505” ruszyła w pogoń.

– Jak to?! – spytała Paula, nim Digby całkowicie opuścił układ Ellezelinu . – To były niezwykle ważne odłamki. Teraz większość straciliśmy.

– I tak by nieprędko doszło do analizy kryminalistycznej – ripostował Digby. – Doszedłem do wniosku, że statek frakcji to znacznie lepszy trop. Dużo ryzykowali, żeby zablokować moją operację zbierania dowodów.

– Z tego wynika, że odzyskałeś ważne odłamki.

– Tak to oceniam – podkreślił z naciskiem. Bolał nad tym, że czuje się taki mały. Nikt inny – człowiek, Elewat, Awangard czy normalny – nie potrafił tak jak jego prababka zepchnąć go na pozycje obronne, sprawić, że czuł się marny.

– Rzeczywiście, to twoja ocena. A teraz już zaangażowałeś się w ten pościg. Jak dobre są odczyty czujników?

– Na stałym poziomie. Są oczywiście zamaskowani, ale mimo to mój smartkor potrafi wykryć pewne zakłócenia. Mają dobry

statek, porównywalny ze statkiem Chatfielda.

– W porządku. W podobnych okolicznościach prawdopodobnie postąpiłabym tak samo. Trzymaj się tamtego statku i zobacz, dokąd leci ten reprezentant. Sądowe konklawe ZAN zaczyna się teraz i spodziewam się, że cała Frakcja Progresywiistów zostanie wyłączona w ciągu najbliższych paru godzin.

– Doskonale.

– Mają własne problemy, zwłaszcza taki, że ich agenci i reprezentanci są nadal na swobodzie, tak jak ten, którego gonisz. Podejrzewam, że jeszcze długo będziemy to uprzątać.

– Mamy przynajmniej kompletną listę agentów oraz tego, co robili.

– Tak, to nam powinno pomóc. Daj mi znać, gdy tamten statek dotrze do jakiegoś celu.

– Oczywiście. – Zabezpieczona rozmowa skończyła się.

Digby zmarszczył brwi. Cała misja okazała się niemal porażką. Na wiele pytań nie udało mu się odpowiedzieć. Teraz trzymał się ostatniego możliwego tropu. Bardzo go stresowało to, co narobił w Riasi. Wskutek jego akcji będzie mnóstwo ciałoutrąceń.

Po kwadransie stało się jasne, że statek frakcji zmierza do światów Centralnych. Celem był najwyraźniej Oaktier.

W historii ZAN zwołano tylko jedno konklawe sądowe. Wtedy zajmowano się Frakcją Separatystów, którzy dążyli do rozpadu ZAN. Chcieli pozostać w sekcji wolnej od wszelkiej kontroli i ograniczeń nałożonych przez regulator praw podstawowych, który odgrywał rolę uniwersalnego gubernatora całej konstrukcji. Werdykt większości brzmiał: nie pozwolić na żadną secesję. Byt mający zasoby i kompetencje ZAN, podlegający władzy dogmatycznej ideologii, mógłby stanowić poważne zagrożenie oryginalnego ZAN, nie mówiąc już o całej Wielkiej Wspólnocie. Frakcja Separatystów, w celu segmentacji, w podstępny sposób usiłowała przejąć kontrolę nad quasi-fizycznym mechanizmem podtrzymującym ZAN. To wystarczyło za dowód, że nie można ufać ich zapewnieniom, że będą

spokojnie ewoluować w jakimś odległym zakątku galaktyki. Na tym konklawe ujawniło się wiele innych programów, których ideą była zachęta do postfizycznej transcendencji.

Jak poprzednim razem, również teraz ZAN:Władze stworzyły sferyczny amfiteatr o średnicy połowy średnicy Ziemi. To niezbędny rozmiar, by pomieścić objawione formy każdego indywidualnego umysłu wcielonego w strukturę ZAN. Po ogłoszeniu konklawe sądowego umysły pojawiły się w ciągu sekund, materializując się w wielkiej, zakrzywionej skorupie; stworzyły skupiska z członkami własnej frakcji lub mniejsze grupy z przyjaciółmi czy z krewnymi. Ilanthe – mianowana przedstawicielka Frakcji Progresywistów – unosiła się pośrodku sfery. Przybrała swoją pierwotną reprezentację pozbawioną cech szczególnych kobiety o zmiennej, srebrnej skórze. Tylko twarz zachowała pewne cechy charakterystyczne – długą żuchwę i mały, elegancki nos. Jej oczy pochłaniały czerń horyzontu zdarzeń.

– Dziękuję za przyjęcie zaproszenia – zwróciły się ZAN:Władze do zebranych.

Ilanthe dokonała losowego przeglądu zgromadzenia; zauważyła rozmaite postaci i kształty. Ponad połowa zachowała postać ludzką, reszta zaś zdecydowała się na różne kształty i kolory: maleńkie sfery światła, rój ech neuronowych lub proste, lecz złowieszcze czarne piramidy radykalnej Frakcji Izolatorów. Jedną z ludzkich postaci był Nelson Sheldon; przyglądał jej się ze swobodnym lekceważeniem osoby, która zwyciężyła w grze. Nigdzie nie widziała Gore’a Burnelliego, co zaniepokoiło ją bardziej, niż powinno. Ciągle nie rozumiała, jak stał się Trzecim Śniącym; jego umysłowość musiała mieć z gajasferą jakieś prywatne połączenie poza ZAN, czego Ilanthe nie mogła pojąć. Teraz i tak to nie miało znaczenia.

Jej w pełni rozciągnięta umysłowość (nadal zakotwiczona w kompilacji Progresywisty) traktowała skład sędziowski z dozą rozbawienia, zwłaszcza że jakaś infinitezymalna część jej własnej umysłowości stanowiła ZAN:Władze, więc de facto ona osądzała samą siebie.

– Zgromadziliśmy się tu, by zrecenzować działania Frakcji Progresywiistów – kontynuowała ZAN:Władze. – Są oskarżeni o zdradę stanu.

Parowie zachowali spokój, czekając na repozytoria informacyjne zawierające dowody od ZAN.

– Czy chcesz coś powiedzieć? – pytały ZAN:Władze Ilanthe.

– Istniejcie po to, by dać nam istnienie, które działa na rzecz rozwoju intelektualnego i ewolucji, a mimo to wyznaczacie ograniczenia, jeśli chodzi o wprowadzenie tego rozwoju w faktycznej czasoprzestrzeni. Teraz oskarżacie, gdy próbujemy osiągnąć to, do czego zachęca wasza fundamentalna natura. Wyjaśnijcie tę sprzeczność logiczną.

– Wszystkie jednostki we mnie mogą swobodnie przełożyć swoje cele na fizyczną i postfizyczną rzeczywistość – odparły ZAN:Władze. – Wiecie o tym. Nie mogę pozwolić natomiast, by te cele zostały narzucone mniejszości, która się z nimi nie zgadza. Kiedy i czy dokonamy transformacji do stanu postfizycznego, zostanie uchwalone przez aprobatę większości.

– W teorii brzmi dobrze. Ale zupełnie nie można zaakceptować ograniczeń, jakie nakładacie na tych z nas, którzy są gotowi do transcendencji. Osiągniemy nasz cel na własną rękę.

Prymarna świadomość Ilanthe wycofała się do centrum kompilacji Progresywiistów, gdzie oczekiwał rdzeń inwersji. Procedury podrzędne przejęły jej manifestację w amfiteatrze zgromadzenia, produkując odpowiedzi na pytania ZAN:Władz.

Kulisty rdzeń inwersji migotał barwą ciemnego metalicznego indyga, jego powierzchniowa kohezja marszczyła się lekko, gdy pasma siły egzotycznej nadającej strukturę jego granicy zaczynały się rozłączać od kwantowej pseudotkanki, która była strukturą ZAN.

– Alfowi sojusznicy Floty Imperium Ocisenów byli animowani procedurami myślowymi Donalda Chatfielda – rzekły ZAN:Władze. – On jest jednym z waszych agentów w Wielkiej Wspólnocie. – W amfiteatrze wyskoczyła nagle wielka gromada repozytoriów informacyjnych i osiadła na widzach. Tylko Nelson Sheldon nie zadawał sobie trudu, by dostać się do informacji.

Wszyscy inni uważnie przeglądali zapisy z przechwycenia Kazimira, z przesłuchania elektronicznego oraz analizy komunikacji między alfami. Nasuwały się nieuchronne wnioski.

Umysłowość Ilanthe zmieniła siedzibę ze struktury ZAN na rdzeń inwersji. Była całkowicie niezależna po raz pierwszy, odkąd trzysta dwadzieścia siedem lat temu się załadowała.

– Co robisz? – pytały ZAN:Władze, gdy odkryły, że się z nich wycofała.

– Domagam się prawa, do którego egzekucji zostaliście powołani – odparły procedury podrzędne, które się manifestowały w amfiteatrze.

– Nie możesz funkcjonować oddzielona wewnątrz mnie. Będziesz po prostu izolowana, aż twoja pierwotna tożsamość znów dołączy do mojej struktury. Do tego czasu żadna interakcja z żadną moją częścią nie będzie dozwolona. W praktyce oznacza to, że umieszczasz się w stazie.

– Doprawdy?

– Twoja frakcja usiłowała manipulować Żywym Snem, żeby zapewnił wam dostęp do Pustki – to zostało uznane za bezprawne – ogłosili ZAN:Władze.

Podstawowe prawo, na którym została wzniesiona cała struktura ZAN, zaznaczyło swój autorytet, odsłaniając kolektywną pamięć członków Frakcji Progresywistów. ZAN natychmiast zauważył luki, gdzie całe segmenty zostały wymazane, a informacja przekazana do umysłowości Ilanthe. Wszystko inne pozostało na miejscu: działalność agentów, wyhodowanie niezależnych alf, mających przekazać Ocisenom poufne informacje, potrzebne do wystrzelenia floty inwazyjnej. Przyczyn brakowało. ZAN mógł się zapoznać z tym, w jaki sposób Ilanthe zdominowała frakcję; Ilanthe miała obsesję na punkcie Pustki i jej potencjału i ta obsesja wyparła wszystkie inne cele – przyspieszyć ewolucję człowieka. Ujawnione zostały tajne zakłady produkujące hardware dla agentów. Istniała jedna stacja orbitująca wokół czerwonego karła – nie było o niej żadnych zapisów. ZAN zbadał, jak Ilanthe przekierowała wszystkie zasoby i potencjały frakcji w ZAN, by wzmocnić centrum kompilacji

Progresywiści: stworzyć rdzeń inwersji, który zamierzali połączyć z jądrem Pustki.

Brakowało jeszcze zbyt wielu elementów, by określić, jaka za tym stała strategia. Całość – ostateczna esencja Frakcji Progresywiści, wisiała w rdzeniu inwersji. ZAN obserwował, jak rdzeń oddziela się od wszelkich kontaktów ze strukturą. A jednak ciągle ten obiekt zachowywał swoją integralność w ramach całej subkwantowej struktury. Nie całkiem rzeczywisty.

– Niniejszym Frakcja Progresywiści zostaje zawieszona – oznajmiały ZAN:Władze wobec zgromadzonych.

Procedury myślowe każdego indywiduum wchodzącego w skład Frakcji Progresywiści zostały natychmiast zakończone, przeniesione w stan zamrożenia w strukturze, gotowe do edycji, która usunie nielegalne fragmenty i nałoży ograniczniki mające powściągnąć przyszłe działania.

Nic z tego nie naruszyło rdzenia inwersji. ZAN nie mógł znaleźć punktu wejścia. Progresywiści skonstruowali je bez prawa podstawowego, obeszlili zwierzchnictwo ZAN, co było niepokojące. Ich wiedza na temat egzotycznych struktur kwantowych była nadzwyczaj zaawansowana. Prawdopodobnie uzyskali ją od ludzi w rodzaju Trobluma, którzy badali mechanizmy Ciemnej Fortecy. Badanie ujawnionych teraz pamięci frakcji wykazało, że osiemdziesięciu siedmiu jej naukowców służyło we flocie podczas misji do Alfego Dysona. Ich odkrycia nie były dostępne.

ZAN wyłączył całą kompilację Progresywiści na wszelki wypadek, gdyby jednak przeoczył jakieś połączenia. Zostawił rdzeń inwersji – samopodtrzymujący się i prawdziwie niezależny.

– Jaki jest wasz cel? – spytał ZAN.

– Totalna ewolucja – odparła Ilanthe. – Nigdy tego przed wami nie ukrywałam.

– Wasze dotychczasowe akcje stworzyły niesłychane zagrożenie nie tylko dla Wspólnoty. To nie może pozostać bezkarne.

– Odrzucam was i waszą władzę – stwierdziła Ilanthe.

Rdzeń inwersji wywarł egzotyczną siłę na dookolną, zapadającą się strukturę. ZAN czuł, że jego konstrukcja niepokojąco się odkształca. Daleko nad orbitą ziemskiego Księżyca czasoprzestrzeń skręciła się poważnie, deformując fotony do sferycznego wiru, zasysając światło jak mały horyzont zdarzeń.

– Zaprześć tej akcji – ostrzegł ZAN.

Dziesięć statków wojennych klasy Capital, w misji do Układu Słonecznego pognało w stronę punktu napięcia czasoprzestrzeni; gładko wysunęły się z hiperprzestrzeni, by wziąć namiary na anomalię. ZAN otworzył link do Kazimira, który już był w Światach Zewnętrznych.

– Domyślasz się, co to jest? – spytał Kazimir.

– Przypuszczam, że rdzeń inwersji zawiera niektóre z moich własnych funkcji, jeśli właśnie to zamierzali stopić z Pustką. Nadzwyczaj sprytnie stworzyli wewnątrz mnie swój system. Jeśli we mnie jakaś osoba lub frakcja coś dla siebie wytwarza, stosując się do tego prawa podstawowe, ponieważ są prostym przedłużeniem szczeliny kwantowej, którą jest moja struktura. Właśnie w ten sposób utrzymuje się moja integralność. Jednak w tym wypadku ominięto moje prawa podstawowe. To nie jest część mnie.

– Będę tam za piętnaście minut.

– Ciesz się. Chociaż nie sądzę, by Ilanthe usiłowała mnie zniszczyć. Jeśliby spróbowała, przekonałaby się, że to nadzwyczaj trudne. Są pewne poziomy, których nigdy nie zastosowałem.

Rdzeń inwersji zwiększył poziom siły, którą wywierał. ZAN uświadomił sobie, że pola kwantowe, w jakich był zanurzony, zaczynają się rozdzielać, gdy załamywała się ich spójność. Czasoprzestrzeń pękała.

Zmysły dostępne granicy rdzenia inwersji zarejestrowały, że pada na niego światło gwiazd.

– Już nie możesz mnie ograniczać – rzekła Ilanthe.

Światło gwiazd stawało się silniejsze, poskręcane dziko, gdy wlewało się przez głęboką rozpadlinę rozwierającą się wokół rdzenia inwersji. I nagle rdzeń, swobodny, wyłonił się w

czasoprzestrzeni, gdy szczelina się zapadła. Ziemia ukazała się jako wspaniały srebrnobiały rogal pół miliona kilometrów dalej, a gładkie równiny odwrotnej strony Księżyca migotały z boku. Statki klasy Capital przyśpieszyły gładko w tamtym kierunku. Ilanthe poczuła, jak jej bronie się ładują i ustawiają na cel. W mniej niż pół sekundy rdzeń inwersji przeszedł z podksiężycowej orbitalnej prędkości do 0,99 prędkości światła.

– Co chcesz zrobić? – spytał Kazimir.

Mijał błyskawicznie pas kometarny Oorta, który wyznaczał granice Układu Słonecznego. Z zainteresowaniem śledził pościg. Statki klasy Capital wpadły do hiperprzestrzeni, gdy rdzeń inwersji pędził z niewiarygodną prędkością. (Niepokojąco kojarzyło się to z Władcą Niebios). Miały pewne problemy z dopasowaniem prędkości, gdy się wyłoniły, powielając swoją prędkość jako część wektora wyjścia. Potem, gdy znacznie zbliżyły się do rdzenia, on po prostu się zatrzymał, w jednej chwili tracąc prędkość relatywistyczną. A statki wojenne pognały dalej. Rdzeń natomiast znów przyśpieszył, zmieniając nieco trajektorię, a statki nie miały wyboru: musiały ponownie nurkować w hiperprzestrzeń. Jakakolwiek potyczka będzie niezwykle trudna. A one nadal nie wiedziały, jaki jest prawdziwy potencjał rdzenia.

– Ilanthe nie dała nam wyboru. Proszę, przechwyć ją i skasuj ten obiekt.

– Dobrze.

Kazimir wydał rozkaz, by statki klasy Capital przerwały działania bojowe. Zamanifestował kilka funkcji w czasoprzestrzeni, jego sygnatura energii idealnie pasowała do prędkości rdzenia inwersji. Próbował je zanalizować – dostrzegł tylko niewiarygodnie złożony węzeł sił egzotycznych. Nie miał czujników niezbędnych do interpretacji jego przecięcia z polami kwantowymi. Znalazł się więc w zaskakującej sytuacji: nie wiedział, jaką agresywną funkcję rozlokować przeciw rdzeniowi.

Rdzeń inwersji znów się zatrzymał. Dwadzieścia milionów

kilometrów od Marsa. Sygnatury energii Kazimira bezbłędnie wyznaczały położenie. Wizualnie rdzeń przypominał kulę z czarnego szkła, której wewnątrz nękały fioletowe scyntylacje. Ciepłota w ogóle się nie dała zarejestrować, natomiast czujniki egzotycznej energii ujawniły warstwę brzegową materii negatywnej w jakiś sposób splecionej z fluktuacjami kwantowymi niesamowitej mocy.

– Flota odstrasza, jak mniemam? – powiedziała Ilanthe spokojnie.

– Tak – potwierdził Kazimir.

– Jestem pod dużym wrażeniem.

– Niechętnie użyję funkcji uzbrojenia przeciw tobie. Jesteśmy ciągle w Układzie Słonecznym. Mogą być zniszczenia.

– Nie u mnie. Ale to nie jest twoje bezpośrednie zmartwienie.

– Zapewniam cię, że jest. Jeśli jednak stanie się to konieczne, użyję siły. To koniec waszej rebelii. Przyjmijcie to do wiadomości.

– Uważałeś, że ukartowaliśmy twoje rozlokowanie, bym mogła bezpiecznie się pojawić.

– Oczywiście wniosek.

– Ale nieprawdziwy. Proszę, przeskanuj przestrzeń w rejonie Słońca.

Spójrzaj za siebie, stary, książkowy fortel, ale prawie zawsze wypowiedany przez stronę mającą przewagę. Kazimir zatrzymał swoją sygnaturę energii tam, gdzie była, ale zmanifestował kilka funkcji czujnikowych dalekiego zasięgu. Poszukiwał maskowanych hipernapędów. Osiem tysięcy jeden w transwymiarowej stazie otaczało Układ Słoneczny w promieniu czterdziestu jednostek astronomicznych.

– Co to takiego? – spytał.

– Nazywamy to Rojem – wyjaśniła Ilanthe. – Są tu, żeby położyć kres ingerencji ZAN.

– Muszę się do nich dostać – powiedział Kazimir ZAN-owi. – Nie podoba mi się ta formacja.

Funkcje czujnikowe obserwowały, jak jeden z hipernapędów wystrzelił w stronę rdzenia inwersji z wielką szybkością, nawet jak na ultranapęd. Pozostałe osiem tysięcy wyskoczyły z

hiperprzestrzeni, gdzie przebywały, i zmateriałizowały się w czasoprzestrzeni jako wielkie sferyczne pola siłowe, o orbitach dokładnie otaczających Układ Słoneczny.

Wszystkie statki floty chroniące Układ Słoneczny pomknęły ku Ziemi, łącząc się w formację obronną, rozciągającą się poza orbitę księżyca. Platformy broni, przez dekady zamaskowane na wysokiej orbicie, ujawniły się teraz, by dołączyć do nadzwyczajnego szyku siły rażenia wycelowanej w Rój. Na całej planecie pola siłowe się ładowały, osłaniając pozostałe miasta. Każdy, kto się znalazł poza obszarem zurbanizowanym, był natychmiast teleportowany w bezpieczne miejsce. Sama T-sfera została zespolona w organizację obronną – momentalnie przemodelowując czasoprzestrzeń, gotowa była odeprzeć atak energetyczny przeciwko planecie.

Lizzie była w kuchni, gdy ogłoszono alarm. Właśnie podnosiła z wielkiego żelaznego pieca duży garnek z wrzącym rosółem, gdy w jej egzowizji wyskoczyły jakieś nieznane ikony. Procedury podrzędne zidentyfikowały je i pchnęły wyjaśnienie do świadomości Lizzie. Nagle aż nazbyt wyraźnie wiedziała, co się dzieje na obrzeżach Układu Słonecznego.

– Ozzie, ale cholera! – burknęła.

Odstawiła gorący garnek na piec. Całe wydarzenie było tak niezwykle, że nie wiedziała, jak zareagować. Wtedy zadziałały jej podstawowe instynkty rodzicielskie.

Mała Rosa chichotała w salonie; bawiła się jakimiś reaktywnymi kulami: gdy zderzała je ze sobą, rozlegała się muzyka, a Rosa klaskała, gdy kule toczyły się po antycznym dywanie. Radośnie się uśmiechnęła na widok wbiegającej mamy.

Pediatryczny bot domowy, unoszący się przy dziecku, gładko się przesunął, gdy Lizzie pochwyciła córkę.

– Chodź – powiedziała i zaczęła wprowadzać swoje współrzędne do T-sfery.

W tym momencie agencja obrony ogłosiła, że za minutę T-sfera nie będzie dostępna dla cywili.

Lizzie teleportowała się do szkoły. Rosa krzyczała zachwycona nagłym skokiem.

– Dobrze, dobrze! – wołała.

Klasa, w której się wynurzyła, miała kształt szerokiego okręgu nakrytego spłaszczoną kopułą. Długie, zawieszane okna wychodziły na zielone tereny sportowe Parku Dulwich. Na dworze padało. Wewnątrz było dwadzieścioro dzieci podzielonych na trzy grupy. Nauczyciele wydawali się wystraszeni. Lizzie rozglądała się, gdy czasomierz zaczął odliczać jej jedną minutę. Elsie należała do grupy czytającej. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do matki.

Do klasy wpadło dwoje kolejnych rodziców. Lizzie oceniła, że są równie zaniepokojeni jak ona. Skinęła nerwowo do Elsie, która ruszyła ku niej. Pojawiła się kolejna piątka rodziców. W obszernej klasie robiło się coraz tłoczniej.

Tilly była w grupie muzycznej. Opierając wygodnie podbródek na skrzypcach, ćwiczyła wesołą piosenkę na Boże Narodzenie.

– Chodź tu – powiedziała Lizzie, gdy Elsie znalazła się u jej boku. Zostało dwadzieścia sekund. Kątem oka Lizzie zobaczyła jedną z matek wyskakującą z synem w objęciach.

– Co się dzieje? – spytała Tilly.

– Do mnie! – powiedziała Lizzie błagalnym głosem.

Przed nią zmaterializowała się dwójka dorosłych, którzy rozpaczliwie wyciągali z grupy swoje pociechy. Dzieci okazywały coraz większy niepokój, gdy pojawiali się kolejni zdenerwowani rodzice.

Przydreptała Tilly, ciągle przyklejona do skrzypiec. U-adiunkt Lizzie rejestrował rozmowę z mężem.

– Nie teraz – mruknęła.

Wyznaczyła dom jako współrzędne teleportu. Tilly już przy niej była. Zostało dziewięć sekund. Na chwilę pustka kontinuum translacyjnego mignęła wokół nich, gdy Lizzie i dzieci wyskoczyły.

Zszokowana zaszlochała, gdy zmaterializowali się w holu domu.

– Co to? – spytała markotnie Elsie. – Co się dzieje? Mamo? – Szarpała ją za spódnice.

– Nie wiem dokładnie – odparła Lizzie, próbując równocześnie zrozumieć to, co agencja obrony podaje na displejach.

Agencja nie podawała żadnych szczegółów na temat urządzeń, które okrążyły Układ Słoneczny. Wtedy T-sfera przełączyła się ze standardowego użycia i wszyscy na planecie byli pozostawieni samym sobie w swych bieżących lokalizacjach. Lizzie poleciła u-adiunktowi, by przyjął rozmowę z mężem.

– O, Ozzie, dzięki! – zawołał. – Gdzie są dziewczynki?

– Mam je tu – uspokoiła go dumna z siebie, że tak szybko i poprawnie zareagowała. – A ty gdzie jesteś?

– Na statku. Osiem minut od kosmoportu na Gralmond.

– Czy rozumiesz, co się dzieje?

– Niezupełnie. To frakcje ZAN, ich walka przeszła do przestrzeni fizycznej.

– Ale przecież Ziemi nie zrobią nic złego? – Nie chciała puścić dzieci. Na zewnątrz deszcz zniknął z szarego londyńskiego nieba, gdyż kopuła pola siłowego osłaniała miasto.

– Tu nie o to chodzi. Posłuchaj, będę z wami, jak tylko...

Rozmowa urwała się. Dziwne symbole wskakiwały w jej egzowizję, pokazując problemy z przekierowaniem połączenia.

W unisferze? To niemożliwe!

– ...gdy wyląduję. Potem będę...

– Coś jest nie tak – wykrztusiła.

– ...trzymaj się! Będę tam, obiecuję...

– Połączenie zepsute – raportował u-adiunkt.

– Jak może się zepsuć?! – krzyknęła.

– Padają połączenia wormholowe ze Światami Wspólnoty – mówił u-adiunkt.

– O, wielki Ozzie! – Lizzie poszła szybko do oranżerii, ciągnąc ze sobą dziewczynki. Próbowała coś zrozumieć z ikon alarmowych atakujących jej egzowizję; spojrzała w ponure niebo, wypatrując znaków końca świata.

Sygnatury energii Kazimira zatrzymały się dziesięć kilometrów od jednego z komponentów Roju. Zamanifestował szeroką

matrycę funkcji czujnikowych, ale żadna z nich nie była w stanie spenetrować pola siłowego o średnicy pięciuset metrów, unoszącego się spokojnie w przestrzeni.

– Cholera, zdobyli technologię Ciemnej Fortecy – powiedział do ZAN.

Daleko za nim statek Akceleratorów wypadł z hipernapędu tuż przy rdzeniu inwersji. Jak na ultranapęd był duży, a skanowanie dalekiego zasięgu ujawniło mnóstwo broni na pokładzie. W tylnej sekcji otworzyły się drzwi ładowni i rdzeń inwersji z wdziękiem się tam wślizgnął. Potem otoczyło go pole siłowe równie nieprzenikalne jak to, z którym Kazimir się już skonfrontował.

Bardzo mu zależało na przechwyceniu statku Frakcji Progresywistów, ale ponieważ Ziemi i ZAN-owi groziło nieznanie niebezpieczeństwo, zadanie Kazimira było jasne. Zamanifestował kilka funkcji broni wysokiego poziomu i wystrzelił w pole siłowe bezpośrednio przed sobą. Wszystko, czego użył, było po prostu odchylane. Pole siłowe okazało się całkowicie nieprzeniknione dla każdego ataku, jaki mógł wyprowadzić w czasoprzestrzeni i hiperprzestrzeni.

– Wormhole do światów Duże15 zapadają się – raportował ZAN. – Coś je odcina.

Kazimir przebadął intruzje materii egzotycznej, ciągnące się od Ziemi do gwiazd. Stwierdził, że poddane są olbrzymim zakłóceniom i to jest przyczyna ich kurczenia. Choć wiedział, że ingerencja ma początek w Roju, zamanifestowane funkcje czujników nie potrafiły wysledzić natury tych zakłóceń.

Statek Frakcji Progresywistów, mający w ładowni rdzeń inwersji, ruszył z prędkością nadświatlną. Pomknął przez Układ Słoneczny z prędkością siedemdziesięciu ośmiu lat świetlnych na godzinę. Za nim błyskała jego sygnatura energii. Kazimir zamanifestował niezwykle silne funkcje manipulacji energii egzotycznej, ale nie mógł przebić się przez pole siłowe, by unieruchomić tamten silnik. Zaczął manifestować pewne funkcje, które miały rozerwać pola kwantowe wokół statku i wypchnąć go z hiperprzestrzeni. Statek przeszedł przez orbitę Roju.

Kazimir był z tyłu w odległości mniejszej niż dwie sekundy. Było za późno. Pola siłowe otaczające komponenty Roju ekspandowały z nadświetlną prędkością.

Sygnatura energii Kazimira zderzyła się z nieprzenikalną, wyraźną barierą, biegnącą przez czasoprzestrzeń i hiperprzestrzeń. Nie mógł się przez nią przedostać.

Minutę świetlną za polem siłowym „statek” wypadł z hiperprzestrzeni. Sensory hiperprzestrzenne odnotowały pojawienie się za rufą rozległej, jednolicie czystej tarczy. Krzywizna tarczy świadczyła o jej promieniu: czterdzieści jednostek astronomicznych. Na powierzchni nie było żadnych śladów naprężeń ani zniekształceń. Kazimir używał różnych broni, ale nie zdołał się przedostać przez tarczę. Neskia pobrała do swojej egzowizji dane z czujników wizualnych „statku” i z napięciem obserwowała obraz, gdy czasomierz odliczał w dół. Po minucie gwiazda dużej magnitudy, którą było Słońce, zniknęła wraz z gwiazdami na połowie kosmosu.

– Nic się przez to nie przedostaje – stwierdziła Neskia. – Uważam, że jesteśmy bezpieczni.

– Ta flota odstraszająca to sprytny pomysł – przyznała Ilanthe. – Szczelinowa sygnatura energii, która może się wtłoczyć do czasoprzestrzeni. W bezpośredniej walce ogniowej „statek” nie miałby szans. ZAN był bardziej zaawansowany, niż sądziliśmy.

– Kolejny powód, żeby go zostawić za sobą – powiedziała Neskia lekceważąco. – Miał tyle potencjału i zmarnował to.

– Właśnie.

– Dokąd lecimy?

– Na Ellezelin. Mam nadzieję, że nasi agenci są bliscy odzyskania Araminty?

– Owszem.

„Statek” znów wślizgnął się w hiperprzestrzeń i ruszył z umiarkowaną prędkością pięćdziesięciu pięciu lat świetlnych na godzinę. Ponura sfera za nim, w której uwięziony był Układ Słoneczny, załamywała delikatne światło gwiazd padające na jej

powłokę – rzekłbyś: głębokie leśne jezioro strzeże swojej zawartości w idealnie izolowanej ciemności.

Szesnasty sen Iniga

Edeard już po raz piąty obserwował, jak siły milicji okrążają ukrytą dolinę. Poprzednio popełnili wiele pomyłek: ich georły wykryto, szybkołisy poturbowały pierwszych wchodzących do doliny milicjantów, bandyci kontratakowali bronią z nieznanego schowka, zapalczywi oficerowie nie wykonywali dokładnie rozkazów i pozwolili Gilmornowi na zebranie swych ludzi. Zawsze zbyt wielu zabitych. Za każdym razem Edeard resetował wszechświat do uprzedniej nocy i próbował załagodzić problemy.

Po poprzednim resecie był pewien, że przewidział wszystko, a wtedy gangsterzy wydobyli szybkostrzelne karabiny z kryjówki, której nie odkrył w poprzednich trzech próbach. Żołnierze wzmocnili osłonę, łącząc się trzecimi rękami. Mimo to posiekano ich na kawałki, zanim Edeard zdołał do nich dotrzeć. Tak więc...

W tej iteracji przez dwie godziny zaraz po północy Edeard, niewidzialny i niewyczuwalny, przeszukiwał dolinę. Zniszczył drugą, ukrytą przez bandytów partię szybkostrzelnych karabinów. Zabrał również karabiny ogłuszonych wartowników. Ze względów politycznych było ważne, by milicjanci sądzili, że bandytów pokonali samodzielnie: Edeard i Finitan chcieli, by szybkostrzelne karabiny uznano za legendę. Teraz z pagórka pół mili od doliny Edeard obserwował, jak światło przedświt u wolna zalewa mgławicę. Najpierw Buluku – jej falujący strumień bladego błękitu zanikł tuż nad wschodnim horyzontem, jakby pochłaniała go rozwierająca się ziemia. Taka wizja przemawiała do Edearda. Dolina wybrana przez bandytów na ostatnią redutę stanowiła szczelinę w falistym stepie. Step – najbardziej wysunięta na południe część prowincji Rulan – ciągnął się aż do niskich, mających w oddali gór prowincji Gratham. Nietrudno można było wyobrazić sobie dolinę jako szczelinę przecinającą cały świat.

Wysoko w górze pobrużdżone szkarłatem Morze Odyna przygasało. Edeard dalwzrokiem widział jak, żołnierze regimentów Pholasa i Zeldy wynurzają się z zagajnika za doliną, gdzie spędzili noc. Wspierały ich oddziały lokalnej milicji z prowincji Plax i Tives. Ludzie sunęli w ciszy niczym czarny strumień, wijący się między preriowymi pagórkami, poza zasięgiem dalwzroku wartowników z doliny. Edeard skupił się na przejmowaniu georłów szybujących wysoko w górze. Umieścił własne rozkazy w ich przebiegłych, podejrzliwych małych móźdkach. Pozostawały jedynie szybkolisy. Był zbyt daleko, by coś z nimi zrobić. Krzepkie gewilki i szybkie geogary chyłkiem mknęły naprzód, towarzysząc łupieskim grupom szeryfów i komandosów z Wellsop, którzy swych genistarów prawie nie kontrolowali.

– Ruszaj – przynaglił Dinlaya Edeard skierowaną dalmową.

Pułki z Lilylight i Cobary, razem z milicją z Fandine, Nargolu i Obershire wyłoniły się ze swych wysuniętych pozycji na zachodzie doliny. To właśnie żołnierze z Nargolu w swoim niepohamowanym zapale stworzyli problemy za drugim razem. I przy dalszych próbach Edeard podkreślał ważność dokładnego poruszania się wyznaczoną trasą. Od tamtego czasu za każdym razem pułkownik Larose wykonywał dobrą robotę, trzymając prowincjuszy na wodzy. Ignorował ich niechętne mamrotanie o mieszczech tyranizujących wieś.

Edeard dosiadł gekonia. Gildia Jajoformerów stworzyła te zwierzęta jedynie dla szybkości. Hebanowa peleryna zawirowała wokół niego, spłynęła po siodle i po bokach zwierzęcia. Felax i Marcol z pewnym trudem dosiedli podobnych wierzchowców – i teraz towarzyszyli Edeardowi. Nie musiał im nic wyjaśniać – myślowo przynaglił gekonia do galopu, a dwaj młodzi konstable pognali za nim.

Trzy bestie – tratujące prerię w ciszy ustępującej nocy – wydały się Edeardowi bardzo głośne. Wiedział jednak, że w dolinie ich nie słyszą – byli zbyt daleko. Przed nim żołnierze jak niepowstrzymany owadzi rój posuwali się nieubłaganie ku dolinie.

Bandyci w końcu wszczęli alarm. Jeszcze czuwający wartownicy wzywali swoich uzbrojonych towarzyszy – ci jednak leżeli, pogrążeni w głębokim, nienaturalnym śnie. Ich broń przepadła. Dalsze krzyki i gorączkowa dalmowa zbudziły resztę śpiących.

Dotychczas wszystko szło jak poprzednio, ale tym razem zgodnie z planem.

Szybkolisy mknęły cicho doliną z prędkością obłoków gnanych huraganem. Nacierająca milicja pędziła przed sobą swe gewilki. Na krawędzi doliny żołnierze padli na ziemię i skierowali w stronę doliny pistolety. Strzelano. Gewilki i szybkolisy zderzyły się czołowo. Gromkie zwierzęce wrzaski niosły się echem po prerii, a szare światło napływało nad zawilgłą od rosy ziemię.

Pułki z Pholas i Zeldy osiągnęły daleki kraniec doliny i ruszyły w dół wąską rozpadliną za swymi gewilkami. Dinlay i Argian trzymali się blisko frontu – dalwzrokiem wykrywali wszystkich ze zdolnościami maskującymi. Większość bandytów mogła zastosować te zdolności. Edeard wstrzymał oddech, wspomniawszy przez chwilę inną noc w innym głębokim wąwozie. Obiecał sobie, że tym razem będzie inaczej. Teraz mógł zagwarantować, że nie będzie żadnych niespodzianek.

Żołnierze na brzegu doliny osłaniali gęstym ogniem swych towarzyszy prowadzących atak poniżej. Jak zwykle, Gilmorn zebrał swych zwolenników na wysokim, podobnym do fortecy skalnym wypiętrzeniu. Nadal mieli zwykłe pistolety i bezlitośnie strzelali do nacierających żołnierzy. Siedzieli w niewidkach, więc trudno było odeprzeć ogień ze skuteczną celnością. Argian pognał naprzód, by pomóc żołnierzom otaczającym wypiętrzenie.

Edeard dotarł do wylotu doliny i zsiadł z konia. Nie ruszył naprzód, choć właśnie tego wszyscy oczekiwali. Dalwzrokiem wciąż śledził żołnierzy. Spędzał w jedno miejsce bandytów, którzy się poddali, i izolowali kilku nadal stawiających opór. A potem ogniskiem oporu został jedynie Gilmorn z garstką najzagorzalszych zwolenników. Dinlay i Larose ostrożnie przemieszczali swoich milicjantów: ludzie pełzli na brzuchach w małych zagłębieniach lub biegiem pokonywali odległości między

głazami dającymi osłonę. Po dziesięciu minutach Gilmorn został całkowicie otoczony.

Edeard szedł kamienistym dnem doliny. Mijał uśmiechniętych żołnierzy wlekących ze sobą jeńców. Niektórzy pochodzili z plemion żyjących w dziczy poza granicami prowincji Rulan. Wyglądali tak samo jak wtedy, gdy ich spotkał, kiedy to z karawaną wracał z Witham: włosy w strąkach i gołe piersi pokryte łuszczącym się błotem. Zerkali na Stąpającego po Wodzie ponuro z ciasno osłoniętymi umysłami. Edeard nigdy nie widział żadnego z szybkostrzelnym karabinem w rękach. Taką broń posiadali jedynie ludzie Gilmorna. Zatrzymał jednego z nich, eskortowanego przez pięciu czujnych żołnierzy, mężczyznę na oko dobrze po pięćdziesiątce, choć bez sflaczałych mięśni, jak u większości mieszczuchów w podobnym wieku. Jego bladoszare oczy płonęły wyzywająco, z gniewem – uczuciami nie do odczytania w jego mózgu.

– Czemu? – spytał po prostu Edeard. – Dlaczego do nich przystałeś?

– Są silni. My korzystaliśmy.

– W jaki sposób? Jak korzystaliście?

Starszy mężczyzna parsknął z wyższością. Szerokim gestem wskazał na prerię.

– Odeszliście. Już nigdy nie wrócicie. Kraj będzie należał do nas.

– Jasne. Rozumiem to. Mogę nawet zrozumieć, że dla niektórych z was zabijać i siać zniszczenie to perwersyjny nałóg. Ale dlaczego te ziemie? Na wschodzie leżą krainy bezpańskie. Lesiste, obfitujące w zwierzynę łowną. Nikt nawet nie wie, jak wielkie to krainy. Dlaczego chcecie naszej ziemi? Nie uprawiacie jej. Nie mieszkanie w kamiennych domach.

– Ponieważ wy ją posiadacie – odpowiedział po prostu krajowiec.

Edeard wpatrywał się w niego i wiedział, że nie otrzyma lepszej odpowiedzi. Ani uczciwszej, pomyślał. Szukał złożoności i celu tam, gdzie ich nie było. To ludzie rodzaju Gilmorna, pozostałości bezlitosnych zwolenników Owaina i jego Jednego Narodu mieli jakieś cele. Krajowcy byli jedynie użytecznymi prostaczkami

zwabionymi do przymierza, którego nigdy w pełni nie pojęli.

Szybkim gestem zwolnił eskortę i krajowca zawleczono do więziennych zagród wzniesionych na prerii.

– Powinniśmy tam zejść – rzekł z zapalem Marcol. Dalwzrok młodzieńca omiatał forteczne wypiętrzenie, wyłuskując z łatwością bandytów w niewidkach.

Edeard z trudnością powstrzymywał uśmiech. Od chwili wygnania zdolności psychiczne Marcola znacznie wzrosły, niemal na równi z jego poczuciem obowiązku. Był oddanym sprawie konstablem, całkowicie lojalnym w stosunku do Wielkiej Rady, a jednak pozostawało w nim ciągle coś z ulicznika z Sampalok. Rwał się do bitki.

– Niech milicja ma swoją chwilę chwały – powiedział cicho Edeard. – Kampania była ciężka. Zasłużyli, by właśnie im przypadło zakończenie tego wszystkiego.

I to była prawda. Sprzymierzone siły miasta i wsi przez osiem miesięcy ściagały Gilmorna i resztkę jego zwolenników. Coraz dalej na zachód przez różne prowincje, aż wreszcie przeciwnik nie miał już dokąd uciekać.

– Polityka – ze wstrętem prychnął Felax.

– Uczysz się – stwierdził Edeard. – Ponadto obaj nie musicie niczego udowadniać, nie po akcji przy Wodospadach Overton. Słyszałem, że córki z rodzin w tamtych karawanach wyraziły swą wdzięczność dość jasno.

Dwaj młodzi konstable spojrzeli po sobie z głupawym, triumfującym uśmieszkiem.

W dole, przy wypiętrzeniu, Larose dalmową przekazywał Gilmornowi ostre ultimatum. Milicja miała pięćdziesięciokrotną przewagę liczebną i całkowicie otoczyła bandytów. Nie mieli jedzenia. Niemal wyczerpali amunicję. Nie mogli spodziewać się posiłków.

Edeard powątpiewał, czy właśnie takie rzeczy należy wyliczać fanatykom tak bezlitosnym jak Gilmorn. Jednakże tak naprawdę nigdy wcześniej nie doszli w swych atakach do tego etapu, nie wiedział więc, który ze sposobów zadziała.

Posuwali się doliną obok, mijając martwe szybkolisy i gewilki.

Edeard starał się nie krzywić na widok brutalnie poszarpanych ciał zwierząt. Argian siedział na omszałym gładzie i spokojnie gryzł czerwone jabłko. Wokół roило się kilka oddziałów milicji, pragnących także mieć udział w finale kampanii. Kaprale i sierżanci z trudem utrzymywali dyscyplinę. Na widok Edearda wszyscy ucichli.

– Podda się? – spytał Edeard.

Argian wzruszył ramionami i mocno przygryzł wargę.

– Nie ma nic do stracenia. Kto wie, co mu chodzi po głowie?

– Rozumiem. Na szczęście możemy czekać. Tak długo, jak będzie to konieczne.

– Ach! – wykrzyknął Marcol. – Kłóćą się.

Argian spojrzał pytająco na młodego konstabla, a potem wrócił uwagą na wypiętrzenie. Rzeczywiście, spośród skał wylewała się głośnia kłótnia. Dwaj mężczyźni stali naprzeciw Gilmorna, mówili, że odchodzą poddać się milicji. Dalwzrokiem Edeard ujrzał, jak mężczyźni się odwracają. Gilmorn uniósł pistolet i wycelował jednemu z nich w potylicę. Edeard wysunął trzecią rękę i nieco wygiął iglicę broni. Gilmorn pociągnął za spust. Rozległo się metaliczne szczęknięcie. Pistolet nie wypalił.

Marcol chrząknął znacząco.

Wybuchła następna sprzeczka. Pięści poszły w ruch. Trzecie dłonie próbowały ścisnąć serca. Mężczyźni zaczęli się mocować.

Larose wydał rozkaz połączenia tarcz i ruszenia do ataku.

Dwie minuty później było po wszystkim.

Milicjanci na skałach gorąco wiwatowali i wymachiwali nad głowami butelkami piwa. Całe pułki zbierały się na miejscu ostatniej walki, ludzie śpiewali i ściskali kolegów. Uśmiechnięty Edeard szedł wśród nich, popijał z podarowanej butelki, ściskał dłonie i wylewnie obejmował starszych znajomych. Wszyscy cieszyli się z widoku Stąpającego po Wodzie – dowódcy całej kampanii – ale jeszcze bardziej cieszyła ich samodzielnie wygrana ostatnia bitwa.

Pułkownik Larose założył obóz w tylnej części fortecznego

wypiętrzenia. Wozy ustawiono szerokim kołem. Ułożono namioty przygotowane do rozbicia. Już wniesiono wielką pasiastą markizę – pod nią kucharze przygotowywali posiłek. Niemal nieruchome powietrze stopniowo napełniał dym z kuchennych ognisk. Pośrodku obozu rozbito brudnozielony namiot polowej kwatery głównej. Ochraniali go czujni starsi stopniem żołnierze i stado geogarów. Przez wejście do namiotu przechodzili w obu kierunkach ordynansi i gońcy. Jedenaście pułkowych flag powiewało lekko na słupach przed kwaterą, reprezentując najwartościowszych synów miasta i wsi.

Strażnicy zasalutowali wchodzącemu do środka Edeardowi. Larose siedział za drewnianym stołem na kozłach, który służył mu za biurko, a wokół kręcili się adiutanci z prośbami i zapytaniami. Jego rozpięta do połowy brudnozielona bluza mundurowa odślaniała poplamioną szarą koszulę. Starsi oficerowie skupili się przy długiej ławie pełnej akcesoriów niezbędnych do kierowania tak ogromną masą ludzi. Mimo że od zwycięstwa upłynęło jedynie kilka godzin, rozkazy i raporty zaczynały już tworzyć stosy. Larose wstał i gorąco uściskał Edearda.

– Dokonałiśmy tego! – wykrzyknął. – Na Panią, udało się!

Oficerowie bili brawo. Edeard skinął im z wdzięcznością głową.

– Powinien pan być bardzo zadowolony ze swych ludzi – stwierdził Edeard dostatecznie głośno, by słyszeli go inni dowódcy, zwłaszcza ci z pułków wiejskich. – Działali idealnie.

– To prawda. – Larose szczerze obdarzył wszystkich szerokim uśmiechem. – Wszyscy.

– Pan również – oznajmił Edeard pułkownikowi. – Kiedy wrócimy, powinien pan kandydować w wyborach. Rezydenci Lilylight docenią człowieka, który dokonał czegoś naprawdę istotnego poza miastem.

Niemal zażenowany Larose wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że starsi członkowie mojej rodziny przyjęliby to z zaskoczeniem i satysfakcją.

Edeard obdarzył go ciepłym uśmiechem.

– Nigdy nie był pan czarną owcą.

– Nie. W każdym razie nie tak jak pan. Ale lubię sobie myśleć, że czasami bywałem naprawdę dobry.

– Istotnie. Ale mam nadzieję, że zastanowi się pan nieco nad tym pomysłem.

– Nigdy nic nie jest tak odległe, jak się wydaje, prawda, Makkathranie?

– Nie – westchnął Edeard. – Czy zachowuje się spokojnie?

– Jak dotychczas.

Larose wyprowadził Edearda przez klapę z tyłu namiotu. Ściana namiotów i ogrodzeń utworzyła z tyłu mały zabezpieczony obszar. Dokładnie pośrodku samotnie stał wysoki, wąski namiot. Na zewnątrz, z gewilkami na smyczach stali na baczność dwaj wartownicy – starsi milicjanci, którym Larose bezgranicznie ufał. Kiedy Edeard się zbliżył, oba gewilki podejrzliwie go obwąchały.

– Wie pan, co jest dziwne? – spytał Larose. – Przez lata bandyci bezkarnie terroryzowali społeczność. Ci, co przeżyli, wszyscy opowiadali o przerażających broniach. A jednak w czasie tej całej kampanii nie znaleźliśmy ani jednego sukinsyna uzbrojonego w coś więcej niż standardowy pistolet.

– To dobrze. – Edeard wpatrywał się w dal. – Czy chciałby pan, aby nowa broń istniała? Tak silna, by zabijać całe plutony w niecałą minutę?

– Nie. Chybabym nie chciał.

– Ani ja.

– Chyba nikt by naprawdę nie mógł zbudować czegoś podobnego. Nawet Gildia Zbrojmistrzów.

– Nie – przyznał Edeard. – Nie mogliby. Te bronie to po prostu bajka w rodzaju tych, jakie opowiadają sobie ludzie o dawnych czasach.

– Na przykład wygnańcy. Wie pan, teraz trudno mi sobie przypomnieć, jak wyglądał Owain. On i jego kumple musieli powędrować gdzieś daleko od Makkathranu. Nikt nigdy ich więcej nie widział.

– Przegrana w wyborach może człowieka tak demoralizować. Nikt nie chce drażnić tego, co było, teraz, gdy wszyscy mamy przed sobą przyszłość.

– Czy rzeczywiście?

– Nieznaną, jak zawsze, ale rzeczywiście ją mamy.

Pułkownik Larose zasnuował wargi i poszedł dalej.

Gilmorn stał pośrodku namiotu w towarzystwie Dinlaya i Marcola. Ze wszystkich skutków cofania czasu ten wydawał się Edeardowi najdziwniejszy – widzieć żywą osobę, przy której śmierci był uprzednio obecny. A tego Gilmorna zabił osobiście i z całą pewnością skutecznie.

Jak było do przewidzenia, mężczyzna się nie zmienił. Ostatnio Edeard widział go w nie najlepszej formie. Jego okrągłą twarz z charakterystycznym nosem zalewały ból i cierpienie, gdyż nogi przygniatał mu głaz. Teraz po prostu wyglądał na zmęczonego i pełnego ponurej urazy. Choć nie na pokonanego. Za jego mentalną tarczą nadal płonął opór, napędzany, jak podejrzewał Edeard, dobrą starą arogancją Wielkich Rodzin.

Kowal właśnie wychodził. Staranne zakuwanie Gilmorna w kajdany zajęło mu godzinę. Wokół kiści i kostek założył Gilmornowi wielkie żelazne pierścienie połączone ze sobą mocnymi łańcuchami. W ten sposób uniknięto przemyślnych zamków, z którymi więzień mógłby sobie telekinetycznie poradzić. Metal musiałby zostać rozbity na kawałki przez innego kowala lub po prostu przy użyciu brutalnej siły mentalnej – potrafiliby to zrobić Edeard i prawdopodobnie Marcol, ale prócz nich na całej Querencji bardzo niewielu.

– Pupilek Finitana – rzucił Gilmorn z pogardą. – Mogłem się tego domyślać.

– Przykro mi, że nie pojawiłem się na naszym wcześniejszym umówionym spotkaniu w dolinie za Mount Alvice – odparł niedbale Edeard.

Gilmorn spojrział na niego zaskoczony.

– Więc kim jesteś? – spytał Edeard. – Nie ma to wielkiego znaczenia, ale wtedy w Ashley nigdy mi się nie przedstawiłeś.

– Musisz wypełnić swe formularze, prawda?

– Rozumiesz, że to już koniec? Jesteś ostatnim z nich. Nawet jeśli Jeden Naród ma jeszcze jakichś zwolenników w Makkathranie, wyprą się wszystkiego, zwłaszcza ciebie. Po

wygnaniu Tannarla status rodziny Gilmorn wśród miejskich Wielkich Rodzin bardzo się obniżył. Są zdesperowani, by go odzyskać. Oni nie przyjmą cię z powrotem. Oczywiście mógłbyś spróbować przystać do pozostałych przy życiu poruczników Buatego, do tych, których wyгнаłem. Choć oni chyba również nie mogą się zaadaptować – w ciągu ubiegłych dwóch lat kilkunastu z nich zostało zesłanych do kopalni w Trampello. Przynajmniej będą mieli tam towarzystwo – mój stary znajomy Arminel nadal tam siedzi. Burmistrz Finitan wymienił gubernatora kopalni z kumpla Owaina na kogoś nieco surowszego.

Gilmorn, szcękając kajdanami, uniósł obie dłonie w górę.

– Tak nisko się stoczyłeś, Stąpający po Wodzie, że pastwisz się nad swoimi ofiarami?

– A ty? Prowokujesz człowieka, którego wieś zniszczyłeś?

– Touche.

– To ty wyprawiłeś mnie w drogę wiodącą do dzisiaj. Cieszę się z tego.

– Tak jak Ranalee i inni cieszą się z Salrany. Słyszałem, że jest rozchwytywana. Uzyskuje niezłą cenę we właściwych kręgach, tak to zrozumiałem.

Dłoń Dinlaya spadła na ramię Edearda.

– Pozwól mi załatwić z nim tę sprawę.

– Ty? – szydził Gilmorn. – Eunuch wykonuje brudną robotę Stąpającego po Wodzie? Jakie to zabawne.

Twarz Dinlaya spurpurowiała za okularami.

– Nie jestem...

– Dość tego – oznajmił Larose. – Stąpający po Wodzie, czy masz jakieś poważne pytania do tego sukinsyna? Niektórzy z moich ludzi potrafią wyciągnąć z niego odpowiedzi. Może to chwilę potrwać, ale nie będą ustępować w wysiłkach.

– Nie. Nie ma on dla mnie nic istotnego. Byłem tylko ciekaw, dlaczego nadal walczył, ale teraz już to wiem.

– Naprawdę? – spytał Gilmorn. – No, dlaczego?

– Ponieważ ci wszystko odebrałem. Nie masz nic więcej do roboty. Bez swoich mocodawców jesteś niczym. Jesteś taki żałosny, nie możesz nawet wyobrazić sobie niczego innego,

czemu mógłbyś się poświęcić. Kiedy nadejdzie twój kres, zrozumiesz, że niczego nie dokonałeś, nie zostawisz żadnego dziedzictwa, twa dusza nigdy nie znajdzie drogi do Serca. Wkrótce wszechświat zapomni, że w ogóle kiedyś istniałeś.

- Dlatego tu przybyłeś: by mnie zabić. Zemsta Stąpającego po Wodzie. Nie jesteś lepszy ode mnie. Owain nie udał się na wygnanie. Wiem, że zamordowałeś jego i innych. Nie przybieraj pozy bezstronnego sędziego w sprawach moralności. Mylisz się, twierdząc, że nic po sobie nie zostawię. Zostawię ciebie. Beze mnie byłbyś prowincjonalnym chłopem z tłustą żoną i tuzinem wrzeszczących dzieci, grzebiącym w błocie w poszukiwaniu jedzenia. Ale nie. Ja cię stworzyłem. Wykułem nowego władcę bezlitosnego jak Owain. Powiadasz, że nie mogę uczynić nic więcej? Spójrz na siebie. Czy tolerujesz ludzi, którzy cię nie słuchają? Postępujesz dokładnie jak ja, zgodnie z etosem, którym rzekomo pogardzasz.

- Ja jednakowo i bezstronnie wymuszam przestrzeganie prawa przez wszystkich. Szanuję wyniki wyborów.

- Słowa, słowa, słowa. Prawdziwy makkathrański polityk. Niech Pani broni twych wrogów, kiedy zostaniesz burmistrzem.

- To daleka przyszłość. Jeśli w ogóle będę kandydował.

- Będiesz. Ponieważ ja bym tak zrobił.

Peleryna Edearda odfrunęła na bok z płynnością oleju jamolarowego. Sięgnął do kieszeni i wyjął nakaz.

- To oświadczenie podpisane przez burmistrza Makkathranu i asygnowane przez gubernatorów prowincji – sojuszników. Ze względu na skalę okrucieństw, jakich się przez lata dopuszczałeś, nie powrócisz na proces w rejony cywilizowane.

- Ha, nakaz zabicia mnie. Nie jesteś niczym lepszym od plemiennych dzikusów, jakich werbowaliśmy.

- Zostaniesz odtransportowany do portu w Solbeach, skąd statek ruszy na wschód. Kiedy kapitan pożegluje daleko, poszuka wyspy ze słodką wodą i roślinnością. Tam cię porzuci, zostawi ci zapas nasion i narzędzia wystarczające, byś przeżył. Będziesz pędził życie samotne, by rozmyślać nad ogromem swych zbrodni. Nie powrócisz do cywilizacji. Jeśli spróbujesz i znajdą cię w

granicach obszarów cywilizowanych, zostaniesz natychmiast uśmiercony. Niech Pani zmiłuje się nad twą duszą. – Edeard zwinął zwój. – Konstable Felax i Marcol będą towarzyszyli ci w podróży, by dopilnować wykonania wyroku. Radzę ci, byś ich nie irytował.

– Wal się. Wygrałem, wiesz o tym. To przymierze to zaczątek Jednego Narodu.

Edeard odwrócił się i skierował ku wyjściu.

– Owain zwyciężył! – krzyczał z nim Gilmorn. – Jesteś jedynie jego kukiełką. To wszystko. Słyszysz mnie, Stąpający po Wodzie? Kukiełka zmarłego, kukiełka człowieka, którego zamordowałaś. Jesteś moją bliźniaczą duszą. Oddaję cześć swemu ostatecznemu zwycięstwu. Krew Rodzin będzie rządziła światem. Powiadają, że widzisz dusze. Czy widzisz, jak się śmieje dusza pani Florrel? Czy to widzisz?

Odchodzący Edeard wzmocnił tarczę stworzoną trzecią ręką, wytłumiając zjadliwe okrzyki.

Edeard pragnął podróżować dalej sam, ale Dinlay nie chciał o tym słyszeć. Nie dyskutował; kiedy Edeard gorąco mu wymyślał, po prostu milczał, okazując swój cichy upór. W końcu Edeard dał za wygraną, co obydwaj od razu przewidzieli, i rozkazał pułkowemu Mistrzowi Kawalerii osiodłać dwa konie. Para odjechała razem w kierunku Ashwell. Okolica nie zmieniła się – zmienił się tylko sposób jej wykorzystania. Pół dnia drogi od celu podróży Edeard zaczął rozpoznawać elementy krajobrazu, które zdominowały jego dzieciństwo. Kształty na horyzoncie stawały się coraz bardziej znajome. Teraz przybrały inne barwy, gdyż zmieniła się roślinność. Zboża ustąpiły napływowi dzikszyc roślin. Droga zarosła kompletnie, stała się trudno rozróżnialna, choć dalwzrok nadal wyczuwał pod spodem jej kamienistą powierzchnię. Pola wokół wioski, kiedyś bogate i żyzne, dawno temu stały się na powrót prerią i porosły krzakami, a stare, starannie utrzymywane żywopłoty wystrzeliły w górę w postaci drzewek. Szlam i suche liście pozatykały rowy nawadniające,

które spuchły, tworząc osobliwe, długie sadzawki.

Dzień był ciepły, prawie bez obłoków na jasnym lazurowym niebie. Panorama rozciągała się na wiele mil. Widok skalistego urwiska rzucił mu się w oczy jako pierwszy. Nie zmienił się zupełnie. Czuł szczególne drżenie serca. Tak naprawdę nigdy nie oczekiwał, że kiedykolwiek tu powróci. Następnego dnia po ataku wyjechał stąd z oddziałem pościgowym przybyłym z Thorpe nad Wodą. Wtedy obejrzał się tylko raz – zobaczył szerniałe ruiny, wypuszczające w niebiosy cienką smużkę dymu, ale wówczas ten widok zamazywały łzy i cierpienie. Zbyt bolesny widok, by patrzeć powtórnie. Odjechali razem z Salraną, trzymając się za ręce i dzielnie patrząc w przód.

Teraz przyroda dokończyła dzieła Owaina i Gilmorna. Lata deszczów, wiatrów, owadów i nieustępliwych lian przyśpieszyły niszczenie rozpoczęte pożarem. Umocnienia szańców, które wioskowa rada bez entuzjazmu naprawiała, w końcu zaczynały się kruszyć, stały się nierówne i miejscami się zapadały. Wrota główne zniknęły, ich zwęglone resztki zgniły do cienkiej mierzwy, gdzie krzepkie chwasty zapuszczały korzenie. Zniszczona brama odsłoniła krótki tunel pod szańcami: zawilgłe, odpychające przejście wśród mrocznych, pokrytych grzybem cegieł. Nad tunelem kamienne wieże strażnicze osiadły. Ich grube mury wytrzymały, ale zniknęły dachy z łupków i dachówki, chroniące strażników przez tyle dziesięcioleci.

Edeard zsiadł i przywiązał swego niespokojnego wierzchowca do żelaznych pierścieni tuż obok łukowato sklepionego portalu. Przynajmniej one – wykonane z solidnego metalu – pozostały nietknięte.

– Dobrze się czujesz? – spytał ostrożnie Dinlay.

– Tak – zapewnił go Edeard i odgarnąwszy kurtynę opadających pnączy, poszedł mokrym tunelem. Gdy tylko wynurzył się w wiosce, żerujące ptaki chmurami wleciały w niebo z łopotem i skrzekiem. Po porośniętych wzgórkach śmieci czmychały małe stworzenia.

Edeard przygotował się, że zobaczy ruiny, ale rozmiar zabudowań zaskoczył go. Ashwell okazała się taka mała. Nigdy

wcześniej nie zastanawiał się nad tym aspektem wioski. Ale rzeczywiście, cały obszar między urwiskiem i szaniami mogłyby z łatwością pomieścić Myco lub Neph – najmniejsze dzielnice miasta.

Podstawowy układ wioski pozostał niezmienny. Kamienne ściany przeważnie się zachowały w tej czy innej formie, choć walące się dachy wiele zniszczyły. Ulice łatwo było wyróżnić, a jego pamięć uzupełniała linie tam, gdzie obsuwu gruzu to utrudniały. Wielkie hole gildii dość dobrze przetrwały, zachowując swój kształt, jednak zostały z nich tylko puste skorupy bez dachów i ścian wewnętrznych. Edeard omiatał je dalwzrokiem. Nagle zatrzymał się. Tuż pod cienką warstwą ziemi, popiołu i chwastów, które pochłonęły wioskę, leżały kości jej mieszkańców. Były wszędzie.

– Pani!

– Co takiego? – spytał Dinlay.

– Nie było pogrzebów – wyjaśnił Edeard. – Po prostu wyjechaliśmy. To było dla nas zbyt... przytłaczające, by się tym zająć.

– Pani to zrozumie. A dusze twoich przyjaciół zrozumieją z pewnością.

– Może.

Spojrzał na spustoszenie wokół i znowu zadrżał.

– Edeardzie? Czy któraś pozostała?

Edeard ciężko, długo westchnął.

– Nie wiem. – Jeszcze raz wyteżył dalwzrok do granic rozdzielczości, starając się złapać każdą oznakę widmowych postaci. – Nie. Nikogo tu nie ma – stwierdził w końcu.

– To dobrze.

– Tak.

Edeard poprowadził obu ku szkieletowi holu Gildii Jajoformerów.

– To tutaj właśnie dorastałeś? – spytał Dinlay z zainteresowaniem, kiedy lustrował dziewięć boków zrujnowanego dziedzińca.

– Tak.

Edeard – sam nie wiedział czemu – spodziewał się znaleźć jakieś ślady Akeema. Ale obecnie, gdy tak stał obok pochyłonych ścian stajni i grożącego zawaleniem holu, zdał sobie sprawę, że nigdy ich nie znajdzie. Kości było tu mnóstwo – nawet całe szkielety – ale identyfikacja wymagałaby całych dni starannych badań. I ostatecznie jakiemu by to służyło celowi? Kimże jestem, by szukać tu spokoju i zadowolenia? Czy dusze martwych mieszkańców wioski w ogóle obchodzi, że tu przybył? Czy Akeem chciałby, żebym przekopywał teraz ziemię i szukał kawałków jego dawno martwego ciała? Pochowam ich wszystkich albo nie pochowam nikogo.

Oczywiście istniało coś, co Edeard mógłby zrobić. Miał idealne wspomnienia tamtej nocy: on i inni uczniowie spotkali się w jaskini na wieczór zabawy i kestrica. Gdy o tym pomyślał, spojrzął w górę urwiska. Dostrzegł małą, ciemną szczelinę, przez którą się przeciskali, by znaleźć jaskinię oferującą schronienie przed postrzeganiem własnych mistrzów.

To proste wspomnienie sprowadziło całą falę innych wspomnień. Widział wioskę taką, jak była tego ostatniego pięknego lata. Ludzie kroczyli ulicami, rozmawiali i śmiali się. Farmerzy, którzy przyjechali wielkimi wozami, sprzedawali produkty na straganach. Uczniowie krzątający się przy swych obowiązkach. Starszyzna wioski paradowała w nieco lepszych ubraniach. Dzieci biegały wokół, goniąc się z radosnym piskiem.

Mogę to zrobić. Mogę wrócić do tamtej chwili. Mogę pokonać bandytów tamtej nocy. Mogę im wszystkim zwrócić życie.

Potrzasał głową, jakby chciał oczyścić myśli. Po policzkach popłynęły mu łzy. To było znacznie gorsze niż wszystkie pokusy oferowane przez Ranalee.

Musiałbym pojechać do Makkathranu, tym razem z listem polecającym Akeema. Byłbym uczniem w Niebieskiej Wieży. Ale Owain nadal by tam był. I Buate, i Tannarl, i pani Florrel, i Bise. Musiałbym się ich pozbyć ponownie.

– Nie mogę – szepnął. – Nie mogę znów tego zrobić.

– Edeardzie? – spytał łagodnie Dinlay. Dłonią ścisnął jego ramię.

Edeard otarł łzy i przegnał na zawsze obraz dawnej wsi. W

popękanych drzwiach holu Gildii Jajoformerów stał Akeem i patrzył na Edearda smutnymi oczyma.

Edeard tak dobrze znał to spojrzenie pełne przygany, które jako uczeń widział tysiące razy. „Nie zawieźdź mnie”.

– Na pewno nie – obiecał.

Dinlay nachmurzył się.

– Co nie?

Edeard głęboko odetchnął, uspokajając szalejące emocje. Patrzył na zniszczone drzwi. Akeema tam nie było. Uśmiechnął się.

– Nie zawiodę ich. Nie zawiodę ludzi, którzy umarli, i w ten sposób spowodowali, że znalazłem się tu. Gdzie dzisiaj jestem, gdzie jesteśmy wszyscy. Ta zasada nie zawsze jest stosowna.

– Jaka zasada?

– Czasami, by zrobić coś dobrego, trzeba zrobić coś złego.

– Zawsze myślałem, że to głupie. Założę się, że Rah tak naprawdę nigdy tego nie powiedział.

Edeard zaśmiał się głośno i ostatni raz omiół spojrzeniem dziewięcioboczny dziedziniec. Objął przyjaciela ramieniem.

– Prawdopodobnie masz słuszność. Jedziemy do domu. Do Makkathranu.

– Najwyższy czas. Wiedziałem, że musisz tu przyjechać, ale nie jestem pewien, czy to zdrowe. Wszyscy za bardzo cenimy przeszłość. Powinniśmy się od niej odciąć. Zawsze należy tylko patrzeć w przód, w przyszłość.

Edeard przyciągnął przyjaciela do siebie.

– Z ciebie naprawdę niezły filozof.

– Czemu stwierdzasz to z takim zaskoczeniem?

– To nie zaskoczenie, to szacunek.

– Hmm...

– A nawiasem mówiąc, Saria będzie cię oczekiwała – droczył się z nim Edeard. – Oczekiwała z niecierpliwością.

– Och, dobra Pani. Nie chcę mówić źle o zmarłym, ale co, do Honiouse, Boyd w niej widział?

– Co takiego? No nie! To śliczna dziewczyna.

– To zmora.

- Kristabel ocenia ją wysoko.
 - Tak. Ale Kristabel ocenia wysoko również ciebie.
 - Oj! To zabolalo. Zatem dobrze, moze Kanseen zdoła sprokurowac kogos bliższego twoim gustom...
 - Nie! I z pewnością nie Kanseen. Czy wiesz, jaka jest jej definicja „miłych dziewcząt”, nie mówiac już o dziewczętach „odpowiednich”? Tylko tym się zajmujecie, odkąd wszyscy czworo się pobraliscie. Ponadto lubię być singlem.
 - Małżeńskie życie jest cudowne.
 - Pani! Przestań już, dobrze?
- Edeard opuszczał dziedziniec swej dawnej gildii z szerokim uśmiechem na twarzy.

Statek Linii PanCephei wypadł już z hiperprzestrzeni, gdy ogłoszono alarm. Zewnętrzne sensory pokazywały pasażerom obraz świata odpowiedniego dla ludzi. Dwa tysiące kilometrów w dole, nad granatowymi oceanami kłębiły się chmury, wysyłając próbnie długie, białe smugi nad zaskakująco brązowy ląd. Pasażerowie mieli dostęp do informacji na temat lotu – widzieli trajektorię jako fioletową linię biegnącą przez atmosferę w stronę stolicy Gralmondu – bezproblemowy finisz zwykłego lotu przez trzysta lat świetlnych.

To wszystko nie docierało do Dostawcy. Coraz bardziej się niepokoił. Wydział wywiadu Frakcji Konserwatywnej automatycznie rozesłał poufne, zabezpieczone ostrzeżenia do wszystkich swoich tajnych agentów, gdy tylko rdzeń inwersji wyrwał się ze struktury ZAN. Dostawca z rosnącą trwogą obserwował, jak rdzeń wymyka się statkom floty. Wtedy nadleciała flota odstraszaająca (choć żadne skanowanie Układu Słonecznego przez flotę nie zdołało odkryć jej natury) i zaraz potem Rój się zmaterializował. Agencja obrony Ziemi ogłosiła alarm najwyższego stopnia.

Lekceważąc protokół, dostawca zadzwonił do żony. Z jakiegoś powodu u-adiunkt nie przyjął pierwszej prośby o połączenie. Dostawca przeanalizował elementarne dane: żona była w szkole w Dulwich Park. Sfrustrowany bębnił palcami o miękkie podłokietnik fotela w swojej kabinie pierwszej klasy.

Lizzie teleportowała się z powrotem do domu i jej u-adiunkt zaakceptował połączenie.

- O, Ozzie, dzięki! – zawołał. – Gdzie są dziewczynki?
- Mam je tu. A ty gdzie jesteś?
- Na statku. Osiem minut od kosmoportu Gralmond.
- Czy rozumiesz, co się dzieje?
- Niezupełnie – przyznał uczciwie. Jednak naprawdę nie

podobał mu się widok ośmiu tysięcy urzędzeń otaczających Słońce. Nikt by nie gromadził takiego potencjału bez nadzwyczaj poważnych zamiarów. Mimo to nie potrafił sobie wyobrazić, czym są te urzędzenia. Chyba to nie statki wojenne? – To Frakcje ZAN, ich walka przeszła do przestrzeni fizycznej.

– Ale przecież Ziemi nie zrobią nic złego?

– Tu nie o to chodzi. Posłuchaj, będę z wami, jak tylko będę mógł. Przyjadę zaraz po wylądowaniu. – Symbole w egzowizji powiedziały mu, że unisfera zmienia routing połączeń. To niesamowite. Jego priorytetowe, bezpieczne połączenie z wydziałem wywiadu Frakcji Konserwatywnej zerwało się. Co, do cholery? – Będę z wami, jak tylko dotrę do stacji na Ziemi. – Starał się mówić z przekonaniem.

– Coś jest nie tak – powiedziała Lizzie.

To niemożliwe, ale potrafił wyczuć jej rozpacz, jakby oboje używali gajASFery.

– Lizzie, trzymaj się! Będę tam, obiecuję. Powiedz dziewczynkom, że za chwilę tatuś będzie w domu.

U-adiunkt raportował mu, że zerwało się połączenie z Lizzie oraz z Frakcją Konserwatywną.

– O, nie! – sapnął głośno. Jego egzowizja pokazywała, że wszystkie drogi na Ziemię zostały odcięte. Żadne dane ani się nie wydostawały z Układu Słonecznego, ani tam nie docierały; był całkowicie odcięty od unisfery.

– Co się dzieje, do cholery? – zapytał Dostawca swego u-adiunkta.

– Nie wiadomo – padła odpowiedź. – Wszystkie wormhole do Układu Słonecznego zostały fizycznie zamknięte. Flota i rząd Wspólnoty utrzymują kilka bezpiecznych, awaryjnych kanałów transwymiarowych do Układu, ale żaden nie funkcjonuje.

– Czy rzucili na Słońce bombę „nową”? – spytał Dostawca.

– Nie wiadomo, ale to nieprawdopodobne. To wszystko nastąpiło bardzo szybko. Fala uderzeniowa z wybuchu nowej potrzebowałaby kilku minut na dotarcie do Ziemi.

– A planetę... czy mogli ją zniszczyć, zrzucić bombę kwantową przez linie obrony albo coś podobnego? Może to m-rzĄpie

Hawkinga?

– Możliwe. Ale żeby porazić wszystkie systemy komunikacyjne równocześnie, zagłada musiałaby być olbrzymia i błyskawiczna. To sugeruje coś działającego z prędkością hiperluminalną.

– Czy zabili Ziemię?! – wrzasnął Dostawca.

– Nie wiadomo.

– Och, słodki Ozzie. – Zszokowany drżał na całym ciele. Biononika uspokoiła impulsy. – Dowiedz się – poinstruował u-adiunkta. – Sprawdź wszystkie źródła, do których uda ci się dotrzeć.

– Zrozumiano.

Zza drzwi kabiny docierały podniesione głosy. Informacja o zniknięciu Ziemi szybko się rozniosła. Dostawca nie wiedział, co robić. Zawsze Frakcja Konserwatywna dostarczała mu najlepszych danych. Teraz bez nich był jak wszyscy inni. Nie miał żadnych szczególnych umiejętności, żadnych wpływów, do nikogo nie mógł zadzwonić...

Marius, pomyślał o nim od razu. Mogę spytać Mariusa. To byłaby żałosna słabość. Ale chodzi o Lizzie i dzieci. Nie o Frakcję. W egzowizji miał ikonkę komunikacyjną rywala. Nie mógł się oprzeć.

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach. U-adiunkt wykrył kilka quasi-rozumnych programów śledzących i potwierdzających położenie Dostawcy.

– Tak? – zgłosił się Marius gładko. Nie było żadnych prób ustanowienia jakichkolwiek zabezpieczeń na łączu. Dostawca był połączony z cybersferą Fanallisto.

– Co zrobiłeś? – spytał Dostawca lekko zaintrygowany. Co Marius robi na planecie, którą właśnie opuściłem?

– Nic nie zrobiłem. Ale ciekawi mnie, dlaczego jesteś na Gralmondzie.

– Do cholery, co ty, gnojku, sobie myślisz, że gdzie jestem? Wracam do domu. Wracalem do domu. Co zrobiłeś mojej rodzinie? Co się stało z Ziemią?

– Aha. Nie martw się. Są cali i bezpieczni.

– Bezpieczni!

– Tak. Wasza flota prawdopodobnie opublikuje za chwilę szczegóły. Po prostu uwięziliśmy Układ Słoneczny wewnątrz potężnego pola siłowego, tak jak Parę Dysona.

– Co takiego zrobiliście?

– Nie mogliśmy dłużej akceptować wtrącania się ZAN czy twojej frakcji. Udamy się do Pustki. Nie zatrzymacie nas. Nie możecie. Nie teraz.

– Dopadnę cię i rozerwę na strzępy.

– Rozczarowujesz mnie. Powiedziałem ci: gra skończona. Kiedy wy, zwierzęta, się nauczycie? Wygraliśmy. Transcendencja jest nieunikniona.

– Nie, póki żyję.

– Grozisz mi? Wyświadczam ci uprzejmość, a ty odpowiadasz emocjonalną biegunką. Jesteś przecież agentem Frakcji Konserwatywnej, może nie powinienem ryzykować. Wybiorę się do Gralmond i wymażę ten świat wraz z tobą i wszystkimi innymi na planecie.

– Nie!

– Czy jesteś zagrożeniem, czy jesteś po prostu złamanym zwierzęciem, które należy do przeszłości?

– To się nie uda. Nie dostaniecie się do Pustki. Araminta nigdy was tam nie zabierze.

– Gdy ją dostaniemy, nie będzie miała wyboru. Wiesz przecież.

W zaciszu kabiny pierwszej klasy Dostawca walnął w ścianę. Dwa razy. Wzmocniona bioniczna pięść spowodowała znaczne wgniecenie w węglotytanowej boazerii. Nigdy nie czuł się tak bezradny. Tak bezużyteczny. Nigdy też nie miał w sobie tyle wściekłości skierowanej głównie przeciw samemu sobie za to, że nie jest razem z rodziną akurat teraz, gdy naprawdę powinni być wszyscy razem.

– A co potem? – spytał.

– Potem?

– Gdy rdzeń inwersji dotrze do Pustki, czy uwolnicie Układ?

– Sądzę, że tak. Przecież wtedy to nie będzie miało znaczenia.

– Jeśli nie uwolnicie, znajdę cię, bez względu na to, jaką przyjmiesz postać. I traktuj to jako groźbę.

Połączenie się zakończyło.

– Cholera! – Znów walnął w ścianę, w sam środek wgniecenia.

Jego spacje pamięci zawierały kilka procedur awaryjnych Frakcji Konserwatywnej, ale żadna z nich nie przewidywała czegoś tak szokującego. Dostawca zaśmiał się nerwowo, zastanawiając się nad tym, jak potworne są działania Progresywistów. Tylko ZAN i flota odstrasżająca mogły zakończyć Pielgrzymkę Żywego Snu. I raiele-wojownicy. Myślał o tym, ale wiedział, że nie może polegać na obcych strzegących Zatoki. Frakcja Progresywistów miała teraz dostęp do technologii Ciemnej Fortecy. Być może to im umożliwi przejście przez raielów-wojowników.

Zaangażował swoją biononikę, by wyregulować rozwichrzone parametry psychologiczne, uspokoić myśli. Zgłosiły się procedury podrzędne, rozszerzyły jego umysł, co umożliwiło właściwą ocenę sytuacji. To jedyny sposób, by służyć Lizzie i dzieciom autentyczną pomocą.

Jeśli flota odstrasżająca nie potrafi przełamać pola siłowego, to istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, by flocie się to udało. Zostawali więc agenci i uczeni Frakcji Progresywistów, którzy zbudowali Rój, lub – małe szanse – raiele z „Wysokiego Anioła”. Bez wątpienia w tej krytycznej sytuacji flota i prezydent zwrócą się do „Wysokiego Anioła”, zatem Dostawcy zostawała teraz jedyna opcja: wytropić jakiegoś agenta Progresywistów, który mógł wiedzieć, jak wyłączyć to przeklęte pole. A taki agent wcale nie będzie skłonny udzielić informacji.

Statek osiadł na lądowisku. Pasażerowie pośpieszyli do wyjścia; z ich gajafejsów wyciekała niepewność, zatruwając gajasferę chmurą niepokoju. Niektóre usługi kosmoportu wyłączały się, gdy obsługa wszystko blokowała, by mieć dostęp do bieżących informacji unisfery.

Jakiś prywatny statek już przybył w pole siłowe Układu Słonecznego i przekazywał obrazy potężnego muru więziennego wzniesionego w przestrzeni. Komentatorzy przywoływali zapisy historyczne dotyczące pierwszego kontaktu „Drugiej Szansy” z barierą Alfya Dysona. Snuto mało prawdopodobne analogie.

Dostawca stał w przestronnej i widnej szklano-drewnianej hali przylotów wraz ze zdumionym tłumem podróżnych. Wszyscy byli wpatrzeni w czerwone solidy wiszące nad terminalem wormholu do Tampico. Świeące symbole sprawiały, że cała sytuacja stawała się znacznie bardziej realna niż gorączkowe transmisje unisfery. Ostrzegały, że stary świat planet Wielkiej Piętnastki nie ma już połączenia z Ziemią. O ironio! Preprogramowane symbole radziły, by wybrać alternatywne plany podróży.

– I słusznie – szepnął Dostawca.

Żeby schwycić agenta Progresywistów, najpierw musiał zdobyć poważny hardware i siłę ognia. Jedyne logiczne wnioski. Musiał rozważyć, jakie ma opcje. Jedynym znanym mu agentem Progresywistów posiadającym potrzebne informacje był Marius. A ten przebywał na Fanallisto, gdzie znajdował się magazyn sprzętu wsparcia działalności operacyjnej. I Dostawca miał do tego kody.

– Niech to jasna cholera! – syknął, świadom teraz, jak ogromnie ważną decyzję podjął.

U-adiunkt wszedł do sieci portu kosmicznego, by pobrać rozkład lotów z powrotem na Fanallisto. Przewoźnicy, na wszelki wypadek, już kasowali niektóre połączenia.

I wtedy u-adiunkt zaraportował mu, że Frakcja Konserwatywna otwiera zabezpieczony link.

– Co takiego?

Ludzie stojący w pobliżu spojrzeli na niego dziwnie. Gajaserfą wstrząsnęło zaskoczenie. Bez wątplenia link był autentyczny, miał poprawne wszystkie certyfikaty i klucze kodowe. Dostawca, opanowany, uśmiechnął się blado i przyjął rozmowę.

– Przełamałeś się przez pole siłowe? – spytał.

– Niezupełnie. To jest... porcja tego, co nazywasz Frakcją Konserwatywną. Traktuj mnie jako jej „egzekutywę”.

– Dobrze. A więc teraz możesz się komunikować poprzez pole siłowe?

– Nie mogę. Jestem na zewnątrz pola.

– Ale frakcja jest częścią ZAN.

- Czy moglibyśmy, proszę, pominąć fazę definicji? Traktuj to dosłownie, tu mówi Frakcja Konserwatywna.

- Czy w jakiś sposób można przedrzeć się przez zaporę? Chciałbym porozmawiać z rodziną.

- Nie licz na to. Sukinsyny zdołały odtworzyć technologię Ciemnej Fortecy. ZAN i Ziemia będą przez ten czas na aucie. Teraz zostaliśmy tylko my.

Dostawca zmarszczył brwi.

- „Sukinsyny”? – mruknął pod nosem. Frakcja Konserwatywna tak się nie wyrażała. Procedury podrzędne rozgryzły wyrażenie „być na aucie”: stary termin sportowy. Bardzo stary. – Kim jesteś? – spytał.

- Jak mówiłem: „egzekutywą”. Co? Myślisz, że w ZAN wszyscy jesteśmy równi?

- No... tak. Oczywiście.

- Miła teoria. No dobra, „egzekutywa” jest miła, jednolita i rumiana od miłości wszystkich innych uczestników frakcji. Zadowolony?

- Ale nie możesz być w ZAN.

- Nie. Wziąłem krótki urlop. Na szczęście dla nas obu. Teraz mnie rozumiesz? Zamierzasz pomóc w powstrzymaniu Mariusa i Ilanthe?

- Ponieważ rozumiesz moje nastawienie, chcę od ciebie dowodu na to, kim jesteś. Zanim cokolwiek zrobię.

- Pieprzeni Elewaci, w głębi duszy zawsze jesteście głównianymi biurokratami?

- Do diabła, czym ty jesteś?

- Dam ci dowód na to, czym jestem, ale musisz przyjść i go sobie wziąć.

- Posłuchaj, mój priorytet... w zasadzie moja jedyna troska... to obalenie bariery. Nic innego mnie nie obchodzi.

- Znakomicie. A jak zamierzasz to zrobić?

- Gdzieś we Wspólnocie jest Progresywista posiadający odpowiednią wiedzę. Gdy go wyśledzę, wyciągnę z niego informacje. Jestem gotów użyć metod ekstremalnych.

- Chyba cię błędnie oceniłem. Pomysł nie jest zły. Prawie mnie

skusiłeś.

– Co masz na myśli, mówiąc „błędnie oceniłem”?

– Zobacz, bracie, nie masz prefiksu podwójne-0, prawda? Po prostu dostarczasz nam różnych rzeczy, a ta bzdurna otoczka tajności niskiego poziomu ma szprycować twoje ego.

U-adiunkt Dostawcy nie mógł znaleźć odwołania do podwójnego-0, niczego, co miałoby sens.

– Sprzeciwiałem się przedtem Mariusowi – obruszył się.

– Wypiłeś z nim filiżankę gorącej czekolady. Daj spokój, bądźmy realistami.

– To co proponujesz?

– Po pierwsze, wróc do kosmoportu Purlap i weź statek, który tam porzuciłeś. Uwierz mi, osoba, dla której był przeznaczony, nie będzie go teraz używała. I będziemy potrzebować przyzwoitego hardware’u, żeby w ogóle coś działać.

– Co działać? – Niejasno dodało mu otuchy to, że „egzekutywa” wiedziała o statku. Czyli albo wszystko było autentyczne, albo cała Frakcja Konserwatywna to kupa śmiechu. W tym drugim wypadku Progresywiści nie pogrywaliby z nim w ten sposób. To nie ich metody pracy.

– Jedna rzecz naraz. Idź po statek.

Dostawca znów przejrzał sieć kosmoportu.

– Linie komercyjne odwołują wszystkie loty rozkładowe. Wydaje się, że nie tylko tu. – U-adiunkt przeglądał dane z całej Wspólnoty. Nikt nie chciał latać, skoro gdzieś tam istnieli Progresywiści, nad którymi flota nie miała kontroli.

– Buu! Przed chwilą twierdziłeś, że jesteś gotów użyć wszelkich metod – zauważył Konserwatysta.

– Żeby połączyć się z rodziną.

– To cię połączy, na sto dwa. Teraz pomyśl. Gdzie jesteś?

– Nie rozumiem.

– Jesteś pośrodku kosmoportu, a wokół ciebie trzysta siedemnaście statków aktualnie uziemionych, zgodnie z oficjalnym rejestrem. Wybierz jakiś dobry statek, przejmij go i powieź dupę z powrotem na Purlap. Weź pod uwagę, że jesteś tajnym agentem. Zasłuż na status podwójnego-0.

– Przejąć go? – powtórzył Dostawca.

– Brawo. Dzielny chłopak. Zawiadom mnie, jak się tam dostaniesz. I nie zwlekaj. Marius był na Fanallisto nie bez powodu. A zważywszy na to, co się wydarzyło, musi to być cholernie dobry powód, jeśli go trzyma poza centrum wydarzeń. Marius jest prawie na szczycie ich hierarchii.

Rozmowa skończyła się. W egzowizji Dostawcy świeciła nowa ikona komunikacyjna.

– Przejąć – powiedział do siebie. – No dobrze.

Ruszył przez halę przylotów do wyjścia. U-adiunkt przeglądał rejestr i sporządził krótką listę. Było tu trochę statków floty, w tym parę zwiadowczych – kusity, ale to wymagałoby zbyt wielkiej brawury, a nie chciał doprowadzić do ciałoutrat. Na pewno nie teraz, gdy flota będzie potrzebowała wszelkich aktywów. Zdecydował się na jacht „Lady Rasfay”.

Na zewnątrz panował chłód, na porannym niebie zawisła chmura. Rosa powlekła betonowe pasy i czerwono zabarwiony analog trawy. Warstwa kropli osiadła nawet na kapsule taksówki, którą Dostawca udał się do lądowiska F37, parę mil od głównego terminalu pasażerskiego. Wsiadłszy z kapsuły, zadrżał w chłodnym powietrzu. Dziesięć metrów przed nim „Lady Rasfay” – białoniebieski stożek o owalnym przekroju – leżała na boku niczym starożytna rakieta. Dostawca nigdy nie pojął, dlaczego tak wielu ludzi chciało mieć statki kosmiczne o opływowych kształtach, jakby miały być zdolne do pościgów w atmosferze planety. Ale Duaro, właściciel tego jachtu, najwidoczniej lubił taki wygląd.

U-adiunkt Dostawcy już wykonał rozpoznanie niskiego poziomu sieci statku. Na pokładzie nikogo nie było, a wszystkie systemy prymarne były w trybie wyłączonym. Szybkie skanowanie parametrów napędu potwierdziło to, czego się domyślał na podstawie wyglądu zewnętrznego. Duaro zainwestował wiele AEM-ów i czasu w hipernapęd, który potrafił rozpędzić statek do prędkości nieco ponad piętnastu lat świetlnych na godzinę. Tyle, ile się maksymalnie dało wycisnąć z hipernapędu.

U-adiunkt wprowadził kod urzędu kontroli zdolności żeglugowej do statkowej sieci i śluza się otworzyła. Wysunęły się metalowe schodki. Dostawca wszedł po nich, nie troszcząc się o skanowanie otoczenia, gdyż mogłoby go to zdradzić jako kogoś, kto ma nieczyste sumienie. To było piękne w świecie Elewatów – nikomu nie przychodziła do głowy kradzież; gdy widziano cię, jak wchodzisz do statku, zakładano, że masz do tego prawo. Dzięki EMS-om i technice replikatorowej każdy mógł mieć dowolny przedmiot materialny, więc statku nikomu nie zazdroszczono.

Duaro nie był jednak naiwny. Sieć miała kilka wbudowanych zabezpieczeń. Po milisekundach analizy u-adiunkt przedstawił Dostawcy osiem opcji pokonania ograniczeń i uzyskania bezpośredniej kontroli nad smartkorem.

Czerwone przytłumione oświetlenie rzucało dziwną poświatę na wąską centralną zejściówkę. Jacht miał prosty, niemal staromodny układ, z kabiną pilota na froncie i dwiema kabinami do spania na rufie. Biononika Dostawcy przeprowadziła skanowanie połowe krótkiego zasięgu, by wykryć odpowiednie miejsce, gdzie mógłby fizycznie wejść do węzłów sieci. I wtedy usłyszał namiętne jęki dochodzące z kabiny na lewej burcie.

Drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Wnętrze wyłożone było starożytnym rzeźbionym, cudownie wypolerowanym drzewem tekowym, które pokrywało wszystkie krzywizny i kąty grodzi. Na wąskiej koi leżały dwie splecione postacie.

– Duaro, jak mniemam? – powiedział głośno Dostawca.

Mężczyzna zerwał się gwałtownie. Kobieta pisnęła, pochwyciła gorączkowo jedwabne prześcieradła i się zakryła. Była wyjątkowo piękna – przyznał Dostawca – z płomiennorudą grzywą i piegowatą twarzą. Była też bardzo młoda, Dostawca ocenił, że to jej pierwsze życie.

– Mirain cię przysłała? – spytał szybko Duaro. – Posłuchaj, możemy to załatwić w cywilizowany sposób.

– Mirain? – zastanawiał się głośno Dostawca. Jego u-adiunkt szybko przejrzał profil Duaro. – Masz na myśli swoją żonę Mirain?

Kobieta skuliła się na łóżku i patrzyła nadąsana na partnera.

– Nie do wiary, że zadała sobie aż tyle trudu – gderał Duaro. – To przecież tylko malutki, niewinny skok w bok.

– O, dziękuję – burknęła kobieta.

– Chyłkiem na pokład, zgasić światła, wyłączyć smartkor – wyliczał Dostawca. – To wcale nie wygląda niewinnie.

– Posłuchaj, bądźmy rozsądni...

Dostawca uśmiechnął się szeroko, słysząc ten wspaniały, ponadczasowy komunał.

– Dobrze, bądźmy. Mam ci powiedzieć, czego chcę?

– Oczywiście – odparł Duaro z lekką ulgą w głosie.

– Kodów dostępu do smartkoru jachtu.

– Co?

– Nie podlega negocjacji – oznajmił Dostawca i włączył moc kilku swoich wszczepów bojowych.

Paula Myo – teraz w kabinie statku „Alexis Denken” – nigdy nie doznała takiej traumy. Szok emocjonalny przerodził się w fizyczny: serce jej waliło, ręce drżały, jakby należała do odłamu Naturalnych. Nogi się pod nią ugiwały, ale zdążyła ciężko usiąść na podłodze. Jedyna rzecz w jej egzowizji to rozległa, pusta równina – to właśnie widział „Kabul”, statek klasy Capital, gdy skanował zewnętrznie bariery solarnej. Połączenie przyszło bezpośrednio z Pentagonu II, zabezpieczone, z upoważnieniem dostępu dla Pauli. Nic jednak nie mogła zrobić, oferować żadnej pomocy. Mogła tylko biernie obserwować to największe nieszczęście, jakie przydarzyło się Wspólnocie, od czasu gdy zawaliła się bariera wokół Alfya Dysona. Na tamto wspomnienie w głowie Pauli zrodził się pewien pomysł.

– Czy macie współrzędne przestrzenne komponentów Roju, gdy się zmaterializowały? – spytała admirała Juliaca, zastępcę Kazimira, a teraz faktycznego dowódcę Floty Wspólnoty. – Oryginalna Ciemna Forteca miała otwór na zewnątrz i dzięki temu została wyłączona.

– Celny strzał. To pierwsze, czego spróbował „Kabul” –

powiedział Juliaca. – Nie udało nam się odkryć wybrzuszenia w barierze solarnej, a szuka tam jedenaście naszych okrętów oraz kilka statków cywilnych. Skanowaliśmy zwłaszcza w okolicach komponentów Roju i bariera jest tam idealnie gładka.

– Oczywiście – mruknęła Paula.

Stara, a głupia. To nie mogło być aż tak łatwe. Otrząsnęła się i kazała swojej biononice ustabilizować krnąbrne ciało. Jednakże myśli nadal poruszały się ociężale, jakby w lodzie. Myślałam, że pozbyłam się tego draństwa, gdy się zresekwencjonowałam. W tym samym momencie jakaś mała część jej umysłu besztła ją za zbytnią auto-surowość. Progresywiściom tylko dlatego udało się skutecznie wznieść zapórę, że ZAN poniósł spektakularną porażkę wywiadowczą i analityczną – za co Paula była w dużym stopniu odpowiedzialna. Każdy człowiek, z każdego odłamu, byłby wstrząśnięty aż tak potwornym zamachem stanu. Bo to był zamach stanu.

– A czy mamy pewność, że flota odstrasza ją utkwiała wewnątrz? – spytała Paula.

– Raczej tak. W ogóle nie ma żadnej odpowiedzi od Kazimira – rzekł Juliaca. – Gdyby mógł się z nami skomunikować, zrobiłby to. Dowodził flotą, więc logiczny wniosek, że jest wewnątrz bariery.

Paula monitorowała w pewnym zakresie sądowe konklawe ZAN i wiedziała, że admirał ma rację. Ale...

– Cała flota? To wydaje się nieprawdopodobne. Z pewnością jakiś okręt jest trzymany w rezerwie.

– Chwileczkę – powiedział admirał.

W egzowizji Pauli pojawiła się nowa ikona komunikacyjna o przyjemnym kolorze w porównaniu z widokiem bariery, który paraliżował. Przyjęła rozmowę, przesuwając obraz z „Kabulu” w tryb podrzędny.

– Panie prezydencie – powitała go formalnie.

– Śledcza Myo – odpowiedział prezydent Alcamo. – Cieszę się, że jest pani nadal osiągalna. Przyznam, że potrzebuję teraz konkretnej rady. Bez ZAN jesteśmy żałośnie pozbawieni istotnych informacji.

– Oczywiście zrobię, co się da – obiecała Paula. – Chciałam zasugerować, żeby resztę floty odstrasżającej rozlokowano przy Układzie Słonecznym, by sprawdziła, czy da się przełamać barierę.

– W tym problem – rzekł admirał Juliaca. – Nic nie wiem o flocie odstrasżającej. Żadnych śladów w obiektach floty, żadnego kodu kontaktowego. A sieć floty potwierdziła, że mam władzę dowodzenia.

– Ale z pewnością musieli się z tobą skontaktować? – powiedziała zaskoczona Paula.

– Na razie nie.

– Aha. – Coś do niej zaczynało docierać. Nie było dobrze.

– Paula, czy pani cokolwiek wie o flocie? – spytał prezydent Alcamo.

– Niestety nie, proszę pana. Choć wiem, jak niechętnie ZAN i Kazimir przystali na rozmieszczenie floty. Stąd wniosek, że to w ogóle może nie być flota.

– Jeden statek? – spytał Juliaca.

– To pasuje do obecnej sytuacji. Aż trudno pojąć, żeby w tak kryzysowej sytuacji statki, które jeszcze pozostały, nie próbowały się z tobą skontaktować. Powinniśmy uznać, że istniał tylko jeden i utknął w pułapce wewnątrz bariery solarnej razem z ZAN.

– Uważacie, że jesteśmy bezbronni? – spytał prezydent Alcamo.

– Nie, proszę pana – odparł admirał. – Flota inwazyjna Ocisenów i ich sojuszników alf została unieszkodliwiona, zanim powstała bariera solarne. Nie ma innego bezpośredniego zagrożenia zewnętrznego, a eskadry klasy Capital i Rzeka potrafią odeprzeć każdy znany nam gatunek, jaki mógłby się pojawić w ich zasięgu. Flota odstrasżająca zawsze była po to, by zająć się zagrożeniem poziomu postfizycznego.

– Nasze zagrożenie nie jest zewnętrzne – stwierdziła Paula. – To Ilanthe i to cholerne diabelstwo: rdzeń inwersji.

– Nigdy przedtem o tym pani nie słyszała? – spytał prezydent.

– Nie, proszę pana. Wiemy tylko, że Progresywiści mieli nadzieję osiągnąć coś, co nazywali fuzją z Pustką, by się osobiście

przenieść do statusu postfizycznego. – Wstrzymała oddech i zaczęła analizować sytuację, usiłując przewidzieć następny ruch Ilanthe. – Pozostaje jeden ważny czynnik, który obecnie jest poza naszą kontrolą.

– Araminta – spytał domyślnie admirał.

– Właśnie. Ilanthe i Żywy Sen mogą się dostać do wnętrza Pustki tylko przy pomocy Araminty. Jak ją znajdą, zmuszą ją, by im pomogła.

– Może pani znajdzie ją pierwsza? – spytał prezydent.

– Jest na Chobambie i wygląda na to, że już się dogadała z jakąś frakcją.

– Z którą?

– Nie wiem. Ale prawdopodobnie ich agenci pomogli jej wydostać się z Viotii. Przypuszczam, że tak jak my są zszokowani stratą ZAN. Może będą gotowi na negocjacje. Otwiera się szansa.

– Może to pani zrobić? – spytał prezydent.

– Mogę szybko dotrzeć do Chobamby – stwierdziła Paula.

Czuła rozczarowanie. „Alexis Denken” znajdował się tylko godzinę od Viotii, a Chobamba była pięćset dziesięć lat świetlnych od obecnej pozycji Pauli. Ostatnio gonię od jednego kryzysu do drugiego i za każdym razem przybywam za późno. Tak być nie może, stawka jest zbyt duża. Muszę grać ostrzej, przyspieszyć.

– Dziękuję – powiedział prezydent. – Kiedy ją pani znajdzie, niech ją pani aresztuje. Żadnych uprzejmych próśb. Już minęliśmy ten etap. Pójdzie z panią i nie możemy pozwolić, żeby się sprzymierzyła z innymi. Czy pani to rozumie?

– Doskonale rozumiem, panie prezydencie. Jeśli ja jej nie zdołam przejąć, nikomu innemu na to nie pozwolę. Dopilnuję tego.

– Na pewno, Paulo?

– Z całą pewnością.

– Dziękuję. Admirale, czy jeszcze na jakimś polu możemy dokonać postępów? Czy flota może wyeliminować statek, który przejął rdzeń inwersji?

– Brak danych. To wielki, potężny statek, takiej marki jeszcze

nigdy nie widzieliśmy. Przede wszystkim musimy go znaleźć.

– Ilanthe będzie chciała tego samego, co reszta z nas: Drugiej Śniącej. Prawdopodobnie teraz zmierza ona na Chobambę – stwierdziła Paula.

– Jasne. Admirale, sformuj oddział specjalny z okrętów klasy Capital i wyślij go na Chobambę. Niech zniszczą ten statek – polecił prezydent.

– Nie mieliśmy zbyt wielu informacji z Układu Słonecznego przed pojawieniem się bariery – powiedział admirał. – Przypuszczalnie statek ma pole siłowe oparte na technologii Ciemnej Fortecy. Progresywiści zamierzają za jego pomocą przedostać się przez raelów w Zatoce.

– Słodki Ozzie. Przypuszczasz, że nie zdołacie go przechwycić? – spytał prezydent.

– Prawdopodobnie go znajdziemy, nasze czujniki potrafią spenetrować większość systemów maskowania. Wątpię jednak, byśmy mogli go złapać, przy jego prędkości, która została potwierdzona. I rzeczywiście, nawet jeśli go osaczymy na Chobambie, nasze uzbrojenie nie pokonałoby ich obrony.

– Cholera. Naprawdę wszystko sprowadza się do Araminty?

– Tak się wydaje, panie prezydencie.

Paula powstrzymała się od wyrażenia opinii. Miała swój pogląd, ale nie był on oparty na faktach.

– Panie prezydencie, radzę, by bezpośrednio skomunikować się z „Wysokim Aniołem” – powiedziała. – Jeśli ktoś potrafi się przebić przez barierę zbudowaną w technologii Ciemnej Fortecy, będą to raele.

– Tak. To moja następna rozmowa. Poinformuję was o wyniku.

Bezpieczne połączenie zostało zamknięte. Paula kazała smartkorowi wykreślić trajektorię na Chobambę. Jaskrawa zielona linia zawisła w jej egzowizji, przecinając displej astronawigacyjny i czekając na implementację. Coś kazało Pauli wstrzymać start. Była pewna, że nawet jeśli za dziesięć godzin dotrze na miejsce, i tak będzie po wszystkim. Ci, którzy tropią Aramintę, będą znali jej nowe miejsce pobytu. Gdy tylko Żywy Sen namierzy jej dokładne współrzędne, rozpocznie się

przepychanka, by dostarczyć w ten rejon miejscowych reprezentantów. Albo zespół, który ją ochrania, będzie ją znów ewakuował, albo Araminta wyjedzie z najsilniejszą drużyną komandosów.

Cała sytuacja miała niewiele sensu. Każdy profesjonalista rozumiał, że po doświadczeniu w Parku Bodant Żywy Sen udoskonali swoją technikę poszukiwania. Ci, którzy zawieźli ją na Chobambę, musieli to rozumieć, nawet jeśli nie wiedzieli, jak dobrzy są Mistrzowie Snu Ethana. Najważniejsze, żeby Araminta zniknęła z widoku.

Kto ją tam zawiózł?

Połowa ścigających ją frakcji zabiłaby ją, by przeszkodzić Progresywiście w uzyskaniu przewagi. Większość pozostałych, tych którzy mieli podobne cele i ambicje jak Progresywiści, poszłaby na ugodę. Tymczasem Araminta, śniąc sny Iniga, była najwyraźniej pozbawiona opieki we wszechświecie.

Paula westchnęła. Oczywiście najprostsze wyjaśnienie jest zawsze najmniej prawdopodobne. Ona nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, więc żaden profesjonalny zespół jej nie chroni. No to jak, na Boga, dostała się na Chobambę?

Kazała u-adiunktowi zbierać wszelkie informacje na temat Araminty. Wszystko, co dotychczas zestawiał Liatris McPeierl, pliki z cywilnej bazy danych Colwyn City, zapiski z Langham na temat rodziny i firmy cybernetyki rolniczej, dane finansowe, medyczne (tych było mało, dziewczyna bowiem miała znakomite dziedzictwo Awangardów), akta prawne – głównie na temat przykrego rozwodu prowadzonego przez kancelarię prawniczą kuzynki. Wszystko było dość przeciętne, nic nie różniło jej od miliardów obywateli Światów Zewnętrznych.

Mimo to jest inna. Jest Śniącą. Coś sprawia, że jest niezwykle wyjątkowa. Co? Gore stał się jedną z takich osób, a to niesamowite, bo nikt nie jest osadzony w praktyczności bardziej niż Gore. A jednak on odkrył tajemnicę. Jedynym istniejącym wyjaśnieniem, dlaczego Inigo śnił o Edeardzie, jest to, że byli jakoś ze sobą rodzinnie powiązani. Serce Pauli skoczyło z podniecenia. Tak jak Gore i Justine. Cholera! Ale Araminta śniła o

Władcy Niebios... Paula warczała z frustracji. Biła się dłońmi po skroniach.

– Myśl! Myśl!

Pomińmy sprawę Władcy Niebios. Spójrzmy na rodzinę... U-adiunkt śmignął przez drzewo genealogiczne Araminty, łącząc dane o narodzinach i rejestrowanych związkach partnerskich. Przejrzał całe generacje.

W egzowizji Pauli błysnął plik, część drzewa genealogicznego.

– Cholera! – krzyknęła. Jasne, cudownie proste. Pięć pokoleń wstecz. Nazwisko wyodrębniło się z listy i świeciło w Paulę bez pomocy procedur podrzędnych.

– Mellanie Rescorai – powiedziała zaskoczona Paula. – Właśnie, ponad tysiąc lat, a ona nadal sprawia same kłopoty.

Nawet lepiej, Mellanie została nazwana przyjaciелеm silfenów, jak jej pierwszy mąż Orion. Paula pamiętała to spotkanie sprzed ponad ośmiuset lat, gdy Mellanie kolejny raz składała wizytę we Wspólnocie. Obie zaproszono na jakąś ważną uroczystość polityczną, chyba bal inauguracyjny prezydenta. Kochana dawna Mellanie chełpiła się, że nazwano ją przyjaciелеm. Tamtego wieczoru miała przewagę nad wszystkimi gośćmi, zwłaszcza nad Paulą. Cała Mellanie – słodka dzikuska.

– Mellanie! – Paula chichotała.

Nie wiadomo, jak to działało, nie wiadomo, jak Śniący łączył się z kimś wewnątrz Pustki, było jedno źródło: magia silfenów, a właściwie najbardziej zaawansowana, niesamowita technika w całej galaktyce. Ozzie stworzył gajaserę, korzystając z przyjacielskiego daru od silfenów, a to było całe medium dla snów. Araminta miała przodka przyjaciela silfenów. A Inigo... Kto wie?

Ścieżki! U-adiunkt Pauli przeprowadził kolejne przeszukiwanie. Faktycznie, krążyły opowieści o ścieżce na Chobambie, pośrodku pustynnego kontynentu. I w Lesie Francola, tuż na granicy Colwyn City. Ona nie dołączyła do żadnej frakcji, nie poleciała na Chobambę. Poszła spacerkiem!

Czyli Araminta nadal żyła, dzięki sprytowi i szczęściu, jak mówił Oscar. I dlatego nie miała pojęcia, że Żywy Sen ją znalazł. Trzeba

ją ostrzec, co nie będzie łatwe, gdyż odcięła się od unisfery.

Makrokomórkowe klastry Pauli połączyły ją bezpośrednio z siecią statku. Na pokładzie znajdowała się jednostka pamięci silnie zakodowana. Bardzo silnie. By do niej wejść, Paula potrzebowała wszystkich pięciu kluczy i weryfikacji przez szlaki neuronalne. Przechowywane tam programy gromadzono tysiąc pięćset lat. Programy ostatniej nadziei, zindywidualizowane, stworzone specjalnie na potrzeby śledztw przeciwko najgroźniejszym kryminalistom, handlarzom bronią, politykom. Sama wiedza o istnieniu tych programów była przestępstwem. Żaden z ich twórców nie wyjdzie z zawieszenia przez całe wieki. Tamta Paula, sprzed tysiąca dwustu lat, byłaby zawstydzona, że w przyszłości ona – ta sama ona – zgromadzi taki materiał. Cóż, kilka razy okazał się dość przydatny. Paula wywołała jeden program – nie widniał nawet na żadnej tajnej liście groźnych, zakazanych narzędzi.

Pocałunek Kristabel był subtelny, ale bardzo intensywny, przesycony pożądaniem i miłością.

– Dlatego cię kocham – szepnęła. Bardzo szczerze, bez wątpienia. Bezgraniczna miłość obiecująca szczęście na całe życie. I Edeard w końcu wiedział, że postąpił słusznie.

Araminta westchnęła cudownie ukontentowana. Zmrużywszy oczy, widziała, jak sufit domku hotelowego wysklepia się nad nią. Z kącików oczu płynęły jej łzy, gdy wychodziła z emocjonalnego haju.

– Wielki Ozzie – szepnęła ciągle oszołomiona snem.

Teraz naprawdę zrozumiała, dlaczego Żywy Sen ma tylu wyznawców, dlaczego tak bardzo chcą żyć w Pustce. Podróż w czasie. Ale to nie była podróż w czasie. To resetowanie wszechświata wokół siebie, krańcowy solipsyzm. Ile razy mówiła sobie: „gdybym tylko wtedy wiedziała to, co wiem teraz”. Mając takie zdolności, mogłaby cofnąć się do momentu, gdy spotkała Larila, i wyśmiać jego urok i kuszące obietnice. Odmówiłaby Likanowi i nigdy by nie poszła do jego rezydencji na weekend.

Wróciłyby do wieku nastoletniego i okazała więcej tolerancji rodzicom, wiedząc, że życie ma do zaoferowania znacznie więcej niż tylko pracę na farmie, nie przejmowałyby się tym, że jest skazana na prowadzenie rodzinnej firmy przez całe wieki – a równocześnie w pełni korzystałaby z młodości. Tak jak się powinno korzystać. I dorastałaby naprawdę wolna od żalu do całego świata. We Wspólnocie spotkałaby pana Boveya, który nigdy nie słyszał o Drugim Śniącym.

To było życie – wiele żyć czekających na nią w Pustce.

W tyle głowy czuła nawet myśli Władcy Niebios. Musiała go tylko wezwać. I powiedzieć: „zabierz mnie tam”.

To takie proste. Trzy małe słowa i będą szczęśliwa na zawsze.

Podobne życie oczekiwaliby każdego, kto z nią tam pójdzie. Ale energia, potrzebna do zasilenia takiego egoistycznego spełnienia, pochodziła z konsumpcji reszty Galaktyki. Wszystkie gwiazdy, wszystkie planety, wszystkie ciała biologiczne – to one dostarczały atomów potrzebnych Pustce do rozwoju tych wspaniałych możliwości. To one by zapłaciły cenę.

– Nie mogę. Nie zrobię tego – powiedziały.

Podjęła decyzję i przebiegł ją dreszcz, a serce zatrzepotało. Decyzja zapadła. I nigdy się nie zmieni. Logika i instynkt stanowiły jedność. Właśnie tym jestem. To właśnie sprawia, że jestem sobą.

Usiadła prosto. Na zewnątrz panowała jeszcze ciemność, do świtu zostały jakieś trzy godziny. Musiała się czegoś napić i przyzwyczajenie wyspać, bez marzeń sennych. W termosie zostało trochę herbaty. Araminta sturlała się z łóżka i wtedy na małym ekranie węzła unisfery, na blacie szafki nocnej, zobaczyła przesuwający się czerwony tekst. Mrugając, przeczytała go dwukrotnie.

Od razu zapomniała o herbacie i potrzebie snu. Ukłękła przed szafką i z klawiatury wprowadziła komendę wyświetlenia wiadomości. Gajafejsy Araminty otworzyły się nieco – mogła zobaczyć przerażenie i strach zalewające gajasferę. To nie był żart. Frakcja Progresywiistów uwięziła Ziemię. ZAN przestał istnieć. Reszta Wspólnoty była zostawiona sama sobie. Araminta

wpatrywała się tępo w ekran przez dłuższą chwilę, potem wydobyła kod ze swojej spacji pamięci i wklepała go.

Pojawiła się twarz Larila. Wychudły, wyraźnie zaniepokojony, miał szarą cerę i worki pod oczami.

– O, kurwa, dzięki – chrypiał. – Nic ci nie jest? Szalałem z niepokojem.

Uśmiechnęła się. Tylko w ten sposób mogła powstrzymać łzy.

– Mam się dobrze – zapewniła go łamiącym się głosem.

– I jesteś... – Zmarszczył czoło, kręcił głową, koncentrując się na displeju w egzowizji. – Na Chobambie. Jak się tam dostałaś?

– To długa historia. Uprawdzili Ziemię!

– Wiem. Tylko ZAN mógł ich powstrzymać.

– Tak. Pomógł mi jeden człowiek. Nazywa się Oscar. Bez niego nigdy bym się nie wydostała z Parku Bodant. Powiedział, że pracuje dla ZAN. Powiedział, że mi pomoże. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do niego, poprosić ZAN o pomoc. A teraz co zrobię?

– Zależy od tego, co postanowiłaś. Zamierzasz pomóc Żywemu Snu dostać się do Pustki?

– Nie. Nie dojdzie do tego. Zlikwidują całą Galaktykę.

– Dobra, w takim razie masz trzy wyjścia.

– Mów.

– Poproś flotę o ochronę. Tylko oni mają siłę ognia, która może się przeciwstawić Progresywiście.

– Tak. Dobry pomysł. Co jeszcze?

– Ten jakiś tam Oscar. Jeśli pracuje dla ZAN, to powinien móc cię ochronić przed Żywym Snem. Dysponuje na pewno środkami, jakich inni nie mają.

– A ostatnie?

– Trzymaj się frakcji, która jest oponentem Progresywiście i Żywego Snu.

– Ale żadne frakcje nie zostały.

– Są zamknięte wewnątrz bariery solarnej, ale ich agenci nadal są tu gdzieś we Wspólnocie. I wszyscy cię szukają. Mogę z kimś podjąć negocjacje w twoim imieniu. Niech cię zabiorą w bezpieczne miejsce, gdzie nikt cię nigdy nie znajdzie.

– A potem co? Stale uciekać... to niczego nie rozwiązuje. To się musi skończyć.

– Droga Araminto, nie ma „końca”. Pustka jest tu od miliarda lat. Raiele nie mogli się jej pozbyć, Wspólnota na pewno też nie może.

– Ktoś będzie to potrafił. Musi być jakiś sposób.

– Może ZAN to wiedział.

– W końcu uwolnią Ziemię, prawda? – Nagle poczuła strach. – Myślisz, że spróbują? Muszą spróbować.

– Tak, oczywiście. Zabiorą się naprawdę ostro do roboty. Reszta Wspólnoty, a na pewno Światy Wewnętrzne, mają wiele talentów, dużo możliwości i środków, nawet nie wiesz, jak dużo. Obalą barierę.

– W takim razie dobrze. – Próbowала sama się przekonać. – Wybiorę tę opcję. Zadzwońię do Oscara.

Laril uśmiechnął się blado.

– Moja Araminta. Chcesz, żebym zadzwonił do niego w twoim imieniu?

– Proszę. – Skinęła głową. – Boję się i nie chcę wchodzić do unisfery.

– Dobrze. Masz kod do niego?

– Tak. – Zaczęła wprowadzać kod.

– To dobrze. Wykonam...

Obraz na ekranie zmienił się w siekaninę niebieskich i czerwonych plamek.

– Laril! – zawołała.

Plamki zawirowały, a potem ukazał się jasny, zielony napis: Araminto, proszę, pobierz to.

Cofnęła się szybko.

– Nie. Co to takiego? Co się dzieje?

– Araminto – odezwał się spiker węzła. Głos kobiecy, spokojny, stanowczy. – To wiadomość rozproszona do cybersfery Chobamby. Dostają go wszystkie węzły i przekażą pod każdy kod adresowy, przez chwilę wiadomość zostanie zachowana, potem wyczyszczona. Miejmy nadzieję, że zdąży do ciebie dotrzeć. Nie celuję precyzyjnie do ciebie, bo nie wiem, gdzie dokładnie jesteś.

Żywy Sen odkrył, że jesteś na Chobambie, ale dotychczas nie określili ściśle twojej pozycji. Nie używaj ponownie gajASFery, dysponują bardzo wyrafinowanymi procedurami śledzącymi w gniazdach konfluencyjnych. Poszukuje cię kilka zespołów o wzmocnionej sile bojowej, tacy sami ludzie dokonali masakry w Parku Bodant. Musisz natychmiast stamtąd uciekać. Radzę, żebyś wróciła tą samą ścieżką, którą się tu dostałaś. Jest dość bezpieczna. Nie ociągaj się. Teraz najważniejszy jest czas. Pewni ludzie przygotowują dla ciebie pomoc. Flota Wspólnoty ma potencjał, by cię chronić. Poproś ich o pomoc. Idź już.

Patrzyła na węzeł z niedowierzaniem. Na ekranie pozostały zielone napisy, rzucając bladą poświatę na ciemny pokój.

– Och, słodki Ozzie! – pisnęła żałośnie. Wiedzą, gdzie jestem. Każdy wie, że tu jestem. Kobięcy głos słusznie radził. Trzeba uciekać. Ale dotarcie do miejsca, gdzie rozpoczyna się ścieżka przez pustynię, zajmie wiele godzin.

Rozejrzała się po wnętrzu. Początkowe uczucie paniki przechodziło w desperację. Widziała swoje zakupy: sprzęt do wędrowki po ścieżkach między światami. Był ciężki, nie ujdzie z tym daleko, nie da się z tym biec. Potem spojrzała na opakowania po jedzeniu od Smokey James – nie zdążyła ich jeszcze wyrzucić do śmieci. I wpadła na pewien pomysł.

Musiała przyznać, że Smokey James to dobra firma. Była trzecia nad ranem, a oni w dwadzieścia minut dostarczyli jej pizzę, frytki i termos kawy. Ranto podjechał pod domek dziwnym urządzeniem – Araminta pierwszy raz coś takiego widziała. Absurdalnie prymitywny pojazd trójkołowy, najwyraźniej praprapradziadek nowoczesnego trycykla, wyglądał na bezpieczny. Miał skórzane siodełko zawieszone pośrodku otwartej węglowej ramy z licznymi śladami łataniny, na rozpórkach guzy epoksydowych przyklepców. Koła o napędzie osiowym łączyły z ramą długie magnetyczne amortyzatory niepasujące do konstrukcji. Ranto sterował pojazdem ręczną kierownicą o barwie oranżu chromowego. Araminta, nieco

zniechęcona, domyśliła się, że to konieczność, a nie wybór. Pojazd nie miał żadnych inteligentnych funkcji napędu ani nawigacji.

Chłopak zszedł z pojazdu i wydobyl z sakw za siodełkiem pudło z pizzą.

Wreszcie jakiś plus, pomyślała Araminta. Zmieści się tam cały mój sprzęt.

– Proszę – powiedział z uśmiechem nieszczęśnika zmuszonego do nocnej pracy za najniższą stawkę.

Araminta była pewna, że nastoletni Ranto nie ma dziedzictwa Awangardów. Na ponurej plamistej twarzy wyróżniał się długi nos, który nie dodawał urody. I choć chłopak był już wysoki, nadal rósł i tykowane ramiona i nogi wyrastały z dziwnie chudego torsu. Z jej punktu widzenia to była okoliczność sprzyjająca – chłopak nie miał zapewne klastrów wielokomórkowych. Nie mógł się połączyć bezpośrednio z unisferą.

Wzięła od niego pudło.

– Dzięki. – Podąła mu monetę. – Ile za ten trycykl?

Nieśmiały uśmiech Ranto zmienił się w wyraz niedowierzania.

– Co?

– Ile?

– To mój trycykl – zaprotestował.

– Wiem. Jest mi potrzebny.

– Po co?

– Nieważne. Po prostu go potrzebuję. Natychmiast.

– Nie mogę sprzedać swojego motoru. Sam go naprawiłem.

– Jest twój, więc możesz go sprzedać. A tu mamy rynek sprzedawcy. Taka okazja więcej się nie powtórzy.

Spojrzał na trycykl, potem na dziewczynę i znów na trycykl. Araminta niemal słyszała, jak pracuje jego mózg, trybiki zaskakują pod wpływem niezwykłego napięcia. Policzki chłopaka poczerwieniały.

– Mógłbyś sobie kupić nowy – kusila go delikatnie.

Przez chwilę wyobraziła sobie, jak Ranto robi rundę na jaskrawoczerwonym sportowym pojeździe o lewitujących

kołach. No, skup się! Jeśli chłopak nie zechce się rozstać ze swoim motorem, miała w odwodzie, w swojej spacji pamięci, nieuzbrojone procedury walki; załadowała je dawno temu, gdy zaczął się jej przykry rozwód i w Cowlyn City musiała chodzić po dzielnicach o złej reputacji. Naprawdę nie chciała ich używać. Przede wszystkim nie ufała im. I sobie. Ponadto uderzenie kogoś takiego jak Ranto byłoby jawnym okrucieństwem. Ale zrobię to. Jeśli będę musiała. Mam znacznie ważniejsze sprawy niż jego duma. Przerzuciła indeks spacji do egzowizji, by szybko wywołać procedurę.

– Pięć tysięcy franków Chobamby – oznajmił Ranto nerwowym tonem. – Za mniej nie mogę go sprzedać.

– Umowa stoi. – Araminta wyciągnęła w jego stronę kartę gotówkową.

– Naprawdę? – Zaskoczyła go jej natychmiastowa zgoda.

– Tak. – Autoryzowała pieniądze.

Rento mrugał zaskoczony, gdy jego własna karta zarejestrowała przelew. Wtedy się uśmiechnął. Wyglądał przy tym dość ujmująco.

Araminta wsunęła plecak do otwartej sakwy.

– Jak się tym jeździ? – spytała oszołomionego nastolatka.

Trenowała na szerokiej drodze przed motelem. Ranto biegał wokół i wykrzykiwał instrukcje, wymachując nerwowo rękami. Po kilku minutach załapała, o co chodzi. Kierownica z ręcznym pokrętłem gazu i aktywatorem hamulców – Araminata musiała się naprawdę skoncentrować przy hamowaniu. Całe życie używała pojazdów z automatycznymi hamulcami. Po paru próbach, które się omal nie zakończyły katastrofą, przyhamowała zbyt ostro i prawie wyrzuciło ją z siodełka.

– Nie ma tu żadnych systemów bezpieczeństwa?! – krzyknęła do Ranto, robiąc kolejny zakręt.

Wzruszył ramionami.

– Prowadź bezpiecznie – zasugerował.

Po kolejnych trzech rundach nauczyła się prowadzić

bezpiecznie i ruszyła jedyną drogą z Milowej Głębi. Ranto machał jej na pożegnanie. Widziała go w małych lusterkach wystających z kierownicy. Pojazd nie dawał dookólnego obrazu z sensorów – nie miał w ogóle żadnych sensorów. Na tle zielono oświetlonego budynku recepcji motelu widziała tykowanego chłopaka z wyciągniętą ręką i wyrazem żalu na twarzy.

Skoncentrowała się na drodze, którą szła poprzedniego dnia. Reflektory pojazdu oświetlały drogę szerokim różowawym wachlarzem. Dobre i to, ale w cieniach Araminta niewiele widziała, a latarnie stały coraz rzadziej, gdy szlak wspinał się na ścianę krateru. Aktywowała wszystkie swoje bioniczne wzbogacenia optyczne, wywołała programy analizy i rozdzielczości obrazu. Teraz miała znacznie lepszy wzrok, nie była całkowicie zależna od reflektorów.

Gdy zostawiła za sobą ostatnie domy miasteczka – i udało jej się nie przewrócić, nie rozbić, pojazd się nie popsuł – podkręciła gaz i zwiększyła prędkość. Napęd kół pracował gładko, a zawieszenie okazało się znacznie stabilniejsze, niż przypuszczała. Najgorszy był wiatr: łopotał kurtką i kłuł w oczy. Powinna nosić jakieś okulary. W plecaku miała parę dużych okularów słonecznych, ale nie chciała się zatrzymać, by je wyjąć. Cały czas miała w głowie ostrzeżenie nieznanego kobiety.

W pięć minut dojechała na szczyt krateru. Ostatnie latarnie stały w miejscu, gdzie poprzedniego dnia zrzuciła nosiłki z butlami. Kusiło ją, by je zabrać, ale akurat teraz sentymentalne odruchy oznaczałyby ewidentną głupotę. Podkręciła gaz i zjechała ze stoku ku pustyni.

Gdy znalazła się poza zasięgiem miejskiego światła, wyłączyła reflektor. Jej procedury rozdzielczości dawały przyzwoity, szarzielony widok długiej, prostej drogi. Czuła się na tyle pewnie, by pruć przed siebie z tą samą prędkością. Przecież nic innego tędy nie jechało. Widziała drogę aż po horyzont, a wzmacniacze wzroku dawały jej obraz jasno świejących gwiazd za zasłoną drżącego ciepłego pustynnego powietrza.

Zjazd ze stoku do podnóża krateru trwał sześć minut. Malutki displej trycykla pokazywał prędkość stu kilometrów na godzinę.

Miała wrażenie, że jedzie pięćsetką. Wiatr cały czas dmuchał jej w twarz, a ubrania powiewały z tyłu. Wystawiła zęby na prąd powietrza i w zasadzie podobała jej się ta jazda. Czy Ranto przychodzi tu z przyjaciółmi wieczorami i urządzają sobie wyścigi? Gdyby w młodości, na farmie, ona i koledzy mieli takie maszyny, życie byłoby znacznie weselsze.

I mogę je mieć. W Pustce.

Skrzywiła się. W zasadzie, nie, nie mogę. Przestań tak myśleć, to słabość, a poza tym Pustka nie ma bardziej zaawansowanych urządzeń technicznych.

Ten trycykl to przecież nie było urządzenie techniczne. Bateria pod siodłem buczała, gdy napęd czerpał energię. Coś w lewym tylnym kole trzaskało podczas obrotu – zjawisko niemożliwe przy beztarciowych łożyskach. Opony warkotały na zwirowatym betonie. Może to rzeczywiście się sprawdzi na ścieżkach silfenów?

Pustynna droga nie miała żadnych punktów orientacyjnych, a na poboczu – nie było żadnych charakterystycznych elementów. Araminta nie widziała, gdzie odchodzi trakt boczny. Zresztą co to za trakt, zaledwie ślad kolein na twardym gruncie. Nie dostrzegłaby ich w nocy nawet w świetle reflektora. Sięgnęła więc tam umysłem, choć trochę się bała, że przekazując w ten sposób swoje myśli, ułatwia pogoń Żywemu Snowi. Okazało się jednak, że różnica między gajasferą a wspólnotą silfenów jest bardzo wyraźna, więc Aramincie udało się skrupulatnie unikać gajasfery.

Ścieżka silfenów czuła Aramintę, tak jak Araminta czuła ścieżkę. Gdzieś z przodu, przy drodze, ścieżka otworzyła się w pełni jak zakwitający kwiat. Araminta przyhamowała i ostrożnie zjechała w bok. Pustynia była usiana małymi kamieniami i gdy przednia opona się z nimi zderzała, zbaczała z toru. Araminta musiała mocno trzymać kierownicę, aż ramiona bolały ją z wysiłku, a na czoło i plecy wystąpił pot.

Wtem w czystym, pustynnym powietrzu usłyszała dudnienie ponaddzwiękowe, grzmot, który ranił uszy. Przestraszona odwróciła głowę. Szczyt krateru, rozjaśniony mglistym światłem

leżącego w dole miasta, tworzył łagodny nimb muskający ciemne nocne niebo. Na tle obcych gwiazdozbiorów zobaczyła, jak ku samotnej Milowej Głębi opadają migoczące łuki jasnego, fioletowego światła. Było ich sześć czy siedem.

- O, cholera - burknęła i mocniej podkręciła gaz. - Znowu to samo.

Trycykl wierzgał na chropawym gruncie. Łamał po drodze suche krzaki, kolczaste gałązki wchodziły między szprychy i młóciły, młóciły, a ich ostre końce smagały Aramintę po butach. Musiała wkładać wiele wysiłku w to, by nie zbaczać z drogi. Trycykl walczył o każdy ruch.

Dudnienie oznajmiło o przybyciu kolejnych kapsuł z wielką prędkością. Araminta spodziewała się, że w każdej chwili niebo może rozbłysnąć ogniem laserów - powtórka z Parku Bodant. Pojazd gwałtownie podskakiwał. Słyszała, jak wyją napędy osiowe. Przednim kołem zarzucało. Wystarczyło zwolnić, ale wtedy już czuła, jak ścieżka mknie ku niej jak czołowa fala zbliżającego się przyływu.

Trycyklowi brakowało mocy. Lekki skok, potem znów spadek. Na kierownicy migwały bursztynowe światełka. Araminta nie wiedziała, co oznaczają. Zdławiła silnik i cudaczny pojazd zaczął się toczyć swobodnie po niewysokiej pochyłości ku korytu dawnego, wijącego się potoku. Kierując, musiała tylko unikać kamieni i głązów.

Gdy wjechała na miękkie, piaszczyste dno strumienia, trycykl nie miał już mocy i łagodnie się zatrzymał. Nic nie działało: ekran zamarł, bursztynowe światełka zgasły, kręcenie przepustnicą nie potrafiło ożywić silnika.

Araminta pozostała na siodelku przez długą chwilę, czekała, aż ustąpi skurcz w barkach i ramionach i minie napięcie. Tyłek ją bolał. Siodelko zdecydowanie powinno być miększe. Mimo to z uśmiechem patrzyła na pojazd.

Zdążyłam. Wywiózł mnie ten gruchot.

Bez wątpienia była poza Chobambą.

Powoli zeszła z trycykla. Przycisnęła pięści do krzyża i jęknęła, gdy kręgosłup zatrzeszczał. Twarz miała ogorzałą od ostrego

wiatru. Drobiazg. To absurd, ale była z siebie zadowolona, że znów udało jej się uciec prześladowcom. Wiedziała, że głównie zawdzięcza to szczęściu, choć i sobie samej musiała oddać sprawiedliwość. Gdy dostała ostrzeżenie, zareagowała prawidłowo, stosownie do sytuacji.

I ta kobieta potwierdziła, że jeszcze inni ludzie próbują mi pomóc, nie tylko ona; w Parku Bodant pomógł mi ten Oscar. Tamto wydarzenie dało jej wiele nadziei. Wiedziała jedno: to koniec ucieczki. Nie miała jednak przed sobą żadnych łatwych opcji, czekania na czyjeś działanie. Wszystko zależy teraz ode mnie. Tej myśli towarzyszył niepokój z domieszką strachu. Ale również z dozą satysfakcji. Teraz muszę tylko znaleźć ludzi, którzy są przeciwni Pielgrzymce, i stanąć przy nich.

Wyjęła plecak z sakwy bocznej trycykla, zarzuciła go na plecy i ruszyła korytem strumienia. Nie musiała się nawet zastanawiać, bo to była właściwa droga.

Po godzinie marszu buty zaczęły się zapadać w piasek, z każdym krokiem coraz bardziej mokry. Na brzegach rosła trawa. Nadal było ciemno i wzbogacony wzrok nie dawał wyraźnego obrazu, ale Araminta jednego była pewna: obszar pustynny się skończył. Na skraju pola widzenia dostrzegła zarys drzew.

Buty zostawiały w papkowatym gruncie głębokie ślady i natychmiast wypełniała je woda. Koryto strumienia nie było tu piaszczyste, tylko pokryte delikatną glebą. Kamienie na brzegach porastał mech. Wydostała się na górę i teraz szła wzdłuż parowu. Drżała w chłodnym powietrzu, więc ustawiła włókna termalne polarowej kurtki w tryb zachowania ciepła ciała. W korycie strumienia pojawiła się płynąca woda. Wysoko w górze wielkie, gęste skupiska gwiazd wypełniały niebo: królewskie plamy srebrzystego migotania o wiele bardziej imponujące niż niebo widziane skądkolwiek we Wspólnocie. Araminta uśmiechnęła się na tę myśl.

Potok stawał się coraz szerszy i głębszy; już nie strumyczek, lecz szeroki nurt bulgoczący wesoło przy na wpół zanurzonych gałęziach. Gęstniejące drzewa wyrzucały w noc długie gałęzie, przesłaniając gwiazdozbiory. Do potoku dołączył nowy strumień.

I wtedy Araminta usłyszała pierwsze wątki pieśni. Silfeni byli gdzieś w pobliżu, wyczuwała ich i słyszała. Proste harmonie przemykały wśród drzew, były częścią leśnych ostępów, jak powietrze. Przystanąła, wchłaniając melodię, jakby wąchała jakieś niezwykle przyjemne aromaty. Czarowne dźwięki wznosiły się i opadały we własnym rytmie, sięgały bardzo wysoko; ludzkie gardło nie potrafiłoby wydobyć takich tonów.

Jak śpiew ptaków, pomyślała, stado ptaków śpiewających hymn.

Z uśmiechem ruszyła dalej, trzymając się brzegu strumienia teraz tak szerokiego, że można by go nazwać rzeką. W umyśle Araminty narastała jakby narkotyczna błogość. Tym razem ich spotka. Na pewno.

Powoli jaśniało. Po obu brzegach wzbierającej wody sylwetki rozkołysanych drzew rysowały się czernią na jasnoszarym, pastelowym niebie. Rozległe skupiska gwiazd blakły z szacunku przed wschodzącym słońcem. Rosa pokrywająca trawę i niskie paprocie, przyskała na buty Araminty, która szła z uśmiechem, choć wiedziała, że ten czas relaksu i ulgi nie potrwa długo.

Las się nagle skończył i Araminta aż westchnęła zaskoczona cudowną panoramą. Stała wysoko na skraju płaskowyżu przechodzącego w pierwotny krajobraz. W krystalicznie czystym powietrzu sięgała wzrokiem chyba na sto pięćdziesiąt kilometrów. Z dwóch stron wyrastały pokryte śniegiem góry, na wprost ciągnęły się falujące wzgórza i doliny porośnięte bujnymi lasami. Poranna mgła delikatnie spowijała pagórki, pokrywając głębsze niecki jakby żywym płynem. Wstążki strumyków migotały, skrzyły się na stokach gór, tysiące dopływów spletały się w szersze, ciemniejsze rzeki. Wodospady leciały setki metrów w dół z poszarpanych urwisk i rozpadlin i lądowały u stóp gór.

– Ojej! – szepnęła zachwycona.

Czerwonawe słońce wznosiło się na niebie, rzucając przez góry snopy światła, omiatające wspaniały krajobraz.

Słyszała muzykę – crescendo madrygału. Czekwała cierpliwie na eskortę. Rozglądała się dokoła: z lasu wynurzali się silfeni na wielkich, kudłatych bestiach. Patrzyła zafascynowana. Około

czterdziestu elfów prosto z głębin ludzkich tradycji ludowych. Jak w legendach: wysocy, o długich nogach i rękach i torsach proporcjonalnie krótszych niż u człowieka; płaskie twarze o szerokich, kocich oczach nad małymi nosami; usta owalne, bez szczęki, zamiast tego trzy koncentryczne kręgi ostrych zębów, które poruszały się równo, szatkując jedzenie, przesuwające się potem do przełyku.

Każdy miał na sobie prostą tunikę, połyskującą metalicznie, mocno ściśniętą w talii złotym, wysadzonym klejnotami pasem; na ramieniu spinała ją wielka broszka z kamieniem szlachetnym świecącym niesamowitą zielenią. Na tuniki mieli narzucone kamizelki z błyszczącej białej siatki.

Gdy podjeżdżali kręgiem do Araminty, ich chóralna pieśń falowała radośnie. Ziemia drżała pod kopytami cwałujących bestii. Jeden z silfenów – noszący szkarłatną siatkową kamizelkę – wstrzymał wierzchowca, pochylił się nad Aramintą i wyciągnął ku niej dłoń. Bez wahania podała mu rękę.

Z nadzwyczajną siłą podniósł ją i umieścił w dużym siodle przed sobą. Jedną ręką otoczył ją opiekuńczo. Spojrzała na jego czteropalczystą dłoń spoczywającą na jej brzuchu. Odchylił głowę i wydał przejmujące trele. Wierzchowiec tak energicznie skoczył naprzód, że Araminta aż się roześmiała. Pogalopowali w las.

Była to dziwna i cudowna jazda. Każdy ruch wielkiej bestii wydawał się ociężały, a jednak mknęli szybko. Zmysły Araminty się wyciszyły. Obserwowała zwierzę: rudawobrązowe futro, gęste i poskręcane jak u barana, sześć grubych nóg, jego chód był nieco chwiejny i Araminta kołysała się w siodle. Głowa zwierzęcia podskakująca z boku na bok na szerokim, umięśnionym karku była wielka jak całe ciało Araminty. Ze swego miejsca dostrzegła, że zwierzę ma dwoje uszu po każdej stronie i dziwaczne kostne wypukłości zakrzywiające się do tyłu znad oczu, zakończone na górze wiązką zielonych piór. Mogła to być ozdoba, fragment barwnej uprzęży składającej się z mnóstwa pasków.

Kawalkada rozciągnęła się, jeźdźcy śpiewali do siebie, pędząc

galopem. Przemierzali rzeki i nie zwalniając, wjeżdżali na wzgórze. Przez cały czas tej upojnej jazdy Araminta, roześmiana, trzymała się mocno, przywarłszy do silfena.

W końcu wyjechali z lasów nad rozległe jezioro. Po jego spokojnej powierzchni wiły się macki mgły. W srebrnym połysku były widoczne stożkowate wysepki o pomarszczonych, porośniętych mchem brzegach, do których przywarły smukłe drzewa. Nieco dalej, z nawisłej grani opadał wodospad. Widok tej doskonale spokojnej scenerii wywołał w Aramincie radość, że takie miejsce w ogóle istnieje.

Na rozległym trawiastym brzegu silfeni rozbili obóz. Tysiące dziwnych obcych i egzotyczne zwierzęta wierzchowe – dziesiątki rozmaitych gatunków. Pełno namiotów z błyszczącej tkaniny. Jeden z nich właśnie się wznosił – siedem oddzielnych kawałków materiału, każdy o barwie podstawowej, wzlatywało w górę, aż na wysokości dwudziestu stóp splotły się w zawężoną kokardę, brzegi płacht się połączyły i oto bez żadnej podpory stała konstrukcja niczym zastygła tęczą. Między namiotami płonęły ogniska, przy nich rozpostarto dywany – przygotowano największy piknik w Galaktyce. Z wielkich koszy, którymi objuczono zwierzęta, silfeni wypakowali duże srebrne i złote półmiski z bajecznymi potrawami. Równie bajeczne były kryształowe butelki pełne barwnych napojów. Wielu silfenów tańczyło już wokół ognisk; śpiewali wysokimi głosami we własnym rytmie. Ich ręce i nogi wydawały się patykowate, ale miały chyba dwukrotnie więcej stawów niż ludzie i poruszały się bardzo zwinnie. Wielu tak dynamicznych ruchów człowiek nie potrafiłby wykonać.

Jaka szkoda, pomyślała Araminta, gdy silfen, z którym jechała, opuścił ją na ziemię. Pragnęłaby dołączyć do zabawy. Gdy dotknęła stopami gruntu, obcy ruszyli ku niej tłumem. Cofnęła się. W powietrzu rozbrzmiały kuranty śmiechu. Pozbawione drwiny, przychylne, zachęcające. Serdeczne.

Nerwowo się wszystkim pokłoniła. Odpowiedzieli jej wspólnie formalnym ukłonem. Giętcy i pełni gracji kłaniali się z większą elegancją niż ona.

Dwójka z nich wystąpiła naprzód. Ich owalne usta otwały się w uśmiechu – jak sądziła – choć tylko odsłoniли swoje nieprzyjemne, ostre zęby. Araminta pomyślała, że to prawdopodobnie kobiety. Wszyscy silfeni mieli gęste, długie włosy ozdobione koralikami i biżuterią. Długie warkocze wiły się, gdy kobiety wysuwały do niej ręce. Pozwoliła się prowadzić. Umysły kobiet jaśniały ciepłem i życzliwością tak intensywnie, że ich emocje się udzielały. Zaproponowano jej jedzenie – misterne kruche ciasteczka owinięte w zielone liście. Ugryzła kęs; kruszonka musowała w przełyku.

– O, rety!

Silfeni zaśmiali się, widząc, że jej smakuje. Podano jej kryształową butelkę – napiła się. Płyn na pewno zawierał alkohol i jeszcze coś. Inne przekąski – idealnie uformowane ciastka i słodczyce ociekające miodem i sokiem – wyglądały apetycznie i równie dobrze smakowały.

Grupa silfenów zaintonowała szybką pieśń wibrującymi głosami. Araminta zaczęła się kołysać w rytm melodii. Jedna z kobiet ujęła ją za ramię i zatańczyła z nią. Potem Araminta zatraciła się wśród oszalałymi kolorowych obcych ciał, które wirowały i śmigły wokół niej.

Przechodziła od grupy do grupy, jadła, piła. Dużo. Drinki odurzały, ale nie zamazywały zmysłów, przeciwnie – całe to niezwykle święto odbierała bardzo intensywnie. Taniec za tańcem z dziesiątkami silfenów. Kręciło jej się w głowie z radości, wszystkie mięśnie drżały z przemęczenia.

Wiedziała, że to szaleństwo, że powinna dotrzeć do jakiegoś świata Wspólnoty, by coś zrobić ze swoim niechcianym dziedzictwem. A jednak czuła również, że to, co robi teraz, też jest właściwe. Jej ciało i umysł potrzebowały błogiej, świątecznej idylli, by mogły odzyskać siły i spokój po wydarzeniach kilku poprzednich dni. Silfeni jej pomagali, pokazali w osobliwy sposób, że nie jest sama, wzmocnili w niej duchową wspólnotę z ich cennym Ostrowem Matki.

– Muszę usiąść – powiedziała im po pewnym czasie.

Wiedziała, że nie mówią w żadnym ludzkim języku, nie

interesują się innymi formami komunikacji poza swoją dziwną mową złożoną z gruchania, szczebiotów i treli, które przekazywały tylko najpłytsze znaczenia. Eksperci Wspólnoty, badacze kultur obcych, stwierdzili, że trudno im pojąć kaprysy. Rzekomo świadczyło to o zupełnie innym procesie neuronalnym niż charakterystyczna dla człowieka tępa racjonalność.

A jednak jej gospodarze zrozumieli, o co prosiła, i zaprowadzili ją do jednego z tęczowych namiotów. Tam z ulgą usiadła na poduszkach. Zajęło się nią sześciu czy siedmiu silfenów. Luksus. Bez protestu się temu poddała. Zdjęli jej buty, a gdy zobaczyli na stopie sztuczną skórę, zaczęli sympatyczne, niemal po ludzku gruchać. Mocne palce masowały jej ramiona i plecy. Silfeni mieli inną niż ludzie fizjologię, ale wyraźnie byli ekspertami od struktury ludzkich kości i mięśni. Araminta mruczała z ulgą, gdy z ciała uchodziło napięcie. Na zewnątrz festiwal trwał nadal, z czego się cieszyła – nie chciała być psujem nastroju. Jedna z kobiet podała jej butelkę wyrzeźbioną z jakiegoś złotego kryształu. Araminta napiła się. Płyn, prawie jak woda, chłodny i pełen bąbelków, bardzo ją odświeżył. Dwóch innych silfenów czekało z półmiskami delikatesów.

– W klubach w Cowlyn nigdy tak świetnie nie było. – Westchnęła z zadowoleniem.

– To prawda – powiedział ktoś po angielsku z mocnym akcentem.

Araminta drgnęła zaskoczona. Odwróciła się, by zobaczyć, kto to mówi. Trzej usługownicy masażysty przerwali masowanie i przyklękli wokół niej.

W namiocie stał silfen o skórzastych skrzydłach, jego ciemny, łuskowaty ogon ślizgał się na wszystkie strony jakby w wyrazie wzburzenia. W umyśle Araminty pojawił się dreszcz niepokoju. Takie postaci pojawiały się w legendach ludzi w złych kontekstach.

– Kim jesteś? I dlaczego masz niemiecki akcent? – zapytała.

– Bo jest idiotą – wyjaśnił inny silfen. – I zupełnie nie rozumie naszej psychiki.

Araminta znów drgnęła, czując się głupio. Inny skrzydlaty silfen

patrzył na nią z góry. Miał na sobie miedzianą togę z hebanowym pasem. W kasztanowych włosach widniały pasemka siwizny na skroniach. Jego spokojny ogon zakrzywił się, nie dotykając ziemi.

- Pieprz się - rzucił w jego stronę pierwszy uskrzydłony silfen.

- Przepraszam za swojego przyjaciela - rzekł drugi. - Jestem Bradley Johansson, a ten to Tancerz Chmur. Silfeni nazwali go przyjacielem ludzi.

- O! - Tylko tyle zdołała z siebie wydusić Araminta.

- Taaa, miło cię poznać, panienko - powiedział Tancerz Chmur.

- O! - powtórzyła. - Bradley Johansson to nazwisko ludzkie.

- Tak. Kiedyś byłem człowiekiem. Dość dawno temu.

- Kiedyś dawno...?

Otworzył owalne usta; wąski język wibrował, gdy silfen zaśmiał się niemal po ludzku.

- Długa historia. Jako człowiek byłem nazywany przyjacielem silfenów.

- O! - Pojawiło się wspomnienie okropnych lekcji historii u pana Drixela. - Słyszałam o Bradleyu Johanssonie, uczestniczyłeś w wojnie Gwiazdokrąży. Wszystkich nas uratowałeś.

- O, bracie - zrzędził Tancerz Chmur. - Dzięki, córko przyjaciółki. Przez dekadę będzie nie do zniesienia.

- Zrobiłem, co do mnie należało - stwierdził Bradley Johansson skromnie. Koniuszek ogona smagnął energicznie.

Araminta oparła się o poduszki i skrzyżowała nogi. Czowała radość. Wiedziała, że na pewno uzyska odpowiedź. Wiele odpowiedzi.

- Jak mnie nazwałeś?

- Nawiązał do twojego znamienitego przodka - wyjaśnił Bradley Johansson.

- Mellanie? - Może to jej wyobraźnia, ale Araminta była pewna, że śpiewy na zewnątrz namiotu stały się bardziej intensywne z szacunku dla wspomnianego imienia.

- Tak, ona - potwierdził Tancerz Chmur.

- Nigdy jej nie spotkałam.

- Jedni ludzie mają szczęście, inni nie. Taka wasza dola.

– Czy teraz jest silfenem?
– Dobre pytanie. Zależy, jak definiujesz tożsamość.
– To brzmi bardzo... egzystencjalnie.
– Pogódź się z tym, panienko. My jesteśmy panami egzystencjalizmu. Do cholery, wymyśliliśmy to pojęcie dawno temu, gdy wasze DNA próbowało wyzwolić się z etapu mięczaków.

– Nie zwracaj na niego uwagi – rzekł Bradley Johansson. – On zawsze taki jest.

– Dlaczego tu się znalazłam?

– Chcesz egzystencjalnej odpowiedzi? – spytał Tancerz Chmur.

– Nadal go ignoruj – poradził Bradley Johansson. – Jesteś tu, bo mówiąc wprost, to twoja impreza.

Araminta odwróciła się i spojrzała przez otwór w namiocie. Widziała nieustający barwny ruch silfenów śpiewających i tańczących nad jeziorem.

– Moja impreza? Dlaczego moja?

– Na twoją cześć. Chcieliśmy cię powitać, poczuć cię, poznać. Córkę naszej przyjaciółki. Tacy są silfeni: wchłaniają wszystko.

– Czy naprawdę jestem warta celebracji?

– To się dopiero okaże z czasem.

– Macie na myśli Pustkę?

– Niestety tak.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego mam połączenie z Władcą Niebios?

– Masz z nami łączność duchową, wiesz o tym.

– Wiem. To z powodu Mellanie, prawda?

– Jesteś córką naszej przyjaciółki i dlatego jesteś również naszym przyjacielem.

– Magię dziedziczy się po linii żeńskiej – powiedziała cicho.

– Stek bzdur – rzekł Tancerz Chmur. – To tylko wasze mity. U nas dziedziczenie nie jest seksistowskie. Dzieci Mellanie w łonie aklimatyzowały się do wspólnoty matki i one z kolei przekazują wspólnotę swoim dzieciom.

Araminta uśmiechnęła się chytrze do Bradleya Johanssona.

– Jeśli to działa w ten sposób, to mężczyźni nie są w stanie dalej przekazać dziedzictwa.

– Męscy potomkowie dziedziczą tę zdolność – upierał się Tancerz Chmur wojowniczo.

– Od kobiet.

Wilgotny język Tancerza Chmur wibrował wewnątrz ust.

– Najważniejsze, panienko, że ty to masz.

Przymknęła oczy, usiłując wyciągnąć wnioski.

– A więc Władcy Niebios również.

– Mają pewien rodzaj podobnych zdolności – wyjaśnił Bradley Johansson. – Ostrów Matki od czasu do czasu wyczuwał myśli z wnętrza Pustki.

– Dlaczego Ostrów Matki nie poprosi Pustki, by przestała się rozszerzać?

– Próby podjęto, nie myśl sobie. – Koniuszek ogona Bradleya Johanssona opadł w wyrazie rozczarowania. – Dziesiątki milionów lat byliśmy otwarci i sympatyczni, ale to wiedzie donikąd, jeśli chodzi o Pustkę. Nie możemy połączyć się z jądrem. Albo może ono nie chce słuchać. Nawet my nie byliśmy pewni, co się tam dzieje, póki Edeard nie zaczął współdzielić swojego życia z Inigiem.

– Wy też możecie śnić jego życie?

– Śniliśmy je. – Tancerz Chmur zdołała zawrzeć w swej odpowiedzi mnóstwo odrazy. – Przecież to na naszej wspólnotie bazuje wasza gajasfera.

– Zasługa Ozziego – odparła Araminta, rada, że nie jest całkowitą ignorantką.

– Taaa, tylko Ozzie mógł w ten sposób potraktować przyjaźń.

– Czyli w jaki sposób?

– Nieważne – rzekł Bradley Johansson. – Chodzi o to, że w Galaktyce jest wiele rejonów o charakterze wspólnoty duchowej silfenów, zjawisk i innych fenomenów o podobnej naturze. Nieco różnią się od siebie, ale mogą wchodzić w interakcję przy sprzyjających okolicznościach. Tak jak kiedyś w zielonej supernowej.

– Zatem wy jesteście rodzajem falowodu między mną a Władcą Niebios?

– To nieco bardziej skomplikowane. Ty masz połączenie,

ponieważ w ramach wspólnoty duchowej masz podobieństwo.

– Podobieństwo? Z Władcą Niebios?

– Przypomnij sobie swój stan mentalny po separacji. Byłaś zagubiona, samotna, rozpaczliwie szukałaś sensu.

– Tak, dziękuję, rozumiem, o co chodzi – odparła cierpko.

– Władca Niebios też poszukuje, to jego cel. Nie ma już duszy, których użył, by prowadziły do Serca, więc teraz on i jego krewniacy czekają na nowe dusze. Ich poszukiwania sięgają od ich fizycznego lotu wewnątrz Pustki, do świadomości stanów mentalnych. W jakiś sposób wy dwoje przerzucacie most nad otchłanią pomiędzy twoim światem a jego światem.

– Czy to właśnie w ten sposób ludzie początkowo tam się dostali?

– Któż to wie? Przed Justine nikt w zasadzie nie widział, jak Pustka się otwiera. Nie otworzyła się przed armadą raielów, oni wdarli się siłą. Ale ludzie nie byli pierwszymi, których Pustka przyjęła. Czasami czuliśmy, jak inne gatunki rozkwitają na krótko wewnątrz. Zawsze Pustka je pochłaniała.

– A więc musi być ona świadoma Światów Zewnętrznych? – zastanawiała się Araminta.

– W jakiś sposób tak. To spekulacje filozoficzne, bez rygorystycznego uzasadnienia. Sądzymy, że nie rozpoznaje fizycznej rzeczywistości, tej na zewnątrz. Wszechświat poza jej granicą jest być może uważany za tarlisko umysłu, jądro absorbuje racjonalność, tak jak granica absorbuje masę.

– Edeard i ludzie z Makkathranu mówią, że Pustka została stworzona przez Pierwotne Byty.

– Taaa – warknął Tancerz Chmur. – Taki twór nie może być naturalny.

– Więc gdzie oni teraz są?

– Nikt nie wie. Ale ty, córko przyjaciółki, możesz być osobą, która się tego dowie.

– Właściwie to nie wiem, co robić – przyznała. – Znam kogoś, kto mógłby pomóc. To jeden z agentów ZAN. Już raz mi pomógł. Oscar Monroe.

Bradley Johansson usiadł naprzeciw niej.

– Znam Oscara. – Jego język trzepotał w ustach. – Walczyliśmy razem w wojnie Gwiazdokrażcy. To dobry człowiek. Zaufaj mu. Znajdź go, choć po tym wszystkim twoja droga nie będzie łatwa.

– Wiem. Ale już postanowiłam: nie poprowadzę Żywego Snu przez granicę. Choćby nie wiem co.

– Wiedzieliśmy, że dokonasz takiego wyboru, córko przyjaciółki. Ze względu na twoją prawość chcieliśmy cię poznać.

– Powiedz jej wszystko – polecił Tancerz Chmur szorstko.

– O co chodzi? Jakie wszystko? – Spojrzała na niego zaniepokojona.

– Pojawiło się coś nowego w naszym wszechświecie, gdy ZAN został zdradzony – rzekł Bradley Johansson. – Coś znacznie gorszego od Żywego Snu. Czeka na ciebie.

– Co takiego?

– Jego pełna natura pozostaje ukryta, gdyż bardzo słabo to wyczuwamy. Ale to, co udało się ukradkiem dostrzec, jest bardzo niepokojące. Ludzie mają swoją ciemną stronę, jak większość żywych istot rozumnych, ale ta rzecz, to ucieleśnienie złych zamiarów, wyszło bezpośrednio z tej ciemności. Wiemy jedno: to zła rzecz.

– Jakiego rodzaju? – spytała pełna obaw.

– Ustrojstwo, maszyna, której cele są zimne i wrogie, nie liczy się z duchem, jaki zasiedla wszelkie życie, szydzi ze śmiechu i pieśni, nawet z łez. I jeśli cię pragnie, to tylko dla jednego celu.

– Dostać się do Pustki – domyśliła się.

– Z jakiego powodu, nie wiemy, jednak obawiamy się najgorszego – powiedział Bradley Johansson. – To coś chce wpływać na los Galaktyki, chce narzucić się rzeczywistości każdej gwiazdy. Nie można do tego dopuścić.

– Musisz wezwać to, co najszlachetniejsze w twojej rasie, córko przyjaciółki – rzekł Tancerz Chmur. – Razem przeciwstawicie się strasznej przyszłości, jaką ta rzecz gotuje nam wszystkim. Nie może dotrzeć do Pustki. Nigdy. Te dwa obiekty nie mogą stać się jednością.

– Jak? W imię Ozziego, jakże mam to zrobić? Czego ode mnie oczekujecie? – pytała błagalnie. – Od tego jest przecież Flota

Wspólnoty. Dysponują niesamowitym uzbrojeniem, potrafią powstrzymać to stworzenie-rzecz. Ja nawet nie wiem, jak to wygląda, gdzie to jest...

Bradley Johansson ujął dłoń Araminty.

– Jeśli wierzysz, że naprawdę trzeba to zrobić, to znaczy, że musisz to osiągnąć.

– Myślałam, że po prostu się ukryję, gdy frakcje i Żywy Sen będą ze sobą walczyły. Do tego przygotowałam swój umysł.

– Nasze przeznaczenie nigdy nie jest jasne. A jednak to jest twoje przeznaczenie.

– A może po prostu tu zostanę?

Skórzaste palce zakrzywiły się i pogłaskały ją po dłoni.

– Jak długo tylko chcesz, córko naszej przyjaciółki.

Skinęła głową żałośnie.

– Czyli bardzo, bardzo krótko.

– Masz siłę, odwagę i wyjątkowego ducha, tak jak Mellanie. Tak pięknego światła nie da się łatwo zdusić.

– Och, Ozzie!

– Czego byś sobie życzyła? – Ogon Tancerza Chmur kiwał się niespokojnie. Na zewnątrz namiotu silfeni zamilkli, czekając na jej odpowiedź.

– Sutego posiłku, przyzwoitego snu, a potem ruszam w drogę. Zrobię, co będę mogła – obiecała.

Silfeni w namiocie jednocześnie odchyliłi głowy do tyłu i szeroko otwarli usta. Wzniósł się słodki zaśpiew, gdy ci na zewnątrz podjęli nutę. Liryczny, krzepiący, wirował wokół Araminty, wywołując u niej uśmiech potwierdzenia. Wyrażali w ten sposób uznanie, wdzięczność dla niej. Teraz w końcu zdała sobie sprawę, że są przerażeni, boją się, że ich cudowne, wolne, włóczęgowskie życie może się skończyć z powodu złowieszczej rzeczy, którą stworzyło ludzkie szaleństwo. Tak, zrobię, co będę mogła.

Mariusz patrzył na wizerunek Ranta z rozbawieniem i pogardą. Tyczkowaty nastolatek stał się nagle drugą najważniejszą

wiadomością we Wspólnocie. Mówiły o nim wszystkie programy unisfery. Tuż po agentach frakcji do Milowej Głębi przybyli reporterzy. Bardzo szybko odkryto, że Araminta zatrzymała się w motelu „Gwiazda na Uboczu”. Ragnar, nerwowy menager, wyszedł z ukrycia, gdy reporterzy zaczęli mu proponować wielkie sumy za opowieść. Niestety skromną. Głównie o tym, jak schował się w kuchni, gdy do jego ukochanego motelu wkroczyli militarnie zmodyfikowani agenci. Szukali Drugiej Śniącej.

Zignorowany przez agentów, skorygował Marius w myślach.

Prawdziwym skarbem dla producentów wiadomości okazał się Ranto, ostatnia osoba z Milowej Głębi, która rozmawiała z samą Drugą Śniącą.

– Była bardzo ładna – mówił głupekowato. Stał przed recepcją motelu otoczony przez kilkunastu dziennikarzy. – Zaskoczyła mnie. Już przedtem ją spotkałem, wtedy po południu. Była milutka, no wiecie. Dała duży napiwek, jak przywiozłem jedzenie.

– Czy powiedziała, dokąd idzie? – spytał jeden z dziennikarzy.

– Nieee, kupiła ode mnie trycykl i pojechała do ścieżki silfenów. Wyobraźcie sobie, Druga Śniąca jedzie na moim starym trycyklu między światami.

– A nasza rasa nadal się dziwi, dlaczego chcemy przyspieszyć własną ewolucję – zauważyła Ilanthe.

Mariusz nic nie odpowiedział. Ciągle czuł złość, że go tak podle ukarano w sprawie Chatfielda. Teraz jednak najwyraźniej zaczął powracać do łask. To znamienne, że właśnie Ilanthe zadzwoniła do niego, gdy nadzorował operację na Fanallisto. Quasi-inteligentni obserwatorzy monitorowali Dostawcę po jego żalostnej, błagalnej rozmowie z Mariusem. Wkrótce potem z Dostawcą skontaktował się inny ocalały z Frakcji Konserwatywnej – korzystał z szyfrowania blokującego śledzenie. Za pomocą cywilnych czujników kosmoportu obserwatorzy widzieli, jak Dostawca leci kapsułą do „Lady Rasfay”. Potem jacht odpalił dzięki autoryzacji właściciela – co dziwne, bo zostawiono go na lądowisku nagiego i nieprzytomnego obok młodziutkiej kochanki.

Ilanthe chciała się dowiedzieć, dokąd leci Dostawca, i z kim

zamierza się spotkać. Nie była zaniepokojona ani zniecierpliwiona, ale skoro Aramincie udało się wszystkich znów przechytryć i jakoś wydostać z Chobamby, to rozropne wydawało się monitorowanie ocalałych Konserwatystów.

Marius się domyślał, dokąd zmierza Dostawca. To, co zostało na Fanallisto, miało drugorzędne znaczenie, tymczasem w kosmoporcie na Purlap ciągle czekał statek z ultranapędem. Dostawca tam polecał.

Marius się nie mylił. Jego statek wykrył, że „Lady Rasfay” zbliża się do Purlap. Marius natychmiast zadzwonił do Ilanthe. Potwierdzając jego przejście do odkupienia, odpowiedziała osobiście, a nie za pośrednictwem Valean czy Neskii, potwierdzając w ten sposób, że Marius był na drodze do odkupienia.

– Czy chcesz, żebym go eksterminował? – spytał.

Jego niewidzialny statek pozostawał na wysokości stu kilometrów bezpośrednio nad kosmoporciem na Purlap. Nie była to jakaś szczególnie ryzykowna pozycja – nie odbywały się żadne loty komercyjne, a „Lady Rasfay” rzucała się w oczy przez sam fakt, że w ogóle przyleciała.

Ranto zszedł na margines. Czujniki statku Mariusa śledziły „Lady Rasfay” lądującą na nagiej skale kosmoportu w pobliżu groteskowego różowego terminalu. Dostawca zszedł ze schodów służby, obramowany grafiką urządzeń celowniczych. Dwieście metrów dalej parkował na skale statek z ultranapędem, tam gdzie go Marius zostawił. Na trzech przysadzistych nogach stał ciemnofioletowy ovoid bez znaków szczególnych.

– Nie, w tym momencie potrzebujemy informacji – oznajmiła Ilanthe. – Póki nie dostaniemy Araminty, muszę wiedzieć, do czego są zdolni Konserwatyści. Śledź go, dowiedz się, ilu ich jeszcze pozostało i co robią.

– Zrozumiano. – Marius nic więcej nie powiedział. Starał się nie okazać satysfakcji.

Ale niezwykła ostrożność, z jaką Ilanthe reagowała na sytuację, świadczyła o tym, do jakiego stopnia Aramincie udało się wszystkich zmylić. Któż mógłby podejrzewać, że potrafi

korzystać ze ścieżek silfenów? Jej niezwykle zdolności wiele wyjaśniały, możliwe, że nawet to, w jaki sposób została Drugim Śniącym.

Mariusz usiadł wygodnie i obserwował, jak Dostawca śpieszy do statku z ultranapędem.

Dostawca stanął pod statkiem i przechodząc przez proces weryfikacji, próbował okiełznać rozdrażnienie. To jasne, że procedura autoryzacyjna dająca dostęp do sterowania ultranapędem poprzez smartkor musiała być starannie zabezpieczona – statek to nadzwyczaj cenny zasób i Frakcja Konserwatywna na pewno nie chciała, by wpadł w niepowołane ręce.

Przez cały lot Dostawca nie spał, nic nie jadł. „Lady Rasfay” leciała strasznie wolno w porównaniu ze statkami, jakimi zwykł podróżować. Do tego dużo powodów do stresu: odcięcie od rodziny; Araminta znów się wszystkim wymknęła; nie wiadomo, kim w zasadzie jest „egzekutywa”; czy to przypadkiem nie jest jakaś pułapka zastawiona przez Progresywistów. To wszystko nie koło nerwów.

W końcu smartkor potwierdził, że Dostawca jest na liście upoważnionych, i przyznał mu prawo do sterowania statkiem. Dostawca odetchnął głęboko i wydał polecenie otwarcia śluzy. Bezpośrednio nad nim podstawa statku stała się wklęsła, tworząc ciemne zagłębienie. Wektor siły ciężkości się odwrócił i Dostawca wsunął się do małej sferycznej komory. Pod jego stopami podłoga się ściągnęła, szczyt się rozwarł. Dostawca wzniosł się do półkolistej kabiny.

Systemy się zgłosiły, gdy smartkor przygotował statek do lotu. Wszystko działało; potężne uzbrojenie było w stanie gotowości. Dostawca zamówił dla siebie pojedynczy, głęboki fotel, który wymodelował się z podłogi. Dostawca usiadł z wdzięcznością. Miał statek pod komendą, znów był w grze. To dodawało pewności siebie.

Wywołał „egzekutywę” przez zabezpieczone połączenie.

– A więc dotarłeś – powiedział jego nieznany sojusznik.

– Jasne.

– A Araminta zwiąta ścieżkami silfenów. Wiesz, naprawdę chciałbym ją poznać pewnego dnia. Zrobiła kompletnych idiotów z najbardziej wpływowych organizacji w Wielkiej Wspólnocie. Zasluguje na podziw.

– Szczęście jej sprzyjało – skomentował Dostawca. – To się kiedyś musi skończyć.

– Ludzie budują własne szczęście.

– To nie ma znaczenia.

– Czy statek jest gotowy?

Dostawca nie od razu odpowiedział.

– Przepraszam, że w ostatecznym rozrachunku to rodzina jest dla mnie najważniejsza. Myślę, że będzie najlepiej, jak ruszę w pościg za Mariusem.

– Już opuścił Fanallisto. Jego statek wyruszył piętnaście minut po starcie „Lady Rasfay”. Dostrzegasz jakiś związek, supertajny agencie?

– Znajdę go.

– Sam nie. Nie znajdziesz. Poza tym ja jestem najlepszą szansą na przeżycie twojej rodziny.

– Nie wiem, czym jesteś ani gdzie jest twoja lojalność.

– Mówię, że dam ci dowód, i dotrzymam słowa. Tu masz współrzędne. Pobierz je.

Dostawca uważnie przyjrzał się danym, które nadeszły.

– Podwójna w konstelacji Lwa? „Lwie Bliźniaki”? Co tam jest?

– Nadzieja. A na dokładkę może drobna szansa ocalenia. Daj spokój, synu, co masz do stracenia? Zajmie ci to najwyżej kilka godzin. Jeśli nie spodoba ci się to, co tam znajdziesz, możesz zawrócić i podjąć swoje szlachetne poszukiwania. Chyba przynajmniej tyle jesteś winny Frakcji Konserwatywnej, nie uważasz?

Dostawca przez dłuższą chwilę przyglądał się absurdalnym współrzędnym. Jedyne możliwości: w „Lwich Bliźniakach” jest jakiś tajny obiekt Frakcji Konserwatywnej. Przecież – wnioskuje – gdzieś muszą wytwarzać swoje ultranapędy. Bo

dłaczego chcieliby mieć tam z powrotem ten statek?

– Czy możesz grać ze mną w otwarte karty?

– Dobrze: o ile wiem, jestem jedyną osobą, która ma sensowny plan uratowania Galaktyki przed Ilanthe i Pustką.

– O, daj spokój.

– Czy ZAN ma plan? A raczej czy miał? Czy flota ma plan? Czy inny ocalały członek frakcji ma plan? Może się odważysz i spytasz Góry Światła Poranku? Uwolnij wielkiego faceta spod tej bariery, a na pewno nas zmiecie i problem będzie rozwiązany, jeśli spojrzeć całościowo. Albo... no chyba nie sądzisz, że prezydent i senat wymyślą jakieś rozwiązanie? Zamierzasz powierzyć losy galaktyki politykom?

– Kim, do cholery, jesteś?

– Przestań biadolić i zabieraj się do Bliźniaków. Tam znajdziesz odpowiedź, obiecuję.

– Po prostu powiedz mi.

– Nie mogę. Nie ufam ci dostatecznie.

– Co?

– Stawka jest zbyt wysoka. Nie mogę przewidzieć, co zrobisz na tym etapie. A mam inne opcje, jeśli mnie zawiedziesz. Choć nie tak dobre jak ty. To oznacza, że abyś odzyskał Lizzie i dzieci, najlepiej, żebyśmy we dwoje działali razem. Warto się nad tym zastanowić.

Połączenie zostało zamknięte.

– Cholera! – Dostawca walnął pięścią w miękki podłokietnik. Wiedział, że nie ma wyjścia. – Lećmy do Lwich Bliźniąt – polecił smartkorowi.

Z orbity po nocnej stronie planety Darklake City wyglądało jak morze światła o promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, przetykane dziwnymi, ciemnymi obszarami, gdzie jeziora i bardzo strome góry nie poddały się zabudowie przez półtora tysiąca lat tutejszej ludzkiej historii. Położona w subtropikalnej strefie Oaktieru stolica była pomnikiem postępu i szacunku dla klasyki. Jej starożytne centrum – zabudowane kryształowymi

wieżowcami i cynobrowymi piramidami apartamentowców – rozkwitło, gdy planetę opanowali Elewaci. Pojedyncze domy konserwowano lub rozbudowywano w miarę dostępu nowych technik i materiałów. Rezydenci z pierwszej ery Wspólnoty nadal potrafili rozpoznać stare centrum, choć skala budowli dramatycznie się zwiększyła. Poza dawnym centrum nowsze przedmieścia – fantazje współczesnej architektury – bez dzielnic przemysłowych czy komercyjnych, tworzyły pasma terenów parkowych, gdzie domy i rozmaite budynki publiczne stały wśród olśniewającej roślinności. Obywatele podtrzymywali tradycje swoich przodków z rejonu Pacyfiku o silnych tradycjach portowych i entuzjazmie dla ekologii planety. Dzięki temu Oaktier zyskał reputację miejsca mniej konwencjonalnego i sztywnego niż większość Światów Wewnętrznych, gdzie kultura Elewatów wydawała się jedynie nieskończoną serią seminariów i debat na temat polityki publicznej. Sam Oaktier przyciągał ze Światów Zewnętrznych znaczną część nowych obywateli, gdy zaczęli migrację do centrum i transformację do Elewatów.

Digby nie sądził jednak, by jego przeciwnik zaczynał konwersję do kultury Elewatów. Od Ellezelinu śledził jego statek, który teraz opadał przez wyższe warstwy atmosfery, zmierzając do mniejszego z trzech kosmoportów Darklake City. Statek wyszedł z hiperprzestrzeni bez żadnego maskowania i zarządowi lotów kosmicznych przedstawił standardową prośbę o pozwolenie na lądowanie.

Digby natomiast ustawił Columbię505 na wysokości tysiąca kilometrów nad równikiem, stosując tryb całkowitego maskowania, by nie dać się wykryć czujnikom miejscowej agencji obrony. Rząd planetarny – w postaci tysięcy lokalnych komisji – podjął jednogłośnie decyzję o ogłoszeniu alarmu pierwszego stopnia. Trzy okręty klasy Rzeka były na orbicie patrolowej pół miliona kilometrów od planety, gotowe odpowiedzieć na każde wykryte zagrożenie. Na szczęście nie wykryły Columbię505.

– Progresywiści muszą tam mieć jakiś aktywny zespół – raportował Digby, gdy statek Progresywistów wylądował. – Czy mam się skontaktować z naszym lokalnym biurem z prośbą o

wsparcie? – zwrócił się do Pauli.

– W osiągnięciu naszych celów już dawno wyszliśmy poza etap bójek między agentami ze wszczepami bojowymi – odparła. – Musisz śledzić pilota statku za pośrednictwem przeglądaczy w planetarnej cybersferze. Dzięki temu możesz pozostać na pozycji, by z orbity użyć siły ognia, by osiągnąć nasze cele.

– Mamy jakieś cele?

– Tak. Jeden. Bardzo prosty: nikt inny nie może dostać Araminty. Nikt. Koszty nieważne.

– Na Ozziego! Chcesz, żebym ostrzeliwał tereny zurbanizowane?

– Jeśli to będzie konieczne. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie sądzę, by kiedykolwiek dotarła do Oaktier.

– W takim razie, co tu robi agent Progresywiśtów?

– Laril, były mąż Araminty, obecnie na migracji wewnętrznej. Mieszka w Darklake City.

– Aha. I sądzisz, że ona się z nim skontaktuje?

– Już się skontaktowała. Zanalizowałam jego logi w węźle. Przeprowadzili kilka rozmów. Ostatnia została przerwana przez mój przekaz rozproszony na Chobambie.

– Aha. – Digby kazał swojemu u-adiunktowi sprawdzić miejscowe archiwa. – Na Oaktier nie ma zapisów o ścieżkach silfenów.

– Nie. Ale jeśli ona zwraca się do Larila o radę, to przypuszczam, że Progresywiści go schwytają i wywrą pewną presję.

– To logiczne. Czy twój u-adiunkt śledzi jej nowy kod adresowy unisfery?

– Ona nie ma kodu. Wchodziła do unisfery ręcznie, przez węzły. Żadnych śladów.

– Sprytne. Czy sądzisz, że silfeni dadzą jej schronienie?

– Żadnych szans.

– Czy masz tam jakieś kontakty? – Pytanie głupawe, ale już dawno się przekonał, że niedocenywanie prababki to błąd.

– Przy pewnej okazji miałam sposobność dołączenia do wspólnoty Ostrowa Matki, ale od silfenów nigdy nie dostaniesz niczego konkretnego. Chyba że masz pecha i natkniesz się na

osobnika zwanego Tancerz Chmur. Wtedy dostajesz mnóstwo wściekłych informacji.

– Więc nie da się stwierdzić, gdzie ona zamierza wychynąć?

– Nie. Ale kiedy się pojawi, musimy być gotowi.

Digby dostał się do czujników kosmoportu. Obserwował osobę wynurzającą się ze statku Progresywistów. Nie miała na sobie żadnych ubrań, a jej szara skóra była raczej togaturową mgiełką niż czymś żywym; powłoka wyglądała tak, jakby ciasno opinała drobny szkielet. Dwie długie krwistoczerwone wstęgi powiewały poziomo za tą postacią, jakby trzepotały na lekkim wietrze. Rozejrzała się i wtedy jej oczy zamigotały jasnorożową luminescencją.

– To Valean – powiedział smętnie. – Mógłbym się tego domyślić po tym, co stało się na Ellezelinie.

– W porównaniu z nią Marius wydawał się delikatny. Progresywiści wykorzystywali ją tylko wtedy, gdy musieli zastosować ekstremalne środki.

– To tylko podkreśla, jak ważna jest dla niech Araminta – stwierdziła Paula. – Musisz ją bardzo ściśle obserwować. Ona nie może się skontaktować z Larilem.

– Czy teraz mam ją wziąć na cel? Jest poza zasięgiem obrony swojego statku.

– Nie – odparła Paula po chwili wahania. – Nie znamy reszty zespołu Progresywistów na Oaktierze. Gdy ich zidentyfikujesz, zastanowimy się nad bezpośrednią eliminacją.

– Dobrze. Wchodzę do akcji.

„Odkupienie Mellanie” przyspieszyło gładko do pięćdziesięciu dwóch lat świetlnych na godzinę i utrzymywało stałą prędkość. Egzowizję Trobluma całkowicie wypełniały grafiki dyspleju, nie mógł więc nawet zerknąć na kabinę; jego procedury podrzędne były sparowane z nowym programem kontroli napędu. Z umysłowością rozszerzoną do maksymalnej pojemności był w istocie ultranapędem, czuł przepływ egzotycznej energii, wyczuwał, jak pola kwantowe modyfikują się do standardowej

konfiguracji hiperprzestrzeni. Fluktuacje były dreszczami w jego skorupie-ciele – w jednej chwili były kontrowane i uspokojone, zostawiając po sobie tylko fantomową pamięć zakłócenia. Wewnątrz ciała-maszyny moc przepływała zgodnie ze specyficznymi wzorcami, skręcając się i kompresując w nienaturalne formacje, które załamywały czasoprzestrzeń. Funkcjonalność była całkowita, przepływy tak gładkie i swobodne, że jego świadomość wzniosła się na poziomy zen, sprawiając, że jego świat wydawał się doskonale uporządkowany.

Bardzo niechętnie wycofał się z napędu, przestawiając go na autonomiczną procedurę monitorującą. Teraz miał po prostu świadomość systemu i jego niezliczonych komponentów, w takim samym sensie, w jakim wiedział, że serce mu bije, a płuca oddychają. Odczucie straty było niemal fizyczne, jakby wychodził z haju cukrowego.

Wsunął się bot-kelner; niósł talerz z orzechowymi pączkami polanymi karmelem i dzbanek kawy. Zamyślony Troblum włożył całego pączka do ust. W fotelu naprzeciwko siedziała Catriona Saleeb, długie nogi, skromnie złożone razem, przechyliła na jedną stronę, dzięki czemu szorty podjechały aż na koniec ud. Gdy się pochyliła, luźna koszulka na cienkich ramiączkach odsłaniała prawie cały dekolt.

– To robiło wrażenie – powiedziała chropawym głosem.

– Składanie sprzętu jest nużące. I tyle. Wrażenie robią prawa fizyczne stojące za napędem.

– Ale dokonałeś tego, opanowałeś bestię.

Przełknął drugiego pączka. Prowokowała głosem. Zastanawiał się, czy nie brakuje jej zwykłych towarzyszek. Jakoś nie mógł się zmusić i zresetować I-rozumnej osobowości Trishy. Obserwowanie, jak RI korumpuje jej wizerunek i programy, psuło mu efekt, sprawiało, że stała się czymś mniej niż osobą.

– Czy zamierzasz teraz przywrócić pełne pole grawitacyjne? – W jej głosie słyszał ton zatroskania.

– Wkrótce. Jak odpocznę.

Zapłaci za utrzymywanie na statku niskiej grawitacji, ale dzięki

temu jego ciało doznawało mniejszego przeciążenia fizycznego. Zasługuję na to po wszystkim, co przeszedłem, pomyślał i włożył do ust kolejnego pączka.

– Niech to nie trwa zbyt długo. – Wyprostowała nogi i podeszła do niego. Smukłą dłonią dotknęła jego kolana. Jej procedury musiały się już dopasować do jego wzbogacenia sensorycznego. Czuł delikatne głaskanie jakby piórkiem przez tkaninę zniszczonego togaturu. – Teraz tylko my dwoje zostaliśmy. – Jej piękne rysy wyrażały tragiczny smutek. Ciemne włosy opadały z twarzy, niemal muskały Trobluma. – Będziesz się mną opiekował, Troblumie? Prawda? Nie pozwolisz, by stało mi się coś złego. Proszę. Nie zniósłabym tego, co spotkało inne: opuszczenie, zniszczenie.

Wpatrywał się w dłoń, pozwalając, by wrażenie dotyku trwało. Czuł nawet ciepło palców o temperaturze ludzkiego ciała. Może nie musiał zamienić się z Howardem Liangiem, żeby doświadczyć bezpośredniego bycia z kobietą. Może wystarczy on i Catriona? Przecież do Galaktyki Andromedy długa droga.

Ta myśl wyrwała go z zadumy. Szybko podniósł kubek z kawą. Takich koncepcji nie należy poganiać, trzeba je bliżej zbadać, obmyśleć, rozważyć implikacje. Rozejrzał się po kabinie, unikając twarzy Catriony. Gdyby zobaczyła jego oczy, wiedziałaby, o czym myśli. Znała go. To było niedobre.

Musiała zauważyć u niego nagłą zmianę nastroju. Uśmiechnęła się życzliwie i cofnęła z szelestem jedwabnej tkaniny.

Może chodziło o ten ledwo wyczuwalny zapach, gdy była blisko?

– Muszę sprawdzić, co się dzieje – powiedział do niej.

Smartkor otworzył link transwymiarowy do unisfery. Niemal natychmiast nad jednym z pustych foteli kabiny projektor Trishy wytworzył węzeł rozkołysanych pomarańczowych i turkusowych fal.

– Śledzisz wydarzenia? – spytała RI.

– A co? Coś się stało?

– Frakcja Progresywistów uwięziła Układ Słoneczny.

Troblum poczuł przyływ niezwyklej satysfakcji.

- Rój zadziałał?
- To była twoja tajemnica? Karta przetargowa w rozgrywce z Paulą?
- Satisfakcja ustąpiła i nagle pojawiły się wyrzuty sumienia.
- Tak. Nie wiedziałem, do czego zamierzają tego użyć – dodał szybko.
- Oczywiście.
- Czy coś się przedostało?
- Nie, nic – odparła RI. Przez chwilę jej oscylacje stały się fioletowe. – Flota nie może się przedostać. Prezydent spytał „Wysokiego Anioła”, czy ten może się przedostać.
- Co odpowiedział?
- Raiele stwierdzili, że prawdopodobnie nie. Wydaje się, że bariera jest oparta na technologii Ciemnej Fortecy. Czy to prawda?
- Tak – odparł niechętnie. W zasadzie nie widział, jak przyznanie tego mogłoby pogorszyć sytuację.
- Byłeś w Ciemnej Fortecy. Ja to wiem i Paula też wie. Przesłuchała twojego starego kapitana Chatwortha. Stanowiłeś część projektu, ważną część.
- Podobało mi się to, co robią Progresywiści. Dołączę do tej frakcji.
- Tylko gdy bariera zostanie zniesiona – powiedziała RI. – W żaden sposób nie można się teraz dostać do ZAN, a flota odstrasżająca też jest uwięziona wewnątrz bariery. Wspólnota jest całkowicie bezbronna wobec reszty Galaktyki, a są tam gorsze rzeczy niż Imperium Ocisenów, możesz mi wierzyć.
- Po fuzji już nie. Ludzie przejdą w stan postfizyczny i to wszystko przestanie mieć znaczenie.
- Nie chcę stać się postfizyczna. Znaczna część twojego gatunku również nie chce. To złe i ty, Troblumie, o tym wiesz. Istnieje wiele sposobów przejścia w postfizyczność bez wymuszania jej na tych, którzy tego sobie nie życzą.
- Nie będzie wymuszona – odparł ponuro.
- Znasz koncepcję fuzji i wiesz, jak ma być zrealizowana?
- W zasadzie nie.

– A próbowałaś powstrzymać fuzję, o ile się nie mylę? – Ton RI stał się życzliwy. – Stworzyłeś spółkę wraz z Progresywiwistami.

– Nie zgadzam się z nimi w sprawie użycia Kotki. Nadal jestem za postfizyczną transcendencją.

– Chcesz transcendować? To twój plan?

– Nie... nie wiem. Może. Ostatecznie tak.

– Mam nadzieję, że osiągniesz swój cel. Dlaczego ciągle lecisz swoim statkiem? Dlaczego nie dołączysz do Pielgrzymki i nie udasz się do Pustki?

– Bo mnie zabijają, jak mnie znajdują.

– Z ich strony to nie byłoby zbyt światłe. Czy chcesz, żeby istoty o takim profilu zachowania stały się stróżami ludzkiej ewolucji?

Troblum głębiej usiadł w fotelu. Usiłował nie patrzeć spode łba na oscylujące linie.

– Czego chcesz?

– Oboje wiemy, dlaczego cię zabijają. Bo wiesz, jak wyłączyć barierę, prawda, Troblumie?

– W zasadzie nie wiem. Tylko kod może ją dezaktywować. A ja go nie znam. Nigdy nie znałem.

– Ale rozumiesz podstawy zasad techniki Roju. Jeśli w ogóle ktokolwiek potrafi się przedostać, to właśnie ty.

– Nie. Nie wiem jak. To pole siłowe jest niezniszczalne.

– Myślałaś nad tym? Zanalizowałaś wszystkie aspekty? – naciskała RI.

– Oczywiście, musieliśmy mieć pewność, że jest doskonale integralne.

– Nic nie jest doskonałe w tym wszechświecie. Wiesz o tym, Troblumie. Musi być jakiś słaby punkt.

– Nie.

Barwa projekcji falujących linii przesunęła się ku błękitowi.

– Musisz uwolnić ZAN. Musisz znaleźć jakiś sposób.

– Tego się nie da zrobić.

– Pomyśl nad tym. Spójrz na problem z nowej perspektywy. Znajdź rozwiązanie. Tyle jesteś winien swojemu gatunkowi.

– Nic nie jestem ci winien – wypalił. – Popatrz tylko, jak mnie wszyscy cholernie źle traktują.

– Zgoda. Masz... albo miałeś swoją osobistą kolekcję pamiątek wojennych, największą, jaką widział świat. Masz AEM-y i możesz sobie dogadzać na wszelkie sposoby. Społeczność Elewatów dała ci to wszystko. W sferze prywatnej: masz tam przyjaciół, jeśli ich chcesz, kochanki, żony.

– Nie bądź śmieszna. Nikomu na mnie nie zależy.

Głos RI zmiękł.

– Czy kiedykolwiek próbowałeś zbliżyć się do ludzi? Chętnie by to zaakceptowali, gdybyś chciał to zrobić. Całe dekady ulepszałeś osobowości I-rozumne. Czy one są ludźmi?

Spojrzał na Catrionę, a ona lekkim uśmiechem dodała mu otuchy.

– Dobra, czego chcesz? – spytał. – Po cholere w ogóle ze mną rozmawiasz?

– Żebyś zrobił to, co jest słuszne. Zanim powstała bariera solarna, próbowałeś dotrzeć do Pauli Myo, oferując jej informacje, które by powstrzymały Rój, powstrzymałyby Ilanthe, Mariusa i Kotkę. Ciągłe możesz to zrobić. Kontynuuj, to było słuszne. Porozmawiaj z Paulą, przekaz jej informacje, jakich potrzebuje, żeby zdjąć barierę solarną.

– Nie mam ich! One, kurwa, nie istnieją!

– Tego nie wiesz – perswadowała RI. – Nie masz pewności, bo nic nie jest pewne. Żyj jak przed uwięzieniem. Oscar Monroe jest na Viotii, zasługuje na twoje zaufanie. Poświęć się po to, by mógł istnieć wszechświat, w jakim się urodziłeś.

– Nie mogę. Jeśli się wystawię, zabiją mnie. Teraz rozumiesz? Kotka będzie mnie ściagała i zabije mnie znowu i znowu, i znowu.

– Więc się nie wystawiaj. Po prostu zadzwoń do Pauli albo Oscara, a nawet ja chętnie porozmawiam o fizyce Roju.

– Nie ufam ci. Nawet nie wiem, czym w istocie jesteś.

– Troblumie, musisz zdecydować, w co naprawdę wierzysz. Do tego czasu nie zaznasz spokoju.

– Taaa, jasne. Trudno.

– Bardzo dobrze. Proszę, byś się zastanowił nad jedną rzeczą.

– Co takiego? – spytał gderliwie.

– Co by Mark Vernon zrobił na twoim miejscu?

Gąszcz węzowych linii skurczył się do nicości. U-adiunkt Trobluma powiedział mu, że RI wycofała się z linku transwymiarowego.

– To się odpieprz – burknął do pustej przestrzeni nad fotelem.

– Bardzo mi przykro. Nie powinna tak się do ciebie odzywać – stwierdziła Catriona.

Machnął dłonią zirytowany, mając nadzieję, że ją uciszy. Mark Vernon. Jego przodek. Człowiek, który odpalił bombę kwantową, co pozwoliło Ciemnej Fortecy ustanowić na nowo barierę Alfya Dysona i wygrać wojnę. Popularna wersja historii zawsze to pomijała i zasługi przypisywała Ozziem. Prawdziwy bohater. Osoba, którą Troblum zawsze najbardziej podziwiał.

Głupia manipulacja, psychologiczne brednie. Myślą, że się na to nabiorę, pomyślał wściekły.

Wziął kubek z kawą, ale skrzywił się zniesmaczony; kawa wystygła. Poleciał jednostce kulinarnej przygotować świeżą.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Catriona ostrożnie.

– Nic. Nic mnie to już nie obchodzi. Nie ma sposobu przedarcia się przez barierę solarną. Dlaczego nie mogą się z tym pogodzić?

Uśmiechnęła się i usiadła na podłodze przy fotelu Trobluma. Z miłością pogłaskała go po twarzy.

– A więc jesteśmy tylko my dwoje. Damy sobie radę. Nigdy cię nie zawiodę.

– Tak.

Nie mógł się oprzeć i sprawdził funkcje nawigacji smartkoru. Procedury wtórne przesunęły displej egzowizji na pozycję główną, wykreślając jaskrawo pomarańczową linię na tle gwiazdozbiorów. „Odkupienie Mellanie” znajdowało się sto trzydzieści lat świetlnych od Viotii i szybko się tam zbliżało.

Statek Dostawcy wyleciał z hiperprzestrzeni w pełni zamaskowany. W odległości dziesięciu jednostek astronomicznych na tle gwiazdozbiorów świecił jasno niebieski karzeł Alfa Leonis. Bezpośrednio po drugiej stronie słońca, patrząc ze statku, znajdowała się Augusta, kiedyś największa z

planet Wielkiej Piętnastki. Jako pierwotna baza operacyjna STT była kiedyś węzłem dla wormholi do dziesiątków światów; a że posiadała finansową i przemysłową jurność, stała się kluczową komponentą Wspólnoty pierwszej ery. Nawet potem, wraz z rozwojem kultury Elewatów i ZAN, konserwowano sieć wormholi, nadając jej strategiczne znaczenie większe od niektórych Światów Wewnętrznych. Dlatego ten układ gwiazdny patrolowało osiem okrętów klasy Rzeka i dwa klasy Capital. Planetarne systemy obronne były w stanie alarmu pierwszego stopnia: potężne pola siłowe osłaniały generatory wormholi, stacje tranzytowe oraz megamiasto.

Dostawca odczekał trzy minuty, aż otrzymał potwierdzenie, że żadne sensory nie zlokalizowały jego statku, a potem kazał mu lecieć do Bliźniaków Lwa. Były gwiazdami podwójnymi w pobliżu Alfy Leonis; Mały Lew – pomarańczowy karzeł – a wokół niego krążący czerwony karzeł Mikro Lew. Skanując je pasywnymi sensorami, znalazł tam coś innego: wokół Bliźniaków po wydłużonej, eliptycznej orbicie krążyła asteroida. Miała ponad sto mil średnicy i prawie mogłaby uchodzić za księżyc, gdyby nie jej niezwykle regularny, cylindryczny kształt. Od razu wiedział, że to obiekt sztuczny. Czujniki wykryły, że szybko się obraca wokół swojej długiej osi, bez chybotania – zjawisko prawie niemożliwe w przypadku obiektu naturalnego. Ponadto emitował promieniowanie podczerwone. Ciemna, pomarszczona powierzchnia emitowała więcej ciepła niż to, które otrzymywała od małych gwiazd. Dostawca wcale się nie zdziwił, gdy analiza masowa pokazała, że obiekt jest wewnątrz pusty.

Otworzył bezpieczny link do „egzekutywy”.

- Już jestem.
- Wiem. I nie jesteś sam. Ktoś cię śledził.
- Co?
- Leciał za tobą inny statek. Też z ultranapędem. Oboje macie znakomite maskowanie, ale sensory, jakimi dysponuję, są najlepsze.
- Och, na dupę Ozziego!
- Nie martw się. Trzymaj się. Zamierzam cię wprowadzić do

środku.

Z dziwnej asteroidy ekspandowała T-sfera i teleportowała statek do wnętrza.

Dostawca przedryfował przez służę i wyszedł spod statku. Rozejrzał się, odchylił do tyłu głowę i zagwizdał z uznaniem. Komora, którą wydrążono we wnętrzu asteroidy, miała z osiemdziesiąt mil długości. Siedem mil nad nim wzdłuż osi przebiegało rusztowanie prawie niewidoczne w oślepiającym blasku światła słonecznego emitowanego przez zamocowane na nim pierścienie. Kolejne siedem mil dalej surowy krajobraz wznosił się do zasnutej niebieską mgiełką panoramy łąk, jezior i niesamowitych gór, których szczyty pokrywał śnieg, a z ich zboczy spływały szerokie wodospady. Właśnie ten widok miała Justine za oknem swej sypialni, widok, który całkowicie dezorientował. Dostawca pokręcił głową jak pies, który otrząsa się po wyjściu z wody, i zacisnął powieki.

– Nie przejmuj się, na wszystkich to robi takie wrażenie.

Dostawca otworzył oczy. Przed nim stał mężczyzna w czarnych spodniach i koszuli. Skórę miał z polerowanego złota.

– Gore Burnelli – powiedział Dostawca. – Powinienem się tego domyślić. Chociaż nie spodziewałem się, że jesteś fizyczny.

Gore wzruszył ramionami.

– Gdyby ludzie potrafili przewidzieć moje zachowanie, tkwilibyśmy po uszy w gównie.

– A według ciebie nie tkwimy?

– Poziom gówna ma swoją gradację. Ten jest dość wysoki, ale ciągle jest czas, by to odwrócić.

– Jak?

– Chodź, synu, musimy porozmawiać.

Gore odchodził, a Dostawca nie miał innego wyjścia, jak iść za nim. Niedaleko statku, w zagłębieniu szerokiej, trawiastej doliny, przycupnęła skromna chatka z białego suchego koralu. Dach z szarych łupków przywodził na myśl domy sprzed ery pierwszej Wspólnoty. Szeroki łupkowy okap tworzył dookólną werandę. Z

tyłu nad bujnie kwitnącą łąką piętrzyły się cedry. Dostawca nigdy nie widział tak wielkich drzew o pniach szerokich jak sam domek.

– Czy to twój dom? – spytał.

Wiedział, że rodzina Burnellich jest fenomenalnie bogata, ale koszty zbudowania tego sztucznego świata były niewyobrażalne, zwłaszcza że pochodził on – według jego szacunków – z czasów pierwszej Wspólnoty, na długo przed AEM i techniką replikatorów.

– Skądże – mruknął Gore. – Opiekuję się domem starego przyjaciela.

– Czy kiedykolwiek byłeś w ZAN?

– Tak. – Gore chrząknął i usiadł w wielkim fotelu z desek, wyłożonym miękkimi, białymi poduchami. Na werandzie stało kilka takich siedzisk. Wskazał jedno naprzeciwko siebie. – Jestem poza ZAN tylko kilka dni. Zapomniałem, jak cholernie bezużyteczne są ciała z mięsa. Nie wystarcza neuronów na obsługę funkcji chodzenia, a co dopiero na coś tak skomplikowanego jak wiązanie sznurowadeł. Musiałem zapuścić rozszerzoną umysłowość w systemach LI habitatu, żeby prawidłowo myśleć, a ten hardware nie jest już najnowszy ani szczególnie zrywny.

Dostawca usiadł ostrożnie.

– Wszedłeś dla Justine?

Gore przeczesał dłonią jasne, kręcone włosy.

– Zajęło ci to trochę czasu, co? Oczywiście, że dla Justine. Jak inaczej mógłbym dla niej śnić? Mam pięć gigantycznych gniazd konfluencyjnych okrążających tę asteroidę w odległości miliona kilometrów. Gajasma, jaką razem tworzą, działa jak olbrzymia sieć łapacza snów. Dosłownie.

– Ale skąd wiedziałeś, że będziesz śnił jej sny, nawet przy tak wielkiej pomocy?

– Jesteśmy rodziną. To jedyna teoria połączenia, jaką ktokolwiek kiedykolwiek wysunął.

– Więc po prostu spróbowałeś? – Dostawca powiedział to z wielkim niedowierzaniem, ale ta idea wydała się tak mało

prawdopodobna.

Gore'a patrzył na niego nieustępliwie.

– Nie ma zysku bez ryzyka, chłopcze – burknął. – Do diabła, co myśmy zrobili z kulturą Elewatów? Nigdy do niczego nie dążycie, cholera, aż żałość patrzeć.

– Nie powiedziałbym tego o Ilanthe – odciął się Dostawca. – A ty?

– Aha, więc jednak masz trochę ognia. Dobrze. Obawiałem się, że będę miał do czynienia z kolejnym cudakiem bez jaj, który musi najpierw wypełnić podanie, zanim się wysra.

– Dziękuję. Zatem jesteś kolejnym zwolennikiem Frakcji Konserwatywnej?

Gore zachichotał.

– Skoro tak to chcesz interpretować, to tak.

– No a o co innego chodzi?

– Nie robiłem cię w konia, słoneczko. Ja jestem egzekutywą frakcji. Od wieków. Zrozum, tak już jest z ruchami politycznymi, że liderzy je ciągną, i jeśli należycie wykonują zadanie, to wszyscy członkowie idą za nimi jak owieczki. W końcu kto powiedział, że to była demokracja?

– Ale... – Dostawcę przeraziła ta myśl. – To musi być demokracja, wszystkie frakcje ZAN są demokratyczne.

– Jeśli zostało to ustanowione jako demokracja, to tak jest, i wiele innych też. Czy byłeś na pierwszym posiedzeniu komitetu Frakcji Konserwatywnej, gdy napisałem statut zgodny z porozumieniem opartym na naszych ideałach? Nie. A wiesz dlaczego? Bo nie było żadnego posiedzenia, żadnego statutu, wszyscy po prostu robicie to, co wam każe. Frakcja Konserwatywna to tylko pojęcie, którego się uczepiliście. Popularne. Nie potrzebujemy polityki, dyskusji i podobnych bzdur. Jeśli jakaś inna frakcja zrobi coś, żeby zachwiać lub podważyć ZAN albo Wspólnotę, wykorzystam naszą frakcję jako mechanizm, by dać im mocno po łapach. A co, myślisz, że Protektorat pojawił się w naturalny sposób, by bronić Światów Zewnętrznych przed Radykalanymi Elewatami? Jak wystartowali, kto za nich płacił, kto ujawnił skalę zagrożenia? A skoro o tym

mowa, jak Radykalni Elewaci w ogóle się narodzili? To przecież wcale nie jest naturalne rozszerzenie filozofii Elewatów, co nie?

– O, Ozzie! – jęknął Dostawca.

– Nie martw się więc, Frakcja Konserwatywna jest w dobrej formie. Podobnie jak Progresywiści są pod światłym kierownictwem Ilanthe. A może myślałeś, że wszyscy głosowali za tym, żeby się złożyć do grobu, gdy ona odleci do Pustki, żeby tam żyć długo i szczęśliwie?

– Cholera. – Te informacje, teraz tak proste i oczywiste, powinien przyjąć z ulgą, on natomiast czuł gorycz. Gorycz – że został zmanipulowany; gorycz z powodu wielkiego kłamstwa; gorycz i zawstydzenie, że dał się na to nabrać. Że tak wielu się nabrało. – Co teraz? – spytał pełen urazy. – Mówiłeś, że masz plan.

– Jak go nazwałeś? – spytał Gore, gdy obaj wsunęli się do kabiny ultranapędu.

– Co? – burknął Dostawca.

Smartkor nie reagował na jego kody poleceń.

– Statek, jak się nazywa?

– Wcale. Nigdy nie dałem mu nazwy. Uf, smartkor ma awarię.

– Żadna awaria – odparł Gore. Z podłogi wyłonił się muszlowaty fotel, którego powierzchnia nabrała płynnie rdzawej barwy i tekstury gąbczastej juty. Ściany kabiny pojaśniały do błękitu. Czarne linie pognały po krzywiźnie ściany, tkając elegancki wzór. Od góry bryznęły kryształki światła. Powstała podłoga z dębowych desek. – To w końcu mój statek; zaprojektowany i zbudowany przez Frakcję Konserwatywną. W starych, dobrych czasach powiedziałbym: „i ja za niego zapłaciłem”.

– W takim razie... – Dostawca omal nie powiedział „co tu po mnie?”, ale to by zabrzmiało żałośnie.

– Synu, jeśli chcesz to przeczekać albo gonić agentów Progresywistów, to proszę bardzo. Ja to zrozumiem. Ta asteroida ma generator wormholu, który może cię przerzucić do większości Światów Wewnętrznych. Mogę ci nawet przydzielić

jakiś prawdziwy gnojkwaty hardware i kilku innych agentów chętnych do bitki. Ale uważam, że to, co robię, to najlepsze, na co stać nasz gatunek. I chyba będzie mi potrzebna pomoc. Twoja decyzja.

Dostawca usiadł w fotelu, który przybrał barwę jarmarcznego fioletu.

– Dobrze. Jestem z tobą.

– Dobry z ciebie chłop. Nazywam ten statek: „Ostatni Wyskok”. Jakoś dobrze mi to dźwięczy. Ironicznie, a jednak dumnie, co nie?

– Skoro tak twierdzisz.

Dla Mariusa asteroida okazała się zupełnym zaskoczeniem. Ponieważ była wydrążona, na pewno nie była statkiem raielów. Z drugiej strony taki obiekt nie istniał w żadnych bazach danych Wspólnoty, a Marius miał dostęp do wszystkich jednostek pamięci i głębokich archiwów w unisferze. Początkowo sądził, że to jakaś tajna baza Frakcji Konserwatywnej, ale szybko odrzucił tę hipotezę. Zbudowanie obiektu o takiej skali wymagałoby kolosalnego wysiłku, a dokonanie tego w sekrecie tak blisko Augusty to wyczyn niemożliwy. Co sugerowało, że asteroida jest stara.

– Musiała należeć do Nigela lub Ozzięgo – stwierdziła Ilanthe. – To logiczny wniosek ze względu na bliskość Augusty.

– Gore jest z tej samej epoki co oni – zauważył Marius. – Jeśli wrócił do ciała fizycznego, ma tu idealne schronienie.

– Wrócił. To jest potwierdzenie. Ukształtowanie krajobrazu ze snu może pochodzić tylko stąd. To unikalne. Muszę przyznać, że nie spodziewałam się tego. Powinno się go zneutralizować za barierą solarną.

– Ma tylko jeden statek z ultranapędem i Dostawcę jako pomagiera. Nie stanowi dla nas żadnego niebezpieczeństwa. Już wiemy, że nie ma broni, które mogłyby zagrozić „statkowi”.

– A jednak oto się zjawił. Nadal wolny Trzeci Śniący ze swoją córką już w Pustce, gotów zrobić to, co chce, tymczasem Araminta zniknęła na ścieżkach silfenów, zostawiając nas

zamkniętych na zewnątrz.

Mariusz dokładnie zbadał obraz asteroidy dostarczony przez jego egzowizję – w odległości miliona kilometrów czarny okruch o powierzchni mieniającej się słabym brązem w świetle Bliźniaków.

– Mogę to zaraz zniszczyć. Nie ma pola siłowego.

– Ale była T-sfera. Nie mamy pojęcia, jaki jest jej potencjał, a ponieważ pozostała ukryta przez tysiąc lat, możesz być pewien, że ma jakieś systemy obrony. Jeśli atak się nie uda, stracimy przewagę. Dopóki nie odzyskamy Araminty, muszę się dowiedzieć, jakie są możliwości Gore'a i jakich ma sojuszników.

W egzowizji Mariusza mignęły ikony. W pobliżu otwierał się wormhol. Czujniki pokazały Mariuszowi egzotyczną strukturę sięgającą od asteroidy do miejsca oddalonego o milion kilometrów. Wormhol prawie natychmiast zniknął, a potem znów się pojawił z punktem końcowym w innym miejscu, ale również oddalonym milion kilometrów od asteroidy.

– On coś zabiera z tych miejsc – powiedział Mariusz.

Teraz miał już parametry orbitalne, które pasywne czujniki statku skanowały na szerokości miliona kilometrów pasa orbitalnego. Wykryły trzy nowe satelity. Wormhol sięgnął i szarpnął je kolejno jeden po drugim. Wtedy T-sfera znów się rozszerzyła i statek Dostawcy zmaterializował się na zewnątrz asteroidy. Potem natychmiast opuścił się w hiperprzestrzeń.

– Za nim – rozkazała Ilanthe. – Dowiedz się, co on robi.

Gdy tylko pięć satelitów gniazda konfluencyjnego wypełniło ładownie towarowe, Gore teleportował „Ostatni Wyskok” poza asteroidę. Dostawca wstrzymał oddech; czekał, jak zareaguje tamten drugi statek.

– To musi być Mariusz – rzekł.

– Więcej niż prawdopodobne – przyznał Gore. – Ale to znaczy, że Ilanthe wie, że znów jestem w grze. Desperacko chce wiedzieć, co robię. Jeszcze nic nie zamierza zmaistrować. A jak już się zorientują, to będzie za późno.

- Jaki dokładnie jest twój plan?
- Mój oryginalny plan był bardzo dobry. Wymagał tylko, żeby Inigo dostał się do Pustki w moim imieniu. Teraz to się popieprzyło na wszystkich frontach. Muszę sporo improwizować, żeby znów wszystko pozszywać.
- Chyba nie zamierzasz lecieć teraz razem ze mną do Pustki? – spytał zaniepokojony Dostawca. Uświadomił sobie, że Justine może skłonić Władcę Niebios, by otworzył dla Gore’a granicę.
- Nie. Lecimy w innym kierunku. Los Galaktyki zależy teraz od tego, czy wyeliminujemy Pustkę raz i na zawsze.
- My?
- Ty i ja, synu. Nie ma nikogo innego. Odbyliśmy przecież rozmowę o zależności od polityków, co nie?
- W imię Ozziego, jak tego dokonamy? Raiiele nie mogli tego zamknąć swoją armadą, a milion lat temu dysponowali już okrętami, przy których nasza flota wygląda jak flotylla dziewiętnastowiecznych żaglowców. – Zaczynał podejrzewać, że wyjście z ZAN zniszczyło u Gore’a podstawowe funkcje myślowe.
- Nie powiedziałem: zamknąć. Powiedziałem: wyeliminować. Nie da się tego zrobić siłą, więc musimy dać jej alternatywę.
- Komu dać alternatywę?
- Pustce.
- Alternatywę do czego?
- Do jej bieżącego istnienia, do bycia sobą.
- Jak? – Dostawca powstrzymywał się od krzyku.
- Pustka jest w zastoju. Oryginalnie została powołana w pewnym celu, ale to nie działa. Przez miliony, może nawet miliardy lat nie poczyniła żadnych postępów. Tkwi tam i pochłania umysły i materię, stała się bezsensowna i bardzo niebezpieczna. Musimy ponownie uruchomić jej proces ewolucyjny, czy jej się to podoba, czy nie.
- Myślałem, że właśnie to proponują Progresywiści i Ilanthe.
- Posłuchaj, dzieciaku, wiem, że masz dobre zamiary, że niepokoisz się o swoją rodzinę i w ogóle jesteś zdenerwowany, ale nie próbuj mnie przegadać. Od ponad dwóch wieków walczę z tą jędzą. Nie wiem, co to jest ten jej pieprzony rdzeń inwersji, ale

uwierz, na pewno nie dokona fuzji Frakcji Progresywiwistów z jądrem Pustki, żeby mogli wtaszczyć się w stan postfizyczny. Co to, to nie. To jej prywatna próba osiągnięcia boskości, a to dla nikogo nie będzie dobre.

- Tego nie wiesz.

- Wiem, bo jeśli rzeczywiście chcesz osiągnąć stan postfizyczny, są lepsze i prostsze sposoby niż to szaleństwo.

- Na przykład?

- Jeśli nie jesteś wystarczająco dojrzały, by znaleźć transcendencję na swój własny sposób, to skorzystaj z mechanizmów, których używały inne rasy, by transcendować przy ich pomocy. W większości znanych nam wypadków transcendencji postfizycznej mechanizmy fizyczne przetrwały ten proces. Więc po prostu włączasz maszynę, rebootujesz i wciskasz „start”. Bach! W jednej chwili stajesz się półbogiem.

- Ale czy ZAN by na to pozwolił? A co z postfizycznymi?

- To ma głównie wspólne z ZAN. Jak opuścisz statkiem przestrzeń Wspólnoty, to kończy się jego jurysdykcja i odpowiedzialność. Przynajmniej w sensie technicznym. Ta cała główniana Pielgrzymka naprawdę wszystko popieprzyła. Dyskusje na temat ingerencji były wewnątrz bardzo hałaśliwe, zanim stamtąd wyszedłem.

- Więc dlaczego nikt tego nie zrobił?

- Dlaczego sądzisz, że nie zrobił? W tym tkwi sedno: postfizyczni się tu nie pojawiają. Przynajmniej my nic o tym nie wiemy. Och, to będzie wymagało cholernego wysiłku i prawdopodobnie cały wiek zajmie naprawienie tego ustrojstwa, ale to się da zrobić. To nic w porównaniu z wysiłkiem potrzebnym do manipulacji Żywym Snem, uwięzieniem ZAN i stworzeniem rdzenia inwersji.

- Więc co robi Ilanthe?

- Pytanie za milion. - Gore rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- A niech to...

- Witaj w klubie paranoików. Najtańsze składki we wszechświecie i członkostwo po wsze czasy.

- Powiedz mi, dokąd zmierzamy?

- Na macierzysty świat anominów.
- Dlaczego?
- Bo udało im się przejść w stan postfizyczny. A mechanizm transcendencji zostawili za sobą.

Dwudziesty pierwszy sen Iniga

Edeard wyszedł z sanktuarium burmistrza, mając nadzieję, że nie okazuje rozdrażnienia. Nawet po tylu dziesięcioleciach w Makkathranie maskował swe uczucia gorzej niż inni obywatele. Co gorsza, chodziło oczywiście o drobiazg. Ale burmistrz Trahaval pozostał niewzruszony: dla owiec i świń certyfikaty własności zwierząt nie będą potrzebne. Przez stulecia wymagano ich jedynie dla bydła i ta tradycja wystarczała z nawiązką. Jeśli na prowincji nasiliły się kradzieże, nie do miasta należała interwencja w tej sprawie, a zwłaszcza nie należało narzucać prowincjom dodatkowej papierkowej roboty. Niech gubernatorzy zwiększą częstość patroli szeryfów i niech zmuszą strażników na targach do większej czujności.

Drzwi za Edeardem się zamknęły. Zacerpnął tchu dla uspokojenia. Omiótł go potężny dalwzrok, aż na ramionach wystąpiła mu gęsia skórka. Jak zwykle, wrażenie po chwili przeszło. Z pewnością obserwator nie zatrzymał zmysłu na tyle długo, by Edeard mógł z kolei użyć swego dalwzroku i go zlokalizować.

Nie wiedział, kim byli, ale szpiegowali go już od paru lat, a ostatnio coraz śmielej. Obecnie niemal co tydzień. Irytowało go, że prawie nie mógł z tym nic zrobić, chyba żeby okazał się dość szybki, by złapać podglądacza lub podglądaczkę na gorącym uczynku. Dotychczas mu się to nie udawało. Przypuszczał jednak, że to jakiś zbuntowany młodzian upewniający się, że Edearda nie ma w okolicy, kiedy on załatwia jakieś swoje nikczemne sprawy. Z pewnością Argian nie otrzymał donosu o młodzieńcu z wyjątkową mocą psychiczną, nie słyszał też o nikim, kto by swoje talenty wynajmował. Edeard zadowolony był więc czekaniem. Pewnego dnia podglądacz popełni błąd, a wtedy się przekona, skąd się wziął przydomek „Stąpający po Wodzie”.

W górze, na suficie Sali Liliała, sztormowe chmury wściekle

wirowały, zasłaniając widok Bransolety Gicony. Trzy tygodnie, tylko trzy tygodnie do następnych wyborów. Nie żeby się spodziewał wyrzucenia Trahavalu czy chciał, by go wyrzucono. Życie w Makkathranie i w prowincjach było dobre, w niemałym stopniu właśnie dzięki Trahawalowi, który okazał się solidnym i odpowiedzialnym burmistrzem, konsolidującym wszystko, co Finitan osiągnął w czasie swych bezprecedensowych sześciu kadencji. Burmistrzowi jednak brakowało jakiejś rzeczywistej własnej wizji. Stąd jego odmowa rozszerzenia obowiązku rejestracji przybytku domowego. Farmerzy od lat skarżyli się na kradzieże. I zjawisko to ostatnio niewątpliwie narastało. Rzeźnie i miejscy kupcy nie grymasili, jeśli chodzi o dostawców zwierząt. Większe miasta i stolicy prowincji przejawiały tę samą elastyczność moralną. Pomógłby system rozszerzonych certyfikatów, zważywszy na trudności w rozstrzygnięciu takich sporów. Jak zwykle wywierano presję na konstablów i szeryfów, by uporządkowali ten bałagan i ostro zajęli się złodziejami. To znak czasów, cierpko komentował w myślach Edeard. Dwadzieścia lat temu ludzie obawiali się bandytów i rabusiów i chcieli zabezpieczenia dróg przed rozbójnikami. Obecnie problemem stały się zaginione owce.

Ale za trzy tygodnie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mógł wreszcie opuścić stworzony przez Finitana specjalny komitet Wielkiej Rady do spraw przestępczości zorganizowanej. Po ćwierćwieczu istnienia komitet osiągnął wszystko, czego chciał Edeard. Rozpoczęto od wyrugowania pozostałych członków gangów ulicznych – były ich wtedy nadal setki. Łatwo powróciły do dawnych nawyków, jakby wybór Finitana i masowe wygnania nic nie znaczyły. Gangsterzy nie byli już zorganizowani, nie tak jak za czasów Buatego i Ivarla, choć Ranalee i jej podobni z pewnością wywierali szkodliwy wpływ. Niezależnych od gangów bandytów konstable musieli ścigać pojedynczo i łapać podczas drobnych przestępstw. Procesy sądowe częściej kończyły się grzywną niż więzieniem, ponieważ przestępstwa były tak drobne. A jeśli już skazywano ich na więzienie, to najwyżej na kilka miesięcy, co nie rozwiązywało problemu.

Edeard i Finitan wprowadzili system rehabilitacji jako alternatywę dla grzywnien, więzienia i wygnania. Kazali skazańcom pracować przy robotach publicznych razem z zespołami genistarowymi. Forsowali wprowadzanie tego systemu i byli w tym bardzo zdeterminowani. Próbowali przełamać cykl zbrodnia-ubóstwo. Koszty systemu spowodowały ostrą walkę polityczną wewnątrz Rady. Pochłaniało to energię Finitana przez całą jego drugą kadencję. Zmuszono gildie, by szkoliły recydywistów niewielkich przestępstw i brały ich na próbę jako uczniów, tak że przynajmniej otrzymywali jakieś szanse na przyszłość. Poziom przestępstw w mieście spadał powoli, ale systematycznie.

Pozostawały inne sfery zamętu i niezadowolenia. Edeard zajął się niedobitkami zwolenników Jednego Narodu, co okazało się zadaniem znacznie trudniejszym. Nie można było ani postawić ich przed sądem i ukarać, ani zastosować rehabilitacji. Wywierał więc na nich naciski w innych obszarach życia. Ich firmy cierpiały, żaden bank nie chciał pożyczać im pieniędzy. Ich status – tak ważny dla Wielkich Rodzin – malał, gdy skutek szeptanych pogłosek wyrzucano ich z klubów i nie zapraszano na imprezy. Gdy takie metody zawodziły, pozostawało zawsze formalne śledztwo podatkowe w sprawie pochodzenia ich majątków. W ciągu kilku lat wszyscy po prostu się spakowali i opuścili Makkathran. Edeard dopilnował, żeby rozproszyli się równomiernie po prowincjach, w efekcie wzajemne kontakty tych ludzi z czasem zanikły.

Pozostawał problem Wielkich Rodzin, który – ściśle mówiąc – nie leżał w gestii komitetu. Ich potęga wynikała z bogactwa, strzeżonego zazdrośnie i umiejętnie. Finitan spokojnie zwiększył liczbę urzędników skarbowych, a Edeard usunął z ich gildii ludzi skorumpowanych. Dochody podatkowe miasta odpowiednio wzrosły. Ale wprowadzenie pełnej odpowiedzialności finansowej Wielkich Rodzin i klas kupieckich wymagało procesu demokratyzacji, który prawdopodobnie potrwa dłużej niż życie Edearda. Najgorsze ekscesy jednak ograniczono.

Za trzy tygodnie Makkathran miał zagłosować na Edearda,

kandydującego na Głównego Konstabla. Pani, proszę! Wszyscy, zwłaszcza Wielkie Rodziny, widzieli w każdym przestępstwie w Makkathranie przejaw działalności jakiejś rozległej, wywrotowej, na wpół rewolucyjnej złowrogiej organizacji. To nieunikniony rezultat spektakularnego sukcesu z ostatnich lat, gdy konstablom udało się ograniczyć przestępczość w mieście i na równinie Iguuru. W konsekwencji każde wykroczenie uważano za godne uwagi. Zagięły skrzynie z warzywami, skradziono płaszcze w Domu Opery... Złoczyńcy na pewno byli zorganizowani i dlatego szefem śledztwa musiał być sam Stąpający po Wodzie.

Trzy tygodnie, myślał, idąc przez Salę Lilala. Tyle tylko muszę jeszcze znosić te pieprzone bzdury. Trzy tygodnie. A jeśli przegram, mogą się spodziewać, że nawet zrezygnuję. Nie podzielił się tą myślą z nikim, nawet z Kristabel, ale ostatnio kilkukrotnie rozważał ten pomysł. Obecnie komitet Wielkiej Rady miał niewiele do roboty. Konstabli było cztery razy mniej niż piętnaście lat temu, a większość obecnych oddelegowano do stolic prowincji lub zatrudniono przy przewlekłych sprawach.

Tak czy inaczej, komitet trzeba zamknąć. Muszę zająć się czymś innym.

Ponad nim, pośrodku sufitu, energiczny węzeł huraganowy wirował coraz szybciej. Pędzące pasma obłoków gęstniały i ciemniały. Z początku nie dostrzegł centrum – była to jedna z wielu ciemnych plam. A potem zamigotała tam gwiazda. Edeard przystanął i patrzył w górę. Centrum sztormowego wiru przejaśniało się, rozszerzało, ukazując za sobą nocne niebo. Edeard przez lata tu przechodził, ale nigdy nie widział, aby sufit zachowywał się w taki sposób. Obłoki odpływały teraz gwałtownie. Opuszczały sufit i zostawiały widok rozgwieżdżonego nieba, na którym mgławice Pustki migotały mocną fosforescencją. A potem pojawiła się Bransoletka Gicony, wszystkie pięć planet rozmieszczone starannie na suficie i świecące z niezachwianą intensywnością, o wiele większe niż wtedy, gdy Edeard obserwował je wcześniej. Marsowe Bliźniaki, oba w postaci groźnie połyskujących kul karminowego światła, nadal pozbawione jakichkolwiek cech topograficznych. Vil,

największy z całej piątki, okryty nieprzerwanym płaszczem lodu, odbijającego światło przez cienką, bezchmurną atmosferę. Alakkad – ciemna czarna skała z siatką pięknych, pomarańczowych linii lawy, pulsujących niczym żyły. I wreszcie Rurt – bezpowietrzna, szarobiała pustynia od chwili swego powstania obijana kometami i asteroidami, które upstrzyły jej powierzchnię milionem postrzępionych kraterów.

Edeard napawał się panoramą nieba tak niespodziewanie i z taką niezwykłą szczegółowością dostarczoną przez sufit. Bez pośpiechu zaznajamiał się z każdym ze światełek Gicony. Już od bardzo dawna nie patrzył przez teleskop – minęły dziesięciolecia, to było jeszcze zanim postawił stopę w Makkathranie. Kiedy przeglądał stateczny kwintet, uświadomił sobie, że wśród planetek pojawiło się coś nowego. Plama bladego opalizującego światła mrugała obok Alakkadu.

– Co to jest? – powiedział cicho, zaintrygowany.

To nie mogła być mgławica – plama była zbyt mała, zbyt stabilna. Ponadto sufit ukazywał mu całą Bransoletę, co oznaczało, że plamka znajduje się blisko Querencji. To nie kometa – plamka nie miała ogona. A to oznaczało...

Edeard padł na kolana jak do pacierza, patrząc z nabożną czcią na świecącą plamkę.

– Och, dobra Pani!

Nigdy nie widział żadnego, nigdy sobie nie wyobrażał, jak on powinien wyglądać. Ale mimo to wiedział dokładnie, na co patrzy.

Edeard znowu przyłożył oko do okularu teleskopu, upewniając się, że ustawienie jest właściwe. Dlaczego soczewka wystawała pionowo w połowie wielkiej mosiężnej rury, stanowiło dla niego zagadkę. Astronom, od którego kupił teleskop, wygłosił jakieś długie przemówienie o ogniskowych. Edeard niewiele z tego rozumiał. Potrzebował tylko, by ustrojstwo działało. Większość popołudnia spędził na ustawianiu go w zamkniętym ogrodzie przed gabinetem Kristabel, gdzie miała swe biurko i wszystkie

papiery potrzebne w zarządzaniu majątkiem. Cały ziggurat w dół aż do trzeciego piętra już wiedział o nowym zainteresowaniu Stąpającego po Wodzie, nie wspominając o plotkarskiej klice astronomów z Makkathranu. Wkrótce dowie się o tym całe miasto. Wtedy może życie znowu stanie się ciekawe.

I to jest właśnie mój prawdziwy problem z tym światem. Cholernie przytulny i zbyt uporządkowany.

Wstał, wyginając plecy, by rozruszać zastałe mięśnie. Omiótł dalwzrokiem ogarnięte zmierzchem miasto. Ktoś go obserwował. Nie skryty przybysz – sygnaturę umysłu tamtego znał aż za dobrze. Sięgnął dalwzrokiem aż do Myco i tamtego czterokondygnacyjnego budynku nad Kanałem Wysokiego Ogona, z którego górnych okien sączyła się fioletowa poświata.

– Cześć, Edeardzie – powiedziała dalmową Ranalee.

Stała w gabinecie, który przed nią zajmowali Bute i Ivarl. Kiedy do oglądania pokoju wykorzystał zmysły samego miasta, zobaczył, że jest ubrana w długą jedwabną suknię wieczorową z kloszowymi rękawami. We włosach i wokół szyi pobłyskiwały duże klejnoty. Towarzyszyły jej dwie dziewczyny. Wyglądały na młodsze córki arystokracji, z rodzaju tych, jakie zwykła wciągać w intrygi koligacyjne; ubrane bardziej kosztownie niż kurtyzany z niższych pokoi, patrzyły na Ranalee z wyraźnym uwielbieniem. W pokoju przebywał także chłopak, ciemnowłosy młodzieniec, tylko w szortach. Edeard zgadywał, że pochodzi z arystokracji – zdradzała go pewność siebie. Jego obecność przy Ranalee, choć trochę niezwykła, nie była czymś wyjątkowym.

Edeard westchnął na widok tej trójki, jednak wtargnięcie do Domu Błękitnych Płatków z oddziałem konstabli, by wyrwać niewinnych z jej szponów, byłoby daremne. Już raz taki błąd popełnił. Gdy skutki okazały się fatalne, cofnął się w czasie, by zapewnić, że sytuacja się nie wydarzy.

Tylko w jeden sposób można było uwolnić Makkathran od Ranalee, ale go nie zastosuje. Jak to często powtarzała: stałby się wówczas taki jak ona. Zatem znosił ją i usiłował udaremnić jej plany legalnie.

Co gorsza, Ranalee starzała się wyjątkowo dobrze.

Przypuszczalnie zawarła jakiś pakt z Honiousem, myślał ponuro. Jej ciało pozostawało jędrne i bez zmarszczek. Zachowała świetną figurę nawet po urodzeniu czwórki dzieci. Trzeba było podejść do niej blisko i spojrzeć w te hipnotyzujące oczy, by dostrzec jej prawdziwy wiek i wyrachowaną pomysłowość przy pielęgnacji ciała. Edeard zawsze starał się unikać takiej bliskości.

– Dobry wieczór – odpowiedział, jak należało.

– Masz tam interesującą nową zabawkę.

– Twoja uwaga pochlebia mi, jak zwykle.

– Po co ci teleskop?

– Do obserwowania, jak zbliża się koniec twojego świata.

– Co za oszczędne wyjaśnienie. Oczywiście dowiem się tego.

– Z pewnością. Za kilka dni opowiem o tym bardzo głośno.

– Intrygujące. Dlatego zawsze cię lubiłam, Edeardzie. Czynisz życie takim podniecającym.

– Kim są twoi nowi przyjaciele?

– Chodź i przyłącz się do nas. Sam ich poznaj.

Dała znak dziewczętom, które natychmiast podeszły do chłopaka i zaczęły go całować.

– Nie, dziękuję.

– Nadal walczysz ze swym prawdziwym ego? Jakie to smutne.

– Naprawdę nie spodoba ci się moje obwieszczenie. Wkrótce sprawię, że nawet ci o najsłabszej woli zrezygnują z trybu życia, jakie wiesz.

– Jesteś dziś pełen goryczy. Czy certyfikaty dla inwentrza naprawdę są dla ciebie tak strasznie ważne?

Za każdym razem. Mogła to robić Za Każdym Razem. Edeard zacisnął zęby, kiedy próbował stłumić gniew.

– Przynajmniej rynku bydła jeszcze nie zaraziłaś – odparł. To było małostkowe, ale...

– Biedny Edeard, nadal zazdrosny, po tych wszystkich latach. Nigdy nie przypuszczałaś, że tak mi się powiedzie, prawda?

Nie połknął przynęty. Ale zdolności biznesowe Ranalee zaskoczyły go. Mądrze inwestowała, w przeciwieństwie do poprzednich właścicieli Domu Błękitnych Płatków, którzy trwonili pieniądze. Obecnie Ranalee była właścicielką

kilkudziesięciu całkowicie legalnych firm i dysponowała znaczącą polityczną reprezentacją w ogólnej radzie kupców i w Izbie Handlowej Makkathranu. Stała się niezależna od starej, słabnącej rodziny Gilmorn. Edeard naturalnie wiedział, że używała swojej nikczemnej zdolności dominacji, by w odpowiednich chwilach wpływać na niepodważających niczego konkurentów i by budować niestosowne przymierza finansowe, jednak niczego nie mógł udowodnić. Oczywiście jej dzieci zawarły stosowne małżeństwa, poddając jej władzy dalsze bogate rodziny.

– To właśnie jest Makkathran dla ciebie – odparł. – Równe szanse dla wszystkich.

Ranalee pokręciła głową najwyraźniej znużona sprzeczką.

– Nie, Edeardzie. Ani... – zanim mi przerwiesz... – ludzie nie rodzą się równi. Doszedłeś do swej pozycji za sprawą swej siły, tak jak to przewidziałam. Ja również pozycję zawdzięczam swojej sile, a tobie się to nie podoba.

– Czy mówisz w tej chwili, że do zebrania swego bogactwa wykorzystywałaś metody nielegalne?

– A ty czy legalnie osiągnąłeś swoją pozycję? Gdzie jest mój ojciec, Edeardzie? Gdzie jest Owain? Dlaczego nigdy nie wszczęto śledztwa w sprawie ich zniknięcia?

– Czy trzeba przeprowadzić śledztwo w sprawie ich działalności?

– Czy to śledztwo byłoby bezstronne? – Zaczęła usuwać z włosów ozdobione klejnotami spinki, by włosy opadły swobodnie.

– Nie chcesz tego śledztwa.

– Nie – odpowiedziała po prostu. – Przeszłość to przeszłość. To się skończyło. Przeszło. Ja spoglądam w przyszłość. Zawsze tak robiłam.

Patrzyła obojętnie na młodych. Dziewczęta zdjęły szorty chłopaka. Z chichotem pchnęły go na wielkie łóżko.

Edeard nie mógł patrzeć na zachwyconą, pełną uwielbienia twarz chłopaka, kiedy Ranalee podeszła do łóżka. Zbyt wiele wspomnień.

- Po co to robisz? - zapytał. - Osiągnęłaś tak wiele.
Usta Ranalee wykrzywił zwycięski uśmiech.
- Nie tak wiele, jak ty.
- Och, na miłość Pani!
- Czy chciałbyś zatrzymać się tu dziś, Edeardzie? Wspomnieć, jak to było? Jak wiele straciłeś?
- Dobranoc - powiedział z odrazą.
- Poczekaj - odwróciła się od łóżka.
- Ranalee...
- Mam dla ciebie informacje. To coś, z czym ona nigdy nie przyszłaby do ciebie.
- O co chodzi? - Serce miał ściśnięte. Wiedział, o kim jest mowa. Ranalee nigdy nie przyciągnęłaby jego uwagi tylko po to, żeby się z niego naśmiewać - zawsze miała sposób, by go zranić lub dodać mu zmartwień.
- Vintico przez cały dzień odpowiadał na niewygodne pytania na posterunku konstabli w Bellis - powiedziała. - Jestem zaskoczona, że o tym nie wiesz. Najwidoczniej zatrzymali go w nocy, więc formalne zarzuty zostaną postawione jutro.
- Och, Pani - jęknął Edeard.
- Vintico był najstarszym dzieckiem Salrany i jednym z najmniej wartościowych ludzi, jacy kiedykolwiek spacerowali po ulicach Makkathranu. Jego ojcem był Tucan, brat Ranalee. Nikczemne skojarzenie tej pary spowodowało, że w końcu Edeard zdał sobie sprawę, że między nim a Ranalee nigdy nie nastąpi rozejm, że wojna potoczy się aż do gorzkiego końca.
- O co tym razem chodzi? - spytał z rozpaczą.
- Chyba niewłaściwie wybrał partnerów biznesowych. Jakaś transakcja padła, został wielki dług u kupców o ustalonej pozycji. Najwidoczniej całkiem serio traktują takie sprawy. Zwłaszcza teraz, kiedy miasto jest zarządzane tak skutecznie. Mimo wszystko prawo i porządek muszą być przestrzegane.
- Nie mogę pomóc.
- Rozumiem. Masz zasady. Ale jeśli pošlę go do Trampello, złamię to serce jego matce. Może to również oznaczać koniec jej zaręczyn. Tej jedynej, kruchej szansy, by w swym życiu zaznała

nico szczęścia. Ja wspominałm o nim tylko dlatego, że to rodzina.

– Więc dlaczego nie zaoferujesz rodzinnej pomocy, jeśli to tak ważne?

– Gdybym tylko mogła. Akurat teraz nie dysponuję wolną gotówką. Wszystkie pieniądze mam związane w nowych przedsiębiorstwach, zainwestowane w przyszłość swoich własnych dzieci. – Uśmiechnęła się lubieżnie i odwróciła z powrotem do chłopaka rozwalonego na łóżku. – Będiesz teraz na nas patrzył?

Edeard wściekle odwrócił dalwzrok, ale jej złośliwe rozbawienie zdążyło się przedostać do jego percepcji.

– Pierdol Panią! – warknął.

Salrana! Tego imienia nie mógł wymawiać w ziggurcie Culverit. W tej materii cierpliwość Kristabel wyczerpała się dziesięciolecia temu. Salrana – od czasu do czasu w ciągu ubiegłych lat próbował jej pomagać. Obserwował i czekał, wierząc, że jej dawne ego powróci pewnego dnia, że mentalne szkody wyrządzone przez Ranalee zanikną. Nie znikwały. Ranalee na początku była zbyt zręczna, a jego opór zbyt prymitywny, pomagał tylko, by fałszywe emocje ustabilizowały się w myślach Salrany, aż przestały być fałszywymi. Salrana go nienawidziła.

Bitwa ciągnęła się przez lata, aż przyznał się do klęski. W końcu nawet Ranalee przeszła do przedsięwzięć bardziej zyskownych. Pięcioro dzieci, które Salrana urodziła mężczyznom wybranym przez Ranalee, miało nienadzwyczajne zdolności psychiczne. Zatem Ranalee wymierzyła ostatnią zniewagę – odrzuciła ją. Teraz Salrana była zaręczona z Garnfalem, Mistrzem Gildii Stolarzy, starszym od niej o ponad sześćdziesiąt lat. Edeard był pewien, że Ranalee nie ma z tym nic wspólnego, więc uczucie – czy jak to nazwać – mogło być po prostu prawdziwe. Ranalee przypuszczalnie mówiła prawdę – istniała szansa, że Salrana znajdzie szczęście na własnych warunkach.

Nie mogę się w to mieszać.

Ale Salrana to jego wina. I tak już zostanie. To znaczy również, że jest za nią odpowiedzialny. Brzemie, które będzie dźwigał zawsze.

Tylko przez chwilę pomyślał o cofnięciu się o parę tygodni, ostrzeżeniu Vintica przed jakąś śmieszną transakcją, w którą się wpakował. Oznaczałoby to następne dwa tygodnie kampanii wyborczej, przyjęć, na których już był, przywrócenie do życia całej debaty o certyfikatach na inwentarz.

Edeard jęknął na samą myśl. Niemożliwe. Skierował swą dalmową do konkretnego domku w dzielnicy Ilongo.

- Felax, mam dla ciebie zadanie.

Edeard już poczuł myśli Kristabel, kiedy dotarła dopiero na szóste piętro. Uśmiechnął się, czując ich ton. Była znowu w paskudnym humorze. Teraz, kiedy przeszedł mu własny zły nastrój, bawiło go to. Miał powody, by znowu poczuć się pewnie: Felax był sprytny i dyskretny – problem Vintica zniknie przed świtem. Nie chciał tego okazywać Kristabel – nie byłoby to rozsądne. Bawiła go jednak przewidywalność jej zachowania. Dzieci musiały też się zorientować w nastroju matki. Tego wieczoru wyparowały z zigguratu Culveritów. Poszły na przyjęcia lub po prostu „spotkać się z przyjaciółmi”. Nie było nawet Rolara z żoną i z dziećmi. Rozumiem was, pobłogosławił im w duszy.

- Co tam robisz na zewnątrz? – smagneła Kristabel dalmową przesyconą gniewem.

- Patrzę w gwiazdy – odpowiedział łagodnie.

Kiedy spojrzął do gabinetu przez wysokie drzwi zewnętrzne, jej sylwetka rysowała się w wejściu do holu. Obramowany futrem rąbek swej fioletowo-czarnej ceremonialnej szaty Wielkiej Rady uniosła trzecią ręką. Kaptur szaty opadł w tył, na ramiona. Pozwalało jej to na położenie obu dłoni na biodrach.

Edeard pamiętał, kiedy pierwszy raz widział u niej taką pozę: w dniu, gdy Bise odmówił podpisania w Wysokiej Radzie zgody na ich małżeństwo. Wypadła z izby z wściekłą maską na twarzy. Nerwowi szefowie dzielnic wymykali się chyłkiem przez drzwi za nią i honiowsko szybko uciekali z Pałacu Sadowego. Nawet Bise wyglądał na przestraszonego.

- Cóż, to użyteczne tuż przed elekcją - rzuciła Kristabel, maszerując przez gabinet. - I dlaczego jest tu tak ciemno?

- Zanieczyszczenia świetlne - wyjaśnił.

- Co takiego?

- Musi być odpowiednio ciemno wokół, by teleskop pracował optymalnie. Ma to coś wspólnego z akomodacją oka. Można światłem zanieczyścić noc.

- Och, do Honiousa, Edeardzie. Ja mam prawdziwe problemy, ty obowiązki, a tu tracisz czas na to genistarowe gówno.

- Co poszło nie tak?

- Nie tak? - Doszła do ogrodu. Obecnie nosiła krótsze włosy i pokojówki miały codziennie mnóstwo pracy z jej fryzurą. Dziś wieczór włosy Kristabel rozkręciły się z eleganckich loków i pierścieni, z jakimi zaczynała dzień. Wydawało się, że to jej gorący gniew pchnął je do buntu. - Ten palant Mistrz Ronius z Toselli wpakował do ustawy handlowej mnóstwo poprawek. Pięć miesięcy przepychałam tę ustawę przez radę. Na Panią! Pięć przeklętych miesięcy! Ulgi podatkowe były niezbędne dla prowincji Kepsil. Czy ktoś skradł mu mózg?

- Niektórzy kupcy stale sprzeciwiali się tej ustawie.

- Były uzgodnienia - odwarknęła. - Nie jestem idiotką, Edeardzie.

- Nie mówiłem, że jesteście.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie!

- Ja... - Z wysiłkiem starał się uspokoić. Wiesz, że ona zawsze jest taka po sesjach Wysokiej Rady. A ostatnio również przy innych okazjach. - Muszę ci coś pokazać. - W jego umyśle i głosie narastało podniecenie. - Chodź.

Poprowadził ją przez ogród do teleskopu. Teraz panował już prawdziwy mrok. W dole leżał Makkathran, piękny klejnot połyskującego światła, ciągnący się na wschód do Morza Lyot, gdzie pomarańczowe budowle rysowały się zadziwiającymi kształtami na tle bezchmurnego nocnego nieba. Sieć kanałów wycinała ściśle czarne linie w oświetleniu. Na Wielkim Kanale Głównym widział gondole u stóp zigguratu: ich jasne lampki oliwne wesoło podskakiwały na wodzie. Od czasu do czasu

fragmenty piosenki wymykały się w górę w balsamicznym nocnym powietrzu. Na taką panoramę mógłby patrzeć bez końca.

Kristabel nachyliła się nad teleskopem, trzecią ręką odgarnęła przekrzywiony kaptur.

– Co takiego? – spytała.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Alakkad, ale jest z boku. Nie ustawiłeś właściwie teleskopu.

Obecnie co drugie jej zdanie to krytyka.

– Jest ustawiony właściwie – upierał się stoicko Edeard. Pozwolił, by odrobina podniecenia przedostała się przez jego barierę umysłową.

Kristabel westchnęła ze złością i skoncentrowała się na obrazie.

– Tam jest... Nie wiem. Przypomina małą białą mgławicę.

– To nie mgławica.

Kristabel wyprostowała się.

– Edeardzie!

– Godzinę temu była kilka stopni dalej od Alakkadu. Porusza się. I, zanim o to spytasz, nie jest to również kometa.

Gniew Kristabel zniknął. Spojrzała na niego wstrząśnięta, a potem ponownie pochyliła się nad teleskopem.

– To statek? Czy przyleciał z zewnątrz Pustki, jak ten, który przywiózł Raha i Panią? – Patrzyła na niego zdezorientowana.

– Nie. – Objął ją ramionami i się uśmiechnął. – To Władca Niebios.

Burmistrz Travahal niezmordowanie organizował co drugi dzień wielkie przyjęcia, za każdym razem w innej dzielnicy, by zyskać poparcie dla siebie osobiście i dla wspomagających go lokalnych reprezentantów. W Bellis jedynym dostatecznie okazałym miejscem na takie okazje był Hol Morski. Miał rzeczywiście morski charakter: niezwykle, wklęsłe ściany w głębokim lazurze podpierały dach w formie zderzających się fal, a oryginalne fontanny obejmowały wejścia łukami lekko sfalowanej wody. Tego wieczoru usunięto zwykłe umeblowanie sali, robiąc miejsce dla obładowanych jadłem stołów i małej

orkiestry pośrodku. Gości dobrano równie starannie jak menu. Przedstawiciele dzielnicy mieli nawiązywać kontakty towarzyskie z Travahalem i otoczeniem jego niezłomnych zwolenników. Zaproszono przekrój społeczeństwa Bellis: pomniejszych kupieckie rodziny rozpaczliwe spragnione wpływów politycznych, szefów stowarzyszeń lokalnych, miejscowych członków gildii, wiekowych patriarchów i pramatki z Wielkich Rodzin aż do starannie prześwietlonych przedstawiciele „prostego ludu pracującego”. Przyjęciom przyświecała idea wspólna dla wszystkim partii podczas każdych wyborów. Travahal i Wyżsi Radcy wmieszają się w tłum i będą rozmawiali z ludźmi, by ci mogli przekazać rodzinom i znajomym, że burmistrz wcale nie zadziera nosa, że rozumie codzienne problemy, że ma poczucie humoru i zna sporo plotek o swych rywalach oraz niektórych synach i córkach Wielkich Rodzin.

Edeard nie miał pojęcia, w ilu identycznych przyjęciach uczestniczył w ciągu ostatnich dziesięcioleci. W zbyt wielu – tylko tak mógł to określić.

– Och, daj spokój – powiedziała cicho Kristabel, kiedy przechodzili pod bulgoczącą wodą wokół głównego wejścia. – Dasz radę.

– Istnieje różnica między „dawać radę” a „chętnie robić” – odparł również cicho.

Ludzie zauważyli przybycie Stąpającego po Wodzie i Mistrzynie Dzielnicy Haxpen. Pełne nadziei uśmiechy rozprzestrzeniały się jak ogień. Edeard przybrał, na publiczny użytek, również entuzjastyczną minę „jestem szczęśliwy, że was tu spotykam” i splótł umysłem wybuch entuzjazmu. Pomógł Kristabel zdjęć szkarłatno-topazową pelerynę, zdjął swoją pelerynę z czarnej skóry – osobisty znak firmowy – i wręczył je obie odźwiernemu.

Ciekaw jestem, czy są tu dziś diabły z szatni Domu Opery? Miałyby tutaj niezły łup.

– Spójrz, Macsen i Kanseen są tutaj – powiedział radośnie.

– Z nimi nie rozmawiasz, póki nie pogadasz przynajmniej z piętnastu innymi parami – rozkazała Kristabel. – Kiedy ty i Macsen zaczniecie, zajmie to wam cały wieczór.

– Tak, kochanie.

Uśmiechnął się szeroko, ponieważ nagana była łagodniejsza niż w ostatnich dniach. Od czasu gdy wykryli Władcę Niebios, humor Kristabel znacznie się poprawił. Poza tym ma rację. Jesteśmy z Macsenem parą strasznych starych nudziarzy.

Trzecia ręka mocno go uszczypnęła.

– I mniej takich myśli – ostrzegła.

– Tak, tak, kochanie.

Uśmiechnęli się do siebie i rozdzielili się. Odkryli, że osobno łatwiej oddziaływają na tłum.

Pierwszy osaczył go importer win. Mężczyzna i jego bardzo młoda żona palili się do handlu z prowincją Golspith, gdzie doskonałe winnice produkowały wspaniałe nowe odmiany. Kupiec zabrał trzecią ręką kieliszek kelnerowi. Okazało się, że dumnie sponsoruje wszystkie dzisiejsze drinki na przyjęciu burmistrza Travahala. Edeard pociągnął łyk i przyznał, że nowe wino jest tak dobre, jak mężczyzna obiecywał.

– Zatem, jeśli nadarzy się sposobność, by wspomniał pan swojej pięknej żonie o rujnujących podatkach...

Edeard obiecał, że to zrobi.

To zabawne, jak ludzie nadal myśleli, że to on jest szefem w swoim małżeństwie.

Potem nadszedł szef związku ulicznych sprzedawców. Mężczyzna zapewnił Stąpającego po Wodzie, że on i jego kumple będą głosować na jego kandydaturę na Głównego Konstabla, ale to nic dziwnego – Edeard zawsze dbał o utrzymywanie dobrych stosunków ze związkami.

Następny był Mistrz Gildii z doków. Po nim lokalna Radna: „Po prostu całkowicie zainspirowana przez pańską żonę wzięłam udział w ostatnich wyborach i teraz jestem w Radzie”. Następnie synowie z Wielkich Rodzin dzielnicy, chcących wysłuchać jego zdania na temat wstąpienia do pułku milicji. Właściciel sklepu. Handlarz porcelaną, Zamlan, piąty syn w wielkiej rodzinie kupieckiej, nadzwyczaj zadowolony, że się z niej wyrwał i otworzył własną firmę, importującą interesujące towary z wielu prowincji. „Jestem członkiem Bractwa Morelowej Willi”, oznajmił

dumnie Edeardowi.

– Chyba o nim słyszałem – dyplomatycznie wymamrotał Edeard.

– Jesteśmy nowi, ludzie z mojego pokolenia, którzy nie chcą być na utrzymaniu rodzin. Na Querencii zachodzą zmiany, a my chcemy wykorzystać tę okazję dla siebie.

– Taką opinię chciałem usłyszeć – oznajmił Edeard. Naprawdę był pod wrażeniem.

– Oczywiście ani żadna gildia, ani stowarzyszenie o ustalonej pozycji nas nie uznają. Prawdopodobnie boją się konkurencji. I Pałac Sadowy całkowicie nas ignoruje. Jesteśmy wykluczeni z tak zwanych otwartych kontraktów.

– Pozostawcie to mnie – obiecał Edeard. – Popytam tu i ówdzie.

– Prosimy tylko o uczciwy rynek.

Potem był kowal. Uczennica z Gildii Jajoformerów, nieco onieśmielona i nieco pijana.

Był przy piątym kieliszku okropnych nowych win i trzecim talerzu ciężkich ciast, kiedy mignęła mu Jiska. Pośpieszył do niej.

– Na przyjęciu zaliczasz się do gości – oznajmił. – Porozmawiaj ze mną.

– O, biedny tata, czy mama znowu cię tyranizuje?

– Mam swój przydział.

– Brzmi strasznie.

Uśmiechnęła się do niego znacząco. Jiska była drugim z ich siedmiorga dzieci. Miała urodę po matce – piękne delikatne rysy, ale ciemne włosy Edearda. Włożyła prostą niebieską sukienkę i cienką spódnicę sprzeczną z modą w bieżącym sezonie. Jiska jednak nigdy nie ulegała ekscesom makkathrańskiego towarzystwa, za co Edeard był niesłychanie wdzięczny.

– A gdzie jest Natran? – zapytał.

– Przesyła przeprosiny. Miał jakiś kryzys na statku. Nowe żagle okazały się nie w porządku. Złe olinowanie czy coś takiego.

– Na tym statku stale jest jakiś kryzys. Czy naprawdę może pływać po morzu?

– Tato!

– Przepraszam.

W zasadzie dość lubił Natrana. Chłopak pochodził z rodziny kupieckiej, ale po odbyciu służby w rodzinnej flocie nabył łódź. Był zdeterminowany zbudować własną flotę i zdobyć majątek.

– Radzi sobie bardzo dobrze, wiesz o tym – broniła go Jiska. – Jego agenci zdobyli dla niego sporo bardzo zyskownych przewozów.

– Jestem tego pewien. To zdolny młody człowiek i mnóstwo przed nim pespektyw.

– Dzięki.

– Uhm... czy słyszałaś kiedyś o Bractwie Morelowej Willi?

– Tak, oczywiście. Natran do niego należy. Tworzą je ludzie o podobnych do niego korzeniach. Stowarzyszyli się, by mieć większe wpływy polityczne. Co w tym złego?

– Nic. To dobry pomysł. Podoba mi się sposób, w jaki niektórzy synowie rodzin rozwijają własną działalność.

– Cóż, starsi kupcy powinni brać pod uwagę postulaty bractwa. To, jak traktują legalną konkurencję, nie jest całkowicie zgodne z prawem.

– Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

– A chciałbyś o tym słuchać, tato? Mój chłopak i jego przyjaciele, przy kieliszku cały czas gderają na temat niesprawiedliwej konkurencji większych rywali. Nikt ich nie słucha, świat ich ignoruje. Jeśli sobie życzysz mogę mówić na ten temat godzinami.

– Doskonale. Na pewno jakoś powiadomią radę o swoim istnieniu. Wydaje się, że wszystkie inne grupy nacisku w mieście sobie z tym poradziły.

– Tato, jesteś takim cynikiem.

– Więc kiedy zamierzasz zabrać go do naszego domku na plaży na tydzień i dzień?

Wykrzywiła twarz w czystym przerażeniu.

– Brr! Sądziłam, że chcesz uwolnić Makkathran od niepotrzebnych tradycji, zwłaszcza od tak poniżającej jak ta.

– Ee...

– Wiesz, miałam osiem lat, kiedy odkryłam, że piosenka „Niedouczony człek” była o tobie. W szkole się zaśmiewali cały dzień. Nawet moi najbliżsi przyjaciele... Och, nieważne.

– Ach, tak. Nigdy nie wybaczę Dybalowi, że ją napisał.

– Jest okropna.

W zasadzie wydawała mi się całkiem zabawna.

– To wszystko przeszłość, kochanie. Nie martw się nią. Ale moje pytanie nadal jest aktualne. Mogłaś wybrać znacznie gorzej.

– Wiem. Jest mu trudno: jest kapitanem dopiero drugi rok. A my nie zamierzamy z niczym galopować.

– Chodźcie już ze sobą pięć lat – stwierdził. – Jeśli wiecie, to wiecie.

– Jestem przekonana, że miłość od pierwszego wejrzenia sprawdziła się doskonale u ciebie i mamy. Ale ja muszę znać kogoś dłużej niż dwa dni.

– To nie były dwa dni – zaprotestował. – Zalecałem się do niej tygodniami.

Delikatne brwi Jiski uniosły się gwałtownie w górę:

– Tato, powiedz: nie powiedziałeś przed chwilą „zalecałem”?

Westchnął pokonany.

– Wiesz, gdyby twoje pokolenie zalecało się nieco więcej, może więcej moich dzieci założyłoby rodziny i byłoby na swoich śmieciach.

– Nie mam jeszcze czterdziestki.

– I nadal jesteś piękna.

Wydeła usta.

– Stary flirciarz. Nic dziwnego, że mama dała się usidlić.

– Chcę jedynie, byś wiedziała: nie będę oponował, jeśli ty i Natran zechcecie stanąć przed Panią i się pobrać.

– Taaa, masz to jak w banku. Tak naprawdę masz to od czterech lat i jedenastu miesięcy. Zresztą mój starszy brat z pewnością się spisuje. Wiesz co? – Nachyliła się z błyszczącymi oczami.

– Co takiego?

– Myślę, że Wenalee znowu jest przy nadziei.

Spojrzał ostro na córkę.

– Nie zbadałaś tego dalwzrokiem, prawda?

– Naprawdę, tato! Nie, nie zbadałam. I jestem zszokowana, że tak pomyślałaś.

– Taaa... – warknął. Jiska miała dalwzrok silniejszy nawet niż on.

Może powinienem ją namówić, by wysłedziła mojego skrytego obserwatora? Ale wiadomość, że Wanalee jest w ciąży naprawdę podniosła go na duchu. Trzeci wnuk. To już będzie coś. Uwielbiał patrzeć, jak mały Garant i Honalee (wszyscy nazywali ją Słodziak) biegają po dziesiątym piętrze. Rolar, jego najstarszy syn, z pewnością nie zmarnował czasu – natychmiast się ustatkował i założył rodzinę.

– Oho! Ostrzeżenie przed bliźniaczkami. – Głos Jiski był jedwabisty.

Edeard rozejrzył się i dostrzegł Marilee i Analee przeciskające się przez tłum prosto ku niemu. Jego dzieci – piąte i szóste – były identycznymi bliźniaczkami i od początku lubiły igrać ze swoim wyglądem: zawsze tak samo się cesały i nosiły nierozróżnialne ubrania. Dzisiaj włożyły zharmonizowane satynowe stroje, ale suknia Marilee mieniła się bordową, a suknia Analee żółtozłotą barwą. Edeard uśmiechnął się do dziewcząt z pobłażaniem. Nie żeby na ten uśmiech zasługiwały, ale co innego mógł zrobić jako ojciec? Dwudziestopięcioletnie były zupełnymi nowicjuszkami w makkathrańskim towarzystwie. Miały jego wzrost, były szczupłe jak matka. Na ich twarzach o delikatnych rysach zawsze igrała skryta dziewczęca perfidia. Gęste, krucze włosy stanowiły dziedzictwo po rodzinie matki. Dzięki urodzie i statusowi społecznemu przeważnie dostawały to, czego chciały: ubrania, ulubione zwierzęta, chłopców.

– Tata! – powitały go radośnie chórem i równocześnie pocałowały w policzki.

- Byłyśmy dzisiaj bardzo grzeczne.
- Rozmawiałyśmy z wieloma osobami.
- I przekonałyśmy je, by głosowały na ciebie.
- Wszystkim przypominałyśmy, co zrobiłeś dla miasta.
- Choć było to tak dawno temu.
- Takich zasług nie można ignorować.
- Więc oni przypomną swym znajomym.
- I rodzinom, by wyszli z domu w dniu elekcji.
- I postawili krzyżyk tam, gdzie należy.
- Bo będą miały z nami do czynienia.

Paplanina bliźniaczek ogłuszała jak świergot stada ptaków.

– Dziękuję wam obu – odparł.

– Czyli wykonałyśmy już swoje obowiązki.

– I chcemy, byś nas zwolnił.

– Bo w rezydencji rodziny Farandola jest dziś fantastyczne przyjęcie.

– I znalazłyśmy dla siebie odpowiednią eskortę.

Zachichotały i spojrzały błagalnie na ojca.

– Eh! – zdołał wykrztusić Edeard.

– Utrallis.

– Jest wspaniały.

– I wysoki.

– I służy w pułku Pholasa i Zeldy.

– Ale jest bogaty osobiście.

– Nie jakiś pomniejszy syn.

– Honorowy dżentelmen.

– Szczęśliwy, że służy swemu miastu.

– Już dobrze. – Edeard uniósł ręce. – Dalej, idźcie sobie. Bawcie się dobrze.

– Och, będziemy z pewnością.

Następny wybuch chichotu zaatakował Edearda. Odwróciły się od niego. Każda uniosła urękawiczoną dłoń. Dwa palce władczo kogoś przyzywały. Przez tłum gości szedł młody mężczyzna w milicyjnym mundurze galowym, z wypolerowanymi guzikami i idealnie skrojoną szkarłatno-niebieską bluzą. Utrallis prawdopodobnie nie starszy od bliźniaczek, trzymał prosto szerokie plecy i miał silną szczękę. Edeard podejrzliwie patrzył na jego nos, nie wykluczał dalekiego pokrewieństwa z Gilmornami. W pamięci nieprzyjemnie mu błysnął obraz Ranalee i bezradnego chłopaka w jej pokoju. Spotkali się wzrokiem. Młody mężczyzna zarumienił się i przybrał tak przerażony wyraz twarzy, że Edeard poczuł, że mu współczuje. Bliźniaczki pojmały Utrallisa między siebie i odciągnęły go.

Jiska pokręciła głową i westchnęła.

– A wyglądał tak słodko. Biedactwo. Jak to jest, że zwykle są tak radośni na początku wieczoru, a potem, kiedy nadchodzi ranek,

te tragiczne, połamane łupiny wypełzają z zigguratu, wyglądając, jakby zdołały uciec samemu Honiousowi?

– Bliźniaczki nie są takie złe – odparł łagodnie Edeard.

– Tato, jeśli chodzi o nie, masz tam ogromną ślełą plamkę.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Ponieważ w stosunku do ciebie byłem taki twardy.

Jiska uniosła kieliszek.

– Zajmę się Natranem, nie martw się. Sądzę, że pięć lat to już wystarczy.

– Nie popędzam cię. Ponadto, już za dwa miesiące Marakas stanie przed Panią.

Uśmiechnęła się, jakby w naiwnym zdumieniu.

– Nie mogę uwierzyć, że ją poślubi. To znaczy... Heliana jest miła i kształtna, ale w zasadzie co ma jeszcze? Czy rzeczywiście mężczyźni są tacy płytkcy?

– Oczywiście, że jesteśmy.

– Biedna Taralee.

– Taralee doskonale sobie poradzi; jest przeznaczona do rzeczy wielkich. Pewnego dnia zostanie Wielką Mistrzynią Gildii Lekarzy.

Był niezwykle dumny ze swojej najmłodszej, nie mającej jeszcze dwudziestu dwóch lat, a już czeladniczki w Gildii Lekarzy. Inaczej niż bliźniaczki, całkowicie wyrzekła się oszałamiającego życia towarzyskiego i poświęciła medycynie.

– Zobaczmy. – Jiska się zadumała. – Po elekcji zostaniesz Głównym Konstablmem. Zatem teraz, gdy Dylorn wstąpił do milicji, trzeba tylko, żebym ja, lub jedna z bliźniaczek, stała się nowicjuską i zrobiła karierę aż do Pytii. Wtedy zostaniesz królem miasta.

Zwizualizowanie sobie którejś z bliźniaczek w stroju nowicjuszki było po prostu niemożliwe.

– Nie po raz pierwszy ktoś oskarża mnie o takie ambicje – stwierdził.

– Naprawdę? Czemu?

Spojrzał na córkę – inteligentną, elegancką, emablowaną przez wszystkich wolnych mężczyzn w mieście, zupełnie beztroską i z

tak olśniewającymi perspektywami. Ale nade wszystko jego największym triumfem było sprawienie, że jest bezpieczna, że ma przed sobą tę cudowną przyszłość. A jednak tego nie dostrzegą. Bitwy toczone przed jej urodzeniem znaczą dla jej pokolenia bardzo niewiele. Przygnębiała go myśl o własnej ustabilizowanej pozycji, o tym, że wszyscy uważają go po prostu za jedną z głównych postaci Makkathranu. Już nie stawia sobie pytań, już nie musi się sprawdzać.

- To długa i stara historia. Zapytaj o nią kiedyś Macsena.
- Och, Pani, to twój najstarszy przyjaciel, ale naprawdę nie mogę znieść już tych historii o starych czasach.
- Starych, dobrych czasach - poprawił.
- Skoro tak mówisz, tato.

Musiałoby to mieć coś wspólnego ze sceptyczną postawą Jiski lub z pojawieniem się Władcy Niebios, ale Edeard, przeciskając się do Macsena, ocenił go niezwykle krytycznie. Urzędowe szaty noszone przez Macsena wyglądały dziwnie. Obramowane futrem sukno spływało swobodnie po figurze. Szczodry krój miał może odwrócić uwagę od równie szczodrego brzucha, jaki Macsen wyhodował przez ostatnie dziesięciolecie. Również jego przystojna twarz stała się znacznie krągłjsza. W modnej krótkiej brodzie widniało kilka siwych pasemek.

- Edeard! - Macsen rozłożył szeroko ramiona i uściskał go entuzjastycznie, jakby nie widzieli się od lat.

Edeard zareagował na to nieco sztywno. Przecież przez ostatnie czterdzieści lat widywali się przynajmniej dwukrotnie niemal każdego tygodnia.

- Pani, co za lura - poskarżył się Macsen.

Uniósł kieliszek wina i oglądał go w świetle zmierzchu sączącym się przez półksiężycowe okna.

- Nie jęcz, to prezent od mojego potencjalnego wyborcy - odparł Edeard.

- W takim razie będę zachwycony, wychylając jeszcze kilka butelek za tego świętego gościa.

Pani, obecnie nawet rozmawiamy jak arystokraci.

– Nie zadawaj sobie trudu. Tak naprawdę nie zależy mi na stanowisku Głównego Konstabla. Pogódź się z tym, najlepsze dni mamy już za sobą.

Macsen spojrział na niego zaskoczony. Kątem oka Edeard zobaczył, jak Kanseen marszczy brwi, ale jak zwykle mentalna tarcza nie pozwalała odczytać jej uczuć.

– Mów za siebie, chłopcze ze wsi. – Macsen próbował być jowialny, ale nie bardzo mu wychodziło. – W każdym razie, z tego co się orientuję, znacznie wyprzedzasz naszego obecnego szefa konstabli. Makkathran potrzebuje, żebyś wziął na siebie rolę bardziej prominentną.

Edeard miał na końcu języka pytanie „Dlaczego?“, ale się powstrzymał.

– Chyba tak.

Macsen objął Edearda i odciągnął na bok, obdarzając grupę, z którą ostatnio rozmawiał, nieszczerym uśmiechem.

– Chciałbyś, abyśmy wrócili do przeszłości? Po wszystkim, czego dokonałeś?

– Nie... – zaczął ze znużeniem Edeard.

– To dobrze, ponieważ nie jestem przygotowany na to, by na wszystkie nasze dokonania nasrano z góry tylko dlatego, że masz menopauzę.

– Nie mam... – W porządku, może nie zmienił się aż tak bardzo. – Dobrze, akurat w tej chwili jestem nieco rozgoryczony. Przyznaję, że trzy dni temu poszedłem do burmistrza, by go przycisnąć w sprawie rozszerzenia certyfikatów na bydło.

– Słyszałem. Więc powiedział „nie”? Za niecałe trzy tygodnie będziesz Głównym Konstablą. Możesz wywrzeć wpływ na Wielką Radę i przepchnąć to sam.

– Ale tego nie zrobię – powiedział energicznie Edeard. – Bo Trahaval miał rację, prawda? Musisz to dostrzegać. Nie możemy, na miłość Pani, rozciągać certyfikatów na bydło na owce i świnie. To był idiotyczny pomysł. Kto chciałby tyle papierkowej roboty? Pamiętasz czasy, kiedy sporządziliśmy listę stu? Tygodniami nie widzieliśmy dziennego światła, tak byliśmy zajęci tymi

wszystkimi formularzami, raportami i świstkami. Wielki pęk ekstra certyfikatów to zwykłe spychanie roboty na urzędników. Naszej roboty! Ukrócić kradzieże muszą konstable wymuszający przestrzeganie prawa. Co sobie myślałem?

- Aha, tak. Stanowczo menopauza.

- Pozwoliłem, by sprawy mi się wymknęły. To objaw samozadowolenia i głupoty. Ale już koniec, dość tego.

- Och, Pani, więc co teraz? Chcesz tam wrócić z paroma pułkami? Weźmiesz najlepszych z miasta i zabierzesz ze sobą milicję prowincjonalną, żeby łapać złodziei owiec? Czy do tego to się sprowadza?

- Nie do tego. Nie rozumiesz. Żeglowaliśmy wspólnie przez kilka ostatnich lat - nie mamy już celów. Nigdy nie chodziło o zwycięstwo, pokonanie Owaina i Buatego. Zawsze chodziło o to, co będzie później. A teraz jest „później” i ma to dla mnie znaczenie. Wielkie znaczenie.

- Więc dobrze. - Macsen westchnął ciężko. - Ucałuję na pożegnanie Mistrznię Sampalok i znowu pojedę z tobą. Ale musisz przyznać, naprawdę robimy się za starzy i za grubi na takie rzeczy. Co sądzisz o tym, byśmy po prostu siedzieli w namiocie kwatery głównej i pozostawili chwalebne czyny twojemu Dylornowi, mojemu Castio i innym młodziakom?

Oczy Edearda automatycznie skierowały się w dół, na brzuch Macsena.

Nie wszyscy jesteśmy tacy starzy i grubi, dzięki.

W istocie był raczej dumny z siebie, że codziennie przebiega swoją normę. Nadal mógł bez zadyszki wspiąć się na stopnie w zigguracie. Teraz w mieście istniały nawet kluby biegaczy. Coroczny Wielki Jesienny Wyścig od Bramy Miejskiej przez Iguru do Farmy Kessala i znowu przyciągał coraz więcej uczestników.

- Nie - odparł Edeard. - Takim sposobem sobie z tym nie poradzimy. Musimy zmienić sposób działania kapitanów stacji pośrednich i szeryfów. Muszą oni zebrać więcej informacji, może utworzyć wyspecjalizowane zespoły konstabli, którzy nie będą spędzać dni po prostu na patrolowaniu.

- Więcej specjalnych komitetów Wielkiej Rady?

– Nie, nie takich. Po prostu grupa funkcjonariuszy, tych z pewnym doświadczeniem i ponadprzeciętnie rozgarniętych, którzy poświęcą więcej czasu na badanie wszystkich aspektów przestępstwa, próbując znaleźć wzorzec. Tak jak my to robiliśmy. Pamiętasz, jak szpiegowałem Ivarla, by odkryć, co knuje?

– Pamiętam, co ci się wtedy przytrafiło.

– Mówię jedynie, że powinniśmy przystosować się, stać się bystrzejsi. Teraz życie jest inne. Byłoby najgorszą ironią losu, gdyby to właśnie nam nie udało się nadażyć i z tego korzystać.

Macsen chwycił Edearda za ramię z szerokim uśmiechem.

– Wiesz, na czym polega twój prawdziwy problem?

– Na czym? – spytał Edeard, choć już odgadł odpowiedź.

– Nałogowo chcesz obżerać się chwałą.

Już trzecią noc Edeard leżał bezsennie w wielkiej sypialni na dziesiątym piętrze zigguratu Culveritów. Naprawdę miał świetne warunki do snu. Pokój był idealny. Edeard spędził lata na aranżacjach. Powiększał łukowe okna wychodzące na ogród, zmienił oświetlenie na kręgi dające różowobiałe światło, obniżył sufit, wyprodukował alkowy, do których robione na zamówienie meble Kristabel pasowały doskonale, odcień ścian ustawił na subtelny niebieskoszary, pasujący do specjalnie tkanego dywanu. Nawet gąbczaste materace na łóżku dostrajano, aż osiągnęły dokładnie taką miękkość, jakiej on i Kristabel sobie życzyli. Sprzeczali się na temat udrapowania wszystkich mebli koronkami, aż uzgodnili kompromis: kilka gustownych ozdóbek. Nawet zasłony miały stylowy bladordzawy odcień, choć również grubą jadeitową lamówkę i frędzle. Na frędzle zgodził się po usilnych namowach, ale naprawdę nie mógł ich winić o swoją bezsenność.

Kristabel poruszyła się obok niego i naciągnęła na siebie jedwabne prześcieradła. Wstrzymał oddech, aż ponownie głęboko zasnęła. Były czasy, nie tak znowu odległe, gdy w takich chwilach przytuliłby się do niej i zaczęliby się pieścić i całować. Potem chichoty i jęki. A potem odrzuciliby prześcieradła i koce i

doprowadzili wzajemnie swoje ciała do tego cudownego, fizycznego szczytu – wiedzieli dokładnie, jak się go osiąga.

Kiedy patrzył na nią w przyćmionym świetle, zastanawiał się, kiedy skończyło się to wszystko. Nie żeby całkowicie – nadal uprawiali miłość kilka razy w miesiącu. A kiedyś po kilka razy w ciągu nocy... Kristabel była nadal piękna. Już nie dziewczęca – zresztą nie pragnął tego. Włosy zaczęły się jej przerzedzać, a wokół oczu pojawiło się kilka zmarszczek. Ale nadal była ponętna fizycznie. Doskonale pamiętał, jak przygnebiona przeklinała, narzekając, ile utyla w okresie ciąży i jak nigdy już nie będzie dobrze wyglądać. A potem długa walka o powrót do formy, żelazna dieta i wreszcie ćwiczenia fizyczne, przy których jego poranne biegi były niczym.

Ale nie nosiła już krótkich, koronkowych negliży, tak przez niego uwielbianych, prysznic brali osobno, nie przerywali sobie ani się nie zakrzykiwali. Ani nie zaśmiewali się tak jak poprzednio. Nabraliśmy godności, pomyślał. A przynajmniej tak sobie mówił. Takiej godności, która przychodzi z dojrzałością, gdy poważnie traktujemy własną odpowiedzialność za różne sprawy. I wciąż wzrastające brzemie obowiązków. I zmęczenie. Chociaż bezzasadne – wystarczyło tylko przekazać część pracy innym.

Nie jesteśmy tymi samymi ludźmi. To niczyja wina. Żyj z tym.

A jednak jego zdradziecki umysł omal nie wysłał dalwzroku do Domu Błękitnych Płatków. Ranalee bez wątpienia każe temu zauroczonemu chłopakowi wyczerpać się z wysiłku, by jak najlepiej ją obsłużyć. Zdemoralizuje go i nie będzie dla niego zbawienia. Jej życie miłosne nigdy nie słabło.

Nie! To nie fair o wszystko winić seks. Oni sami przez te lata stali się mniej elastyczni. Edeard zawsze popierał przesuwanie się miasta w kierunku pełnej demokracji, powolne ograniczanie potęgi Wysokiej Rady i rozszerzanie władzy reprezentantów. Nigdy nie planował szybkiego przejścia. Był w pełni przygotowany na to, że nie dożyje jego zakończenia. Ale jeśli tylko udałoby się uruchomić ten proces, byłby zadowolony. Jednakże w wyniku innych zmian i reform oraz zacieśniania

związków z prowincjami ten start odwlekał się z roku na rok. Kristabel nie była pomocna. Kiedy w końcu zajęła swoje miejsce w Wysokiej Radzie jako Mistrzyni Haxpen, znalazło się więcej pilniejszych spraw do forsowania. Oczekiwano po niej – członkini bloku wyborczego Finitana – wsparcia dla nowego systemu prawnego burmistrza, budżetu i podatków. Żaden z tych projektów nie poszerzał demokracji ogólnej.

Edeard wiedział, że nie powinien mylić osobowości z polityką. Choć nie chciał, to miał do niej pretensję, że wchodzi w skład systemu Wielkich Rodzin. Kristabel żywiła do niego za to gorzką urazę.

Wyrzucał sobie, że ma wątpliwości co do siebie i do Kristabel, wątpliwości i pytania, które tylko narosły od czasu pojawienia się Władcy Niebios. To była główna przyczyna nieprzespanych nocy. Gdy sufit Sali Liliała oczyścił się wtedy dla niego, Edeard starał się wyczuć myśli Władcy Niebios i ponosił sromotną porażkę.

Teraz frustracja mąciła mu myśli, stał się drażliwy i przygnębiony. Co gorsza, wszyscy bliscy wokół niego to dostrzegali, a to go jeszcze bardziej irytowało, ponieważ nie mógł im wyjaśnić swego zachowania.

Westchnął sfrustrowany i wytoczył się z łóżka, nie budząc Kristabel. Trzecią ręką złapał ubranie, a ono popłynęło cicho za nim przez powietrze, kiedy na palcach wychodził na korytarz. Ubrał się, owinął się swą czarną peleryną i pomaszerował na centralne schody. Tam zarzucił niewidkę i po prostu przeskoczył przez poręcz schodów, by spaść na ziemię dziesięć piętér w dół. To było głupie i upajające – od lat nie tego robił.

Makkathran unosił go, tak jak Edeard sobie życzył, kontrolując jego spadek. Na podłodze wylądował z lekkim, głuchym stuknięciem butów. Pomaszerował przez puste krużganki parteru do prywatnej przystani zigguratu. Północ dawno minęła, więc na Wielkim Kanale Głównym panował mały ruch. Poczekał minutę, aż gondola wśliźnie się w Górny Staw, a jej latarnia zniknie za zakrzywionym murem. Potem, gdy droga wodna się zwolniła, sięgnął trzecią ręką i uspokoił wodę. Następną rzecz,

której nie robił od lat.

Pobiegł prosto przez kanał. Kiedy przebył połowę jego szerokości, dalwzrok podglądacza złapał go. To było nieuniknione i był na to w zasadzie przygotowany.

- Pewnego dnia cię znajdę – dalmówił wzdłuż pasemka percepcji ciągnącego się przez miasto do Cobary. – Możesz być pewien.

Dalwzrok skończył się tak gwałtownie, jakby został przerwany. Edeard uśmiechnął się, dotarł do przystani publicznej, skąd po drewnianych schodach poszedł do Eyrie.

Pokrzywione wieże wyrastały przed nim. Wokół dolnej ćwiartki każdej z nich cienkie smugi pomarańczowego światła tryskały z ich ciemnych, pomarszczonych fasad, oświetlając okoliczne puste ulice. Ale górne sekcje wież pozostawały smoliście czarne i odcinały się ostro od omytego poświatą mgławic nieba.

To instynkt przyciągnął go tutaj. Pisma Pani opowiadały, jak chorzy, kalecy i starcy zwykli byli czekać na szczycie wież. A potem, kiedy Władca Niebios przelatywał nad miastem, ich dusze wznosiły, by odprowadzono je do Querencii. Edeard doszedł do wieży niedaleko wielkiego kościoła Pani. Z jej szczytu przed laty zrzucili go spiskowcy z rodzin. Była to jedna z najwyższych wież w Eyrie, więc jej szczyt był na Makkathranie najbliższy Władcy Niebios. Odłożywszy na bok uprzedzenia do tego miejsca i nieprzyjemne wspomnienia, ruszył spiralą centralnych schodów. Piął się niestrudzenie aż na szczyt wieży. Stanął na szerokiej, okrągłej platformie wieńczącej budynek. Z jej krawędzi sterczało osiem iglic, a ich pokręcone wierzchołki wznosiły się jeszcze piętnaście metrów nad platformą.

Napływające wspomnienia nie były miłe. Tu właśnie czekał na niego Medath, zwabiwszy go na górę. Tu właśnie spiskowcy z Wielkich Rodzin go obezwładnili i... Skrzywił się, patrząc na krawędź platformy, na miejsce, z którego go zepchnięto. Po ponad czterdziestu latach nie powinien się tym przejmować, jednak wspomnienie było niepokojąco wyraźne. Tak bardzo, że nawet poszukał dalwzrokiem, czy rzeczywiście nie ma nikogo w pobliżu.

Idiota z siebie, zrugął się. Szybko siadł po turecku na platformie i zadarł głowę, by patrzeć na gwiazdy. Nad iglicami, na zachodniej półkuli nieba widać było Bransoletę Giconą, planety świeciły jasno, tuż przy krawędzi pięknej, akwamarynowej poświaty mgławicy Ku. Edeard wiedział, gdzie patrzeć, jednak Władca Niebios nie był jeszcze widoczny dla nieuzbrojonego oka. Wobec tego Edeard zawołał go. Całą siłę umysłu zogniskował w jednej myśli powitalnej i zwizualizował ją, jak płynie od niego przez kosmos.

I w końcu Władca Niebios odpowiedział.

Na emeryturze Finitan mieszkał w jednym z domów utrzymywanych przez Gildię Jajoforumów w Toselli dla wybitnych starszych działaczy, którzy wycofali się z aktywnej działalności. Wielka pudłowana konstrukcja miała zielono-purpurowy pas dekoracji w stylu plateresko, biegnący wokół trzeciego piętra. Na zewnątrz nie stali strażnicy, jedynie przy bramie leżał zwinięty w kłębek geogar, który łypnął okiem na Edearda i ziewnął. Dawniej, w czasach gdy Edeard przybył do miasta, każdego większego budynku strzegł jakiś oddział wartowniczy. Familie i gildie utrzymywały niemal tylu strażników, co miejskie pułki. Teraz ich liczba kurczyła się, a stare obowiązki, na przykład wartę przy drzwiach, ponownie powierzano genistarom.

Edeard przeszedł przez otwarte drewniane wrota na środkowy dziedziniec, którego ściany, aż do górnych balkonów, porastało kwitnące na biało i szkarłatno gurkanino, a w centrum radośnie igrała fontanna. Kilka geszypów pielęgnowało grządki intensywnie pachnących kwiatów, a jeden zamiatał szarobiałą posadzkę. Edeard wszedł szerokimi centralnymi schodami na trzecie piętro.

Młoda nowicjuszka w nieskalanej niebiesko-białej szacie czekała u szczytu schodów. Skłoniła nieco głowę.

- Stąpający po Wodzie, witaj.
- Jak się czuje?

– Chyba ma lepszy dzień. Tego ranka nie dokuczał mu aż tak wielki ból. Jest przytomny.

– Bierze więc mikstury?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Kiedy tego chce albo kiedy ból staje się nie do zniesienia.

– Mogę się z nim zobaczyć?

– Oczywiście.

Długie, wąskie okna w pokoju Finitana sięgały od podłogi do sufitu. Ściany i sufit były białe, a polerowaną czerwonobrazową podłogę pstrzyły drobne, szmaragdowe liście, jakby zostały zakonserwowane w materii miasta. Równie proste umeblowanie składało się z biurka i kilku głębokich foteli. Wielkie łóżko wpuszczono do połowy w półkolistą niszę. Finitan siedział pośrodku łóżka, z plecami opartymi na stosie twardych poduszek.

– Będę na zewnątrz – powiedziała cicho nowicjuszka i zamknęła ciężkie, rzeźbione drzwi.

Edeard podszedł do łóżka, trzecią ręką przysunął sobie fotel. Usiadł i uważnie przyglądał się staremu przyjacielowi. Finitan był wychudzony – choroba pożerała go od środka. Wcześniej dobrze ją znosił. Dopiero kilka miesięcy temu słabość go dopadła, rzucała się w oczy. Niebieskie żyły wyraźnie wystawały z bladej skóry, a to, co zostało z jego pięknej czupryny, miało kolor wypłowiałej szarości. Edeard zbadał ciało dalwzrokiem. Wykrył złośliwe narośle wokół płuc i klatki piersiowej.

– Nie bądź tak cholernie wścibski – wyrzucił Finitan.

– Przepraszam, ja tylko...

– Chciałeś zobaczyć, czy się cofa, czy mi się polepsza?

– Coś w tym rodzaju, owszem.

Finitan uśmiechnął się słabo.

– Nie ma szans. Pani wzywa. Szczerze mówiąc, co dzień rano jestem dość zdziwiony, gdy się okazuje, że się obudziłem.

– Nie mów tak.

– Na miłość Pani, Edeardzie, pogódź się z tym, że umieram. Czy może zamierzasz rozpocząć polityczną przemowę o tym, jak niedługo stanę na nogi? Podbudować mnie psychicznie?

- Nie mam zamiaru tego robić.

- Pani niech będą dzięki. Te cholerne nowicjuszki tak robią. Myślą, że to pomaga, a tymczasem wpędza mnie w depresję. Możesz to sobie wyobrazić? Skacze koło mnie stado dwudziestolatek, a ja jedynie chcę, by wszystkie się zamknęły i sobie poszły. Cóż za koniec dla mężczyzny!

- Godny?

- Pieprzyć godność. Wiem, jak wolałbym odejść. To by było coś, he? Na finiszu zgorszyć wszystkich.

Edeard uśmiechnął się szeroko, choć raczej chciało mu się płakać.

- To rzeczywiście byłoby coś. Może doktorzy znają jakąś miksturę, która dałaby ci ostatni przypływ sił?

- To już lepiej. Dzięki za wizytę. Doceniam to. Zwłaszcza teraz, kiedy powinienes zajmować się kampanią wyborczą. À propos, jak ona przebiega?

- Cóż, Trahaval to pewniak. Co do siebie, nie jestem pewien. Prywatnie moi ludzie z biura wyborczego mówią, że mam tylko kilka procent poparcia. Yrance może zostać ponownie Głównym Konstablami. - Ledwie hamował irytację.

Finitan uśmiechnął się szeroko i odchylił głowę na stos poduszek.

- A to cię irytuje, prawda? To twoja cudowna cecha, Edeardzie. Nie potrafisz skrywać emocji. Akurat ty. Zadziwiające, że to jedyna zdolność psychiczna, której ci brakuje. Więc mogę powiedzieć, jak cię to drażni, że ty, Stąpający po Wodzie, musisz walczyć o głosy po tylu dokonaniach dla miasta.

- To prawda, nie spodziewałem się takiej walki, owszem.

- Ha! Jesteś po prostu zły, bo ludzie o tym zapomnieli. Tylko czterdzieści lat od wygnań i uczą o tobie na lekcjach historii. Dla całego pokolenia jesteś tylko nudnym popołudniem, gdy trzeba siedzieć w w szkole, zamiast bawić się na dworze.

- Dzięki, że mi to mówisz.

- Upuszczenie z polityka nieco wody sodowej jest zawsze korzystne.

- Nie jestem poli...

Finitan zachichotał, co przeszło w niepokojący kaszel.

Edeard pochylił się nad nim z troską.

– Dobrze się czujesz?

– Nie, umieram.

– Istnieje różnica między pogodzeniem się z losem a po prostu epatowaniem makabrą.

Finitan uciszył go machnięciem dłoni. Szklanka wody popłynęła przez powietrze i zatrzymała się przy jego wargach. Upił łyk.

– To cudowne: moje moce psychiczne pozostają nietknięte. Co za ironia!

– To nie twój mózg jest uszkodzony.

– Nienawidzę wywaru, który dają mi dla zagłuszenia bólu. Ohydnie smakuje, a potem drzemię cały dzień. Nie chcę spędzać dni na drzemce, Edeardzie.

– Wiem.

– Jaki to ma cel? Ma dusza będzie wkrótce swobodnie szybować. Czemu mam spędzać czas upokorzony, przywiązany do łóżka? Nienawidzę takiej egzystencji. Niech mi Pani wybaczy, chcę, by się to skończyło.

Edeard czuł na policzkach rumieniec i wiedział, że Finitan ekspercko zanalizuje jego myśli.

– Ach... – powiedział starzec z satysfakcją i zamknął oczy. – Więc co naprawdę cię tu sprowadza?

– Przybywa Władca Niebios.

– Dobra Pani! – Finitan gwałtownie obrócił się i skrzywił od bólu wywołanego tym ruchem. – Skąd wiesz?

– Miasto mi to odkryło. Zeszłej nocy rozmawiałem z nim. – Uśmiechnął się ciepło i ujął zimną dłoń Finitana. – Przybywa, by zobaczyć, czy ktoś z nas osiągnął spełnienie. Przybywa, by poprowadzić nasze dusze do Serca.

– Spełnienie? – W oczach Finitana pojawiły się łzy. – Czy wyglądam na spełnionego? Niech Pani przeklnie jego arogancję. Jakim prawem nas osądza?

– Finitanie, najdroższy przyjacielu, jesteś spełniony. Spójrz na swoje życie, spójrz na swe dokonania. Proszę cię, błagam, pójdz na wieżę w Eyrie. Przyjmij jego przewodnictwo do Morza Odyna.

Pokaż Makkathranowi, pokaż światu, że znowu staliśmy się godni. Niech ludzie posiadą jeszcze raz tę ostateczną nadzieję. Pokaż im, że twoja droga jest drogą właściwą.

– Władca Niebios nie zabierze mojej duszy w inne miejsce niż do Honiousa.

– Przestań tak mówić. Zabierze cię. Zaufaj mi ostatni raz. Czytasz moje uczucia, ale ja widzę twą duszę i jest ona wspianała.

– Edeardzie...

– Jeśli pójdziesz, jeśli jesteś godny przewodnictwa, inni Władcy Niebios dowiedzą się o tym. Znowu przybędą na Querencię. Nasze życie będzie pełne. Wszystko, co osiągnęliśmy razem, ty i ja, wszystkie te koszty, ból, który znosiliśmy, by wyrwać miasto ze szponów ciemności i zepsucia, okażą się wartościowe.

Finitan milczał przez dłuższą chwilę. W końcu westchnął.

– Niech mnie Honious, i tak umieram. Czemu nie?

– Dzięki.

Edeard pochylił się i ucałował starca w czoło.

Wyglądało na to, że podjęta decyzja poprawiła Finiganowi nastrój. Wydał smętnie wargi.

– Cóż, przynajmniej wybory są załatwione. Jakie to uczucie być Głównym Konstablami?

– Skąd to wiesz? Czy masz zmysł czasu, który ukrywałeś przez te wszystkie lata?

– Znowu będziesz Stąpającym po Wodzie. Będziesz tym, który przywołał Władcę Niebios do Querencii. I jeszcze na oczach całego miasta wniesiesz mnie na szczyt wieży, by poprowadzono mnie do Serca. Ty, Edeardzie. Akurat ty. Któż nie zagłosuje na podobnego zbawiciela?

Edeard ogłosił przybycie Władcy Niebos podczas swego wyborczego przemówienia do uczniów Gildii Jajoformerów w Ysidoro. Z początku w holu zapadła cisza, jakby jego słowa niezupełnie miały sens. Potem wezbrał przypływ zaskoczenia i niewiary. Komunikaty dalmową wystrzeliwały do znajomych i rodzin. Podniosły się dziesiątki rąk, wykrzykiwano pytania.

– To bardzo proste – oznajmił Stąpający po Wodzie. – Władcy Niebios znowu nadlatują na Querencję. Pierwszy będzie tutaj za niecałe dwa tygodnie. Poprowadzi Finitana przez Morze Odyna do Serca.

– Skąd to wiesz? – szcęknięło jednocześnie kilkoro uczniów.

– Ponieważ rozmawiałem z nim przez kilka ostatnich nocy.

– Dlaczego właśnie Finitan zostanie poprowadzony?

– Ponieważ z nas wszystkich to właśnie on osiągnął spełnienie.

Jego życie to przykład, za którym musimy podążać. Kiedy Władca Niebios go zobaczy, będzie wiedział, że nadszedł czas, by ponownie prowadzić ludzi do Serca.

W Makkathranie plotka i pogłoski cieszyły się zawsze ogromną popularnością. W czasie elekcji ich popularność rosła, kiedy kandydaci usiłowali zdyskredytować swoich rywali. Wiadomość o Władcy Niebios roznosiła się więc ze zwykłą szybkością dla takich niesłychanie ważnych wiadomości: tak szybko jak światło słoneczne.

Związek Astronomów obiecał, że znajdzie każdego Władcę Niebios zbliżającego się do Querencii. Astronomowie natychmiast rozpoczęli kłótnie między sobą na temat fałszywych obserwacji. Burmistrz Trahaval starannie unikał wszelkich komentarzy czy krytyki. Główny Konstabl Yrance odrzucił wiadomość jako śmieszny chwyt, mający na celu pozyskanie głosów. Jego sztab wyborczy szybko rozpoczął w mieście ośmieszającą kampanię. To oznaka desperacji Stąpającego po Wodzie, twierdzili, chwyt reklamowy, kłamstwo. Edeard ma zwidy. Jego czas minął. Potrzebujecie kogoś stabilnego, kogoś, kto ma rzeczywiste wyniki, człowieka takiego jak obecny Główny Konstabl.

Sterowana przez Dinlaya lawina przeciwnych poglądów przepływała między dzielnicami. Władca Niebios to rzeczywistość. Przybywa, jak przepowiedziała to Pani. Finitan zostanie poprowadzony do Serca, ponieważ wiódł spełnione życie według nakazów Pani. Któż prócz Stąpającego po Wodzie może zawezwać nasze ostateczne zbawienie? To właśnie on powinien nas prowadzić. Edeard poprowadzi nas ku przyszłości,

do której dążymy od tak dawna.

– Lepiej, żebyś się w tym nie mylił – stwierdził Dinlay, kiedy pięć dni później razem z Edeardem przybyli do domu emerytów Gildii Jajoformerów.

– Więcej wiary – odparł Edeard urażonym tonem.

Z nich wszystkich Dinlay był zawsze najbardziej lojalny. Edeard uważał również, że właśnie Dinlay w ciągu ostatnich lat zmienił się najmniej. Od ośmiu lat Dinlay był kapitanem posterunku konstabli Lilylight. Ta zamożna dzielnica ze szczególną radością powitała jego awans. Do nadzorowania przestrzegania prawa na ulicach wyznaczono kogoś z oryginalnego oddziału Stąpającego po Wodzie, co dodawało dzielnicy splendoru. Status i wpływy – to było najistotniejsze dla tych mieszkańców.

Zgodnie z oczekiwaniami Edearda Dinlay oczywiście pasował dokładnie do swego stanowiska. Brał udział w mnóstwie oficjalnych imprez towarzyskich, co mu odpowiadało. Aktywnie uczestniczył w szkoleniu nowego pokolenia konstabli, uzyskując oddziały uprzejme i skuteczne. Procent spraw wygranych w sądach przez oskarżycieli był wysoki. I za dnia, i nocą spacer ulicami Lilylight był bezpieczny. I kapitan Dinlay niedawno zaręczył się z jedną z miejscowych dziewcząt. Znowu.

Edeard poprowadził Dinlaya na górę, do pokoju Finitana.

Naczelna lekarka domu w towarzystwie dwóch nowicjuszek oczekiwała przed drzwiami.

– Nie jestem pewna, czy to w interesie pacjenta – powiedziała stanowczo.

– Sądzę, że to on powinien decydować – odparł spokojnie Edeard. – W takim wypadku ma do tego prawo.

– Ta podróż może go zabić. Weźmiesz to na swoje sumienie, Stąpający po Wodzie?

– Będę się z nim obchodził ostrożnie, obiecuję. Wygodnie dostanie się na wieżę.

– A potem co? Nawet gdyby Władca Niebios przyleciał, on nadal żyje.

– Stąpający po Wodzie stwierdził, że Władca Niebios przybywa
– wtrącił Dinlay z zapalem. – Czy chcesz odmówić swemu
własnemu pacjentowi szansy dotarcia do Serca?

– Mogę ofiarować mu pewność. Nie obiecanki oparte na mitach
– odparła lekarka.

– To nie jest chwyt wyborczy. – Gniew Dinlaya wzrastał. – Nie
obietnica polityka. Władca Niebios poprowadzi duszę mistrza
Finitana do Serca.

On naprawdę we mnie wierzy, uświadomił sobie Edeard,
zakłopotany tym zaufaniem, które przetrwało czterdzieści lat.
Nie był pewien, co robić z upartą lekarką, która wykonywała
jedynie swą pracę i zapewniała coś, co w jej przekonaniu było
najlepsze dla pacjenta.

– Pani doktor – przynaglił dalmową Finitan – proszę, niech pani
wpuści moich przyjaciół.

Lekarka ustąpiła na bok z wyrazem wielkiej dezaprobaty na
twarzy. Finitan siedział na łóżku ubrany w szaty Wielkiego
Mistrza Gildii Jajoformerów.

– Wyglądasz wspaniale – stwierdził Edeard.

– Szkoda, że się tak nie czuję. – Starzec kaszlnął i uśmiechnął się
z wysiłkiem. – Załatwmy to już, dobrze?

– Oczywiście. – Edeard owinął delikatnie swe trzecie ramię
wokół Finitana gotowy unieść go z łóżka.

– Mistrzu? – Spytała lekarka.

– W porządku. Tego właśnie chcę. Dziękuję tobie i
nowicjuszkom za wspaniałą pracę. Sprawiliście, że moje życie
stało się znowu znośne, ale teraz wasze zobowiązania się kończą.
Mam nadzieję, że to uszanujecie.

W jego głosie pobrzmiwał ton dawnej władzy.

Lekarka ukloniła się. Nadal czuła się niezręcznie.

– Sama odprowadzę pana do wieży.

– Dziękuję – powiedział Finitan.

Edeard podniósł ostrożnie Finitana i przeniósł go przez drzwi.
Mała procesja zeszła po schodach na dziedziniec.

Na zewnątrz zebrał się spory tłum. Podekscytowani ludzie
przepychali się, by zająć dogodne pozycje na wąskiej ulicy.

Omiatali dalwzrokiem niedomagającego mistrza. Finitan uśmiechnął się słabo i im pomachał.

– Gdzie jest Władca Niebios?! – krzyknął ktoś.

– Pokaż nam nareszcie, Stąpający po Wodzie. Gdzie on jest?

– Na niebie są tylko chmury.

Dinlay skrzywił się.

– To ludzie Yrance’a – powiedział cicho. – Czy nie mają poczucia przyzwoitości?

– To wybory – zauważył rozbawiony Finitan.

– Po dzisiejszym dniu nie będą się liczyć – odparł Edeard.

Na Ukrytym Kanale czekała na nich gondola. Edeard opuścił Finitana na długą ławę pośrodku, a doktor ułożyła go wygodniej, obkładając kocami i poduszkami. Starzec uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy gondolier pchał ich po kanale. Kanał po obu stronach obsadzono folfalowcami, ich długie gałęzie wyginały się wysoko nad wodą. Jasnopomarańczowe pąki kwiatowe wystawały z indygowego pnia drzew; owiewane łagodnym, wiosennym wiatrem tworzyły feerię żywych kolorów.

Cały czas podczas podróży bacznie ich obserwowano. Niektóre dzieciaki nawet biegły brzegiem kanału, omijając pnie drzew i przechodniów, by nadażyć za gondolą. Kilka georłów nad ich głowami leniwie machało skrzydłami.

Gondolier wiózł ich Ukrytym Kanałem, a potem Kanałem Rynkowym, aż dotarli do poziomu kościoła Pani. Setki ludzi przy przystani bardzo chciało zobaczyć sukces albo klapę spektaklu.

Pytia przewodziła półoficjalnej grupie powitalnej u szczytu drewnianych schodów, a jej otoczenie Matek czekało biernie w tyle. Dzierżyła to stanowisko od niedawna, namaszczone ją zaledwie przed trzema laty. Nie była tak żwawa jak poprzedniczka ani nie uczestniczyła gorliwie w towarzyskich imprezach Makkathranu, ale jej oddanie Pani nie ulegało wątpliwości. Udzielała nauk z takim zapałem, że Edeard w jej towarzystwie zawsze czuł się nieco niewygodnie.

– Stąpający po Wodzie – powiedziała kurtuazyjnie. Jej przystojna twarz pozostawała niewzruszona, tak samo jak umysł.

Edeard wchodził po schodach, a jego trzecie ramię unosiło za

nim Finitana.

– Czy już coś widać? – spytał Finitan.

Kanseen, stojąca tuż za Pytią, ujęła jego dłoń i łagodnie ją uściśnęła.

– Jeszcze nie – odpowiedziała.

– To nie potrwa długo – obiecał Edeard.

Jednakże nawet on zerkał nerwowo ku Morzu Lyot na wschodzie. Rozmawiał dalmową z Władcą Niebios ubiegłego wieczoru, zanim obrót planety wyniósł go poza zasięg. Niektórzy astronomowie twierdzili, że zaobserwowali Władcę. Sztab wyborczy Yrance'a natychmiast ogłosił, że to wszystko koleisie pragnący choć na moment podliznąć się Stąpającemu po Wodzie.

Kristabel uśmiechnęła się do Edearda, dodając mu otuchy, ale w żaden sposób nie mogła skryć swej troski. Macsen tylko wywrócił oczyma – myśli miał kipiące brawurą i pewnością, którymi chciał natchnąć Edearda.

Kanseen ujęła dłoń Finitana i cała grupa pomaszerowała do najbliższej wieży. Wieża miała kolor brudnoszary, jej pomarszczoną powierzchnię pstrzyły wąskie szczeliny o ciemnoczerwonych bokach. Dwa trójkątne otwory przy podstawie prowadziły do centralnej grotopodobnej izby. Ze środka podłogi wyrastał gruby słup. Otwór w słupie prowadził do wąskich, spiralnych schodów, które wiły się w górę, aż do położonej wysoko platformy.

Nawet za grubymi murami Edeard czuł ciśnienie mnogiego dalwzroku: coraz więcej mieszkańców miasta zaczynało obserwować wydarzenia.

– Zabiorę cię na górę osobiście – powiedział Edeard.

Nie miał pewności, co się dzieje w okolicach szczytu wieży, kiedy Władca Niebios przychodzi po ludzką duszę. Księga Pani mówiła o zimnym ogniu pochłaniającym ciała tych, których wybrano, by zostali zaprowadzeni do Serca. Nie wróżyło to dobrze żyjącemu.

Wszyscy spojrzeli na Kristabel, która po prostu wzruszyła ramionami.

– Jeśli właśnie tak to trzeba zrobić – powiedziała niechętnie.

– Oby Pani osobiście przywitała cię, Finitanie – odezwała się Pytia. Pozostałe Matki złożyły ręce do modlitwy.

Edeard zaczął przesuwać Finitana do ciasnego wejścia na schody. Macsen chwycił go za łokieć.

– Nie ociągaj się tam – powiedział cicho Mistrz Sampalok. – Ostatni twój pobyt tam, kiedy sam wszedłeś na jedną z tych wież, nie za dobrze się skończył.

Edeard uśmiechnął się szeroko i ruszył schodami w górę.

– Czy kiedyś byłeś ciekaw, co tam jest? – spytał Finitan.

Był przed Edeardem, ciało miał nachylone o prawie czterdzieści pięć stopni, gdy Edeard telekinetycznie przesuwał go do góry po niezupełnie symetrycznych zakrętach schodów.

– W Sercu?

– Tak.

– Nie wiem. To nie może być fizyczna egzystencja, żaden rodzaj nowego startu, wielkiego domu nad morzem ze służbą, doskonałym winem i jedzeniem.

To możemy osiągnąć już tutaj.

– Tak, ja myślałem mniej więcej podobnie. Więc co to dokładnie jest?

– Cóż, dowiesz się przede mną.

Finitan roześmiał się.

– Cały mój Edeard, zawsze pragmatyczny.

Byli mniej więcej w jednej trzeciej drogi do góry. Edeard koncentrował się, by nie upuścić starego mistrza. Schody przyprawiały o klaustrofobię.

– Filozofia nigdy nie była moją mocną stroną – ciągnął Finitan. – Byłem raczej organizatorem.

– Byłeś wizjonerem. Dlatego właśnie tak wiele osiągnąłeś.

– Oczywiście to miłe, że tak mówisz. Ale po co Sercu potrzebny jest ludzki wizjoner?

– Pani, aleś ponury, jak na kogoś, kto zaraz wyrusza w ostateczną podróż.

– A co, jeśli nie jest potrzebny? – szepnął Finitan. – Edeardzie, boję się.

– Wiem. Ale pomyśl tak: nawet jeśli Serce nie jest dla ciebie, to

właśnie tam znajdziesz odpowiedź na mnóstwo swoich pytań. Pomyśl, kto tam na ciebie czeka. Na początek Rah i Pani. Ludzie, którzy zbudowali Makkathran, kimkolwiek i czymkolwiek są. Kapitan statku, który nas tu przywiózł, a on będzie mógł nam wyjaśnić, co sprawiło, że przybył do Pustki. Może nawet Pierwotne Byty – wyobraź sobie, co mogą ci powiedzieć. Możesz nawet odkryć, dlaczego istnieje Pustka.

– Ach, to jest myśl. A może źle zrozumieliśmy i Serce jest po prostu portalem na zewnątrz?

– Na zewnątrz?

– Do wszechświata na zewnątrz. Jeśli jesteśmy spełnieni, jeśli dowiedliśmy, że jesteśmy wystarczająco godni, mamy wrócić do domu.

– Nie wierzę, że ktoś postawił wymaganie dobrego zachowania, by pójść i zacząć życie we wszechświecie na zewnątrz – kategorycznie oświadczył Edeard.

– Prawdopodobnie masz rację – odpowiedział Finitan. Zadrżał, jakby chwycił go nagły chłód.

Edeard widział pot na czole przyjaciela.

– Czy wzięłaś środek przeciwbólowy, zanim wyruszyliśmy?

– Oczywiście, że nie – prychnął z irytacją Finitan. – Myślisz, że chcę drzeć, kiedy mój własny Władca Niebios przybędzie mnie szukać?

Edeard nie odpowiedział.

– I możesz zetrzeć z twarzy ten głupawy uśmiech samozadowolenia.

– Tak, mistrzu.

W końcu wynurzyli się na platformie. Jak zwykle silny wiatr świstał nad płytką niecką podłogi. Siedem gigantycznych iglic wznosiło się z brzegów dachu i pod ostrym kątem pochylało nad platformą. Wysoko nad wyjściem z klatki schodowej iglice niemal stykały się wierzchołkami.

Edeard umieścił delikatnie Finitana na podłodze i kucnął obok.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Jak na umierającego? Nieźle. Tak naprawdę czuję sporą ulgę. Nie tak znów wielu dane jest poznać dokładną chwilę swojej śmierci. Ta wiedza działa odświeżająco. Oznacza, że nie muszę się już niczym martwić.

Edeard odgarnął mu palcami luźne pasma wyblakłych włosów z wilgotnego czoła. Skóra Finitana, nieprzyjemnie zimna w dotyku, stanowiła dla Edearda dobrą wskazówkę, przez co przechodzi umęczone ciało starca.

Tak wielki tłum obserwował ich dalwzrokiem, kiedy wynurzyli się z klatki schodowej i rozmawiali na platformie, że było to nie do wytrzymania. Edeard czuł, że miasto praktycznie stanęło, by zogniskować całą uwagę na nim i na wieży. Wszyscy czekali z niecierpliwością. Teraz, kiedy zbliżała się obiecana chwila, umilkli nawet agitatorzy Yrance’a.

Edeard czuł, jak dalwzrok nieznajomego obserwatora omiata go, a nawet przenika strukturę wieży wokół, sondując ją i badając. Pochodził z dzielnicy Cobara, jak zwykle.

– Dzisiaj to żadna tajemnica – przesłał w odpowiedzi.

Dalwzrok zanikł.

– Kto to był? – spytał Finitan.

– Nie wiem. Ale przypuszczalnie niedługo się tego dowiem. Znasz Makkathran – zawsze gdzieś szykują się kłopoty.

– To było coś więcej niż zwykłe kłopoty. On ma zdolności takie jak ty.

– Przypuszczam, że większe.

– Czy czułeś go już wcześniej?

– Miałem oznaki, że pojawiają się ludzie o moich możliwościach, owszem. Ale to nie ma nic wspólnego z dniem dzisiejszym.

– Edeardzie...

– Nie. – Edeard objął palcami dłoń Finitana. – Teraz chodzi o ciebie i Władcę Niebios. Musisz udowodnić raz na zawsze, że to, co zrobiłeś, było słuszne. Później wszystkie nasze kłopoty stracą znaczenie. O to właśnie cię dzisiaj proszę.

Głowa Finitana opadła w tył na poduszkę z kaptura peleryny.

– Uparty do samego końca... do mojego końca. Wiesz, tego dnia, kiedy przybyłeś do mojego gabinetu, niepokoiłem się, że po

prostu zechcesz być przez siedem lat uczniem w Niebieskiej Wieży. Cóż to byłoby za marnotrawstwo. Jakaż strata dla świata.

– Zawsze uważałem, że wyolbrzymiasz negatywne strony.

– To jedna z moich pomniejszych zbrodni. Jestem pewien, że Pani zechce wyczerpująco to ze mną przedyskutować, jeśli kiedyś dogonię ją i innych.

– Na pewno. Cóż to będzie za spotkanie.

– Ha! Nie sądzę, by ona... – Głos Finitana odpłynął, a na twarzy starca pojawił się wyraz zaskoczenia. – Och, ojej, Edeardzie?

Edeard zwrócił twarz ku Morzu Lyot. Tuż nad horyzontem nad wodą wysuwała się niezwykła mglista plama i rozprzestrzeniała się na niebo.

– Przybywa – powiedział, po prostu uszczęśliwiony.

Finitan złapał go mocno za dłoń.

– Dziękuję za wszystko, Edeardzie.

– Tyle ci zawdzięczam.

Edeard czuł zdumioną dalmowę, która zaczęła się w dole nad ulicami i kanałami, kiedy ci z najsilniejszym dalwzrokiem uświadomili sobie, co zbliża się do Makkathranu. Wizje najbardziej utalentowanych rozprzestrzeniały się szeroko. Zdziwienie i radość rozkwitły wśród zaskoczonych obywateli.

– A ja tobie – odpowiedział Finitan. – Teraz nadszedł czas, byś mnie tu zostawił, abym mógł wyruszyć w tę ostatnią podróż. Wkrótce otrzymam odpowiedzi. Tak szybko, Edeardzie. Wyobrażasz to sobie?

– Tak.

Edeard wstał i spoglądał na szeroki słup – początek klatki schodowej – a potem spojrział na brzeg platformy.

– No! – Finitan zachichotał. – Właśnie dzisiaj bądź Stąpającym po Wodzie. Pokonaj tego niezdarę Yrance’a. Ale nie zatrzymuj się na tym, jesteś większy od nich wszystkich. Nigdy o tym nie zapominaj. I w końcu będę na ciebie czekał. Odbędziemy takie spotkanie w Sercu, Edeardzie. Nawet tu, w dole, poczujmy naszą radość.

– Do widzenia. – Edeard się uśmiechnął.

Chciał mu powiedzieć jeszcze o tylu rzeczach, ale jak zawsze nie

było na to czasu. Odwrócił się i pobiegł przez platformę. Kiedy dotarł do krawędzi, skoczył z okrzykiem radości.

Na ziemi, daleko w dole, wszyscy westchnęli z przerażeniem. Twarze tłumu zwróciły się ku niemu. Zaśmiał się wyzywająco i rozłożył szeroko ramiona. Mknął w dół, a jego czarna peleryna łopotała jak szalona.

Tamten silny dalwzrok igrał na nim podczas upadku. A potem, trzydzieści metrów nad ziemią, złapało go miasto, spowolniło jego lot i posadziło u stóp wieży. Tłum wydał okrzyk podziwu. Kilka osób klaskało, większość wiwatowała.

Widział szyderczy uśmiech Macseny. Dinlay zmarszczył z dezaprobatą czoło. Za to twarz Kristabel wyrażała czystą wściekłość. Przepraszająco wzruszył ramionami, co najwyraźniej absolutnie nie wystarczyło. Nadal była nachmurzona, kiedy do niej podszedł i otoczył ramieniem.

– Tato – zganiła go Marilee.

– To było bardzo złe.

– Naucz nas, jak to robić.

Mrugnął do bliźniaczek.

– Władca Niebios przybywa – powiedział poważnie.

Podniecony tłum, obecnie zwrócony ku wschodowi, szaleńczo wymieniał uwagi. Z początku nic tam nie było – wieże Eyrie zasłaniały widok nieba nad morzem. Zdumieni mieszkańcy Myco i Neph użyczyli widoku reszcie miasta.

Władca Niebios wzrósł nad horyzontem. Teraz leciał dokładnie nad lekko wzburzonym morzem. Edeard z początku nie doceniał jego rozmiarów. Z dzielnicy portowej wyglądał po prostu jak błyszczący biały księżyc płynący nad falami. Powoli robił się większy, gdy znów zaczął się obniżać. Nie dało się dostrzec jego powierzchni – pobłyskiwała tak samo jak sfalowana sadzawka oświetlona słońcem południa – był jasnym zniekształceniem, które nigdy nie stoi w jednym miejscu dostatecznie długo, by można się było na nim skupić. Potem Edeard zdał sobie sprawę, że Władca Niebios nie tracił wysokości – po prostu się przybliżał. Zakrzywiony spód był już przynajmniej półtora kilometra nad morzem – rzecz niemożliwa, ponieważ wynikałoby z tego, że sam

Władca ciągnie się na kilometry. A jednak tam był. Rzucany przez niego cień sprawiał, że szaroniebieskie morze na znacznym obszarze szczeniało. Śnieżnobiałe żagle statków, które zaćmiewał, zszarzały i łopotały targane bijącą w nie turbulencją.

W końcu bliższa krawędź tego ogromnego kręgu nasunęła się na niebo nad miastem. Edearda i wszystkich ludzi stojących w Eyrie wypełniły nabożny lęk i uwielbienie. Rozmiar Władcy już nie onieśmiał – całkowicie przytłaczał i dosłownie przerażał. Władca musiał mieć wielkość co najmniej połowy miasta. I latał!

– Wielka Pani – wyszeptał Edeard, kiedy Kristabel i bliźniaczki przywarły do niego.

Objął je ramionami, ale nie przyniosło to dostatecznej otuchy. Chciał wrzeszczeć do umysłu miasta, by ich chronił. Jakiś paskudny prymitywny instynkt wzywał go do ucieczki, do cofnięcia się przed takim majestatem. Zamiast tego śmiał się historycznie – pomyśleć, że zaledwie kilka minut temu Finitan wąpił we Władców Niebios i w cele Serca.

Ludzie wokół niego rzucali się na ziemię, krzyczeli w przerażeniu i zasłaniali głowy ramionami. Edeard spojrział na Pytę i zobaczył na jej policzkach wielkie łzy radości. Trzymała ręce w górze, w pozdrowieniu. Jej umysł jaskrawo świecił, kiedy wlewała w niebo swe myśli powitalne.

Oślepiające odbłyśki czystego słonecznego światła migotały na ulicach i dachach. Teraz, kiedy Edeard mógł widzieć go bezpośrednio, Władca Niebios wydawał się utworzony z jakiejś krystalicznej substancji. Z miliona cienkich płyt tej substancji zwiniętych w dziwacznie skręcone formy geometryczne, które nigdy nie przecinały się tak, jak powinny. Światło słoneczne pieniało się w rdzeniu, zaginając się i przesuując nieregularnie. Nie wiedział, czy to światło tak pulsuje, czy też same płyty krystaliczne znajdują się w ciągłym ruchu. Budowa Władcy Niebios opierała się logice, tak jak samo stworzenie opierało się grawitacji.

Kiedy Władca Niebios sunął nad Makkathranem, na Eyrie padł cień, mrok łagodzony jedynie jaskrawym, rozszczepionym światłem, wypromieniowywanym z jego falującej powierzchni.

Za cieniem przyszedł grzmot jego przejścia, ryk tysięcy piorunów uderzających jednocześnie. Wiatr śmigał ulicami, targał drzewa, rośliny, ubrania ludzi i wszystkie ruchome obiekty. Monsun płatków kwiatowych wzbił się w powietrze.

A potem objawiły się myśli Władcy Niebios, wielka fala wyniosłego zainteresowania omywała wszystkich ludzi. Fala spokoju i współczucia, wyraz jego rozmiarów i wielkoduszności. Nawet ci, którzy najbardziej bali się jego obecności, zostali uspokojeni. Jego dobroć nie ulegała wątpliwości, dobroć tak szlachetna, że niemal upokarzała. Władca był ciekaw i miał nadzieję, że nowi rezydenci Makkathranu znowu osiągnęli spełnienie, że mogą otrzymać jego przewodnictwo do Serca.

– Spójrz! – wrzasnęła Marilee, przekrzykując wyjący wicher.

Edeard spojrział we wskazanym kierunku. Szczeliny w pomarszczonym pokryciu wieży ożywiało szkarłatne światło, jakby mknął tam pożar pędzący w górę. Potem zobaczył, że wygięte iglice na szczycie pały fioletowobiałym, coraz jaśniejszym światłem.

– Edeardzie – usłyszał dalmowę Finitana, pewną i silną. – Och, Edeardzie, on mnie słyszy, Władca Niebios mnie słyszy. Zabierze mnie! Edeardzie, wyruszam do Serca. Właśnie ja!

Szczyt wieży zniknął w świetlnym wybuchu. Lodowate płomienie światłości błysnęły w górę ku Władcy Niebios. Dalwzrok Edearda zobaczył, jak ciało Finitana zamienia się w popiół i rozrywa w wicherze. Ale jego dusza stała pewnie. Edeard nie potrzebował żadnego specjalnego dalwzroku, by go teraz postrzegać – jego widmowy kształt stał tam widoczny dla wszystkich.

Stary Mistrz Gildii Jajofomerów zaśmiał się radośnie i uniósł eteryczne ramię w geście pożegnania miasta i ukochanych ludzi. A potem poszybował w górę w płomieniach wieży, by zanurzyć się w tańczącym chaosie iluminacji wzbierającej we Władcy Niebios.

– Dzięki – powiedział Edeard do Władcy Niebios.

– Twój rodzaj staje się znowu spełniony – odpowiedział Władca

Niebios. – Raduję się. Czekaliśmy tak długo na ten czas.

– Będziemy oczekiwali na twoje ponowne przybycie. – Edeard uśmiechnął się w górę do ogromnego, pałającego stworzenia, pikującego nonszalancko nad nimi wszystkimi.

Nie on jeden wołał do Władcy Niebios.

– Weź mnie! – wołały błagalnie dalmową kolejne setki starych i chorych.

– Zabierz mnie!

– Poprowadź mnie do Serca!

– Jestem spełniony!

– Wiodłem dobre życie!

– Weź mnie!

– Moi krewniacy wrócą, by powieść was do Serca – obiecał im Władca Niebios. – Bądźcie gotowi.

Władca Niebios opuścił miasto i wspinał się z powrotem na niebo. Unosił się coraz wyżej nad równiną Iguru, a potem już leciał pionowo nad Górami Donsori. Edeard zebrał wokół swą rodzinę, aby mogli razem obserwować odlot Władcy. Był pewien, że Władca wraz z wysokością nabiera szybkości. Niebawem trudno go było śledzić, tak szybko się poruszał, malejąc z sekundy na sekundę.

– Och, tato – gruchały bliźniaczki, obściskując go.

Edeard ucałował obydwie. Nie przypominał sobie, by wcześniej odczuwał taką ulgę i podniecenie.

– Jesteśmy zbawieni – oznajmił. – Nasze dusze wejdą do Serca.

Wygrałem, naprawdę wygrałem.

Wysoko w górze Władca Niebios pędził naprzód do mgławic, kurcząc się, aż stał się jasną dzienną gwiazdą. W końcu zniknął z pola widzenia.

Edeard pomachał mu na pożegnanie.

– Świat pozna naszą radość, kiedy ponownie się spotkamy – wyszeptał do Finitana.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się wokół. Ludzie nadal wpatrywali się w niebo rozmarzeni i zadowoleni. Upłynie sporo czasu, zanim Makkathran wróci do swych zwykłych zajęć.

– Miałeś rację – oznajmił Macsen. – Stąpający po Wodzie.

Kristabel spojrzała na niego ostro.

– Dlaczego skoczyłeś? To takie niebezpieczne.

– Yrance nie będzie wiedział, co teraz robić. – W głosie Dinlaya pobrzmiwały nutki okrutnej satysfakcji. – Możemy natychmiast rozpocząć zbijanie na tym kapitału.

Edeard się roześmiał.

Po kanciastych kryształach wieżowców pełzło światło brzasku. Czyste niebo jaśniało, wiał łagodny zachodni wiatr. W centrum Darlake City, na pięćdziesiątym drugim piętrze wieżowca Bayview, w swoim salonie budził się Laril. Mrużył oczy oślepiiony słońcem padającym na wypukłe okno sięgające od podłogi do sufitu. Noc spędził na kanapie w luźnej koszuli nocnej w paski. U-adiunkt przyciemnił szybę. Laril poruszał powoli łopatkami, próbując rozluźnić zmęczone mięśnie pleców. Nowo aktywowana biononika niezbyt radziła sobie ze sztywnością albo może on nie był mistrzem programowania, za jakiego się uważał.

Bot-pokojówka przyniosła śniadanie: kubek gorącej, gorzkiej kawy, którą Laril zaczął ostrożnie pić, oraz croissanta – rozwarstwił się i pokruszył, gdy Laril uniósł go do ust. Na Światach Wewnętrznych jednostki kulinarne były bezkonkurencyjne w produkcji podstawowych produktów. Pięciogwiazdkowe doznania wymagały wykwalifikowanego kucharza, ale jeśli chodzi o proste posiłki, zadowalano się sztucznym jedzeniem.

Podszedł do przyciemnionego okna i spojrzął w dół na sieć ulic. Starymi arteriami już płynął potok kapsułek; jajowate kształty z pokolorowanego chromu mknęły na przepisowej wysokości stu metrów. Na jeziorze, od którego miasto wzięło swoją nazwę, wielkie dzienne statki wycieczkowe przybijały do nabrzeży. Uroczym starożytnym promy, ciągnąc za sobą wzburzony, zielony kilwater, sunęły do przystani, skąd miały odchodzić w pierwszy rozkładowy rejs. O tak wczesnej porze było niewielu pieszych. Ludzie nie otrząsnęli się z szoku. Większość z nich spędziła noc tak, jak Laril – z unisfery pobierali doniesienia na temat bariery solarnej oraz raporty o tym, co prezydent i flota zamierzają z tym zrobić. Krótko mówiąc: bardzo mało. Planetarny Kongres Polityczny na Oaktierze wydał oświadczenie potępiające Frakcję

Progresywiści i wzywające do zniesienia bariery.

Bardzo pomocne, pomyślał z ironią Laril. Nie potrafił powściągnąć pogardy w stosunku do akurat tego aspektu swojej frakcji. Niewiarygodna liczba oficjalnych gremiów. Do każdej sprawy powoływano komitety lokalne i ogólnoplanetarne; zintegrowane w dziwacznej hierarchii tworzyły planetarny rząd reprezentatywny. W taki sposób Elewaci włączali wszystkich obywateli w proces decyzyjny, przyznawali każdemu władzę działania w sferze oficjalnej – to wszystko stanowiło logiczną konsekwencję filozofii Elewatów: ja jestem rządem. Ponieważ Laril dopiero niedawno nabył uprawnienia obywatelskie Elewatów, mógł kandydować tylko do komitetu najniższego poziomu, a poniżej szczebla kierowniczego było przynajmniej siedemnaście poziomów. Oakier nie miał ani prezydenta, ani przewodniczącego, ani premiera. Miał gabinet plenarny odpowiedzialności kolektywnej – przez miejscowych zwany autoironicznie politbiurem. Larila to nie zdziwiło, gdy na lekcjach obywatelskich przedstawiono mu strukturę konstytucyjną. Codzienną legalną obróbkę danych wykonywały supersmartkory, ale żeby się wysrać, człowiek potrzebował pozwolenia, tak biurokratyczny był Oaktier. A przy tym stanowił jedną z najbardziej liberalnych planet Elewatów.

Dumając o nadmiernej demokracji oraz o tolerancji, Laril zauważył, że tego ranka planetarna gajsfera jest niemal pozbawiona emocjonalnej tekstury. Wszyscy powstrzymywali swój strumień świadomości w ramach powszechnego potępienia Pielgrzymki Żywego Snu, która była źródłem kryzysu.

I to też bardzo pomocne.

Choć akurat tego nie należało traktować cynicznie. Postawa ludzi pokazywała jedność i determinację; nawet na Larilu robiło to wrażenie.

Chciałby znaleźć ten sam poziom determinacji u siebie. Gdy rozmowa z Aramintą została przerwana, jego u-adiunkt przekazał komunikat, który ktoś załadował do unisfery Chobamby. Modlił się, żeby poważnie potraktowała ostrzeżenie i natychmiast się stamtąd wyniosła. Nie zadzwoniła do niego

ponownie, czyli albo została złapana, albo ucieka. Raczej to drugie, więc musiał się przygotować. Araminta znów zadzwoni do niego po radę i pomoc; takie postępowanie to antyteza głupiej biurokracji Oaktieru. Była jedyną osobą, od której coś zależało, bardzo dużo zależało. Laril zawsze siebie widział w takiej roli: wpływać na wydarzenia we Wspólnocie dzięki własnej inteligencji i wrodzonej umiejętności unikania kłopotów. Teraz wreszcie dostał szansę. Postanowił dostarczyć dokładnie tego, czego chciała Araminta. Był zdeterminowany.

Po pierwsze, nie do końca ufał kodom, jakie mu przekazała do kontaktu z Oscarem. Nawet jeśli ten jakiś tam Oscar pomógł jej w Parku Bodant, nie można mieć pewności, czy rzeczywiście pracuje dla ZAN. Żeby ochronić ją przed Progresywiściami, trzeba było albo być z floty, albo z wrogiej Progresywiścim frakcji. Laril nie chciał mieć do czynienia z flotą. Ufać takiej władzy to nie dla niego. Ponadto to by faktycznie oznaczało przekazanie Araminty prezydentowi, który musiałby pójść na kompromis polityczny. Znacznie lepiej sprzymierzyć się z frakcją, która by podjęła bezpośrednie działania i która by miała skuteczny plan.

Przez całą noc przy pomocy swego u-adiunkta przeprowadzał delikatny wywiad wśród ludzi, z którymi się zadawał dawno temu. Zachował wszelkie środki ostrożności: kody jednorazowe, chronione węzły, zdalnie filtrowane routowanie. Stare triki, których się wtedy nauczył. Ciągłe działania. Znajomy na Jacobal miał kolegę na Cashel, którego prapradziadek był kiedyś związany z Protektoratem na Tolmin, miał więc kanały do stronnika, który miał kontakty z Frakcją Kustoszy. Dzięki temu kontaktowi dostał kody do niejakiego Ondry, który był „aktywnym” kustoszem.

Po każdym połączeniu Laril przestrajał swoją ochronę elektroniczną w unisferze, starannie dbając o to, by nikt nie dowiedział się o jego zainteresowaniu frakcjami. Najwyraźniej się udało; gdy dostał kody Ondry, żadne z zabezpieczeń nie wykryło przeglądaczy czy trakerów dostępu śledzących jego sprytny routing.

Wykonał ostatnie połączenie. Gdy powiedział, kim jest, Ondra

okazał autentyczne zainteresowanie. Owszem, na Oaktier są Kustosze, którzy mogliby służyć „radą” przyjacielowi Drugiej Śniącej. Wtedy Laril przedstawił warunki kontaktu. Był zadowolony z tego, co udało mu się wykombinować. Ponad godzinę trwała zdalna obserwacja amfiteatru Jachal, siedem kilometrów od wieżowca Bayview. Laril zrobił przegląd lokalnych węzłów i załadował całe menu software’u monitorującego. Potem na mapie wirtualnej zapoznał się z rozkładem wszystkich poziomów budowli i opracował drogi ucieczki. Wreszcie wynajął trzy przypadkowe kapsuły-taksówki i zaparkował je wokół amfiteatru na publicznych lądowiskach. Wszystko było znakomicie przygotowane i gotowe, nim Laril zaczął rozmawiać z Ondrą. Spotkanie umówili na dziewiątą trzydzieści rano. Miał tam być niejaki Asom. Sam.

Laril dopił kawę i odwrócił się od wielkiego okna. Z sypialni wyszła Janine. Byli ze sobą od pół roku. Miała zaledwie sześćdziesiąt lat i rejuwenowała się do słodkiej dwudziestki. To, że w swoim wieku migrowała do wewnątrz, świadczyło o tym, jak niepewnie się czuje. Padła łatwym łupem szczególnego czaru Larila. Dokładnie rozumiał, jak pociągały ją obietnice wspólnego przeżywania i wsparcia. Takie drapieżcze zachowanie wraz z innymi niestosownymi cechami zostanie zapewne zlikwidowane, zanim Laril osiągnie status prawdziwego Elewata. Ale na razie dziewczyna stanowiła dość przyjemną towarzyszkę. Jednakże po wzniesieniu bariery solarnej powróciły jej dawne niepokoje, tak jak u niego odrodziła się chciwość.

Janine miała zaczerwienione oczy, choć jeszcze bez łez. Wokół twarzy o kształcie serca smętnie zwisały kasztanowe, kręcone włosy. Spojrzała na niego tak żałośnie, że omal się nie cofnęła. Wbrew powszechnej teraz praktyce wlewała swoje emocje do gajaszfery, odślaniając duszę rozpaczliwie szukającą pocieszenia.

– Nie mogą przejść przez barierę – powiedziała łamiącym się głosem. – Flota próbuje od wielu godzin. Rozmieścili tam statki naukowe, analizują budowę bariery.

– Jestem pewien, że coś wymyślą.

– Ale co? Bez ZAN jesteśmy zgubieni.

– Wcale nie. Bez Drugiej Śniącej Progresywiści nie dostaną się do Pustki.

– Dopadną ją – zawodziła Janine. – Pomyśl tylko, co już zrobili.

Laril miał ochotę to skomentować, ale milczał. Przejechał dłonią po brodzie, wyczuwając szczecinę.

Araminta zawsze na to narzekała. Potrzebuję prysznic i świeżego ubrania.

– Wychodzę.

– Jak to? Dlaczego?

– Muszę się spotkać z dawnym znajomym.

– Żartujesz? – jęczała. Oburzenie walczyło u niej ze strachem. – Dzisiaj? Nie rozumiesz? Uwięzili ZAN.

– Ich największym sukcesem byłaby zmiana naszego życia. Ja zamierzam żyć dokładnie tak jak poprzednio. Postępować inaczej to dać im zwycięstwo.

Spojrzała na niego zdezorientowana, miała chaos w myślach. Chciała mu uwierzyć, mieć pewność, że ma rację.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała potulnie.

– W porządku. – Położył dłoń na jej potylicy. Pocałował ją. Odpowiedziała bez entuzjazmu.

– Widzisz? Normalność. To najlepsza droga naprzód – powiedział łagodnie. Perspektywa kontaktu z agentem frakcji i szansa, że zostanie graczem na skalę Galaktyki, sprawiła, że poczuł nagłe podniecenie.

– Tak, tego chcę. – Objęła go ramionami. – Normalnego życia.

Sprawdził zegar w swojej egzowizji. Czasu akurat wystarczy.

Ze sklepionego wejścia do hangaru stanowiącego siedemdziesiąte piąte piętro wieżowca Bayview wysunęła się kapsuła-taksówka. Laril rozparty w miękkim fotelu czuł się w siódmym niebie. Nigdy nie będzie lepiej.

Bezpośredni lot z Bayview do amfiteatru Jachał trwał najwyżej parę minut. Laril nie zamierzał lecieć bezpośrednio. Nie chciał ryzykować, póki nie będzie miał całkowitej pewności, czy reprezentant Kustoszy jest autentyczny. Poleciał więc najpierw

do mariny, potem do galerii handlowej dla kapsułów, do gmachu opery metropolitalnej, do muzeum miejskiego, do domu rzemiosła spółdzielczego. Dwanaście miejsc po opuszczeniu wieżowca. W końcu taksówka lądowała pionowo nad amfiteatrem. Z góry wyglądało to tak, jakby opuszczała się w krater małego wulkanu. Na zewnętrznych stokach wydłużonej misy urządzono stromy teren parkowy; pośród drzew i trawników wiły się ścieżki, a kilka strumyków spływało między szeregiem stawów. Wewnątrz kaldery stały rzędy wygodnych foteli dla siedemdziesięciu tysięcy widzów. Na arenie w dole organizowano rozmaite imprezy: koncerty, wyścigi, mecze pokazowe i wystawne festiwale muzyczne. Szczyt amfiteatru otaczał pas płaskiego gruntu okolonego płotem z dwustuletnich drzew redka, których olbrzymie pnie o grubych konarach ciasno porastały długie, podobne do drucianych zmywaków liście koloru głębokiego burgunda.

Kapsuła Larila opadła na publiczne lądowisko w cieniu drzew. Natychmiast zbadał teren swoją bioniczną funkcją skanowania polowego. To jedna z funkcji, którą po mistrzowsku się posługiwał, a podczas lotu taksówką ustawił najlepsze parametry. Gdy wyszedł z pojazdu, bionika już mu dostarczała pola siłowego niskiego poziomu. Miał na sobie ciemnogrnatowy togatur o silnym migotaniu powierzchniowym, więc nie było żadnych wizualnych oznak, że Laril jest chroniony. Funkcja skanowania była bezpośrednio połączona z kontrolerem pola siłowego, więc gdyby odkryła jakiś rodzaj zagrożenia lub niezidentyfikowaną aktywność, pole siłowe w jednej chwili przestawiłoby się na najmocniejszy poziom. Ta inteligentna procedura oraz inne przygotowania, jakie Laril poczynił, dawały mu dużo pewności siebie.

Zszedł do górnego rzędu foteli. U-adiunkt utrzymywał bezpieczne linki do taksówek ratunkowych i miejskiej sieci sensorowej amfiteatru, zapewniając go, że wszystko przebiega gładko. Umówił się z Asomem, że przyjedzie pierwszy. Nie czekały go żadne brzydkie niespodzianki.

Stromym zjazdem sunął w dół. Cały czas rozglądał się po

wielkim betonowym kraterze, wypatrując oznak ruchu. Nic. Tylko kilka botów powoli przemieszczało się wzdłuż rzędów foteli.

Dotarł na sam dół do areny i rozszerzył swoją funkcję skanowania polowego. W promieniu pięciuset metrów żadnych anomalii, żadnych niezwykłych obiektów technicznych. Asom najwyraźniej zastosował się do ustalonych zasad. Laril uśmiechnął się z satysfakcją. Wszystko będzie dobrze.

Dostrzegł jakiś dziwny ruch po przeciwnej stronie areny. Ktoś wychodził z czeluści tunelu dla artystów. Kobieta była naga, ale w tym wypadku widok nie miał w sobie ani odrobiny erotyzmu. Jej szkieletalne ciało spowijała mgielka togatura. Szła przez trawnik prosto w jego stronę. Za nią powiewały dwie długie szarfy szkarłatnej tkaniny.

– Asom? – spytał Laril niepewnie.

Nagle to całe spotkanie wydało mu się złym pomysłem. Coś się psuło. Połączenie z unisferą zerwało się bez ostrzeżenia, co teoretycznie było niemożliwe. Pole siłowe Larila skoczyło na najwyższy poziom. Zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu, a potem odwrócił się i zaczął biec. Pliki ze spacji pamięci już wyświetlały trasę ewakuacyjną do taksówek ratunkowych, którą Laril wcześniej zmapował. Dzieliło go piętnaście kroków od wjazdu serwisowego, który prowadził do labiryntu tuneli technicznych. Szkieletowa kobieta nigdy go tam nie wyśledzi.

Spomiędzy rzędów foteli, migocząc, wyłonili się trzej mężczyźni – po prostu odrzucili efekt maskującego kamuflażu swych jednocześnie kombinezonów.

Laril zamarł.

– Na dupę Ozziego! – jęknął.

Skanowanie polowe pokazało mu, że każdy z mężczyzn miał zaawansowane wszczepy bojowe, a ich pola siłowe były znacznie mocniejsze od jego pól. Ruszyli w jego stronę.

Egzowizja Larila wysiadła, wyświetlała niezrozumiałe kwantowe zakłócenia.

Nie zdążył nawet otworzyć ust i wrzasnąć. Cały wszechświat poczerniał.

Zastawienie pułapki nigdy nie było tak łatwe. Żenująco proste. Jeszcze przed lądowaniem Valean w Darklake City agenci Progresywistów załadowali potajemnie software hakujący do sieci wieżowca Bayview. Aż wierzyć się nie chce, ale Laril użył węzła swojego apartamentu, wchodząc do sieci unisfery. Valean podejrzewała nawet, że jego rozmowy z dawnymi kolegami to tylko subtelna zmyłka. Przecież nikt nie może być aż tak nieudolny. A jednak! Naprawdę myślał, że jest sprytny.

Valean odpowiedziała więc osobiście na jego ostatnie połączenie, podszywając się pod Ondrę. Sugestia spotkania w amfiteatrze – kolejne szokujące zaniedbanie podstawowych procedur bezpieczeństwa. To oddalone miejsce o grubych ścianach, dających doskonałą izolację przed standardowym nadzorem miejskim i policyjnym. Zespół Progresywistów pokładał się ze śmiechu, gdy odkrył „ratunkowe” taksówki podejrzanie blisko wyjścia tunelu technicznego. A przestarzały software monitorujący, załadowany przez Larila do sieci amfiteatru? Żalösne.

Valean czekała w ciemnościach tunelu dla artystów, gdy Laril zjeżdżał na dno areny. Do przeszukiwania otoczenia użył swoich funkcji skanowania polowego, ale ich szczątkowe możliwości świadczyły dodatkowo o tym, jak jest naiwny. Biononika Valean łatwo je odparła. Gdy trójka jej ludzi znalazła się za Larilem, Valean wyszła z tunelu. Laril był tak zszokowany, że nawet nie próbował żadnej wrogiej akcji. Miał szczęście, pomyślała beznamiętnie.

Drużyna gładko go otoczyła. Wtedy skanowanie polowe Valean pokazało gwałtowną zmianę w polach kwantowych. Jej wbudowane pole siłowe stężało. Wszczyepy bojowe się włączyły.

Laril zniknął.

– Co, do cholery?! – krzyknął Digby.

„Columbia505” wisiała dwieście kilometrów nad Darklake City i

monitorowała zdarzenia w amfiteatrze Jachal. U-adiunkt informował Digby'ego na bieżąco o sztuczках software'owych w cybersferze Oaktiera, o tym, jak Valean osaczała elektronicznie biednego, starego Larila. Digby często musiał zawodowo obserwować ludzi dość specyficznych i trudno mu było czuć dla nich sympatię. Jednak pod względem niekompetencji Laril stanowił klasę dla siebie. W tym wypadku o współczuciu nie było mowy, ale Digby zaczynał żałować tego głupca zaplątanego w sytuację, którą nie do końca rozumiał.

Z rosnącym niedowierzaniem obserwował, jak taksówka Larila ląduje na szczycie amfiteatru. Facet nie miał zielonego pojęcia, w co się ładuje. Z wysokości dwustu kilometrów czujniki „Columbii505” widziały agentów Akceleratorów, tymczasem prymitywne funkcje skanowania polowego Larila nie potrafiły ich wykryć z dwustu metrów.

Digby jęknął i wywołał w statku system celowania. Bez dwóch zdań, musiał interweniować. Paula miała rację: nie można pozwolić, by Valean dostała Larila. Precyzyjne lasery neutronowe ustawiły się na Valean i jej zespół.

Nie był pewien, czy po akcji powinien lądować i odzyskać Larila, czy tylko usunąć software hakujący z jego „awaryjnych” taksówek i pokierować je na miejsce spotkania. Skłaniał się do pomysłu podjęcia Larila. Ten człowiek to katastrofa. Nie powinno się dopuścić, by samodzielnie włączył się po Wspólnocie; na pewno nie z tym swoim połączeniem do Araminty.

Valean wyłoniła się z tunelu i szła prosto na zaskoczonego Larila. Trzech z ośmiu agentów Progresywistów porzuciło maskowanie. Digby wyznaczył kolejność strzelania.

Dziwne symbole wyskoczyły mu w egzowizji. Tego na pewno się nie spodziewał. T-sfera spowiła Darklake City.

Laril został teleportowany z amfiteatru Jachal.

T-sfera wycofała się w jednej chwili.

Digby przejrzał odczyty wszystkich sensorów. Valean i jej ludzie byli równie jak on zaskoczeni magicznym zniknięciem Larila. Wysłali mnóstwo szperaczy do sieci miasta. Od ich reakcji bardziej jednak niepokoiło Digby'ego to, że pojawienie się T-

sfery nie zostało zarejestrowane przez żadną sieć bezpieczeństwa Oaktieru.

To wymagało poziomu talentu znacznie wykraczającego poza możliwości zespołu agentów frakcji.

Połączył się z Paulą.

– Mamy problem.

– T-sfera? To niespotykane – stwierdziła, gdy skończył wyjaśnienia. – Na Oaktierze nie znam żadnego projektu z wykorzystaniem T-sfery, zatem to musi być tajne. A ponieważ żaden oficjalny czujnik nie potrafił tego wykryć, to znaczy, że to było również zagłębione. Ciekawe.

– Sensory „Columbii505” oceniły jej średnicę na dwadzieścia trzy kilometry.

– A dokładnie gdzie jest środek?

– Daleko przed tobą.

Czujniki wizualne przekazały do egzowizji Digby’ego obrazy z Darklake City. Koncentrowały się na rejonie Olika, jednym z najwcześniejszych, luksusowych obszarów nad brzegiem jeziora. Na urządzonych z przepychem terenach stały duże domy; mizmasz stylów reprezentujących epoki, gdy budynki powiększono i modernizowano. Przez dzielnicę biegła droga równoległa do linii brzegowej. Obraz powiększał się w centrum, najeżdżał na bungalow z suchego koralu o barwie lawendy. Owalny dom zbudowano wokół małego basenu. Prawdopodobnie był to najmniejszy dom w rejonie.

– O Boże – powiedziała Paula.

– To jest centrum – rzekł Digby. – Adres Briggins 1800. Zarejestrowany na Paula Cramleya. Tak naprawdę mieszkał tu przez... Och, to chyba niemożliwe.

– Możliwe – rzekła Paula.

– Czy sądzisz, że generator T-sfery jest pod bungalowem? Mogę zapuścić głębokie skanowanie.

– Nie trudź się.

– Ale...

– Laril jest doskonale bezpieczny. Niestety, teraz Araminta nie będzie mogła do niego zadzwonić po radę, chyba że zapłaci cenę

sojusznikowi Paula.

– A więc znasz tego Cramleya? Mój u-adiunkt nie może nic o nim znaleźć.

– Oczywiście. Paul zrobił wszystko, żeby wymazano go z oficjalnych baz danych, zanim Nigel i Ozzie otworzyli pierwszy wormhol do Marsa.

– Serio?

– Teraz obserwuj Valean.

– Tylko tyle?

– Na razie. Postaram się porozmawiać z Pauliem.

Digby nie był taki głupi, by się dopytywać.

Laril miał świadomość, że światło i powietrze zmieniły się. Nie stał już w słońcu w amfiteatrze, a powietrze, którym oddychał, było idealnie klimatyzowane. Panowała cisza. Zaryzykował i otworzył oczy.

Na pewno nie spodziewał się tego, co zobaczył. Przebywał w przeciętnym, nieco staromodnym salonie. Kule świetlne zgaszono i w pomieszczeniu panował mrok, tylko przez szare półprzezroczyste zasłony, zaciągnięte na wysokich łukowych oknach, przenikało trochę słońca. Laril widział zarys dziedzińca z okrągłym basenem. Podłoga z ciemnych desek, wygładzana przez wieki, prawie straciła słoje drewna. Ściany z surowego suchego koralu obstawiono półkami.

Centymetry nad podłogą unosiło się kilka eleganckich srebrnych globulastych foteli. W jednym z nich siedział mężczyzna; powierzchnia fotela uformowała się wokół jego ciała jak plastyczna rtęć. Młodzieńcza twarz, a zwłaszcza gęste ciemne włosy, przycięte dłużej, niż zalecała aktualna moda, sprawiały, że mężczyzna wydawał się przystojny. Instynkt jednak ostrzegwał Larila: jest stary, bardzo stary. Takiemu człowiekowi nie wciśnie się bzdur, tak jak swoim byłym partnerom biznesowym czy przyjaciółkom. Nie próbował nawet użyć swojej funkcji skanowania polowego. Nie wiadomo, jak ten człowiek by zareagował.

– Hmm... – odchrząknął, gdy serce nieco mu się uspokoiło. – Gdzie jestem?

– W moim domu.

– Nie... Ach, dziękuję ci za wydobycie mnie stamtąd. Czy ty jesteś Asom?

– Nie. Nie ma takiej osoby. Zostałeś ograny przez Progresywistów.

– Wiedzieli o mnie?

Mężczyzna pogardliwie uniósł brwi.

– Proszę wybaczyć – powiedział Laril. – A kim jesteś?

– Paul Cramley.

– A ja tkwię teraz w jeszcze większym gównie?

– Wcale nie. – Paul uśmiechnął się. – Ale również nie możesz sobie swobodnie odejść. Nawiasem mówiąc, to dla twojego dobra. To nie jest groźba.

– Jasne. Kto jeszcze o mnie wiedział?

– No, ja wiedziałem. Chyba również ten zamaskowany statek z ultranapędem na orbicie. A więc trójka, licząc Valean i jej drużynę. Przypuszczam, że wkrótce dojdą inni.

– Och, Ozzie. – Laril aż zgarbił się z niepokoju. – Mój software nie jest tak dobry, jak sądziłem?

– Nigdy nie widziałem gorszego. A uwierz mi, mam wielkie doświadczenie. Z drugiej strony chyba nie zdawałeś sobie sprawy, z czym w zasadzie masz do czynienia.

– Dobrze, a kim jesteś? Jakie są twoje interesy?

– Wkrótce pewnie się dowiesz. Domyślam się, że za chwilę odezwie się dawny znajomy. A jak się jest tak starym jak ja, domysł to jak pewność.

– Jeśli jesteś stary i nie jesteś w ZAN, to prawdopodobnie nie jesteś agentem frakcji.

– Cieszę się, że mimo wszystko masz trochę szarej materii. O, właśnie jest.

Portal wyświetlił w salonie obraz kobiety. Laril jęknął. Nie potrzebował programu identyfikującego, żeby rozpoznać Paulę Myo.

– Paula. Kopę lat – powitał ją Paul radośnie.

- Ten kryzys ściąga do gry starą, dobrą gwardię.
 - Czyżbym słyszał rozżalenie?
 - Tylko obserwacja. Laril, nic ci nie jest?
 - Raczej nic. - Wzruszył ramionami.
 - Nigdy już więcej nie rób czegoś równie głupiego.
- Laril patrzył spode łba na obraz śledczej.
- Dzięki, żeś go wydobył - powiedziała Paula. - Moi ludzie narobili by zbyt dużo hałasu.
 - Nie ma za co.
 - Valean wkrótce odkryje twoją lokalizację. Złóży ci wizytę.
 - Chyba nie jest tak głupia jak Laril?
 - Nie - przyznała Paula, a Laril się najeżył. - Ale ona ma misję, a Ilanthe nie da jej wyboru.
 - Biedactwo.
 - Właśnie. Daj mi kody dostępu, proszę.
 - Nie wiem, o czym mówisz.
 - Paul. Nie mamy czasu.
- Paul spojrział na obraz z miną męczennika.
- Łączę cię bezpośrednio.
- Obraz Pauli zamigał i zniknął.
- Do kogo ona mówi? - spytał Laril.
 - Do drugiej w kolejności najlepszej rzeczy, skoro teraz ZAN jest niedostępny - wyjaśnił Paul obojętnym tonem.
 - Więc... proszę wybaczyć, ale nie wiem, kim jesteś.
 - Po prostu facetem, który już dość długo się tu kręci. To daje mi pewną życiową perspektywę. Znam swój własny umysł i nie podoba mi się to, co robią Progresywiści. I dlatego ci pomogłem.
- Jedna ze srebrnych kul podpłynęła do Larila; usiadł na niej ostrożnie. Gdy powierzchnia wygięła się wokół niego, fotel okazał się dość wygodny.
- Więc ile masz lat?
 - Odpowiem tak: gdy dorastałem, nie podróżowano dalej niż do Księżyca. A połowa planety sądziła, że to mistyfikacja. Durnie.
 - Księżyc? Ziemski Księżyc?
 - Taaa. Jest tylko jeden: ten Księżyc.
 - Wielki Ozzie, to musisz mieć ponad tysiąc lat.

- Półtora tysiąca.
 - Ale dlaczego nie migrowałeś do wnętrza?
 - Mówisz tak, jakby to było nieuniknione. Nie każdy uważa, że biononika i załadowanie się do ZAN to postęp. Ciągłe pozostała nas garstka niezależnych. Co prawda, przeważnie jesteśmy dość starzy. I uparci.
 - Co próbujecie osiągnąć?
 - Samowystarczalność. Wolność. Indywidualizm. Neutralność. Tego rodzaju rzeczy.
 - Ale czy kultura Elewatów nie daje... - Laril przerwał, gdy Paul znów uniósł brwi.
 - A dziś rano działałeś w imieniu jakiego komitetu? - spytał Paul łagodnie.
 - Dobra. Mam problemy z akceptacją życia Elewatów. Nie widzę jednak wyboru.
 - Weź swoje biononiki. Naucz się ich odpowiednio używać... znaczy, w twojej sytuacji. Weź zapas AEM-ów i ruszaj, gdzie chcesz.
 - Mówisz tak, jakby to było łatwe.
 - To rzeczywiście mordęga. A ciągle nie mam pojęcia, jak skończę. Przypuszczalnie jako postfizyczny. Ale to będzie na moich zasadach, a nie coś, co mi narzucono.
 - Wiesz, że ja też wolę myśleć w ten sposób.
 - Pochlebia mi to. O, chyba Valean nas odnalazła.
- Laril spojrział zaniepokojony - za oknami na zewnątrz rozległ się wysoki świst lądującej szybko kapsuły; tego dźwięku z niczym nie można było pomylić. Zmrużył oczy i zobaczył dwa chromowożółte owoidy zatrzymujące się nad świeżo skoszonym trawnikiem. Z pierwszego pojazdu wyszła kobieta-szkielet. Na jej widok serce Larila zaczęło walić mocno. Szła w stronę domku, a dziwne karminowe szarfy powiewały z tyłu. Za nią ruszyło sześciu agentów ze wszczepami bojowymi; z ich skóry wystawały rozmaite jednostki hardware'u o wylotach skierowanych bojowo na bungalow.
- Chyba trzeba... no, no... schować się w jakieś bezpieczne miejsce? - jękał się Laril. Biononika raportowała mu, że

bungalow omiatany jest wyrefinowanym skanowaniem polowym. Ustawił swoje wbudowane pole obronne na pełną moc.

Paul usiadł wygodniej w srebrnym fotelu, ręce skrzyżował za głową i z nonszalancją obserwował zbliżającą się drużynę Progresywiwistów.

– W całej Wspólnocie nie znajdziesz bardziej bezpiecznego miejsca.

– Ale gównu – jęknął Laril.

Miał ochotę spytać: jak bezpiecznego? Jeśli Paul rzeczywiście miał tak dobrą ochronę, to dlaczego nie zestrzelił kapsuł w powietrzu, nie teleportował ich ani nie wezwał swoich własnych ochroniarzy ze wszczepami? Niech... coś zrobi!

Valean podeszła do okna. Dźgnęła szybę palcem wskazującym. Szyba upłynęła się i rozlała na deskach salonu.

Laril siedział prosto, przerażony, mięśnie pleców mu zeszywniały. Valean przeszła przez łukową framugę, delikatnie rozsuwając zwiewne zasłony. Jej płonące, różowe oczy przeszukiwały pomieszczenie.

– Paul Cramley, jak sądzę? – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Zgadza się – odparł Paul. – Obawiam się, że muszę cię prosić, żebyś natychmiast wyszła. Laril jest moim gościem.

– Musi iść ze mną.

– Nie.

Egzowizja Larila znów mu pokazała dziwaczne piki kwantowe. Bładozielona fluorescencyjna poświata spowiła Valean i jej drużynę.

– Obawiam się, że twoja T-sfera nie zadziała – oznajmiła. – Jesteśmy przeciw niej zaprogramowani.

Paul przechylił głowę. Długie włosy opadły na policzek.

– Naprawdę? A jeśli zamiast tego posłużę się ironią?

Valean otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale tylko zmarszczyła czoło. Wykonała ruch ramionami. Szybki. Widać było tylko rozmytą plamę. Szmaragdowa poświata pojaśniała na jej obrzeżach, zostawiając w powietrzu szeroką fotonową smugę. Potem kobieta odwróciła się z niesamowitą szybkością. Poświata

wokół niej oślepiła; Laril musiał zamknąć oczy. Jego biononika wytworzyła filtry siatkówkowe i teraz znów mógł patrzeć na Progresywistów. Zmienili się w jaskrawe żółtawozielone kokony. Ledwo widział zarys ich miotających się ciał, każde wewnątrz małego, oświetlonego więzienia. Poruszały się z prędkością setki razy większą niż normalna. Pięściami walili w brzег z niewiarygodną częstotliwością, tworząc w ruchu jednolitą plamę światła. Czerwone szarfy Valean okręcały się wzburzone, gdy wyciekała z nich barwa. Stały się czarne, sztywne, kruche; w końcu zmienione w małe płatki opadały popiołem na dół.

Wewnątrz zielonych więzień członkowie zespołu przestali się poruszać, łatwiej ich było obserwować. Nogi ugięły się pod Valean. Szybki rozmas zielonego światła osunął się za nią na ziemię. Przez sekundę wspierała się na rękach i kolanach, ale opadła na brzuch i nowy błysk śmignął za nią. Zielona poświata blakła do prawie niewidzialnej powłoki. Dziwna skóra kobiety pociemniała, potem migotanie zniknęło, odsłaniając skórzastą okrywę, która coraz bardziej obciskała szkielet. Powstały pęknięcia, z nich wydobywały się płyny zastygające w plamy na drewnianej podłodze.

– O, Ozzie! – Laril zasłonił usta, by nie zwymiotować. Szybko odwrócił wzrok. Pomagierów Valean spotkał ten sam los. – Co się stało?

– Wiek – wyjaśnił Paul. – W końcu nas wszystkich dopadnie, chyba że zachowuje się ostrożność, oczywiście. – Zsunął się z fotela i podszedł do wyschniętego ciała Valean. Zielonkawy odcień całkowicie zniknął, zastąpiony migoczącym polem siłowym. – Przyśpieszyłem ją wewnątrz strefy efektów egzotycznych; to jak miniaturowy wormhol. Normalnie używa się go do zawieszenia upływu czasu, ale łatwo zmaistrować efekt przeciwny, potrzeba tylko większego wkładu energii. To jakby Pustka, naprawdę.

Larilowi pytania narzucały się same: jak to odczuwali agenci i sama Valean uwięzieni w otulinie sił egzotycznych, cierpiący ekstremalną samotność bez przerwy przez wiele dni, gdy świat zewnętrzny stał nieruchomo.

– Jak długo?

– Około dwóch lat. Miała bardzo silne biononiki, ale nawet one nie mogły jej podtrzymać w nieskończoność. Normalnie biononiczne organelle żywią się białkami komórkowymi i całą tą mazią pływającą wewnątrz błony, a to jest stale na nowo zasilane przez ciało. Ale w polu czasowym nie dostawała świeżych składników odżywczych. Jej biononiki nie były zasilane cząsteczkami komórkowymi. W końcu były jak superrak zjadający ją od środka, zwiększający wygłodzenie i odwodnienie.

Larila przeszedł dreszcz.

– Ale jej pole siłowe nadal działa.

– Nie, to moje systemy obrony generują migotanie. Nie wiadomo, jakie pułapki wprogramowała w siebie. To, że sama jest martwa, nie znaczy, że jest nieszkodliwa.

Znów pojawiła się T-sfera; ciała zostały teleportowane z salonu. Laril nie chciał wiedzieć dokąd.

– Co teraz? – spytał.

Paul spojrział na niego z dziarskim uśmiechem.

– Jesteś gościem tego domu, aż Araminta się do ciebie odezwie – albo i nie – i wszystko się skończy.

– Och!

– Głowa do góry. W istocie geometria jest tu naprawdę ciekawa. Chyba nie sądzisz, że ostatnie tysiąc lat spędziłem uwięziony w tym bungalowie.

– Ach, no... jeśli tak to ująć, to nie sądzę.

– Świetnie! A jadłeś już śniadanie?

Gdy Paul Cramley przekierował rozmowę, portal kabiny Pauli wyświetlił osobliwy obraz mandarynkowych i turkusowych linii, które falowały i znikwały w jednym z końców.

– Mogłam się domyślić, że będziesz zainteresowana – powiedziała RI.

– Pierwsze pytanie: czy możesz się przedostać przez barierę solarną?

– Przykro mi, ale nie. Jeśli ZAN nie może, jaką szansę ma taki

anty jak ja?

– Próbujesz wywołać u mnie współczucie?

– A masz coś takiego?

– Niestosowne pytanie. Ale tak się składa, że mam. Dla własnego gatunku.

– Paula, jesteś na mnie zła?

– Podzielałam opinię ZAN. Twoja ingerencja w nasze sprawy była nieakceptowalna.

– Prawie nigdy się nie mieszałam.

– Zdemaskowaliśmy osiemnaście tysięcy twoich agentów. Twoja sieć była większa niż sieć Gwiazdokrażcy.

– To porównanie sprawia mi przykrość.

– Zamknij się. Dlaczego kazałaś Paulowi uratować Larila?

– Niczego mu nie kazałam. Obecnie Paulowi nikt nie może rozkazywać. Wiesz, że jest na najlepszej drodze do stanu postfizycznego.

– Sądzę, że nie jest już w pełni człowiekiem.

– To stare ciało, które widziałaś w bungalow, to teraz tylko małe przejawy Paula. Jeśli martwią cię interwencje nie-ludzi, to powinnaś uważnie mu się przyjrzeć i innym takim jak on.

– Są też inni?

– Niewielu. Ty i Kazimir to osobliwości. Inni z tych roczników albo się załadowali, albo wybrali własny kierunek, jak Paul.

– Więc ty i on jesteście kolegami? Równymi?

– To bardzo humanocentryczny punkt widzenia: mierzyć wszystkich ze względu na jego siłę.

– Bardziej punkt widzenia Ocisenów, tak sądzą. Może również alf.

Falowanie linii przyśpieszyło.

– No dobrze. Między Paulem i mną jest szczególna więź. Rozumiesz, on w zasadzie napisał część mnie oryginalnej. Dawno temu był mrówką korporacyjną w STT, w ich departamencie zaawansowanego software'u pracował nad rozwojem sztucznej inteligencji.

– To miłutkie. Więc jak bardzo jesteś zainteresowana Pielgrzymką?

- Bardzo. Ten idiota Ethan naprawdę może spowodować zagładę Galaktyki. Musiałabym się przenieść.

- Jakie to okropne.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś ruszyć planetę?

Paula spojrzała przenikliwie na sinusoidalne fale.

- Nie, ale znam człowieka, który prawdopodobnie to potrafi. A ty?

- Również. Szczerze mówiąc, Troblum próbuje się właśnie z tobą skontaktować.

- Sholapur raczej nie był niewidoczny. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Naprawdę próbował. Wiedział o Roju, zamierzał dojść do porozumienia.

- Teraz to nie ma znaczenia.

- Paulo, byłam z nim w kontakcie od Sholapuru.

- Gdzie on jest?

- Gdzieś tam w swoim statku. Gdy ostatni raz rozmawialiśmy, był w zasięgu unisfery, ale o jego dokładnym położeniu nie mam pojęcia. Jego smartkor jest dobrze chroniony. Nakłaniałem go, żeby się z tobą skontaktował.

- Dlaczego?

- Pomógł zbudować Rój. Może potrafi przejść przez barierę.

- Powiedział coś takiego?

- Nie wrywał się z pomocą. Twierdził, że istnieje kod wyłączający.

- Nawet jeśli, to Ilanthe ma ten kod - rzekła Paula. - Niech to diabli, myślisz, że się ze mną skontaktuje?

- Troblum to straszny paranoik. Cecha, która pogorszyła się przez wydarzenia na Sholapurze. Obawia się wykrycia. Tak naprawdę boi się tego, że Kotka go znajdzie. Z drugiej strony rozważał, czyby się nie skontaktować z Oscarem Monroe.

- Z Oscarem? Dlaczego?

- Przypuszczam, że uważa Oscara za ostatniego godnego zaufania człowieka w całej Galaktyce.

- Sądzę, że to prawda. Upprzedzę Oscara, żeby się za nim rozglądał.

- Dobrze. Jakie masz zamiary, Paulo?
- Nie jestem aż tak liberalna jak ZAN. Uważam, że Pielgrzymkę i Ilanthe trzeba powstrzymać przed wejściem do Pustki. To oznacza, że trzeba złapać Aramintę.
- Trudne. Idzie ścieżkami Silfenów.
- Nie dadzą jej schronienia. Gdzieś, kiedyś będzie musiała wyjść.
- Wiesz, jakie jest najbezpieczniejsze miejsce, które może wybrać? Ziemia. Co za paradoks. Jeśli Ilanthe chce ją dostać, bariera musi być wyłączona.

Paula spojrzała z aprobatą na węzeł sinusoidalnych fal. Znała ścieżki Silfenów dochodzące przez barierę Dysona Alpha. Sam Ozzie jej to powiedział. Ten wariat odwiedził planetę Góra Światła Poranku, gdy skończyła się wojna Gwiazdokrąży. Przypuszczała, że z pewnością RI to będzie wiedziała: łączyła ją z Ozziem długa historia.

- Sprytne – powiedziała. – Czy jakoś moglibyśmy przekazać jej wiadomość? Jesteś w kontakcie z Ostrowem Matki silfenów?
- Potrzebny byłby Przyjaciół Silfenów.
- Niewielu ich jest i są trudno uchwytne.
- Cressida, jest skoligacona z Aramintą. Mellanie jest przodkiem ich obu.
- To wątpliwie nawet w rozpaczliwej sytuacji.
- Tak. Poza tym Cressida zniknęła z widoku. Ale zapomniałam, że ścieżki sifenów mogą sięgać przez tego rodzaju barierę. Ścieżka na Ziemi zaczyna się chyba gdzieś poza Oxfordem. Ciekawe, czy ZAN może ją wykorzystać do przekazania jakiejś wiadomości na zewnątrz.
- Jeśli będzie mógł, to przekaże.
- Tak, a na razie... Czy masz jakąś zachomikowaną broń, która może zablokować rdzeń inwersji?
- Nie mam żadnych broni, ani ukrytych, ani żadnych innych.
- Trudno mi w to uwierzyć.
- Jasne. Zapominasz, że jestem informacją, operuję wewnątrz czegoś, co może być uznane za sieć fizyczną, ale to coś mną nie steruje.
- Załadowano w ciebie wiele ludzkich osobowości. To musi

wpływać na twój punkt widzenia.

– Załadowano we mnie wiele ludzkich wspomnień, a to pewna różnica.

– Jasne. Czy wiesz przynajmniej, co to jest rdzeń inwersji?

– Udało mi się uzyskać dostęp do czujników w Układzie Słonecznym w bardzo krótkim okresie między wyłonieniem się rdzenia a powstaniem bariery. ZAN nadal uważa działanie tego typu za bardzo brutalne wtargnięcie. Nie mogę ci powiedzieć więcej niż to, że ma naturę egzotyczną. Struktura kwantowa była w zasadzie nieczytelna, tak była niezwykła.

– Więc nie wiemy, co by mogło je uśmiercić?

– Flota odstraszająca albo raiel-wojownik może by potrafili. Nie wyobrażam sobie niczego innego, co by zadziało. Ale, Paulo, ten statek, który to pozostawił, był nadzwyczaj potężny i szybki...

– Wiem. Jeśli Araminta zadzwoni do Larila...

– Paul i ja włączymy cię do rozmowy.

– Dziękuję. Proszę, podaj mi kod do siebie.

– Jak sobie życzysz.

Paula obserwowała, jak znikwały sinusowe fale, gdy w jej egzowizji pojawiła się nowa ikona komunikacyjna. Szybkie sprawdzenie smartkoru pokazało, że RI nie próbowała infiltrować żadnego systemu statku. Paula tego nie podejrzewała, ale...

Jej u-adiunkt otworzył bezpieczny link do „Wysokiego Anioła”.

– Paulo, nasza sytuacja nie polepsza się – rzekł Qatux.

– Rozumiem, że prezydent prosił cię, żebyś spróbował przedostać się przez barierę Układu.

– Prosił. Sądzę, że to niemożliwe. Jednak spróbuję spełnić jego prośbę. W tym momencie bezczynność byłaby moralnie nieodpowiedzialna. Wkrótce polecimy do Układu Słonecznego.

– Raiela znów biorą udział w wydarzeniach w Galaktyce? Myślałam, że to całkowicie wbrew waszemu etosowi.

– To bardzo specyficzne wydarzenie. Od eonów się tego baliśmy. Nasze zaangażowanie jest obowiązkowe.

– Sądzę, że bariera blokująca Układ Słoneczny jest oparta na polu siłowym wokół Pary Dysona. Progresywiści od dawna

badali Ciemną Fortecę.

– Podejrzewaliśmy, że tak jest. Jeśli to prawda, to „Wysoki Anioł” nie zdoła przełamać bariery.

– A statek raiela-wojownika?

– Też raczej nic nie działo. Choć może są jakieś nowe, nieznanne mi fakty. Generator zwany przez ciebie Ciemną Fortecą to szczyt pomysłowości naszej rasy.

Na tę wiadomość Paulę przebiegł dreszcz ulgi. Bardzo stara zagadka została wreszcie rozwiązana.

– Czy Ciemną Fortecę zbudowali raiela? Zawsze myśleliśmy, że oni są tym samym, co sfery CF na Stacji Centuriona.

– Tak. To jednostka z naszego garnizonu z jądra Galaktyki. Mają kilka funkcji, pole siłowe to tylko jedna z nich.

– Mówiłeś nam, że anominowie uwięzili Parę Dysona.

– Uwięzili. Wypożyczyliśmy im te jednostki. Wyprodukowaliśmy ich całe zastępy po naszej nieudanej inwazji na Pustkę. Jak słusznie postulował wasz gatunek, istnieją ostateczne linie obrony Galaktyki przeciw fazie katastroficznej ekspansji.

– Czyli raiela mogą powstrzymać fazę ekspansji?

– Tego się nie dowiemy, póki nie nadejdzie ten moment. Ta metoda to najlepsze, co mogliśmy wymyślić, ale jej nie przetestowaliśmy.

– Zatem to bardzo ważne, żeby Araminta nie poprowadziła Pielgrzymki do Pustki?

– Tak.

– Zrobię wszystko, żeby temu zapobiec.

– Wiem, Paulo.

– Być może będzie mi potrzebna pomoc.

– Tylko poproś. Możesz na mnie liczyć.

Las się skończył. Aż do brzegu morza, strzeżonego przez pas szerokich wydm, przez wiele mil ciągnęła się teraz strefa zmiętej trawy. Granatowy ocean lśnił w oddali, gdy słońce ślizgało się po łagodnych falach. Araminta uśmiechnęła się smętnie; wiedziała,

że nigdy nie pobiegnie po plaży ani nie zanurkuje w cudownej, czystej wodzie. Potężne czworonożne zwierzę, na którym jechała, parskalo i trzęsło wielką głową, jakby podzielało jej rozżalenie.

– Nie przejmuj się, uroki natury stają się nużące po pewnym czasie – powiedział Bradley Johansson. Jechał u jej boku na podobnym wierzchowcu, a Tancerz Chmur włókł się z tyłu.

– Po jakim czasie? – spytała Araminta.

– Po tysiącleciach – burknął Tancerz Chmur. – Natura tworzy mnóstwo rzeczy wartych podziwu. Jej chwała nigdy się nie kończy.

Bradley Johansson wydał wargi i wydał z siebie piskliwy głos trąbki. Araminta mogła się domyślić, że to chichot. Podróżowała w towarzystwie tych dwóch już półtora dnia, od kiedy opuścili festiwal nad fiordem, i trochę ich poznała.

– Świetnie – odparła cicho.

Świeży powiew od oceanu orzeźwiał, łagodził jej obniżający się nastrój. Zbliżali się do wąskiego zagłębienia porośniętego niskimi drzewami i gęstymi krzakami. Z małego stawu na stoku wypływał strumyczek i znikał między drzewami. Zatrzymała się tuż przed wodą i przerzuciła nogę nad siodłem. Zsuwała się niezgrabnie po grubym boku zwierzęcia, które cierpliwie czekało. Bradley Johansson podszedł i pomógł jej odpiąć plecak. Nie widziała, jak zsiadał ze swojego wierzchowca, ale była pewna, że skrzydła Bradleya są za małe, by pracować w standardowym polu grawitacyjnym.

– Jak się czujesz? – spytał z troską.

– Strasznie się denerwuję.

– Twój duch zwycięży – zapewnił Tancerz Chmur.

Nadal siedział na swoim wierzchowcu, ogon zwinął z jednej strony i podeksycytowany lekko szeleścił skrzydłami. Z wysoko uniesioną głową patrzył w stronę wybrzeża. Gdyby był człowiekiem, Araminta uznałaby, że próbuje wyczuć zapach na wietrze.

– Muszę – odparła z powagą.

– Jestem z ciebie dumny, córko przyjaciółki – oznajmił Bradley

Johansson. – Reprezentujesz to, co w naszym gatunku dobre i silne. Dzięki tobie wiem, dlaczego poświęciłem wszystko, co miałem, by nas uratować.

Araminta nagle zajęła się klamrą przy pasie w talii.

– Zrobię, co będę mogła. Obiecuję. Nie zawiodę cię.

– Wiem.

Spojrzała na niego. Trzymał mały wisior na srebrnym łańcuszku. Drogocenny kamień oprawiony w delikatną, srebrną siateczkę. W jego wnętrzu połyskiwało piękne niebieskie światło jakby uwięzionej gwiazdy. Zawiesił jej naszyjnik na szyi.

– Araminto, nadaję ci imię, które już masz: Przyjaciółka Silfenów.

– Dziękuję. – To śmieszne, ale oczy jej zwilgotniały. Uśmiechnęła się do Tancerza Chmur, który skłonił się tak uroczyście, że poczuła się strasznie niedoskonała. – Czy macie jakieś sugestie dla swojej nowej przyjaciółki? – zwróciła się do obu. Głos jej się łamał; nie cierpiała u siebie takiej słabości. – Mój były mąż powiedział, że mi pomoże, ale nie jest to człowiek najbardziej wiarygodny, nawet jeśli serce ma po właściwej stronie.

– Laril nie jest już osobą niezależną – rzekł Bradley Johansson. – Może służyć ci sensowną radą, ale to nie będzie jego własna rada.

– Aha, no dobrze. – Skąd to wiesz? Pytanie głupie. Cały czas wprowadzał ją w błąd ten pozornie dziecięcy styl życia silfenów.

– W takim razie zostaje Oscar? Czy będzie mógł mi pomóc przy tej maszynowej rzeczy, przed którą mnie ostrzegaliście?

Tancerz Chmur i Bradley Johansson wymienili spojrzenia.

– Prawdopodobnie nie – stwierdził Tancerz Chmur. – Nikt w istocie nie rozumie, co to jest.

– Ktoś na pewno wie albo umie to rozpracować – zauważyła.

– Ty masz się tego dowiedzieć, przyjaciółko.

– Och, dajcie spokój! Tu chodzi o los całej galaktyki, w tym o wasze istnienie. Przynajmniej raz porzucicie te mistyczne bzdury i dajcie jakąś praktyczną radę.

Bradley Johansson znów zachichotał piskliwie.

– Jest ktoś, kogo mogłabyś spytać. Ktoś mądry, kto by potrafił to

rozgrzyść. Kiedyś był fenomenalnym fizykiem. I został nazwany Przyjacielem Silfenów.

– Właśnie. I popatrz, co zrobił z tym najbardziej zaszczytnym darem – warknął Tancerz Chmur.

– No właśnie – wtórował mu Bradley Johansson, jakby rozbawiony. – To sprawia, że jest, kim jest. Dlatego jest naszym Przyjacielem.

– Kto taki? – dopytywała się Araminta.

– Ozzie... – Tancerz Chmur westchnął.

– Ozzie? Naprawdę? Myślałam... czy on jeszcze żyje?

– Oczywiście – odparł Bradley Johansson.

– Do diabła, gdzie on jest?

– Poza Wspólnotą. Oscar może cię tam zabrać. – Zamilkł. Zagwizdał smutno. – Prawdopodobnie. Pamiętaj, przyjaciółko Araminto, od teraz musisz się poruszać z wielką ostrożnością.

– Tak, tak, będę ostrożna. Pod tym względem możecie mi ufać.

– Gdy będzie po wszystkim, wróc do nas – powiedział Tancerz Chmur.

– Oczywiście. – W jej myślach pojawił się cień zwątpienia, ale szybko go odeгнаła.

To wszystko jest takie przytłaczające. Odwiedzić Ozziego! Na litość... Ozziego!

Bradley Johansson ujął jej dłoń i zaczęli podchodzić na szczyt małego, zadrzewionego jaru. Araminta odetchnęła głęboko; szła pewnie naprzód. Przed sobą wyczuwała wijącą się wśród drzew i gęstych krzaków ścieżkę Lasu Francola, która się poruszała.

– Pozwól, ostatnie słowo. Gniew to dobry stymulant, teraz tego doświadczasz – mówił Bradley Johansson. – Gniew, że bez własnej winy znalazłaś się w takiej sytuacji, gniew na głupotę Żywego Snu. Na początku ta złość będzie napędzała twoją determinację, dając ci pożądaną siłę. Potem nadejdzie moment, gdy się rozejrzysz i zobaczysz wszystko, co przeszłaś. To czas najbardziej niebezpieczny, czas gdy możesz stracić wiarę w siebie i się zachwiać. Nie możesz do tego dopuścić, przyjaciółko. Podsycaj swoją złość, niech cię niesie naprzód. Doprowadź dzieło do ostatka, choćby nie wiem co. To jedyny sposób, żebyś za sobą

pociągnęła innych. Bądź siłą natury, przysłowiową niepowstrzymaną siłą. Potrafisz tego dokonać. Masz w sobie tyle zasobów.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dokonam. Obiecuję. Potrafię się skoncentrować na celu.

Nie uwierzyłybyś, w jakim stopniu.

Bradley Johansson zatrzymał się. Zamaszystym ruchem czteropalczastej dłoni wskazał jej drogę naprzód, skrzydła rozwinął na pełną szerokość. Wyglądał imponująco zastygły między dwoma gatunkami, dwoma stylami życia. Araminta odwróciła się do niego plecami i ruszyła naprzód, nie dopuszczając do umysłu żadnej wątpliwości. Przed nią otwierała się ścieżka.

Kiedyś budynek był pojedynczym domem, zaprojektowanym jako ekstrawagancka dziesięciopokojowa rezydencja bogatego właściciela. Rozległe salony wychodziły na duży ogród, opadający ku gęstemu lasowi drzew dapolowych, gdzie przebiegała granica miasta. Spektakularne skrzydło białego dachu ocieniało basen w kształcie łyży. Rezydencja doskonale wpisywała się w styl życia oryginalnej dzielnicy Francola, wówczas enklawy prosperujących, bogatych mieszkańców, którzy lubili mieć krzywną prywatności, jaką dawały drzewiaste żywopłoty między imponującymi posiadłościami. Odrobina wsi w mieście.

Po obiecującym starcie dzielnica ewoluowała wraz z rytmem gospodarki Colwyn City. Dawny styl wyszedł z mody, domy przejęli deweloperzy, zmieniając je w jeszcze bardziej stylowe apartamentowce. Modernizacja spowodowała spadek cen. Ludzie wynajmujący tu nowe mieszkania przeważnie mieli stałą pracę, byli więc długoterminowymi lokatorami. To powodowało, że bogaci nie kwapili się z inwestycjami, co dodatkowo obniżało ekonomiczny status dzielnicy.

Te same mechanizmy rynkowe powodowały, że zostawało dużo pustych mieszkań. Oscarowi udało się wynająć dla zespołu

dobrze zlokalizowany apartament. Mieścił się na parterze starego domu, miał dwie sypialnie, łazienkę i salon wykrojony z pomieszczeń pełniących kiedyś funkcję ostentacyjnych sal recepcyjnych. Panoramiczne okno salonu wychodziło na trawnik ciągnący się aż po skraj Lasu Francola. Doskonałe stanowisko obserwacyjne.

Oscar usadowił się przy ścianie okiennej na piramidzie poduszek. Przez ciemne drzewa przelotnie widział migotanie pola siłowego miasta. Nie używał swojej funkcji skanowania polowego – mogłaby go zdradzić. Inne zespoły aż tak się nie kryły. Jego biononika od czasu do czasu wychwytywała czyjeś szybkie skanowanie w pobliżu. Liatris odkrył, że w ciągu ostatnich dwudziestu godzin przy tej samej ulicy wynajęto siedem apartamentów. Dwa inne idealnie legalne mieszkania zostały przejęte przez ludzi, którzy uznali, że dzięki temu podstępowi staną się mniej widzialni. Nie byli aż tak dobrzy, by umknąć uwagi Liatrisa.

Co się odwlecze, to... – pomyślał Oscar. Był pewien, że wszyscy inni też o nich wiedzą.

Trzy z konkurencyjnych zespołów już zmniejszyły swoje obsady, gdy stało się jasne, że Araminta opuściła Chobambę. Miała przecież teraz do dyspozycji całą Galaktykę planet, zatem było nadzwyczaj mało prawdopodobne, że kiedykolwiek tu powróci, w samo centrum terytorium okupowanego przez armię Żywego Snu. Oscar też tak sądził, ale to słabo rokujące czekanie wydawało się lepsze niż snucie domysłów, gdzie mogłaby się pojawić.

Trwało przedpołudnie. Oscar, w pełnym rynsztunku, już od pięciu godzin pełnił swoją wachtę, obserwując las, gdy zgłosiła się Paula.

– Dała jakiś znak?

Oscar miał ochotę wznieść oczy do nieba, ale się powstrzymał przed tym pustym gestem.

– Żadna z trzynastu drużyn skanujących rejon niczego nie zauważyła. Osiem kapsuł Ellezelinu cały czas patroluje teren z góry, też z negatywnym rezultatem. Przypuszczam, że nowy

zespół powitalny czatujący w lesie również nie ma wyników.

– Niepotrzebny sarkazm.

– Paula, przyjmij do wiadomości, że dotarliśmy do ściany. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, uwolniliśmy ją od Żywego Snu i tych innych, teraz wszystko zależy od niej.

– Wiem. Ale kilku agentów śledziło ją na ścieżkach silfenów na Chobambie, zanim się urwały.

– W takim razie nigdy ich już nie zobaczymy. Przynajmniej przez wiele wieków.

– Chciałabym mieć wieki do dyspozycji.

– Zostaniemy tu jeszcze przez dzień, dwa. Chyba że masz lepszy pomysł. Co ty na to? Masz kontakty wśród silfenów?

– W zasadzie nie.

– Ach, zaskakujesz mnie. Jeśli ktokolwiek...

– Ale właśnie rozmawiałam z RI.

Oscar nie mógł się powstrzymać: wybuchnął śmiechem. Beckia, siedząca po drugiej stronie salonu, spojrzała na niego zaskoczona.

– Cała Paula, cała ona – powiedział Oscar uradowany. – Jak się ma RI?

– Niezmieniona. Tak twierdzi. Zajęła się jednak jednym potencjalnie niebezpiecznym wariantem. W całej Wspólnocie Araminta nie ma się teraz do kogo zwrócić.

– Czyli, teoretycznie, ma się zwrócić o pomoc do floty.

– To teoria. Aktualnie mamy tylko jedną ewentualność.

– Miejmy nadzieję, że to zadziała.

– Tak. Jej jedynym godnym zaufania kontaktem w sferze oficjalnej jesteś ty.

– O, jasna cholera.

– I jeszcze coś.

Oscar się poddał i wzniósł oczy do nieba.

– Co takiego?

– Niejaki Troblum może się z tobą skontaktować. Wtedy chcę natychmiast o tym wiedzieć. I nie wolno ci go zgubić. Jeśli możliwe, natychmiast weź go pod kuratelę.

– Dobrze, ale kto to jest?

– Nieco dziwaczny fizyk, który może wiedzieć, jak przedostać się przez barierę solarną. Wysłałam ci info. Aha, Kotka go ściga, bądź więc ostrożny.

– Naprawdę? To mnie uszczęśliwia. Coś jeszcze?

– To wszystko. Dziękuję, Oscarze.

Oscar obserwował, jak plik ładuje się do jego spacji pamięci. Bezpieczne połączenie zamknęło się. Odetchnął głęboko i zaczął przeglądać dossier Trobluma. Beckia cały czas go rozpraszała. Jej umysł emitował do gajASFery małe impulsy niepokoju i złości. Obserwacja gajSFery była dodatkową, osobistą metodą Oscara na wytropienie Araminty. W Lesie Francola już rozlokowali trzydzieści tajnych sensorów, które miały ją namierzyć, gdyby wróciła. Ponadto Liatris założył podsłuchy na sensorach i łączach komunikacyjnych innych agentów i zespołu powitalnego. Oscar miał jednak nadzieję, że w jakiś sposób otrzyma wyprzedzające ostrzeżenie, gdy Araminta będzie nadchodziła ścieżką. Ale czy potrafi wyczuć obcy wormhol? Pewności nie miał. W gajASFerze pojawiło się jakieś nietypowe zakłócenie, wrażenie dalekich wieków i niezwyklej odległości. Bardzo słabe, ale im bardziej Oscar się na nim koncentrował, tym bardziej się stawało ulotne. Pozwalał, by omywało skraj jego percepcji, musiał więc nastawić swoje gajafesjy na pełną wrażliwość. Dlatego drobne wybuchy Beckii stawały się dość natrętne.

– Co takiego? – spytał wreszcie, gdy szczególnie silne impulsy oburzenia odciągnęły jego uwagę od zadziwiającej kolekcji Troblumowych pamiątek z wojny Gwiadzokrąży.

Odwrócił się i spojrział w odległy kąt salonu. Miał otwarty wizor, więc wściekłość zarówno widział, jak i wyczuwał w gajASFerze.

Beckia spojrzała na niego z przyganą. Skulona na długiej narożnej kanapie popijała gorącą czekoladę. Na podłodze położyła swój ryszTunek otwarty i gotowy.

– Nie śledziłeś wiadomości? – odparła.

Unióś dłoń w rękawicy i wskazał Las Francola.

– Nie! Przecież teraz mam wachtę. Muszę się na tym skupić.

– Nie bądź drażliwy. Sensory zdalne ostrzegą nas z

wyprzedzeniem. A poza tym chyba nie myślisz, że tu wróci?

– Musimy być gotowi na wypadek, gdyby wróciła. – Zabrzmiało to niepewnie. I miał do siebie o to pretensję.

– Czy wiesz coś, o czym my nie wiemy?

Znów się to pojawiło: uporczywa wątpliwość, jeśli chodzi o zaufanie; zawisła między nimi od czasu, gdy natknęli się na Kotkę.

– Podobno jacyś agenci dostali się na ścieżkę na Chobambie – powiedział. – Paula się obawia, że mogą za wcześnie wypłoszyć Aramintę. Osobiście uważam, że to bzdury, ale...

– Ścieżki nie są liniami prostymi, wiesz przecież.

– Tak. A co ciebie niepokoi?

– Wiadomości lokalne. Sytuacja jest coraz gorsza.

– Chciałbym uznać, że to niemożliwe.

– Spójrz. Ja przez chwilę podejmę zdalne obserwacje.

Wiedział, że nie powinien tego robić, ale kazał swojemu uadiunktowi przygotować briefing. Beckia miała rację. Nie było przyjemnie. Gdy uzyskano potwierdzenie, że Araminta jest na Chobambie, Phelim zaczął wycofywać oddziały paramilitarne z Viotii. Dobrze przygotowany odwrót zaczął się od miast położonych najdalej od Colwyn City. Ludor, stolica dalekiego kontynentu Suvorov, pierwsza była świadkiem odlotu wielkich, ciemnych kapsuł. Właśnie w Ludorze mieszkało najwięcej wyznawców Żywego Snu. Gdy paramilitarni przestali gwarantować im bezpieczeństwo, rodzima populacja Viotii wystąpiła przeciw nim. Lokalna policja nic nie robiła, a w kilku sytuacjach nawet się przyłączała do zamieszek. Do szpitali, już przepełnionych ofiarami rozruchów, przybywali nowi ranni.

Reagując na wydarzenia, Phelim ogłosił, że siły Ellezelinu pozostaną w Colwyn City, póki nie zapewni się bezpieczeństwa wyznawcom Żywego Snu. Nic nie mówił o innych rejonach planety i tam odwrót przebiegał w niezmiennym tempie. Kapsułami uciekły tysiące wiernych mających nadzieję przejścia przez wormhol. Ale Phelim otwierał pole siłowe Colwyn City wyłącznie dla kapsuł Ellezelinu. Roje oszalałych uciekinierów gromadziły się na niebie poza miastem. Dziesiątki tysięcy

wyznawców – szczęściarzy, którzy wcześniej zamieszkali w Colwyn City – wędrowały po wrogim mieście, rozpaczliwie próbując dotrzeć do doków. Stamtąd wormhol miałyby ich zabrać z powrotem na Ellezelin. Dostanie się tam było dla nich prawie niemożliwe. Na ulicach kotłowali się rodowici mieszkańcy miasta, tropiąc wiernych. Kapsuły Ellezelinu wewnątrz pola siłowego zajmowały się tylko masowym transportem ewakuacyjnym. Phelim zapowiedział, że jeśli nie skończy się przemoc przeciw wyznawcom Żywego Snu, zarządzi całodobową godzinę policyjną. To nie pomogło. Straż obywatelska czatowała na ulicach na wyznawców usiłujących się skryć w bezpieczne miejsce, ale również włamywała się do domów, gdzie wymierzano sprawiedliwość. Dzielni reporterzy przesyłali obrazy zmasakrowanych ciał; w wir zamieszek dostało się wiele dzieci. Oczywiście najbardziej oddani wyznawcy Żywego Snu nie mieli komórek pamięci, ponieważ Edeard ich nie miał. Kierując się snami Iniga, zamierzali iść do Pustki, gdzie takie wynalazki nie miały sensu.

– Cholera – mruknął Oscar. Wiedział, że minie całe pokolenie, nim Viotia dojdzie do siebie. Jeśli w ogóle to się uda. Jeśli Viotia przetrwa tak długo.

– Nie powinniśmy się rozpraszać – powiedziała cicho Beckia. – Ale czasem to niełatwe. Wtedy twoja siła jest poddana prawdziwemu testowi.

– Gorsze rzeczy przeżywałem. – Oscar bezskutecznie próbował udawać twardziela.

Na litość boską, zabite dzieci. We Wspólnocie, gdzie każdy powinien być bezpieczny i szczęśliwy.

– Oby to się nigdy nie powtórzyło.

– Właśnie. O to chodzi – odparł, przesuwając wiadomości w tryb peryferyjny.

Ponieważ oderwał się na chwilę i nie poświęcał pełnej uwagi temu dziwnemu, starodawnemu pasowi neutralnej myśli w Lesie Francola, natychmiast dotarło do niego, że to się zaczyna zmieniać. Poruszać. Odświeżać: to wydało mu się najbardziej adekwatnym określeniem.

- Aha, aha - powiedział cicho, ale gdy próbował skonkretyzować to wrażenie, ta przeklęta rzecz wyślizgnęła się, umykając percepcji.

- Co teraz? - Beckia wstawała z kanapy.

- Włóż skafander.

U-adiunkt Oscara przekazywał obrazy z zamaskowanych sensorów. Wydawało się, że nie on jeden był dostrojony do ścieżki. Kilku członków zespołu powitalnego wyłoniło się spośród pierzastych paproci biczowych i przemknęło wśród dapolowych pni. Przez okno Oscar widział stado caylarów wzbijających się do lotu; machały energicznie ultramarynowymi skrzydłami. Nie może być aż tak głupia, pomyślał. Dziewczyna, którą widział w Parku Bodant, była przerażona, to prawda, ale to, czego dokonała, świadczyło o bystrym umyśle.

Otworzył bezpieczny kanał do Tomansia, który w skradzionej kapsule latał tu i tam nad miastem.

- Przyjdź tu, chyba będziemy cię potrzebować.

- Przybywa?

- Nie wiem, ale coś się dzieje.

- Ruszam. Będę za dwie minuty.

Sensory pokazały, jak z apartamentów wychodzą członkowie kilku drużyn w pełnych zbrojach. Ruszyli sprintem przez ogrody schodzące w stronę Lasu Francola.

Beckia podeszła do Oscara, zamykając szczelnie hełm. Wizor się zamknął, gdy włączyło się wbudowane pole siłowe Oscara. Zrobił przegląd swojej broni ciężkiego kalibru. Akceleranty zalały mu krwiobiegi, biononika wzmacniała mięśnie.

- I znowu to samo! - powiedział przerażony.

Impuls disruptora niskiej mocy rozbił wielkie okno salonu. Wybiegli na trawnik.

„Odkupienie Mellanie” przebywało w transwymiarowej stazie zawieszenia sto tysięcy kilometrów nad Viotią. Sensory pasywne przechwytywały wszelkie możliwe informacje, ujawniając, że w przestrzeni wokół planety nic nie ma, z wyjątkiem jednego statku

linii Dunbavend na orbicie tysiąca kilometrów. Jak na statek pasażerski miał strasznie dużo systemów broni, a kilka z nich aktywnych.

Bezpieczny link transwymiarowy podłączył u-adiunkta Trobluma do planetarnej cybersfery, umożliwiając mu monitorowanie wydarzeń. U-adiunkt miał również oko na RI. Na razie nie przechwyciła połączenia, ale Troblum był pewien, że będzie obserwowawała przepływ danych przez link.

– Dlaczego tu jesteśmy? – spytała Catriona Saleeb.

Siedziała w kabinie na prostym stołku przy ścianie, z której wysunął się mały drewniany bar. Stosownie ubrana, jak do wieczornego wyjścia: obcisła suknia z wężowej skóry, w opadających wymyślnymi splotami włosach pobłyskiwały małe czerwone klejnociki.

– Wyznaczyłem ten kurs, zanim uaktywnił się Rój – odparł Troblum szorstko. – I musimy przetestować hipernapęd.

Catriona spojrzała na wielki obraz Viotii rzutowany pośrodku kabiny.

– Zamierzasz go wywołać?

– Kogo?

– Oscara Monroe.

– Nie. – Ściągnął sobie do egzowizji niektóre tablice wydajności i studiował je, sprawdzając funkcje hipernapędu. Displeje peryferyczne pokazywały akty agresji na planecie, gdy mieszkańcy brali odwet na wyznawcach Żywego Snu.

– Jeśli im pomożesz, oni zajmą się Kotką – powiedziała.

Jego u-adiunkt przesunął tablice wydajności na jedną stronę. Troblum spojrział na dziewczynę ze złością.

– I tak to zrobią. Paula wie, że Kotka została wyjęta ze stazy, i nie spocznie, póki Kotka nie znajdzie się tam, gdzie jej miejsce. To koniec. Nie rozumiesz? Teraz zrobię przegląd hipernapędu. Jak się przekonam, że pracuje prawidłowo, odlatujemy.

– Chcę tylko, żebyś był bezpieczny, wiesz o tym. – Catriona podniosła kieliszek koktajlowy na wysokiej nóżce i wypiła lepki płyn. Zakręciła kostkami lodu na dnie. – A ja wiem, że potrzebujesz definitywnego rozstrzygnięcia sprawy z Kotką. Jeśli

teraz uciekniesz, nigdy nie będziesz wiedział, co się stało. Nie będziesz mógł z tym żyć. Przez resztę życia będziesz ją wszędzie widział, będziesz panikował na najłżejszy podmuch wiatru.

- Nie jestem aż tak słaby.
- Jeśli się nie boisz, zadzwoń do Oscara.
- To logika maszynowa.

Wydeła usta. Wargi pociemniały, stały się purpurowe.

- Jak na osobę, której wszyscy są obojętni, potrafisz być czasami prawdziwym draniem.

- Zamknij pieprzoną gębę. Mówię poważnie.

Podkręcił ostrość w egzowizji. Na ulicy Colwyn City tłum uzbrojony w narzędzia z napędem i grube pałki gonił rodzinę wyznawców Żywego Snu. Zdradzał ją ubiór – prosty materiał i fason w starym stylu. Dwoje dorosłych ciągnęło trójkę przerażonych, zapłakanych dzieci. Najstarsze z nich mogło mieć najwyżej jedenaście lat. Działo się to w ciasno zabudowanej dzielnicy mieszkaniowej. Ojciec rzucił się do frontowych drzwi domu, który najwyraźniej znał. Walił pięściami i rozpaczliwie krzyczał. Milcząca grupa powoli otaczała ich niesamowicie skutecznym manewrem, jej zachowaniem sterowała jakaś pierwotna myśliwska wiedza. Zbliżali się. Ojciec walił pięścią w drzwi, a zapłakana matka prosiła, by wpuszczono jej dzieci. Jakby wiedząc, że robi to na próżno, otoczyła dzieci ramionami, przygarnęła je do siebie i krzyczała. Reporter programu informacyjnego profesjonalnie skierował obraz na prowizoryczne pałki uniesione w górę.

Troblum odwrócił głowę; u-adiunkt skasował program: był zbyt naturalistyczny.

- Czy chcesz być człowiekiem? – spytał Troblum. – Myślałaś, że wyhoduję ci ciało klonalne i przetransferuję do niego twoją osobowość?

- Słucham?

- Miałaś taką nadzieję?

- Nie. – Catriona zaprzeczyła, jakby była rzeczywiście zszokowana.

- Nie zrobię tego. Nigdy. Wszechświat nie potrzebuje więcej

ludzi. Nie mamy mu nic do zaoferowania. Musimy porzucić swoją oryginalną formę. To przez nią tylko są nieszczęścia i cierpienia. Światy Zewnętrzne są pełne zwierząt. Nie można ich zaklasyfikować jako prawdziwych ludzi: nie myślą, tylko działają. Zwierzęta, są tylko tym: zwierzętami.

– Jak więc definiujesz prawdziwego człowieka? Ludzi jak ty?

– Prawdziwa osoba pragnęłaby niezależności. Gdybyś była prawdziwa, chciałabyś mieć ciało. Czy rozmawiałaś o tym z Trishą, Isabellą i Howardem?

– Troblum! – W jej głosie brzmiało zakłopotanie. – Daj spokój.

– Czy Howard też był w zмовie z wami? Zamierzaliście wyrzucić na mnie nacisk, żeby do tego doprowadzić.

– Nie.

– Czy powiedziałaś Kotce o mnie?! – wrzasnęła.

– Przestań!

– Nie potrzebuję cię.

– Ale ja cię potrzebuję. Kocham cię.

– Nie bądź głupia.

– Istnieję tylko z twojego powodu. – Zeszła ze stołka i uklękła u stóp Trobluma. – Jakże miałabym cię za to nie kochać? Nigdy bym cię nie zdradziła. Nie mogłabym. Wiesz o tym.

Troblum wzdrygnął się. Uniósł ramię nad jej gęstymi, ciasno splecionymi włosami.

– Proszę. – Spojrzała na niego. W oczach miała łzy. – Troblum, proszę. Nie rób sobie tego.

Westchnął, położył rękę na jej głowie. Czuł sprężyste pasma włosów. Otoczyła jego dłoń swoją dłonią, żeby poczuł jej ciepło, jej lekki dotyk. Całowała mu palce po kolei. Jęknął ni to ze wstydu, ni z zadowolenia. Ona nie jest realna. Jest l-rozumna. Czy dlatego jest idealnym dla mnie człowiekiem? W głowie miał chaos.

– Zmieniłabyś się – szepnął. – Gdybym ci dał fizyczne ciało, zmieniłabyś się. Twoje procedury przebiegałyby drogami neuronalnymi, które nigdy nie są ustalone. Nie chcę, żebyś się zmieniła.

– Nie chcę ciała fizycznego. Chcę tylko ciebie. Zawsze. A żeby to

się stało, musisz być bezpieczny i szczęśliwy. Rozumiesz to?

– Tak. Rozumiem.

Czujniki statku raportowały wyładowania energetyczne nad Colwyn City.

– Co to takiego? – Zmarszczył czoło.

U-adiunkt zaczął poprawiać jakość skanowania.

Araminta dość dawno temu używała programu mieszającego. Sam program był w porządku, ale skojarzenie z Likaniem wywoływało obrzydzenie, niezręczność. To niemądre. W żadnym wypadku nie mogła sobie teraz pozwolić na taką słabość.

Idąc brzegiem potoku, wysłała przed siebie strumyk percepcji, czuła, jak rozlewa się po ścieżce. W oddali czuła Ostrów Matki silfenów, życzliwy i okazały. Gajaszfera ludzi bulgotała wzburzeniem i ekscytacją. Tuż po drugiej stronie umysłu Araminty był Władca Niebios – odruchowo się przed tym cofnęła. Stopy same ją niosły. Drzewa pięły się teraz wyżej, drzewa z bieżącego świata mieszały się z drzewami z Lasu Francola. Teraz wiedziała, dokąd wyprowadzi ją ścieżka, gdyż czuła zapach paproci biczowych. Umysłem odnalazła zastępy ludzi czyhających w poszyciu, sprytnie zamaskowanych swymi gadżetami; ich zdeterminowane myśli wypełniała nadzieja. Czekali na nią.

Dukt zmierzał do końca, ale Araminta wiedziała, że jest płynny, został tylko zakotwiczony w tym miejscu przez minione życzenia, kierunki śpiewane mu przez silfenów tysiąclecia temu. Araminta próbowała mu przekazać swoje własne życzenia. Z jakiegoś powodu były nie dość jasne, brakowało im precyzji. Ścieżka uparcie tkwiła w miejscu. Araminta wezwała więc program mieszający i poczuła spokój wsiąkający w jej ciało, który ją scalał, pozwalał się skoncentrować na wszystkich doznaniach, jakie otrzymywała.

Melodie wbudowane w strukturę ścieżki było teraz łatwiej śledzić i zrozumieć. Z tą wiedzą zaczęła tworzyć nowe melodie podpowiadane przez jej umysł. Życzenia wzmocnione czułą

nostalgia i niezwykle kruchymi nadziejami.

Nogi niosły ją naprzód, stopami deptała wilgotną trawę. Melodie przenikały całe jej jestestwo. Zataczała się w czasie w rytm łagodnego falowania, które sama uwolniła, szczęśliwa, że w końcu ścieżka rusza się wraz z nią, niesie ją do miejsca, którego tak bardzo pragnęła. I wtem zaczęły promieniować ku niej myśli, które tak dobrze znała. Prosto z jego domu.

Otworzyła oczy: stała na skraju trawnika i patrzyła na duży, stary budynek. Uśmiech zamarł jej na twarzy. Dom nosił ślady pożaru. Długie czarne smugi sadzy brudziły białe ściany nad trzema wielkimi łukami na parterze. Dwa balkony były roztrzaskane, w dachu widniała dziura o stopionych brzegach.

– O, wielki Ozzie! – zawołała. Trwogę utrzymywał pod kontrolą program mieszający, zajmujący pojedynczy strumień w jej umyśle; taka emocja ani nie zabarwiała, ani nie determinowała jej zachowania. – Bovey! – Araminta biegła do domu. – Bovey!

Dwóch było przy basenie. Odwrócili się na dźwięk jej głosu. W gajaserze wybuchły impulsy jego zaskoczenia.

– Nic ci nie jest. – Dysząc, zatrzymała się parę metrów przed nimi.

Jeden to Bovey, z którym była na pierwszej randce – to ciało identyfikowała jako „on”. Drugi to wysoki blondyn. U ich stóp leżało inne ciało, nieruchome, przykryte ręcznikiem kąpielowym.

– O, nie – powiedziała. – Tylko nie jeden z was!

– Hej! – Starszy z nich objął ją ramionami. – Wszystko jest dobrze.

Do pewnego stopnia dziwiła się swemu spokojowi. Odpychała wszystkie emocje, by zachować doskonałą racjonalność i kontrolę. Wiedziała, co powinna powiedzieć, choć głosowi brakowało właściwej intensywności.

– Tak mi przykro. To wszystko moja wina.

– Nie, nie – pocieszał ją.

– Powinam ci powiedzieć. Ostrzec. Opuściłam cię, bo nie chciałam cię w to wikłać, nie chciałam, żebyś został zraniony.

Nie mogli oderwać wzroku od leżącego ciała.

– Już dobrze. Wróciłaś, to najważniejsze.

– Wcale nie jest dobrze. Zabili jednego z was. – Nagle zaalarmował ją impuls żalu i poczucia winy wysłany z jego umysłu. – Nie tylko jeden? Ilu?

Cofnął się nieco, ale ręce nadal trzymał na jej ramionach.

– Powiedz mi – prosiła.

– Pięciu – odparł jakby zawstydzony.

– Dranie!

– To bez znaczenia. – Uśmiechnął się smętnie. – Na tym polega multi-ja. Ciałostrata jest nieistotna. Niektórzy ze mnie są rozproszeni po całym mieście i nikt nie wie, ilu ich jest, choć na pewno wśród nich nie ma tych bandziorów. Jestem bezpieczny. Bardziej niż ty.

– To moja wina. Nie powinnam tu być. Nie powinnam do ciebie przychodzić, póki się wszystko nie skończy.

– Cieszę się, że przyszedłaś – odparł z powagą. – Naprawdę. Widzę cię i wiem, że nic ci się nie stało. To mi wszystko wynagradza. – Obaj-onowie spojrzeli przez pusty ogród w stronę Cairns, która toczyła mętne wody za skarpą u podnóża ogrodu. – Jak się tu dostałaś? Wszyscy myślą, że jesteś na Chobambie.

– Długa historia.

Przez dom przetoczył się odgłos podobny do grzmotu. Araminta odwróciła się w stronę źródła dźwięku i tuż pod kopułą pola siłowego zobaczyła rozbłysk broni energetycznej. Nie potrzebowała żadnego programu, by wiedzieć, że celują w dystrykt Francola.

– I znowu! – jęknął Bovey. – Dostyc tego!

– To przeze mnie – rzekła obojętnie. – Walczą, bo myślą, że tu jestem.

– Araminto! – zawołali unisono zrozpaczonym głosem.

– Nie mogę tu zostać. W końcu mnie znajdą.

– W takim razie uciekaj. Idę z tobą. Będziemy uciekać cały czas. Prawdopodobnie flota zdoła ci udzielić pomocy.

– Nie. Nie mogę uciekać. ZAN przestał istnieć. Nikt nam nie pomoże, nikt nie powstrzyma Żywego Snu ani Progrewystów. Teraz wszystko zależy ode mnie.

– Od ciebie?

– Nie ucieknę. Nie będę się ukrywać. Już nie. Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, ponieważ wcześniej nie miałam odwagi powiedzieć ci prawdy o sobie.

– Rozumiem.

– Jesteś miły, bardzo miły. Gdy to się skończy, chcę, żebyśmy byli razem. Naprawdę. Dlatego tu jestem, żebyś o tym wiedział.

Mocno ją objął.

– Tak będzie – szepnął. – Na pewno.

– Muszę zrobić pewne rzeczy – powiedziała. – Nie chcę, ale nie widzę innego wyjścia. Mam pewien pomysł, ale żeby go zrealizować, potrzebna mi twoja pomoc.

Dwudziesty szósty sen Iniga

Przez lata życia w Makkathranie Edeard nigdy nie zatroszczył się o wykreślenie należytego planu głębokich tuneli. Wiedział, że istniało pięć wielkich koncentrycznych kół, tworzących główne trasy, a między nimi łukowate połączenia. Znał także instynktownie ich pozycję w odniesieniu do ulic i dzielnic na górze. Za kręgiem najbardziej zewnętrznym znajdowały się dłuższe odgałęzienia, prowadzące za miasto pod równinę Iguru – na pierwszy rzut oka przypadkowe. Pewnego dnia poleci tymi jaskrawo oświetlonymi białymi rurami, by zobaczyć dokładnie, gdzie się wynurzają. Pewnego dnia, kiedy znajdzie na to czas.

Na razie po prostu się cieszył, że najbardziej zewnętrzny, kolisty tunel zaniósł go w pobliże ulicy Grinal w dzielnicy Bellis, gdzie Marcol miał trudności z poskromieniem wyjątkowo silnego mentalisty. Edeard nie wykorzystywał głębokiego tunelu przez co najmniej miesiąc. Takie wycieczki stawały się rzadkimi wydarzeniami. Przez kilka lat nie miał powodów, by śpieszyć się dokądkolwiek, zwłaszcza w sprawach dla konstabli. Ale teraz, gdy pędził gdzieś głęboko pod parkiem Lisieux, ogarnięty euforią żałował, że korzystał z tuneli tak rzadko. Gwałtowny wiatr niemal zdierał mu z ramion pelerynę. Wyciągnął dłonie w przód, jak do nurkowania. Potem zrobił przewrót. Zabawnie przyjemne uczucie powodujące, że krew dziko pulsowała w żyłach. Zakrzyknął z czystej radości, że żyje. I znowu fikał koźły. Mignął mu tunel boczny, potem następny. Prawie dotarł do swego celu w Bellis. Kusiło go, by po prostu zrobić ponowne okrążenie.

Z pewnością Marcol ze swym oddziałem poradzą sobie z tym.

Nagle zobaczył coś wynurzającego się zza łagodnej krzywizny tunelu. Edeard nigdy nie trudził się używaniem swego dalwzroku w intensywnym białym świetle rur, więc został kompletnie zaskoczony. Ledwo miał czas utwardzić swe trzecie ramię w

osłonę ciała, kiedy tamci przemknęli obok. Dwoje szepionych razem nastolatków. Bez ubrań, wściekle spółkowali w grzmocącym wietrze, wydając szalone okrzyki. Szybkie spojrzenie ich zaskoczonych, ekstatycznych twarzy i już ich nie było, ich radosne wołania zagubione w kotłującym cieniu aerodynamicznym. Edeard rzucił za nimi dalwzrok, ale tunel oddzielił go od nich zbyt szybko. Już zostali za nim, za zakrętem.

Zdołał uspokoić zszokowane myśli i poprosił miasto, by poniosło go w drugą stronę. Chciał ścigać i dogonić intruzów. Jak zwykle zwolnił i zatrzymał się z poślizgiem na podłodze tunelu. Potem niosąca go siła odwróciła się i zaczął lecieć z powrotem w kierunku, z którego dopiero co przybył.

Tym razem wysłał dalwzrok jak najdalej naprzód. Postrzeżenie przez ściany tuneli było trudne, nawet dla niego. Mógł czuć miasto paręset metrów nad nim, ale to głównie dzięki układowi kanałów rzutującemu na jego percepcję. Rzeczywiste czucie czegokolwiek w tunelach było ekstremalnie trudne.

Przez chwilę myślał, że złapał ślad nastolatków kilkaset metrów przed sobą, ale potem znowu ich zgubił. Kiedy dotarł tam na miejsce, było to odgałęzienie do bocznego tunelu i nie wiedział, dokąd się udać. Zatrzymał się z poślizgiem i potknięciem przed rozwidleniem. Stał na jasno świecącej podłodze, patrzył najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jakby łowiąc trop. Następnie spróbował wnikać w strukturę ścian tunelu i odczytać jej pamięć. Miasto zawsze wspominało dziesięciolecia umiejscowionych wydarzeń.

To było kolejne zaskoczenie tego dnia. Nie istniało żadne wspomnienie tej pary. Czuł wspomnienie tunelu o sobie samym śmigającym tu zaledwie przed minutą, ale o nich nie było tam nic.

- Na miłość Pani, jak oni...?

Jego głos odbijał się echem wzdłuż tunelu, kiedy nachmurzony patrzył na lśniące rozgałęzienie. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy śmiech szeleszczący w głównym tunelu. Ale już wiedział, że łapie fantomy.

- Honious - warknęła i poprosił miasto o zabranie go z powrotem do Bellis.

Ulica Grinal, dość miły bulwar, wiła się po południowej stronie Bellis od Kanału Szmaragdowego do początku Kanału Dębowego. Stały przy niej budynki o bardzo zróżnicowanej architekturze. Rezydencje z oknami szczytowymi ozdobionymi tympanonem; pawilony jak rozdęte półkule z wąskimi łukowymi wejściami, doskonale nadające się na butik; rzędy domów ze ścianami w kształcie potrójnych walców i przewieszonymi dachami – wyglądały jak guzowate kamienne grzyby. Sierżant Marcol zajmował się incydentem na Placu Pięciu Fontann, niedaleko Kanału Dębowego. Plac otaczała zamknięta galeria z wklęsłą fasadą i wewnętrzną strukturą w kształcie plastra miodu z pokojkami-komórkami połączonymi krótkimi rurami. W konfiguracji tej nie rozpoznawało się żadnej logiki, tak jakby cała konstrukcja została dawno temu wydrążona przez jakiegoś ogromnego owada. Podobieństwo do ula sprawiało, że miejsce to nadawało się idealnie dla kupców i handlarzy oferujących małe, lecz cenne obiekty. Wewnątrz mało kto mieszkał, ale wielu tam się krzątało i świetnie prosperowało.

Edeard podszedł do przysadzistego łukowego przejścia w rogu placu. Wchodząc, odruchowo pochylił głowę. Z ponurego wnętrza promieniowało mnóstwo wrogości i złego humoru. Kiedy przekroczył próg, natychmiast zdał sobie sprawę, że bada go silny dalwzrok. Jego dociekliwy obserwator, gdzieś w Zeldzie, wycofał dalwzrok, gdy tylko Edeard spróbował wysledzić jego pochodzenie.

Przystanął, zacisnąwszy wargi, zaczął się zastanawiać. To również nie wydarzało się od wielu lat. Ten, kto się nim wcześniej tak interesował, od powrotu Władców Niebios go ignorował. Dziś powtórne pojawienie nie mogło być zbiegiem okoliczności.

Marcol czekał na niego w emporium zielarskim, pokoju na drugim piętrze, osiągalnym przez spiralną rurę i kilka połączonych pokoi-komórek. Ściany całkowicie pokrywały dywany utkane w zawiłe wzory geometryczne. Na długich

mosiężnych łańcuchach zwisały latarnie. Spalany w nich olej jamolarowy dawał przyćmione żółte światło. W powietrzu prócz oleju czuć było inne gęste zapachy, mieszaninę przypraw i alkoholi, wonie tak intensywne, że Edeard mógł się spodziewać, że postrzeże je jako opary. W pokój-komórkę wpasowano rzędy półeczek z fajkami do kestrica różnych rozmiarów i długości. Kilka z nich, połamanych, leżało na podłodze. Setki długich, zwężających się ku dołowi liści narkotycznej rośliny zwisały z wieszaków, schnąc w gorącym powietrzu. Były tu również wiązki łodyg, strąków i liści, których Edeard nie rozpoznawał. I znowu, wiele z nich zerwano i stratowano nogami.

Gdy odchylił koralikowe zasłony, zobaczył, kim są bohaterowie sprzeczki: dwóch mężczyzn po przeciwległych stronach pokoju nadal patrzyło na siebie z gniewem, ich umysły cuchnęły wrogością. Jeden z nich, stary i dość postawny, miał na sobie kosztowną marynarkę z wyhaftowanymi ptaszkami i dobrane do niej spodnie. Takie same ptaszki przedstawiono na naściennych dywanach. Edeard natychmiast oznaczył go jako właściciela emporium.

Drugi mężczyzna był znacznie młodszy, pod trzydziestkę, i Edeard znał ten typ aż za dobrze. Kolejny syn z Wielkich Rodzin, daleko w dole listy przywilejów, równie arogancki, jak przystojny i – dzięki przedłużanemu kredytowi u kupców – wydający o wiele więcej, niż pozwalało na to jego kieszonkowe. Edeard natychmiast zaczął podejrzewać, że właściciel był jednym z takich kredytodawców. Dwaj konstable pod dowództwem Marcola skuli młodego człowieka, podnosząc i marszcząc rękawy jego ciemnoczerwonej aksamitnej marynarki. Edeard się rozejrzał, ale niezupełnie rozumiał, dlaczego się tutaj znalazł. A potem przyjrzał się bliżej twarzy młodszego mężczyzny: wysokie kości policzkowe, ciemne, opadające włosy, niezłomne wyzwanie w jasnopiwnych oczach.

Widziałem go wcześniej. Ale gdzie? Był młodszy. Niech Honious weźmie mą pamięć.

– Z czym problem? – spytał lekko.

– Colfal nas wezwał – wyjaśnił Marcol, wskazując właściciela. – Rzekomy atak mentalny. Kiedy przyjechaliśmy, Tathal opierał się aresztowaniu. – Wycelował palcem w młodego arystokratę, który zareagował lekceważącym uśmiechem. – To on robi trudności.

– Ależ nic podobnego – oświadczył Tathal.

Mówił grzecznym tonem, ale akcent nie wskazywał na śmietankę towarzyską Makkathranu. Edeard pomyślał, że może pochodzić z południowych prowincji.

Edeard uciszył Tathala wzniesionym palcem i zwrócił się do Colfala.

– Dlaczego Tathal cię zaatakował?

Gniew Colfala w końcu ustąpił, zostało tylko gburowate spojrzenie spode łba. Kupiec zaczerpnął głęboko powietrza.

– Przepraszam za zmarnowanie twego czasu, Stąpający po Wodzie. To było nieporozumienie.

– He? – Szczęka Marcola opadła ze zdumienia. – Ale pan nas wezwał.

Wzrok Edearda ślizgał się po zniszczonych towarach na podłodzie, a dalwzrok studiował kilka myśli Marcola, które wymknęły się spod jego tarczy.

– Uhm. A pan, panie Tathal? Co ma pan do powiedzenia?

– Również chciałem najmocniej przeprosić. Jak mogą zaświadczyć pańscy konstable, mam mocną trzecią rękę. W chwilach rozgorączkowania moje opanowanie pozostawia wiele do życzenia.

– Nie chce pan wnieść oskarżenia? – spytał Edeard Colfala.

– Nie.

Stary zielarz kręcił głową niezdolny spojrzeć Edeardowi w oczy,

– Bardzo dobrze. – Edeard kazał konstablom rozkuć Tathala. – A pan niech się nauczy trzymać swą siłę na wodzy.

– Oczywiście, Stąpający po Wodzie.

– Gdzie pan mieszka?

– W Abadzie, Stąpający po Wodzie, mam rezydencję w alei Boldar.

– Naprawdę? Gdzieś blisko Morelowej Willi?

Tathal uśmiechnął się i skwapliwie potwierdził.

– Rzeczywiście mam ten przywilej, że jestem członkiem.

To by wyjaśniało stylowe ubranie i prowincjonalny akcent, ale Edeard nadal nie mógł zidentyfikować twarzy.

– W porządku, może pan odejść. Niech pan potraktuje to jako ostatnie ostrzeżenie i od dziś unika kłopotów.

– Postaram się, Stąpający po Wodzie.

Edeard był przekonany, że ten komunał jest naładowany kpina, ale spod mentalnej zapory Tathala nie dało się niczego odczytać. Rzeczywiście, Edeard nigdy wcześniej nie spotkał umysłu chronionego tak doskonale.

– Marnowanie czasu konstabla jest również wykroczeniem – oznajmił Colfalowi, kiedy Tathal odszedł przez ruchliwą zastawę z paciorków. – Zwłaszcza mojego.

– Przepraszam pana – rzekł cicho zaczerwieniony Colfal.

– Do Honiousa, co to było? – zapytał Edeard Marcola, kiedy znaleźli się znowu na Placu Pięciu Fontann.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Edeardzie. Tak szybko wszystko wyszło spod kontroli. Pani, ale był silny. Sam nie mogłem go opanować. Nawet z pomocą kolegów z oddziału ledwo go trzymaliśmy. Zawołałem cię chyba instynktownie.

– Hmm... – Edeard obrzucił labiryntową galerię podejrzliwym spojrzeniem. – Naprawdę był tak silny?

– Tak.

– O co im poszło? Jeśli Tathal jest członkiem Morelowej Willi, raczej nie chodziło o płatności.

– Nie jestem pewien. Kiedy przybyliśmy, Colfal wysuwał mnóstwo zarzutów. Wymuszanie. Naruszenie dóbr cielesnych. Groźby karalne. Atak mentalny. Co tylko można sobie wyobrazić.

– Interesujące. – Edeard wysłał swoje postrzeżenie w ściany zielarskiego emporium, starając się wydostać pamięć o konfrontacji. Ale pokryte dywanami ściany uniemożliwiały substancji miasta widzenie i słyszenie tego, co się dzieje w środku.

– Nie wierzę, że Colfal się wycofał – mówił dalej Marcol. – Był wściekły jak zraniony drakken.

– Dominacja – powiedział Edeard. – Rozpoznałem niektóre wzorce w jego myślach. Stają się widoczne, po tym, jak zmuszono je do zmiany... – Przerwał. Teraz wspomniał Tathala. – Och, Pani, mogłem to odgadnąć.

Główny Konstabl Makkathranu miał wielki gabinet na tyłach Pałacu Sadowego, okrągły pokój z wysokim stożkowym sufitem skręconym u szczytu, jakby kształt pokoju odlewano z jakiejś zastygającej substancji. Na posadzce z wypolerowanej ochry widniały ciemnoczerwone linie tworzące pięciokąt. Ściany miały kolor nieco jaśniejszego brązu i również błyszcząły. Edeard nie chciał wielu mebli – mimo wszystko to było miejsce pracy. Miał tylko biurko z murdębu – dar od Kanseen otrzymany tuż po elekcji – i stół konferencyjny do narad z różnymi kapitanami i prawnikami.

Zanim Edeard wrócił do gabinetu po spotkaniu z Tathalem i Colfałem, Felax wezwał Golbona i Jaralee, ostatnich aktywnych członków komitetu Wielkiej Rady do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Nawet po tylu latach Edeard nie zdołał całkiem go zlikwidować.

– Nowa sprawa – ogłosił, krocząc do biurka.

Golbon i Jaralee wymienili zaskoczone spojrzenia. Ostatnie siedem lat nic nie robili, jedynie spokojnie zamykali sprawy i przekazywali dokumenty do archiwów.

Edeard usiadł za biurkiem. Za nim regularny rząd wysokich okien szczelinowych wychodził na Ogród Raha i Kanał Środkowego Kręgu. Edeard zawsze siadał tyłem do tego widoku.

– Bractwo Morelowej Willi.

Golbon jęknął.

– Znowu! Tylko nie to! Prześwietlaliśmy ich przed paru laty. To po prostu grupa młodych kupców, chcących utworzyć własne stowarzyszenie i nadać mu jakieś wpływy polityczne. Od czasu do czasu stosują taktykę silnej ręki, ale nie bardziej niż

zasiedziały firmy. Nie prowadzą działalności przestępczej.

– Dobrze, wobec tego szybko zakończycie tę sprawę – odparł Edeard. – Chcę nazwisk członków bractwa i owszem, łącznie z moim zięciem. Sporządźcie podsumowanie rodzaju działalności ich firm. Co do nich należy: nieruchomości, ziemie, statki i tym podobne. Chcę również mieć kompletne podsumowanie finansowe zieleniarza o nazwisku Colfal. Sprawdźcie, czy ma jakieś powiązania z członkami bractwa.

– Skąd to nagłe zainteresowanie? – spytała Jaralee.

– Chyba postrzegłem, jak jeden z nich o nazwisku Tathal wykorzystuje dominację nad kimś, z kim załatwiał interesy. Akurat to był Colfal.

– Ach, niemożliwa sprawa sądowa – powiedziała Jaralee.

Swoją pierwszą staż uczniowski odbywała w Gildii Prawników, zanim przeniesiono ją do urzędników. W związku z tym okazała się bezcenna w śledztwach Edearda. Jej zdolność do zestawiania solidnych dowodów ze strzępów informacji w różnych sprawach stała się legendą, a staż prawniczy pozwalał jej dostrzec potencjalne zarzuty w danej sprawie.

– Istniały sprawy, w których dominację dowiedziono – zauważył Golbon.

– Gdy członkowie Wielkich Rodzin zeznawali przeciwko zwykłym obywatelom – odparła Jaralee. – To sprawy głównie oparte na pogłoskach. Sąd zgodził się rozpatrywać je w tamtych kilku przypadkach ze względu na zainteresowane osoby. Ale z prawnego punktu widzenia nie ma uznanego ogólnie dowodu na manipulowanie myślami innych.

– Wiem, że nie ma podstaw prawnych – odparł Edeard. – Ale jeśli przydarzyło się to Colfalowi, jest to część większej działalności przestępczej. Jeśli ustalimy dominację, poszukamy innych faktów, które przestępcy zostawili po sobie.

– W porządku – zgodziła się Jaralee. – Pod warunkiem, że rozumiesz, że żaden sąd nikogo nie skaże pod tym jedynie zarzutem.

– Rozumiem – odpowiedział Edeard, próbując nie myśleć o Salranie. – Jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć. Tathal ma

bardzo silne zdolności mentalne. Nawet Marcol przeciwstawił się mu z wyraźną trudnością. Prawdopodobnie to wspiera w jego zdolności dominacji.

– Pani – powiedział cicho Golbon. – Myślisz, że nas zaatakuje?

– Wątpię – odparł Edeard. – Ale bądźcie ostrożni. Tathal nie jest jedynym mentalistą-przestępcą w mieście.

Opowiedział im o okazjonalnym omiataniu dalwzrokiem, które prześladowało go przez lata. Choć bezgranicznie im ufał, nie wspomniał o tunelach. Te młodziaki mogły się tam dostać jedynie przy współdziałaniu samego Makkathranu. Nie wiedział, czy miasto po prostu reaguje na dowolnego silnego mentalistę, czy też aktywnie wybiera takich, a nie innych. Z jakiegoś powodu wątpił w tę ostatnią możliwość – świadomie komunikował się z miastem jedynie raz, w dniu, gdy się dowiedział o prawdziwych zdolnościach Pustki.

– Czy te sprawy są połączone? – spytała Jaralee.

– Nie wiem, ale chcę, byście sprawdzili również wszystkie związki finansowe między Ranalee i towarzystwem Morelowej Willi.

– Rozumiem – odpowiedziała neutralnym tonem.

Edeard usiłował powstrzymać uśmiech. Przez lata komitet Wielkiej Rady do spraw przestępczości zorganizowanej poświęcił mnóstwo czasu i wysiłków, badając sprawy Ranalee, ale bezskutecznie. Jaralee i inni doszli do wniosku, że właścicielka Domu Błękitnych Płatków jest osobistą obsesją Edearda. Często podejrzewał, że z tego powodu ich pilność jest mniejsza, niż być powinna.

– Wiem, że istniało przed paru laty... a, eh... fizyczne powiązanie między Ranalee i Tathalem. To ona prawdopodobnie nauczyła go, jak skutecznie wykorzystywać dominację.

Jaralee i Golbon znowu spojrzeli po sobie znacząco.

– Przyjrzymy się temu – zapewniła go Jaralee.

Edeard i Kristabel popłynęli rodzinną gondolą od Rezydencji Culveritów do Średniego Stawu. Zniżające się słońce późnego

popołudnia zabarwiło cirrusową chmurę na łagodny, złoty kolor. Ciepłe powietrze pachnące morzem wisiało ciężko nad miastem.

Nie tylko oni cieszyli się końcem kojącego dnia. Setki gondoli sunęły powoli w obu kierunkach po Wielkim Kanale Głównym. Wszystkie gondole Makkathranu musiały wypłynąć na wodę. Edeard nigdy wcześniej nie widział jednocześnie aż tylu wąskich czarnych łodzi. Na ulicach i w alejach po obu stronach wodnych szlaków również tłoczyli się ludzie.

Zauważył, że wielu z tych ludzi to staruszkowie, którym pomagały rodziny. Większość z nich kierowała się do Eyrie.

Kristabel zauważyła, na co patrzy.

– Ile jeszcze czasu?

– Będą tu za dziewięć dni.

– Pięciu Władców Niebios – powiedziała głęboko wzruszona. – Ciekawe, czy tak wielu przybywało kiedyś tutaj za czasów Raha.

– Pani nigdy nie podała ich liczby.

Edeard zobaczył staruszkę bardzo podobną do pani Florrel, wspomaganą przez trzy młode kobiety. Ledwie chodziła, artretyzm do tego stopnia zniszczył jej stawy. Jej umysł przepuszczał małe kolce bólu, wraz z łagodnym zdumieniem. Edeard podejrzewał, że staruszka nie całkiem zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Na wodzie poniżej staruszki gondole wiozły jej rówieśników ku powyginanym wieżom Eyrie. Różniło ich bogactwo – ci z łodzi mieli zasoby, by przebyć w komforcie ten ostatni etap podróży.

– Jak więc radzili sobie wtedy? – zastanawiała się Kristabel.

– Ludność nie była tak liczna jak dzisiaj. W mieście mieszkało mniej ludzi, więc mogli wykorzystać pomieszczenia, bez tych kłopotów, jakie mamy teraz.

Przyływ starszych podróżnych oczekujących przybycia Władcy Niebios osiągnął niepokojące rozmiary. W ciągu ostatnich lat wciąż wzrastał. Od czasu odprowadzenia Finitana wiadomość o powrocie Władców Niebios rozprzestrzeniła się po prowincjach. Teraz co miesiąc tysiące spływały do Makkathranu, a każdą osobę wspomagała rodzina. Miasto ledwie sobie z tym radziło. Znowu wszyscy konstable zostali wysłani na ulice i

poskramiali codziennie setki drobnych występków – od kłótni o pokoje po paskarskie ceny żywności. Konstable musieli również zapewnić swobodę ruchu na ulicach – mozolne zadanie przy tylu starszych, niepełnosprawnych osobach. Pomoc i działalność charytatywna stałych mieszkańców, które rozkwitły po pierwszych paru wizytach Władców, obecnie niemal zanikły.

Gondola dotarła do Średniego Stawu i popłynęła dalej Kanałem Szlaku Handlowego. Tam przy przystani u wylotu ulicy Jodsell musieli poczekać, aż zwolni się miejsce przy platformie do cumowania. Przystań dzielił tylko krótki spacer do rezydencji mistrza dzielnicy w centrum Sampalok.

Edeard, wchodząc na wielki plac w centrum Sampalok, zawsze odczuwał niewielkie zawstydzenie. Wszyscy kojarzyli to miejsce z dniem wygnań – punktem zwrotnym w życiu Makkathranu i Querencii. Nie było to oczywiście prawdą – prawdziwa zmiana zaczęła się w tajnej krypcie pod Wieżą Spiralną Gildii Broni i nikt nigdy się o tym nie dowie.

Rezydencja Mistrza i Mistrzynie Sampalok stała pośrodku rozległego placu. Sześcioboczna gigantyczna budowla. Każda ściana frontowa miała inny pastelowy kolor i swój własny łukowy otwór bramny, wychodzący na otaczający dziedziniec. W otworach nie było bram ani furtek – odmiennie od poprzedników, obecni Mistrzowie Dzielnicy nie odwracali się od ludzi, którym mieli służyć.

W ubiegłych latach na placu panował duży ruch. Z kilku straganów sprzedawano tam owoce i napoje. Wokół biegały dzieci, omijając fontanny. Ale plac stanowił głównie otwartą przestrzeń. To się skończyło. Obok rezydencji wzniesiono setki namiotów o bambusowych szkieletach. Nawet gdy Edeard szedł ku głównemu wejściu, wznoszono dalsze namioty. Ruchliwe geszypy goniły się po szkieletach, związując razem paliki. Rodziny stały przy tobołkach przyniesionych z rodzinnych miast.

Kristabel podejrzliwie pociągnęła nosem.

– Myślałam, że Kanseen zorganizowała dla dzielnicy wozy z urządzeniami sanitarnymi.

Edeard wzruszył ramionami. Przeszli na podwórzec rezydencji

z białymi posągami i przyszczyżonymi krzakami wyrastającymi z długich koryt. Otwarte główne drzwi prowadziły do holu, którego sufit świecił idealnie białym światłem. Szerokie, zwężające się w górze schody skręcały, prowadząc na galerie na pierwszym piętrze. Zgodnie z intencją Edearda wchodziło się po nich z łatwością. Nigdy nie wiedział naprawdę, jaki przyjąć układ wnętrza rezydencji. Tylko co do wyglądu zewnętrznego miał sprecyzowany pogląd. Podejmując decyzję, naszkicował układ wewnętrzny podobny do tego, jaki uprzednio zniszczył. Jednakże obecnie światła były białe, wanny miały rozsądną wielkość, łóżka przyzwoitą wysokość i tak dalej. Usunął długą listę architektonicznych niewygod, z którymi obywatele Makkathranu zmagali się przez dwa tysiąclecia.

Macsen i Kanseen spotkali ich w małym holu recepcyjnym na pierwszym piętrze. Poprowadzili Kristabel i Edearda na osobny balkon, gdzie czekało wino, byli tam również Dinlay i Gealee. Czwarta żona – miłość Dinlaya – była postawnym rudzielcem. Miała tylko dwadzieścia osiem lat i przewyższała o dobre osiem centymetrów swego poślubionego przed dwoma miesiącami męża. Edeard, widząc ich stojących razem przy balustradzie balkonu, na tle zachodzącego słońca, musiał naprawdę bardzo się skupić, by utrzymać swą tarczę mentalną i nie pozwolić, by wydostała się spod niej nawet jedna emocja. Wszystkie żony Dinlaya z łatwością można było wziąć za siostry.

Wie, że to się nigdy nie udaje, więc dlaczego zawsze wybiera ten sam typ?

– Optymizm – powiedziała cicho Kristabel.

Edeard mocno poczerwieniał.

– O Pani, czyżbym...?

– Nie, po prostu cię znam. – Kristabel uśmiechnęła się promiennie i uściskała Dinlaya. – Witajcie z powrotem. – Pocałowała Gealee. – Jak upłynął miesiąc miodowy?

– Och, było bajecznie, ogromnie dziękujemy. Jacht, który nam wypożyczycie, zawiózł nas do tyłu tych bajecznych małych portów. Każde z miast na wybrzeżu tak różniło się od innych i wyspy Oantrana są takie śliczne, tak zachowane w stanie

naturalnym. Mogłabym mieszkać na każdej z nich.

Dinlay objął ramieniem nową małżonkę.

– Możemy tam zamieszkać na emeryturze – skarcił ją.

Ucałowała go.

Edeard łyknął nieco wina. Macsen objął go ramieniem.

– Co sądzisz o naszych gościach? – Wskazał gestem wielki otwarty plac za murami rezydencji.

– Tłumy. – Edeard, cieszył się ze zmiany tematu rozmowy. Choć biwak odwiedzających nie zapewniał wielu wygód, w mieście nadal panowała atmosfera optymizmu i odprężenia. W mentalnym nastroju płynącym nad ulicami i kanałami przeważało niecierpliwe oczekiwanie. Przypominało to noc przed karnawalem.

– Odejdą dzień po przybyciu Władców Niebios – powiedziała Kanseen.

– Wtedy zacznie przybywać nowa fala – odparł Macsen. – Edeardzie, nie możemy dalej tego ignorować. Sprawdziłem w Gildii Urzędników – nie ma już niezarejestrowanych pokoi w Makkathranie. To nie do zniesienia. Gdzie mają mieszkać nasze dzieci?

– Nikt tego nie ignoruje. Byłem na trzech spotkaniach z burmistrzem poświęconych tej sprawie.

– I jakiz był jego zadziwiający wniosek? – spytał Dinlay.

Edeard spojrział na niego zaskoczony – przyjaciel wypowiadał się zwykle bardziej dyplomatycznie. Może Gealee była jednak inna?

– On wierzy, że wszystko po pewnym czasie samo się ułoży. Nadal napływa nadzwyczaj dużo ludzi szukających przewodnictwa. To z początku nieuniknione. Ale fala zmaleje i pozostanie na stałym poziomie.

– Kiedy?

Edeard wzruszył ramionami.

– To nie ludzie szukający przewodnictwa sprawiają kłopoty, lecz przybyli z nimi członkowie rodzin. Przez nich są problemy noclegowe.

– I tyle? Taka jest odpowiedź burmistrza? Poczekajmy kilka lat i

problem zniknie?

– Niezupełnie. Wokół Makkathranu jest mnóstwo gospód podróżnych. Większość wiosek na wybrzeżu, w odległości dnia żeglugi, ma przynajmniej jedną taką gospodę, a każdego dnia powstają kolejne. One pomogą.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – wtrąciła Gealee. – Dzieci mojego brata są po dwudziestce i nie mogą znaleźć żadnego mieszkania w mieście. Keral podróżował w głąb lądu, by się przekonać, jakie mógłby prowadzić życie poza Iguru.

– Zuch z niego – powiedział Edeard. – Nasze dzieci za bardzo uzależniły się od miasta.

– Ale mieszkamy tutaj od dwóch tysięcy lat – poskarżyła się Gealee. – Dlaczego mamy wyjeżdżać?

– Obecnie sprawy wyglądają inaczej – wyjaśnił Macsen. – Życie na prowincji nie jest już tak ciężkie jak kiedyś. Miasta obsługują nie tylko rolnictwo. Pod względem rozmachu niektóre tamtejsze siedziby gildii rywalizują z makkathrańskimi.

– Więc dlaczego Władcy Niebios nie odwiedzają tamtych miast? Dlaczego to ciągle jest Makkathran?

Edeard chciał odpowiedzieć. Kanseen i Dinlay patrzyli na niego, jakby oczekiwali rozsądnego wyjaśnienia. Nie miał go.

– Tylko Makkathran ma wieże Eyrie – stwierdził Macsen.

To nie może być prawda, myślał Edeard. Makkathran nie jest nasz. Nigdy nie został zbudowany dla ludzi.

– Zapytam – palnął.

Spojrzeli na niego.

– Naprawdę – przyrzekł. – Kiedy przybędą Władcy, zapytam ich, czego potrzebują, żeby zabrać nasze dusze. Czy jedynym miejscem, które odwiedzają, są wieże Makkathranu.

Gealee nachyliła się ku niemu i obdarzyła go szybkim pocałunkiem.

– Dzięki, Stąpający po Wodzie.

Uśmiechnął się do niej szeroko, upewniwszy się, że nie jest zwrócony twarzą do Kristabel.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Ta niewygoda może działać na naszą korzyść – oznajmił

Dinlay.

– Niewygoda? – zapytał Edeard.

– W Makkathranie, z czasowymi przyjezdnymi – wyjaśnił Macsen. Wyraz twarzy miał na pozór niewinny.

– W jaki sposób?

– Niewygoda rodzi niezadowolenie. Wszyscy zechcą ją wyładować na burmistrzu przy najbliższych wyborach.

Edeard jęknął, wiedząc, co go czeka.

– Czas jest odpowiedni – powiedziała nagle zainteresowana Kristabel. – Jeśli masz rację co do podróży gospód, kiedy zaczniesz się twoja kadencja, problem zostanie znacznie zredukowany.

– Moja kadencja? – Edeard chciał jej powiedzieć, żeby przestała brać stronę Macsen. Czuł się coraz bardziej jak ofiara zmywy. – Powiniennem najpierw zostać wybrany.

– Jesteś Stąpającym po Wodzie – powiedziała wesoło Kanseen. – Wszyscy będą na ciebie głosowali. Nawet młodziaki, teraz, kiedy sprowadziłeś na powrót Władców Niebios. Prawda, Gealee?

– Tak – odpowiedziała poważnie.

Edeard dodał Kanseen do listy ludzi, na które obecnie nie może spoglądać, choć nie był pewien, czy szpilka była przeznaczona dla Gealee, czy dla Dinlaya. Prawdopodobnie dla Dinlaya.

– Wszyscy wiedzą, że to tylko kwestia czasu – zauważył Dinlay.

– Rzeczywiście?

Nie mógł dłużej podtrzymywać postawy niezainteresowanego. Burmistrz? Nareszcie. Umysłem wrócił do tego wiosennego dnia tam w Ashwell, kiedy jego gekoty stały się takim sukcesem przy nowej studni. Burmistrz i Pytia, to sobie obiecali wzajemnie z Salraną. Byliśmy dziećmi. To wszystko. Dziećmi śmiejącymi się beztrudnie z dziecięcego marzenia. Ale idea, że mógłby zostać burmistrzem, nadal przyprawiała go o dreszcz emocji.

– Posłuchaj – błagał Macsen. – Nadszedł właśnie czas i wiesz o tym. Powiedz tylko słowo.

– Więc w porządku. – Kiedy to mówił, wiedział, że nie mógłby powstrzymać uśmiechu ulgi i niecierpliwego oczekiwania. – Zróbmy to.

Inni klaskali i wydawali okrzyki radości, ściskali go.

– Do Honiousa, to gdzie zaczynamy? – zapytał. Niemal oponował.

– Zostaw to mnie – powiedział Dinlay. – Od pewnego czasu zbieram zespół.

Edeard wzruszył ramionami i pokręcił głową. Miał wrażenie, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

Felax stał przed masywnymi drewnianymi drzwiami gabinetu Głównego Konstabla. Wzburzony, co dla niego było stanem bardzo niezwykłym.

– Przepraszam. Naprawdę nie wiedziałem, jak ją powstrzymać – powiedział do nadchodzącego Edearda.

Edeard spojrział z lekkim zdziwieniem na drzwi i dalwzrokiem omiół gabinet. Przysiadła na krzesło o prostych oparciach przed jego wielkim biurkiem.

– W porządku – powiedział Felaxowi. – Załatwię to.

Salrana obróciła się lekko, kiedy wszedł do gabinetu. Obecnie nosiła znacznie krótsze włosy ufarbowane na piaskowy blond. Ciemny szal na sukience o bardzo morskiej zieleni mogłaby włożyć kobieta starsza od niej o pięćdziesiąt lat. Patrzyła na niego swymi wielkimi oczyma z rodzajem żalosego zainteresowania. Przecież nie rozmawiali ze sobą ponad dziesięć lat – niemałe osiągnięcie, zważywszy na jak wielu przyjęciach byli oboje obecni. Jeśli wcześniej wydało mu się, że ona w końcu złagodnieje, że zgubny wpływ Ranalee zanika, został wyprowadzony z błędu przez krótkie mignięcie emocji spod jej tarczy. Podobnie jak on, nadal nie potrafiła osłonić swego umysłu tak dobrze jak ludzie z miasta. Dostrzegł więc tam węgielki obrzydzenia i niechęci, żarzące się obok jaśniejszego wyzwania i oporu. Choć tym razem wśród całej tej urazy była również niepewność.

– To niespodziewana wizyta – powiedział, mijając ją. Nie zatrzymał się ani nie próbował uścisnąć jej dłoni, czy nawet zastanowić się nad platonicznym pocałunkiem.

Śledziła go wzrokiem, kiedy się sadowił.

– Nic się nie zmieniło – zaczęła.

– Coś jednak się musiało zmienić, skoro tu przyszłaś.

– Nazwij to desperacją, jeśli chcesz. I znam cię.

Edeard obecnie był naprawdę zaintrygowany. Wszystkie próby, które czynił, by między nimi zapanował pokój, zawsze spętały na niczym, a prób tych było w czasie dziesięcioleci wiele. Mimo to nadal jej pomagał, jeśli mógł, zwłaszcza w sprawach związanych z jej niegodziwym potomkiem.

– Czego chcesz?

– Nic ci nie jestem winna. Nie zmienię się. Nie okażę wdzięczności.

– Nie proszę cię o to. Czego właściwie chcesz, Salrano?

W końcu odwróciła wzrok i poprawiła szal wokół ramion.

– Mój mąż Garnfal ma zamiar przyjąć przewodnictwo Władców Nieba. Już od ponad roku nie czuje się dobrze.

– Przykro mi – powiedział ze szczerym współczuciem. – Nie wiedziałem.

– On... on bardzo się o mnie troszczył, wiesz. Nie był taki jak niektórzy inni.

Ci, których dała ci Ranalee, pomyślał zimno.

– W każdym razie – ciągnęła – zabezpieczył mnie. Jego dom w Horrod Lane przechodzi oczywiście na jego najstarszego syna, Timatha. Nie chciałabym, żeby stało się inaczej. Ale istniały całkiem cenne dobra, które kupił za zarobione przez siebie pieniądze. Garnfal pozostawił mi je w testamencie.

– Rodzina nie chce, żebyś je dostała?

– Niektóre z nich są dla nich obojętne. Ale jest nieco ziemi w Ivecove, to wioska rybacka cztery mile na północ od miasta. Domek na dużej działce. Garnfal lubił ogrody. Powiadał, że w mieście nigdy nie można mieć należytego ogrodu. Spędzaliśmy tam każde lato. A potem, ostatniej jesieni przyszedł do niego kupiec z ofertą kupna ziemi, żeby zbudować tam gospodę. Powiedział, że to gospoda dla ludzi przybyłych po przewodnictwo Władców Niebios. Aż dotychczas Garnfal odmawiał.

– I temu właśnie sprzeciwia się Timath?

– Tak. Garnfal dał mi swoje błogosławieństwo, by po jego śmierci sprzedać domek, za co uzyskam wyjątkową cenę. Timath już zaangażował adwokata, by obalił testament. Powiada, że prawdziwa cena domku jest nieodzwoiercedlona w rachunkach Garnfala, że okradam rodzinę. Nazywa siebie i swe rodzeństwo prawdziwą rodziną Garnfala.

– Rozumiem. – Zarówno twój problem, jak i poglądy Timatha na tę sprawę, dodał w myślach. – Czemu mi o tym mówisz?

– Miałam nadzieję, że pomówisz z Timathem, spowodujesz, by zrozumiał, że nie jestem jakąś szybkolisową suką i że kocham Garnfala.

Edeard wydał policzki, wydychając powietrze.

– Salrano...

– Nie jestem! Cokolwiek o mnie myślisz, musisz wiedzieć, że w tej sprawie mam wolną wolę. Wybrałam Garnfala dla siebie, sama. Proszę, musisz mi uwierzyć. Być pozbawioną tego, co prawnie należy do mnie, przez zazdrosnego nieroba to nie ta sprawiedliwość, jakiej chcesz dla wszystkich.

– Honious – powiedział słabo. – Powinnaś była zostać adwokatem.

– Timath zaangażował mistrza Cherixa. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieśmiało. – Jeżeli sprawia ci to jakąś różnicę.

Edeard jęknął pokonany i odchylił głowę w tył, by spojrzeć na wysoki, sklepiiony sufit.

– Pomówię z Wielkim Mistrzem Gildii Prawników, poproszę go, by zechciał być arbitrem w ugodzie między tobą a Timathem.

– Dziękuję, Stąpający po Wodzie.

– Chyba dla ciebie jestem nadal Edeardem.

Salrana wstała i spojrzała na niego smutno.

– Nie, jesteś Stąpającym po Wodzie. Edeard z Ashwell zmarł w dniu, kiedy wygnano Bise'a.

W południe Edeard popłynął gondolą z Pałacu Sadowego do dzielnicy Abad. Kiedy gondola sunęła po Wielkim Kanale

Głównym, widział tłumy zgromadzone u stóp wież Eyrie. Nikt nie wchodził jeszcze na górę – pozwalano na to dopiero ostatniego wieczoru przed przybyciem Władców. Konstable pomagali Matkom odsuwać ludzi od długich, krętych schodów pośrodku każdej z wież. Jeszcze nikogo nie aresztowano, choć Edeard otrzymywał codziennie raporty o incydentach ze frustrowanymi krewnymi. Wspinaczka na szczyt wież musiała być naprawdę starannie zorganizowana. Niezabezpieczone żadnymi poręczami platformy sięgające w górę, w niebiosa Querencii, miały ograniczoną powierzchnię. Ludzie wchodzący na wieże byli słabi i chorzy. Musiano o nich dbać nawet w ich ostatnich godzinach. Matki miały teraz spore doświadczenie w nadzorowaniu całego wydarzenia, jednak tego wysiłku nie mogli docenić przybyli z tak daleka z nadzieją wzrastającą z każdym bolesnym kilometrem.

Edeard wiedział, że w ostatnim tygodniu wśród czekających w Eyrie umarło piętnaścioro ludzi. Ich rodziny musiano potraktować z wielkim taktem i zrozumieniem. Mimo to temperamenty iskrzyły, co szybko doprowadzało do bójek. Przebycie tak długiej drogi i nieotrzymanie przewodnictwa było nie do zniesienia. To zrozumiałe. W ciągu siedmiu dni pozostałych do przylotu Władców umrą następni, a każda kolejna śmierć będzie trudniejsza do zaakceptowania od poprzedniej.

Gondola przybiła do przystani pośrodku Abadu. Edeard wszedł po schodach na ulicę Mayno i zagłębił się w dzielnicę. Aleja Boldar znajdowała się o piętnaście minut spaceru od kanału, a jej zygzakowaty chodnik obsługiwał wąskie o cztero- i pięciokondygnacyjne domki. Większość dolnych pięter o szerokich bramach wykorzystywano jako sklepy i warsztaty. Edeard zauważył, że kilka zapakowano do pełna przybyszami z prowincji.

Na oddalonym końcu ulicy jeden z największych domków ocieniały wysokie drzewa morelowe rosnące przed frontowym wejściem. Ich owoce już zaczęły puchnąć wśród szeleszczących liści. Edeard natychmiast wyczuł dziwne myśli emanujące z wnętrza. Czuł dalwzrokiem kilkunastu ludzi w rozmaitych

pomieszczeniach, a jednak wszyscy wydawali się w jakiś sposób do siebie podobni, pozostawali w tym samym stanie emocjonalnym. Nawet rytm ich myśli był zharmonizowany. Ta osobliwość wystarczała, by zawahał się przed pomalowanymi szkarłatem drzwiami. Po obu ich stronach w zakrzywionej ścianie tkwiły głęboko osadzone okna. Ich zaciągnięte zasłony nie zdradzały niczego. Edeard zapukał.

Otworzyła mu młoda kobieta w prostej czarnej sukni obrębionej białą koronką. Jej długie kasztanowate włosy, zwinięte w misterne loki, spadały do połowy pleców. Uśmiechała się przyjaźnie i dość szczerze.

– Stąpający po Wodzie, wejść, proszę. Nazywam się Hala. Zastanawiałam się, kiedy nas odwiedzisz.

– Dlaczego? – spytał, wchodząc.

Długi hol o sklepionym suficie rozgałęział się kilka razy niczym mniejsza wersja tuneli pod miastem. Edeard nie zdawał sobie sprawy, że domek jest aż tak duży – musiał być połączony z kilkoma innymi przy tej samej ulicy. Zerknął na pas światła ciągnący się wzdłuż najwyższej części sufitu. Świecił idealną bielą. Edeard nigdy nie prosił miasta, by zmieniło kolor światła.

– Podziwiam ścieżkę, którą kroczyłeś – stwierdziła Hala. – Biorąc pod uwagę, jaki byłeś samotny, to godne podziwu.

– Tak? – powiedział Edeard. Zastanawiał się, czy to właśnie jej dalwzrok śledził go przez te lata.

Parter domku zajmowało kilka wielkich pokoi, salonów typowych dla każdego zamkniętego klubu w Makkathranie. Domek wydawał się pusty, jeśli nie liczyć kilku sprzątających geszypów.

– Jesteśmy na górze. – Hala poprowadziła go holem do spiralnych schodów. Schody dostosowano do ludzkich nóg.

Ciekawość Edearda wzrastała. Ktoś najwidoczniej miał stosunki z miastem podobne do jego własnych. Na piętrze były dzieci. Przypominało to rodzinne piętro w zigguracie, z licznymi sąsiadującymi salonami, łazienkami, kuchniami i sypialniami. Dzieci śmiały się i zerkwały na niego zza drzwi pomieszczeń. Kiedy wskazywał je palcem, piszczały i uciekały. Naliczył ich prawie

trzydzieścioro.

– Któreś z nich jest twoje? – spytał.

Hala uśmiechnęła się z dumą.

– Jak dotychczas troje.

Salon na drugim piętrze był wielki, prawdopodobnie zajmował całą szerokość domku. Jego wygiętą tylną ścianę tworzyły szerokie łuki, wypełnione szklanymi drzwiami balkonowymi, przez które rozpościerał się widok na oddalony o kilka ulic Kanał Różanej Drogi i dzielnicę Nighthouse na jego drugim brzegu. Ściany, gęsto zdobione wzorami z bordowych i złotych linii, w większości były zakryte długimi zasłonami z czarnej koronki. Wyglądało to tak, jakby gigantyczny pająk owinął salon hebanową pajęczyną. Jak na tak wielkie pomieszczenie, mebli było niewiele: kilka murdębowych komód pod ścianami, dwa długie stoły. Podłogę pokrywały puszyste ametystowe dywany. Szerokie krzesła stały rozproszone po całej sali. Wyglądały raczej jak grupy poduszek, a nie jak zwykłe, najczęstsze na Querencii krzesła z prostymi oparciami. Bractwo Morelowej Willi rozsiadło się na nich i przyglądało Edeardowi z zainteresowaniem. Piętnastka osób, sześć kobiet i dziewięciu mężczyzn, wszyscy młodzi – nikt nie przekroczył trzydziestki. Wszyscy dzielili tę samą pewność siebie, jaką tak naturalnie przejawiał Tathal podczas ich ostatniego spotkania. Edeard czuł ledwie powstrzymywaną siłę ich umysłów. Wszyscy byli potężnymi mentalistami, prawdopodobnie dorównywali mu mocą.

Rozglądał się, aż znalazł Tathala i uśmiechnął się krzywo. A potem zobaczył parę młodziaków stojących przy drzwiach balkonowych i jego uśmiech rozszerzył się ze zrozumieniem. Widział ich przelotnie w tunelu.

– Ach – powiedział. – Gniazdo, jak sądzę.

Jaralee poinformowała go o tej nazwie, kiedy razem z Golbonem przedstawiali swój raport. Przybyli do jego gabinetu niedługo po odejściu Salrany, promieniując przyprawiającą o zawrót głowy mieszaniną niepokoju i podniecenia. Edearda nieco to

denerwowało. Jego śledczy zwykle byli niewzruszeni.

– Miałeś rację – oznajmił Golbon. – Bractwo ma udziały firmowe wszędzie. Jest ich tak wiele, że potrzeba miesiąca, by je wszystkie zebrać.

– Jakie to ma znaczenie dla sprawy? – spytał Edeard. – Mają teraz mnóstwo członków.

Łącznie z Natranem, pomyślał z przygnębieniem.

– Ach... – odpowiedziała Jaralee z uśmiechem wyższości. – Wszystkim z zewnątrz przypomina to standardowe zrzeszenie handlowe. Oczywiście gildie są najbardziej zakorzenione i najlepiej prosperują, ale kupcy mają mnóstwo wpływowych organizacji i klubów. Przypuszczaliśmy, że bractwo to tylko najnowsze zrzeszenie ambitnych młodych przedsiębiorców pragnących zyskać wpływy. Ale kiedy spojrzałam na to bliżej, okazało się, że istnieje rdzeń, który posiada prawa współwłasności ponad setki przedsiębiorstw i firm. Inni członkowie tworzą po prostu legalistyczną mgiełkę odosobnienia owiniętą wokół niego.

– Niezupełnie – wtrącił Golbon. – Członkowie rdzenia mają związki handlowe z mnóstwem firm innych członków.

– Stworzyli bardzo skomplikowaną sieć finansową – wyjaśniła Jaralee. – I z tego, co widziałam, rozciąga się ona daleko poza miasto. Wysłałam zapytania do urzędników rejestru w miasteczkach Iguru i w stolicach prowincji. Dotychczas dostałam tylko kilka odpowiedzi, ale interesy gniazda z pewnością rozciągają się na przedsięwzięcia spoza Makkathranu. Powiedziałabym, że ich łączny majątek dorównuje majątkowi przeciętnej Wielkiej Rodziny, zwłaszcza pod względem finansowym. Może być większy, jeśli rozwijają podobną działalność nielegalną. Tak naprawdę nie orientuję się w tym.

– Gniazdo? – zapytał Edeard.

– Pod tym mianem znani są założyciele towarzystwa. Są zwartą grupą. Ludzie, którzy ich znają, unikali mówienia o nich cegokolwiek. To niesamowite, jak próbowali się wymigać od rozmowy i jak odchodzili od tematu. Praktycznie rzecz biorąc, nie mam nic na nikogo z nich z wyjątkiem pogłosek.

- A co mówią pogłoski?
- Oni naprawdę działają jak bracia i siostry – tacy są bliscy.
- Jesteś pewna, że nimi nie są?
- Pewna niemal całkowicie. Wydaje się, że większość pochodzi z prowincji. Troje czy czworo urodziło się w mieście. Zaczęli łączyć się razem siedem czy osiem lat temu. Wtedy właśnie zarejestrowali zasiedlenie Morelowej Willi. Samo towarzystwo powstało rok później.
- Czy Tathal należał do założycieli? – spytał Edeard.
- Zawiłe finanse, którymi owinęło się gniazdo, wyglądały na coś w stylu Bisego. I był przekonany, że Ranalee była doskonałą nauczycielką.
- Tak, jego nazwisko widnieje na podaniu o zamieszkanie w domku.
- Jasne, więc co z Colfalem?
- Jaralee znowu uśmiechnęła się z zadowoleniem.
- Jego sklep zielarski upada. Jest tak źle, że w tym roku nawet nie wypełnił swego zeznania podatkowego, co jest wielce ryzykowne. Inspektor przygotowuje się do procedury przymusowego przejęcia zarządzania firmą. Colfal podjął ostatnio szereg złych decyzji. Jego przychody wysychają. Domy finansowe proszą o zwrot pieniędzy.
- Czyli Colfal rozpaczliwie potrzebuje nowego partnera, zwłaszcza takiego z mnóstwem gotówki – zauważył Edeard.
- To prawda – przyznała. – Ale Colfal był zielarzem przez ponad siedemdziesiąt lat. Dopiero w zeszłym roku zaczął podejmować złe decyzje.
- Oto przykład tego, co siedemdziesiąt lat palenia kestrica robi mózgowi – zauważył Golbon.
- Te decyzje są naprawdę złe – odparła Jaralee. – Zmienił swój normalny asortyment na rzeczy, których prawie nikt nie kupuje.
- Od kogo dostaje nowe zioła? – spytał ostro Edeard.
- Kiwnęła głową.
- Sprawdzam. Ale to wymaga czasu.

Stojąc w salonie Morelowej Willi i patrząc na gniazdo, Edeard zdał sobie sprawę, że prawne szczegóły „kto co kupuje od kogo”, zupełnie się nie liczą. Gniazdo bardzo różniło się od Buatego. Żadne dochodzenie podatkowe ich nie zablokuje.

– Nie jest to nasza ulubiona nazwa – powiedział z rozbawieniem Tathal. – Ale chyba się przyjął.

Mnóstwo szybkich myśli pulsowało w powietrzu wokół Edearda. Wszyscy członkowie gniazda nieustannie komunikowali się ze sobą. Skomplikowane przekazy przypominały szybki ptasi świergot i Edeard nie mógł z tego nic pojąć. W jego umyśle zakiełkował prawdziwego niepokoju.

– Jestem zaskoczony – powiedział tonem grzecznym i spokojnym. – Nikt nie chce o was prawie nic mówić.

– Zniechęcamy ludzi do poświęcania nam uwagi – wyjaśniła jedna z kobiet. Siedziała na lewo od Tathala, okryta fioletowym szalem z grubej wełny. Szal nie skrywał jej ciąży.

Stały napływ mentalnego świergotu przesunął się na chwilę, oczyścił.

– Samilee – powiedział nagle Edeard, jakby znał ją od wieków, choć dziewczyna miała tylko dwadzieścia trzy lata. Jej obecnym ulubionym daniem była jajecznicza z jaj qotoxa z sosem bearneńskim i tostowaną muffinką. Te ciężowe zachcianki czuło się bardzo wyraźnie – do rozwiązania pozostało jedynie pięć tygodni. Ojcem jej dziecka był Uphal lub Johans.

Edeard zareagował na tę wiedzę drżeniem.

– Witaj, Stąpający po Wodzie – odpowiedziała formalnie.

Myśli zawirowały ponownie, jak gdyby w salonie poruszała się jakaś koronka z cieni.

– Czy możesz mieć do nas pretensję? – To był Halan, dwudziestoosmiolatek, niezwykle rad, że znalazł dom po piętnastu latach nieznośnej samotności w prowincji Hapturn. Dzięki wybitnym uzdolnieniom finansowym powierzono mu główne firmy gniazda.

– Zobacz, co establishment próbował zrobić, kiedy pokazałeś im swoje zdolności – powiedział Johans. Dwadzieścia dziewięć lat, bardzo świadomy niewolnik miejskiej mody. Zaprojektował

wiele ubrań dla siebie i męskich członków gniazda. Trzy najszlachetniejsze sklepy z odzieżą w dzielnicy Lilylight należały do niego, ich oryginalni właściciele zostali usunięci w charakterystyczny dla gniazda sposób.

– Wystawili cały pułk z jedynym zadaniem: zabić cię z zimną krwią – przypomniał Uphal. Ich główny namawiacz, ten który szeptał silnie do słabych, gorszych, którzy roili się w mieście niczym robactwo.

– To już historia – powiedział im Edeard. – Historia, którą zmieniłem tak, że możemy już wszyscy żyć razem bez względu na nasze talenty i zdolności.

– Że oni mogą żyć razem. – Klary i Manel zaśmiali się jednym głosem. Młodzi kochankowie, którzy tak szaleńczo się bawili w tunelach i w całym mieście: w owalnym sanktuarium burmistrza, na ołtarzu kościoła Pani, na dużym łóżku Edearda i Kristabel na dziesiątym piętrze...

Tathal pstryknął palcami z irytacją, kiedy Edeard odwrócił się i spojrzał na nich gniewnie.

– Dosyć tego – zganił ich. Tathal, pierwszy, który uświadomił sobie swą rodzącą się moc, ten kto zebrał zagubione i przestraszone pokrewne dusze, wychowawca, nauczyciel, ojciec gniazda. Ojciec siedemnastki z ich imponującego drugiego pokolenia.

– Och, gówno Pani – zaklął Edeard pod nosem. Od dawna nie był tak przestraszony. Od dziesięcioleci. A wtedy wspierała go młodzieńcza pewność siebie.

– Więc widzisz, Stąpający po Wodzie – rzekł Tathal – tak jak ty jesteśmy przyszłością Querencii.

– Zupełnie tego nie widzę.

– Mówiłeś, że według ciebie silniejsi mentaliści pojawiają się jako znak, że ludzkość w Pustce dojrzała.

– Co takiego?

– Rozmawiałam kiedyś z Kanseen – powiedziała Hala z rozmarzonym uśmiechem. – Myśli tak czule o tobie, nitka pragnienia ciebie nigdy nie zanikła. Chyba dlatego przypomina sobie tak wyraźnie wasz okres wspólnej służby w oddziale w

Jeavons, choć upłynęło już tyle czasu. Wtedy, po twoim triumfalnym dniu wygnania, powiedziałeś jej, że właśnie dlatego zatrudniłeś Marcola jako konstabla. Chciałeś go poskromić, związać go z twoją wizją. Zobaczyłeś silnego wynurzającego się z mas. To było bardzo prorocze. Szanujemy to.

- I od tamtego czasu wypatrywałeś innych posiadających siłę - rzekł Uphal. - Wciągając ich do establishmentu. Establishmentu, którego tronu zażądałeś dla siebie. Indoktrynowałeś ich swoimi ideami.

- Ale było to wtedy - włączył się Tathal. - Kiedy silni byli nieliczni i wystraszeni. Teraz liczba nas wzrasta. Wkrótce będzie nas dostatecznie wielu, by bez trwogi wynurzyć się z cienia. Pewnego dnia wszyscy ludzie będą tacy jak my. Jak ty.

- Naprawdę?

- Wątpisz w swoje własne przekonania? Czy też nie śmiesz ich otwarcie wyrazić? Wiesz, że mamy słuszność. Gdyż jesteśmy tutaj, prawda?

- Czym, według was, się stajecie? - spytał Edeard.

Myśli gniazda zawirowały ponownie wokół niego, szybciej niż przedtem. Tym razem rozpoznał ich rozbawienie. Zabarwione drwiną, może nawet ze śladem rozczarowania. Wielki Stąpający po Wodzie - a jednak nie robi takiego wielkiego wrażenia.

- Jesteśmy dziećmi dzisiejszych ludzi - oznajmił Tathal. - I jak to bywa ze wszystkimi dziećmi pewnego dnia odziedziczymy świat po swoich rodzicach.

- Jasne. - Edeard odchrząknął. - Ale nie sądzę, żebyście byli typem ludzi skłonnych do cierpliwego czekania.

- Po prostu przygotowujemy się na każdą ewentualność - wyjaśnił Tathal. - Nie łudzę się, że przejście odbędzie się gładko i pokojowo, gdyż uświadomienie sobie tego, że twoja ewolucja się skończyła i zastępuje cię nowy porządek, nigdy nie jest przyjemne.

- Nie do wiary. - Edeard ze znużeniem pokręcił głową. - Rewolucja. Zamierzacie zastąpić Wielką Radę własnymi zwolennikami. Czy to najlepsze, na co was stać?

- Nie mamy zamiaru zastępować Wielkiej Rady. Czy nie

rozumiesz, czym jesteśmy? Nie potrzebujemy czynić pustych obietnic politycznych w rodzaju tych, które Rah dawał masom. Nie potrzebujemy jego nedorzecznej demokracji. Wiedział, że ma słuszność, kiedy ustanowił rodziny Mistrzów Dzielnic. Oczekiwał, że stamtąd właśnie wyłoni się nasza prawdziwa siła. Wielkie Rodziny próbowały. Przez stulecia prowadzili swą hodowlę potomstwa na podstawie siły mentalnej. Ale my zastąpiliśmy ich jako prawdziwi dziedzice Raha. Ewolucja jest nieunikniona, a jednak jest również losowa. Czyż to nie cudowne?

- Tak więc słabi nie będą mieli nic do powiedzenia w zarządzanym przez was świecie.

- Mogą do nas dołączyć - oznajmił Uphal. - Jeśli ich myśli są dostatecznie jasne, będą tam należeć. Tym właśnie jesteśmy: związkiem czystej myśli, czystej i bardziej zdecydowanej od wszystkich debatujących izb, pełnych chciwców i łapówkarzy. A takie izby rządzą w każdym z miast i miasteczek. To demokracja poza zasięgiem słabych. Twoje dzieci będą jej częścią, zwłaszcza bliźniaczki. Marilee i Analee są już otwarte i uczciwe w stosunku do siebie. To jest ogromna część z tego czym jesteśmy, co oferujemy. To wspaniałe życie. Nikt nie jest samotny ani przerażony. I tam na zewnątrz jest nas więcej, nawet nie wiesz, jak wielu, Stąpający po Wodzie.

Edeard obdarzył go uśmiechem zaciśniętych ust.

- Sugeruję, byś nie groził mojej rodzinie. Sugeruję to całkiem poważnie.

- Nikomu nie grożę.

- Naprawdę? Widziałem, jak wykorzystujecie dominację, by związać ludzi, by pozbawić ich wolnej woli. Właśnie w ten sposób doszliście tak daleko. Wydaje się, że tak naprawdę zależy wam tylko na władzy.

Tathal uśmiechnął się szeroko.

- Jak idzie twoja kampania wyborcza na burmistrza? Dinlay organizuje dla ciebie sztab wyborczy. Dinlay zawsze lojalny. Jego podziw dla ciebie graniczy z religijnym uwielbieniem. Czy zniechęcasz go do tego?

– Jeśli zostanę burmistrzem, to dlatego, że ludzie mieszkający w tym mieście powiedzą, że mogę. A kiedy skończy się kadencja, usunę się.

– Twoja szlachetność to część twojej atrakcyjności. Dla ich gatunku.

– Mówicie, jak gdybyście byli odmienni od nich. Nie jesteście.

– Ależ jesteśmy, i o tym wiesz. I, co wzmacnia twoje poczucie winy, ty należysz do nas.

– Dominacja to mentalna napaść. Jest zarówno nielegalna, jak i niemoralna. Chcę, żebyście przestali ją wykorzystywać przeciwko innym ludziom. Możecie zacząć od Colfala.

Kiary i Manel zaśmiali się szyderczo.

– To z nim mamy obchodzić się delikatnie? Nie mówisz poważnie. To staruch i możemy go zgnieść jak gówno geszymipa.

Tathal uciszył ich machnięciem dłoni.

– Nie rób tego – powiedział do Edearda. – Nie uciekaj się do sprawiedliwego oburzenia. To tobie nie przystoi. Byłeś pierwszy. Masz obowiązki względem swojego gatunku. Jesteś pomostem między nami a innymi. Jeśli chcesz zachować szacunek dla siebie, swoją wielkość, będziesz pracował dla nas. Bądź dalej takim pomostem. Ludzie ci ufają. Będą potrzebowali twojej gwarancji, że to, co dzieje się tutaj, jest nieuniknione. Jesteś niezbędny dla transformacji, Stąpający po Wodzie. Nie możesz nas zatrzymać – jesteśmy siłami natury. Przeznaczeniem. Pomóż nam. A może uważasz, że jesteś ponad to?

Edeard wznosił palec w geście ostrzeżenia, ponuro zdając sobie sprawę, jak żałosny ten gest musi wydać się gniazdu.

– Przestańcie się wtrącać do życia innych ludzi. Zostawcie ich umysły w spokoju. Nie jesteście lepsi. Wszyscy jesteśmy...

– Jednym narodem? – spytał Tathal z niemal dotykającą kpina.

Edeard odwrócił się i wyszedł z pokoju. Nieco go dziwiło, że nadal żyje i że mu na to pozwalają.

Kiedy wstrząśnięty powrócił do domu, w zigguracie była już Mirnatha. Zupełnie zapomniał o jej odwiedzinach. Razem z

mężem, Olbalem i dziećmi przebywała na dziesiątym piętrze. Kristabel na podłodze prywatnego salonu zabawiała dwoje dzieciaków, które przestawały raczkować, a starsze dzieci bawiły się z dziećmi Marakas i Rolara w wielkim pokoju dziecięcym po drugiej stronie zigguratu. Dziecięce podniecone śmiechy i piski odbijały się echem w rozległej klatce schodowej. Edeard, niemal u szczytu schodów, uśmiechnął się smętnie na te dźwięki. Przeszedł krótkim korytarzem do sypialni i w zamyśleniu spojrzął na zamknięte drzwi. Obraz Kiary i Manela, wślizgujących się tu niewidocznie, by zaznać swego brudnego dreszczyku rozkoszy, za bardzo przypominał mu czas, kiedy porwano Mirnathę. Zbyt wiele wspomnień, powiedział do siebie.

Zanim doszedł do głównego salonu, zdołał nad sobą zapanować i wzmocnić tarczę mentalną. Uśmiechnął się szeroko, gdy Mirnatha rzuciła się, by go wylewnie ucałować, a potem wymienił serdeczny uścisk dłoni z Olbalem. Kiedy Mirnatha wyszła za mąż, zaskoczyła wszystkich. Jako nastolatka i dwudziestokilkulatka używała uciech, jakie miasto mogło zaoferować świetnej partii, córce Wielkich Rodzin. A potem nagle w mieście zjawił się Olbal i Julan, Kristabel i Edeard szybko się dowiedzieli o ogłoszonych publicznie zaręczynach. Ślub odbył się sześć tygodni później w Caldratown, stolicy prowincji Joxla. Kristabel martwiła się, że to małżeństwo nie przetrwa. Edeard miał więcej wiary. Raczej lubił swojego szwagra, właściciela ogromnej posiadłości rolniczo-leśnej w prowincji Joxla, na północ od gór Donsori. Olbal niewiele interesował się miastem, jego polityką i wydarzeniami towarzyskimi. Był człowiekiem praktycznym – umysł miał zaprzątnięty zarządzaniem farmami i cenami na rynku żywnościowym. Taki mężczyzna oferował stabilność, której Mirnatha potrzebowała. I oto byli tutaj, trzydzieści lat później, z dziewięciorgiem dzieci.

– Co słyhać? – Mirnatha usadowiła się z powrotem na kanapie i wzięła od geszympha filiżankę z herbatą.

Edeard zawahał się. Naprawdę nie chcesz tego wiedzieć.

– Niewiele. Jestem nadal tyranizowany.

Mirnatha radośnie klasnęła w dłonie.

– Wspaniale. Dobra robota, siostrzyczko. Trzymaj go na krótkiej smyczy, mówię ci.

Edeard i Olbal wymienili spojrzenia męczenników.

– Nic nie mówiliśmy, ale w końcu kandyduje na burmistrza – oznajmiła Kristabel.

– Naprawdę? – spytał zaintrygowany Olbal.

– To wszystko sprowadza się do wybrania właściwego momentu – wyjaśnił Edeard.

– Czy coś zmienisz?

Nie ja. Ale moje słowo obecnie niewiele się liczy. Spojrzaj na raczkujących Alfala i Fanlola i uśmiechną się z determinacją.

– Myślę, że sprawy idą dość dobrze, tak jak jest teraz. Spróbuję, by nadal tak było.

Trzecią ręką szturchnął zartobliwie Alfala, kiedy chłopiec walnął starym drewnianym wózkiem o nogę fotela. Alfal odwrócił się z figlarnym uśmiechem na słodkiej twarzyczce i pchnął w odpowiedzi swoją trzecią ręką. Siła okazała się zaskakująco mocna, naprawdę bardzo mocna jak na trzylatka.

– Jest twardzielem, mój mały mężczyzna – powiedziała Mirnatha z uwielbieniem. – Ale z drugiej strony one wszystkie są takie. To dzięki dorastaniu na świeżym powietrzu. Wy dwoje powinniście spędzać więcej czasu poza miastem.

– Zrobiłbym to z ochotą – przyznał Edeard. – Zawsze pragnąłem ruszyć w wielką podróż przez morze, by odkryć nowe kontynenty.

– Jak kapitan Allard, co? – spytał Olbal. – To byłoby coś. Mógłbym nawet wybrać się z tobą.

– Po moim trupie – powiedziała Mirnatha.

– Rodziny podróżowałyby z nami – powiedział rozsądnie Edeard. – Przecież taka podróż trwałaby lata.

– Co? Z dziećmi włącznie?

Wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

– Nie ma tak wielkich statków – zauważyła Kristabel.

– Więc je zbudujemy.

– Flota. Podoba mi się ten pomysł – przyznał Olbal.

Kristabel i Mirnatha spojrzały po sobie.

– Marzenia mężczyzn! – wykrzyknęła Mirnatha. – Nigdy się nie spełniają.

Po kolacji Olbal poprosił Edearda o chwilę rozmowy i wyszli do ogrodu. Na nocnym niebie świeciły jasno zarówno Ku, jak i Honious. Zwłaszcza Honious – jego cebulowate, rubinowe obłoki obramowane siarczanymi kosmykami otaczały ciemne centrum, gdzie podobno miały spadać zagubione dusze. Ludzie uważali za zły omen, że dzieli on noc z Władcami Niebios. Władcy byli już widoczni nad horyzontem, pięć migoczących plamek każdej nocy coraz większych.

Edeard zerkał na nich z obawą. Zwykle podekscytowany i rad z ich niedalekiego przybycia, teraz, kiedy znał prawdziwą naturę gniazda, nie mógł powstrzymać się od myśli, że prorocy katastrofy mogą mieć słuszność.

– Dobrze się czujesz? – spytał Olbal.

– Taa, przepraszam. Po prostu rozkojarzyła mnie ta cała sprawa z burmistrzem.

– To mogę zrozumieć. Dobrze, że to ty, a nie ja.

Edeard uśmiechnął się do niego nieszczerze.

– O co chciałeś mnie zapytać?

– Ach... – Olbal oparł się o grubą poręcz i wyjrzał na drugą stronę Wielkiego Kanału Głównego. – Wiem, że to zabrzmiało głupio, że prawdopodobnie robię wiele hałasu o nic.

– Ale?

– Mój siostrzeniec, Constantin. Przybył do Makkathranu trzy tygodnie temu. Był tutaj, by negocjować w tym roku bezpośrednio z kupcami, ustalić ceny na jabłka i gruszki w tym sezonie. Normalnie załatwiamy to z Garroyem z rodziny Linsell i chciałbym, żeby taki układ trwał dalej.

– Znam rodzinę Linsell. Dostarczają mnóstwo owoców na rynki w Makkathranie.

– Tak, cóż... chodzi o to, że Constantin zniknął.

– Jesteś pewien, że po prostu nie przegapiłeś go po drodze?

– Był tu z Torranem. To właśnie Torran powiedział mi, że on po prostu pewnego dnia nie wrócił.

– Jasne. Co się stało?

– Był wtorek. Constantin umówił się na obiad z Garroyem w Niebieskim Lisie przy Złotym Parku, by omówić nową transakcję.

– Znam to miejsce – powiedział sztywno Edeard.

– Nigdy tam nie dotarł. Garroy przyszedł tamtego wieczoru do gospody Torrana, chcąc się dowiedzieć, co się stało. Constantin nie wrócił. Torran szukał go przez półtora dnia, zanim poszedł na posterunek konstabli w Ysidoro. Niewiele mogli zrobić, ale sierżant przy biurku obiecał, że będzie wytężał swój dalwzrok. Od tamtego czasu nie mieliśmy żadnych wiadomości.

– Rozumiem.

– Nie przypuszczałem, że obecnie w Makkathranie grasują jakieś gangi.

– Nie grasują – stwierdził po prostu Edeard.

To było dziwne. Ale z drugiej strony kilku dowódców posterunków wspominało, że w ostatnich paru latach liczba zaginionych lekko wzrosła. Należało tego oczekiwać, zważywszy, jak wielu przybyszów Makkathran przyjmował i jak słabo znali topografię miasta.

– To był ranek, Edeardzie, pełne światło dnia. Co mu się mogło przytrafić? Torran sprawdził szpitale, a nawet cmentarz.

Edeard położył dłoń na ramieniu Olbala, próbując przepchnąć uczucie duchowego pokrzepienia.

– Porozmawiam z kapitanem stacji. Wątpię, czy była to dla nich sprawa pierwszoplanowa. Przynajmniej to mogą zmienić.

– Dziękuję, Edeardzie. Nie cierpię wykorzystywać w taki sposób rodziny, ale moja siostra bardzo się niepokoi. To był jedyny syn.

– Wszystko w porządku. – Edeard nachmurzył się, myśląc, o co jeszcze powinien spytać. Zagadki tego typu w Makkathranie zdarzały się rzadko. Znał tylko jedną osobę, która rozwiązywała takie dziwaczne łamigłówki, ale to śmieszne – była jedynie wytworem jego dziwacznych snów. Do typowania podejrzanych wykorzystywała metodę eliminacji, a zebranie wszelkich możliwych informacji było dla tej metody rzeczą podstawową. –

Powiedziałeś, że tego roku chciałeś dobić interesu bezpośrednio z kupcami. Czy to niezwykle?

– Właściwie nie. Zwykle wykorzystuję ich agentów. Kupcy mają ich w każdej prowincji. I Garroy odwiedza nas co kilka lat, by podtrzymywać kontakty osobiste. Kiedy tylko jestem w miasteczku, idę z nim na obiad. Potrzeba tego poziomu zaufania, jeśli prowadzisz z kimś interesy.

– Więc co się zmieniło? Dlaczego tym razem trzeba było wysłać Constantina?

– Skontaktowało się ze mną kilku nowych kupców chcących kupić nasze towary. Oferowali dobrą cenę, bardzo dobrą cenę.

– Czy to źle?

– Nie. I w pełni jestem przygotowany na sprzedanie im znacznej części naszych zbiorów. Jednak chcę podtrzymywać interesy z rodziną Linsell. To solidni nabywcy, a ja muszę patrzeć w przyszłość, myśleć o dzieciach. – Uśmiechnął się czule. – Nowi kupcy przychodzą i odchodzą. Constantin został wysłany jako gwarancja, że chociaż oczywiście chcielibyśmy podnieść cenę, nie porzucimy rodziny Linsell.

– Kim są ci nowi kupcy? – Edeard zaczynał mieć w tej sprawie złe przeczucia.

– Pracują dla tutejszego dostawcy w mieście, nazywa się Uphal.

– O co chodzi? – spytała Kristabel. Siedziała na łóżku i patrzyła, jak Edeard wkłada jedwabną piżamę. – I nie mów, że „nic”. Siedziałaś cicho, od kiedy wróciłeś po południu.

– Taa – odpowiedział i wtoczył się do łóżka. Ściany nic nie pamiętały. Kiary i Manel zabrali pamięć zazwyczaj zawartą w substancji miasta. Miał zamiar odkryć, jak to się robi, by wykorzystać to w swoich celach. – Przykro mi, ale nie są to dobre wieści.

– Jestem dużą dziewczynką.

Uśmiechnął się. Przynajmniej dziś włożyła przezroczysty czarny peniuar z bardzo głębokim dekoltem. Nawet po siódemce dzieci pozostała szczupła, a z rozpuszczonymi włosami była

bardzo ponętna. I wiedziała o tym – na jej wargach igrał wyrachowany uśmiech.

– Będę o tym pamiętał – obiecał, obrzucając jej figurę spojrzeniem pełnym jawnego podziwu.

– Czy ktoś umarł?

– Nie. W Makkathranie są mentaliści przynajmniej tak silni jak ja. I jest ich wielu.

– Och. Ale ty wyłowiłeś przez te lata mnóstwo potężnych mentalistów. Jest Marcol i Jenovan. I jak się nazywa ta nowa dziewczyna, która w zeszłym roku przyszła do ciebie?

– Vikye. Nie, kochanie. To, co oni robią, jest o wiele większe i sobie z tym nie poradzimy.

– Czemu? Cóż takiego robią?

– To samo, co próbowali Ranalee i Jeden Naród. Z wyjątkiem tego, że nie chodzi o to, by ustanowić dobrą snobistyczną krew jako suwerena. Tu chodzi o siłę czystą i prostą. Jeśli jesteś silnym mentalistą, oznacza to, że masz prawo rządzić wszystkimi pozostałymi.

– Jest nas wielu do stłamszenia.

– Wiem i to właśnie najbardziej mnie przeraża. Owain miał karabiny i strach, by utrzymywać lud w ryzach. Gniazdo ma dominację, której nie boi się wykorzystywać. Mają także te same umiejętności co ja, jeśli chodzi o miasto.

Kristabel rzuciła mu uspakajające spojrzenie.

– Och, jeśli ich siła wynika ze stanu liczebnego, to możesz ich likwidować po kolei, po jednym.

– Nic z tego – usprawiedliwiał się Edeard. – Nazywają się „gniazdem” nie bez przyczyny. Mają jakby rodzinny umysł. Widok ich wszystkich razem robi wrażenie dość niesamowite. Dawno temu, kiedy szkolił nas stary Chae, kładł nacisk na to, byśmy, stosując dalwzrok zawsze wiedzieli, gdzie są pozostali członkowie oddziału. Gniazdo dysponuje bardziej subtelną wersją tej techniki. Nigdy nie będę w stanie odizolować żadnego z nich.

– Och, gównu Pani, co masz zamiar zrobić?

– Nie wiem. Ale są młodzi i chcą się rozwijać dynamicznie na

swój własny sposób. Nigdy się nie nauczyli, jak zadowalać innych ludzi, ponieważ nigdy nie musieli tego robić. Jeśli się im pozwoli to kontynuować, nigdy się tego nie nauczą. To znaczy, że jest dla mnie niewielka szansa.

- Żeby zrobić co?

- Poprosili mnie, bym został pomostem między nimi i „słabszymi” ludźmi.

- „Słabszymi”? - rzuciła z oburzeniem.

- Tak. To ich sposób myślenia. To właśnie należy przełamać.

- Naprawdę myślisz, że zdołasz to zrobić? Edeardzie, wiem, że nigdy nie rozmawialiśmy o Owainie, Buatem i pozostałych, którzy zniknęli, a ja nigdy nie pytałam, ale... nie mogłeś ich zmusić do zmiany zdania, prawda?

- Nie - westchnął. - Jednak tym razem muszę naprawdę spróbować.

Pani, ale nie chcę być zmuszonym do robienia takich rzeczy jak wtedy.

- Więc cały czas dzielą się myślami?

- Coś w tym rodzaju. Utrzymują, że to rozwijanie demokracji. Nadal są wszyscy indywidualnościami, ale przy podejmowaniu decyzji komunikują się na bardzo głębokim poziomie, w swoim własnym języku mentalnym. Podejrzewam, że właśnie dzięki temu przewyższają każdego siłą: mogą się zgrupować w idealny związek. I im mocniej ten związek ich obejmuje, tym mocniejsi się stają.

Zaintrygował go ich związek. Tak łatwe dzielenie się myślami musi być cudowne, ale oni doprowadzili je do zwyrodnienia, wykorzystując dominację, by zlikwidować koncepcję równości. Podejrzewał, że sprawcą jest Tathal. Gdyby gniazdo mogło wystartować bez tego złowrogiego wpływu, może miałyby szansę rozwinąć się w pozytywny, dobroczynny sposób. Już lata temu doszedł do wniosku, że zdolności parapsychiczne w nowszych pokoleniach są znacząco wyższe niż wśród jego rówieśników. Ludzie się zmieniali, przystosowywali do swego łatwiejszego życia.

Kristabel spojrzała na niego zaniepokojona.

- Przyjmij ich doktrynę albo cię podporządkują?
- W tym problem. Dominacja to nie moja specjalność i Pani mi świadkiem, nigdy nie znalazłem sposobu, jak ją odwrócić.
- Nie - warknęła.
- Jedną z dobrych rzeczy jest to, że zacierają swoje ślady i wzięli się do gromadzenia bogactw.
- Jak to może być dobre?
- To pokazuje, że mimo wszystko nie różnią się tak bardzo od reszty z nas. Gonią za bogactwem i władzą, jak wszyscy.
- Taralee nie goni - natychmiast sprostowała Kristabel. - A ty jesteś ostatecznym bojownikiem o demokrację. Mimo wszystko mógłbyś zostać cesarzem.
- Tak, ale... kiedy zostajesz częścią gniazda, stajesz się częścią tego, czym są i do czego dążą.

Kristabel zmarszczyła nos.

- Bezczelna mentalna arystokracja.
- Owszem. A potem co się stanie z tymi, którzy nie chcą lub nie mogą stać się jej częścią? Gniazdo nie wykazuje żadnych oznak współczucia.

Pogłaskała go dłonią po policzku.

- Biedny Edeard. Musisz znaleźć sposób.
 - Łatwo powiedzieć.
 - Jeśli ty nie możesz, kto to zrobi?
 - Wiem. Przynajmniej zaoferowali się, że mnie wysłuchają.
- Tathal niezupełnie tak to sformułował.

- Czy naprawdę są silniejsi niż ty?
- Kto to wie? Indywidualnie, spodziewam się, że jesteśmy na tym samym poziomie. Choć Marcol z pewnością spanikował, kiedy próbował poskromić Tathala. To ten ich związek mnie martwi.

Kristabel zmarszczyła brwi, rozważając to, co jej powiedział.

- Wygląda na to, że Tathal jest przywódcą.
- Owszem.
- Ale gdyby mieli tę mentalną demokrację, z pewnością nie potrzebowaliby przywódcy. Jeśli jest tak silny, jak myślisz, zwłaszcza w sferze dominacji, czy to gniazdo nie jest po prostu

następnym gangiem, a on jego szefem? Reszta z nich nawet się nie zorientuje. Oni po prostu myślą, że mają wolną wolę. Najgorszym aspektem dominacji jest to, że ofiara po prostu skwapliwie ją akceptuje.

– Wyglądało na to, że oni wkładają coś do związku. Ale, mówiąc uczciwie, nie mogłem zinterpretować żadnej z ich połączonych myśli.

– To on jest kluczem, ten Tathal, prawda?

– Tak sądzę. Ale szanse na to, że kiedyś złapię go, kiedy będzie sam, są nikłe.

– Był tylko sobą, kiedy Marcol się z nim sprzeczał.

– Taa. Masz rację.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście, że mam.

– Więc czy byłabyś łaskawa mi powiedzieć, jak mam obserwować kogoś, kto wie, że zamierzam czekać na okazję, i włada miastem w taki sam sposób, jak ja?

– Jesteś Stąpającym po Wodzie. – Przyciągnęła go bliżej, zarzuciła mu ramiona na szyję. – Ty mi to powiedz.

– Zrobiłeś to – powiedziała Salrana. – Nie wierzyłam, że to zrobisz, że w ogóle zechcesz. Przypuszczam... dziękuję, Edeardzie. Naprawdę jestem wdzięczna.

– Timath wycofał swoje zastrzeżenia? – spytał zaskoczony Edeard. Całkiem o tym zapomniał, nawet nie rozmawiał z Wielkim Mistrzem Gildii Prawników.

– Tak. Wszystko załatwione. Kiedy Garnfal zaakceptuje przewodnictwo Władcy, jego majątek przechodzi na mnie.

– Rozumiem. To wspianała wiadomość. E... czy Timath powiedział, dlaczego nie zakwestionuje testamentu?

– Właściwie nie. Mówił tylko, że zmienił zdanie.

– Jasne. Cieszę się, że ci się udało, naprawdę się cieszę.

Zmienił zdanie, akurat, myślał Edeard. Grubymi nićmi szyte. Gdyby gniazdo stłukło Timatha drewnianą pałką, sygnał byłby równie jawny. Chcą, żebym o tym wiedział. Chcą zobaczyć, co

zrobię.

Znalezienie potencjalnych słabości Tathala okazało się zaskakująco łatwe. Edeard polecił Argianowi wysledzenie ostatnich ruchów Constantina. Jeśli zostawił jakikolwiek ślad, zwrócił uwagę ludzi po drodze do Niebieskiego Lisa, Argian to znajdzie. Edeard spodziewał się, że Argian przynajmniej ustali przybliżony punkt zniknięcia mężczyzny. To pozwoliłoby mu na sprawdzenie pamięci wewnątrz struktury miasta. Każda luka byłaby równie obciążająca, jak naoczne świadectwa porwania Constantina przez członków gniazda.

Drugą możliwością było sprawdzenie innych zaginionych. Golbon i Jaralee z początku byli skonsternowani. Prośba o sprawdzenie, czy czyjeś zniknięcie w ciągu ostatnich kilku lat można powiązać z operacjami biznesowymi gniazda, wydała im się dziwna. Od razu jednak wzięli się do kojarzenia informacji w teczkach. Zadania tego typu zawsze szły im świetnie i wkrótce cieszyli się, że idą tym tropem. Mówili nawet, że przydałaby się reinstalacja innych członków komitetu.

W efekcie pozostały jedynie dwa tropy. Tego rodzaju, że musiał za nimi pójść osobiście. I bez wielkiego zaskoczenia potwierdzenie pierwszego zajęło mu jedynie trzy godziny. Mimo wszystko kapitanowie posterunków wiedli życie bardzo aktywne. Zwłaszcza Dinlay, którego kalendarz składał się z zebrań, inspekcji i spotkań z miejskimi notablami. Zagwarantował sobie nawet, że trzy razy w tygodniu pójdzie na patrol ze swymi funkcjonariuszami. W rezultacie jego żona w ciągu dnia miała mnóstwo wolnego czasu.

Edeard unosił się w środku rury transportowej. Oczy miał zamknięte. Powoli dryfował, dotrzymując tempa Gealee. Poruszała się po głównych ulicach Lilylight, zachodząc po drodze do sklepów. Przed południem spotkała się w kawiarni z przyjaciółkami; plotkowały i wzajemnie podziwiały poranne zakupy. Edeard nie wykorzystywał dalwzroku. Wyciągał raczej obrazy bezpośrednio z materii miasta. Gdy szła przez tłum, czuł

nacisk jej wysokich obcasów, odbierał jasnopomarańczowo-czarną plamę jej płaszcza oraz ciągnącą się za nią woń perfum. A potem, tuż przed południem, przeszła przez Kanał Nasty do Abadu, gdzie weszła do jednego z cylindrycznych domków za rezydencją rodziny Jarcon. Mieszkał tam drugi kowal rodziny, wielki dwudziestotrzylatek o gęstej hebanowej czuprynie spadającej mu na ramiona. Gealee szczególnie lubiła wplatać palce w te włosy, kiedy jej lubieżny kochanek grzmocił ją na łóżku, na podłodze salonu, na niewygodnych schodach...

– Już tęsknisz za miodowym miesiącem? – spytał Edeard.

Wynurzył się z cieni głębokiej niszy na Spinwel Lane, w ciemnym wąskim przejściu, szerokim w niektórych miejscach jedynie na dwa metry. Gealee wykorzystywała je jako spokojny skrót nad Kanał Nasty. Na widok Edearda nie spłoszyła się ani nie udała zaskoczenia, ale przez chwilę poprawiała kapelusze z szerokim rondem.

– Podobał ci się widok? – odcięła się.

– Nie bardzo. Dinlay jest jednym z moich najstarszych przyjaciół.

– A ja jestem jego żoną. Całkiem oddaną pod tym względem. Zapewniam cię, że niczego mu nie brakuje.

– Czy Tathal ci kazał, abyś o to zadbała? Czy w ogóle miałaś jakiś wybór?

Jej wargi ściągnęły się i wyduły, kiedy spojrzała na niego chytrze.

– Sprytne – przyznała z niechętnym westchnieniem. – Ale z drugiej strony zawsze uważałam, że stałeś się Stąpającym po Wodzie dzięki nie tylko brutalnej sile. Jak się dowiedziałeś?

– Tathal wiedział, że mam zamiar kandydować na burmistrza. Ufam ludziom, z którymi Dinlay rozmawiał o formowaniu mego sztabu wyborczego, tak jak ufam Dinlayowi oraz Mistrzowi i Mistrzynie Sampalok. Zostajesz jedynie ty.

– Dobra robota. Ale to tak naprawdę ci nie pomaga, prawda?

– Nie jestem pewien. Jak sądzisz, jak Dinlay zareaguje, kiedy się

dowie, że poddaliście go dominacji?

Gealee zaśmiała się.

– Och, wcale tego nie zrobiliśmy. Na tym polega piękno całej sprawy. Jestem w jego typie. Wiesz o tym dość dobrze, widziałeś wszystkie jego żony i przyjaciółki w okresach przejściowych. Musieliśmy tylko umieścić mnie w tym samym pokoju, w którym był on, i czekać. To było nieuniknione. W gruncie rzeczy on jest bardzo ujmujący – jak na kogoś w jego wieku. Tak oddany rządowi prawa i tobie.

– Zostaw Dinlaya w spokoju. Rozumiesz?

– Chcesz, żebym go opuściła? Złamała mu serce? Ponownie?

– Chcę, żebyś trochę odczekała, aż zda sobie sprawę, że popełnił kolejny błąd.

– Dlaczego mu po prostu o tym nie powiesz? Przyjaciół zrobiłby to. – Przechyliła głowę, obserwując go w zamyśleniu. – Nie wiesz, co z nami zrobić, prawda? Czyli wiesz, że nie możesz nas pokonać.

– To wy rozumiecie w taki sposób.

– Jesteśmy tacy sami jak ty. Jedyna różnica: jesteśmy rodziną, nie samotnikami. Może do nas dołączysz? Wiesz, że przyszłość to my. Bo dlaczegóż miałoby się pojawiać nas aż tak wielu? To nasz czas. Nie możesz zaprzeczać faktom. Ale możesz odegrać wielką rolę w narodzinach nowego świata, nowego stylu życia. Właśnie po to przysłano cię tutaj. Właśnie dlatego jesteś pierwszy: byś poprowadził nowym szlakiem.

– Nie możemy dzielić społeczeństwa na tych, którzy mają, i pozostałych. Ludzie, których Pani pobłogosławiła wyjątkowym talentem, mają obowiązek wykorzystania go dla większego dobra. Widziałem, co się dzieje, kiedy jedna rządząca grupa zaczyna myśleć jedynie o sobie. Wtedy jeszcze cię nie było na świecie, ale właśnie tak wyglądał Makkathran, gdy tu przybyłem. Twój sposób myślenia to nie przyszłość – to martwa przeszłość. Roztrwoniliście swój dar. Właśnie temu położę kres.

Jej uśmiech stał się zimny.

Dołącz do nas.

Polecenie było tak silne, że oczy Edearda naprawdę zaszczyły

łzami. Czuł się tak, jakby mózg przebiła mu lodowa igła.

– Pierdolona Pani! – Zatoczył się w tył, walcząc, by tarczą osłonić umysł.

Gealee nie poruszyła się. Żadnej próby kontynuowania żądań.

– Widzisz, Stąpający po Wodzie? To byłem tylko ja, a nawet nie jestem z nas najmocniejsza. Czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek może oprzeć się całemu gniazdu?

Otrząsnął głowę z otępienia, patrzył na kobietę z gniewem i przerażeniem.

– Teraz, kiedy odkryłeś, czym jestem, raczej nie mogę już cię szpiegować – powiedziała z mrozącą obojętnością. – Zamierzam powrócić do gniazda. Jesteś przyjacielem Dinlaya; wytłumacz mu, dlaczego nie ma już żony.

Poprawiła pomarańczowo-czarny płaszcz i odeszła uliczką, głośno stukając obcasami na chodniku.

Edeard patrzył za nią nadal wstrząśnięty. Drżącą dłonią otarł z czoła zimny pot.

To by było tyle z wykorzystaniem jej, by wykryć słabe strony.

Ale uzmysłowiła mu granice, do których gniazdo posunęłoby się, by odkryć, co on robi, do czego jest zdolny. I pozostała mu jedna zdolność, o której nie mieli pojęcia. Sankcja ostateczna.

Jeśli będę musiał jej użyć, nie będę tak brutalny jak uprzednio. Cofnę się i spróbuję przemówić Tathalowi do rozsądku, przekonać go, by podzielił się talentem, zanim stanie się żądnym władzy egoistą.

Z jakiegoś powodu ten pomysł nie napełnił go taką pewnością, jak powinien. Głównie dlatego, że została tylko jedna osoba, którą można by spytać o pochodzenie przywódcy gniazda. Naprawdę nie chciał tego robić, ale nie pozostało mu już wiele dróg do wyboru.

Trzy dni przed przybyciem Władców Niebios tłum wokół wież Eyrie tak zgęstniał, że bardzo utrudniał wszelki ruch w dzielnicy. Niektóre rodziny zdecydowanie odmawiały przeniesienia się gdzie indziej, bo rozbiły obóz z zapasami jedzenia dostatecznymi

na cały okres wyczekiwania. Konstable walczyli o utrzymanie otwartych przejść. Łżono Matki i ich nowicjuszki, gdyż nie pozwalały zapalczywim chętnym wspinać się na górę. Wezwania burmistrza do spokoju i tolerancji padały w próżnię. Przecież nikt z przybyszów nie głosował na niego ani przeciw niemu. Nie usabiał dla nich władzy.

Edeard siedział pod pasiastą markizą. Utkął wokół siebie mgiełkę odosobnienia, kiedy jego gondolier przepływał wzdłuż brzegu dzielnicy. Był wczesny wieczór i nad kanałem sączył się zapach jedzenia smażonego na ogniskach. Oczywiście w Makkathranie ogniska były zabronione. Edeard zgrzytał zębami, ignorując te wykroczenia. Coś trzeba zrobić z czasowymi przybyszami przed następnym przybyciem Władców Niebios. Ale teraz miał do roboty coś znacznie ważniejszego, nie mówiąc już o tym, że osobistego.

Gondola przepłynęła Wielkim Kanałem Głównym do Leśnej Sadzawki. Edeard wysiadł na przystani. Widział niewyraźnie statki cumujące w dokach, zwinięte żagle prześwitywały przez gąszcz lin. Natran wyznał mu, że liczba pasażerów szukających przewodnictwa Władców w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy wzrosła siedmiokrotnie. Niektórzy kapitanowie z floty rozmawiali o zamówieniu całej nowej klasy statków, bez ładowni, przeznaczonych jedynie do przewożenia ludzi z najdalszych miast nadbrzeżnych.

Czasami Edeardowi wydawało się, że połowa populacji Querencji zdąża do Makkathranu, by móc odlecieć z wież. Obserwował statki dłuższą chwilę, a potem przyznał się przed sobą, że szuka po prostu pretekstu, by zwlekać. Odwrócił się od doków i wstąpił do Myco.

Dom Błękitnych Płatków był otwarty, ale tak wczesnym wieczorem nie miał prawie klientów.

Jak zwykle przed wielkimi frontowymi drzwiami stało dwóch krzepkich mężczyzn. Kiedy ich mijał, obrzucili go bardzo zaskoczonym spojrzeniem, ale nie powiedzieli nic. Wyczuł ich pilną, bezpośrednią dalmowę skierowaną do gabinetu na gorze.

Trzecią ręką pchnął drzwi. Zastanawiał się, ile razy w ciągu tych

lat odwiedzał to miejsce. Ile scysji miał już tutaj? Znużenie i złośliwość podpowiadały jedno: powinienem po prostu zburzyć to miejsce i kazać miastu zrobić tu park. Ale gniazdo prawdopodobnie anulowało tę akcję.

Ranalee czekała. Włosy idealnie ułożone w cienkie loki, długa jasnoszara suknia z delikatnej wełny. Miękka materia przylgnęła do ciała, uwidaczniając brzuch wypukły od pięciomiesięcznej ciąży.

Na ten widok Edeard nagle się zatrzymał. Wszystkie słowa, które wyćwiczył, które miał rzucić jej w twarz, odpłynęły.

Zauważyła jego zaskoczenie i uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Drogi Edeardzie, czy coś się stało?

– Nie... nie wiedziałem. – Machnął dłonią w jej kierunku zakłopotany, głównie ze swojego powodu.

– A dlaczego miałbyś się tym interesować? Musisz zajmować się miastem. – Nalała nieco wina i podała mu kieliszek. – To miły sousax, spróbuj. Sama nie mogę się napić, będąc w tym delikatnym stanie.

– Dziękuję, nie.

– Boisz się, że próbuję cię otruć?

Westchnął.

– Nie.

Jej uśmiech stał się drwiący i westchnęła teatralnie, opadając na długą kanapę.

– Więc czemu tu jesteś? Kristabel cię już nie interesuje? Mam w tej chwili kilka naprawdę ślicznych dziewcząt, wszystkie bardzo dyskretne.

– Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Ranalee.

– Staram się tylko być pomocna.

– Więc opowiedz mi o Tathalu.

Jej spojrzenie przeniosło się w dół na pełny brzuch.

– Co z nim?

– Czy kiedyś... – Potem zdał sobie sprawę, dlaczego ona patrzy na swego nienarodzonego, i jęknął. – Och, Pani, to nie jest...?

– Oczywiście, że to jego. – Jej dłoń dotknęła czule krągłości. – On jest silniejszy od ciebie pod tyłoma względami. W konfrontacji z

nim moje własne oszustwa były niczym. Szybko je przejrzał, szybciej, niż ty to robiłeś kiedykolwiek. Ale mi wybaczył. Pozwolił mi dołączyć do gniazda, a w rewanżu nauczyłam go swojej sztuki.

Edeard starał się badać jej myśli migoczące pod grubą tarczą. Luki były zaledwie wierzchem otchłani spadającej w ciemność. Miał wrażenie, że jej głowę wypełnia hebanowy cień. To nie była Ranalee.

- Zastosował wobec ciebie dominację.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech zmysłowego wspomnienia. Cienie zaczęły nabierać kształtów, odsłaniając siebie jako członków gniazda. Zatapiały ją, kasując wzrok, dźwięki. Nie mogła się poruszać ani krzyczeć. A potem, nagle, nie była już samotna w ciemnościach. On był tam z nią. Trwogę zastąpiła doskonała przyjemność. Powitała ją, zwracając się do źródła, łkając z wdzięczności.

- To było tak podniecające, widzieć, jak wszystkie moje nadzieje w końcu się realizują. Jego siła odurza, Edeardzie. Jest nieopierzony, tak jak ty byłeś kiedyś, ale nie jest takim spętanym głupcem jak ty. Jest wolny i bez trwogi. Moje dziecko będzie równie wspaniałe jak jego ojciec.

- To nie ty to mówisz.

- Jak zwykle się mylisz, Edeardzie. Nie potrzebowałam zachęty, którą otrzymali inni z gniazda. Moje myśli już biegły tymi ścieżkami. Ujął mą dłoń i powiódł mnie dokładnie tam, gdzie chciałam iść. To czułość, której ty nigdy nie okazałeś.

- Zatem nauczyłaś go dominacji.

- Już ją znał. Ja po prostu pokazałam mu subtelność, tam gdzie przedtem miał jedynie surową siłę.

- Pani! Czy w ogóle masz pojęcie, co pomogłaś stworzyć? Co wypuściłaś na resztę z nas?

Jej dłonie zacisnęły się na krągłości.

- Tak - syknęła. - Nie jestem nim zaślepiona, Edeardzie. Nie jestem taka jak reszta gniazda. Podziwiam go. Moje miejsce jest przy nim i on to wie - z jakiegoż innego powodu wzięłby mnie za małżonkę? Moje dziecko będzie częścią przyszłości Querencji,

wielką częścią. – Zaśmiała się. – Może nawet będzie silniejsze od ojca.

– Twoje marzenie – powiedział łamiącym się głosem. – Ale wziął je za swoje własne.

– Dołącz do nas, Edeardzie. – Pochyliła się. – To może być twoja chwila, twój prawdziwy triumf.

Odwrócił się i poszedł ku drzwiom.

– Wiesz, co na to odpowiem.

– Tak... Na szczęście nie wszyscy z twojej rodziny są tacy głupi i reakcyjni jak ty.

Zatrzymał się, wiedząc, że robi dokładnie to, czego chciała. Był znowu manipulowaną przez nią kukiełką.

– Co masz na myśli?

– Mówiłam ci kiedyś, że będziemy mieli twoją krew.

– Co zrobiliście?

– Nie zrobiliśmy nic. Ale wszystkie dzieci w końcu zostawiają za sobą swych rodziców. W głębi serca o tym wiesz.

Ludzie odwracali się i patrzyli ze zdumieniem, jak Stąpający po Wodzie wychynął z solidnego chodnika alei Boldar. Nikt nic nie powiedział. Żaden się nie poruszył. Patrzyli tylko, jak kroczy ze zdecydowaniem do drzwi Morelowej Willi, a jego peleryna łopocze, jakby wiał huragan. Dopiero wtedy zauważył ich spokojne zainteresowanie, identyczny spokój. Rezydenci alei Boldar należeli do gniazda.

Edeard wyczuwał ich w środku, na górze, w wielkim salonie. Marilee i Analee były z nimi, ich myśli były zadowolone, trzepoczące podnieceniem. Myśli niezupełnie takie jak zwykle przedtem.

Edeard był wściekły. Jego trzecia ręka rozbiła frontowe drzwi. Pomaszerował schodami w górę.

Kiedy wpadł do salonu, Tathal miał na twarzy znaczący uśmieszek. Kopia tego uśmiechu widniała na wszystkich twarzach gniazda. Marilee i Analee też tam były. Stały po obu stronach Tathala: Marilee z głową spoczywająca na jego

ramieniu, Analee z ramieniem wokół jego talii.

– Odczyń to! – zażądał Edeard.

Tathal obrzucił Analee leniwym spojrzeniem, a potem spojrzął na Marilee.

– Nie – odpowiedział.

Marilee uśmiechnęła się do niego z uwielbieniem.

– Zniszczę cię.

– Gdybyś mógł to zrobić, już byś to zrobił. Takiego dowodu potrzebowałem. Ponadto twoje córki niemal już były częścią nas. Nauczyły się dzielić.

– Nie bądź zły, tato – prosiła Marilee.

– Bądź szczęśliwy, że jesteśmy takie.

– Przynależące, tak jak teraz.

– Teraz każdy może dzielić się i rozwijać, jak to zawsze robiłyśmy.

– Wszyscy będą razem szczęśliwi.

Łzy groziły Edeardowi osłepieniem.

– To ty im to zrobiłeś.

– Jesteśmy razem – wtrącił Tathal. – Jesteśmy szczęśliwi.

– Ponieważ kazałeś każdemu, żeby taki był.

Edeard miał pewność, że jest wobec nich bez szans, jeśli przejdzie do ofensywy. Nie pozostawiało mu to wielkiego wyboru.

– Proszę, Stąpający po Wodzie, dołącz do nas. Ty i ja jesteśmy równi. Jako burmistrz możesz uczynić przejście tak gładkim, tak bezbolesnym.

– Pani mi świadkiem, nie ma na to szans.

Tathal powoli postąpił naprzód.

– Już to raz zrobiłeś.

– Co?

– Byłem ciekaw. Jaka dokładnie jest twoja moc? Czy to coś więcej niż obcowanie z miastem? Wszyscy teraz to potrafimy.

– Daj sobie z tym spokój – powiedział Edeard. – Teraz. Nie będę prosił powtórnie.

– To takie ciekawe. – Postąpił kolejny krok naprzód. – Wiesz, że nie możesz nas pokonać, a jednak grozisz. Widzę cię na wskroś.

Wierzysz, naprawdę wierzysz, że masz przewagę. – Przechylił głowę i patrzył na Edearda zafascynowany. – Co to takiego? Czego nie uchwyciłem?

– Najpierw moje córki.

– Zobaczyłem coś, kiedy obserwowałem cię uważnie w sklepie Colfala. Roztaczałeś pewność siebie, której nie widziałem u nikogo wcześniej. Myślałeś o sobie jako o kimś nie do pokonania. Dlaczego?

Tylko słowa chroniły Edearda przed trwożnym cofnięciem się, gdy Tathal przysuwał się jeszcze bliżej. Przypominało to kociaka tropionego przez filszczura.

– Uwolnij. Je. Obie.

– Już widziałem, co się dzieje, jeśli wygrasz – powiedział cicho Tathal.

– Co takiego?

– Twoje słowa. Wypowiedziane sekundy przed tym, jak zabiłeś Owaina i jego spiskowców. Oglądałem pamięć komnaty pod Wieżą Spiralną wiele razy. Twoja brutalność robiła wrażenie, Stąpający po Wodzie. Nawet Pani Florrel została rozerwana na strzępy przez ten przerażający karabin. Stara kobieta, choć, jak przypuszczam, nie była nieszkodliwa. Ale co miałeś na myśli? Byłem ogromnie zaintrygowany. Mówiłeś tak, jakbyś widział przyszłość.

Edeard milczał, zbyt wstrząśnięty rewelacją, że jego straszliwy akt został odkryty.

– Czy to właśnie to? – pytał Tathal. – Czy to jest twoim sekretem? Poczucie czasu? – Grymas zadumy położył jego młodą, przystojną twarz. – Ale nie. Gdybyś widział przyszłość, wiedziałbyś, czym jestem, czym się stanę.

– Staniesz się niczym.

– Czym jesteś?

Edeard wrzasnął, kiedy pytanie przepaliło ścieżkę do jego mózgu, spadając jak kwas na każde włókno nerwowe. Musiał to wyznać. Wszyscy członkowie gniazda połączyli umysły z umysłem Tathala, dodając mocy przymusowi. Trzecie ramiona zamknęły się wokół niego, kruszyły mu ciało, dusiły go. Ich myśli

zaczęły wsączać się mu do mózgu, korodując jego wolną wolę.

Nie miał czasu, by być starannym i sprytnym, ani nie miał czasu, by zogniskować się na dalekiej podróży. Myślał o chwili, gdy był wolny – pozwolili mu na to – chwilę przed tym, nim wyłamał drzwi do Morelowej Willi. I sięgnął po nią...

Edeard łapał powietrze, gdy wychynął przez chodnik alei Boldar. Wszyscy odwrócili się, by popatrzeć na niego, ich głowy były pełne identycznych spokojnych myśli. Ponad nim gniazdo oczekiwało.

Nawet nie czekał, by poczuć, czy w ich zjednoczonych umysłach zamigota podejrzenie. Jego pamięć wyczarowała tamten wieczór... nie, tuż przedtem, parę godzin wcześniej w salonie astronoma...

Edeard stał przed Domem Błękitnych Płatków, czekając cierpliwie. Było późne popołudnie i daleko na drugim końcu miasta zaczynała się sesja Wielkiej Rady. W dzielnicy Tosella Finitan pomstował na swoją niesprawność i ból.

W końcu młody Tathal przeszedł pewnie ulicę do Domu Błękitnych Płatków. Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, by patrzeć na Edearda.

– Obserwowałeś mnie – powiedział Edeard.

Twarz Tathala wykrzywił podejrzliwy grymas.

– No i co?

– Boisz się, że mogę cię zatrzymać.

– Niech to Pani pierdoli – warknął Tathal. Jego trzecia dłoń zaczęła się wyciągać, a umysł przykryła nadzwyczaj potężna tarcza.

– Masz niezwykły talent – powiedział spokojnie Edeard. – Może byś się do mnie przyłączył? Ludzie z tego świata potrzebują pomocy. Możesz uczynić tyle dobrego.

– Dołączyć do ciebie? Nawet ty nie zdołasz mnie zdominować, Stąpający po Wodzie. Nie jestem niczym genistarem.

– Nie mam zamiaru próbować tego triku. – zerknął na Dom Błękitnych Płatków. – Ona próbowała kiedyś tego na mnie, wiesz?

– Taa? Musi być bardzo głupia, skoro ta pomyłka niczego jej nie nauczyła. Ale zmusiłem ją do nauczenia mnie wielu rzeczy. – Zaśmiał się drwiąco. – Ona nadal myśli, że mnie kontroluje, ale robi skłony, kiedy jej każę.

– Honious! Już zacząłeś spajać gniazdo do siebie, prawda?

Tathal zmrużył oczy. Złe przeczucia wylewały się spod jego tarczy.

– Czego chcesz?

– Nie ciebie. Jesteś spóźniony. – Edeard wspomniał dzień sprzed paru lat. Sięgnął po niego...

Edeard próbował. Był nawet pod wrażeniem własnej determinacji w szukaniu tej jednej chwili, kiedy w duszy Tathala pozostawała jeszcze odrobina ludzkich uczuć. Jeśli kiedyś istniała, nigdy jej nie znalazł. W końcu zwątpił w ogóle w jej istnienie.

Mimo to próbował. Czekał przed bramami miejskimi, kiedy piętnastoletni Tathal przybył z karawaną. Ale wtedy już dawno ustaliła się jego osobowość. Zdominował całą karawanę, panując nad nią z wozu mistrza. Nie był tak subtelny jak w przypadku gniazda. Mężczyźni i kobiety usługiwali mu, a ich córki stały się jego stajnią kurew. Starych i krnąbrnych wyrzucono po drodze.

Wcześniej... Edeard odkrył, że Tathal pochodził z prowincji Ustaven. Opuścił siedemnaste urodziny Taralee, by pojechać do stolicy, Growanu, na dziewięć miesięcy przed tym, jak Tathal wyjechał z karawaną. Akurat na czas, by wyczuć, jak czternastolatek w końcu zabił Matrara, swojego agresywnego ojca, demonstrując zdolności telekinetyczne, którymi zaszokował świadków. Kilka minut później wyrzucił z domu swoją załamana matkę alkoholicką.

A wcześniej... Pięć lat wcześniej Edeard spędził miesiąc w Growanie, pijąc w tawernie Matrara, próbując przemówić do

rozsądku nieszczęsnemu człowiekowi, usiłując zniechęcić go do stosowania przemocy w rodzinie. Bezskutecznie.

Dwa lata przedtem Edeard przekupił właściciela stolarni, gdzie pracował Matrar, by go awansował, tak by jego życie stało się nieco łatwiejsze. Matrar, mając więcej pieniędzy, mógłby zobaczyć, że dążenie do poprawy otworzy przed nim jaśniejszą przyszłość. Ale dodatkowe pieniądze wydał na dłuższe popijawy, a jego oczywiste wady wywołały niezadowolenie ludzi, których miał nadzorować.

W końcu Edeard znalazł się przed tawerną, którą Matrar obdarzył względami ostatnim razem. Odnalezienie świadectwa urodzin Tathala wśród źle prowadzonych ksiąg Gildii Urzędników w Grovanie wymagało pracy detektywistycznej. Edeard wykonał ją w sposób godny podziwu. Nie żeby ufał całkowicie temu świadectwu. Właśnie dlatego znajdował się przed tawerną na dziesięć dni przed prawdopodobną nocą. Miał na sobie proste ubranie robotnika rolnego i ciężki płaszcz. Jego twarz maskował płytki miraż skrywający. Nawet Kristabel by go nie rozpoznała.

Kiedy kelnerka przeciskała się między poobijanymi, starymi, drewnianymi stołami, Edeard chyłkiem wlał zawartość fiolki z sokiem vinaka do piwa Matrara. Tę czynność powtarzał każdego wieczoru przez dwa tygodnie.

Tathal nigdy nie został poczęty. Nigdy nie istniał, nikt więc nie mógł go wspominać ani odbywać po nim żałoby.

Edeard zdążył wrócić do Makkathranu na drugie urodziny Taralee. Tak jak sobie przypominał, dwa dni później zachorowała na wietrzną ospę. A potem, jesienią tego roku, śmiesznie szczęśliwa Mirnatha ogłosiła swoje niespodziewane zaręczyny. Finitan był w pełni władz fizycznych i umysłowych i popierał specjalny komitet Wielkiej Rady do zwalczania przestępczości zorganizowanej, którego praca przynosiła niezłe wyniki.

Przypominał sobie wszystko. Wydarzenia. Rozmowy. Nawet pogodę. Niewiele rzeczy chciał zmieniać. Z początku. Potem

znużyła go ta powtórka. Wiedza stała się brzemieniem, gdy zaczęli go irytować ludzie powtarzający od nowa te same błędy.

Jedyną rzeczą, która wyglądała teraz inaczej, były jego sny – wciąż dziwaczne, niemożliwe, ale świeże i nowe.

Cheriton McOnna był zmęczony, zdenerwowany i brudny, aż jego ubrania zaczynały cuchnąć. Potrzebował kawy, prawdziwego światła słonecznego i powiewu świeżego powietrza. Jednostka klimatyzacyjna w biurze inspektora gniazda konfluencyjnego ledwo dawała sobie radę. Służyła zbyt wielu ludziom. Ale Mistrz Snu Yenrol kazał intensywnie wypatrywać wszelkich oznak Drugiej Śniącej. Do samego gniazda wszczepiono więc specjalny moduł mający bezpośrednie połączenia z zespołem. To podkreśliło percepcję do niezwykle wysokiego poziomu. Cheriton bardzo tego nie lubił; tak pełne otwarcie umysłu na gajaserę to jak patrzenie bezpośrednio w słońce. Na szczęście potajemnie zainstalował sobie ochronne procedury filtrujące. Pozostali członkowie zespołu Yenrola nie radzili sobie tak dobrze. Niewolniczo posłuszni i pobożni, gorączkowo wertowali rutyny rezonansu emocjonalnego, poszukując najdrobniejszej wskazówki obecności zbiegłego mesjasza.

Widział wokół siebie ich twarze – napięte, skrzywione od natłoku wrażeń pulsujących przez pojedyncze łącze. Mimo to lojalnie stali na posterunku. Jeśli nie zachowają ostrożności, czeka ich ostre przeciążenie mózgu. Yenrol, niewzruszony, uważał, że wydarzenia w Lesie Francola spowodowała Druga Śniąca. Phelim mocno wierzył – a Mistrz Snu to bezwarunkowo akceptował – że Araminta próbuje wrócić z Chobamby.

Krótki ultrabezpieczny komunikat, jaki Cheriton otrzymał od Oscara, jasno stwierdzał, że nie wyłoniła się ze ścieżki silfenów. Nikt jednak nie miał pojęcia, co w zasadzie skłoniło wszystkich agentów do kolejnej obłąkanej awantury. Gajaserfa zareagowała na zmianę stanu ścieżki, ale ze ścieżki nie wyszedł nikt. Teraz w nieunikniony sposób ścieżka się wycofała, jak to zwykły czynić ścieżki silfenów, gdy zaczynali je obserwować wścibscy ludzie.

Cheriton zrozumiał, co to znaczy: Druga Śniąca nie używa jej teraz, tylko chodzi gdzieś tam między światami. Ale spróbuj to powiedzieć Yenrolowi! Mistrz Snu miał obsesję prowadzącą do lekkomyślnych decyzji. Szczerze wierzył, że był tak blisko.

Cheriton szybko się rozejrzył po ciasnym, dusznym biurze, zerkając na stłoczonych kolegów. Dwóch wzdrygało się, gdy jakieś emocje brzdąkały po ich nieosłoniętych neuronach. Drżeli z niemal fizycznego bólu. Yenrol cały czas dygotał.

To niedorzeczne, pomyślał Cheriton. Ona nie jest idiotką. Siły inwazyjne miały jeden cel: znaleźć ją. Przecież ona nie zamierza wmaszerować prosto w nich.

Większość zwykłych wyznawców Żywego Snu podzielała tę logikę. Wyczuwał ich przygnębienie wyciekające do gajASFery, gdy niechętnie szli do worholmu w doku Colwyn City. Ci, którzy mogli. Przyptywy wściekłości wybuchały w gajASFerę za każdym razem, gdy obywatele Viotii fizycznie spotykali niegdysiejszych prześladowców. Cheriton raz przyjrzał się bliżej tym erupcjom emocji; widział w nich strach i ból. Potem zamknął przed nimi umysł. A pojawiało się tego coraz więcej, zwłaszcza w Colwyn City.

Niektóre bardzo blisko. Nie chciał się tym zajmować, ale jednak czuł umysł, który znał, i ten umysł płonął pobudzony przerażeniem. To Mareble, z którą nawiązał bliską znajomość z niewłaściwych moralnie powodów. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale pozwolił, by wrażenia bąbelkowały przez jego gajafesy, i widział jej oczami szeroką, schodzącą w dół ulicę. Ulicę odciętą obecnie przez wzburzony tłum.

– O, cholera! – mruknął pod nosem.

Nic nie mogę zrobić, dodał w myślach.

Gdy obserwował scenę przez miriady emocjonalnych potoków, wszystko się zmieniało. W gajASFerze, tuż przy Mareble i jej głupkowatym mężu, pojawił się umysł. Umysł o niewiarygodnej sile. Rozbłysnął jasno i głośno. Procedury filtrujące ledwie potrafiły ekranować Cheritona przed tą niesłychaną magnitudą. Yenrol i inni koledzy wrzasnęli jednocześnie, ich krzyk bólu ogłuszał w ciasnej przestrzeni.

Mareble chciała tylko wydostać się z tego strasznego świata. Wraz z mężem przybyli tu w znakomitych nastrojach, pełni nadziei, że będą blisko Drugiej Śniącej. Jednakże ich życie zaczęło się błyskawicznie walić, a szczytem nieszczęścia stało się aresztowanie Danala przez Żywy Sen. Ci, co go zabrali, nie byli częścią ruchu, tak jak to Mareble rozumiała. Zespół powitalny, inspirowany przez Kleryka Phelima, z pewnością nie charakteryzował się łagodną pokorą większości wiernych. To byli ludzie agresywni i wyniośli. Uczynili biednemu Danalowi rzecz potworną. Wcale się tym nie przejmowali.

Zwrócono jej męża – był wrakiem, przerażonym, roztrzęsionym, nie poznała w nim tego życzliwego człowieka, jakiego poślubiła. Nie mogli nawet wrócić do przyjemnego mieszkania, które kupili. Właśnie z tego powodu aresztowano Danala. To absurdalne, ale siły Ellezelinu podejrzewały, że małżeństwo jest w zмовie z Drugą Śniącą. Mareble nie mieściło się w głowie, że Araminta jest Drugim Śniącym. Ta ładna, młoda kobieta, trochę nerwowa i spięta, która chciała im sprzedać mieszkanie pracowicie przez nią wyremontowane. To jakoś logicznie nie pasowało. Mareble zupełnie się tego nie spodziewała. Nie było żadnej wskazówki, żadnych podejrzeń, gdy rozmawiali i targowali się o cenę. Wypiła z Drugą Śniącą filiżankę herbaty i w ogóle się niczego nie domyśliła. Coś się nie zgadzało.

Próbowała coś wyjaśnić Danalowi, ale zupełnie nie zwracał na to uwagi. Gdy uwolnili się od zespołu powitalnego, popadł w głęboką depresję, gonił cienie i wrzeszczał na nią. Starła się to ignorować. Przecież nie on mówił jej te przykre słowa; ich źródłem były chaos i ból, jaki spowodowali u niego śledczy.

Przez wiele dni mieszkali w hotelu, żywiąc się tym, co przynoszono im do pokoju. Mareble próbowała pocieszać męża. Cheriton polecił pewne leki, które powinny pomóc, i Mareble próbowała skłonić Danala, by je zażywał. Czasami się zgadzał, częściej ciskał zaparaczem. Czekąca więc cierpliwie, aż mąż wydobreje, a tymczasem szaleństwa inwazji rozpały się na ulicach. Wtedy gruchnęła nieprawdopodobna wieść, że Drugim Śniącym jest Araminta, ale niestety uciekła na planetę, o której

Mareble nigdy nie słyszała, gdzieś po drugiej stronie Wspólnoty. To dziwne, lecz na tę wieść polepszyła się kondycja umysłowa Danala. Zaczął przynajmniej brać leki na psychozę.

Powoli się uspokajała i Mareble czuła, że odzyskuje dawnego męża. Wtedy zrozumieli, że muszą uciekać. Większość wyznawców Żywego Snu na Viotii też podjęła taką decyzję. Nie widać było końca wrogości i przemocy ze strony pozostałych obywateli.

Postanowili opuścić hotel dopiero przed południem, gdy na ulicach pojawi się więcej ludzi, wyznawców Żywego Snu i patroli paramilitarnych. Tak będzie bezpieczniej.

Hotel stał parę mil od doków Colwyn City, gdzie otwierał się wormhol do bezpiecznego Ellezelinu. Zeszli ostrożnie do holu na dole. Był pusty. Kilka dni wcześniej Mareble zamówiła w lokalnym cybersklepie trochę modnych ubrań, które miał dostarczyć bot. Dotychczas nie dostarczył, choć sklep uparcie twierdził, że zostały wysłane. W nowych strojach chciała się wtopić w tłum miejscowych ludzi; teraz musiała wyjść na ulicę w tym, co miała na sobie. Danal, w szarym swetrze i brązowych dżinsach, nie wyróżniał się specjalnie. Tylko te buty – sznurowane. We Wspólnocie nikt już nie chodził w sznurowanych butach. Mareble miała problem ze swoją zielono-białą sukienką. Jej fason wyraźnie pochodził z Makkathranu: w identycznej sukni Kanseen spędziła kiedyś wieczór w Orle Olovana.

Sprzed frontowych drzwi wezwała taksówkę. Tuż przy hotelu przebiegały szyny miejskie. U-adiunkt raportował Mareble, że firmy przewozowe nie reagują na jej zamówienie. Ich wspólny system zarządzania wysyłał przeprosiny i informował o rychłym wznowieniu usług.

– To niedaleko. – Uspokajała bardziej siebie niż męża. – Chodź, pójdziemy pieszo. Za godzinę znów będziemy w Ellezelinie.

Danal skinął głową i zacisnął wargi w cienką, pobladłą linię.

– Dobra.

Z hotelu wychodziło się na ulicę Porral, teraz przed południem niemal pustą. Było ciepło, świeciło słońce. Z oddali dobiegał

odgłos napowietrznych syren oraz stłumiony szum – Mareble wiedziała, że to gwar polującego tłumu. Ulica Porral rozszerzała się w aleję Daryad, główną trasę przelotową w tej części miasta, schodzącą ze wzgórza ku rzece Cairns. U podnóża stoku znajdowały się doki. Nadzieję dawał sam widok opadającej w dół szerokiej alei z wysokimi domami i bezgłośnymi solidami, zmieniającymi kolor i kształt, by sterować nieistniejącym ruchem pojazdów naziemnych. Mareble dostrzegła najwyżej setkę ludzi.

Danal, równie optymistyczny, wziął ją pod ramię i ruszyli szybkim krokiem. Po obu stronach ulicy wiele sklepów zdewastowano. Wybite okna zalepiono czarnymi węglowymi płachtami. Reklamy przeważnie nie świeciły. Trzy rozbite gondole taksówkowe blokowały miejskie szyny biegnące środkiem ulicy. Ludzie, których mijali, unikali ich wzroku. Nikt nie przekazywał niczego do gajASFery. Nikt nie chciał być zauważony. Mareble widziała osoby zmierzające w dół w parach i grupach. Szły szybko, z taką samą determinacją jak oni dwoje, choć próbowały robić wrażenie swobodnych.

Pokonali połowę drogi do szybko płynącej rzeki i nieco odetchnęli, gdy z poprzecznej ulicy doszły ich krzyki tłumu i zobaczyli mężczyznę biegnącego rozpaczliwie w ich stronę. Goniło go z pięćdziesiąt osób.

– Uciekajcie! – wrzasnął, mijając ich.

Czarny, filcowy kapelusz spadł mu z głowy. Prześladowcy o twarzach wykrzywionych nienawiścią i żądzą krwi doganiali go szybko. Mareble i Danal ruszyli za nim: to był czysty instynkt.

– Pomocy! – wołała Mareble. Jej u-adiunkt wysyłał alarm do sił Ellezelinu, ale nawet go nie potwierdzono. Krzyczała do gajASFery; otrzymała tylko odrobinę współczucia od wyznawców Żywego Snu. – Niech nam ktoś pomoże!

Danal ciągnął ją za rękę. Suknia płątała się jej między nogami, buty do kostki nie nadawały się do biegu. Do doków brakowało im zaledwie półtorej mili. Nerwy Mareble palił strach, gdy zalała ją adrenalina. Przypomniał jej się Stąpający po Wodzie zdradzony przez Salranę. Wtedy, na górze, gdy w pawilonie osaczyły go zbiry Arminela. Nawet wówczas zachował godność.

Muszę być taka jak on.

Zahaczyła o coś stopą i przewróciła się na kamienny chodnik. Boleśnie zdarła kolana i skórę na dłoniach. Ramię ją łupało. Jęczała przerażona, wiedząc, że to już koniec.

– Pani, proszę! – chlipała.

Danal podniósł ją na nogi.

Błyskawicznie otoczyli ich ludzie o wściekłych, wrogich twarzach. W rękach mieli drewniane kije i metalowe pręty, kilku trzymało małe laserowe palniki.

– Nie! – Łzy zamazywały jej obraz. Gardziła sobą za słabość, ale wiedziała, że zrobią jej krzywdę. Umrze, zanim pozna prawdziwy cud Pustki.

– Wezwałem paramilitarnych – oświadczył Danal wojowniczo.

W skroń walnął go pręt. Trzasnęło okropnie. Danal ledwo zdążył otworzyć usta z bólu, gdy kolejny cios trafił w goleń. Danal padł od razu, bezwładna ręka wysunęła się z dłoni żony.

– Nie! – Oszalała Mareble patrzyła błagalnie na mężczyznę stojącego tuż przy niej. Był w średnim wieku i wyglądał normalnie w eleganckiej marynarce. Nie uderzy kobiety, pomyślała. – Chcemy sobie pójść. Pozwólcie nam pójść.

– Suko! – Pięścią uderzył ją w nos.

Usłyszała trzask kości. Zszokowana, otepiąta z przerażenia, przez sekundę nie czuła bólu. Ale zaraz straszne pulsowanie przeszło jej mózg. Krzyknęła i padła na kolana. Z boku widziała, jak but trafia Danalą w zębra. Krew ciekła jej po ustach i brodzie.

– Wystarczy! – rozległ się spokojny głos kobiety. Ciemna postać weszła w środek tłumu.

I wtedy gajaserę zalały współczucie i życzliwość. Zadziwiające wrażenie rozszerzało się, rosło. Mareble nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła. Zadziwiona wstrzymała oddech, patrząc zwięzonymi oczyma na kobietę, która rozsunała swój płaszcz, jakby wyłaniała się z kokonu. Miała na sobie długą kremową togę, podobną do stroju Kleryków. Toga promieniowała jakby sama z siebie. Wisiorek na cienkim złotym łańcuszku świecił na twarz Mareble intensywnym niebieskim światłem, które w jakiś sposób wyssało z niej strach. Na chwilę opuściła swoje ciało i

spojrzała na gwiazdy z punktu poza Galaktyką. Widok wlał w jej serce niezwykle ciepło. Potem znów znalazła się na Viotii i milcząco, nabożnie patrzyła na uśmiechającą się do niej postać.

Pierwszy szereg tłumu się zawahał. Początkowo patrzyli wściekle na intruza, teraz byli oszołomieni. Nawet ich nienawiść i wściekłość nie mogły się ostać wobec jaśniejszego spokoju i pociechy, jakimi postać emanowała do gajASFery.

Danal uniósł głowę i mimo bólu patrzył z niedowierzaniem.

– Śniąca! – wykrztusił zadziwiony.

– Cześć, Danal! – Araminta uśmiechnęła się do niego.

Włożyła w powitanie trochę zadowolenia Władcy Niebios, czując, jak spływa ono na znękanego mężczyznę, jak przynosi mu ulgę. Mareble patrzyła na nią z uwielbieniem, gdy Araminta próbowała zatamować jej krew ze złamanego nosa. Tymczasem z całej Wspólnoty wyznawcy Żywego Snu przesyłali powitania i podziękowania, że w końcu Śniąca wyszła z ukrycia, by wypełnić swe przeznaczenie. Niesamowita fala życzliwości połączona z emocjami miliardów ludzi ogarnęła setki światów.

W końcu jeden z ludzi w tłumie otrząsnął się z oszołomienia, jakie Araminta i Władca Niebios promieniowali z gajASFery. To ten, który uderzył Mareble.

– Ty! To wszystko twoja wina – rzucił. Podniósł metalowy pręt.

Araminta patrzyła na mężczyznę, czując, jak coś przepływa od Władcy Niebios do jej umysłu; jej myśli wzniosły się jeszcze wyżej. Przypomniała sobie niegodziwe zdolności Ranalee.

– Nie – odparła spokojnie i zmieniła jego umysł, opróżniając go ze strachu i nienawiści.

Otworzył usta w bezgłośnym westchnieniu; metalowy pręt brzdęknął o bruk. W górze ryczały już kapsuły. Araminta patrzyła z uśmiechem, jak lądują, i przekazała ich widok wszystkim, wszędzie. Wyciągnęła rękę i pomogła Mareble wstać. Postacie w zbrojach przeciskały się przez ponury tłum.

– Dziękuję, panowie – powiedziała spokojnie, gdy podeszli prosto do niej z wyciągniętymi pistoletami wycelowanymi w tłum. – Proszę, pomóżcie Danalowi.

Oficer dowodzący zawahał się. Wyczuwała w jego umyśle

niepewność, rozpaczliwą chęć, by być teraz gdzie indziej.

– Musisz z nami pójść – oznajmił.

JESTEM ŚNIAĆĄ, rozgłosiła Araminta w gajasferze, wykorzystując potęgę Władcy Niebios, by wzmocnić swoje twierdzenie.

Oficer aż się zachwiał, kolana się pod nim ugięły i omal nie upadł. Z tyłu, za nim, ludzie wzdragali się, próbowali schować się przed siłą jej myśli.

– Czy Stąpający po Wodzie podróżował kapsułą? – podjęła łagodnie. – Nie sądzę. Pójdę pieszo do wormholu. Ci z was, którzy chcą iść za Snem, mogą mi towarzyszyć. – Wzrokiem oceniała tłum. Nikt nie spojrział jej w oczy. – Jeśli ktoś zrobi krzywdę moim zwolennikom, zajmiemy się nim. – Znów zwróciła się do oficera: – Pana nazwisko?

– Darraklan. Kapitan Darraklan.

– Dobrze, kapitanie, pańscy ludzie będą tworzyć eskortę. W mieście zapanuje pokój. Takie jest moje życzenie.

– Tak, proszę... pani – jąkał się Darraklan.

Araminta uniosła brwi. Z jej umysłu wystrzeliła wskazówka korekty.

– Tak, Śniąca – poprawił się Darraklan.

– Chodź. – Araminta uśmiechnęła się wytwornie do Mareble.

Tłum się rozstał, gdy ruszyła w dół ulicy ku rzece i dokom. Zdezorientowani paramilitarni Ellezelinu pomogli wstać Danalowi.

Przy końcu alei Daryad zgromadziła sporą świtę. Zewsząd nadciągali uszczęśliwieni wyznawcy Żywego Snu, by ją powitać, z ich umysłów wypływały niedowierzanie i radość. Oddział kapitana Darraklana eskortował ostrożnie, nie stosował przymusu, a jednak zapewniał bezpieczny odstęp od tłumem. Górą leciały kapsuły w tempie maszerujących ludzi. Araminta nie zwracała na nie uwagi.

Przy dokach protestowano. Przed głównym wejściem rozbiło obozowisko kilkuset upartych mieszkańców. Kapsuły śmigające w górze w tę i w tę zupełnie ich ignorowały. Teraz ci ludzie stali w grupie, obserwując z ciekawością Aramintę prowadzącą

procesję. Wśród nich, w pierwszych szeregach, rozbrzmiewały obawa i niepewność. Jedna sprawa to drzwi z butnych i obojętnych paramilitarnych po drugiej stronie płotu – to oni odpowiadali za krzywdy na Viotii – a zupełnie co innego stanąć twarzą w twarz z żywym mesjaszem posiadającym tajemnicze siły telepatyczne. Araminta miała do nich jeszcze ze sto metrów, gdy zaczęli się rozstępować, zostawiając wolne przejście do doku. Wysokie bramy pośpiesznie otwarto – za nimi stały dalsze oddziały paramilitarnych. Dowodził sam Kleryk Phelim, który nie zamierzał tego ani apróbować, ani w tym uczestniczyć.

Araminta wiedziała, że to jej pierwszy realny test na prawdziwość twierdzenia, że jest Śniącą. Phelim nie załamał się jak Darraklan. Była jednak pewna, że nie zdoła się oprzeć technikom dominacji Ranalee. Szczerze wierzyła, że Władca Niebios znów pośpieszy jej z pomocą, gdy o to poprosi, gdy ujawni przeszkody w prowadzeniu wiernych do Pustki, jak to obiecała. W istocie nie potrzebowała interwencji Władcy Niebios. Objęła należne stanowisko lidera Żywego Snu, ich zbawcy. Klerycy stali się jedynie administratorami i biurokratami, prostymi funkcjonariuszami mającymi wspomóc jej życzenia. Sądząc po wyrazie twarzy Phelima i kilku ściśle kontrolowanych myślach, jakimi się podzielił przez gajasferę, on też to sobie zaczął uświadamiać.

Muszę po prostu iść naprzód, powiedziała sobie w tym małym jądrze tożsamości, jakiego nie współdzieliła z gajasferą. Silna, niepowstrzymana, jak obiecałam Bradleyowi. Prawdziwi wyznawcy nie poprą kogoś, kto mi zechce przeszkodzić, skoro mogę poprowadzić Pielgrzymkę. To przecież cel Żywego Snu, to dla nich najważniejsze.

Na twarzy Kleryka Phelima rozlał się uśmiech fałszywego szacunku.

– Druga Śniąca – powiedział z lekkim naciskiem na „druga”. – Tak się cieszymy, że w końcu zechciała się pani zgłosić. Witamy.

Araminta nawet się nie zatrzymała. Szła prosto na policjantów stojących w szeregu za Phelimem. Szybko się rozstąpili.

– Jedną z przyczyn, dla których pozostawałam w ukryciu, jest

to, że spowodował pan tyle cierpienia na tej planecie – odparła, prowadząc swych zwolenników poprzez policjantów.

Mareble, która cały czas szła blisko Araminty, spojrzała na Phelima z wściekłością – uczucie podzielane w stosunku do niego powszechnie. Przed nimi był wormhol. Araminta widziała fioletowo-niebieskie promieniowanie Czerenkova cieknące z krawędzi. W centrum jaśniało inne światło słoneczne.

Twarz Phelima stężała, gdy próbował się opanować.

– Zapewniam panią, że zrobiliśmy wszystko, co mo...

Teraz szedł razem z nią, stąpając dziwnie na boki. Wygrała.

– Gdy zasiądę w Pałacu Sadowym, zarządzę pełne i jawne dochodzenie w sprawie pańskiej roli w tej agresji – rzekła lekceważąco.

– Co...? – Phelim tylko tyle zdołał wykrztusić.

– Przemoc: Stąpający po Wodzie usiłował to wykorzystać. Poświęcił temu swoje życie. Omal go to nie złamało, ale udało mu się. Jest dla nas prawdziwą inspiracją. A ta potworna inwazja to zaprzeczenie idei Żywego Snu. Jeśli wierzy pan, że za spowodowanie tych potworności pozostanie pan bezkarny, to dowód niewyobrażalnej arogancji.

Phelim stanął jak wryty. W całym porcie rozległy się wiwaty. Szczęka mu opadła, gdy Araminta niepowstrzymanie kroczyła do wormholu. Entuzjastyczne okrzyki dochodziły ze strony protestujących tuż przed wejściem.

Uśmiechała się z dumą, smakując zwycięstwo. Wormhol był na wprost niej, strzeżony przez metalowe kolumny najeżone bronią i czujnikami. Siły Ellezelinu rozstąpiły się. Odrzucili hełmy, ukazały się roześmiane twarze. Prawdziwi wyznawcy cieszyli się, że ona tu jest i poprowadzi ich, tak jak zawsze zapowiadał ruch. Wiwatowano na jej cześć i klaskano.

– Dziękuję. Bardzo wam dziękuję.

Trudno jej było się powstrzymać od okazywania radości. Wiele razy miała dostęp do umysłów polityków manipulujących tłumem, zawsze nienawidziła tych cynicznych, aroganckich drani przywdziewających maski osób z ludzką twarzą, gdy zbliżały się wybory. Teraz rozumiała, jak to robili. Umiejętność

manipulowania tłumem jest najwyraźniej wrodzona.

Gdy dotarła do wormholu, przystanąła i ujęła dłonie Mareble, która patrzyła na nią jasnymi oczami z niepokojącym uwielbieniem. Kobieta miała twarz pomazaną zaschniętą krwią i poplamione krwią ubrania.

– Teraz możesz wrócić do domu – powiedziała Araminta oszołomionej kobiecie. – Poprowadzę nas na Pielgrzymkę, gdy statki będą gotowe.

Mareble rozplakała się, wargi jej drżały.

– Już dobrze – uspokajała ją Araminta. – Teraz wszystko jest w porządku. – Co było kolosalnym kłamstwem. Była dość zadowolona z siebie, że udało jej się przeprowadzić wszystko z taką klasą.

Araminta pomachała dłonią swoim nowym przyjaciółom i weszła w paszczę wormholu; tam otuliło ją cieplejsze, bardziej żółte słońce Ellezelinu.

– Niech to cholera! – wymamrotał Oscar.

– To nie ona – powiedział Tomansio.

– Przerobiła nas. – Beckia chrząknęła. – Totalnie nas przerobiła. Zabiła całą Galaktykę.

Liatris, siedzący w drugim końcu kabiny statku, pokręcił głową.

– Sprytna dziewczyna. – Uśmiechnął się krzywo. – Stale ją naciskali, aż zagonili ją w róg. Miała dwie możliwości: ustąpić lub walczyć. Nie spodziewali się po niej tego.

– Bo to nie ona – powtórzył Tomansio z naciskiem.

– Wygląda jak ona – rzekł Oscar.

Jego u-adiunkt ciągle pobierał najnowsze wiadomości z unisfery, ukazujące wejście do wormholmu pół kilometra od magazynów Bootle and Leicester, gdzie ukryli „Rewanż Elvina”. Chcieliby wybiec ze statku i obserwować wydarzenia na własne oczy. Unisfera przekazywała widok setek rozradowanych ludzi idących za nowo objawionym mesjaszem przez bramę wormholu na Ellezelin. Tu transmisja się kończyła. Drugi koniec wormholu znajdował się w zabezpieczonej strefie.

Gajasfera natomiast nadal udostępniała emocje oraz widok Araminty, która szła po niemal pustym polu, gdzie rozlokowywano powracających. W górze nadlatywały w jej stronę kapsuły. Ludzie przerywali pracę przy rozstawionych na terenie maszynach, by wiwatować z okazji przybycia Araminty do Wielkiego Makkathranu.

A jak stary, poczciwy Kleryk Konserwator Ethan na to zareaguje? – zastanawiał się Oscar.

– No i tyle – powiedziała Beckia.

Ciągle marudziła z powodu rękawa medycznego, który musiała nosić. Reperował jej głębokie tkanki, zniszczone w czasie walki w Lesie Francola, gdy opadli ją trzech agenci o wzbogaconych biononikach. To wtedy jej wbudowane pole zostało na chwilę przeciążone z jednej strony. Oscar wyciągnął ją z walk tuż przed lądowaniem kapsuł. Jak uważał, miała szczęście, że Tomansio zdążył ich ewakuować. A kapsuła medyczna dokonała prawdziwego cudu, naprawiając jej ramię.

– Może. Musi mieć jakiś plan – zauważył Oscar.

– To niebezpieczne założenie – rzekł Tomansio. – Liatris słusznie powiedział, że była zmuszona do tego aktu, by po prostu przeżyć.

– Słyszałem, jak twierdziłeś, że nie była sobą – kontrował Oscar. Przystojną twarz Tomansia rozjaśnił uśmiech.

– Właśnie!

– To ona – upierał się Oscar.

– Ciągle nie jestem przekonany – rzekł Tomansio. – Tamta... imperatorka... to nie ta sama dziewczyna, którą śledziliśmy. Stawić czoło Żywemu Snowi... to nie leży w jej psychice.

– W takim razie, co? – spytała Beckia.

– Podwójny bluff. Dopadli ją, włamali się do jej umysłu i zainstalowali swoje własne procedury operacyjne – spekulował Tomansio. – Jest teraz kukiełką Żywego Snu, którą umieszczono w centrum wydarzeń, by skupiała powszechną uwagę. Dodatkowy zysk: robi to, czego chcą wszyscy wyznawcy, i prowadzi ich na Pielgrzymkę. Dla Ethana to doskonała sytuacja, dostaje wszystko, czego chciał.

– Poza Żywym Snem – zauważył Oscar. – To musi być jej następny krok, nie ma wyjścia: teraz musi się domagać tronu.

– To nie ma znaczenia – odparł Tomansio. – On i tak dostaje, czego chce. Przepustkę do Pustki. A równocześnie nie może być winiony, gdyby coś się pochrzało.

– A na pewno się pochrzani.

– Nie kupuję tego – powiedział Oscar.

Pamiętał wyraz strachu i determinacji na twarzy Araminty, gdy przelotnie, niestety, widzieli się w Parku Bodant. Jej wspinała ucieczkę nie tylko przed jego zespołem, ale przed całą grupą agentów wysłanych przez wszystkich graczy politycznych Wspólnoty. Poza tym była potomkinią Mellanie, a to oznaczało kłopoty, jakich obywatele Wielkiej Wspólnoty nawet sobie nie wyobrażają. Mimowolnie się uśmiechnęła. Coś jednak w tej całej sytuacji nie pasowało. Tomansio miał rację. Ale co?

– W takim razie, co ona robi? – spytała Beckia. – Z tego rogu, gdzie ją zagoniono, mogła wyjść, walcząc, ale spaliła za sobą mosty. Teraz musi zabrać Żywy Sen na Pielgrzymkę. Na tym się opiera cały jej wątyl autorytet.

– Samobójstwo? Poprowadzi ich do Zatoki, a tam raielowojownicy rozerwą na strzępy statki z pielgrzymami – spekulował Liatris.

– Nie miałabym nic przeciwko temu – burknęła Beckia.

Oscar uśmiechnął się z przekonaniem, że ma słuszość.

– Trochę wiary! – apelował do swoich Rycerzy Strażników. – Przecież ona jest teraz mesjaszem.

– Chodzi ci o to, żebyśmy tu zostali – jęknął Tomansio.

– Widzieliście, co się teraz dzieje w dokach. Wszyscy wyznawcy na planecie biegają do wormholu, a Phelim będzie musiał wyłączyć kopułę klimatyczną, żeby ich wpuścić. Jeśli teraz stąd wyjedziemy, na pewno nas zobaczą, spalimy naszą przykrywkę.

– Nie potrzebujemy przykrywki, jeśli operacja się skończyła.

– Dajmy jej kilka dni. Przecież teraz ma dużo pracy. I ma mój numer.

– Przecież wszyscy mamy – mruknęła Beckia.

Araminta stała z przodu wielkiej kapsuły pasażerskiej i patrzyła przez przezroczysty kadłub. Pięćset metrów poniżej leżał Wielki Makkathran – fenomenalna aglomeracja ciągnąca się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Słońce lśniło, odbijało się od kryształowych wieżowców wyrastających ponad pysznymi parkami; niższe domy świeciły nieprawdopodobnymi barwami. Musiała przyznać: miasto było piękne. Widok stolicy przesłaniały jednak liczne kapsuły, które zeszły z wyznaczonych tras ruchu i czekały, aż jej statek przeleci obok nich. Potem zakręcały, by dołączyć do uroczystej armady, która już za nią leciała. Tyle ich było, że tworzyły chmurę i na ziemi powstał rozmyty cień.

Daleko na horyzoncie pojawił się ocean. Tam miasto przechodziło w szeroki pas zielonego parku. I tam osadzony na linii brzegowej błyszczał w popołudniowym słońcu Makkathran2.

– Śniąca, czy chcesz się udać prosto do Pałacu Sadowego? – spytał kapitan Darraklan.

Został z Aramintą, gdy przeszli przez wormhol, najwidoczniej mianując się jej osobistym ochroniarzem. Nie protestowała. Gdy zdjął hełm, przekonała się że jest całkiem przystojny: miał kwadratową szczękę i miękko opadające włosy, w czym przypominał jedną z młodszych osobowości pana Boveya.

– Nie – odparła. Cały czas patrzyła na niepokojąco dziwne miasto-replikę. – Edeard przeszedł najpierw przez Północną Bramę. Zabierz mnie tam. Tak będzie stosownie. Pójdę do Pałacu Sadowego piechotą. – Dzięki temu Ethan będzie miał dużo czasu na wystawienie barykad, jeśli się ośmieli. Czuła wisielcze rozbawienie emanujące z umysłu Darraklana. Na pewno myślał to samo, co ona.

Wylądowali w wielkim parku otaczającym kryształowe mury. Gdy Araminta wyszła na trawę, obejrzała się na wielką armadę statków, które walczyły o przestrzeń do lądowania. Niebo dosłownie pociemniało. Pomyślała, że na pewno nie stosują się do miejscowych praw ruchu. To dobrze. Wywołałam odrobinę anarchii. Nie wszyscy tu rygorystycznie przestrzegają praw

Ethana.

Na razie czekali na rozwój wydarzeń. Ich entuzjazm pchał ją do działania. Wyraźne rozsmakowała się w roli Śniącej. Musiała teraz tylko zająć miejsce Ethana, a jedynym na to sposobem było zademonstrowanie, że przewyższa go zdolnościami i determinacją. Tak jak powiedział Bradley.

Weszła przez wielki łuk w kryształowym murze. Ludzie wylewali się ze źle zaparkowanych kapsuł i tworzyli radosną procesję. Z poziomu gruntu nie miała dobrego widoku na Makkthran2. Wysoka Fosa, na którą otwierała się brama, była zapchana ludźmi. Wszyscy mieszkańcy miasta-sanktuarium chcieli ją powitać. Wiwaty aż ogłuszały. Salutował jej oddział mężczyzn w uniformach makkathrańskich konstabli (dokładnie jak brygada Stąpającego po Wodzie). Darraklan i ich sierżant krzykiem odganiaли ludzi, gdy Araminta machała tłumom, cały czas idąc naprzód. Nigdy się nie wahaj, nigdy nie zwalnij.

Po chwili konstable stanęli w szeregu wokół niej, ułatwiając jej przejście na most nad Kanał Północnego Kręgu i do Ysidro.

Myliła się, sądząc, że wszyscy mieszkańcy zebrali się w Wysokiej Fosie. Wąskie, kręte uliczki Ysidro były zapakowane fanami, niektórzy otwarcie płakali. Dziwnie znajoma tawerna Niebieski Lis stała przy moście z rudawego piaskowca. Araminta doszła do Złotego Parku, gdzie na białych kolumnach skrzyło się słońce. Tu też wylało się morze ludzi na wielką otwartą przestrzeń, zdominowaną w perspektywie przez wysokie kopuły Pałacu Sadowego.

Szła eleganckimi alejami parku.

– Rada Kleryków zebrała się przy wejściu do pałacu – szepnęła jej Darraklan do ucha.

– Cudownie – odparła.

Przy alejkach stało mnóstwo dzieci, wpatrzonych w nią z uwielbieniem. Wiedziała, że w końcu musi zawieść to zaufanie, straci ich szacunek. Z takim przeświadczeniem trudno kontynuować zadania, jakie sobie wyznaczyła. Rodzice oszukali swoje dzieci, nie ja. Ja będę dla nich prawdą.

Dotarła do mostu z drewna i drutu nad Kanałem Zewnętrznego

Kręgu. Czując powrót determinacji, przestała zauważać tysiące uśmiechniętych twarzy, które ją dopingowały. Tuż przy niej szedł Darraklan; konstable powstrzymywali napierających, niecierpliwych ludzi. Ich wspólne myśli wywierały presję na Kleryków, by uznali nową Śniąca.

Rada Kleryków rzeczywiście czekała w Sali Malfit. Wyglądali olśniewająco w szkarłatno-czarnych togach. Ethan stał na czele w białych szatach jaśniejących z dala znacznie bardziej niż strój Araminty. To dość uzasadnione, przyznała w duchu. Swoje suknie uszyła z podszewki półorganicznych zasłon pana Boveya.

Kleryk Konserwator skłonił się głęboko.

– Śniąca, witamy. Długo czekaliśmy na ten moment.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko. Kleryk był w zadziwiająco dobrym nastroju jak na kogoś, kogo właśnie przechytrzone politycznie.

– Życzenia warto wypowiadać ostrożnie.

– Zaiste. Czy mógłbym spytać, dlaczego w końcu się zgłosiłaś?

– Nadszedł czas. Pragnęłam również zakończyć cierpienia na Viotii.

– To było godne największego ubolewania.

– To już przeszłość – powiedziała beztrąsko, wiedząc, jak rozwścieczy tym ludzi na swojej rodzinnej planecie. – Przybyłam tu, by poprowadzić tych, którzy chcą dla siebie lepszego życia, którzy chcą żyć tak, jak Stąpający po Wodzie. – Znów wywołała Władcę Niebios, który powiedział:

– Czekamy na was. Poprowadzimy was.

Stłumione okrzyki radości docierały nawet tu, przez grube mury sali. Uśmiechnęła się znacząco do Ethana: teraz ty.

– Jesteśmy zaszczytzeni – rzekł wylewnie.

– Dziękuję. Przejdziemy do komnaty Wysokiej Rady? Musimy ustalić wiele spraw.

Ethan spojrzał na rząd Kleryków z Rady, na ich pełne nadziei, niepewne miny. Jeden z nich uśmiechnął się przebiegle.

– Oczywiście, Śniąca – powiedział.

– Rincenso, nie mylę się? – spytała Araminta.

– Tak, Śniąca.

– Jestem wdzięczna za twoje poparcie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Nie wątpię, wazeliniarzu.

– Którędy?

Rincenso ukłonił się tak nisko, że aż wyglądało to na parodię.

– Proszę tędy, Śniąca. – Wskazał drogę.

Patrzyła na wieczną burzę rozgrywającą się na suficie i dziwnie posmutniała, że widzi tylko replikę prawdziwej Sali Malfit, a żywe obrazy nad jej głową to jedynie kopia układu planetarnego Querencji. Teraz zainicjowała działania, które miały zmienić ten stan rzeczy. Będzie spacerowała po prawdziwym Makkathranie i na własne oczy zobaczy ulice i domy, gdzie rozgrywały się dramaty Edearda.

W milczeniu szli przez mniejszą Salę Toral do komnaty Wysokiej Rady. Araminta uśmiechnęła się na widok słonecznego wiru tańczącego na żebrowanym sklepieniu. Tutaj dysk akrecyjny miedzianego słońca ciągle przeżywał dni chwały, inaczej, niż go niedawno widziała Justine, gdzie jasne komety słabły i pojawiła się nowa planeta krążąca tam, gdzie nigdy jej nie powinno być.

– A więc go nie zaktualizowaliście? – spytała łagodnie, idąc prosto do złoto tłoczonego tronu na szczycie długiego stołu.

– To jest Makkathran Stapającego po Wodzie, Śniąca – rzekł Ethan.

– Oczywiście, choć to nie ma znaczenia. Wkrótce na dobre stąd wyjedziemy. Proszę, usiądźcie – powiedziała uprzejmie.

Ethan zajął miejsce po jej lewej stronie, a Rincenso naprzeciw niego. Foteli wystarczyło dla wszystkich. Nie dla Phelima, zauważyła. Niech tak zostanie. Chudy Kleryk działał jej na nerwy.

– Mógłbym wiedzieć, czy zamierzasz nadal tak szeroko przekazywać wszystko do gajASFery? – spytał Ethan.

– Aż przejdziemy do Pustki – potwierdziła. – Ostatnio w życie wyznawców Żywego Snu wdarło się bardzo wiele wątpliwości i problemów, w znacznej części z twojego powodu, Kleryku. Czuję, że potrzebują otuchy, muszą się sami przekonać, że uczciwie robię wszystko, co w mojej mocy, by poprowadzić Pielgrzymkę.

Teraz to moja jedyna troska. Dlatego domagam się, by rada kontynuowała kierowanie codziennymi sprawami Żywego Snu.

Uważnie przypatrywała się Ethanowi, ciekawa, jak zareaguje na propozycję tego układu. Było aż nadto oczywiste, że ani nie wierzy w jej demonstrowane nawrócenie, ani go nie rozumie. Coś podejrzewał, ale nie widział, co tu się nie zgadza.

– Z przyjemnością będziemy świadczyć wszelką pomoc – oznajmił Ethan.

– I my wszyscy – dodał Rincenso pośpiesznie.

Araminta czuła niesmak z powodu wazeliniarstwa Kleryków, ale musiała się pilnować, by jej uczucia nie wyciekły do gajasfery.

– Doskonale. Zatem moje pierwsze pytanie dotyczy postępów w budowie floty dla Pielgrzymów.

– Kadłuby są gotowe – informował Kleryk DeLouis. – Wyposażenie zajmie trochę czasu, ale miejmy nadzieję, że nie więcej niż miesiąc.

– A napędy? – spytała.

Ethan nie potrafił ukryć konsternacji, a ponieważ siedział zaledwie metr od niej, tym wyraźniej to czuła. Odwróciła się ku niemu i przyszpiliła go wzrokiem.

– Jak oceniam, dotarcie do Pustki potrwa prawie pół roku z wykorzystaniem standardowego hipernapędu.

– Tak, Śniąca.

– Jest również problem z raielami-wojownikami. Justine ledwo się przedarła.

– Czynimy przygotowania – rzekł Ethan niechętnie.

– Czyli...?

Zrobił mały ruch dłonią.

– To poufne.

– Już nie. Teraz koniec z niezdrową obsesją tajności i przemocy. Wyrządziły niesamowitą krzywdę Żywemu Snowi. Inigo i Edeard nie tolerowaliby takich uchybień. Ponadto nie jesteśmy już członkami Wielkiej Wspólnoty i jesteście pod moją ochroną. Co zatem załatwiliście?

– Jesteś pewna, że...

– Tak!

– Dobrze. Zorganizowałem dostawy ultranapędów do każdego statku Pielgrzymki. Podróż powinna potrwać poniżej miesiąca.

– Dobra robota. A okręty raielów? Jak się przez nie przedrzemy? Ethan pozostawał zupełnie obojętny.

– Ten sam ośrodek produkcyjny dostarczy pół siłowych zdolnych odeprzeć atak raielów-wojowników.

– Rozumiem. A koszty?

– Budżet został zapewniony. Przecież mamy do dyspozycji całe bogactwo Strefy Wolnego Handlu.

– Proszę o podanie kosztów, Kleryku – domagała się twardym głosem. – Zwłaszcza kosztów politycznych w zamian za tę technologię.

Wszyscy spojrzeli na Ethana. Ciekawość w gąjasferze wywierała nadzwyczajną presję. Nawet Władca Niebios wykazywał nieco zainteresowania wobec tak ogromnych emocji.

– Nasz dostawca ma być zabrany do Pustki wraz z nami.

– To logiczne – stwierdziła Araminta. Uśmiechnęła się łaskawie.

– Dziękuję wszystkim za obecność. Jutro zorganizujemy formalne zebranie, gdy już się zaaklimatyzują. Ethanie, będę korzystała z prywatnego gabinetu burmistrza tutaj, w Pałacu Sadowym. To będzie moja rezydencja aż do odjazdu.

– Tak, Śniąca. – Ethan był zdziwiony, że nie usłyszał słów potępienia swojego faustowskiego układu.

Darraklan zerknął przez drzwi, gdy przygaszeni, a jednak pełni ulgi Klerycy wychodzili z sali. Araminta uniosła palce w jego stronę.

– Jeszcze chwilę, proszę.

– Tak, Śniąca. – Skłonił się i zamknął drzwi za ostatnim Klerykiem.

Araminta powoli rozejrzała się po komnacie rady. Znów przesunęła wzrokiem po promiennym obrazie wirującym bez końca na suficie. Zastanawiała się, jak Justine dostaje się do wnętrza Pustki. Czy już dotarła do rzeczywistego Makkathranu? Nie, to zajmie wiele dni, tygodni, nawet uwzględniając przyśpieszony czas Pustki. Ale „Silverbird” powinien przybyć, zanim statki Pielgrzymki dotrą do granicy.

Ozzie! Mam nadzieję, że ona i Gore coś zrobią, żeby do tego czasu uratować tych głupoli, bo inaczej jestem po uszy w gównie. Wyglądało na to, że Gore ma jakiś plan, a przynajmniej pomysł. Jest mi przecież coś winien. Może się odezwie.

Przypuszczała jednak, że to na nią spadnie większość pracy. Teraz musiała stawić czoło prawdziwemu zagrożeniu. Głęboko westchnęła, czując, jak miliardy wyznawców Żywego Snu z trwogą współdzielą jej myśli, gdy jej niepokój wyciekał do gajASFery.

– Nie pogadasz ze mną? – spytała komnaty. Twarde ściany odbiły jej głos echem. – Wiem, że nadśluchujesz mych emocji.

Komnata milczała. Pusta. Araminta westchnęła z frustracji i pozwoliła, by jej gniew stał się widoczny.

– Mówię do ciebie; tego, co wyłoniło się z więzienia Ziemi. Kiedyś musisz ze mną porozmawiać, ponieważ stanowią jedyną drogę dotarcia do Pustki. Zacznijmy teraz. Nie obawiaj się. Udowodniłam, że jestem rozsądna i praktyczna.

Ciekawość w gajASFerze gęstniała, gdy wszyscy, pełni napięcia, chcieli się przekonać, do czego ona przemawia. U-adiunkt raportował, że aktywuje się zabezpieczona sieć komunikacyjna komnaty Wysokiej Rady. Po drugiej stronie stołu pojawiła się projekcja solido. Nie osoba, lecz zwykła ciemna kula skrząca się ponurym fioletowym światłem. Araminta patrzyła na to obojętnie.

– Gratulacje z okazji wyniesienia, Śniąca. – Należący do kobiety głos brzmiał melodyjnie złowieszczo.

– A ty kim jesteś?

– Ilanthe.

– Ta, która dostarcza ultranapędy i pola siłowe?

– Tak, moi agenci dogadali się z Ethanem.

– Czy pola siłowe będą na tyle wydajne, żeby ochronić nas przed raielami-wojownikami?

– Tak sądzę. Taki sam rodzaj pól aktualnie chroni Ziemię.

– Aha. A w ramach gratyfikacji chcesz, by zabrano cię do Pustki.

– Bez mojej pomocy nie dotrzecie do granicy.

– A beze mnie nie dostaniesz się do środka.

- Czyli potrzebujemy się nawzajem.
- W takim razie musimy osiągnąć porozumienie.
- Zabierzesz mnie? - W głosie Ilanthe brzmiała nutka zdziwienia.
- Pustka wita wszystkich, którzy szukają spełnienia. Kimkolwiek jesteś, najwidoczniej wierzysz, że potrzebujesz tego, co Pustka może ci ofiarować. Dlatego z radością cię tam zabiorę. Przecież to moja rola jako Śniącej: pomagać tym, którzy pragną dotrzeć do Serca.
- To bardzo szlachetne z twojej strony. I zupełnie niewiarygodne.
- Jesteś złem.
- Nie, jestem zdeterminowana. Nie tylko Inigo i Edeard mieli wizje cudownej przyszłości.
- Niemniej jednak jesteś nieprzyjazna Wspólnocie i jej obywatelom.
- Również pod tym względem źle mnie oceniasz. Po prostu mój cel jest inny niż przyziemne aspiracje naszego gatunku. Cudowny, uszlachetniający cel, jaki mogą współdzielić wszyscy. Do tego potrzebuję pomocy Pustki.
- Zatem życzę ci szczęśliwej podróży.
- Dlaczego?
- Bo Pustka cię unicestwi. Serce nie będzie tolerowało niczego złowrogiego bez względu na to, jaka intencja za tym stoi i czy wynika to z naiwności, czy jest celowe. Nie możesz tego uniknąć, nie zdołasz przed tym umknąć. Mam mnóstwo wątpliwości, ale naprawdę wierzę w dobro Serca, bo jestem nierozzerwalnie związana z Władcami Niebios, a oni naprawdę znają jego szczodrość. Jeśli to będzie konieczne, sama tam pojadę, żeby obnażyć twoje machinacje.
- Życzę ci powodzenia.
- Skoro to wiesz, skoro wiesz, że będę ci się przeciwstawiać, czy nadal chcesz jechać z nami?
- Tak. Czy nadal chcesz mnie zabrać?
- Tak.
- Więc zgoda. Nasz los zdecyduje się wewnątrz Pustki.

– Tak będzie.

Kula zniknęła i projektor solido się wyłączył. Araminta odetchnęła przez wydęte usta. Uśmiechnęła się nerwowo z myślą o miliardach urzeczonych słuchaczy.

– O, Pani! Ciekawe, co przyniesie następny dzień.

Paula też była tego ciekawa.

– Ona coś szykuje – stwierdził Oscar. Używał ultrabezpiecznego linku. – Ta samokoronacja to dopiero początek.

– Nie rozumiem, o co jeszcze może jej chodzić – rzekła Paula.

– Cóż, gdyby to było oczywiste, wszyscy by to załapali i jej podstęp stałby się bezcelowy.

– Uwielbiam twój optymizm. To twoja najbardziej ujmująca cecha. Prawdopodobnie wierzysz, że wkrótce Ilanthe zrozumie, że błądzi.

– Jesteś zgorzkniała.

Paula przetarła dłonią czoło, zdziwiona, że ręka jej drży. Ale przecież nie spała od wielu dni; nawet biononika potrafiła zredukować zmęczenie tylko przez pewien czas.

– Chyba tak. Oscarze, my jesteśmy ci dobrzy, my nie powinniśmy przegrać.

– Do przegranej nam daleko. Statków Pielgrzymki jeszcze nie ukończono, o wystrzeleniu nawet nie wspominając. Więc powiedz, na ile sposobów tajne operacje mogą dokonać sabotażu?

– Setki, ale to tylko opóźnienie. To nie jest rozwiązanie.

– Chcę nadal działać. Chcę się przekonać, czy Araminta się ze mną skontaktuje.

– Nie skontaktuje się. Wszyscy w Galaktyce mogą obserwować każdą sekundę jej życia. To bardzo sprytne. Takie współdzielenie wynosi ją poza zwykły status Śniącego, osiągnęła prawie poziom Edearda. Każdy moment jej życia jest dostępny wyznawcom, mogą ją ubóstwiać, tak jak jego. Ale jej zwolennicy pozostaną przy niej tylko wtedy, gdy będzie robić to, czego chcą, i zaprowadzi ich do Pustki. Nie ma odwrotu.

– Przyznaj mi trochę racji. Ja też pokładam w niej wiarę. Inaczej niż wszyscy inni, ale to jednak wiara. Ona nie jest głupia. I jest potomkiem Mellanie.

– Jeśli twoja wiara opiera się tylko na tym, to siedzimy po uszy w gównie.

– Taa, też to zauważyłem.

Paula uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Dobrze, Oscarze. Nie mam teraz dla ciebie żadnego nowego zadania. Kontynuuj oryginalną misję, sprawdź, czy uda ci się skontaktować z Drugą Śniącą.

– Dziękuję.

– Co twoi koledzy o tym myślą?

– Nadal są na liście płac.

– Wszyscy dobrze się mają? W Lesie Francola było dużo niepotrzebnej przemocy.

– To nie moja wina, przysięgam.

– Ty tam byłeś.

– Byliśmy. I nadal nie rozumiem, co się stało. Ścieżka w jakiś sposób stała się aktywna. Wszyscy to wiedzieliśmy. Do diabła, my to czuliśmy. Ale Araminta nigdy przez nią nie przeszła.

– A mimo to zaraz potem pojawiła się w Colwyn City.

– Właśnie. Zrozum, w niej jest coś więcej, czego my nie rozumiemy. Chyba zauważyłaś, co ona nosi na szyi?

– Tak.

– I wiedziała o Ilanthe. A ja nie.

– To było tajne. Flota wiedziała, że Ilanthe uciekła.

– Ona czerpie skądś informacje. Rozumie, co się dzieje. A to znaczy, że wie, co ma robić.

– Mam nadzieję, Oscarze, że się nie mylisz.

– Ja też mam taką nadzieję. I co teraz zamierzasz?

– Podążać za dostępnymi tropami, zbierać informacje. To co zwykle.

– Powodzenia.

Połączenie się skończyło. Paula odchyliła się w fotelu i zamknęła na chwilę oczy, by zebrać siłę woli przed następną rozmową. To wszystko było bardzo męczące, ale sprawy się

toczą – czy z jej udziałem, czy bez niego.

W jej egzowizji pojawiły się symbole, a procedury wtórne zanalizowały wyniki techniczne. „Alexis Denken” znajdował się teraz w trybie pełnej niewidzialności, pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad równikiem Viotii. Smartkor skrupulatnie przeglądał lokalny kosmos w poszukiwaniu wszelkich oznak osobników czających się nad planetą. Sensory dość łatwo wykryły pierwsze osiem statków. Paula podejrzewała, że te statki wspierają rozmaite grupy agentów na planecie. Teraz smartkor znalazł inny obiekt, bardzo drobną hiperprzestrzenną anomalię ćwierć miliona kilometrów od planety. Efekt maskowania był najwyższej próby: czujniki o gorszej jakości niż te ZAN-owskie na „Alexisie Denkenie” nie byłyby w stanie tego wykryć. Paula zadawała sobie pytanie: kto to jest? I czy to w ogóle ma znaczenie?

U-adiunkt otworzył bezpieczny link do admirała Juliaca.

– Nie spodziewałam się tego – stwierdziła.

– My też nie – przyznał admirał. – Prezydent nie jest zadowolony z dzisiejszych wydarzeń.

– Chcesz powiedzieć, że prezydent jest przerażony?

– Tak. Przypuszczamy, że ktoś nią zawładnął i włamał się do jej umysłu. Teraz sterują nią zdalnie. Prawdopodobnie sam Ethan, a może nawet Ilanthe.

– To niezupełnie pasuje. Ethan i Ilanthe na pewno by nie chcieli, żeby wszyscy poznali ich nikczemne plany. I jak Araminta dowiedziała się o Ilanthe?

– No właśnie, ktoś musiał przejąć nad nią kontrolę.

– Albo połączyła się duchowo z Ostrowem Matki Silfenów, gdy była na ich ścieżkach. Przecież nadal nie mamy pojęcia, jak wróciła na Viotię, a wydaje się, że nazwano ją Przyjacielem.

– No dobrze, więc dlaczego silfenom zależy, by Żywy Sen wyruszył na Pielgrzymkę.

Paula zaczęła masować sobie skronie opuszkami palców.

– Nie mam pojęcia. Ale według mnie to możliwe, że Araminta postanowiła podjąć własną grę. – Nie do wiary, że powtarzała hipotezy Oscara. Ale co mogłoby wyjaśnić takie niezwykle

zachowania Araminty?

- W takim razie jej gra zabija nas wszystkich.
- Czy flota zniszczy statki Pielgrzymów?
- Prezydent Alcamo próbuje podjąć decyzję, co robić. Jesteśmy teraz równie narażeni jak przedtem, a nawet bardziej. Jeśli Ilanthe dotrzyma swojej obietnicy i dostarczy statkom pół siłowych bariery solarnej, to statki staną się odporne na wszelkie nasze ataki. Zostaje dla nas wąski przedział czasu, gdy ciągle jeszcze będą w fazie budowy.

Paula natychmiast dostrzegła problem.

- Są budowane na skraju Wielkiego Makkathranu.
- W zasadzie w granicach miejskich, a to znaczy, że są chronione przez obronne pola siłowe miasta. Jeśli je tam zbombardujemy, zniszczymy co najmniej pół miasta albo znacznie więcej. Paulo, nawet gdybym wydał rozkaz, nie jestem pewien, czy flota by to wykonała. I nawet bym nie miał do nich pretensji. Tam mieszka szesnaście milionów ludzi.

- W Wielkiej Wspólnocie żyją miliardy ludzi. W Galaktyce biliony istot rozumnych.

- Wiem.

- Dość łatwo byłoby przeprowadzić tajną akcję sabotażową. To nie musi być atak frontalny.

- Zapewniam cię, właśnie tworzymy plany w tym zakresie.

- Ale to najwyżej może odwlec sprawę.

- Jeśli będziemy mieli dość czasu, ZAN może się uwolnić.

- Jeśli za bardzo opóźnimy Pielgrzymkę, Ilanthe może zaproponować Aramincie podwiezienie swoim statkiem. Wtedy naprawdę będziemy mieć problem.

- Bardziej nas niepokoi to, co zrobi Pustka – rzekł admirał. – Już zaczęła ekspansję, gdy Araminta po raz pierwszy usiłowała jej odmówić. Jeśli zablokujemy Aramintę, nie wiadomo, jak Pustka zareaguje. Mówiąc wprost: Pustka teraz wie, gdzie mieszkamy.

- Czyli jednak potrzebujemy alternatywy.

- Owszem, Paulo... Czy orientujesz się, co knuje Gore?

- Niestety nie.

- Cholera. Więc prawie nic nie mamy.

– Wydaje mi się, że raielę odpowiedzieli na naszą prośbę o pomoc w próbie sforsowania bariery solarnej.

– Tak, Qatux zgodził się pomóc. Spodziewamy się, że „Wysoki Anioł” wyleci z Ziemi za godzinę. Flota ewakuuje do Kerenska swój zasadniczy personel, w tym mnie. W końcu nie wiemy, czy to wróci.

– Zaangażowali się, co uważam za obiecujące. W obecnych czasach raielów prawie nic nie rusza.

– Myślę, że Ilanthe i Aramincie udało się skupić ich uwagę.

– Istotnie.

– Masz dla mnie coś jeszcze?

– Wybacz, admirale, ale pozostaje jeszcze jedyna możliwość: że Inigo żyje i jest na „Lindau”.

– A w czym to nam pomaga? Na cholernego Ozzięgo, przecież to on zaczął tę przeklętą bzdurę.

– Właśnie. Może zdoła ją powstrzymać. Zdecydowanie zmienił zdanie i porzucił Żywy Sen. Kilku wpływowych ludzi uważa, że to uzasadnia wydatkowanie znacznych sił i energii, żeby go znaleźć.

– Co sugerujesz? Przechwycić „Lindau”?

– To nie jest dobra opcja. Jeszcze nie teraz. Ten typ Aaron jest zdeterminowany w swojej misji i już zabił mnóstwo ludzi podczas pościgu. W sytuacji zagrożenia może mieć instrukcję wyeliminowania Iniga.

– Albo i nie.

– Zgoda. Ale jeśli Inigo jest ostatnią szansą, jaka nam została, i jeśli jest na pokładzie tego zwiadowczego statku, nie możemy ryzykować. To mały statek. Aaron nie ma niczego w rezerwie, nie ma dokąd uciec. Ostrożność by nakazywała, żeby poczekać, aż dotrze do Szpikulca. To otwiera nasze opcje z taktycznego punktu widzenia.

– W porządku, Paulo, ale są w tym niedopracowane elementy, których nie chcę zaniedbać. Potrzebujemy każdej iskiej nadziei.

– Zapewniam cię, że nie dopuszczę, by się nam wymknął. Mam statek, który w razie potrzeby potrafi szybko dotrzeć do Szpikulca.

Znów przebiegł przez rozległą salę o kryształowym sklepieniu. Przed nim rozpraszali się ludzie, ludzie wystraszeni. Dzieci. Po ich słodkich twarzyczkach leciały strumyki łez.

Choć był niepewny i dezorientowany, wiedział, że tak nie powinno być. Konsekwentnie trzymał się tej myśli. Jedyne przekonanie w świecie, który poszedł strasznie złą drogą. Społeczeństwo ludzkie istniało po to, by chronić swoje dzieci. To niezachwiana podstawa, na niej mógł się bezpiecznie oprzeć. Lecz jakież miała znaczenie dla fizycznej rzeczywistości, jaką był otoczony?

Wszędzie wokół niego strzelano, eleganckie, barwne linie wybuchów krzyżowały się w powietrzu, tworząc skomplikowane wzorce. Pole siłowe osnuwało ten obraz fioletową mgiełką. Wtem usłyszał kakofonię krzyków.

Pobiegł, roztrącając grupę płaczących dzieci. Działo się coś niedobrego: za nim kroczyła ciemność, nadciągała falą przez wielkie pomieszczenie. Owinęła się wokół niego. Czuł jej dotyk na swoich ramionach wśród erupcji kontrastowych kolorów. Ból go zagarniał, penetrował ciało, szukał serca.

– Nie opuścisz mnie – szepnęła mu prosto do ucha aksamitnym głosem.

Szamotał się rozpaczliwie w jej uścisku, gdy ból zmieniał się powoli w jeszcze bardziej przerażające zimno.

– Nikt mnie nie opuszcza – powiedziała.

– Ja cię opuszczę! – wrzasnęła ochryple. – Ja tego nie chcę. – Daleko na skraju ciemności eksplodowały kolejne jaskrawe światła. Próbował się dźwignąć, pokonując jej żelazny uścisk...

...i spadł z koi. Rąbnął boleśnie o podłogę kabiny. Dziwna, czarna kremowa mgła przesłaniała mu oczy, gdy próbował skoncentrować wzrok na grodzi „Lindaua”. Pulsowała w rytm uderzeń serca, rozdymała się dziwnie, jakby coś próbowało się wyrwać z jego koszmaru. Jęknął, mocno zacisnął powieki, usiłując przegnać odrażającego natręta. Cierpienie było jednak realne, łupało w skroniach – diabła migrena. Potem przypomniał sobie o koronie cienkich, srebrnych igieł wokół głowy;

nakłuwały skórę, bez trudu przebijały się przez kości i penetrowały mózg, a okropne czerwone światło świeciło w jego myśli, odślaniając każdy żalony fragment jego tożsamości.

– No, dalej! – wrzasnął do nicości. – Zrób to teraz.

Wyciągnęły się ostre, bezlitosne pazury i zaczęły mu rozszarpywać najbardziej vitalne segmenty. Teraz jego krzyki stały się bezgłośnie, trwały i trwały, i trwały, gdy jego mózg darto na strzępy, aż wreszcie, na szczęście, nic nie zostało. Żadna myśl, więc przestał myśleć...

Aaron obudził się z policzkiem niewygodnie przyciśniętym do podłogi, z szyją boleśnie wykręconą. Czuł się tak, jakby odzyskiwał przytomność po bokerskim nokaucie. Skórę miał zimną. Trząsał się – chyba z szoku.

– O, cholera, to się musi skończyć – jęknął.

Powoli siadał.

W kapitańskiej kabinie panował bałagan. Aaron jeszcze się nie pofatygował, by zaprząć bota do sprzątania. Osobiste otoczenie nie było dla niego priorytetem w odróżnieniu od tamtych dwojga, którzy współdzielili małą kabinę i skrupulatnie dbali o porządek. Nakazał szybkie bioniczne skanowanie polowe, sprawdzające jeńców. Odrobinę się rozluźnił, gdy displeje egzowizji pokazały, że oboje są w głównej kabinie. Potwierdził ich status i rozpoczął przegląd systemów „Lindaau”. Wiele układów pracowało na granicy bezpieczeństwa z powodu uszkodzeń, jakich doznał statek na Hanko. Nadal jednak funkcjonowały. Nadal byli w hiperprzestrzeni, nadal na kursie ku Szpikulcowi.

Aaron przez chwilę wycierał się ręcznikiem nasączonym higienikiem, potem wybrał odzież z szafy w kabinie. Kapitan „Lindaau” nosił prawie taki sam rozmiar, więc boty dokonały tylko drobnych poprawek w koszulach i spodniach o konserwatywnym kroju. Teraz ubrany w płowe spodnie do łydek i fioletoworóżowy podkoszulek bez rękawów udał się na śniadanie.

Gdy wszedł do głównej kabiny, Corrie-Lyn spojrzała na niego z nadętą miną i wróciła do swoich płatków z jogurtem. Aaron nie

musiał zapuszczać skanowania – i tak wiedział, że dziewczyna ma kaca. Zrezygnował z zakazywania jednostce kulinarnej – jedynej czynnej na statku – produkowania alkoholu dla Corrie-Lyn. Elektronika jednostki była w złym stanie i na pewno nie potrzebowała wojny softwarowej w swoich obwodach.

– Dzień dobry – powitał uprzejmie Iniga. Przynajmniej eks-Sniący odpowiedział mu krótkim skinieniem głowy, podnosząc wzrok znad tostów z marmoladą. Aaron zamówił podpieczonego bajgla, jajko w koszulce na wędzonym łososiu, sok pomarańczowy i kubek herbaty.

– Dlaczego śmierdzisz wybielaczem? – spytała Corrie-Lyn.

– Naprawdę?

– Używałaś higienika – rzekła oskarżycielsko. – Zwróć uwagę: prysznic działa.

Jednostka kulinarna brzdęknęła i Aaron otworzył drzwiczki z nierdzewnej stali. Wewnątrz czekało śniadanie. Zanim je przełożył na talerz, zawahał się – powstrzymał go dziwny zapach. Krzesło przy stole już wcześniej się połamało, gdy próbowało się schować. Teraz z podłogi wystawała szara bryła z wgłębieniem na górze za wąskim i za płytkim, by nadawało się do siedzenia. Aaron jakoś się wcisnął.

– Prysznic jest w waszej kabinie – stwierdził.

– A ty cenisz bardziej naszą prywatność niż swoją higienę? Od kiedy?

Inigo przestał jeść i wzniosł oczy do sufitu.

– Corrie-Lyn, pewien czas spędzimy razem na tym statku – powiedział Aaron. – Na pewno zauważyłaś, że jest dość ciasny i sporo rzeczy nie działa zbyt dobrze. Nie oczekuję, żebyś wylewnie mi dziękowała, ale sądzę, że podstawowe formy grzeczności pozwolą nam przebrnąć przez to i nie będę wam musiał wyrywać kończyn. Dotarło?

– Ty faszystowski draniu.

– Czy to prawda, że Kleryk Ethan trzymał cię w Radzie Kleryków, bo byłaś jego prywatną dziwką?

– Wal się! – Corrie-Lyn szybko wstała i wściekle spojrzała na Aarona.

- Widzisz? To działa w obie strony – powiedział Aaron łagodnie.
- A ty nie możesz mi wyrwać kończyn.

Wyszła z pokoju. Inigo patrzył w ślad za nią, potem wrócił do jedzenia. Aaron upił łyk soku i nabrał trochę jajka. Smakowało zdechłą rybą.

- Co, do diabła...?
- Mój tost smakuje jak zimny kęs tłustej jagnięciny – rzekł Inigo.
- Biononiką próbowałem zmienić u siebie receptory smaku. Trochę pomogło.

- Dobry pomysł. – U-adiunkt Aarona przeglądał jednostkę kulinarną, by zdiagnozować problem. Wyniki niczego dobrego nie wróżyły. – Pliki pamięci tekstury są uszkodzone, a na pokładzie nie ma kopii zapasowych, pakiety jednostek pamięci zostały fizycznie zgniecione. Przez całą drogę do Szpikulca będzie produkowała takie świństwo.

- Corrie-Lyn nie ma biononiki. Nie może nic zrobić, żeby lepiej smakowało.

- Na pewno będzie miała mnóstwo radochy. Musimy przejrzeć pakowane zapasy, sprawdzić, czy dla niej wystarczy.

- Albo możesz się połączyć z unisferą przez kanał transwymiarowy i pobrać nowe pliki.

Aaron spojrział na niego znad szklanki soku, całkiem znośnego.

- Nie ma mowy. Nie mogę ryzykować infiltracji. Smartkor jest w takim samym stanie jak reszta statku.

- Ostatniej nocy miałeś zły sen – powiedział Inigo cicho. – Powinieneś uważać na aspekty sączące się do twojej autentycznej osobowości.

Aaron uniósł brwi.

- Mojej autentycznej osobowości?

- No, dobrze, tej, która cię podtrzymuje i sprawia, że jesteś funkcjonalny. Martwi mnie pan Paranoja, który boi się ściągnąć plik do syntezy jedzenia.

- Dobrze, a tak na przyszłość, ta sama osobowość ciągle trzyma mnie przy życiu przez wszystkie moje misje i pomogła mi was schwytać. I zajęło mi to zaledwie parę tygodni, od kiedy wyznaczono mi to zadanie, a wszyscy inni we Wspólnocie

polowali na was siedemdziesiąt lat. Może więc skłoni cię to do zrewidowania kiepskiej oceny moich osobistych zdolności operacyjnych.

Dłonie Iniga zatrzepotały w geście zgody.

- Jak sobie życzysz. Ale zrozum, interesuje mnie twoja konstrukcja. Nigdy wcześniej nie spotkałem umysłu dokładnie takiego jak twój. Miewasz okresy nieobecności i nie chodzi tylko o luki w pamięci. Struktura emocjonalna wydaje się zdławiona. To nie jest dla ciebie korzystne. Pozwoliłeś sobie na nadzwyczaj silne emocje i w efekcie jesteś wytrącony z równowagi.

- Corrie-Lyn też mi to ciągle powtarza. - Znów skosztował jajka. Dzięki biononice zmienił receptory smaku i teraz żółtko smakowało grzybami. Dziwacznie, ale ujdzie.

- Byłeś dla niej nieuprzejmy - oskarżył go Inigo. - Nic dziwnego, że cię nienawidzi.

- Dla niej znalazłem ciebie. Jest niewdzięczna, to wszystko. Albo może nie chce sama przed sobą przyznać, jaką zgodziła się zapłacić cenę.

- Jaka to cena?

- Zdrada. Była potrzebna, żeby cię wyśledzić.

- Hmm. Interesująca analiza. To wszystko prowadzi nas do bieżącej sytuacji. Więc wieziesz nas do Szpikulca, byśmy zobaczyli się z Ozziem. A co potem?

- Nie wiem.

- Twój nieznany pracodawca musiał ci dać jakieś wskazówki, jakiś zgrubny plan. Żeby być skutecznym agentem w terenie, musisz cały czas na nowo oceniać alternatywy. A jeśli „Lindau” zostanie zestrzelony przez opozycję... kimkolwiek ona jest? A jeśli zostaną porwany?

Aaron uśmiechnął się.

- Wtedy cię zabiję.

Corrie-Lyn i Inigo zajmowali wspólnie małą kabinę. Przeznaczona była dla pięciu osób, ale zgodnie z teoretycznym harmonogramem floty, gdy zmiany wart następowały co kilka

godzin, w kajucie przebywały jednocześnie tylko dwie osoby. Inigo ocenił, że wszyscy musieli być ze sobą bardzo blisko. Obie koje były rozsunięte na pełną długość i zaczepione pod kątem dziesięciu stopni, a ich brzegi zakrzywiały się, jakby zniszczyła je wysoka temperatura. Zatem między kojami zostawał wąski klin. Nie nadawały się do snu. Inigo rozłożył więc kołdry na podłodze i tam sobie umościł wygodne łoże.

Gdy wrócił po śniadaniu, zastał Corrie-Lyn siedzącą po turecku na zmiętej pościeli. Popijała czarną kawę z kubka. Puste opakowanie po gotowcu leżało obok niej na podłodze.

– Smakuje? – spytał.

Podniosła opakowanie.

– Wykwintne ziarna z górskiej plantacji deSavoel. Lepszych nie znajdziesz.

– Powinno pomóc na kaca. – Usiadł ostrożnie na brzegu koi, która się lekko ugięła, choć nie powinna.

– Pomaga – burknęła Corrie-Lyn.

– Ciekawe, czy jest gatunek kawy pomagający zmienić nastawienie.

– Nie zaczynaj.

– Co się z tobą stało, do Honiousa?

Lekko piegowata twarz dziewczyny posiniała.

– Ktoś zrezygnował. Nie tylko ja, on porzucił cały ten cholerny ruch. Poddał się i wyszedł bez słowa, nie powiedział dokąd. Wszystko, co kochałam, w co wierzyłam, przepadło, zostało mi wydarte. Poświęciłam dziesiątki lat życia tobie i snom, które nam obiecywałeś. A na dodatek nie wiedziałam! Nie wiedziałam, dlaczego się wycofałeś. Niech Pani to pieprzy, nie wiedziałam nawet, czy żyjesz. Nie wiedziałam, czy z nas zrezygnowałeś, czy wszystko poszło nie tak, czy straciłeś nadzieję. Ja. Nie. Wiedziałam! Nic – z tym mnie zostawiłeś. Najpierw wszystko: bajeczne życie pełne nadziei, szczęścia i miłości, a potem w jednej sekundzie nic. Czy wyobrażasz sobie, jak to jest? Nie wyobrażasz sobie, bo inaczej nie siedziałbyś i nie zadawał najgłupszych pytań na świecie. Co się stało? Drań. Dla mnie możesz iść prosto do Honiousa.

- Wybacz - odparł przybity. - To... to przez ten mój ostatni sen. To było za wiele. Nikogo nie prowadziliśmy ku zbawieniu. Makkathran, Edeard, cała cywilizacja to był zwykły traf, wspaniały jednorazowy przypadek, który udało mi się uchwycić precyzyjnie we właściwym czasie. To się nigdy nie może powtórzyć, nie teraz, gdy znamy możliwości Pustki. Raielowie mieli rację: Pustka to potwór. Trzeba go zniszczyć.

- Dlaczego? - pytała błagalnie. - Co to był ten Ostatni Sen?

- Nic - szepnął. - Pokazał, że nawet sny zmieniają się w końcu w pył.

- Więc dlaczego...

- ...ci nie powiedziałem?

- Tak!

- Bo coś tak dużego i potężnego jak Żywy Sen nie może się zakończyć z dnia na dzień. Miał dziesięć miliardów wyznawców, gdy go opuściłem. Dziesięć miliardów! Nie mogę się do nich odwrócić i powiedzieć: „o, przepraszam, pomyliłem się; idźcie do domu i żyjcie jak dotychczas, zapomnijcie o Stąpającym po Wodzie i Querencji”.

- Inigo, jakiego znałam, zrobiłby to - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Inigo, jakiego znałam, był odważny i prawy.

- Pozwoliłem, żeby to umarło, albo przynajmniej tak mi się wydawało. To było najbardziej przyjazne. Ethan był tego najlepszym przykładem. Polityk - nie wyznawca. Po nim przyszłyby dziesiątki podobnych przywódców, wszyscy zainteresowani tylko własną pozycją i utrzymaniem starego, ślepego dogmatu. Żywy Sen zmieniłby się w religię starego typu, cały czas głosząc obietnice zbawienia, nigdy nie dając jego realizacji. Beze mnie to by się nie udało. Ja jedyny byłbym zdolny przejść przez barierę. Wiesz, że zamierzałem spróbować, naprawdę. Polecieć tam szybkim statkiem i przekonać się, czy się uda, tak jak to zrobił oryginalny, stary statek. Oczywiście to było, zanim dowiedzieliśmy się o raielach-wojownikach. Ale gdy miałem ten sen, zrozumiałem, że to koniec ideału. Ethan i wszyscy inni, którzy powinni byli za nim pójść, unicestwiliby Żywy Sen w ciągu paru wieków.

– Wtedy pojawił się Drugi Śniący – rzekła.

– Tak. Chyba powinienem być sobie zdać sprawę, Pustka nigdy nas nie zostawi samych. Żywi się umysłami takimi jak nasze. Gdy skosztowała ich po raz pierwszy, musiała znaleźć inny sposób na wciągnięcie nas do środka.

– Mówisz, że to jest zło? – spytała zdziwiona.

– Nie. Takie określenie tu nie pasuje. Ona ma cel, i to wszystko. Niestety, ten cel spowoduje niesamowite szkody na całej Galaktyce.

– W takim razie – spojrzała na zamknięte drzwi – co mamy z tym zrobić?

– My?

Potaknęła ruchem głowy.

– Wierzę w ciebie, zawsze. Jeśli powiesz, że musimy powstrzymać Pustkę, to pójdziemy za tobą do samego Honiousa, żeby tego dokonać.

Inigo uśmiechnął się, patrząc na nią w dół. Miała na sobie koszulę załoganta o kilka numerów za dużą; gdy Corrie-Lyn się poruszała, materiał seksownie układał się na krzywiznach jej ciała. Wczoraj Inigo obserwował ją ze sporym fizycznym zainteresowaniem, sam jej widok prowokował wiele przyjemnych wspomnień z okresu, gdy byli kochankami. Ale Corrie była pijana i pluła trucizną na Aarona, na ich los, na wszystkich winnych temu, co dzieje się ze wszechświatem. Teraz, gdy Inigo zsunął się z łóżka i uklęknął przy niej, zauważył isierkę nadziei w jej oczach.

– Naprawdę? – spytał niepewnie. – Po tym wszystkim, co przeze mnie przeszedłeś?

– To będzie początek twojej pokuty – odparła.

– Słusznie.

– Ale... – Wskazała dłonią drzwi. – A on? Nie wiemy, czy jego zleceniodawcy chcą, żebyś pomógł Pielgrzymce, czy żebyś ją zniszczył.

– Przede wszystkim on na pewno nas podsłuchuje.

– Ach.

– Po drugie, główna sprawa to: z kim mamy się spotkać.

- Z Ozziem?

- Tak. I dlatego nie próbowałem takich sztuczek jak na lodowcu.

- Inigo uśmiechnął się do sufitu. - Na razie.

- Myślałam, że nie lubisz Ozziego.

- Nie. To Ozzie nie lubi mnie. Był całkowicie przeciwny Żywemu Snowi, więc wnoszę, że panowie Aarona należą do tych, którzy nie chcą, by Pielgrzymka wyruszyła.

Corrie-Lyn wzruszyła ramionami i odsunęła z oczu pasmo rudych, gęstych włosów. Skupiona i zainteresowana przygwoździła go zaciekawionym wzrokiem.

- Dlaczego Ozzie cię nie lubi?

- Dał ludzkości gajasferę, żebyśmy mogli dzielić się emocjami. Uważał, że w ten sposób umożliwi wszystkim komunikację na znacznie wyższym poziomie. Jeśli będziemy mogli zajrzeć do serc ludzi, których się boimy albo których nie lubimy, będziemy się mogli przekonać, że w głębi są oni też ludzcy. To była jego teoria. Dzięki tej wiedzy staniemy się bliżsi sobie jako gatunek. Cholera, prawie opłaciło się zbudować frakcję wokół tego poglądu, ale pomysł okazał się na to zbyt subtelny. Ozzie chciał, byśmy się do tego przyzwyczaili, używali otwarcie i uczciwie. Dopiero gdybyśmy włączyli to do naszego życia, zrozumielibyśmy, jaki to ma wpływ na społeczeństwo.

- Włączyliście przecież.

- Niezupełnie. Rozumiesz, ja wypaczyłem gajasferę, by w oparciu o nią zbudować religię. To nie powinno się wydarzyć. Jak mi powiedział, cytując: „gajasfera ma pomóc ludziom zrozumieć i docenić życie, wszechświat i wszystko, żeby nie dali się zwieść jakiemuś idiotcie-mesjaszowi czy zdemoralizowanym politykom”. A ja zniszczyłem jego marzenie, rozpowszechniając sny o Edeardzie. Paradoksalne z mojego punktu widzenia. Ozzie tego nie widział. Okazuje się, że nie ma nawet połowy poczucia humoru, jakiego wszyscy się po nim spodziewają. Strasznie nadąsany przeniósł się na Szpikulec, by zbudować „galaktyczny sen” jako przeciwwagę mojej skandalicznej działalności wywrotowej.

- W takim razie poniósł porażkę?

- Nic o tym nie wiemy.
- Jak może nam pomóc?
- Nie mam pojęcia. Nie zapominaj jednak, że to absolutny geniusz. A w historii tym określeniem zbyt dowolnie szafowano. W jego przypadku to prawda. Podejrzewam, że plan, który załadowano do podświadomości Aarona, zakłada, że Ozzie i ja połączymy siły, by pokonać Pustkę.
- To bardzo ryzykowne założenie.
- Dawno minęły czasy ostrożnej pewności.
- Czy masz choćby blade pojęcie, jak powstrzymać Pustkę?
- Nie. Najmniejszego.
- Przecież byłeś astrofizykiem?
- Tak, ale moja wiedza pochodzi sprzed wieków.
- Aha. - Z ponurą miną odsunęła pusty kubek.
- Posłuchaj. - Głaskał ją po policzku. - Jestem pewien, że Ozzie i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy.
- Skinięła głową, zamknęła oczy i przytuliła się do jego dłoni.
- Nie porzucaj mnie ponownie.
- Razem doprowadzimy to do końca, obiecuję.
- Stąpający po Wodzie nigdy nie rezygnuje.
- Inigo pocałował ją. Było tak jak dekady temu, choć pamięć potrafiła oszukiwać. Bardzo dużo silnych emocji wiązało się z okresem, gdy byli razem. Większość dobrych.
- Nie jestem tak silny jak Stąpający po Wodzie.
- Jesteś - szepnęła. - Dlatego odnaleźliście się wspólnie. Dlatego jesteście połączeni.
- Zrobię, co w mojej mocy. - Trącał ją nosem w brodę. Ręką powędrował pod brzeg luźnej koszuli. - Ale on nigdy nie musiał stawić czoła takiej sytuacji.
- Podróż „Światłem Pani”. - Szarpała za brzeg jego jednoczęściowego ubrania.
- Nie da się porównać.
- Nie wiedział, do czego dojdzie.
- Dobrze. - Nieco się odsunął i spojrzał w jej szeroko otwarte oczy. - Może znajdziemy własną drogę, co?
- A co z...?

– Pieprzyć go.

Corrie-Lyn oblizała zmysłowo wargi.

– Najpierw mnie. Czekałam na to bardzo długo.

Dwudziesty dziewiąty sen Iniga

– Hej, ład! – dobiegł okrzyk z oka.

Edeard zadarł głowę, by zobaczyć załoganta na szczycie głównego masztu „Światła Pani”. To był Manel. Uśmiechał się szeroko i machał ręką wszystkim na pokładzie. Umysł młodego człowieka był bez tarczy – Manel dzielił się ze wszystkimi swoim wzrokiem, teraz skierowanym w dół na obrócone ku niemu twarze.

– Manel! – dobiegło go zespołowe westchnienie.

Jego rozbawienie zalało statek, kiedy ostrożnie się poruszała na niepewnej platformie, by znowu podnieść teleskop. Soczewki w mosiężnej rurze, mimo regularnego czyszczenia, po czterech latach codziennego używania stały się brudne i porysowane. Dawały jednak obraz dość wyraźny. Ciemna plamka wychynęła na horyzoncie między dwiema niebieskimi płaszczyznami.

Edeard zaklaskał na ten widok. Jego entuzjizm rozszerzał się i dotarł do kolektywnej myśli pozostałych czterech statków floty badawczej. Wszyscy się radowali. Ten odległy szczyt na lądzie mógł być tylko jedną ze wschodnich wysp, co oznaczało, że do Makkathranu jest co najwyżej miesiąc żeglowania.

– I co o tym myślicie?! – wykrzyknęła Jiska. – Dobrze to obliczył.

– Taa, taa – przyznał Edeard, zbyt szczęśliwy, żeby się odciąć.

Natran, który dowodził „Światłem Pani”, już od pięciu tygodni zapowiadał pojawienie się wschodnich wysp. Ludzie zaczęli powątpiewać w jego umiejętności nawigatora, choć kapitanowie innych statków zgadzali się z nim. Jiska cały czas broniła męża. To zrozumiałe, że po czteroletniej podróży ludzie byli rozdrażnieni.

Kristabel podeszła do Edearda. Połączyli swoje zadowolenie. Uśmiechnął się do niej, kiedy wzięli się za ręce i razem poszli na dziób. Obecnie śródkręcie stawało się dość zagracone, co martwiło Natrana. Prócz zwojów liny i szafek statkowych do

pokładu przymocowano wiklinowe klatki, każda z jakimś nowym zwierzęciem odkrytym w czasie różnych lądowań. Nie wszystkie przeżyły dotychczasową podróż. Ich ciała zakonserwowano w nieprzyjemnie pachnącej cieczy. Taralee trzymała je w swojej kabinie, w wielkich szklanych słojach. To właśnie ona oraz inni doktorzy i botanicy najwięcej zyskali na tej ekspedycji, katalogując setki nowych gatunków zwierząt i roślin.

Ale nie ma nowych ludzi, pomyślał Edeard.

– O co chodzi? – spytała Kristabel.

Kilku załogantów, wyczuwszy jego smutek, spojrzęło w jego kierunku.

Wzruszył ramionami – gest przeprosiny.

– Naprawdę jesteśmy sami na świecie – wyjaśnił Kristabel. – Teraz, kiedy wracamy do domu, mamy co do tego pewność.

– Nigdy nie ma pewności – odpowiedziała, odgarniając z oczu kosmyk gęstych włosów. Znowu stawały się długie. Po ośmiu dniach od opuszczenia Makkathranu Kristabel poprosiła jedną z kobiet, by obcięła jej i tak krótkie włosy, zatrzymując tylko kilkucentymetrowe loki.

– To praktyczne – wyjaśniła spokojnie przerażonemu Edeardowi. – Nie możesz poważnie oczekiwać ode mnie, że podczas sztormów będę dodatkowo walczyła z własnymi włosami. Przez ostatni tydzień, mimo tej łagodnej pogody, długie włosy i tak sprawiały zbyt wiele kłopotów.

Ale dawałaś sobie radę z warkoczem. Powstrzymał się od wypowiedzenia tej uwagi głośno. Kristabel bez długich włosów wydawała się... w jakiś sposób niewłaściwa.

Edeard teraz ze śmiechem wspominał tamto swoje wrażenie – ponadto była raczej urocza z krótkimi włosami i w dodatku elegancka. To najmniejszy drobiazg, do którego musieli się wspólnie dostosować. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział kobietę w spódnicy, jeśli nie liczyć formalnych kolacji, które niezawodnie organizowano co miesiąc. Z wyjątkiem Matki flotylli, która cały czas nosiła swój tradycyjny strój, kobiety chodziły w spodniach, a w lecie w szortach. Dzięki tej małej rewolucji były w stanie pomagać przy takielunku i wielu pracach

okrętowych, zwykle będących domeną żeglarzy. Rzeczywiście, Gildia Marynarzy zrzędziła na samą myśl o kobietach wyruszających w taką podróż, a ludność Makkathranu – przynajmniej jej męska część – traktowała ten pomysł z niedowierzaniem. Kobiety natomiast gorąco popierały Edearda.

Sceptycyzm co do udziału kobiet, spekulacje, że powtórzy się wielka kłapa kapitana Allarda; konsternacja gromady krewnych Kristabel, zatroskanych kosztami budowy pięciu tak wielkich statków. Czasami wydawało się, że wyprawę popiera tylko Gildia Cieśli okrętowych i horda kupców chętnych do zaopatrywania flotylli. Ponura atmosfera zapanowała wśród ulic i kanałów Makkathranu od momentu, gdy Edeard ogłosił swój zamiar aż do zawodowania statków trzy lata później. Gdy statki stały już na kotwicach, nastroje w końcu zaczęły łagodnieć i ustępować na rzecz podziwu i podniecenia. Fakt, że w dzielnicy portowej nie było ani dostatecznie długiego nabrzeża, ani wystarczająco długiego kanału, żeby pomieścić „Światło Pani” i jej siostrzane statki, dodawał tym jednostkom uroku. Wycieczki małymi żaglówkami wokół zakotwiczonej flotylli były korzystnym przedsięwzięciem dla miejskich żeglarzy. Statki budowano w tej samej wąskiej zatoczce pół mili na południe od miasta, w której Allard tysiąc lat temu zbudował „Majestatyczną Marię”. To wszystko wzbudzało wielkie zainteresowania i obywatelską dumę. Ludzie uwierzyli, że tym razem podróż wokół świata będzie sukcesem. To nasze czasy, nasze statki, nasz talent i mamy Stąpającego po Wodzie. Prawdopodobnie pomogło też, że Edeard ogłosił swoją intencję tydzień po tym, jak pierwszy Władca Niebios poprowadził duszę Finitana do Serca.

Edeard był dumny z tego, że wytrzymał tak długo. Nigdy nie chciał cofać się znowu tak daleko w swoją własną przeszłość. Wprawdzie ocalił Querencję przed gniazdem, ale dla niego osobiście konsekwencje okazały się zbyt wielkie. Przeżywać ponownie każdy dzień, patrzeć na te same błędy, niepowodzenia, przypadki niegospodarności, małostkowe swary i żałosne gierki polityczne, kiedy zna się rozwiązania wszystkich problemów z poprzedniej podróży przez te same lata. To straszliwe brzemię.

Od czasu do czasu czuł pokusę, by interweniować, by sprawy stały się dla wszystkich łatwiejsze. Jednakże gdyby zaczął to robić, kiedy to moralne ograniczenie zostałoby złamane, wiedział, że nie położyłby kresu temu, co może i powinien czynić. Interwencje powtarzałyby się bez końca. Ci, którym by pomagał, odbieraliby to jako wtrącanie się w ich sprawy.

Ponadto powtórzone wydarzenia, które znosił, nie były tak złe dla wszystkich innych, gdyż tym razem gniazdo nie powstało. Ludzie musieli sami się nauczyć, jak żyć lepiej na własny sposób. I ostatecznie... jaką postawiłby sobie granicę? Zatrzymać dziecko, by nie upadło i nie złamało sobie ręki? Wówczas by się nie nauczyło, że następnym razem ma chodzić uważniej, a przecież musiało opanować tę lekcję. Bez nabytej ostrożności, jakie głupstwa by popełniło następnego dnia?

Tak więc z wyjątkiem zapobieżenia kilku morderstwom, o których pamiętał, powstrzymywał się w sposób godny podziwu. Właśnie dlatego tak rozpaczliwie chciał zbudować statki i pożegłować w podróż trwającą lata. Zaspokoiłby ciekawość dotyczącą nieznanych kontynentów i wysp Querencji, a przy okazji robiłby coś innego, coś nowego i świeżego.

I to zadziało. Ubiegłe cztery lata były najszczęśliwszym okresem, od czasu, gdy powrócił, by wyeliminować Tathala. Kristabel przyjmowała to z zadowoleniem, a z uwolnienia się od Wysokiej Rady i politycznych niesnasek czerpała wyraźną przyjemność. Teraz byli sobie tak bliscy jak w dniu zaślubin.

Za nimi, na śródkręciu, Natran stał w centrum podnieconego tłumu. Odbierał gratulacje i podziękowania z pogodną powściągliwością. Jego synek, Kiranan, siedział mu na ramionach, uszczęśliwiony. Urodzony na pokładzie trzy lata temu chłopiec był naturalnie ciekaw, jak wygląda życie w wielkim mieście, które opisali mu Edeard i Kristabel. W sumie podczas tej epickiej podróży na „Świetle Pani” urodziło się dwanaścioro dzieci, a na pozostałych czterech statkach jeszcze trzydziestka. Teraz właśnie w końcu wszystko się wspaniale układało. Rolar i Wenalee zostali w mieście – zarządzali majątkiem Culveritów i objęli urząd Kristabel w Wysokiej Radzie. Marakas i Dylorn

również woleli pozostać w Makkathranie. Inne dzieci Edearda dołączyły do flotyli. Jiska i Natran w ubiegłym roku się pobrali. Taralee stworzyła bliski związek z Colynem, czeladnikiem związku ogrodniczego, który po tej podróży powinien z łatwością uzyskać status w gildii. Ale to Marilee i Analee najbardziej go zaskoczyły i uradowały. Zakładał wcześniej, że bliźniaczki zostaną w domu i nadal będą imprezować. One jednak nalegały, by je zabrać. Oczywiście na statku zachowywały się po swojemu, prawie nie zwracając uwagi na konwencje i ustalone porządki. Wkrótce po wyjściu z portu zaanektowały na kochanka Marvane'a. Zauroczony, odurzony podporucznik był przeszczęśliwy. Zwabiały go każdej nocy do swojej kabiny. (Nie musiały w to wkładać zbyt wiele wysiłku – jego zazdrośni przyjaciele z flotyli szybko ochrztili go Największym Szczęściarzem Querencii). Ten związek trwał dłużej niż zwykłe relacje bliźniaczek, ponieważ w gruncie rzeczy był to przyzwoity i wartościowy człowiek.

Mały Kiranan wyciągnął ręce ku babci i pisnął radośnie, kiedy trzecia ręka Edearda ściągnęła go z ramion ojca i przeniosła w objęcia Kristabel.

– Ciekawa jestem, czy miasto się zmieniło – powiedziała cicho Kristabel, zabawiając chłopca.

Kiranan wskazał horyzont.

– Wyspa. Wielki dom – ogłosił. Jego umysł jaśniał ciekawością i oczekiwaniem.

– Już blisko, szkrabie – obiecała Kristabel.

– Nie zmieni się – uroczyście stwierdził Edeard. – To główna cecha Makkathranu: ponadczasowość.

Kristabel rzuciła mu znaczący uśmiech.

– Zmienił się, od czasu gdy tu przybyłeś – zauważyła przebiegle.
– Damy w szortach, rzeczywiście.

Uśmiechnął się, zerkając w dół. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę i granatowe płócienne szorty. Jej szczupłe nogi, wystawione przez lata na działanie słońca, zbrązowiwały.

– Są gorsze rewolucje.

– Tato! – wołała Marilee, idąc ku nim po pokładzie.

– Wrócimy na czas – zapewniła towarzyszącą siostrze Analee.

Obie instynktownie ujęły się za ręce, by lepiej utrzymywać równowagę na kołyszącym statku. „Światło Pani” osiągało niezłą szybkość w ciepłym, południowo-zachodnim wietrze.

– Nie chodzi o to, byśmy nie ufali Taralee.

– Czy statkowym lekarzom.

– Ale pewniej byśmy się czuły w rezydencji z całą Gildią Lekarzy na zawołanie.

– Po prostu na wszelki wypadek.

Uśmiechnęły się do niego szeroko. Obie w sześciomiesięcznej ciąży, były szczęśliwe, mimo porannych niedomagań, na które cierpiały obydwie. Na pokładzie odbywało się to bardzo publicznie. Nikt nie pozostawał obojętny na mdłości bliźniaczek i współczująca załoga również rzygała.

– Zdążymy ledwo, ledwo. – Próbował patrzeć realistycznie. Nie żeby bliźniaczki bardzo zważały na jego słowa. – Nawet przy sprzyjających wiatrach podróż potrwa jeszcze przynajmniej miesiąc.

– Och, tato.

– Jesteś niedobry.

– Chcemy mieć dzieci urodzone na lądzie.

– Naprawdę? – spytał. – A czego chce Marvane? Przecież jest żeglarzem.

Marilee i Analee skrzywiły się do siebie.

– Jest teraz ojcem.

– I naszym mężem.

– Taaak – przyznał Edeard.

Natran udzielił ślubu całej trójce półtora roku temu. Piękna plażowa sceneria, wszyscy bosy, jaskrawe słońce oświetlało drobne fale liżące biały piasek, gdy bliźniaczki w ekstazie brały ślub ze swym przystojnym narzeczonym. Querencia nie miała praktycznie prawa zabraniającego poślubienia więcej niż jednej osoby naraz, ale z pewnością nie było to zatwierdzone przez żadne z pism Pani, zatem ceremonię musiał prowadzić raczej starszy kapitan, a nie Matka flotylli. Gdy prawa Marvane’a stały się już nie do obalenia, szczęśliwa trójka spędziła miodowy

miesiąc w małej chatce wzniesionej dla niej przez cieśli na wybrzeżu. W tym czasie ekspedycja nadzwyczaj długo katalogowała florę i faunę na wyspie.

– Więc on zamieszka z nami. – Marilee ogłosiła to jako oczywistość.

– W jakiejś małej części majątku Culveritów na Iguru.

– Gdzie będziemy hodować dzieci i płody rolne.

– Bo tego żeglowania wystarczy na całe życie.

– Każdemu.

– I Taralee znalazła dla nas jakieś bajeczne nowe rośliny do hodowli.

– Ludzie je po prostu pokochają.

– I które przyniosą nam majątek.

Edeard czuł, że Kristabel denerwują te marzycielskie opowiadki bliźniaczek. Ale z drugiej strony dlaczego nie miałyby się to ziścić? Zdarzały się rzeczy dziwniejsze, a te akurat marzenia są słodkie. Przecież do tego dążymy. Do łatwiejszego, łagodniejszego życia. Wybawiono go od komentowania tych wypowiedzi, kiedy wyczuł dalmowę Natrana, który polecał sternikowi drobną zmianę kursu.

– Czemu? – spytał leniwie.

– Musimy zidentyfikować wyspę – odparł Natran. – Jest ich osiem na brzegu wschodniego archipelagu. Kiedy dostanę dokładny namiar, nawigacja do domu powinna być łatwa.

– Oczywiście.

– Czy jesteś gotów na domowe życie? – spytała cicho Kristabel.

– Myślę, że tak – stwierdził, ale już wiedział, że to prawda.

Od tej chwili wszystko jest nowe. Życie w Makkathranie znów będzie łatwe. Niecierpliwe oczekiwanie wywołało w nim radość, tak długo nieobecna. Chyba Kristabel ją czuła, bo jej własne myśli też promieniały.

– Możemy zawsze ruszyć dookoła świata w drugim kierunku – droczyła się. – Są oba bieguny do zbadania.

Edeard zaśmiał się.

– Zostawmy to naszym wnukom, dobrze? Ty i ja mamy wiele do zrobienia, kiedy znowu obejmujemy nasze funkcje. Mógłbym

kandydować na burmistrza w następnych wyborach.

Spojrzała na niego tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Nigdy się nie zatrzymasz, co?

– Zastanawiasz się, od kogo się tego nauczyłem, mistrzyni?

Uśmiechnęła się szeroko i mocno przytuliła Kiranana, który wyprężył się, usiłując dojrzeć miasto, o którym wiedział, że jest gdzieś w dali.

– A ty spotkasz wszystkich swoich kuzynów – powiedziała chłopcu.

– Je-jo – gruchał Kiranan.

– Którzy teraz chyba stanowią połowę ludności miasta – mruknął Edeard. Rolar i Wenalee produkowali potomstwo w kolosalnym tempie, a wiedział, z ostatnich u nich odwiedzin, że Marakas i Heliana też się do tego palili.

– Tato! – Bliźniaczki chóralnie wyraziły swoją dezaprobatę.

– Ciekawe czy Dylorn się ożenił – powiedziała cicho Kristabel.

Edeard wyczuł u niej przelotne ukłucie żalu, że na tak długo rozstała się z dziećmi.

– Bez naszej obecności? – Analee wyglądała na zbulwersowaną.

– Nie śmiałyby.

– Wy dwie to zrobiłyście – zauważył Edeard.

– To co innego.

– Mieliśmy tutaj was.

– Dlatego jest to stosowne.

Edeard westchnął i uśmiechnął się do horyzontu.

– Już niedługo. Pani, będziemy mieli i zjazd rodzinny, i ucztę wszech czasów.

Makkathran pojawił się na horyzoncie tuż przed południem trzydziestego ósmego dnia po tym, jak Manel wypatrzył pierwszą wyspę wschodnią. Załoga „Światła Pani” wiedziała, że jest blisko. Od wielu dni widywali statki transportowe, a rankiem minęli flotę rybacką wyruszającą na połów z Portheves, wioski położonej niecałe dziesięć mil od samego miasta. Kiedy rybacy otrząsnęli się z szoku, wstali i wiwatowali przepływającym obok

statkom flotyli.

Wczesnym przedpołudniem mieli już luźną eskortę kilkunastu statków handlowych kierujących się ku linii brzegowej. Kiedy przecinali szumiące, niebieskie wody, dobiegały ich życzliwe, zaciekawione długokrzyki ich nowych towarzyszy. A potem wynurzył się Makkathran. Najpierw zza horyzontu wyłoniły się jego solidne wieże, ich ostre szczyty kłuły bezchmurne niebo. Płomienny przypływ dalwzroku nadszedł z miasta i omiół flotyllę. A zaraz za nim napłynęły zdumienie i eksplozja radości. Wszyscy zgromadzili się na pokładzie, by zobaczyć miasto, które opuścili przeszło cztery lata temu. Natychmiast chcieli znaleźć się w domu, aż Edeardowi wydawało się, że statki pofruną przez wodę i nawet nie będzie im potrzebny wiatr. Dla ludzi w mieście flotylla musiała stanowić nie lada widok. Każdy z tych wspaniałych statków wyruszył z trzema pełnymi kompletami śnieżnobiałych żagli. Teraz ożaglowanie „Światła Pani” stanowił brudny patchwork pozszywany z kawałków płótna, które pozostało z żagli po latach blaknięcia na słońcu, sztormów i mroźnych zim, gdy sopte lodu ciężko zwisały z każdej liny i każdego szwu. Zarówno „Gwiazda Pani”, jak i „Przewodnictwo Pani” na linii wodnej miały szerokie łaty z miększego tropikalnego drewna, w miejscach gdzie uszkodził je koral z Morza Auguste. Na nic się zdały największe telekinetyczne wysiłki załogantów próbujących usuwać złośliwe podwodne kolce. Kilka statków miało nowe maszty, gdyż stare połamały sztormy.

Ale się nam udało pomimo wszystkich wyzwaniań, jakie rzucał na nas ten świat. Edeard uśmiechnął się do Makkathranu, kiedy cudownie znajoma sylwetka jego domu zarysowała się wyraźniej. Widzicie to, widzicie nasz triumf mierzony w latach, szkodach i ładunku wiedzy, które przywieźliśmy ze sobą. Otworzyliśmy dla wszystkich cały świat.

Jednakże z wolna jego radość blakła, kiedy zauważył myśli wirujące wokół rozległych dzielnic. Tembr mentalny miasta się zmienił. Przez chwilę Edeard był zaintrygowany. Pod rozemocjonowaną wrzawą wyczuł rozbłyśki gniewu. Potem

stopniowo uświadomił sobie obecność umysłów zgrupowanych razem na zewnątrz północnej bramy. Tysiący umysłów. Między tymi jaskrawymi węzłami wściekłości i niezadowolenia nie znalazł ani odrobiny podniecenia czy radości z powodu przybycia flotyli. Umysły te całkowicie się nie zgadzały z resztą miasta.

– Aha – szepnął.

Sięgnął dalwzrokiem, by zobaczyć, co się, do Honiousa, dzieje. Najpierw wyczuł milicję rozstawioną wokół bramy na długich, okopanych pozycjach na murawie wzdłuż drogi, aż do otaczającego lasu. Zgodnie z tradycją obszar wokół miasta zawsze pozostawał pusty i niezamieszany. To się zmieniło. Dziesiątki ogromnych obozów pojawiły się na łąkach i, o ile mógł się zorientować, mnóstwo starych drzew ścięto prawdopodobnie na obozowe ogniska.

– Co to takiego? – spytała Kristabel, kiedy usiłował osłonić trwozę narastającą w umyśle.

– Rodzaj oblężenia, ale niezupełnie. – Niechętnie podarował jej swój dalwzrok.

– Och, Pani – mruknęła. – Skąd oni się wzięli?

Wzruszył ramionami. Pragnął uzyskać jakąś odpowiedź. Ale taki wyczyn leżał poza zasięgiem dalwzroku, zwłaszcza z podobnej odległości.

– Dowiemy się tego wkrótce. I wtedy wszyscy będą oczekiwali, że Stąpający po Wodzie to naprostuje. – Nie mógł nic poradzić na ton męczennika i uzalania się nad sobą.

– Edeardzie. – Łagodnie pogłaskała go po plecach między łopatkami. – Dlaczego zawsze tak się dręczysz?

– Ponieważ to właśnie ja zawsze muszę każdy problem rozwiązać. Och, niech to Pani chrzani, to po prostu nigdy się nie kończy. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już wszystko idzie dobrze, zawsze znajdzie się ktoś z nowym sposobem spieprzenia sytuacji.

– Kochany Edeardzie, naprawdę jesteś dla siebie za surowy.

– Nie – odparł gorzko. – To moja odpowiedzialność. Jestem odpowiedzialny za ten cały świat. Ja. Nikt inny.

– Edeardzie, nie bądź głuptasem. – Głos i umysł Kristabel stwardniały. – Teraz, proszę, zostaw tę przemowę o tym całym nieznośnym brzemieniu. Dosyć nasłuchawałam się tego wcześniej. Teraz najważniejszą sprawą jest dostarczenie bliźniaczek na brzeg. Biedactwa muszą dotrzeć na poród do rezydencji. Skup się na tym, jeśli musisz sobie pozzrędzić.

– Całe to nieznośne brzemień? – spytał cicho. Ledwie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziała.

– Tak – powiedziała twardo Kristabel, patrząc na niego surowo.
– Pani świadkiem, jaki stałeś się niemożliwy, zanim zbudowaliśmy flotyllę. Głównie dlatego zgodziłam się pokryć jej budowę z majątku. I ta wyprawa pomogła, Edeardzie. Na miłość Pani, stałeś się znów normalny. Stałeś się znowu sobą. A teraz to. Jeszcze nie wyszliśmy na brzeg, a już jęczysz, że wszystko sprzysięgło się przeciw tobie.

Niech Pani to pierniczy, nie masz pieprzonego pojęcia! Spojrzał na nią wściekle i tupiąc w pokład, oddalił się.

– Tato? – spytała Jiska z zaniepokojoną miną.

Nie miał nastroju do rozmowy, nawet z nią.

Tysiące ludzi czekało przy nabrzeżach i przystaniach. Szalupy flotylli wpływały do dzielnicy portowej przez wielką nabrzeżną lukę w murach miasta. W pierwszej partii było piętnaście łodzi. Przy wiosłach siedział regulaminowy zespół geszypów z szerokimi barami i muskularnymi ramionami, tak że wiosła po prostu śmigały w wodzie. Edeard znajdował się w drugiej łodzi. Kristabel i Taralee wzięły bliźniaczki i Marvane do pierwszej. Edeard odbył szybką, kierunkową dalrozmowę z uszczęśliwionym Rolarem i upewnił się, że w porcie będą oczekiwały dwie rodzinne gondole, by zabrać ich prosto do zigguratu. Bliźniaczki czuły się źle. Edeard uważał, że to częściowo z powodu obsesji, by rodzić na lądzie. Taralee w zaufaniu potwierdziła, że ich czas nastąpi dopiero za parę dni, ale one narzekały tak, jakby już miały bóle porodowe.

Płynął w towarzystwie Jiski, Natrana, Manela oraz kilku

oficerów z żonami i dziećmi. Ta wesoła grupa machała gorączkowo wiwatującym tłumom. On nie: po prostu nie mógł zdobyć się na entuzjazm i siedział ponury na rufie szalupy.

– Na Panią, jakieś dwa lata temu uznaliśmy was za zaginionych – oznajmił Macsen kierunkową dalmową. – Czy postanowiliście dla odmiany obejść świat piechotą? Zajęło wam to wieczność.

Edeard w końcu pozwolił sobie na uśmiech. Tam jego przyjaciel stał na czele pośpiesznie zebranego komitetu powitalnego złożonego z Wielkich Radców, przedstawicieli dzielnic, oficjeli i rodziny. Ogromna ich grupa stłoczyła się na Nabrzeżu Jeden. Nie mogli się za bardzo poruszać, by nie zepchnąć do wody kogoś z pierwszych rzędów. Ubrani byli barwnie i kosztownie, ale silna bryza niegodnie szarpała im włosy i rąbki szat. Macsen i Dinlay oczywiście stali w pierwszym szeregu i machali z entuzjazmem. Dinlay obejmował ramieniem wysoką, silnie zbudowaną dziewczynę. Cóż, że nieznamą, najważniejsze, że nie Gealee, pomyślał Edeard. Przeniósł wzrok na Macsena, który stał samotnie. Mistrz Sampalok w ciągu minionych lat niepokojąco utył.

Jednakże obok Macsena stał Doblek, Mistrz Drupe. To właśnie on nosił szaty burmistrza.

Tu jest różnica, dumiał Edeard. Poprzednio, w tym czasie, burmistrzem był Trahaval. Edeard próbował przekonać siebie, że to zmiana korzystna, choć pamiętał Dobleka jako niezbyt odpowiedniego Mistrza Dzielnicy, wielbiciela starych tradycji. W każdym razie żaden z niego reformator.

Szalupa dotarła do Nabrzeża Jeden. Dokerzy umocowali drewniane stopnie i Edeard wbiegł po nich wśród narastających krzyków aprobaty oczekującego tłumu. Pełne animuszu odgłosy zmusiły płochliwe morskie ptactwo do wzlotu na wyższe kręgi nad portem.

Tak jak przy Wygnaniu, ale bez przemocy i zamieszek.

Bez zbytniej niechęci Edeard uniósł dłoń; wdzięczny za wiwaty uśmiechnął się do wszystkich, którzy go tak wylewnie witali.

– Stąpający po Wodzie! – Burmistrz Doblek rozwarł szeroko ramiona i postąpił naprzód, by objąć Edearda. – To radosny

dzień. Witaj, tak, witaj z powrotem! Czy naprawdę opłynęliście cały świat?

Miasto uspokoiło się nieco, odczytując emocje burmistrza, oczekując odpowiedzi.

- Owszem, opłynęliśmy - oznajmił poważnie Edeard, ale nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Wiwaty rozbrzmiały znowu.

Edeard półobrotem wyswobodził się z uścisku burmistrza.

- Burmistrzu, chyba zna pan mojego starszego kapitana, Natrana. I moją córkę, Jiskę.

- Naturalnie.

Burmistrz przeszedł wzdłuż szeregu przybyszy. Rad z bardziej oficjalnych obowiązków koncentrował na sobie ogólną uwagę.

- To okropnie fajne, dziadku - powiedział mały Kiranan. Przywarł do nogi Edearda, gdy jego rodziców oblegał burmistrz.

- Co takiego? - spytał Edeard.

- Miasto. Czy to wszyscy na całym świecie?

Edeard o tym nie pomyślał. Kiranan znał jedynie załogi flotylli. Teraz został skonfrontowany z rozradowaną ludnością miasta. Nic dziwnego, że był przygaszony.

- Nie, wszystkich jest znacznie, znacznie więcej - zapewnił chłopca.

Pchnął swój dalwzrok do mniejszego nabrzeża po drugiej stronie portu, gdzie Kristabel i bliźniaczki przenosiły się do rodzinnych gondoli. Rolar obejmował matkę, a rój podnieconych wnuków podskakiwał dokoła, grożąc wywróceniem lśniącej, czarnej łodzi. Burlala wśród nich nie było. To Edearda kompletnie zaskoczyło. Zamiast młodego wnuka wokół Rolara i Wenalee hasała mała dziewczynka, może pięć miesięcy młodsza od chłopaka, którego spodziewał się ujrzeć. Nigdy nie przypuszczał, że w świecie odbiegającym od tego, co wydarzało się wcześniej, jego własne wnuki mogą być inne. Teraz wiedział, że powinien być na to przygotowany. Przecież został obdarzony Kirananiem, bliźniaczki były w ciąży, a takie zdarzenia nie zaszły w poprzedniej wersji. Ale Burlala naprawdę kochał - chłopiec był taki udany. Skierował na dziewczynkę ostry dalwzrok, na co

zareagowała przestraczem. Potem spojrziała na niego spoza kanału i zakopała się w spódnicach Wenalee.

– Więc kto to jest? – spytał Dinlay.

Edeard odpowiedział uśmiechem, lecz mniej wyraźnym. Nie ma Burlala? Edeard nadal myślał. Pani, ależ on nie zasługiwał na zapomnienie jak Tathał. To nie w porządku, zupełnie nie w porządku.

– To mój nowy wnuk, Kiranan. – Zdołał to powiedzieć obojętnie, mierzwiąc włosy chłopca.

– Dziadku! – Chłopiec wysunął się spod ręki Edearda. – Jesteś Dinlay. Kiedyś cię postrzelono. Dziadek opowiedział mi o tobie wszystko.

– Wszystko, he? Cóż, odwiedź mnie pewnego dnia i opowiem ci wszystko o nim. Wszystko, czego, jak sądzi, wiedzieć nie powinieneś.

– Naprawdę? Obiecujesz? – Chłopiec spojrział z uwielbieniem na swego nowego przyjaciela.

– Obiecuję, na Panią.

– Witaj w domu, Edeardzie. – Macsen ciepło uścisnął dłoń Edearda.

– Gdzie jest Kanseen? – spytał Edeard.

Szeroki uśmiech Macsena znieruchomiał.

– Rozstaliśmy się. – Usiłował zachować jowialny ton. – Tak było lepiej dla nas obojga.

– Nie! Mnie... Przykro mi to słyszeć.

Pani, nie możesz mi tego robić. Poprzednio nadal byli razem.

– Powiedziała, że zobaczy się z tobą później.

– W takim razie w porządku.

– A to Hilitte – powiedział z dumą Dinlay. Przepuścił naprzód wysoką dziewczynę. – Jesteśmy siedem miesięcy po ślubie.

Ta część była łatwa. Edeard robił to już wielokrotnie, za każdym razem, gdy rozpoczynał na nowo. Zatem jak zawsze miał opanowany wyraz twarzy, uśmiechnął się grzecznie i wyciągnął dłoń do krzepkiej dziewczyny.

– Gratulacje.

Nie okazał dezaprobaty ani zaskoczenia jej wiekiem (była

znacznie młodsza od Jiski), żadnego zmieszania na widok dziwnie znajomych rysów twarzy zwróconej ku niemu z kokieteryjnym uśmiechem.

Macsen przesunął się za niego, ustami niby przypadkiem musnął ucho Edearda.

– Córka Nanitty – szepnął.

Edeard kaszlnął, pokładając nadzieję w Honiousie, że skrywa swój szok.

– Dziękuję, Stąpający po Wodzie – powiedziała chropawym głosem. Tak, stanowczo podobnym do głosu matki. A kokieteryjny uśmiech stał się bardziej wyrazisty, fałszywie skromny, oceniający.

Edeard szybko odwrócił się do Macsena.

– Pani, jak to dobrze być znowu w domu.

– Naprawdę przebyliście całą drogę dookoła świata? – spytał Dinlay.

– Bez wątplenia. Ależ mam ci do opowiadania!

– I co?

Edeard wiedział dokładnie, o co pyta Dinlay.

– Jesteśmy tylko my. Nikogo więcej nie ma.

W rozpłomienionym radością mieście rozczarowanie Dinlaya jeszcze bardziej rzucało się w oczy.

– Ach, cóż – westchnął.

– Co się dzieje za Północną Bramą? – zapytał Edeard.

– Te sukinsyny... – zaczął Macsen.

– Macsen – powiedział Dinlay ze skrzepowaniem. – Stąpający po Wodzie po czterech latach nie widział nawet swojej rodziny. Utrzymywaliśmy spokój tak długo, możemy poczekać jeszcze dzień. Edeardzie, nie ma się czym martwić. Kontrolujemy sytuację.

Macsen niechętnie skinął głową.

– Oczywiście. Przepraszam, stary przyjacielu. O tylu rzeczach pragnąłbym usłyszeć.

– I, na Panią, usłyszysz – obiecał Edeard.

Minęło kilka dni, zanim Edeard znalazł czas na prywatne spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Pierwsze dwa dni spędził dosyć szczęśliwie; witał się z rodziną i poznawał nowych jej członków. Potem wygnano go na jeden dzień razem z innymi mężczyznami do salonu na dziewiątym piętrze zigguratu. Miał lekkie wyrzuty sumienia i czuł się bezużyteczny, podczas gdy Taralee, dwie akuszerki, kilka nowicjuszek, Kristabel i nawet Marvane pomagali bliźniaczkom. Po raz pierwszy nie zsynchronizowały się dokładnie. Marilee urodziła dwie córeczki dobre pięć godzin wcześniej, nim Analee wydała na świat syna i córkę. Potem oczywiście nastąpiło tradycyjne dla Culveritów śniadanie powitalne, podczas którego oszołomiony Marvane przyjmował gratulacje od swej nowej rodziny.

Czwartego dnia po przybyciu flotylli, w porze lunchu, Edeard popłynął gondolą do Sampalok. Przeszedł aleją Mislore do placu w centrum dzielnicy. Zajęto każdy budynek, wszystkie pokoje, nawet małe i o niewygodnej konfiguracji. Wszędzie ktoś mieszkał: kawaler, panna, para, mała młoda rodzina, albo wdowcy. Dla nowo przybyłych nie pozostawało nic.

Na końcu alei miły obraz: sześcioboczna rezydencja. Edeard zawsze na jej widok czuł lekką satysfakcję. To coś, co sam stworzył, coś, co dziwnie dodawało otuchy.

Tym razem placu wokół niej nie zajmowały prowizoryczne obozowiska przybyszów oczekujących przewodnictwa. Sytuacja powróciła do normalności sprzed Władców Niebios. Rezydenci Sampalok spacerowali wokół fontann, a dzieci grały w piłkę lub ganiały za obręczą w blasku słońca. Stragany po obu stronach ulicy Burfol miały niezły utarg, sprzedając kandyzowane owoce i napoje chłodzące.

Stąpający po Wodzie szedł w swej zwyczajowej czarnej pelerynie, a ludzie uśmiechali się do niego uprzejmie. Kiedyś oczekiwaby niecierpliwie podobnych pozdrowień od mieszkańców Sampalok. Obecnie trudno mu było odpowiadać uśmiechem. Ale jestem niesprawiedliwy. Nie mam za co winić akurat tej dzielnicy.

Wszedł do rezydencji łukowo sklepioną bramą w ścianie koloru

lawendy i pośpieszył po schodach na piąte piętro, do prywatnego gabinetu Macsena – prostego pokoju z balkonem. Dzisiaj wysokie okna były zamknięte. Biurko pokrywały skórzane teczki na papiery, często z rozwiązanymi tasiemkami – wysypywały się z nich dokumenty. Wysokie stopy papierów leżały także na stołach, rozmaitych półkach i szafkach. Niektóre krzesła też wykorzystano jako podkładkę dla chaotycznie ułożonych dokumentów. Kiedyś w tym pokoju panował nieskazitelny porządek, pomyślał Edeard. Macsen, jakby czytał w jego myślach, uśmiechnął się pojednawczo, wstał i stwierdził:

– Zanim spytasz: owszem, tu się tak porobiło od jej odejścia.

Edeard zerknął na plamy od jedzenia (lub wina) na koszuli Macsena, ale milczał. Na niektóre krzesłach, już zawalonych papierami, wisały ubrania.

– Potrzeba czasu, by przystosować się do tak wielkiej zmiany – zauważył dyplomatycznie.

– Widziałeś ją?

– Nie. Jeszcze nie. Kristabel odwiedziła ją wczoraj wieczorem.

Macsen pokręcił głową i opadł na krzesło za biurkiem.

– Ona nawet już nie mieszka w Sampalok.

– Chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

– O, Pani, nie. Powiedziała, że tracę cel, zapał, czy coś w tym rodzaju. Zwykle kobiece bzdury. Wiesz, jakie one są. Nic nigdy nie robiłem dobrze ani słusznie.

– Taa, wiem, jakie one są.

– Co? Nawet Kristabel?

Macsen żałośnie pragnął potwierdzenia, że nie jest samotny w swym cierpieniu.

– Zwłaszcza Kristabel – zapewnił go Edeard, żałując, że nie jest to kompletna nieprawda. Ale... Pani, jak ona się zmieniła od naszego powrotu. I przypuszczam, że to całkowicie moja wina.

Z kryształowej karafki Macsen nalał sobie nieco podwójnie kupażowanej wódki, z której słynął majątek Rassien. Zmrużył oczu i przyglądał się, jak brązowozłoty płyn wiruje w szklaneczce, a potem przełknął go jednym haustem. Podał karafkę Edeardowi.

– Nie, dzięki,

– Użalasz się nade mną, co? – Macsen beknął głośno.

Och, Wielka Pani, nie potrzebuję tego. Na dodatek do wszystkich innych kłopotów.

– Nie użalam się nad tobą. Chciałbym, żebyś stał się dawnym sobą, ale jestem gotów czekać.

– Och, Edeardzie, szkoda, że nie wyruszyliśmy z tobą. Nic z tego by się nie wydarzyło. Żadnego ruchu Nasze Miasto, Doblek nie wygrałby wyborów, żadnych nędznych obozów blokadowych.

– Słyszałem, że nazywają się Nasze Miasto. Rolar mnie poinformował. Oczywiście poczułem obozy i milicję natychmiast po przybyciu do portu.

– Milicja musi tam być, by utrzymać spokój. Nawet poparłem propozycję Doblara, by ich rozlokować, niech Pani mi to wybaczy. Staliśmy w obliczu zamieszek w całym mieście, możliwe, że w obliczu masakry gorszej niż wszystko, co kiedykolwiek planował Buate. Ilongo przeżyło dwa dni anarchii, kiedy Nasze Miasto zabroniło wizytującym wykorzystywania wszelkich wolnych pomieszczeń. Co mogliśmy innego zrobić?

– Zrobiłeś rzecz właściwą – zapewnił go Edeard. – Działałeś w obronie życia. Zawsze właśnie to robiliśmy. To właśnie zawsze będziemy robić.

– Co się dzieje ze światem, Edeardzie? Czyż nie zrobiliśmy dostatecznie dużo, ocalając go od Bisego, Owaina i bandytów? Powiadam ci, w imię Pani, Władcy Niebios przestaną przybywać, jeśli nie wyprostujemy naszych ścieżek. Wiem to, Edeardzie.

Sięgnął znowu po karafkę, ale przekonał się, że trzecia dłoń Edearda mocno się na niej zacisnęła.

– Zaraz tu przyjdzie Dinlay – oznajmił Edeard. – Wtedy porozmawiamy o blokadzie i o Naszym Mieście. – Jego dąwzrok już rozpoznał Dinlaya idącego na placu przed rezydencją. – Powiedz mi, czy obydwójce nadal bierzecie udział w zebraniach Wysokiej Rady?

Macsen pokręcił głową, ledwo powstrzymując łzy.

– Przez ostatnie pół roku chodził tam w moim imieniu Jamico. Ja już nie mogłem się zdobyć, by stanąć przed nimi po

głosowaniu nad wykorzystaniem milicji. To dobry człowiek i jestem dumny, że to mój syn. Sprawia się lepiej, niż ja sprawałem się kiedykolwiek. – Szerokim gestem wskazał pokój. – Próbuje nadażyć za petycjami, Edeardzie, naprawdę próbuję, ale ludzie oczekują tak wiele. Nie jestem Rahem, ale oni tego nie rozumieją. Szepczą, że odwracam się do nich plecami, tak jak Bise. Wyobrażasz to sobie? Być oskarżanym w taki sposób? Zupełnie nie mogę powstrzymać podstępnych, złośliwych, nikczemnych szeptów. Jestem pewien, że stoją za nimi dawni ludzie Bisego.

Edeard miał ochotę wykorzystać trzecią rękę, by wciągnąć Dinlaya z placu na balkon gabinetu. Wszystko, byleby przerwać tę gorzką tyradę pełną wstrętu do siebie.

– Dinlay już tu prawie doszedł. À propos...

– Ha! – Macsen zdołał na wpeł się uśmiechnąć, kręcąc głową. – Widziałeś ją. Jest dokładnie taka sama jak wszystkie inne. Edeardzie, przysięgam na Panią, że gdzieś na prowincji istnieje tajna gildia, która po prostu wciąż używa tej samej formy. Bo skąd bierze ich aż tyle?

Edeard uśmiechnął się.

– Gildia Produkcji-żon-Dinlaya. Podoba mi się. Ale córka Nanitte...?

– Właśnie! Niech to Pani! Wiedziałem, jak tylko ją zobaczyłem. Nie musiała mi nawet mówić, kim jest. To włączyło te wszystkie wspomnienia, wszystko, o czym tak usilnie starałem się zapomnieć. Potem twierdziła, że ciągle kłóciła się z matką i nie mogła już wytrzymać mieszkania w domu, więc zanim tutaj przybyła, spędziła cztery lata w drodze. Oglądając świat, jak utrzymuje. Wiesz, ja byłem jednym z pierwszych ludzi, z którymi się skontaktowała. Powiedziała, że matka dała jej nazwiska osób w mieście, którzy jej pomogą, jeśli kiedyś tam się dostanie. Czyli żadne kłótnie, co? Założę się, że suka przysłała ją tutaj, by wszystkich nas zrujnować.

– Znając Nanitte, to więcej niż prawdopodobne. – Edeard znowu sprawdził. Dinlay przechodził przez bramę w szarej plamiastej fasadzie i pytał sługę, gdzie znajdzie Mistrza Sampalok. – Gdzie Nanitte w końcu się osiedliła?

– Najwyraźniej podziałała magią czarownicy na jakiegoś naiwnego, bogatego sukinsyna w Obershire. Ożenił się z nią miesiąc po jej przybyciu i mieszkają w pięknym domu w wielkiej posiadłości rolnej.

– Dzielna baba – powiedział cicho Edeard.

Macsen parsknął pogardliwie.

– Ale przecież widzisz – odparł Edeard. – Zmieniła się. Stała się częścią naszego społeczeństwa. To potwierdzenie dla nas wszystkich, że idziemy naprzód słuszną drogą. Według mnie to przypomnienie, że nie możemy słabnąć, przypomnienie, które nadeszło w samą porę.

– Niech będzie – zgodził się Macsen ze znużeniem. – W każdym razie Dinlayowi zajęło pół minuty zakochanie się w córce po same uszy. Jak zwykle.

– Cóż, może tym razem mu się uda. Z pewnością ma wystarczającą praktykę.

– Na Panią, nie ma żadnej szansy, ni cholery.

Edeard przypomniał sobie zalotny uśmiech, którym obdarzyła go Hilitte przy spotkaniu. Macsen ma rację. Oznaki nie wróżą dobrze.

Dinlay otworzył drzwi i spojrzał ostrożnie na Macsena.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Edeard i serdecznie uścił przyjaciela.

Dinlay odpowiedział uściłkiem z widocznymi w jego umyśle zadowoleniem i ulgą.

– Wiesz, naprawdę zaczęliśmy się niepokoić.

– Wiem i dziękuję wam za tę troskę. Ale tam na zewnątrz jest wielki świat, a my wiemy o nim tak niewiele. Nie kłamię, rzeczy, które widziałem...

– Naprawdę? Opowiedz nam!

– Na południowych morzach są utwory skalne, na przykład pływające wyspy koralowe. I drzewa! Pani, drzewa na Parath – cały kontynent z drugiej strony Querencji – przysięgam, że są wysokie jak najwyższe wieże w Eyrie. I spotkane zwierzęta. Widzieliście te, które przywieźliśmy? To są tylko te małe. Na Marace, kontynencie za Parathem, niektóre są tak duże jak dom.

Mają niebieską skórę i skradają się po bagnach. I jakie dzungle! Wokół równika na Marace temperatury są takie, że przy nich temperatury w Charyau to łagodna zima. Człowiek się czuje jak w łaźni parowej.

– Nigdy nie byłeś w Charyau – zauważył Macsen.

– Ale Natran był – odparł Edeard. – I przekazał mi stamtąd wspomnienia.

– Pani, jaka szkoda, że nie popłynąłem z wami! – Dinlay westchnął.

– Już to mówiłem – zrzędził Macsen. – Widzisz, co się stało, kiedy zostawiłeś nas przy władzy?

– Nie można mieć do nas o to pretensji – gorąco oponował Dinlay.

Edeard i Dinlay wymienili spojrzenia.

– Dobra – westchnął Edeard. – Powiedzcie, co się wydarzyło w moim mieście.

– Ruch Nasze Miasto wystartował wkrótce po odpłynięciu flotylli – wyjaśniał Dinlay. – Najwidoczniej narodził się po jakiejś kłótni w Toselli. Jakaś nowo poślubiona para znalazła dla siebie ciąg pustych pokoi w wielkiej rezydencji między Niebieską Wieżą a Kanałem Ukrytym. Pokoje znajdowały się wysoko pod okapem i miały dziwne wielopoziomowe podłogi, podzielone walcowatymi stopniami. Dlatego nikt ich wcześniej nie chciał. Jednak na jednym z końców amfilady znajdował się dość duży pokój, gdzie mężczyzna mógł pomieścić swój warsztat jubilerski. Ale para nie zarejestrowała swojej rezydencji przed końcem miodowego miesiąca, co jest zwyczajem w Makkathranie. I wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Wrócili z podróży poślubnej i przekonali się, że wprowadziła się tam rodzina czasowych przybyszów.

– Chwilowo. – Macsen chrząknął. – To wszystko. Dwaj bracia przywieźli matkę z prowincji Fandine do Makkathranu, po przewodnictwo Władcy Niebios. Miała artretyzm i początki starczej demencji. Spóźnili się o tydzień na przybycie Władcy, a według Gildii Astronomów nie zaobserwowano zbliżających się następnych Władców, więc prawdopodobnie do ich kolejnego

przybycia pozostawało kilka miesięcy. Tymczasem bracia nie mogli sobie pozwolić na tak długie wynajmowanie pokoju w tawernie ani na szukanie lokum w nowych gospodach we wsiach. Zajęcie pustych pokoi było rozwiązaniem logicznym.

– Nowo poślubieni kazali im się wynieść – podjął Dinlay. – W tym momencie jeden z synów zarejestrował żądanie zamieszkania w Komitecie Mieszkaniowym przy Sądach Sprawiedliwości. Ponieważ mieszkali w pokojach przez wymagane dwa dni i dwie noce, mieli do tego prawo.

– O Pani! – jęknął Edeard.

Wiedział, jak dalej potoczy się ta opowieść. Zawsze panowało niezadowolenie, że tak dużo jest czasowych przybyszów. Omawiał ten problem z burmistrzem Trahavalem przed konfrontacją z gniazdem. Problemu nie dało się rozwiązać natychmiast, chociaż gospody budowane w miastach nadbrzeżnych i na Iguru wydawały się rozwiązaniem perspektywicznym. Tylko dzięki miłosierdziu Pani nie było wtedy żadnego podobnego do tego „incydentu”.

– Jubiler i jego nowa żona mieli obydwójce liczne rodziny i byli ustosunkowani – ciągnął Dinlay. – Co gorsza, żaden inny klaster wolnych pokoi nie pasował – ani im, ani przyjezdnym braciom. To musiał być ten. Tak więc para sformułowała postulat: domy w Makkathranie dla obywateli Makkathranu. Ich sprawa zyskała powszechne poparcie. Przyjezdni bracia i ich matka zostali siłą wyrzuceni. Kiedy przybyli konstable, już znajdowali się na ulicy i potrzebowali opieki szpitalnej po pobiciu. Nowo poślubieni wprowadzili się razem z meblami, a olbrzymi tłum ich krewnych zablokował wejście do budynku. Nie żeby naprawdę musieli to robić – konstable, którzy przybyli na miejsce zdarzenia nie byli całkowicie bezstronni. Jedyne, co zrobili, to odwieźli na wózku braci i ich matkę.

Mogłoby to zakończyć sprawę. Ale prawnie pokoje były zarejestrowane na braci. Tak więc nowo poślubieni włączyli w to pomoc prawną, by odwołać rejestrację zasiedlenia i przejąć pokoje na własność.

Edeard zamknął oczy w bólu.

– Błagam, Pani! Tylko nie on.

– Ależ tak – powiedział Macsen ze złośliwą radością. – Sprawą zajął się mistrz Cherix.

– Ponieważ z prawnego punktu widzenia para bezsprzecznie nie miała racji i wszyscy o tym wiedzieli, jedyne, co Cherix mógł zrobić w sądzie, to grać na zwłokę. Rejestrację zasiedlenia mógł unieważnić jedynie nakaz Wielkiej Rady. Aby go otrzymać, sprawa sądowa musiała stać się kampanią polityczną. Ruch Nasze Miasto narodził się na cztery tygodnie przed wyborami. Burmistrz Trahaval był za ścisłym przestrzeganiem obowiązującego prawa, tak jak interpretował je Stąpający po Wodzie, co burmistrz lubił powtarzać w każdej przemowie. Doblek, dotychczas po prostu formalny kandydat opozycji, postanowił popierać Nasze Miasto. Wygrał z miażdżącą przewagą głosów, tak jak gromada przedstawicieli Naszego Miasta.

Ruch Nasze Miasto jego członkowie potraktowali bardzo poważnie. Do końca pierwszego tygodnia dosłownie wszystkie pustostany zostały zajęte i zarejestrowane przez jednego z ich ludzi. A przybysze z umierającymi krewnymi nie mieli gdzie się zatrzymać. Podobnie jak tamci dwaj bracia, nie mogli sobie pozwolić na wynajęcie gospód na całe miesiące. To doprowadziło do krytycznej sytuacji w Ilongo, tydzień po zaprzysiężeniu Dobleka w Pałacu Sadowym. Niektórzy z nowo przybyłych, oburzeni faktem, że nie mogą się zatrzymać w mieście, skąd ich kochani bliscy mają być poprowadzeni, próbowali mieszkać nielegalnie w niektórych centralnych rezydencjach w Ilongo. Wybuchły bunty, których konstable nie potrafili stłumić – choć z drugiej strony, nie bardzo się starali. Wtedy właśnie Doblek zadziałał z imponującym zdecydowaniem – nakazał milicji siłowe stłumienie rebelii.

Od tamtego dnia żaden przybysz – jeśli nie mógł sobie pozwolić na pokój w tawernie – nie był wpuszczany przez bramy miejskie, aż do dnia poprzedzającego przybycie Władców, kiedy to Matki Pani organizowały wejścia na wieże. I nawet wtedy obozujących na zewnątrz krewnych zniechęcano do towarzyszenia starcom aż

do Eyrie.

– Doblek naprawdę sądził, że naśladuje ciebie z dnia wygnania – powiedział Macsen. – Wyrzucenie z miasta i zabronienie powrotu – tak właśnie zrobiłeś z Bisem i całą resztą. A mnóstwo ludzi myśli tak samo jak Doblek. Podziwiają, jaki z niego twardziel.

– Jestem zaskoczony, że zdobył się na odwagę, by coś podobnego zasugerować – stwierdził Edeard. – To nie ten Doblek, jakiego pamiętam.

– Władza zmienia ludzi – stwierdził po prostu Dinlay, rzucając Macsenowi ostre spojrzenie. – I okoliczności. Cóż innego mógł zrobić?

Edeard zdał sobie sprawę, że jego przyjaciele kłócą się o to od dawna.

– Mógłbym to zaakceptować, gdyby próbował od tamtego czasu zmienić ten stan rzeczy – oświadczył Macsen. – Ale tego nie zrobił. Nie wie, co robić, a każdego dnia przybywa tu więcej ludzi. Czy wiesz, że dopiero teraz zaczęli przybywać pierwsi goście z najodleglejszych prowincji? I włączam w to Rulan.

– Tania złośliwość – powiedział cicho Dinlay.

– Niezupełnie. Liczba ludzi przybywających tutaj nadal wzrasta. Doblek nie zrobił nic w tej sprawie. Nic! Musiał rozstawić dodatkowe oddziały milicji, by strzegły drogi do Makkathranu. Ludzie, których wyrzucił na zewnątrz, zaczęli napadać na wozy kupieckie i karawany. Teraz więc mamy stałą obecność milicji daleko w głębi Iguru, a obozy przejściowe rąbią lasy podmiejskie na paliwo. Wiesz, że te drzewa posadzili osobiście Rah i Pani.

– Teren otaczający Makkathran był przeznaczony na zalesienie przez Raha – powiedział Dinlay ze znużeniem. – On nie łąził po okolicy, osobiście sadząc nasiona – to propaganda Naszego Miasta.

– Wszystko jedno – odparł Macsen. – Problemem są działania Dobleka, a raczej ich brak. Co on sobie wyobraża, że to wszystko samo się rozwiąże? I, Edeardzie, słyszałem pogłoski, że milicja z Fandine maszeruje przez Plax.

Edeard spojrzął na Macsena zaintrygowany.

– Czemu?

– Bo wykorzystaliśmy swoją milicję przeciw ich obywatelom. Twierdzą, że mają prawo ich chronić.

– Och, Pani Wielka!

– To wina odległości – zauważył Dinlay. – To nasz kłopot. Pogłoski wznoszą się z każdym kilometrem. Podrapana ręka i zakrwawiony nos w Makkathranie, kiedy dociera w pogłosce do Fandine, staje się jakimś masowym mordem niewinnych ludzi.

– Więc to na temat milicji z Fandine to prawda?

– Generał Larose wysłał w zeszłym tygodniu szybkich zwiadowców. Wkrótce się dowiemy.

– Milicje walczące na Iguru – wymamrotał z niedowierzaniem Edeard. Straty ludzkie podczas ostatniej kampanii przeciw bandytom przeraziły go. Myślał, że to już koniec takiego horroru. Z pewnością nie można pozwolić, by się powtórzył. Nigdy nie zapomniał rzezi wywołanej przez Owaina. – Muszę porozmawiać z Doblekiem.

– W jakim celu? – spytał Macsen. – Myślisz, że się wycofa i nakaże milicji powrót do miasta?

– Został wybrany dzięki przychylności Naszego Miasta – powiedział Dinlay. – Nigdy nie sprzeciwi się sprawie, która zainstalowała go w Pałacu Sadowym.

Edeard pomyślał przez chwilę o zastosowaniu dominacji. Od Tathala i gniazda w ostatnich kilku sekundach nauczył się tej techniki w dostatecznym stopniu, by móc zmienić zdanie każdej osoby. Ale burmistrz był tylko jednym człowiekiem. To rozwiązałyby tylko jeden problem – o ile milicja z Fandine rzeczywiście maszerowała na miasto opanowana pragnieniem zemsty. A trzeba by było uspokoić całą sytuację – sytuację stworzoną przez Władców Niebios. I czyż to nie ironia?

Przypomniał sobie spotkanie z Macsenem i Kanseen tuż po powrocie Dinlaya z podróży poślubnej z Gealee. W tamtym okresie burmistrz Travahał w ogóle nie tykał problemu masowego napływu ludzi oczekujących na przewodnictwo. Edeard powiedział innym, że spróbuje się dowiedzieć, dlaczego Władcy Niebios akceptują jedynie ludzi tylko z wież Eyrie. Ale nigdy nie miał czasu o to spytać przed swą ostateczną

konfrontacją z gniazdem, a przy bieżącej powtórce nigdy o to nie zadbał. Porzucił myśli o takich rzeczach, zajmując się podróżą.

Gdybym mógł namówić Władców Niebios do odwiedzania innych miast na Querencji, to cały problem by po prostu zniknął. Tymczasem musiał coś zrobić z uchodźcami za Bramą Północną. Cała ta wrogość po obu stronach spowoduje erozję spełnienia, ze względu na które osądzają nas Władcy.

– Dobrze – powiedział Edeard. – Jak bardzo nieustępliwe jest Nasze Miasto?

– To ruch jednej sprawy, co oznacza, że po prostu nie mogą być umiarkowani – powiedział Dinlay. – Nigdy nie zawrą kompromisu, więc jeśli masz zamiar zmierzyć się z nimi, to musiałyby być wybory bezpośrednie, po których jako burmistrz zmieniłbyś prawo.

– Sposób wydaje się bardzo radykalny. – Edeard wessał policzki. – Lepiej pójść i sam rzucę na to okiem.

Nasze Miasto, jak należało się spodziewać, obrało Ilongo na swą kwaterę główną. Dinlay z niechętnym podziwem opowiedział Edeardowi, jak polityczne wpływy ruchu wzrosły od jego pośpiesznego utworzenia. Ośmiu obecnych przedstawicieli dzielnic kandydowało z ramienia Naszego Miasta, tworząc w Radzie potężny blok. Ale największy wpływ ruchu na życie mieszkańców brał się bezpośrednio z problemów mieszkaniowych. Jeśli mieszkałeś w Makkathranie i szukałeś jakiegoś innego lokum, musiałeś prosić Nasze Miasto o współpracę. Teraz, kiedy jego członkowie legalnie zajmowali wszystkie uprzednio puste pokoje i mieszkania, to właśnie oni musieli zrezygnować ze swego prawa do pomieszczeń, zanim mógł się tam wprowadzić ktoś inny. Dopiero wtedy gdy potwierdzą, że jesteś petentem naprawdę urodzonym w mieście, jeden z ich członków opróżni miejsce, które chcesz. W rezultacie Nasze Miasto teraz decydowało o tym, kto gdzie mieszka. I tak jak to jest w przypadku wszystkich partii politycznych, handlowało korzyściami i układało się z rywalami i innymi

grupami w Radzie, na ulicach i kanałach, wkręcając się coraz głębiej w polityczną strukturę miasta.

Edeard wszedł do dzielnicy Ilongo z przystani dla gondoli na Kanale Północnego Kręgu. Wąskie uliczki w centrum tworzyły osławiony labirynt – większość dzielnicy stanowiły pudełkowate budowle ze ścianami załamującymi się pod ostrymi kątami. Powstały przejścia jak wąskie tunele, z wąską linią nieba pośrodku sklepienia. Ulice wychodziły niespodziewanie na placówki, podobne do studni światła wśród przewieszonych ścian. Fontanny radośnie bulgotały, jakby chcąc uczcić nagły blask słońca.

Wspomniał, że była to pierwsza dzielnica Makkathranu, przez którą przechodził. Razem z Salraną patrzyli radośnie na dziwaczne budowle, dość zdenerwowani z powodu tłumów idących po wąskich ulicach i zaułkach. Tulili się do siebie, szukając otuchy, a może po prostu ciesząc się z siebie i mocno wierząc we wspólną przyszłość.

Zacisnął zęby. Nienawidził tego wspomnienia, nienawidził tego, że choć mógł tak wiele, tak wiele poszło źle. Ta młoda, szczęśliwa Salrana jest już stracona, przepadła poza jego zdolnością odzyskiwania. Tak jak kochany mały Burlal. Oczywiście jeżeli nie cofnę się dostatecznie daleko i nie powtórzę okrucieństwa z Gildią Broni, głęboko pod Spiralną Wieżą. A nawet wtedy uratuje tylko Salranę. Burlal nigdy nie narodziłby się na świecie wyłonionym z takiego aktu.

Nic z tego. Mógłbym ocalić tylko jedno z nich, nawe, gdybym mógł się zmusić do ponownej konfrontacji z żywym Owainem. Mogę tylko stale iść naprzód.

Chyba żeby – przyznał to ponuro – przeżył oba życia. Cofnął się i ocalił Salranę przed nią samą i Ranalee i żył tym życiem, aż dla Salrany nadszedłby czas przejścia do Morza Odyna. A potem w ostatniej chwili, zamiast zaakceptować przewodnictwo dla siebie, mógłby zanurkować do czasu, kiedy żył Burlal, i jakoś pokonać Tathala w inny sposób.

Nic z tego, przyznał w bólu. Nie ma innego sposobu pokonania Tathala niż ten, w jaki to zrobiłem. Próbowałem całe lata. Burlal

jest teraz naprawdę poza moim zasięgiem. Mój cudowny wnuk, biedactwo.

Co gorsza, próba takiego ratowania wygnałaby Kiranana w nicość, razem z nowymi dziećmi bliźniaczk.

Chyba żebym przeżył to życie najpierw, potem... Och, słodka Pani, dlaczego w ogóle obdarzyłaś mnie tym przeklętym darem!

Wyszedł na Tęczowy Plac, nazwany tak ze względu na siedem ścian porośniętych podobnym do futra mchem. Tak naprawdę ściana była porowata i łkała stałymi strumyczkami wilgoci niczym ściskana gąbka. Bujny szmaragdowy mech lubił takie otoczenie. Na końcu jego stale wilgotnych łodyżek zbierały się drobne kropelki wody które jasno pobłyskiwały w słońcu przewiercającym się na środek placu. Powstawała barwna mgiełka rozszczepionego światła.

Odmienne niż na tłocznych ulicach Ilongo, tu było pusto. Czarna peleryna Stąpającego po Wodzie zadrgała potrząsana, kiedy czekał przed najwyższym z budynków. Fasada odchyłała się od niego. W jej środku umieszczono łukowe podwójne drzwi z jakiegoś starego czarnego drewna. W drzwiach otworzyła się mniejsza, osadzona w nich furtka.

Powoli wyłonili się szefowie Naszego Miasta. Denerwowali się przy Stąpającym po Wodzie, niektórzy mieli dość lat, by pamiętać władzę nad miastem, którą dzierżył w wielkim dniu wygnania. Jednego z nich przepełniała nienawiść z powodu złościwości i niegodziwości Stąpającego.

– Och, niech to Pani pieprzy – jęknął cicho Edeard na widok mężczyzny, który pierwszy wynurzył się z drzwi. Dinlay nie uprzedził go o tym.

Vintico patrzył na Stąpającego wyzywająco. Był tyczkowaty i miał oczy matki. Edeard mógł się domyślić, że Salrana zostanie jakoś uwikłana w tę klęskę.

Za Vintikiem na Tęczowym Placu tłoczyło się około dwudziestu osób. Wszystkie patrzyły prosto na niego, ciekawe, ale również zdecydowane, pewne, że Stąpający, uosobienie „starego”

Makkathranu, nie zagraża ich statusowi ani nie odbierze przewagi.

Edeard przemówił do nich wszystkich, spokojnie i cicho, demonstrując, jaki jest rozsądny.

– Trzeba z tym skończyć – powiedział. – Ludzie cierpią poza murem miasta. To nie jest słuszne.

– Nie, rzeczywiście nie jest to słuszne – odparł Vintico, a pomruki aprobaty dodawały mu bodźca, by kontynuował. – Dlaczego dobrym rodzinom z Makkathranu, które za samym Rahem wyszły z chaosu, odmawiać miejsca do mieszkania? My też mamy prawa. Czy kiedykolwiek słyszeliśmy, żebyś w radzie o tych prawach mówił ty albo ktoś z twoich kumpli, co?

– Sama Pani doprowadziła nas do czasu, kiedy obywatele tego świata są spełnieni. Muszą zostać poprowadzeni do Serca przez Władców Niebios. To nie podlega dyskusji.

– Nie dyskutujemy z tym – odparł Vintico. – Prosimy tylko, by nam pozwolono osiągnąć własne spełnienie. Jak to zrobić, kiedy nasze rodziny wędrują po zimnych ulicach bez dachu nad głową? Czy myślisz, że to ich wzbogaca, co, Stąpający po Wodzie? Czy przez to właśnie stają się spełnieni?

Edeard skinął głową ze zrozumieniem i równocześnie przypomniał sobie o czymś, co wyznał mu Finitan w chwili otwartej szczeroci: „Większość ludzi, którzy beznadziejnie zawiedli w życiu, ma przed sobą jeszcze ostatnią drogę wyjścia. Ludzie ci zostają politykami”. Teraz Edeard zaczynał doceniać znaczenie tej uwagi.

– Rozumiem waszą frustrację – powiedział. – Ale rozwiązanie tak wielkiego problemu ku zadowoleniu wszystkich wymaga czasu. Trzeba stworzyć coś na kształt społecznych stacji postojowych.

– Więc zbuduj je – odparł Vintico. – Daj nam żyć w sposób, jaki chcemy.

– Wszystko poszłoby znacznie łatwiej, gdybyście pomogli pokonać problemy bieżące. Słuchajcie, wiemy, że będzie to trudny okres. Porozmawiam z następnym Władcą Niebios, który przybędzie na Querencię, i spytam, czy mogą oni poprowadzić

dusze z innych miejsc, a nie tylko z wież Eyrie. Również polobbuję u burmistrza, by zainicjował wielką kampanię budowlaną poza miastem. Razem pokonamy ten kryzys.

– Więc dołącz do nas – powiedział Vintico. – Z przyjemnością byśmy cię przyjęli. A ty byś okazał w ten sposób swoją aprobatę dla nas.

– Jesteście zbyt zaściankowi – odparł Edeard. – Widzę to. Odrzucić innych – tylko to wyznaje Nasze Miasto. Patrzcie na zewnątrz, bądźcie gościnni. Zamykanie się w sobie, spychanie problemów na innych prowadzi tylko do antagonizmów i konfliktów. Jaki świat zbuduje taka postawa?

Vintico uśmiechnął się złośliwie, fala złego humoru rozlała się po zgromadzonych na placu członkach kliki.

– Chcesz powiedzieć, że musimy się stać tacy jak ty? Dołączyć do ciebie? Przyznać, że twoja droga to droga słuszna?

– To nie o to chodzi. Nie o „drogi”. Prawdziwe życie to zrozumienie i wspieranie innych ludzi, bezinteresowność, dobroczynność, życzliwość.

– Masz na myśli: dać się wykorzystywać i krzywdzić – odparł Vintico. – To właśnie przydarzyło się Makkathranowi. Zalewały nas te pasożyty. Podeptali naszą gościnność i życzliwość. Nigdy więcej! Nie porzucimy praw do naszego miasta. Nasze przyrodzone prawo jest bezwarunkowe. I wkrótce wszyscy dołączą do nas w drodze do naszego celu. – Jego głos i dalmowa podniosły się, wzywając do poparcia słuchaczy. Okrzyki zgromadzonych świadczyły o tym, że jego wezwanie działa.

Edeard patrzył na zacięty wyraz twarzy mężczyzny, badał umysły migoczące wokół niego na całym placu, odkrywał siłę i determinację stojące za słowami. Vintico myślał dokładnie to, co mówił. Nie było sposobu, by go przekonać, nawiązać negocjacje, zawrzeć jakiś kompromis. Nawet jak na początkującego polityka było to dziwne. Poddał Vintico przenikliwemu badaniu zaciekawiony, jak doszedł on do takiej pewności co do swych przekonań.

– Czemu mieliby wszyscy dołączyć do Naszego Miasta?

Spod tarczy mentalnej Vintika wydobył się maleńki błysk

triumfu.

– Zobaczysz. Nawet ty będziesz musiał pomagać w obronie naszych praw.

– Och, Pani – powiedział ledwie słyszalnie Edeard, kiedy zdał sobie sprawę, co Vintico ma na myśli.

– Nadchodzi milicja Fandine, prawda?

Vintico zaśmiał się szyderczo.

– Nie tylko oni. Pułk z Colshire maszeruje przeciwko nam, także z Buralu. Trzy prowincje chcą zaatakować Makkathran. Będziesz musiał zdecydować, po której jesteś stronie, Stąpający po Wodzie. Naszej czy ich, po której?

Przez twarz Edearda przemknął grymas bólu. Ci najbliżej niego nerwowo cofnęli się o krok, kiedy w jego umyśle wzniósł się straszliwy gniew, rozrzucając rozbłyски przygnębienia i depresji, które spowodowały, że nawet najwięksi poplecznicy Nowego Miasta zatrzęśli się nerwowo, a ich nieustępliwość zadrżała w posadach.

– Na miłość Pani, czego chcecie ode mnie?! – zaryczał wściekle Edeard. Teraz wszyscy cofywali się w pośpiechu. – Za każdym razem, niech to Honious zerznie, za każdym razem, kiedy robię, co mogę, by wszystko wyprostować, wydarza się właśnie to. Za każdym razem ktoś lub coś wyłazi z mroków, by spieprzyć sprawę.

Usta Vintika wykrzywiły się niepewnie.

– Stąpający po Wodzie, my po prostu chcemy, by nasze dzieci miały szansę...

– Zamknij! Się! – wrzasnął Edeard. – Straciłem wnuka, by dać wam dzisiaj ten świat. Mojego pięknego, ślicznego chłopczyka, który nikomu nie przysporzył cierpienia ani bólu. W odróżnieniu od was i pojebańców waszego pokroju, którzy sprowadzacie tylko cierpienia i ból. Unicestwiłem go, by dać wam szansę. A teraz muszę zrobić to ponownie, ponieważ najwyraźniej nie jest mi dane podróżować dookoła świata. Ponieważ, gdy to zrobię, pojawicie się wy, zrujnujecie wszelką nadzieję i wszelki pokój. Milicje nie mogą być zatrzymane teraz, kiedy już wyruszyły, jak to wy strasznie sprytnie zaplanowaliście. Trzeba je zatrzymać,

zanim wyruszyły, powstrzymać od wyruszenia. W gruncie rzeczy nigdy nie powinny mieć powodów, by wyruszyć. I jedynym sposobem, żeby to zrobić, jest zapobieżenie stworzeniu waszego przeklętego Naszego Miasta. Czy rozumiecie, co to znaczy, wy gówniarze? Te dzieci urodziły się zaledwie przed dwoma dniami! Dlaczego mam unicestwić je dla was? Co? Odpowiedzcie mi na to? Dlaczego po prostu nie zlikwidować wszystkich was tu i teraz? Dałoby to ten sam wynik. One nigdy się nie narodzą, to tak pewne jak genistary srające w lesie, ta podróż nie wydarzy się następnym razem, ponieważ nie mogę opuścić Makkathranu, zanim problem przybyszy nie zostanie rozwiązany. Tak więc bliźniaczki nigdy nie spotkają Marvane, a on nigdy nie zostanie ukoronowany na Największego Szczęśliwca. Czyż nie?

Vintico uczynił wyzywający krok w przód, chociaż nie rozumiał, co do niego mówiono.

– Nigdy nie zdołasz unicestwić nas wszystkich. Razem jesteśmy silni.

Aby to udowodnić, umysły obecnych na placu zaczęły łączyć swą telekinazę, by odgrodzić się od wszelkich potworności, które Stąpający po Wodzie mógłby rozpętać.

– Taa – warknął Edeard. – Jakbym tego, kurwa, nie wiedział.

Z ostatnim cierpięcizym warknięciem sięgnął po wspomnienie...

...by wylądować u stóp wieży Eyrie. Tłum wykrzyknął w podziwie. Kilkoro ludzi klaskało, większość wiwatowała na widok odrodzenia się Stąpającego po Wodzie.

Rozejrzał się wokół oszołomiony. Było tak, jakby dźwięki i odczucia miasta zostały jakoś przytłumione, jakby tym razem brakowało im solidności prawdziwego życia.

Ja już nie biorę udziału w tym życiu. Po prostu reaguję na stare wydarzenia, tak jak mi się wydaje, że powinienem. Co to za egzystencja?

Kristabel nachmurzyła się na ten ekstrawagancki pokaz jego zdolności.

- Tato - zganiła go Marilee.
- To było bardzo złe.
- Naucz nas, jak to robić.

Spojrzał na bliźniaczki ze znużeniem. Nigdy nie wyglądały na szczęśliwsze, niż kiedy trzymały swoje dzieci zaledwie dzień temu według jego osobistego czasu. Teraz to nigdy się nie wydarzy, nawet jeśli zorganizuję dla nich spotkanie z Marvanem.

- Władca Niebios przybywa - powiedział im smętnie, mając nadzieję, że uciszy ich to na chwilę. Wcześniej zawsze to tak działało.

Tam za Morzem Lyot pobłyskujący, masywny korpus Władcy Niebios wznosił się nad horyzontem. Daleko w górze, na platformie wieży zdumienie Finitana odbiło się echem w całym mieście. Podziw zmienił się w trwogę, kiedy wszyscy zobaczyli rozmiary Władcy Niebios.

Nie będzie więc podróży, dumam, kiedy wielka istota unosiła się bez wysiłku nad lekko sfalowanym morzem. A Kristabel powiedziała, że w tym momencie stałem się niemal nie do zniesienia. Więc zamiast podróży, która by ją udobruchała, muszę coś zrobić z masą napływających przybyszów. Pani, proszę, zrozum, już nie mogę się więcej poświęcać w swym życiu. Naprawdę nie mogę.

W czasie lotu Dostawca sprawdzał, co smartkor wie na temat anominów. Niewiele. Ta zaawansowana rasa odbyła standardową drogę ewolucyjną istot biologicznych. Błyskawicznie przeszli z epoki rolniczej do przemysłowej, potem prosto do łagodnej cywilizacji władającej międzygwiazdnymi statkami szybszymi od światła i dostosowaną do ich formy technologią replikacji komórkowej. Taka ścieżka rozwoju dopuszczała znaczną różnorodność. Wreszcie rozmaite odłamy i linie genealogiczne połączyły się i wyniosły do stanu postfizycznego. Ekspedycjom floty udało się wyłowić strzępy prawdziwej historii – wywnioskowano, że najbardziej prawdopodobnym czynnikiem stymulującym było zagrożenie ze strony alf.

Dostawca siedział w ustylizowanej na antyk kabinie „Ostatniego Wyskoku” z mało rozmownym Gore’em i, chcąc nie chcąc, zastanawiał się, czy anominowie nie postrzegali alf jako własne odbicie. Ciała zespolone z maszyną? Z drugiej strony zdolności alf pozostawały na bardziej prymitywnym poziomie. Dzięki Ci, Boże, że mnie od tego uchroniłeś. W tym wypadku „to” oznaczałoby biogenetycznie wbudowaną ksenofobię alf. Anominowie zbyt dobrze zdawali sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby paranoiczne, agresywne i silnie uzbrojone alfy uciekły ze swojego macierzystego układu gwiazdowego, jak już to próbowały zrobić na wolniejszych od światła statkach kosmicznych. Obawy usprawiedliwione obserwacjami pierwszych statków alf, które dotarły do najbliższego układu gwiazdowego, do Bety Dysona, z istniejącą tam cywilizacją. Pokojowo nastawieni obcy z tamtego świata nie mieli żadnych szans.

W ciągu dziesięciu lat po ludobójczej inwazji anominowie rozciągnęli wokół gwiazd bariery pola siłowego, co ludzie

nazywali Parą Dysona. Skąd pochodziły generatory Ciemnej Fortecy? Czy były konstrukcją tubylczą, czy pożyczoną od raielów? Co do tego ludzie nadal toczyli specjalistyczne dyskusje w grupce akademików. Ale to dzięki tej konstrukcji rozmaite odłamy anominów znów były razem. Zaledwie sto pięćdziesiąt lat po wzniesieniu barier większość anominów przeszła do stanu postfizycznego.

- Nie ma nic o mechanizmie transcendencji - stwierdził Dostawca, gdy „Ostatni Wyskok” pędził ku gwiazdzie anominów z prędkością pięćdziesięciu pięciu lat świetlnych na godzinę. Znajdowali się w odległości piętnastu minut i czujniki statku zaczynały otrzymywać dobrej jakości skany wszystkich planet układu.

- Jest utajniony - stwierdził Gore z miną spryciarza. - Niektóre aspekty rządzenia są wszędzie takie same, bez względu na to, jak dobrotliwa i przejrzysta usiłuje być władza. Dla polityków i wojska tajność jest jak tlen, zawsze musi jej trochę być, żeby mogli funkcjonować.

- Ale ty masz pliki?

- Wszedłem do podsumowań.

Dostawca spojrzał na Gore'a podejrzliwie.

- Myślałem, że masz wszystko zaplanowane.

- Mam, synku, więc przestań panikować.

- Masz tu te raporty?

- Akurat przy sobie nie, ale pamiętam najważniejsze rzeczy.

- Ale... chyba wiesz, co zrobić, by znów to zadziało? Tak twierdziłeś.

- Twierdziłem, że myślimy, że to jest nienaruszone.

- Nie! - Dostawca gwałtownie się pochylił, jakby chciał wylecieć z fotela i zderzyć nos w nos z Gore'em. - Nie, nie. Powiedziałeś, cytuję: „Udało im się przejść w stan postfizyczny. A mechanizm transcendencji zostawili za sobą”.

- Cóż, najwyraźniej nie wzięli skurwiela ze sobą. - Gore uśmiechnął się bez troski. - Jeśli jesteś postfizyczny, nie możesz tego zrobić, bo mechanizm jest fizyczny. Widzieliśmy to u skoloskich: ich mechanizm pozostał i rdzewieje na ich

opuszczonej planecie macierzystej. To samu u fallrorów. Tak się zdarza. Jezu, wyluzuj, dobra, zachowujesz się jak dziewica na balu maturalnym, która dotarła do pokoju w motelu.

– Ale. Ty. To. O, gównu! Potwierdź, że flota widziała mechanizm anominów, potwierdź, że wiesz, że jest na ich planecie macierzystej.

– Zespoły eksploracyjne floty, którym udało się przedostać, skomunikowały się z anominami starego typu pozostawionymi na planecie. Mieli legendy opowiadające, jak ich kuzyni-przodkowie opuszczali planetę. Legendy mówią o tym dość szczegółowo: oni opuścili planetę macierzystą. Co dowodzi: tam musi być ten mechanizm.

– Więc nie wiesz! Zaufałem ci! Niech to Ozzie kopnie! Mogłem dokonać postępów, do tej chwili mogłem już przerwać barierę solarną.

– Synu, Marius rozerwałby cię na strzępy jak mikser szczeniaka, gdybym ci pozwolił go dopaść. Jesteś dobry w tym, co robisz, dostarczasz różności moim agentom i prowadzisz trochę roboty obserwacyjnej. Dlatego cię zrekrutowałem, bo wszyscy wiedzą, że w zasadzie jesteś nieszkodliwy, więc poza podejrzeniem. Spójrz prawdzie w oczy, nie masz instynktu zabójcy.

– Moja rodzina jest tam uwięziona. Zrobiłbym wszystko...

– Tak, masz w sobie złość, która cię napędza. Ale to dla ciebie szkodliwe. To znaczy, że przyjdzie taki moment, gdy się zawahasz albo ogarną cię straszne wątpliwości, albo wyrzuty sumienia, albo zaleje cię fala przyzwoitości, gdy będziesz piłą odcinał palce Mariusowi i zmuszał go do ich zjedzenia.

Dostawca z obrzydzenia zmarszczył nos.

– Nie zamierzałem...

– Synu, mówięś, że zrobisz wszystko. A tamte tortury to jeszcze drobnostka. Ci ludzie nie poddadzą się tylko dlatego, że ich grzecznie poprosisz. Musiałbyś przykuć Mariusa w lochu i zmusić go do ujawnienia, jak znieść barierę. A mogę się założyć, że jedyna osoba, która faktycznie potrafi dezaktywować barierę, to Ilanthe, a ona jest niedostępna. Nie. Jeśli chcesz teraz coś osiągnąć, to jest jedyny sposób: musisz mi pomóc. Więc przestań

marudzić, proszę, i pozwól mi się zorientować, jak znaleźć ten mechanizm.

– Niech to cholera! – Dostawca odchylił się w fotelu wściekły, że znów go oszukano. A jeszcze bardziej złościło go, że Gore ma rację. Wyobraził sobie, jak grozi Mariusowi, może strzela mu tuż przy skroni z pistoletu żelowego, co każdego skłoniłoby do kapitulacji. No nie? Pokręcił głową. Czuł się głupio. Spojrzał ostro na Gore'a. – Zaraz, powiedziałaś, że jacyś się przedarli.

– Co? – Gore prawie nie zwracał na niego uwagi. Odchylony w pomarańczowym fotelu zamknął oczy, analizując dane ze smartkoru.

– Statki eksploracyjne loty, które tu dotarły. Powiedziałaś, że ktoś się przedarł. – Nie było odpowiedzi. Dostawca zażądał nieobrobionych danych z czujników i syntetyzował spójny obraz tego, do czego się zbliżali. Wydawało się, że w halo kometarnym gwiazdy dryfują jakieś aktywne stacje. Wielkie stacje chronione polami siłowymi przed wnikliwszym skanowaniem.

– A, tak, to te – powiedział w końcu Gore. – Strażnicy graniczni, zespołowo dobrze strzegą bezpieczeństwa. Pozostawione po ostatniej zaawansowanej technicznie erze anominów. Nie chcą, żeby ktoś skaził ich stary świat macierzysty.

– Jakie „te”?

Wcale nie brzmiało to dobrze. Ale Gore nie zdążył odpowiedzieć. W tym momencie „Ostatni Wyskok” wypadł z ultranapędu, a smartkor pokazywał Dostawcy obraz strażników w odległości kilometra. Obiekt miał ponad pięć kilometrów średnicy; wewnątrz był prawie pusty. Zasadnicza struktura składała się z zakrzywionych pasm tworzących szeroką elipsoidę; wyginały się ostro w zagęszczonej centralnej części, tworząc trzy skręcone, przecinające się w środku jamy. Pasma wydawały się przezroczyste, wypełnione gęstym gazem, w którym pobłyskiwało mnóstwo oślepiających, zielonych iskier. Kłębiły się wewnątrz pasm, jakby wiała tam wichura. W sercu jam unosił się identyczny, lecz dziesięciokrotnie mniejszy kształt jak ten tworzony przez zielone pasma. Wypełniał go szafirowy gaz pełen śmigających iskier. W centrum tkwił szkarłatny kształt,

a w jego wnętrzu żółty, z zagnieżdżoną liliową plamką. Czujniki pasywne nie potrafiły stwierdzić, czy w tych oparach jest kolejna miniaturowa wersja, a silne pole siłowe nie pozwalało na aktywną analizę.

- Co teraz? - szepnął Dostawca.

- Do cholery, mówmy cicho, bo mogą nas podsłuchiwać - warknął Gore.

Dostawca aż się skulił pod jego pogardliwym spojrzeniem. Odchrząknął.

- Dobrze. Czy będzie do nas strzelać?

- Mam nadzieję, że nie.

- Więc co robimy?

- Poprosimy o pozwolenie przejazdu.

- A jeśli odmówi?

- Módlmy się, żeby nie odmówił. Będziemy musieli wszystkie zabić. Siedemnaście tysięcy.

- Czy ten statek w istocie może...? - Zamilkł.

Smartkor wystrzelił prosty impuls komunikacyjny do strażnika. Czujniki pokazały pięć kolejnych gigantycznych stacji, które w odległości kilku tysięcy kilometrów wyłoniły się z dziwnych przestrzennych deformacji.

- Po co tu jesteście? - spytał strażnik.

- Jesteśmy przedstawicielami rasy ludzkiej, dwóch na pokładzie.

- Jaki rodzaj?

- Elewaci. Mieliście z nami do czynienia już wcześniej i potraktowaliście nas przychylnie. Proszę, żeby znów okazano nam względy.

- Wasz gatunek uzyskał wszystkie ważne dla was informacje od tych, którzy tu pozostali.

- Rozumiem. Szukamy danych o tych, którzy wyjechali. Stanowimy podgrupę naszego gatunku, która uważa, że powinniśmy spróbować ewolucji, tak jak to zrobili ostatni anominowie. Szukamy informacji o ich społeczeństwie.

- Wieziecie bronie. Są zaawansowane. Ci z waszego gatunku, którzy tu przedtem przyjechali, nie mieli broni.

- Trwa poważny konflikt między naszym gatunkiem a Imperium Ocisenów. Pojawiły się inne wrogie nam gatunki. Podróże międzygwiazdne to obecnie niebezpieczne przedsięwzięcie. Zastrzegamy sobie prawo do obrony.

- Nie odkryliśmy żadnego konfliktu.

- Zbliża się. Ostatnio Pustka nieco się rozszerzyła. Gatunki w całej Galaktyce są zaniepokojone jej zachowaniem.

- Wykryliśmy rozszerzenie Pustki.

- W takim razie prosimy o udzielenie nam pozwolenia, byśmy mogli spróbować emulacji ostatecznego sukcesu waszego gatunku.

- Możecie uzyskać dostęp do obiektów pozostawionych przez ostatnich anominów. Możecie je badać wszelkimi środkami z wyjątkiem fizycznej zmiany lub zniszczenia. Nie wolno wam usunąć żadnego obiektu ze świata naszych przodków. Wszystkie obiekty muszą pozostać na swoim miejscu, gdy będziecie stąd wyjeżdżać.

- Dziękujemy za okazaną nam wspianiałomyślność.

„Ostatni Wyskok” przeszedł znów do hiperprzestrzeni i pognał ku macierzystej planecie anominów. Dostawca z ciekawością obserwował wykres trajektorii, gdy szerokim łukiem oblatywali gwiazdę typu G3. Statek wyrzucał pojedynczo satelity gniazd konfluencyjnych. Rozmieszczone w równych odległościach od siebie stabilizowały się na orbicie dwustu milionów kilometrów od słońca układu. „Ostatni Wyskok” kierował się do macierzystego świata anominów.

Na wysokiej orbicie poza geosynchronicznym halo krążyło wiele śmiecia. Wszystko stare, nieaktywne. Rozległe doki dla statków kosmicznych i habitaty, powoli niszczone przez mikrometeority, obijane przez większe cząstki, przez tysiąclecia poddane promieniowaniu słonecznemu i ekstremalnym temperaturom. W efekcie pozostały z nich zaledwie kruche, cienkie skorupy, a skoro ich atmosfera wyciekła i zbiorniki popękały, dryfowały na wydłużonych eliptycznych orbitach. Duże kawałki rozpadały się na mniejsze i koziołkowały na własne orbity, zderzały się, ciągle się nawzajem dziurawiając.

Teraz miliony odłamków tworzyły gęsty szary torus wokół starego świata.

„Ostatni Wyskok” pomknął z wdziękiem przez astronautyczne cmentarzysko i wleciał na standardową orbitę parkingową tysiąc kilometrów nad równikiem. Stąd optyczne czujniki pokazały planetę podobną do wszystkich planet nadających się do zasiedlenia przez ludzi. Błękitne oceany i kontynenty zielone lub brązowe zależnie od klimatu. Potężne formacje białych chmur dryfowały w czystym powietrzu; ich opasłe, poskręcane szczyty sięgały ponad pasma gór, które okrywały pierzyną.

– A teraz co? – spytał Dostawca.

– Znajdź stóg siana, a potem zacznij szukać igły.

Dostawca miał ochotę spojrzeć wściekle na złotogętego siedzącego w skorupie fotela, ale się powstrzymał. Nie miało to sensu.

– Planeta jest większa od Ziemi – odczytał informację z displejów w egzowizji. – Powierzchnia lądów przeszło dwieście milionów kilometrów kwadratowych. Dużo terenu do przeszukania, jeśli robić to gruntownie.

– A dlaczego myślisz, że ta rzecz jest na lądzie?

– A ty dlaczego myślisz, że w ogóle jest tutaj? Czy to było w podsumowaniu? O ile wiemy, anonimowie osiedlili się w ośmiu innych układach planetarnych.

– Wszystkie są opuszczone. To cholerna prawda. Wrócili tutaj, każdy ich odłam. Kolejna kretyńska pielgrzymka. Stąd nastąpiła ich transcendencja.

– Och, Wielki Ozzie – jęknął Dostawca. – Ty nic nie wiesz, prawda? Nie masz zielonego pojęcia. Masz tylko nadzieję. To wszystko. Masz jedynie nadzieję, że tu znajdziemy odpowiedź.

– Stosuję logiczne myślenie.

Dostawca chciał walnąć pięścią w fotel. Ale co by mu z tego przyszło? Nawet nie byłaby to terapia emocjonalna. Zobowiązał się, gdy opuścił asteroid Gore’a.

– Dobrze, ale chyba masz koncepcję, jak znaleźć to cholerstwo?

– Zastosujemy logiczne myślenie. Najpierw z niskiej orbity przeprowadzimy kompletne mapowanie, zeskanujemy każdy

centymetr w poszukiwaniu egzotycznej aktywności czy fluktuacji grawitacyjnych, generowania mocy, anomalii kwantowych... czegoś nietypowego.

- Ale to wszystko potrwa...

- Tak, kilka dni.

- A jeśli niczego nie znajdziemy?

- Wylądujemy i porozmawiamy z miejscowymi. Zobaczymy, co powiedzą.

- Ale to cywilizacja agrarna, odpowiednik ludzkości w połowie dziewiętnastego wieku. Nic nie wiedzą o maszynach, które potrafią zmienić cię w anioła.

- Wiemy, że mają legendy, są dumni ze swojej historii. Zespół antropologii kulturowej floty zrobił dobrą robotę. Możemy nawet rozmawiać z nimi bezpośrednio. Ponadto są bardziej zaawansowani niż my w dziewiętnastym wieku. Pamiętam to z raportów podsumowujących. Ale czy w ogóle można robić takie porównania?

- Dobrze, niech będzie.

Gore lekko skinął głową i wydał rozkazy smartkorowi.

- Po co mnie tu wzięłeś? - spytał Dostawca. - Ty i statek sami byście sobie poradzili.

- Wsparcie - odparł Gore beznamiętnie. - W jakimś momencie mogą potrzebować pomocy. Kto wie?

- Znakomicie.

- Odpocznij trochę, synu. Od wielu dni jesteś strasznie podminowany.

Dostawca przyznał, że jest zbyt zmęczony i zirytowany, żeby się spierać. Poszedł do swojej kabiny i położył się na małej, ale wygodnej koi, która się wysunęła ze ściany działowej. Nie spodziewał się, że zaśnie. Cały czas się martwił o Lizzie i dzieci. Transwymiarowe połączenie statku z unisferą było ciągle otwarte, więc mógł przejrzeć wiadomości z domu.

„Wysoki Anioł” przybył do Układu Słonecznego. Po sześciu godzinach Qatux dyplomatycznie oznajmił prezydentowi, że olbrzymi statek-arka nic nie może zrobić. Pole siłowe rozmieszczone przez Rój Progresywistów było zbyt silne, by dało

się je sforsować dostępnymi broniąmi.

Dostawca przerzucił kilka niedoinformowanych serwisów, po czym zapadł w niespokojny sen.

Corrie-Lyn poderwała się z głębokiego snu zdezorientowana i niepewna, co ją obudziło. Rozejrzała się po małej, ciemnej kajucie, nasłuchując uważnie. Nic. Czasami systemy biednego obitego „Lindaua” hałasowały dziwnie, rury szemrały i bulgotały, a boty serwisowe stukały podczas rutynowych napraw; jeden raz nawet mogła przysiąc, że słyszała, jak trzeszczy kadłub. Ale dziś panowała cisza, tylko zasilanie jednostajnie buczało – co dziwnie uspokajało, choć nie powinno to być takie głośne. Przynajmniej mieli zasilanie.

Inigo poruszył się przy niej. Uśmiechnęła się lekko. Jak dobrze, że znowu jest przy niej fizycznie i emocjonalnie! Choć nie był niegdysiejszym mesjaszem, nadal to jej Inigo. Zatroškany teraz innymi sprawami, ale jak przedtem pełen determinacji i skoncentrowany. Czuła się teraz znacznie szczęśliwsza, gdy był tu i miała w nim pomoc, choć ciągle nie potrafił uciec Aaronowi.

Imię podziałało jak słowo kluczowe. To przez niego się obudziła. Jej umysł nagle był świadomy nerwowego bulgotu z gajafejsów agenta. Mózg Corrie-Lyn instynktownie próbował się zamknąć przed obrazami, odrażającymi wrażeniami bólu – nie były to bezpośrednie impulsy, ale wspomnienia cierpień, od których robiło się słabo, ale najgorsze ze wszystkiego były emocje winy i strachu, które wypełniały przestrzeń między nimi dwojgiem i zanurzały Corrie-Lyn w Aaronowy koszmar ciemności i udręki. Dusiła się w jakiejś olbrzymiej katedrze, gdzie mężczyźni i kobiety umierali jako ofiary na prymitywnym, pogańskim ołtarzu. Stała za wysokim kapłanem, gdy zakrzywiony sztylet znów się uniósł. Oczekujący na śmierć wrzeszczeli, gdy ostrze śmignęło w dół i znów się wzniosło, ociekając krwią. Postać w białym płaszczu odwróciła się. To nie był kapłan-mężczyzna. Ona uśmiechała się z satysfakcją, przód płaszczu zmoczony szkarłatną krwią przywierał obscenicznie do

jej ciała, podkreślając piersi i biodra.

– Nie opuścisz mnie – powiedziała. Uśmiechnęła się szerzej. Odsłoniły się kły, które rosły i rosły, a katedra blakła. Zostały teraz tylko ciemność i ona; płaszcz zniknął i krew połyskiwała na jej skórze. Usta coraz szerzej się rozwierały. Nie było już twarzy, tylko zęby i krew. – Wróć, gdzie twoje miejsce.

Chciał krzyknąć, dołączyć się do wrzawy wywołanej przez innych ludzi zagubionych gdzieś w nieprzeniknionej czerni. Ale gdy otworzył usta, wiała mu się krew do płuc, zatopiła go. Wszystkie mięśnie mu drżały, w zacieklej walce, by się uwolnić, uwolnić od niej, od tego, co kazała mu zrobić.

– W porządku, synu – włączył się inny głos. – Pozwól, że ci pomogę.

Otoczyła go miękka, obezwładniająca siła. Zesztywniał, znieruchomiał. Przestał się krztusić, przestał walczyć o powietrze, gdy jasnoczerwone, laserowe wachlarze omiotły ciemność i omotały mu głowę spiralną siecią, która się ciasno zwierzała. Do jego mózgu wlało się światło. Ból stał się niewyobrażalny.

– Auć! – Corrie-Lyn potrząsnęła mocno głową i zamknęła swoje gajafejsy. Odrażające wrażenia zniknęły. Teraz słyszała stłumione krzyki dobiegające z kabiny kapitana po drugiej stronie wąskiej zejściówki. – Słodka Pani – mruknęła. – Żaden umysł nie mógłby przez dłuższy czas wytrzymać takiej psychicznej udręki i jednocześnie pozostać zdrowym i funkcjonalnym. Patrzyła na drzwi kajuty, obawiając się, że Aaron tu wpadnie z włączonymi wszczepami bojowymi. Nie wpadł, z jego kabiny natomiast dochodziły wyzywające wołania, potem skomlenie, jakby ktoś uspokojał zwierzę, wreszcie na statku znów zapanowała cisza.

Corrie-Lyn przeciągle westchnęła poważnie zaniepokojona. Zrobi się bardzo niebezpiecznie, jeśli Aaron zupełnie zwariuje. Zimny pot pokrył jej skórę. Odsunęła skłębione kołdry i przepchnęła się do alkowy ablucyjnej. Cicho, żeby nie obudzić Iniga, przetarła ciało delikatnie pachnącym mydłem. Trochę odświeżona poczuła się nieco lepiej. Nie mogła się pozbyć

wrażenia pełznącego pod skórą – residuum straszego snu.

Jeśli to jest właśnie to.

Wszystko było zbyt spójne, by mogła przejść nad tym do porządku dziennego. To nie był umysł, który w sposób naturalny rozładowuje zakumulowane przeżycia zorkiestrowane przez piki uporczywych emocji – w ten sposób ludzie radzą sobie z codziennymi doświadczeniami. A tu jakby pęknięte wspomnienia wydobywały się z ciemnych obszarów psyche, gdzie dotychczas tkwiły uwięzione.

– Na Honiousa, co oni ci zrobili? – szepnęła w mrocznej kajucie.

Rano boty-służący skończyły szycie nowych ubrań według jej instrukcji.

– Nieźle. – Inigo patrzył na nią z podziwem, gdy włożyła bluzę floty ze skróconymi rękawami. Z uśmiechem wciągnęła spodnie dopasowane w biodrach. – Całkiem nieźle.

– Najpierw muszę zjeść śniadanie – stwierdziła wesoło. Jediną zaletą ich ciasnego więzienia było to, że dużo czasu spędzali wspólnie, nadrabiając zaległości.

Wchodząc do jadalni, trzymali się za ręce. Inigo użył jednostki kulinarnej: przygotował sobie jajecznicę i wędzonego łupacza. Corrie-Lyn pogrzebała w stosie luksusowych zapasów zgromadzonych przez załogę. Z wytworów jednostki kulinarnej mogła przełknąć napoje, ale tylko herbatę i sok pomidorowy, choć i to bez entuzjazmu. Teraz pałaszowała bananowe ciasto o smaku toffi z suszonymi jagodami morta i popijała szybko herbatą, usiłując wmówić sobie, że to earl grey, mimo że z mlekiem i dżemem truskawkowym.

Wszedł Aaron i jak zwykle przygotował sobie jajko w koszulce i wędzonego łososia. Bez słowa usiadł na zapadniętym krześle w drugim końcu jadalni.

– Kim ona jest? – spytała go Corrie-Lyn.

– Słucham?

– Ta najwyższa kapłanka czy ktoś tam. Ta krwawa. Która cię tak cholernie przeraża.

Aaron wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Tym razem Corrie-Lyn nie była zastraszona.

- No? - nalegała. - W nocy współdzieliłeś sny.

Nie był zakłopotany, według niej nie był do tego zdolny, ale opuścił wzrok.

- Nie wiem - odparł w końcu.

- Musisz... - Zaczepnęła tchu. - Posłuchaj, nie próbuję ci dokuczyć. Ale jestem zaniepokojona.

- O mnie? Niepotrzebnie.

- Nikt nie jest w stanie brać bezkarnie takich ciągów noc w noc. Nic mnie nie obchodzi, że masz wszczepy, ulepszenia na poziomie komórkowym. Taki chłam jest toksyczny.

- A mimo to każdego ranka doskonale funkcjonuję.

- Siedemnaście godzin temu - rzekł Inigo.

- Co takiego?

- Powinieneś być na mostku i monitorować statek. A ty pogrążyłeś się w zadumie. Czułem to.

- Moje zdolności operacyjne nie są upośledzone.

- Zostały osłabione - stwierdziła Corrie-Lyn. - Nie widzisz tego? Albo nie chcesz się przyznać?

- Mogę pomóc - rzekł Inigo.

- Nie.

- Masz instrukcje na wszelkie okoliczności. A na wypadek twojego załamania?

- Nic złego się ze mną nie dzieje, czego by nie naprawiła odrobina spokoju rankiem. Człowiek potrzebuje pośniadać w pobożnej, kontemplacyjnej ciszy.

- Pokontempluj to: jeśli zbzikujesz, jak dotrzemy do Ozziego?

Aaron uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Chcecie tego?

- Tak - odparł Inigo z całą powagą. - Nie wiem, kto cię zaprogramował, ale chyba miał rację, że chce, byśmy się spotkali.

- No, właśnie, to w końcu jakiś postęp.

- Jedynym, co może nam przeszkodzić w dotarciu do Szpikulca, jesteś ty - zauważyła Corrie-Lyn.

- Wyobrażam sobie, że jeśli jakieś moje fragmenty zaczną się

psuć, to ja po... – Zamilkł. Wesołość zniknęła z jego twarzy.

– Popełnisz samobójstwo? – odpowiedział Inigo.

Aaron patrzył intensywnie w punkt na ścianie działowej, kubek z kawą zawisł w pół drogi.

– Nie, nigdy bym nie zrobił czegoś tak niewłaściwego. Nie jestem aż taki słaby. – Zmarszczył czoło i spojrzał na Corrie-Lyn.

– Co takiego?

– O, Pani! – mruknął Inigo.

Corrie-Lyn była zafascynowana. Przypuszczała, że na chwilę odślonił się prawdziwy Aaron.

– Nie uda ci się tam dotrzeć – powiedziała beznamiętnie.

– Od Szpikulca dzielą nas zaledwie dwa dni – rzekł Aaron. – Przez tyle czasu zdołam się utrzymać w kupie. Uwierzcie mi i zaufajcie.

– Mimo to roztropnie byłoby, gdybyś załadował do smartkoru jakieś procedury awaryjne – zasugerował Inigo.

– Potrafię im dorównać, a jeśli chodzi o zdolności przetrwania, to znacznie je przewyższyc. Skoro już się zorientowaliście, że nie zależy mi na tym, by zrobić wam krzywdę, i że wy oraz wielki Ozzie będziecie serdecznymi kumplami stojącymi przed tsunami zła, to sugerowałbym usilnie, byście pomyśleli, jak zatrzymać Pustkę.

– Nie można jej zatrzymać – stwierdził Inigo. – Ona po prostu jest. To wiem. Obserwowałem ją ze Stacji Centuriona i osobiście czułem, jakie myśli ją przesycają. Wiem to jako jedyny z całej ludzkości. Więc uwierz mi, gdy mówię, że jeśli chcesz istnieć w tym samym świecie, musisz jakoś to obejść. Najlepiej będzie, jak zawrócisz i poprosisz „Wysokiego Anioła”, żeby zabrał nas do innej galaktyki.

Aaron popił trochę kawy.

– Ktoś myśli inaczej – powiedział nieporuszony. – Ktoś nadal w ciebie wierzy, Śniący. Ktoś wierzy, że naprawdę możesz poprowadzić nas ku zbawieniu. Co ty na to? Liczba twoich prawdziwych wyznawców spadła do jednego: do mnie. I tylko ja się liczę.

Półtora dnia od Szpikulca zaczęli odczuwać jego dziwaczną, mentalną ingerencję. Początkowo przypominało to łagodną euforię i dlatego nic nie zauważyli. Corrie-Lyn przestała pić, choć w szafkach osobistych załogi pobrzękiwało kilka niesamowicie dobrych butelek. Szkoda, żeby się zmarnowały. Parę z nich – białe Bodlian i Guxley Mountain – miały opinię afrodyzjaków. Naprawdę szkoda. Zwłaszcza że na statku nie było nic innego do roboty.

Po południu kazała botowi skroić i mocno wyciąć półorganiczną koszulę. Teraz strój trzymał się z przodu tylko na dwóch guzikach. Zadowolona z frywolnego rezultatu rozebrała się i weszła do wnęki ablucyjnej. Brała prysznic, a w tym czasie bot przerobił gruby sweter na długą suknię. Trochę drapała po plecach, ale co tam, do Honiousa.

Gdy wcześniej wychodziła z saloniku, Inigo przeglądał dane astronomiczne dotyczące Pustki. Teraz go zawołała, mówiąc, że to coś ważnego.

– Co takiego? – Stał zaskoczony w rozsuwających się drzwiach. Zobaczył przygaszone światło i trzy zapalone świece migoczące na prawie poziomych powierzchniach. Jednostka kulinarna dawała nędzne jedzenie, ale nadal bez trudu potrafiła wyprodukować wosk.

Corrie-Lyn spojrzała na niego zmysłowo i poleciła drzwiom, by się zamknęły. W jednej ręce trzymała dwa kieliszki na wysokich nóżkach i butelkę bodliana.

– Och! – Jego gajafejsy emitowały równocześnie impulsy tremy i zaciekawienia.

– Znalazłam to. Szkoda zmarnować – powiedziała najbardziej chropawym głosem, jaki mogła z siebie wydobyć, nie chichocząc.

– Klasyka. – Wziął od niej butelkę. Zanim odkorkował wino, Corrie-Lyn go pocałowała. Muskała jego twarz. Przywarł do niej. Dostrajała nastrój, wyciekający z jej gajafejsów. Razem odpinali pas zgrzebnej sukni. – O, droga Pani, tak – powiedział niskim głosem, gdy wełniana szata zsunęła się, odsłaniając koszulę, a raczej jej resztki.

Corrie-Lyn znów go pocałowała, swawolnie lizała końcem języka.

– Pamiętasz Franlee? – spytała. – Te długie zimowe noce, które spędzali razem w Plax.

– Zawsze wolałem Jessile.

– O, tak. – Upiła łyk wina. – To była niegrzeczna dziewczynka.

– Tak jak ty. – Nalał sobie kieliszek. Jedną dłonią przesunął jej po szyi, delikatnie ją głaskał, aż dotarł do górnego guzika. Zakrzywionym palcem lekko, sprawdził, czy dobrze trzyma.

– Mogę być, jeśli mnie odpowiednio poprosisz – obiecała.

Dwie godziny później Aaron strzelił impulsem dystorsyjnym w zamknięte drzwi ich kajuty. Plastmetal w jednej chwili rozleciał się na kawałki, do ciasnej przestrzeni wpadł migotliwy pył. Corrie-Lyn i Inigo odpoczywali wyciągnięci na kołdrach na podłodze. Inigo trzymał kieliszek i spokojnie kapał kropelkami bodlianu na piersi Corrie-Lyn. Procedury wtórne jego klastrów wielokomórkowych w jednej chwili aktywowały jego wbudowane pole siłowe. Corrie-Lyn krzyknęła i cofając się na czworakach, dotarła plecami do ścianki.

– Wyłącz to! – wrzasnął Aaron. Policzki mu płonęły, mięśnie szczęki ostro pracowały, gdy łapał powietrze, zaciskając mocno zęby.

Inigo stanął przed Corrie-Lyn. Rozciągnął pole siłowe, żeby ją chronić przed bezpośrednimi strzałami energii. Wiedział jednak, że w końcu wysiłek będzie daremny i nie da Aaronowi rady.

– Pole siłowe zostaje. W imię Pani, co się stało?

– Precz z tym pieprzonym polem siłowym!

Aaron się trząsał. Zrobił krok do tyłu. Z jego gajafejsów wzbierała fala osobliwych, nieprzyjemnych wrażeń, aż Inigo się wzdrygnął. Potoki wspomnień z dziwnej katedry o kryształowym sklepieniu; migały przerażone twarze, broń strzelała nieznośnie głośno. Każdy wybuch wspomnień wywoływał druzgoczący atak emocji. Nawet Inigo czuł, jak łyzy spływają mu po policzkach, gdy jego rozhuśtane emocje miały się między strachem, odrazą,

sprzeciwem i poczuciem winy.

– Jebak mózgu! – wrzasnął Aaron. – Wyłącz to albo, przysięgam, zabiję ją na twoich oczach.

– Ja niczego nie robię! – odwrzasnął Inigo. – Co się dzieje? Co to jest?

Aaron osunął się przy zdewastowanych drzwiach.

– Zabierz je z mojej głowy!

– Dezaktywuj swoje gajafejsy, to uśmierzy atak.

– Są wyłączone!

Inigo był tak zszokowany – swoimi własnymi emocjami, nie tym chaotycznym potokiem słów Aarona – że aż mu drętwiała skóra.

– To niemożliwe. Przecież czuję twój umysł.

Aaron wyprowadził pięścią cios – knykcie zatrzymały się kilka centymetrów od twarzy Iniga. Pod skórą Aarona widać było zmarszczki wszczepów, grube czarne wyloty luf wysunęły się z ciała.

– Wyłącz to.

– Niczego nie robię! – krzyknął mu Inigo.

To dziwne, ale czuł euforię; to się nazywa życie, przeciwieństwo ostatnich kilku dekad. Przeklinał sam siebie za to, że się ukrywał, zamiast stanąć twarzą wobec wszystkiego, co świat może na niego rzucić. Choć to głupota...

Ze wszczepów bojowych Aarona wystrzelił wachlarz czterech rubinowych promieni laserowych. Igrały na twarzy Iniga.

– Wyłącz. To. Już! – warknął oszalały agent.

Gdzieś blisko łopotwały ciemne, ścigające skrzydła. Skraj kabiny zaczął migotać i znikać, jakby ciemność zabierała ją cząsteczka po cząsteczce. Jej obecność mroziła, przenikała przez pole siłowe Iniga i szroniła mu skórę.

Aaron odrzucił głowę do tyłu.

– Precz ode mnie, potworze.

– To nie ja – szepnął Inigo.

Bał się: coś ich prześladowało w mroku, gorliwie wygryzało mu egzowizję od brzegów. Teraz widział, jak ona się uśmiecha, odsłania drapieżcze zęby. Jeśli naprawdę przedrze się do tego, co Aaron uważa za realność, nie można przewidzieć, co się stanie.

Promienie lasera zakrzywiły się w powietrzu, gładko opływały Iniga, zamykając go w czerwonej sieci. Ich końce pstrzyły nagie ciało Corrie-Lyn.

– Potrafię być tak zły jak ona – zagroził Aaron miękkiem głosem.
– Przecież to ona mnie nauczyła. Mogę to przeciągnąć na wiele godzin. Usłyszysz, jak cię błaga, żebyś to wyłączył, będzie cię prosiła, żebyś ją zabił, bo to jedyny sposób powstrzymania bólu.

– Proszę, posłuchaj mnie, ja ci tego nie robię – rzekł Inigo.

Zakrzywione promienie świetlne pojaśniały. W miejscach gdzie dotykały jej małe punkciki, skóra Corrie-Lyn skwierczała i szerniała. Corrie-Lyn zagryzła zęby z kłującego bólu.

– Poczekaj – dyszała. – Gdzie my jesteśmy?

Aaron drgał, jakby ktoś przepuszczał przez niego prąd.

– Położenie?

Ciemność otaczająca kajutę pulsowała jakby w rytmie serca, pchając podmuchy powietrza w ich stronę.

– O to chodzi! O nasze położenie. Czy jesteśmy blisko Szpikulca?
– pytała.

– Dzieli nas dwieście siedemdziesiąt lat świetlnych.

– Czy sen tutaj sięga? Może właśnie to czujemy?

Aaron przechylił głowę, ale rękę nadal trzymał kilka centymetrów od twarzy Iniga. Z ust kapłała mu ślina.

– Sen? Sądzisz, że to sen? Ona tu jest. Chodzi po statku. Chce mnie dopaść. Nigdy nie zapomina. Nigdy nie przebacza. Bo to słabość, a my to siła.

– Nie twój sen, pieprzony durniu – rzekła Corrie-Lyn. – Sen Ozziego. Sen galaktyczny, który zostawił, by budować Wspólnotę.

– Sen Ozziego?

Lasery nieco przyblakły. Corrie-Lyn wydostała się z ich oplotu.

– Właśnie. Ten efekt jest jak wzmacniacz emocji. Wiem, że nasz seks był dobry, ale...

– Co ty? – Corrie-Lyn przestała pocierać oparzone miejsca.

– Nie widzisz? – upierał się Inigo. – Przez gajasferę wzmocnił naszą odpowiedź emocjonalną. Ale z powodu twojej popieprzonej psyche to wzmocniło po prostu destabilizację. Sterowniki, które ci zainstalowali twoi mocodawcy, zaczynają

trzeszczeć pod wpływem napięcia.

Ciemność znów pulsowała. Inigo mógł przysiąc, że czuje zwiększone ciśnienie w uszach wewnętrznych.

– Moje gajafejsy są zamknięte – syknął Inigo.

– To niemożliwe! Jestem świadkiem twoich snów.

– On ma rację – wtrąciła Corrie-Lyn. – Moje gajafejsy są też zamknięte, ale ten cholerny koszmar wszystkich nas terroryzuje. To nie jest sprawa gajafejsów.

Celownicze promienie Aarona zgasły.

– W takim razie, co? – Aaron miał miękkie kolana. – Nie mogę narażać misji na taką porażkę. Powstaje ryzyko, że cię schwytają... Będziemy musieli umrzeć. – Poruszył ręką i chciał zacisnąć palce na twarzy Iniga. Egzowizję Iniga zalały ostrzegawcze symbole, gdy jego pole siłowe zaświeciło jasnym fioletem. – Twoje spacje pamięci też. Nic z ciebie nie może przetrwać, nic się nie może dostać w ręce wroga, a zwłaszcza w jej ręce.

– Ominę to. – Inigo usiłował zachować spokój. Przemoc nie była żadnym rozwiązaniem, musiał przedrzeć się przez neurozę Aarona. – To jest sen Ozziego, gajasfera jest mu już niepotrzebna. Rozpowszechnia uczucia bezpośrednio przez czasoprzestrzeń.

– To atak – przysięgał Aaron.

– Nie. Zapewniam cię. On jest geniuszem, autentycznym geniuszem na skalę, jakiej świat nie widział. Gajasfera to była dla niego tylko rozgrzewka. Zrozum, on stworzył prawdziwą telepatię. Ozzie zrobił coś, dzięki czemu umysł może rozmawiać bezpośrednio z umysłem. Zawsze do tego dążył. To jest wewnętrzne, twoja niestabilność ma źródło wewnątrz ciebie.

– Nie! – Aaron padł na kolana, nie mogąc złapać tchu. Pociągnął Iniga za sobą. – To przez ciebie misja poniosła porażkę. Rozpierducha pochodzi z twojej podświadomości.

– Nie.

– Tak.

– Powstrzymaj to. Ona nie może mnie znów dostać. Nie mogę na to pozwolić.

– Nikogo tu nie ma. Ona jest tylko wspomnieniem,

zdeformowanym wspomnieniem, którego nie potrafisz opanować, bo za dużo tam strachu.

Nagle Aaron puścił Iniga. Wstał, obrócił się, przyjął pozycję karateki i spojrzał na zniszczone drzwi.

- Ona tu jest.

- Aaron, posłuchaj. Sen Ozziego niszczy twoją racjonalność, ponieważ nie została stworzona do działania w takich okolicznościach. Daj sobie z nimi spokój, musisz wyzwolić siebie-prawdziwego z ograniczeń, które ci narzucił twój mocodawca. Ty-prawdziwy musisz się ujawnić. Ta sztuczna osobowość nie da rady.

- Nie jest dość dobra?

- Ty-prawdziwy jesteś bardziej niż odpowiedni. Ujawnij się. Dalej, to jedyny sposób, żeby to pokonać.

- Kontrola uszkodzeń... - Aaron powoli opadł na kolana, przygarbił się, chowając głowę między nogami. Oddychał coraz spokojniej. Upiorne półhalucynacje w otoczeniu kabiny zaczęły się wycofywać.

Inigo i Corrie-Lyn wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Czy sądzisz, że...? - spytała.

- Jedna Pani raczy wiedzieć - odparł cicho.

Wstali. Corrie-Lyn pośpiesznie włożyła wełnianą sukienkę. Oboje podeszli do skulonej postaci. Inigo z wahaniem wyciągnął rękę, ale nie miał odwagi dotknąć Aarona. Zastanawiał się, czy to pole snu - czy jak to nazwać - wzmacniało jego niepokój. Niewykluczone. Ale taki wniosek wydawał się dość sensowny. Z pewnością emocjonalny wzmacniacz zwiększyłby odpowiednio jego współczucie. Może to tak właśnie działało: wszystko się równo podnosiło, więc wszystko zostawało w takiej samej równowadze jak przedtem - żadnych zmian osobowości tylko większa percepcja i empatia.

Aaron podniósł głowę. Jego biononika przeprowadziła dokładne skanowanie statku. Wstał i spojrzał na Iniga i Corrie-Lyn. Wszczępy wycofały się w dłoń, zmarszczki skóry je zasłoniły.

- Cześć! - W głosie Corrie-Lyn brzmiała nadzieja. - Aaron, czy

to naprawdę ty?

Inigo nie był tego pewien. Od mężczyzny nie dochodziły żadne emocje. W zasadzie...

– Jestem Aaron.

– To dobrze – rzekła Corrie-Lyn z wahaniem. – Czy zaburzenia minęły?

– W mojej głowie nie było zaburzeń. Moje procedury myślowe zostały zredukowane do minimalnych wymagań funkcjonalności. Ta misja zostanie teraz zakończona. Przybycie do Szpikulca za osiemnaście godzin. Inigo będzie mi towarzyszył do Oswalda Fernandezsa Isaacs. Potem oboje dostaniecie dalsze instrukcje. – Odwrócił się i wyszedł.

– Na Honiouse, co to było? – spytała zaskoczona Corrie-Lyn.

– Najwyraźniej ostatni tryb rezerwowy zainstalowany na wypadek uszkodzenia mózgu podczas wymiany ognia. Aktywność neuronalna Aarona jest obecnie minimalna. Ci, którzy go przebudowali, musieli mieć prawdziwą obsesję na punkcie redundancji.

Zadrżała, zbierając sukienkę dłońmi.

– Jest jeszcze mniej ludzki niż przedtem. A tak w ogóle zbyt ludzki nie był.

– Tak. Niech Pani to przeklnie, myślałem, że to nasza szansa, by przerwać to jego uwarunkowanie.

– Cholera.

– Wiemy przynajmniej, że nie zostanę zastrzelony przed spotkaniem z Ozziem.

– Oswaldem? Nigdy nie wiedziałam, że tak ma na imię.

– Ani ja.

Odetchnęła głęboko.

– Czy nasz seks był tak dobry tylko dlatego, że go wzmociono? – Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Och, musiałem coś powiedzieć, żeby go zszokować.

– Naprawdę? – Rozejrzała się po kabinie. Wszędzie połyskiwały małe, ostre odłamki metalu. – Na Honiouse, ale bałagan.

– Nie martw się, damy radę.

– Nie martwię się.

– Martwisz się, czuję to.

– Co? Och! – Oczy jej się rozszerzyły, gdy sobie uświadomiła, że wyczuwa jego umysł tak wyraźnie, jakby dzielili się przez gajaserę.

Uśmiechnął się blado.

– Ten Ozzie to naprawdę gość. Ponad dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych, a to już ma na nas wpływ. Choć nie wiemy, co to naprawdę jest.

– Czy sądzisz, że można to wykorzystać, żeby połączyć wszystkich z Pustką?

– Nie mam pojęcia. Ale chyba się tego dowiemy. Może dlatego ci, co sterują Aaronem, chcą, bym tam był: mam dostęp do myśli z Pustki, to jest dowiedzione, i może oni chcą zobaczyć, czy potrafię się połączyć bezpośrednio z Sercem.

– I co to zjawisko może jeszcze wywołać? – zastanawiała się.

Eksperymentowali przez kilka godzin. Zjawisko bardzo przypominało dalmowę, którą tak dobrze znali z Pustki. Gdy jedno z nich ostrożnie budowało słowa i zdania, drugie potrafiło to postrzegać; nie udało im się jednak uzyskać bezpośredniej dalmowy dostępnej mieszkańcom Querencii. Najbardziej niepokojąca była jednak stała świadomość wzajemnych emocji. Corrie-Lyn pomyślała, że gdyby nie ich wcześniejsza zażyłość i doświadczenie w używaniu gajafejsów do kontaktu emocjonalnego, oboje mieliby prawdziwe problemy z poczuciem winy i żalu przy takiej otwartości. Dość długo to trwało, zanim zaakceptowali zjawisko na poziomie intelektualnym. Odsłonięcie i brak wyboru w tej sferze wywoływały w niej niepokój. Inigo to nie problem, ale świadomość, że maszynowy Aaron może poznać wszystkie jej uczucia, była co najmniej nieprzyjemna. A perspektywa, że każdy obcy na Szpikulcu będzie mógł zajrzeć do jej umysłu... z tym trudno się pogodzić.

Raz spojrzała tęsknie na butelkę ridhasa i natychmiast wiedziała, że Inigo tego nie pochwała, co wywindowało w niej poczucie wstydu. Nic dziwnego, że stuknięty stary Aaron załamał

się pod wpływem napięcia mentalnego. Tylko człowiek niesamowity mógłby żyć z sercem na dłoni przez cały czas.

A przecież, mówiła sobie, właśnie temu chcieliśmy się poddać w Pustce. Zwłaszcza wszechobejmującej terapii, jak to pokazywał Trzydziesty Siódmy Sen. Może po prostu ludzie są winni. Gdybym nie miała tak wiele do ukrycia, nie obawiałabym się odkrycia. To moja wina, że taka jestem.

Potem przespali się kilka godzin; Inigo ustawił skanowanie niskiego poziomu, by monitorować Aarona – na wszelki wypadek. Po obudzeniu zdążyli zjeść szybkie śniadanie przed przylotem do Szpikulca.

„Lindau” wypadł z hiperprzestrzeni pięćdziesiąt au nad południowym biegunem białoniebieskiej gwiazdy typu A. Miejsce, gdzie się wynurzyli, dawało niezrównany widok pierścieni gwiazdy. Czujniki optyczne szybko rozpoznały Gorący Pierścień, którego wewnętrzna krawędź oddalona była o dwie au od gwiazdy, a szerokość wynosiła pół au. Obręcz złożona z metalicznych skał połyskujących w ostrym świetle, gdy koziółkowały na wiecznej orbicie. W odległości trzech au od gwiazdy widniał Ciemny Pierścień, ostro kontrastujący barwą z poprzednim. Wąski, nachylony do ekliptyki pod kątem pięciu stopni, składał się z drobin węgla. Był tak ciemny, jakby pochłaniał światło z kosmosu. Dzięki kątowni nachylenia rzucał słaby cień, zwany Smogiem, na trzeci pierścień złożony z bladego krzemianowego pyłu i lekkich cząsteczek oraz kilku większych asteroid, które tworzyły dziwne eleganckie zawijasy i wiry w mdławej, żółtobrunatnej mgłę. Dalej w odległości siedemnastu au od gwiazdy widniał Pierścień Taśmowy, cienki, bardzo gęsty pierścień utrzymywany w miejscu przez ponad sto małych księżyców pasterskich. Za tym była już tylko Lodowa Bransoletka, która zaczynała się na dwudziestej pierwszej au od gwiazdy i wtapiała w chmurę Oorta na granicy układu.

Nie było planet – to dziwactwo ogromnie zastanawiało astronomów Wspólnoty. Gwiazda była za stara, by pierścienie zaklasyfikować jako dyski akrecyjne. Większość uznała je za wybryk spowodowany przez Szpikulca, ale ten obiekt znajdował

się tu najwyżej pięćdziesiąt tysięcy lat – to nic w skali astronomicznej. Chyba że Szpikulec zniszczył planety, gdy tu przybył, a to by znaczyło, że jest bronią nadzwyczajnej mocy. I to również było bardzo mało prawdopodobne.

Ze swojej znieruchomiałej pozycji daleko od systemu Aaron poprosił o pozwolenie wlotu i dokowania. SI Szpikulca udzieliła pozwoleń i statek z powrotem wślizgnął się w hiperprzestrzeń na krótki lot do wnętrza układu.

Szpikulec – tkwiący pośrodku Gorącego Pierścienia obcy artefakt – miał kształt wąskiego trójkąta wygiętego łagodnie wzdłuż swojej wysokości, mierzącej jedenaście tysięcy kilometrów od szczytu do nieokreślonej podstawy. Nie można było określić dokładnej pozycji tej podstawy, ponieważ ta część Szpikulca nadal była pogrążona w jakimś wielowymiarowym skręcie. Statek eksploracyjny floty odkrył ten artefakt w roku 3072 i porównał Szpikulec do statku kosmicznego wielkości planety, który próbował wyskoczyć z hiperprzestrzeni z połowicznym sukcesem – dziób przedarł się do czasoprzestrzeni, rufa natomiast tkwiła w zawikłanych fałdach pól kwantowych stanowiących podłoże wszechświata. Z wyobrażeniem wielkiego, aerodynamicznego gwiazdolotu kłóciły się tylko niesamowite rozmiary bestii. Na szczycie trójkąta znajdowała się iglica o średnicy pięciu kilometrów – miała dwa tysiące kilometrów długości, a jej funkcji nie znano.

Sprzecznie z naturalną mechaniką orbitalną Szpikulec cały czas był zorientowany w jednym kierunku, prostopadłym do powierzchni ekliptyki widzianej z Gorącego Pierścienia. Jego wklęsła krzywizna również orientowała się na gwiazdę, którą okręzał po idealnie kołowej orbicie, jakby był heliotropicznym kwiatem w kształcie żagla, cały czas podążającym za światłem. Stąd wniosek, że kotwiczący skręt, który utrzymywał podstawę Szpikulca w wirujących skalistych cząsteczkach, jest oczywiście aktywny, choć jego mechanizm znajdował się gdzieś w trzewiach nieosiągalnej podstawy trójkąta. Niewielu ludzi uważało Szpikulec za statek, choć ten pogląd ciągle miał zwolenników wśród romantycznie nastawionych uczonych Wspólnoty i

impulsywnych zwolenników teorii konspiracji rai-ele-Pustka.

Wewnątrz mieszkały różne społeczności obcych i kontakt z czternastoma z nich okazał się nadzwyczaj łatwy, ale nawet to ani trochę nie pomogło statkowi eksploracyjnemu w zrozumieniu pochodzenia i przeznaczenia Szpikulca. Gatunki, które znalazły dom w niezliczonych komorach habitacyjnych, przybyły tam stosunkowo niedawno. Najdłużej przebywali tam chikoya – cztery i pół tysiąca lat. I oni, i wszyscy, którzy przez tysiąclecie zasiedlili to miejsce, przeprowadzili adaptacje i zmiany w podstawowej strukturze do tego stopnia, że nie dało się już stwierdzić, co jest oryginalne.

Po ponownym wynurzeniu z hiperprzestrzeni „Lindau” znalazł się osiemset kilometrów w kierunku słońca od szpikulca, na jednym poziomie z jego górną częścią, więc masywna iglica dźgała południowy nieboskłon nad nimi. Smartkor przyśpieszył statek i skoordynował jego prędkość ze zmiennym wektorem prędkości masywnej struktury. Widzieli przed sobą zakrzywioną wewnętrzną powierzchnię z krystalicznymi komorami – przypominało to skórę pokrytą pęcherzami; najmniejszy z nich miał ponad dwieście kilometrów szerokości, a największy – kolonia ilodich – aż trzysta kilometrów średnicy. Osiem rur, każda o średnicy trzydziestu kilometrów, wiło się wśród komór, tworząc wewnętrzne drogi transportowe Szpikulca. Siedem z nich miało atmosferę tlenowo-azotową odpowiednią dla człowieka. W ósmej panowało gorące środowisko metanowo-azotowe.

Aaron skierował statek do metalowego grzyba, wyrastającego z jednej z rur dostosowanych do fizjologii człowieka. Setki podobnych lądowisk widniały przy innych rurach; rozrzucone przypadkowo nie wyglądały na konstrukcje oryginalne, niektóre były prymitywne, zaledwie płyty metalowe z prostą śluzą zespoloną z rurą. Gdy „Lindau” osiadł, objęło go lokalne sztuczne pole grawitacyjne i przytrzymało z siłą odpowiadającą około jednej dziesiątej g.

Inigo i Corrie-Lyn stali za Aaronem w ciasnej kabinie mostka. Wokół nich na kilku portalach wyświetlały się obrazy ze

Szpikulca. Na jego powierzchni panował duży ruch. Mnóstwo rozmaitych dronów pełzło, zjeżdżało, podskakiwało, toczyło się i ślizgało po rurach i komorach. Prowadziły naprawy i prace konserwacyjne. Wszystkie nadzorowane przez kontrolującą SI, która też była zlepkiem jednostek procesorowych wszczepionych w oryginalną sieć zarządzającą przez mieszkańców, którzy się tu wprowadzali i wyprowadzali w ciągu tysiącleci.

– Zjawisko nie jest tu silniejsze niż wtedy, gdy po raz pierwszy zdaliśmy sobie z niego sprawę. Czyli musi być jednorodne – zauważyła Corrie-Lyn.

Próbowała przejrzeć paletę obcych wrażeń, jakie dzięki zjawisku telepatii Ozziego oddziaływały w jej umyśle. Jak poprzednio czuła umysł Iniga oraz dziwne, pozbawione emocji wątki przelatujące przez umysł Aarona, ale poza tym sensoryczna zorza była niemal identyczna jak w gajasferze. Wykrywała umysły ludzkie, ale nie miała pewności, ile ich jest, prawdopodobnie nie więcej niż kilka tysięcy. Obce umysły też się wdzierały – intrygujące i dziwaczne – ale miały inną intensywność i emocje subtelnie odmienne.

– To, co czuję, może pochodzić od każdego w Szpikulcu – powiedział Inigo, dostrzegając jej zainteresowanie. – Przede wszystkim jest ponad milion chikoya z sekty Ba’rine. Osiedlili się po wypędzeniu ich z planety macierzystej. Są agresywni w swojej wierze i nie obawiają się tego pokazać. Tutaj nie stwierdzam tego poziomu wrogości. Poza tym flam-gi i ich nieprzyjemne przeświadczenie o wyższości własnego gatunku. Na pewno tego nie współdzielą. I tylko Honious raczy wiedzieć, co lub kto jest w zapieczętowanych komorach.

– W takim razie nie wszyscy są częścią snu Ozziego?

– Tak się wydaje.

– Dlaczego? – Zadała pytanie i natychmiast poczuła, że Inigo chce ją zbyć.

– Nie wiem. Musimy go spytać bezpośrednio. Aaronie, czy wiesz, gdzie on jest?

– Nie. – Głowa agenta nie drgnęła. Uważnie oglądał projekcje z

wnętrza Szpikulca. Uaktywnił się jakiś program mapujący, który wysyłał kolorowe błyski wzdłuż rur i przez ich przekroje. – Sterująca SI nie ma o nim żadnych informacji. Programy wyszukiwania danych oparte na u-adiunkcie nie działają skutecznie w tej sieci, a pewne sekcje komór są zablokowane; nie mogę sprawdzić danych z żadną dokładnością.

– Tego można się spodziewać – stwierdził Inigo. – Tu nie ma nadrzędnego rządu. Z tego co pamiętam, przylatuje się tu, trzeba znaleźć jakieś miejsce, które podtrzyma biochemię, i się wchodzi.

– I co teraz? – spytała Corrie-Lyn.

– Odwiedzimy największą kolonię ludzi i spróbujemy się czegoś dowiedzieć o miejscu pobytu Isaacs.

– A jeśli nie wiedzą? – powątpiewał Inigo.

– Jest powszechnie znany. Ktoś będzie wiedział.

– Ale on już wie, że tu jesteśmy – stwierdził Inigo.

Aaron odwrócił się i spojrzał prosto na niego.

– Sygnalizowałeś mu?

– Nie. Ale to zjawisko telepatyczne obnaża wszystkich przed wszystkimi. On właśnie po to tu przybył, żeby to osiągnąć.

– Czy potrafisz określić źródło zjawiska?

– Nie.

– Dobrze. Chodźcie teraz ze mną. – Aaron już szedł do zejściówki.

Skonsternowany Inigo spojrzał na Corrie-Lyn i wzruszył ramionami. Oboje posłusznie poszli za Aaronem do głównej służby.

Lądowisko wystawiło walec z plastmetal pasujący do uszczelki statku. Zewnętrzne drzwi się rozsunęły: widać było, że walec zakręca w dół. Aaron wkroczył do środka i zsunął się w przód w niskiej grawitacji. Cylinder tworzył dwa ostre łuki, którymi dotarli do ściany rury. Przeszli przez półprzezroczystą, drgającą wokół nich kurtynę ciśnieniową, po czym znaleźli się wewnątrz małego budynku z niebieskiego metalu z otwartymi łukami. Temperatura i wilgotność wzrosły do poziomu subtropikalnego. Przez łuki przeszli na obszerny wybrukowany plac. Wewnętrzną powierzchnię rury porastały bujne różowawe trawy i długie,

wijące się szaroniebieskie lasy. Piętnaście kilometrów nad ich głowami wzdłuż osi rury przebiegała niteczka oślepiająco białego światła, przenikającego przez grube smugi spiralnych chmur dryfujących we wnętrzu. Gdy przekroczyli kurtynę ciśnieniową, Corrie-Lyn odczuła, jak ciężenie rośnie do około dwóch trzecich ziemskiego standardowego, co dawało jej wizualne wrażenie, że stoi na dnie walca, w którym wszystko, co poruszało się na solidnym dachu, powinno upaść prosto na dół, choć bardzo dobrze wiedziała, że każdy punkt krajobrazu na sklepieniu podlega temu samemu ciężeniu.

Wydeła policzki, częściowo z gorąca, częściowo z nieprawdopodobnego wrażenia, jaki sprawiał ten widok.

– I to jest zwykła droga transportowa?

– Jedna z dróg – odparł Aaron. – W strukturze są czynne wormhole krótkiego dystansu i kilka T-sfer. Znajdują się jednak pod kontrolą gatunku, który je zainstalował. Rury zapewniają ogólne połączenia między komorami.

– Idziemy pieszo? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie. – Aaron spojrzał w górę.

Corrie-Lyn powędrowała tam wzrokiem: ciemny trójkąt schodził od oślepiającego światła prosto ku nim. Gdy się zbliżył, zobaczyła, że to rodzaj samolotu; miał ze dwadzieścia metrów długości i był dość opasty jak na tak opływową sylwetkę. Na wąskim stateczniku pionowym miał namalowane ludzkie litery, jakieś bezsensowne kody rejestracyjne. Nogi do lądowania rozłożyły się starannie z przodu i z tyłu i maszyna osiadła na sztywnej szorstkiej trawie. W połowie wypukłego brzucha otwarły się drzwi. A więc nie ma plastmetal, pomyślała. Nie widziała też żadnego wlotu silnika odrzutowego. Zatem maszyna musiała się poruszać na czymś w rodzaju ingrawu.

Wnętrze kabiny wyglądało prosto, wręcz prymitywnie dla kogoś przyzwyczajonego do powszechnych we Wspólnocie kapsuł. Corrie-Lyn siadła w fotelu zaprojektowanym dla ciała człowieka. Kadłub nie był przezroczysty. Kolejne rozczarowanie. Inigo natychmiast odczytał to uczucie.

– Jest zasilanie sensoryczne – poinformował ją i przekazał jej u-

adiunktowi małą procedurę dostępu, która nie przypominała żadnego znanego jej programu.

– Skąd o tym wiesz? – spytała. W jej egzowizji rozwinął się obraz z kamery samolotu. Szybko się wznosili, choć przyspieszenia się nie odczuwało.

– Monitoruję ruch danych Aarona – odparł obojętnym tonem.

Wzleciawszy ponad gęste, skłębione chmury samolot pomknął naprzód.

– Łał! – Corrie-Lyn aż zmrużyła oczy pod wrażeniem takiej prędkości.

– Na ile potrafisz ocenić, robimy około dwudziestu machów – stwierdził Inigo. – Z jednego końca Szpikulca na drugi można przelecieć w parę godzin, nawet uwzględniając krzywizny rury.

– To dokąd lecimy?

– Komorę nazwano Octron – odparł Aaron.

– Jak daleko?

– Lot potrwa około trzech minut.

Wywróciła oczyma, mając nadzieję, że jej umysł nie pokazał, jak bardzo ją irytuje ta maszynopodobna wersja Aarona. Choć przypuszczalnie nie miał już procedur myślowych, które zajmowałyby się takimi emocjonalnymi banałami. Gdy skoncentrowała się na kilku impulsach myślowych w jego głowie, wszystkie były spokojne i chłodne, tak że trudno je było nawet wyczuć.

W połowie drogi ich mały samolot wykonał swobodną pętlę wokół świetlnej osi, po czym szybko zwolnił i zaczął pionowo opadać. Wylądowali w pobliżu szerokiej, niskiej kopuły ze srebrnoszarego materiału. Budowla wielka jak katedra, o szerokich łukach przy podstawie, była najwyraźniej węzłem transportowym; kilka innych maszyn lądowało i startowało. Ludzie, którzy się tam kręcili, byli ubrani jak zwykli mieszkańcy Zewnętrznych Światów Wspólnoty, widziało się różne style, od ultranowoczesnych togaturów po dziwaczne stroje sprzed wieków.

Pośrodku przestronnej kopuły znajdowała się złota zwierciadlana kula, której dolna ćwiartka zniknęła poniżej

poziomu gruntu. Ludzie do niej wchodzili i z niej wychodzili, przepychając się przez powierzchnię, jakby była mniej substancjalna od mgły. Corrie-Lyn podeszła do kuli, cały czas świadoma, że z tutejszych umysłów emanują podejrzliwość i zainteresowanie. Jej konsternacja, że Inigo zostanie w końcu rozpoznany, działała jak pozytywne sprzężenie zwrotne: kilka osób przystanęło, by się im przyjrzeć. Czuła ich zaskoczenie, gdy nagle zaczęli rozumieć. Zaskoczenie szybko podbarwione złością i urazą.

Tuż przed złotą powierzchnią Aaron ujął Iniga za rękę.

– Nie próbuj mi uciec – ostrzegł go.

– Nie zamierzam – odparł Inigo.

Aaron cały czas go trzymał, gdy we trójkę przechodzili przez powłokę kuli. Corrie-Lyn czuła, że powierzchnia płynie wokół niej jak kurtyna ciśnieniowa. Potem Corrie-Lyn powoli opadła, gdy grawitacja znów się zmniejszyła. W środku panował mrok. Klastry makromolekularne uruchomiły procedury wzmacniające widzenie i teraz Corrie-Lyn zobaczyła szeroki szyb – wariant toru zerograwitacyjnego długości około trzystu metrów. Spadała nim w dół parę metrów za Aaronem i Inigiem.

Trwało to zaledwie minutę. Pochwyciła ją jakaś grawitacyjna deformacja, obróciła nią, i Corrie-Lyn stanęła na końcu szybu, który zamykała mroczna bariera identyczna jak ta na wejściu. Corrie-Lyn, przechodząc przez nią, czuła mrowienie.

Miejsce wynurzenia: plac.

Aktywny> wbudowane pole siłowe stopnia trzy.

Aktywny> Bioniczny skan połowy poziomu dwa.
Podsumowanie skanu: średnica główna placu sto siedemdziesiąt osiem koma trzy metry. Trzy główne drogi dojazdowe, pięć ulic drugorzędnych. Populacja w bezpośrednim zasięgu: osiemdziesięciu siedmiu dorosłych ludzi, podgrupa pięćdziesięciu trzech Elewatów; dziewiętnaścioro dzieci poniżej dwunastu lat. Żadnych obcych form życia. Budynki w otoczeniu: średnia wysokość dwadzieścia pięć metrów; fasady: żelazo

najwyższej czystości. Miejscowe zasilanie: sto dwadzieścia woltów. Wysoko wydajna sieć komunikacyjna. Transport w polu widzenia: rowery. Fluktuacje grawitacyjne wskazują na siedem jednostek o napędzie inercyjnym operujących w promieniu trzech kilometrów.

Wstępna ocena: środowisko bezpieczne. Nie ma zagrożeń dla podmiotu alfa. Podmiot alfa ograniczony fizycznym chwytem. Utrzymać warunki ograniczenia.

Początek misji pierwotnej: określić lokalizację Oswalda Fernandez Isaacs. Cztery opcje. Inicjalizacja opcji pierwszej: spytać.

- Ty!

Obywatel Octoronu jeden: mężczyzna, wysokość jeden koma siedem dwa centymetra; funkcjonalność bioniki umiarkowana:

- Tak?

- Gdzie jest Oswald Fernandez Isaacs?

Obywatel Octoronu jeden: Kto? Zaraz, zaraz, ty jesteś Inigo?

Podmiot alfa: Taaa, niestety tak.

Obywatel Octoronu jeden: Ty draniu. Ty głupi draniu, egoisto. Co ty tu robisz?

Podmiot alfa: Zrozum, bardzo mi przykro. To skomplikowane. Proszę, odpowiedz na jego pytanie. Musimy znaleźć Ozziego.

Obywatel Octoronu jeden: Słuchaj, dlaczego nie wyczuwam twoich myśli?

- To nie ma znaczenia. Wiesz, gdzie jest Isaacs?

Obywatel Octoronu jeden: Jesteś z Inigiem? Wal się.

Skanowanie> Obywatel Octoronu jeden zmieniona funkcja polowa bioniki. Temperatura skóry rośnie, tętno wzrasta, mięśnie się kurczą, poziom adrenaliny rośnie. Analiza: możliwa agresja.

Zagrożenie.

Odpowiedź.

Aktywować> bioniczne pole broni.

Uzbroić> impuls wyładowania. Cel: brzuch Obywatela Octoronu jeden. Ognia.

Wzrost poziomu dźwięków zewnętrznych. Ludzkie krzyki.

Podmiot beta: O, wielka Pani! Zabiłeś go.

– Zneutralizowałem zagrożenie.

– Zagrożenie? Co ty pieprzysz? Jakie zagrożenie? Ty potworze!

Misja pierwotna: porażka opcji pierwszej. Przejść do opcji drugiej.

– Ty.

Obywatel Octoronu dwa: kobieta, jeden koma pięć osiem centymetra, zero biononiki, pełna sekwencja wielokomórkowa Awangardów. Biegnie. Złapana.

– Ty.

Obywatel Octoronu dwa: Co? Nic nie zrobiłam. Puść mnie. Pomocy! Pomocy!

Podmiot beta: Zostaw ją, draniu!

– Czy Oswald Fernandez Isaacs mieszka w Szpikulcu?

Obywatel Octoronu dwa nie odpowiada.

Opcja dwa, poziom drugi.

Obywatel Octoronu dwa: nieskładny wrzask.

– Czy Oswald Fernandez Isaacs mieszka w Szpikulcu?

Obywatel Octoronu dwa: Tak, tak, jest tu. Cholera, to boli. Przestań, proszę. Proszę.

Podmiot beta: Puść ją.

Podmiot alfa: Przestań natychmiast.

Podsumowanie skanu: dwudziestu trzech ludzi Elewatów aktywuje pola biononiczne wysokiego poziomu. Zbliżają się. Zwiększona wymiana danych międzyosobowych.

Bezpośrednie zagrożenie.

Odpowiedź poziom jeden na wrogie osaczenie.

– Stać natychmiast albo ją zabiję.

Podmiot beta: Nie podchodźcie. Cofnijcie się. Ten maniak robi, co mówi. Proszę, cofnijcie się.

– Gdzie jest Oswald Fernandez Isaacs?

Obywatel Octoronu dwa: Nie wiem. Proszę.

– Kto wie, gdzie jest Isaacs?

Trzej obywatele Octoronu, jednocześnie: Puść ją!

Odbiór skanu> osiem czujników celowania namierza.

– Zabiję ją, jeśli mi go nie przyprowadzicie.

Podmiot alfa: Przestań. Pozwól, że z nimi porozmawiam.

– Nie.

Zagrożenie osaczeniem wzrosło do poziomu pięć.

Odpowiedź. Przypadkowy wybór celu dwunastu obywateli, trzy budynki.

Uzbroić> Impuls wyładowania. Wzorzec ognia sekwencyjny.

Uzbroić> Promień jonowy. Wzorzec ognia sekwencyjny.

Skan>Poziom pięć>Penetracja chmury nad gruzem i jonizacji atmosfery pomyślnie zakończona.

Zero bezpośredniego zagrożenia.

Poziom hałasu w okolicy wysoki.

Ludzie z placu wycofują się. Piętnaście ofiar. Pięć śmiertelnych.

Obywatel Octoronu dwa szamocze się. Nie współpracuje.

Misja pierwotna: porażka opcji dwa. Przejść do opcji trzy.

U-adiunkt, załaduj ogólny komunikat do lokalnej sieci komunikacyjnej.

– To posłanie otwarte do Oswalda Fernadeza Isaacs. Nie zrobię ci nic złego. Koniecznie musisz się ze mną skontaktować. Jest przy mnie Inigo. Razem musicie odwrócić katastrofę Pustki.

Podmiot beta: Tak, to na pewno zadziała, ty kretyński debilu. Gdyby o mnie chodziło, w te pędy bym do ciebie dzwoniła. – Poziom głosu podniesiony/stan histeryczny.

– Uspokój się.

Podmiot alfa: Aaronie, skończ to. Zrozum, narażasz swoją własną misję.

Analiza.

Twierdzenie obalone.

– Wiem, co mam robić. Nie przeszkadzaj.

Podmiot alfa: Nie wiesz. Masz do czynienia z ludźmi. Do swojego rozumowania musisz włączyć czynnik emocjonalny. A ty go już nie posiadasz.

– To środowisko jest wrogiem dla moich procedur opartych na emocjach, powoduje erozję mojej racjonalności. Nie mogę ich dopuścić.

Podmiot beta: Do cholery, co robimy?

Podmiot alfa: Nie wiem.

Alert> T-sfera zajmuje pozycje po drugiej stronie Octoronu. Wyłania się jedenaście obiektów – odległość pięćdziesiąt metrów. Skan>Poziom osiem>Intruzi zidentyfikowani: dorośli chikoya w trzeciej fazie w zbrojach. Hardware wielozbrojny dołączony. Pola siłowe aktywowane.

Wokół poziom dźwięku rośnie – ludzkie wrzaski.

Podmiot beta: Wielka Pani, kim oni są?

Chikoya jeden: Jesteś ludzkim mesjaszem.

Analiza: skąd to wiedzieli i jak tak szybko zlokalizowali podmiot alfa? Od lądowania upłynęło siedemnaście minut.

Podmiot alfa: Tak, jestem Inigo.

Analiza sytuacji: chikoya przeprowadzają manewr rozlokowania. Wysoka taktyczna przewaga w skutecznym okrążeniu.

Prawdopodobieństwo ochrony podmiotów alfa i beta przed zsynchronizowanym ogniem chikoya: minimalne. Opcja: pozbyć się podmiotu beta.

Chikoya jeden: Zainicjowałeś u Pustki fazę pożerania.

Podmiot alfa: Nie miałem kontaktu z Edeardem od ponad półtora wieku.

Chikoya jeden: Ty zainicjowałeś kontakt. Jesteś odpowiedzialny. Musisz to powstrzymać.

– Cała aktywność Pustki zostanie zakończona. Dopilnujemy tego. Teraz opuśćcie Octoron.

Chikoya jeden: mesjaszu, pójdiesz z nami. Zagrożasz Galaktyce i to musi się skończyć. Chodź teraz.

– Niedopuszczalne. Usuń się i swój gatunek z tego miejsca.

Chikoya jeden: Twój mesjasz idzie z nami.

– Inigo, przestaw swoje integralne pole siłowe na najwyższy stopień.

Podmiot alfa: A co z Corrie-Lyn? Niech cię diabli, ona jest tu zupełnie odsłonięta.

Podmiot beta: Co się dzieje? Inigo, nie idź z tymi rzeczami, proszę. Aaronie, musisz...

Alert> Chikoya aktywują bronie.

Namierzanie wielu celów.

Uzbroić> Impuls wyładowania. Ogień sekwencyjny.
Uzbroić> Lasery neutronowe. Ogień sekwencyjny.
Przeciwdziałania elektroniczne. Włączone. Cała moc.
Uzbroić> Mikrokinetyka. Inteligentne namierzenie. Wolny ogień autoryzowany.

Przerwać ogień.

Skan> Natychmiastowe wycofywanie się aktywnych chikoya z bezpośredniego obszaru. Rozlokowanie> Śledzenie.

Bieżąca sytuacja taktyczna: zła. Ruszaj. Podmiot alfa musi towarzyszyć.

Podmiot alfa trzyma podmiot beta, pole siłowe rozszerzył, by ją chronić.

– Puść ją.

Podmiot alfa> Wal się!

Skan.

Przenieść się do Budynku A. Wykorzystać go jako osłonę.

– Chodź ze mną.

Rusza. Podmiot alfa, podmiot beta, razem.

Alert> Namierzenie wielu celów.

Najlepsza pozycja taktyczna: stać w Bramie Budynku A.

Uzbroić> Impuls wyładowania. Ogień sekwencyjny.

Uzbroić> Lasery neutronowe. Ogień sekwencyjny.

Uzbroić> Promienie jonowe. Ogień sekwencyjny.

Uzbroić> Mikrokinetyka. Inteligentne namierzenie. Wolny ogień autoryzowany.

Uzbroić> Inteligentne szukające zamaskowane miny Ariel. Profil chikoya załadowany. Przydzielić.

Alert> Wyłonienie w teleporcie, osiemnaście uzbrojonych chikoya.

– Nie uda nam się wyrwać. Wiedzą, że tu jesteś. Przerwać ogień.

Podmiot alfa (krzyczy): Powiedz wreszcie coś nowego.

Wyjście bramą. Strzelanie naruszyło konstrukcję Budynku A.

– Tędy.

Wdrożyć strategię wyjścia.

Skan> mapowanie rozkładu Budynku A. Droga ewakuacyjna potwierdzona. U-adiunkt umocowany w lokalnej sieci

komunikacyjnej infiltruje sąsiednie kapsuły transportowe.

Alert> Chikoya wchodzi do Budynku A.

Namierzenie konstrukcyjnych punktów obciążenia Budynku B.

Uzbroić> Impuls wyładowania. Ognia.

Integralne pole siłowe wzmocnione, by zapobiec częściowemu runięciu Budynku A.

Wybuch pożaru. Skan przez dym. Trzech Chikoya unieszkodliwionych.

Podmiot alfa: Dokąd idziemy?

– Musimy opuścić ten rejon. Wyłącz swoje pole siłowe.

Podmiot alfa: Co? W imię Pani, chyba żartujesz?

– Nie. Oni śledzą twoją obecność przez efekt telepatyczny. Występuje absolutnie wszędzie i dlatego jesteś na widelcu w każdym miejscu.

Podmiot alfa: I co?

– Wyłącz swoje pole siłowe. Zamroczę cię. Gdy nie będziesz myślał, twoje myśli nie mogą zdradzić naszej lokalizacji.

Podmiot beta: Inigo! Nie! On zabija nas oboje. Na pewno to zrobi.

– Martwy jesteś dla mnie bezużyteczny.

Alert> Namierzenie celu: Budynek C, dach.

Uzbroić> Mikrokinetyczna supresja ognia zaporowego. Ognia.

Cel wyeliminowany.

Podmiot alfa: Ale nie zdołam powstrzymać Pustki, jeśli będę nieprzytomny.

– Gdy pozyskam Isaacs, będę nalegał, żeby wyłączył zjawisko telepatii. Wtedy nikt cię nie będzie mógł znaleźć.

Podmiot alfa: O, słodka Pani!

Podmiot beta: Nie, nie, nie.

Podmiot alfa: Zaopiekuj się również Corrie-Lyn.

– Dobrze.

Alert> Dziewięciu chikoya rozstawionych w formacji namierzenia.

Podmiot alfa: Aaronie, cokolwiek zostało z ciebie prawdziwego, trzymam cię za słowo.

Zbliża się kapsuła ewakuacyjna. U-adiunkt wyznacza strefę

lądownia. Trzy kapsuły pozorowane w drodze – ograniczenia bezpieczeństwa zablokowane.

– Możesz na mnie polegać.

Podmiot alfa: Bardzo dobrze.

Podmiot beta: Nie! Inigo, nie, proszę.

Skan potwierdza, pole siłowe alfy zdezaktywowane. Celowanie.

Uzbroić> Mikrokinetyka, tryb minimalnego uszkodzenia tkanki, załadować igłę neurouspokajaczem. Ognia.

Podmiot beta: Nie! O, Pani, zabiłeś go. Puść mnie. Spadaj, potworze.

Podmiot beta usiłuje uciec.

Cel.

Uzbroić> Mikrokinetyka, tryb minimalnego uszkodzenia tkanki, załadować igłę neurouspokajaczem. Ognia.

Alert> Zbliża się pięciu Chikoya, formacja otwartego ataku.

Namierzenie wielu celów.

Uzbroić> Impuls wyładowania. Maksymalna moc. Ogień sekwencyjny.

Aktualizacja u-adiunkta: lądowanie kapsuły ratunkowej za Budynkiem D.

Uzbroić> Lasery neutronowe. Maksymalna moc. Ogień sekwencyjny.

Aktualizacja u-adiunkta: kapsuły pozorowane na kursie kolizyjnym. Osiem machów. Przyśpieszenie.

Uzbroić> Mikrokinetyka. Wzmocnione głowice wybuchowe. Wolny ogień autoryzowany.

Uzbroić> Inteligentne szperające niewidzialne miny Ariela. Załadowny profil Chikoya. Przydzielić.

Alert> Nowe cele.

Ognia.

Ognia.

Ognia.

Biononika Dostawcy przeprowadziła ostatnie skanowanie dziwnego aktywnie-molekularnego wiru, analizowała, w jaki

sposób wkręcał się w pola kwantowe. Doprawdy interesujący kawał techniki superfizycznej, ale Dostawca nie wiedział, jaka jest jej funkcja, przypuszczał, że to jakiś wyrafinowany eksperyment. Miał jednak pewność, że nie jest to mechanizm transcendencji.

U-adiunkt otworzył połączenie z Gore'em.

- Kłapa - raportował.
- Taa, u mnie również.
- Wychodzę.

W obszernej jaskini było mało światła: kilka plam zimnej niebieskiej barwy pośród mnóstwa stalaktytów osiemdziesiąt metrów w górze. W dole jedną czwartą jaskini gładko odcięto i naturalne formacje skalne wznosiły się nad płaską powierzchnią. Nawet dwa i pół tysiąca lat temu, gdy zaawansowani anominowie przeprowadzili tu adaptacje, jaskinia nie wydawała się zbyt praktycznym miejscem. Jak to u anominów - wszystko miało aspekt estetyczny.

Z głębokich szczelin i z koniuszków stalaktytów kapała woda, tworząc na ścianach długie, zagłonięte wstęgi o gryzącym zapachu. Kanały odpływowe były zapchane i na podłodze w wielu miejscach powstały zatęchłe kałuże. A mimo to wir nadal istniał; wilgoć ani mętne powietrze nie wpływały na jego strukturę i funkcję.

Dostawca wycofywał się na powierzchnię po krętej ścieżce zdziwiony, że nie ma żadnego systemu komunikacyjnego do wiru. Jeśli to eksperyment, z pewnością powinni go monitorować, system sterowania też. A może coś przeoczyłem, pomyślał pełen obaw. Może istnieje nadzwyczaj wyrafinowana sieć pokrywająca całą planetę, a moja biononika jest zbyt prymitywna, by ją wykryć. Wiedział, że chwyta się strzępków nadziei. „Ostatni Wyskok” miał dobre czujniki. Odkryły przecież na planecie sto dwadzieścia cztery zaawansowane urządzenia, ciągle funkcjonujące, z których wir był jedenastym, jakie zbadały. Gdyby istniała jakaś sieć łącząca je wszystkie, to czujniki statku by to wyjawiały.

Po kwadransie Dostawca wyszedł na wieczorne światło.

Wysokie cumulonimbusy gnały po ciemniejącym niebie, ochlapane bladą różowozłotością znikającego słońca. Od miejsca, gdzie stał wysoko w ścianie płaskowyżu, kraina ciągnęła się na południowy wschód; najdalsze jej krańce już szcerniały. Wśród zielonkawej i bladofioletowej roślinności snuło się kilka jasnych srebrzystych rzek. Na wschodzie widniało miasto większe i bardziej okazałe od wszystkich miast, jakie powstały na Ziemi w szczytowym okresie bumu ludnościowego. Las wieżowców wyrastał na półtora kilometra w górę. Kunsztowne sfery z iglicami i zakrzywione piramidy pokrywały teren u stóp strzelistych wież, tworząc rodzaj pogórza. Światła nadal paliły się w oknach i otwartych łukach, gdyż maszyna serwisowa utrzymywała miasto w doskonałej gotowości do zasiedlenia.

Miasto zupełnie samotne niczym porzucony kochanek, skonstatował Dostawca ze smutkiem. Anominowie, którzy tu zostali, woleli mieszkać na wsi na otwartej przestrzeni. W ciemniejącym krajobrazie widział małe przysiółki, w których rozbłyskały pomarańczowe, migoczące ogniska. Nigdy nie potrafił zrozumieć ich filozofii: przebywali w cieniu minionej cywilizacji, wiedząc, że w każdej chwili mogą się przenieść do gigantycznych wieżowców i prowadzić życie w niedościgłym luksusie, i znów zmobilizować swoje umysły. Oni zaś odrzucili wszelkie formy techniki, zostały im tylko wozy ciągnięte przez zwierzęta i pługi, a dni spędzali na uprawie pola i budowaniu chat.

„Ostatni Wyskok” śmignął znad gór i zawisł kilka centymetrów nad soczystą, trawopodobną spiralnicą. Dostawca podleciał do śluzy.

– W ten sposób nigdzie nie dojdziemy – burknął Gore, gdy Dostawca wszedł do głównej kabiny.

– To twoja procedura. Co innego mamy? Niewiele jest rzeczy do sprawdzenia.

– Wszystkie są na małą skalę. Musimy patrzeć szerzej.

– Tego nie wiemy – skarcił go Dostawca, sadowiąc się w szerokim, wklęsłym, skórzanym fotelu. – Po prostu nie wiemy, co to jest ten wir, który badałem. Musi być związany z

mechanizmem transcendencji.

– Jak? – warknął Gore.

– Sądzę, że to był jakiś eksperyment, sondowanie lokalnej struktury kwantowej. Tego rodzaju wiedza może tylko pomóc w przejściu do stanu postfizycznego, dodam.

Gore przesunął dłonią po czole.

– Taa. Jasne...

Dostawca był lekko zaintrygowany tym, że Gore tracił koncentrację. Nietypowe dla niego.

– W porządku. Więc doszedłem do wniosku, że musi tam być jakaś sieć i baza danych w miastach.

– Jest. Nie możesz do niej wejść.

– Dlaczego?

– Tutejsze SI są rozumne. Nie pozwolą na pobieranie żadnych informacji.

– To głupie.

– Z naszego punktu widzenia, ale one są jak pogranicznicy, bronią nienaruszalności świata macierzystego, dbają o bezpieczeństwo informacji anominów.

– Dlaczego?

– Bo to właśnie robią anominowie, tacy są. Mają prawo bronić tego, co zbudowali, tak samo jak wszyscy.

– Ale my nie znisz...

– Wiem! – warknął Gore. – Do cholery, wiem to, i tyle. Musimy to jakoś obejść. A patrzeć, jak tu siedzisz i każdego dnia dwadzieścia cztery godziny na dobę biadolisz, to za cholere nie pomaga. Jezu, powinienem był spędzić swoje cholernie normalne życie w dwudziestym pierwszym wieku i umrzeć jak należy. Po cholere próbuję pomóc wam, kreteńskim supermenom? Na pewno nie chodzi o wdzięczność.

Dostawca już miał wytrzeszczyć oczy na złotoskórego mężczyznę w antycznym, pomarańczowym fotelu, ale się powstrzymał. Już miał spytać, o co chodzi, ale sam to zrozumiał.

– Ona wkrótce wyjdzie ze stazy – powiedział życzliwie.

Gore chrząknął i głębiej wcisnął się w poduszki fotela.

- Już tam powinna być.

- Nie wiemy. Co jest w Pustce, nie wiemy. Czas nie płynie tam jednostajnie.

- Może.

- Gniazda konfluencyjne działają. Ona wyśni dla ciebie Makkathran, będzie tam.

- Warte kupy bzdetów, jeśli nie znajdziemy mechanizmu.

- Wiem. A kiedy to zrobimy, to jeszcze musimy zająć się Mariusem.

Już przedtem Dostawca zaniepokoił się, gdy czujniki pokazały, że Marius przedarł się przez stacje strażników granicznych. Wówczas statek agenta Progresywiwistów natychmiast znów wszedł w tryb maskowania, gdy tylko znalazł się w pasie kometarnym. Obecnie czał się w chmurze złomu orbitalnego nad światem macierzystym anominów i obserwował ich, jak mknęli nad planetą. Bez trudu potrafi się zorientować, co robią.

- A, ten kutafon. Możemy go załatwić, kiedy tylko zechcemy.

- Tego nie wiemy.

- Żeby mnie złapać, gdy wystawię łeb, trzeba sprytniejszego twarziela niż on.

Dostawca pokręcił głową. Co gorsze: samcza duma czy brak ostrożności?

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Taaa. Pobożne życzenia, to napędza wszechświat.

Dostawca jęknął i poddał się.

Złote usta Gore'a rozchyliły się w małym uśmiechu.

- Zespoły floty właściwie nie naciskały na SI.

- Aha - powiedział Dostawca ostrożnie.

- Została nam jeszcze do zbadania setka tych technicznych cudów, co? Zajmie to najwyżej cztery, pięć dni, jeśli się zakrzętniemy.

- Mniej więcej tyle.

- To do roboty. Jeśli nie dopisze nam szczęście, przechodzimy do planu B.

- Czyli?

- Wiedziałeś, że znałem Oziego?
- Nie, ale to mnie nie dziwi, byliście rówieśnikami.
- Dokonał dwóch największych kradzieży w historii ludzkości.
- Dwóch? Wiedziałem, że był jakiś spór z Nigelem na temat zabrania „Charybdy”.
- Spór? Jezu, czy was ludzi w ogóle uczą obecnie historii? Nigel omal go nie zabił, i to nie jest przenośnia.
- Dostawca zignorował szydercze „was ludzi”. Po dwóch tygodniach uwięzienia wraz z Gore’em w kabinie „Ostatniego Wysokoku” zabrzmiało to niemal jak komplement.
- Jakie więc było pierwsze przestępstwo?
- Gore uśmiechnął się.
- Wielki napad wormholowy. Przemądrzały dupek wyczyścił kasyna w Vegas i nikt się nie dowiedział, że to on. Dopiero po wojnie, gdy Orion to wygadał. Możesz to sobie wyobrazić?
- Nie, naprawdę nie mogę.
- Synku, ty i ja zamierzamy ukraść wiedzę całego gatunku. Jeśli właśnie to będzie potrzebne, by znaleźć ten cholerny mechanizm, to to zrobimy. A wtedy wszyscy zapomną legendę Ozziego, więc niech się pieprzy.
- Jednak tego nie wiedziałem, narzekał Dostawca w duchu. Nie miał pojęcia, jak Gore zamierza przechytryć SI anominów, ale podejrzewał, że nie odbędzie się to spokojnie.

Trzydziesty trzeci sen Iniga

- Możemy odwiedzić dowolne miejsce na waszym świecie, gdzie poczujemy, że spełnieni zebrali się w gotowości na nasze przewodnictwo do Serca – powiedział Władca Niebios w odpowiedzi na pytanie Edearda.

- Czyli wieże tego miasta, gdzie dzisiaj przybyliście, nie grają żadnej roli w przewodzeniu?

- Ci, którzy zamieszkiwali ten świat przed wami, zbudowali je, by odbywać własny rodzaj pożegnań. Wieże są tam, gdzie przybywaliście wcześniej. Dlatego są tam, gdzie przybywamy teraz. Wykorzystujecie je, jak oni je wykorzystywali.

- Zatem możemy was wezwać, byście zabrali nas skądkolwiek?

- Oczywiście. Moi krewni witają tych wszystkich, którzy osiągnęli spełnienie. Po to jesteśmy.

Edeardowi ciągle się śniło tamto rozstrzygające wydarzenie. Był to jeden z niewielu naturalnych snów, jakie miał kiedykolwiek. Chociaż nawet to zbladło po kilku latach jego czasu osobistego.

Dwaj Władcy Niebios widnieli na horyzoncie każdego ranka przez osiem dni. Przy zbliżaniu się do Querencji powoli przesuwali się przez panteon mgławic Pustki. Edeard, owiewany chłodnym wietrzykiem znad Morza Lyot, stał na najwyższym balkonie Pałacu Sadowego i wpatrywał się w blade niebo. Gdyby naprawdę wytężył swój dalwzrok, mógłby poczuć spokojne myśli olbrzymich istot.

Dwaj, choć za każdym poprzednim razem było ich czterech. Czemu? Dlaczego tak ma być? Całe miasto jest zjednoczonym społeczeństwem. Sprawilem, że osiągnęliśmy tym razem

wewnętrzne zadowolenie. Stalimy się lepszymi ludźmi. Dlaczego więc przybywa tylko dwóch?

Nie podobało mu się, że tak bardzo wytrąca go to z równowagi. Nawet przy dwóch poprzednich okazjach – kiedy zbudowano Wielką Wieżę przewodnictwa w Oberfordzie i cała gospodarka rozpadała się, jakby Honious zakładał osobiste królestwo bałaganu na całej Querencii, przybyło czterech Władców Niebios. Zaczynała się jesień piątego roku od śmierci Finitana. Jednej z niewielu stałych elementów łączących jego wysiłki zmiany świata na lepszy.

Niech Pani to przeklnie, zawsze przybywało czterech!

Bryza owiewała mu gołą skórę. W roztargnieniu rozcierał ramiona dla rozgrzewki. Te dwie zwiewne gwiazdy nadal znajdowały się zbyt daleko od niego, by mógł bezpośrednio z nimi porozmawiać. Ale jeśli wejdą w jego zasięg, zapyta je. Na pewno.

Wysoko nad zwartymi ulicami i ostrymi dachami Jeavons para georłów unosiła się leniwie na prądach wznoszących. Nie znał żadnego z nich, a ich długi kolisty lot oznaczał, że jeden zawsze był zwrócony ku pałacowi. Niezadowolony zmarszczył brwi, ale wbrew chęci nie ściągnął ich z nieba. Ktoś się nim interesował. Nic nowego. Choć żadna z niepodległych prowincji nie zagrażała bezpośrednio Makkathranowi.

O ile wiem. Może po prostu boją się, że ich napadniemy, i paranoicznie mnie szpiegują.

Nie zdziwiłoby go to; znał prowincje i wiedział, jakie są z nimi problemy. Ale nadal to bezczelność: obserwować Stąpającego po Wodzie, niepodważalnego burmistrza Makkathranu w jego własnym mieście. To wymagało tupetu. Sama taka akcja zawężała całą sprawę do trzech prowincji czy raczej trzech gubernatorów: Malluxa w Obershire, Kiborna w Plaxshire, najprawdopodobniej Devroula w Lichills. Każdemu stawało tupetu, wszyscy trzej zamierzali zostać jednoczycielami, by z nim rywalizować. Każdy zaciekle bronił swej niezależności, chciwie pragnął wchłonąć sąsiada. Dokładna odwrotność tego, czym powinien być świat, jaki Edeard próbował zbudować.

Powrócił do głównej sypialni. Kanseen zawsze lubiła państwowe pokoje Pałacu Sadowego. Uważała, że wszystkie budynki w mieście powinny być takie – mieszanina architektury Makkathranu i bardziej praktycznych ludzkich adaptacji. Spędzili razem dwa przyjemne lata, choć, prawdę mówiąc, po coraz bardziej rozgoryczonej Kristabel każda inna byłaby wybawieniem. Ale równolegle z kryzysem jego własnego małżeństwa Macsen stał się nie do wytrzymania dla Kanseen, zatem to, że Kanseen i Edeard się w końcu spikną, było niemal nieuniknione.

Od czasu wyprowadzenia się z rezydencji w Sampalok Macsen staczał się coraz bardziej, nawet Edearda to denerwowało. Nie żeby mógł jakoś pomóc – jeszcze nie. Macsen zerwał stosunki niemal ze wszystkimi: starymi przyjaciółmi, własnymi dziećmi, politycznymi sprzymierzeńcami, z każdym, kto mógłby mu zawadzać w jedzeniu, piciu i nędznym użalaniu się nad sobą. Odrzucił także Edeardową jedność. Nie dla niego budowana w mieście solidarność, rozszerzona rodzina, której otwarte umysły by mu współczuły, dbały o niego i pozwoliłyby odzyskać cel w życiu.

Ostatni raz Edeard oglądał go dalwzrokiem trzy tygodnie temu. Były Mistrz Sampalok stał się postacią godną pożałowania. Mieszkał w jakimś zaniedbanym pokoju w Cobarze, zupełnie sam, wydając drobniaki w pobliskich tawernach, których jedyną mocną stroną były tanie piwo i jeszcze tańsze jedzenie. Zareagował na dalwzrok Edearda złośliwie osobistą, niemal godzinną diatrybą, która w końcu zanikła w bełkocie, gdy Macsen wpadł w pijacką drzemkę.

Edeard wycofał się wtedy, w równej mierze owładnięty gniewem jak i poczuciem winy. Macsen był jednym z jego najstarszych przyjaciół – Edeard powinien coś zrobić. A jednak pogardzał tym, jak Macsen po prostu sobie odpuścił i poddał się zrodzonym przez Honiousa duchom, które go obecnie opętały. Wiedział, że Macsena stać na więcej. A jednak Macsen w stanie alkoholowo-kestrikowym winił Edearda za to, że jego życie stoczyło się w otchłań. Głównie odrzucał ideę zjednoczenia.

Edeard wiedział, że zaufanie i zrozumienie, jakie przyniósł do Makkathranu, było prawdziwą drogą naprzód. Nie mógł się teraz zatrzymać, nie przez jedną osobę, bez względu na to, ile znaczyła ich przyjaźń.

Związek Edearda z Kanseen tylko pogarszał stan Macsena. Ten najbardziej osobisty sposób zranienia Macsena gwarantował, że teraz nie ma szans na pojednanie. Żadna ze stron nie da się w ostatniej chwili zmiękczyć i nie odstawi dumy na bok. Zatem jego własny triumf z unifikacją miasta dokonał się kosztem jego przyjaciela. I jeśli Edeard nie będzie ostrożny, w efekcie również kosztem jego duszy, bo w końcu który z Władców kiedykolwiek poprowadzi niespełnioną, zgorzkniałą duszę Macsena do Serca? Nie miał wyboru, wiedział o tym. Każdy miniony dzień był po prostu odkładaniem nieuniknionego. Wkrótce trzeba będzie zastosować subtelną dominację, łagodnie poprowadzić Macsena z powrotem w objęcia tych, którzy go kochali.

Edeard poczłapał do szerokiego okrągłego łoża i rozsunął zwiewne zasłony. Mglista łata nad miękkim materacem wydzielala ciepłe, miedziane światło. Przyćmione oświetlenie pozwalało na rozróżnienie tylko zarysów śpiącego ciała kobiety. Prześcieradło ześlizgnęło się z jej ramion, odsłaniając skórę nadal połyskującą olejkami, które wmasowały w nią dwie młodsze dziewczyny na początku wieczoru. Była to przyjemna rozrywka, której wariantami cieszył się teraz przez większość nocy. Dowód, właściwie niepotrzebny, że miasto znajdowało się obecnie na właściwym kursie, by wszystkim zapewnić spełnienie. Nikt już się nie skarżył, nikogo nie krytykował, nie zwalczał. Wszyscy współpracowali i pomagali sobie wzajemnie osiągać sukcesy w swoich indywidualnych poczynaniach. Edeard przyniósł im wyzwolenie od siebie samych, pewną drogę do spełnienia poszukiwanego przez Władców Niebios.

Edeard schylił się i pocałował dziewczynę delikatnie w usta. Hilitte przeciągnęła się z leniwym wdziękiem, jeszcze nie w pełni przebudzona, lecz uśmiechnięta na jego widok.

- Która godzina? - wymamrotała.
- Wczesna.

– Biedny Edeardzie, nie mogłeś spać? – Jej ogniskujące się myśli zabarwiała szczerą troską.

– Niektóre rzeczy mnie martwią – przyznał głosem i umysłem.

Wzajemna uczciwość – oto właśnie klucz do prawdziwej jedności.

– Nawet teraz? To niedobrze. Nie fair. – Otoczyła mu szyję ręką.

– Wymyślmy dla ciebie jakieś inne zajęcie.

Przez sekundę zwlekał, a potem pozwolił się ściągnąć w dół, by się zagubić w fizycznych rozkoszach i zapomnieć zbuntowane prowincje, Macsena i innych, którzy walczyli przeciwko jedności miasta. Zapomnieć przynajmniej na chwilę.

Nic dziwnego, że Edeard obudził się dopiero, gdy słońce znalazło się wysoko nad horyzontem. Wykąpał się razem z Hilitte w owalnym basenie w łazience, gdzie woda gulgotała w długim wyniesionym z jednego końca korycie, które Edeard tak ukształtował, by przypominało strumyk. Na ich prośbę woda lała się na nich z wypukłości w krzywym suficie. Od kiedy po wyborach Edeard przeprowadził się do państwowych pokoi w pałacu, zajął się ich modyfikacją, tak że w łazience uzyskiwał dowolny strumień wody – od mocnego i zwartego po lekką mgiełkę. Rozparł się w wyprofilowanym fotelu na brzegu basenu i patrzył, jak Hilitte opłukuje się pod szybkim deszczem kropelek, rozmyślnie przeciągając się i wyginając, by mógł docenić jej gibką figurę. Doceniał, ale... Kanseen cieszyła się z nowego, ulepszanego prysznica, przypomniał sobie z odrobiną melancholii. To nie był problem, który ostatecznie ich rozdzielił. Pokłócili się w sprawie unifikacji Makkathranu. O to jak chciał stworzyć atmosferę zaufania, jak wykorzystać rodzinę, sprzymierzeńców politycznych, ludzi pragnących jego patronatu; jak budować sojusze i implantować w dzielnicach grupy jednościowe, by ostateczny wynik stał się nieunikniony. Nigdy w pełni nie popierała tej idei, traktowała ją jako formę dominacji.

Ale nie rozumiała i nigdy nie mógł jej wyjaśnić, jak fatalne okazały się skutki miłego, otwartego i uczciwego podejścia – i to

dwukrotnie. Jak poprzednim razem, tym po katastrofie z wieżą w Oberfordzie, metoda inkluzji – którą tak starannie wypracował po okropnym doświadczeniu z gniazdem i którą podzielił się ze wszystkimi, by Querencia mogła żyć w jedności – została zniekształcona i skorumpowana przez malkontentów z wyłaniającego się pokolenia silnych mentalistów (i oczywiście Ranalee). Metodę wykorzystano do zbudowania nowych, mniejszych wersji gniazda, które były niemal powtórką z okresu Tathala. Wybuchły zaciekle walki, świat ponownie pogrążył się w chaosie i Edeard nie miał wyboru: tym razem musiał przeprowadzić unifikację w sposób, który gwarantował jego rządowi najwyższe władztwo. Ograniczanie sprzeciwu to niewielka cena za podobne osiągnięcie. I nawet teraz silni mentaliści w ośmiu prowincjach zdołali skorumpować ten dar, deklarując niepodległość od dobrotliwych rządów Makkathranu. Nazwali je groźnym imperium Stąpającego po Wodzie. Ich własne drobne księstwa raczej nie były pochodniami oświecenia. Ciągłe rozważał, czy powinien ruszyć przeciw nim. Tak jak oryginalne gniazdo, nie pozwalały nikomu na dobrowolne rozstanie.

– Co się stało, kochanie? – spytała Hilitte, pełna troski.

– Wszystko w porządku.

Pod prysznicem przybrała pozę zmysłową.

– Chcesz, bym sprowadziła dziewczyny?

– Zeszłej nocy dużo się tym zajmowaliśmy i znów do tego wrócimy. Teraz chcę zjeść śniadanie.

Wyszedł z łazienki i zerwał z wieszaka wielki ręcznik. Hilitte lekko się nadąsała i poleciła prysznicowi się wyłączyć.

Uświadomił sobie, że to jeden ze związanych z nią kłopotów: naprawdę była za młoda, by być czymś więcej niż partnerem łóżkowym. Nie mógł z nią o niczym rozmawiać, wymieniać pomysłów, spierać się o problemy, snuć refleksji na temat wydarzeń. Nigdy razem nie poszli do opery. Hilitte szybko znudziła się bardziej formalnymi kolacjami, na które go nieustannie zapraszano – obecnie rzadko w nich uczestniczyła, zresztą dobrze się składało. Ale miała rozkosznie brudne myśli i

była całkowicie pozbawiona zahamowań. Spadło to na niego jak rewelacja po długim okresie małżeństwa. Jakkolwiek takie myśli były nie fair w stosunku do Kristabel, zabawy łożkowe Hilitte stanowiły świetny sposób na oderwanie umysłu od codziennych kłopotów.

Przez to jest z nią wygodniej niż chodzić do Domu Błękitnych Płatków. Chociaż niekoniecznie taniej.

Śniadanie podano w ogromnej państwowej jadalni. Jej długi sufit stale pokazywał intensywnie pomarańczowe obrazy korony słonecznej widzianej z jakiejś orbity oddalonej o milion kilometrów od wrzącej powierzchni słońca. Pod tym zmiennym blaskiem długi, wypolerowany czarny stół mógł pomieścić miejskie bankiety dla stu pięćdziesięciu gości. Tego ranka zastawiono go dla nich dwojga. Personel kuchenny wyłożył na jednym z kilkunastu kredensów wielkie srebrne chłodzone tace z zestawem wędzonych mięs pokrojonych cienko jak pergamin. Plasterki owoców ułożone w kwiatowe wzory, sery, szklane dzbanki jogurtu rozstawiono jak małe dzieła sztuki. Ciepłe dania składały się z jajecznicy, jaj w koszulkach, jaj sadzonych, pomidorów, grzybów, bekonu i parówek, i przypieczonych tłuczonych kartofli. Pięć fajansowych garnków zawierało mieszaninę różnych płatków. Przygotowano również mały grill na węgiel drzewny do podpiekania pięciu gatunków chleba lub podgrzania croissantów.

Edeard usiadł. Patrzył na śmiesznie ekstrawagancki posiłek, ale właściwie go nie dostrzegał. Kazał geszypowi przynieść wysoką szklankę soku jabłkowego i miski płatków. Hilitte siadła obok ubrana w gruby szlafrok i mechate różowe domowe skarpety. Obdarzyła go ciepłym uśmiechem i wydała geszypom cały zestaw instrukcji.

Jedli w milczeniu, a Edeard rozważał, o co zapyta Władców Niebios. Był pewien, że następnego ranka, a najdalej dzień później, znajdą się w zasięgu.

Co mogło zakłócić zwykły wzorzec ich przybycia? Sam spowodował te zmiany. Cofał się w czasie wystarczająco wiele razy, żeby teraz o tym wiedzieć. Wszyscy inni po prostu

zachowywali się tak jak poprzednio, chyba że on sam uczynił coś, co zmieniało ich drogi życiowe. Ten właśnie wpływ miał największe znaczenie: zrobił coś innego, więc życie ludzi wchodzących z nim w interakcję zmieniało się w różnym stopniu i wynik jego działania rozprzestrzeniał się niczym powolna fala. Po swojej epickiej podróży wokół świata, za każdym razem, gdy cofał czas, wyjaśniał, że Władcy Niebios nie potrzebują wież Eyrie do zaakceptowania ludzi prowadzonych do Serca. W prowincjach wtedy zawsze ruszała gorączkowa budowa hołdowniczych wież we wszystkich miastach i miasteczkach. Zawsze szkodziło to gospodarce. Jego wyjaśnienia, że nie musi to być wieża, że wystarczy duża otwarta przestrzeń, by ludzie mogli się zgromadzić, były zawsze beztrąsko ignorowane (patrz: rewolta podatkowa po fiasku Wielkiej Wieży Przewodnictwa).

Wszystkie zmiany, których dokonał, dotyczyły jedynie życia ludzi. Nie mógł zmienić pogody czy orbity planetarnej.

Więc dlaczego tym razem są tu tylko dwaj?

Jedyną możliwą odpowiedzią po prostu nie mógł zaakceptować.

Edeard zaczął właśnie przeżuwać swój drugi kawałek tostu, gdy przybył Dinlay. Główny Konstabl był jak zwykle w dobrym humorze. Dinlay przystąpił do unifikacji niemal nieświadomie i z wielką ochotą. Przez te wszystkie lata podświadomie tęsknił do takiej łągodnej, uniwersalnej wspólnoty. Mimo to pewne cechy Dinlaya nigdy się nie zmieniały.

Edeard starannie wypatrywał jakichkolwiek oznak zazdrości o Hilitte ze strony swego starego przyjaciela (postarał się zagwarantować, że tym razem to on, Edeard, pierwszy ją spotka, kiedy Hilitte przyjedzie do Makkathranu, z listą kontaktów od swojej matki). Ten stary optymizm z Ashwell nigdy nie umiera, pomyślał Edeard. Ale nie, Dinlay nie dbał o ostatnią dziewczynę Edearda. Właśnie ożenił się z Folopą, która nawet według standardów Edearda była niezłym łupem.

Dinlay usiadł obok Edearda i położył swą elegancką czapkę mundurową na stole, układając ją równo z krawędzią. Jego otwarty umysł ujawniał, jakie to było satysfakcjonujące, jak to pasowało do poglądu, że świat powinien być miejscem

uporządkowanym.

– Poczęstuj się. – Edeard wskazał na kredens. Nie mógł powstrzymać smętnych wspomnień z czasów, gdy razem z Dinlayem skończyli okres próbny i wprowadzili się do budynku konstabli. Prawie każdego dnia, aż do ślubu Edearda, jadali razem śniadania. Najlepsze dni. Nie! Najłatwiejsze.

Geszypm przyniósł Dinlayowi kawę i croissanta.

– Musisz kontrolować to, co jesz – powiedział Dinlay, zerkając na ogrom rozłożonego jedzenia. – Jeśli nie będziesz ostrożny, skończysz jak Macsen.

– Nie ma obaw – zapewnił go łagodnie Edeard.

Dinlay i Macsen nie rozmawiali ze sobą już od roku, co go bolało. Może powinienem cofnąć się po prostu do początku? Ale wiedział, że to najbardziej żałosne myślenie życzeniowe. To właśnie był czas, kiedy sprowadził wszystko tak blisko do stanu pożądanego. Teraz pozostało mu tylko doprowadzić do unifikacji pozostałe prowincje, a także kilku krnąbrnych rozsianych po mieście. Kiedy to zrobi, będzie mógł w końcu naprawdę się odprężyć.

– W nocy nadeszło parę wiadomości, z których się ucieszysz – informował Dinlay. – Wydaje się, że milicja z Fandine ruszyła do marszu.

Po tym komunikacie Edearda ogarnął nieprzyjemny chłód déjà vu. Milicja z Fandine maszerowała ostatni raz, kiedy podróżował na „Świetle Pani”, ale wtedy z zupełnie innych przyczyn.

– Przeciwno Makkathranowi? – spytał ostro.

Myśli Dinlaya zdradzały ukontentowanie, że zaskoczył przyjaciela i może dodać mu otuchy.

– Przeciw Licshills. Wydaje się, że ekspansjonistyczne ambicje Devroula okazały się zbyt wielkie dla Manela.

– Rozumiem. – Edeard nie pozwolił nikomu poznać swego żalu, że tym razem Manel znowu uległ złu i ogłosił się Lordem Prezydentem Licshills. – Kiedy to się stało?

– Pięć dni temu. Zwiadowcy natychmiast przynieśli wiadomości.

Dinlay sączył kawę i czekał na reakcję Edearda.

– Pięć dni. To znaczy, że dotychczas przebyli piątą część drogi do celu.

– Czy masz zamiar ich zatrzymać?

– Och, Edeardzie! – wykrzyknęła Hilitte. – Musisz ich zatrzymać. Tyłu zginie, jeśli tego nie zrobisz. Władcy Niebios nigdy już nie przybędą.

Edeard wzruszył ramionami.

– W tym, co powiedziała, coś jest.

– Tak, ale... którą ze stron poprze miejska milicja?

– Żadną. Sprzeciwimy się obydwu oczywiście.

Edeard usiłował wypracować możliwą strategię postępowania. Najwyraźniej siły miasta musiałyby opóźniać pułki z prowincji. W tym czasie w stosunku do indywidualnych milicjantów zastosowano by dominację, wciągając ich w makkathrańską unifikację. Ale w końcu doprowadziłoby to do rozgrywki z silnymi mentalistami w sercu każdej z niezależnych prowincji. Tej właśnie sytuacji Edeard unikał od dwóch lat, absolutnie nie chciał dalszych konfrontacji. Jednakże jedyną alternatywą było cofnięcie się do kolejnego restartu i uniknięcie znanych przyszłych błędów i problemów. Ale takiej możliwości po prostu nie mógł rozważać. Nigdy więcej. Nie mogą tego zrobić. Przeżywanie po raz kolejny tych samych lat byłoby dla mnie jak śmierć.

Dinlay, z mądrą miną, skinął głową.

– Czy mam kazać Larose’owi, by się przygotował?

Umrą ludzie. Edeard wiedział o tym. Wprowadzenie do konfliktu milicji miejskiej było jedynym sposobem zminimalizowania ofiar śmiertelnych.

– Tak. Sam z nimi pojedę.

– Edeardzie...

Uniósł dłoń.

– Muszę to zrobić. Wiesz o tym.

– Więc pojedę z tobą.

– Wyruszanie z milicją to nie zadanie Głównego Konstabla.

– Ani zadanie burmistrza.

– Wiem o tym. Tym niemniej to moja odpowiedzialność, więc

będę tam, żeby zrobić, co się da. Ale ktoś wyposażony we władzę musi pozostać w mieście.

– Wielka Rada...

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak – przyznał Dinlay. – Wiem.

– Ponadto nie chcemy zrobić z Gealee wdowy, prawda?

Dinlay spojrzął znad swego croissanta.

– Gealee? Kto to jest Gealee?

Edeard skrzywił się i przeklął w myślach swą głupotę.

– Przepraszam. Mój umysł błądzi w tych dniach. Miałem na myśli Folopę. Nie możesz podejmować ryzyka. Ledwie ci się skończył miodowy miesiąc.

– Tak samo ryzykowalibyśmy.

– Nie, Dinlayu, nie tak samo. Obydwaj to wiemy.

Wysłał bardzo łagodny bodziec, posłał dalmową szept, który wślizgnął się w umysł Dinlaya, łagodząc ożywione myślowe piki. Opór Dinlaya z wolna ustąpił.

– Tak, chyba tak jest.

– Dziękuję – powiedział Edeard, ukrywając poczucie wstydu. – Wiem, że to dla ciebie niełatwe.

– Ty zwykle wiesz, co robisz.

Edeard z trudem powstrzymał gorzki śmiech.

– Pewnego dnia będę wiedział. Teraz chodźmy. – Wstał i w przelocie pocałował Hilitte. – Musimy dostać się do sanktuarium. Pierwsze spotkanie z Argianem i Marcolem. Wyglądają na zadowolonych z siebie.

– To nic – powiedział Dinlay. Dopił kawę i wstał. – Informacja o przestępcach nieakceptujących zasad naszego miasta. Mają dla ciebie kilka nowych nazwisk.

– Nie są przestępcami.

Jeszcze nie, dodał w duchu, zastanawiając się, skąd tego ranka wzięło się u niego to całe poczucie winy. Jak gdybym nie wiedział: to ci przekłęci Władcy Niebios.

– Powinni nimi być – stwierdził ponuro Dinlay.

Spotkania z ludźmi niepokodzonymi z jednością miejską stały się teraz codziennym zajęciem Edearda. Działał jako moderator, wygładzał drogi dla wzajemnego zrozumienia. Wersja burmistrza, jakiej nigdy sobie nie wyobrażał w czasie podróży z karawaną do Makkathranu, tyle dekad temu. Zawsze sądził, że zostanie wybrany w wolnych wyborach, spierając się z oponentami, przekabacając ludzi na swą stronę. Zamiast tego był jedynym kandydatem w mieście, gdzie umysły wszystkich były zestrojone z jego umysłem. Cóż, nie wszystkich, przyznał, i to stanowiło dużą część problemu. Niektórzy ludzie wiedzieli, jak się opierać czy odchyłać dominację. Ale nadal okazywali, że się dzielą, że są zjednoczeni z innymi. Wszystko toczyło się gładko przez tygodnie, a potem, pewnego ranka, konstable zostaną wezwani do zniszczonej nieruchomości lub do przystani gondolierów, gdzie rozbito łódzie. Edearda bardziej niepokoiły magazyny, gdzie zepsuto mięso i owoce, albo zalano je odchodami genistarów. Zdarzało się to zbyt często jak na jego gust i zawsze dokonywały tego genistary, nie zostawiając śladu złoczyńcy nawet w pamięci miasta.

Tak więc Argian i Marcol namierzali oponentów unifikacji pojedynczo, ale prawdziwa liczba takich osób pozostawała nieznana. Według pogłosek szła ona w tysiące. Edeard podejrzewał, że wynosi kilkaset, co pozwalało mu z zadowoleniem wierzyć, że jego oddany zespół stopniowo zlikwiduje opór. Przypominało to niemal stare dobre czasy komitetu Wielkiej Rady do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Tylko że nawet to stanowiło złudzenie, wspomnienie, które po dokładnej analizie nie wyglądało tak radośnie. Po prostu następny boleśnie długi czas spędzony na przekładaniu raportów i akt.

W jego życiu prawdziwie niezmiennie były tylko niekończące się, nudne zebrania i załatwianie stert papierów.

Czy naprawdę może to prowadzić do mojego spełnienia? A jeśli nie, to co?

Wieczór nie zaczął się dobrze. Jedna z dziewcząt, którą Hilitte przyprowadziła na noc, nie przywykła do takiej obfitości jedzenia, zjadła za dużo i dostała mdłości, kiedy wszyscy wycofali się do głównej sypialni. W zjednoczeniu wszyscy otworzyli dla siebie umysły. W efekcie jej żołądkowe sensacje rozszerzyły się niczym zaraza.

Kiedy dziewczyna pośpiesznie wyszła, pozostali głęboko odetchnęli, by uspokoić wzburzone trzewia. Edeard zdecydował, że cicha noc spędzona samotnie może być lepsza niż zwykła gorączkowa fizyczna udręka. Oczywiście dzień był długi, bez wydarzeń i bardzo niemiły. Próbował dotrzeć dalmową do Jiski, ale skończyło się to zwykłym szybkim odtrąceniem. Wszystkie jego dzieci stanęły po stronie matki. Głównie dlatego zwrócił się do Hilitte i jej podobnych. Ich tania adoracja łatwo łagodziła ból straty, choć płytkie i liche były to kontakty. Jedynym prawdziwym pocieszeniem w tej separacji była pewność, że zjednoczony świat dostarczy im spełnienia. Nie zawiódł ich, choć oni nigdy tego nie przyznają.

Poprosił Hilitte i drugą dziewczynę, by go zostawiły. Hilitte wyszła, tupiąc w obłoku zranionych uczuć i goryczy. W tle wyczuwało się lekki niepokój, że jej czas jako faworyty zbliża się do końca. Rozleniwiony nie zdobył się na słowa pociechy. Utknął grubą tarczę wokół swoich uczuć, odcinając się od odprężającego, dodającego otuchy zadowolenia żarzących się wokół niego zjednoczonych umysłów, i zasnął.

Z dziwnego snu obudził go silny niepokój zbliżającego się umysłu. Przez sekundę Edeard znów był w lesie z innymi uczniami z Ashwell – polowali na galby, a jego przepełniała niewyjaśniona trwoga. Ale to tylko Argian przedzierał się przez personel, bezceremonialnie ignorując wszelkie prośby, by poczekał, aż Stąpający po Wodzie zostanie formalnie obudzony i poinformowany o jego obecności.

– Wszystko w porządku – przemówił w dalmowie Edeard przez zamknięte drzwi sypialni. – Wejdz. – Trzecią ręką naciągnął szlafrok.

Argian wszedł. Teraz, gdy Edeard strząsnął z siebie resztki snu,

uświadomił sobie, jak głęboko prądy niepokoju krążą w umyśle mężczyzny. Gorzki żal parzący jak żółć.

– O co chodzi? – spytał Edeard z obawą.

– Złapaliśmy ich. – W głosie Argiana nie było ani śladu euforii. Tego ranka on i Marcol ekscytowali się informacją o możliwym rajdzie na dok w porcie, gdzie miano spalić dwa częściowo zbudowane szkunery handlowe.

– I? – zapytał Edeard.

– Oni się bronili. – W oczach Argiana lśniły teraz łzy. – Tak mi przykro, Edeardzie. Miała dobrą niewidkę. Nawet nie wiedzieliśmy, że ona tam jest.

Edeard zamarł, gorąca krew buzująca w jego ciele nagle zamieniła się w lód, kiedy odebrał obraz formujący się wśród myśli Argiana.

– Nie – jęknął.

– Nie wiedzieliśmy. Przysięgam na Panią. Marcol wyciągnął ją z płomieni, jak tylko wyczuł ją dalwzrokiem.

– Gdzie ona jest?

– W szpitalu przy alejce Pół Bransolety w Neph. Tam było najbliżej.

Edeard strzelił dalwzrokiem do dzielnicy, przepychając go przez grube ściany szpitala. Jak zwykle jego zmysły odkrywały tylko zwiewne, promieniste cienie, ale mógł dostrzec ciało leżące na łóżku w sali na parterze. Poznałby tę sygnaturę wszędzie. Ciało rozpłomieniał ból.

– Och, wielka Pani! – jęknął z przerażeniem.

Tunele podróżne dowiozły go do Neph w ciągu minut. Kiedy mijał Abad, poczuł, że ktoś leci przed nim w tym samym kierunku. Dwie dziewczyny, trzymając się za ręce, mknęły głowami naprzód. Emanowały lękiem i troską. Ich długie czarne spódnice łopotwały gwałtownie w cieniu aerodynamicznym.

– Marilee?! Analee?! – zawołał.

Nie miał pojęcia, że wiedziały o tunelach podróżnych. Ich myśli zniknęły za zadziwiająco mocną tarczą. To absolutne odrzucenie

bardzo go zszokowało.

Wzniósł się przez podłogę szpitala kilka sekund po bliźniaczkach. One już śpieszyły ku sali, migały jak cienie w ciemnych korytarzach, stukały obcasami po podłodze. Poszedł za nimi, zwalniając kroku. Dalwzrok całej rodziny zbiegał się na szpitalu, ich obecność przypominała złe duchy.

Jiska leżała na łóżku, z jej gardła dobywało się piskliwe zawodzenie. Silny ból wypełniający długą salę powodował, że Edeard chwiał się na nogach. Płakał, podchodząc. Nad jego córką pochylali się trzej doktorzy, próbując usunąć spaloną materię z jej ciała. Na poczerniałą, spękaną skórę aplikowano eliksiry i maści, które niewiele łagodziły łupiący ból.

Postąpił krok w przód. Marilee i Analee szybko utworzyły barierę między nim a łóżkiem, ich umysły były bezwzględne i niezłomne. Bliźniaczki miały na sobie szaty podobne do jego znamiennej czarnej peleryny, kaptury narzucone na głowy kryły w cieniach ich twarze. Nieugięte strażniczki swej śmiertelnie rannej siostry, zdecydowane zapobiec wszelkim próbom złamania jej nienaruszalności.

- Ona dość już wycierpiała, ojczcie.
- Nie pogarszaj sprawy.
- Jiska - błagał. - Dlaczego?
- Nie rób tego.
- Nie tutaj.
- Nie teraz.
- Nie udawaj, że twoja nieświadomość jest formą niewinności.
- Nie jesteś nieświadomy. Ani niewinny.
- Jesteś zły.
- Jesteś potworem.
- Zrobimy wszystko, żeby zniszczyć twoje imperium.
- I ciebie samego.

Dwie odziane w czerń postaci zafalowały w jego polu widzenia i zobaczył je na tropikalnej plaży - tak jak to się nigdy nie wydarzyło wiele lat temu - obie w długich bawełnianych, tęczowych spódnicach, z gołymi stopami na gorącym piasku, przytulone z uwielbieniem do Marvane'a, entuzjastycznie

szczęśliwe, kiedy Natran dokonywał ceremonii zaślubin.

– Robię to wszystko dla was – łkał Edeard. – Przynoszę wam spełnienie. Pani wie, że próbuję przynieść spełnienie całemu światu. Dlaczego mnie odrzucacie?

– Twoje zło zniewoliłoby wszystkich na Querencii, a ty pytasz nas dlaczego.

– Zły. Zły człowiek. Honious cię zabierze.

Jiska miała drgawki. Edeard jęczał przez zaciśnięte zęby, kiedy zmuszał się do dzielenia wszystkich aspektów jej cierpienia. Zasługiwał na to. Zachwiał się na nogach.

– Obalimy cię.

– Nadal jesteście wolne.

– Nauczyliśmy innych, jak mają się wyzwolić.

– Twoi niewolnicy powstaną przeciw tobie.

– Dominacja nie oznacza wiecznej lojalności.

– Już twoja władza na prowincjach się sypie.

– To wy? – spytał przez straszny ból. – To wy jesteście ruchem oporu?

Wtedy usłyszał dalmowę, której obawiał się najbardziej.

– Któż jeszcze pozostał? – spytała Kristabel. – Kogo jeszcze nie złamała twoja megalomania?

Głowa Jiski nieco się obróciła.

– Nie ruszaj się, nie ruszaj! – wołali doktorzy z troską.

Czerwone, zastrupiałe powieki zamrugały, żółta ciecz znów wypłynęła z otwartych pęknięć. Jedyne zdrowe oko patrzyło prosto na niego.

– Pobjemy cię – poinformowała go zdecydowaną dalmową Jiska. – Moja dusza przemierzy Pustkę, ale umrę, wiedząc o tym. Jestem spełniona, ojcze, ale nie wedle twoich życzeń, dzięki Pani.

Edeard padł na kolana.

– Nie będziesz zagubiona, mogę to zatrzymać – powiedział jej szeptem. – Mogę.

Dwie godziny, to wszystko. Po prostu cofnij się o dwie godziny i powstrzymaj wybuch pożaru. Przemówię im do rozsądku. Znajdziemy płaszczyznę porozumienia.

– Jeśli spróbujesz...

- ...będziesz musiał nas przedtem zabić.
- Nas wszystkich – dodała dalmową Kristabel.

Edeard wznosił głowę ku ocienionemu sufitowi.

- Nie umrzecie. Nigdy więcej. Nigdy, póki żyję. Zbyt wiele wycierpiałem, bym miał do tego dopuścić.

Na ulicach umysły wyłaniały się spod swego maskowania. Ich obecność zaszokowała go. Rolar, Dylorn, Marakas, nawet Taralee. Pięcioro najstarszych wnucząt, wszystkie rozzuchwalone i zdecydowane. Ale nie Burlal – przynajmniej tego mu oszczędzono. I nie były same. Wynurzyli się Macsen i Kanseen oraz ich dzieci. W końcu pojawiła się Kristabel.

- Możesz rządzić tym światem – powiedzieli mu w pełnym miłości zjednoczeniu, szlachetnym i nieskończenie pięknym. Wspólnota wymuszana przez niego nigdy tak piękna nie była. – Ale my nigdy nie staniemy się jego częścią. Wybieraj.

- Ależ musimy być jednością! – odkrzyknął gorączkowo. – Jeden... Naród.

Po tych słowach opadł bezładnie na podłogę i zapłakał w cierpieniu, kiedy uświadomił sobie nagle, w co teraz wierzy. Poczł uderzenie tej świadomości niemal fizycznie.

Och, wielka Pani, stałem się jednością ze swymi wrogami. Z Bisem, Owainem, Buatem, Gilmornami, Tathalem i wszystkimi innymi, których starałem się pokonać. Jak mogłem być tak słaby, by pozwolić im zwyciężyć, by przyswoić sobie ich metody? To nie może trwać. To dlatego przybywa teraz mniej Władców Niebios. Spełnienie mi się wymyka, wymyka nam wszystkim. Wiem o tym. Pani, zawsze o tym wiedziałem.

Wcześniej przysięgł, że już nigdy więcej się nie cofnie w czasie, ale teraz nie miało to znaczenia – cofnie się, żeby uratować Jiskę. Nie o dwie godziny. To nie byłoby ocalenie. Pozostawało tylko jedno wyjście.

- Macie rację – powiedział i otworzył swój umysł, by widzieli całą miłość i pokorę, jakie jeszcze tam pozostały. – Wpadłem w arogancję i grzech, ale przysięgam Pani, nie okażę więcej słabości.

I sięgnął po tamtą nieszczęsną chwilę...

...by wylądować u stóp wieży Eyrie. Lądował niebezpiecznie. Stawy skokowe nie wytrzymały, padał na twarz. Silne trzecie ramiona wyciągnęły się, by go podtrzymać. Płomienie troski i podziwu skąpały jego posiniaczone myśli. Tłum wciągnął swój zespołowy oddech z głośnym „Ochoooo”. Gdy się wyprostował, zaczęto klaskać na widok ostentacyjnego odrodzenia się dawnego Stąpającego po Wodzie.

Przez chwilę obawiał się, czy jego pomieszane wspomnienia i chybotliwe emocje nie oznaczają, że kompletnie pomylił pokrętną drogę w pamięci Pustki. Ale żaden potężny dalwzrok go nie śledził, nie było Tathala ani gniazda. To był czas bezpośrednio po pokonaniu tego przeciwnika, kiedy wydarzenia przebiegały tak blisko swojej pierwotnej wersji, blisko prawdziwego życia, z którego zrezygnował tak dawno temu.

Macsen uśmiechnął się szyderczo, a nieczułe myśli Dinlaya wskazywały na dezaprobatę dla tego szaleńczego skoku z wieży. Tak jak robią to zawsze, dzięki ci, Pani.

Twarcz Kristabel wyrażała uporczywy gniew. Spojrzał na nią i uśmiechnął się niewyraźnie.

– Przepraszam – szepnął ledwie słyszalnie. – Tak mi przykro.

Jej gniew ustąpił, kiedy zauważyła zmieszanie i smutek, które napełniały mu umysł. Wyciągnął do niej ramiona. Po chwili wahania podeszła do niego.

– Tato – zganiła go Marilee.

– To było bardzo złe.

– Naucz nas, jak to robić.

Edeard powoli skinął głową.

– Pewnego dnia może tak zrobię. Ale na razie chciałbym wam przedstawić pewnego młodego mężczyznę. Żeglarza.

– Która z nas? – spytała Analee, żartobliwie nieufna.

– Obydwie. Obydwie powinnyście go poznać. Sądzę, że wszyscy moglibyście razem być bardzo szczęśliwi.

Bliźniaczki obróciły się, by wymienić się spojrzeniami.

Kristabel przytuliła się do niego.

– Co takiego?

Edeard odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Przepraszam za to, jaki byłem ostatnio. Mam zamiar teraz to zmienić.

Niezgrabnie wzruszyła ramionami w jego objęciach.

– Nie jestem na pewno najłatwiejszą osobą do współżycia.

Wskazał na Morze Lyot za miastem.

– Władca Niebios przybywa.

– Naprawdę?

Tak jak wszyscy w Makkathranie wyciągnęła swój dalwzrok ku horyzontowi, a zdumieni rezydenci Myco i Neph dzielili się swoją wizją ogromnego stworzenia.

– On bardzo zmieni nasze życie – powiedział Edeard. – Chyba wiem, jak złagodzić wszelkie trudności. Ale nie wiem wszystkiego, naprawdę nie wiem. Będę potrzebował pomocy. To nie będzie łatwe.

– Jestem tutaj. – Dodała mu otuchy delikatnym uściskiem. – Tak jak wszyscy twoi przyjaciele i wszyscy razem to przeżyjemy. Więc po prostu wygnaj ten okropny stary ashwellski optymizm, Edeardzie Stąpający po Wodzie. To jest życie, dla którego zostałeś stworzony.

– Tak.

I to jest życie ostatnie. Cokolwiek się zdarzy, właśnie z tym będę żył. Słodka Pani, w swej nieskończonej dobroci, proszę, daj mi siłę, bym je przeżył właściwie.

Kapsuła wylądowała w pobliżu centrum małego miasteczka w Octoronie. W powietrzu wisiał drażniący dym. Kilka budynków przy placu Wierzeje było uszkodzonych. Bronie energetyczne przez krótką chwilę topiły żelazne konstrukcje, które się ugięły, poskręcały i pochylały. Z ruin wystawały wraki rozbitych kapsuł. Żar wybuchu oraz ostrzał z amunicji wywołały wiele pożarów; miejscowe drony dopiero je ugasiły. Używały dużo piany krystalicznej, pokrywając wielkie obszary placu zielononiebieską papką, która ciągle wydzielala siarkowe wyziewy.

Sanitariusze-ludzie uwijali się, selekcionując ofiary. Poważnie rannych przenoszono do kapsuł, które zabierały ich do szpitala na obrzeżach miasta. Piętnastu silnie uzbrojonych i strasznie wkurzonych chikoya kroczyło po terenie, przeszkadzając ludzkim ratownikom. Po obu stronach rosła uraza. Złe nastroje groziły wybuchem kolejnych starć.

Drzwi kapsuły rozszerzyły się i wyszedł na zewnątrz. Niezłe wejście, uznał. Miał na sobie naprawdę stylowe fioletowe szorty i luźno dopasowaną koszulę z półorganicznego białego jedwabiu, otwartą na piersiach jak toga. Najprzedniejsze sekwencje genetyczne dziedzictwa Awangardów i znakomita dieta wzmocniły go fizycznie, a lekko wyniosła postawa przydawała mu władczej pewności siebie, jakby tu przybył gotów przejąć dowodzenie i wszyscy inni mogą teraz spocząć. Postrzępione, skórzane klapki nieco szkodziły wizerunkowi, ale śpieszył się i teraz nie mógł nic z tym zrobić. Zresztą nikt nie będzie patrzył mu na stopy. Patrzyli w górę na niego. Z wyjątkiem piętnastu uzbrojonych chikoya, którzy obrócili bronie i laserami celowników pstrzyli jego nieskazitelną koszulę.

– Ale do dupy! – powiedział Ozzie.

Po trzech stopniach kapsuły zszedł na ziemię i obdarzył potężnych obcych swoim najbardziej beztroskim uśmiechem.

Chikoya kojarzyli się z dinozaurami średniej wielkości ze szczałkowymi smoczymi skrzydłami. Wzmocnieni pancerzami przypominającymi czarnometaliczną skórę krokodyla byli imponującymi demonicznymi stworzeniami. I naprawdę są wkurzeni, pomyślał Ozzie; ich umysły emanowały paranoję i agresję, jaką tylko osobniki tego gatunku potrafią wytworzyć w takich ilościach.

– I co się stało? – spytał.

– Ty jesteś Ozzie? – spytał przywódca grupy. Jego gruby kark zakrzywił się w dół, szczyt hełmu znalazł się kilka centymetrów od nosa Ozziego.

– Jasne, facio.

Trzy lustrzane soczewki w centrum hełmu obróciły się nieco, skupiając się na głowie Ozziego.

– Gdzie jest człowiek-mesjasz?

– Nie wiem. Dopiero tu dotarłem. Zgadza się?

– To ty włamałeś się do królestwa wszechpercepcji. Potrafisz używać jej na najwyższym poziomie. Musisz wiedzieć, gdzie on jest.

Ozzie przez chwilę myślał smętnie, jak semantyka zawsze ujawnia widzenie świata każdego gatunku istot.

– Nie wiem – odparł cierpliwie i pchnął intensywne uczucie życzliwości do przestrzeni mentalnej. – Mesjasz jest potężny. Ma tajemne sposoby kamuflowania się przed nami.

Lekka przesada. Ozzie był ogromnie zaintrygowany tym, jak w istocie Inigo zdołał się ukryć. W jednej chwili tu był, jego wściekłe myśli aż oślepiały w przestrzeni mentalnej, a w następnej zniknął, rozpląnął się, jego umysł się rozwiął. Jakby Inigo umarł. Co było wysoce prawdopodobne, sądząc po tutejszej masakrze. Tylko że Inigowi towarzyszyli kobieta i jakiś psychotyczny ochroniarz z sił specjalnych – on też, co dziwne, nie ujawniał się w przestrzeni mentalnej. Żeby tak wszyscy troje zniknęli, nie zostawiając po sobie ciała? – trudno to kupić. Albo jakoś się stąd teleportowali, w co nie wierzył, ponieważ SI pokazywała uszkodzony statek zwiadowczy floty nadal stojący na lądowisku. Albo znali sposób przechytrzenia przestrzeni

mentalnej. To podobne do tego szczwanego, chełpliwego małego gówienka Iniga.

– Po co on tu jest? – dopytywał się chikoya. Owalne wyloty z przodu hełmu otworzyły się ze szczęknięciem i wypluły mglisty strumień flegmy.

Ozzie uchylił się taktownie; udało mu się zablokować własne odczucia co do tej specyficznej funkcji cielesnej chikoya.

– Nie spotkałem go, nie wiem.

– Jest niebezpieczny dla wszystkich żyjących istot na Szpikulcu. Pustka może wiedzieć, że on tu jest. Odszuka nas i pożre w pierwszej kolejności.

– Wiem. Ale się popieprzyło, co nie? Jak go znajdę, to go wykopię ze Szpikulca. Będę go ścigał do końca.

– Zlokalizujemy mesjasza. Każemy mu powstrzymać Pustkę.

– Wspaniale. Obaj chcemy tego samego. Tylko, proszę, facio, koniecznie mnie zawiadom, jak go znajdziesz. Mam specjalną supertajną broń, która rozerwie drania na strzępy i nie pomoże mu żadne pole siłowe ani ochrona militarna, którą ma ze sobą.

– Masz broń? – Kępy czujników na zbroi chikoya wyrosły jak grzyby na przyśpieszonym filmie i zaczęły skanować Ozziego, a kolejna porcja flegmy została wypluta.

– Hej, wiesz, kiedyś byłem jednym z władców Wspólnoty. Sprawdź w swojej bazie danych. A to znaczy, że mam pełny dostęp do ich pre-postfizycznej techniki. Oczywiście, facio, mam superbroń przy sobie. – Wypchnął fajerwerk szczerości i determinacji do swego umysłu i zatrzymał go tam. – Nie chcę, żeby jego żołnierze zabijali lub ranili kogoś z twojego stada, więc proszę, jeśli go znajdziecie, dajcie mi znać. Zgniotę go jak Kantra pod Folipianem. – Kimkolwiek by oni byli.

– Powiadomimy cię, jak będą z nim kłopoty.

– Dziękuję. To bardzo uprzejme z twojej strony. – Ozzie znów się uśmiechnął do hełmu potwora i wszedł na plac. Inni chikoya ustępowali mu drogi. Makrokomórkowe klastry Ozziego raportowały nagły wzrost wymiany zakodowanych danych między wielkimi obcymi. Chowali broń do kabur.

O, tak. Człowiek to jednak coś.

Dokładnie od tego chciał uciec, przybywając na Szpikulec. Podszedł do jednego z zespołów selekcyjnych.

– Cześć, Max.

– Co? A, cześć, Ozzie – powitał go sanitariusz. Klęczał przy ciężko poparzonej, nieprzytomnej kobiecie.

– Co tu się stało?

– Ten typ to popieprzony świr. Sam jeden powalił całą armię chikoya.

– Widziałeś walkę? – spytał Ozzie.

– Samą końcówkę. – Max przyłożył trochę jasnozielonego derm3 na czarno-czerwone nogi kobiety. Galareta rozplynęła się równomiernie po oparzelinie i zaczęła bąbelkować jak leniwy szampan. – A musiałem czekać z lądowaniem, póki się to nie skończy, bo jak coś leciało w to miejsce, zaraz to rozwalali. Chyba wszczepy bojowe zrobiły pewne postępy od czasu, gdy opuściłem Wspólnotę.

– Taa, na to wygląda. – Skanowanie polowe Ozziego informowało, że chikoya zaczynają się teleportować.

Coleen, lekarka pracująca z Maxem, zakładała na gardło kobiety pakiet tamujący krwotok. Na chwilę podniosła wzrok.

– Po cholerę ten Inigo tu przyjechał?

– Chyba chce ze mną pogadać – stwierdził Ozzie.

– Po co?

– Nie jestem pewien, ale na mój nos chodzi o Pustkę.

Max wyciął kawałek tłęcej się tkaniny z ubrania kobiety i zaaplikował jej derm3 na brzuch.

– Potrafisz to powstrzymać?

Ozzie zaśmiał się gorzko.

– Nie. Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– To dlaczego...

– Stary, nie mam zielonego pojęcia. – Ozzie rozłożył szeroko ręce w geście rezygnacji. – Czy ona wyzdrowieje?

– Nie jest Elewatką – odparła Coleen. – Ale chyba uniknie procedury ożywienia. Stan jest stabilny, może jechać do szpitala.

– Ja ją zabiorę – zgłosił się Max.

– Ilu rannych? – spytał Ozzie.

Nie chciał tego wiedzieć, tylko sumienie go ponaglało. Dawno się takie rzeczy nie zdarzały. Do cholery, nie powinny się teraz zdarzyć.

– Jedenastu doznało ciałoutraty – poinformowała go Coleen. – Ośmiu w stanie krytycznym odesłaliśmy do szpitala, pięć ciężkich przypadków czeka. Około dwudziestu ma mniejsze obrażenia.

Ozzie skinął głową.

– Mogło być gorzej.

– Chikoya szybko tego nie przeboleją – rzekła.

– Wiem.

– Uważają, że Szpikulec należy do nich.

– Nie należy.

– Ale to...

– W końcu to przeboleją. Wszyscy musimy jakoś tu współżyć.

– Stale to powtarzasz – odparła.

Ozzie był rozczarowany, widząc, jak wiele goryczy i urazy jest w jej umyśle, a Coleen umiała tłumić swoje uczucia.

– Załatwię to – zapewnił ją.

– Dobrze. – Pośpieszyła do kolejnej ofiary; pod jej butami chlupotała cuchnąca piana krystaliczna.

Max spojrzał na Ozziego współczująco.

– Nie mam do ciebie pretensji.

– Bardzo wspomniałomyślnie.

– Ale chodzi o Iniga! O samego Śniącego. Sprawy naprawdę muszą być poważne, jeśli do ciebie przyszedł.

– Wiem.

– I ten jego ochroniarz...

Ozzie uniósł ręce dłońmi na zewnątrz.

– Stary, zajmuję się tym. – Odwrócił się i powoli poszedł do kapsuły. Przystanął na chwilę i spojrzał na zburzone budynki. Bez wątplenia będą musieli odbudować całe centrum miasta. – Połącz mnie z nim – polecił swojemu u-adiunktowi.

Kod wbudowany w powszechny system pocztowy natychmiast dokonał połączenia.

– To Ozzie.

– Jesteś ósmą osobą, która to twierdzi.

– To musi być dla ciebie prawdziwy koszmar. A jeśli ja się sklonowałem? Wystarczy ci któryś z moich braci czy potrzebujesz oryginału? – Czekał na odpowiedź lekko zdziwiony opóźnieniem.

– Potrzebny mi oryginał.

– To masz szczęście, koleś. – U-adiunkt Ozzięgo informował, że bardzo wyrafinowany infiltrator próbuje przejąć smartnet kapsuły. – Pozwól mu – polecił swojemu u-adiunktowi. – Ale chcę, żeby się go dało usunąć, jeśli wylądujemy po uszy w gównie.

– Potwierdzam – odparł u-adiunkt. Egzowizja pokazywała postęp ładowania infiltratora.

– Wymagam weryfikacji DNA, potwierdzenia, że ty jesteś Oswald Fernandez Isaacs.

– Nikt mnie tak nie nazywa.

– To jest twoje nazwisko.

– To było moje nazwisko. – Choć przez ostatnie półtora tysiąca lat przeszedł wiele procedur ożywiania i regeneracji bionicznych oraz związane z tym redakcje pamięci, nigdy całkowicie nie uwolnił się od prześladowań, jakie w dzieciństwie powodowało jego nazwisko. – Teraz jestem po prostu Ozzie; zawsze byłem Ozzie i zawsze będę.

– Bardzo dobrze, Ozzie, ładuję współrzędne do twojej kapsuły. Proszę, nie próbuj zbaczać z drogi.

– Facio, nawet mi się nie śni.

Wyskoczyła mapa komory Octoronu i u-adiunkt pokazał mu trasę lotu przygotowaną przez infiltratora. Ozzie przyjrzał się jej, ale cel podróży ginął w nicości, za jedną z kolumn wodnych, jakiś daleki kawał ładu oddalony o trzydzieści kilometrów. W poczciwych westernach w takiej głuszy zwykli skrywać się ludzie wyjęci spod prawa.

Kapsuła wzniosła się cicho i zatoczyła krąg nad miastem. Ozzie obserwował malejące budynki, a w jego umyśle rosło niezadowolenie. Szpikulec był dla niego ucieczką przed gównianymi klimatami Wielkiej Wspólnoty, a Inigo był człowiekiem, który podkopał i zrujnował jego nadzieje związane

z gajaserą.

Nigel Sheldon proponował mu inne wyjście: koję na statku kosmicznym w kolonizacyjnej armadzie rodziny Sheldonów. Nie lecieli na drugi koniec galaktyki, by założyć nowe społeczeństwo; o, nie, to nie w stylu Nigela – on wybierał się do zupełnie innej galaktyki, żeby wszystko zacząć od początku. Szlachetne dążenie: restartować cywilizację ludzką w nowej części wszechświata. Potem za kolejny tysiąc lat nowa generacja statków kolonizacyjnych mogłaby się rozprzestrzenić na dalsze galaktyki. Przecież – utrzymywał Nigel – ta Galaktyka, mająca Pustkę w centrum, jest ostatecznie skazana na zagładę, więc potrzebujemy miejsca, które ma daleką perspektywę. Ozzie rozumiał tę logikę, choć argumentował, że ludzkość przejdzie w stan postfizyczny, na długo nim Pustka stanie się realnym zagrożeniem.

Ha! No, właśnie, cholerny Nigel zawsze ma ostatnie słowo.

Dla Ozziego Szpikulec stanowił rodzaj kompromisu. Owszem, usunięcie się z życia Wspólnoty, ale nie kompletne wycofanie, jak to wybrał Nigel – choć on tego nie uważał za wycofanie. Wybrał życie na Szpikulcu, bo istniała drobna szansa, że zdoła wszystko odwrócić i odebrać sen, który zabrali mu Inigo, Edeard i podstępna Pustka.

Kiedyś miał plan: gajaserą umożliwi ludziom i obcym lepsze wzajemne zrozumienie, wyeliminowanie konfliktów i pomyłek w całej Galaktyce. Odwieczne liberalne marzenie: *jeśli* tylko będziemy ze sobą rozmawiać... A gajaserą umożliwiłyby tę rozmowę szczerze i ze zrozumieniem. Ale jak zwykle rasa ludzka zdołała to spieprzyć – użyto gajasferę jako fali nośnej nowej, strasznie głupiej religii. Dlatego Ozzie wywędrował na Szpikulec, mając pomysł, jak stworzyć coś większego niż gajaserą i obcowanie duchowe z silfeńskim Ostrowem Matki – byłaby to cudowna jedność umysłu, której nie mogłyby zniszczyć wybiórcze, redagowane myśli w rodzaju wywrotowych snów Iniga, mających jedyny cel: złapać ludzi w pułapkę.

Przestrzeń mentalna dobrze się zaczęła, ale lepiej pracowała z ludzkimi myślami niż z myślami innych gatunków, zwłaszcza małych, drażliwych ilodi. Chikoya, po początkowych obiekcjach,

zaczęli ją akceptować, choć te głupie potwory wprowadzały do niej całą masę swoich religijnych skojarzeń i w „królestwie wszechpercepcji” skrzyły się ich kretyńskie, rasistowskie tradycje.

Potrzebne było tylko subtelne dostrojenie. To zagadnienie Ozzie analizował i racjonalizował – tak to nazwijmy – przez czterdzieści ostatnich lat. W efekcie każdy gatunek rozumny w Galaktyce miałby świadomość wszystkich innych gatunków. Prawdziwie wspaniała perspektywa. Chyba że gdzieś tam istnieje coś w rodzaju alf. Albo gatunki na etapie przednaukowym czy przedracjonalnym uznałyby, że to ich Bogowie do niech przemawiają. Ach, i jeszcze zachłanni, nędzni psychopaci w rodzaju Imperium Ocisenów – tacy chcieliby za pomocą tego mapować światy, które mogliby podbić.

Tak, potrzebne dostrojenie. Tylko tyle.

Musiał się do tego zabrać. Kiedyś. Niestety teraz Wspólnota i jej niewiarygodne idiotyzmy, frakcje i przemoc dopadły go w Szpikulcu. W pierwszym odruchu chciał urwać się i znów uciekać. Ale tępa głupota Iniga w końcu przyniosła rezultaty – Pustka dostała świra, a wszyscy rozpaczliwie szukali rozwiązania. Choć akurat co do tego Ozzie nie miał pewności. Ale, jak dwa razy dwa daje cztery, dopadną go, uważając go za ostatecznego guru.

Podsumowując: teraz postępował słusznie, a to by przeraziło tego Ozziego, jakim był przed wiekami. Dziś uzmysłowił sobie, że to jest najszybszy sposób, by tamtych wypieprzyć za Szpikulca.

Kapsuła zbliżała się do kolumny wodnej, jednej z dwunastu masywnych konstrukcji podpierających, które wyrastały z krajobrazu komory prosto w matowy dach czterdzieści kilometrów w górze. Ozziemu zawsze przypominały gigantyczne pałeczki do mieszania koktajli. Kolosalne, wąskie walce – po których na całej długości spiralnie biegły fałdy – stanowiły część systemu irygacyjnego komory: cały czas spływała po nich woda, wędrując wciąż wokół nich w kaskadach pian. Górną trzecią część walców zaopatrzono w ostre zgięcia, z których z hukiem tryskała piana, kłębiąc się w postaci długich chmur, które

wielkimi łukami opadały w dół na zewnątrz, tam zmieniały się w zwykłe stratusy mknące w powietrzu, aż w końcu dawały drobny deszcz nad gruntem daleko w dole.

Kapsuła wleciała bezpośrednio pod wstęgę gęstej, białej, kłębiącej się mgły i rozpoczęła niemal pionowe lądowanie. W dole widniały rozległe tereny Octoronu porośnięte fioletowo-zieloną trawą, na której pasły się żwawe tranaliny; teraz stado biegło od strony jeziora u podstawy kolumny wodnej. Ozzie rozszerzył funkcję bionicznego skanowania polowego i badał teren bezpośrednio pod kapsułą. Czekwały na niego trzy postaci ludzkie, co go zdziwiło, gdyż nie postrzegał żadnej ingerencji myśli w przestrzeń mentalną. Zmarszczył czoło i udoskonalił skanowanie. Jedna osoba stała, miała aktywne wbudowane pole siłowe; dwie pozostałe leżały w trawie nieprzytomne.

– Aha. Sprytne. – Zrozumiał sytuację.

Kapsuła osiadła i Ozzie wyszedł wprost na stojącego mężczyznę. Bez wątpienia to ten ochroniarz rozpętał piekło w mieście. Biologicznie wyglądał na osobę ponadtrzydziestoletnią – Elewaci zwykle zachowywali nieco młodszy wygląd fizyczny. Miał krótkie, czarne włosy, ale Ozziego przyciągały jego oczy: szare z dziwnymi fioletowymi plamkami. Nosił bluzę Floty Wspólnoty, prostą, szaroniebieską, półorganiczną, z kilkoma bliznami oparzeniowymi w miejscach, gdzie bronie energetyczne wystrzeliły z podskórnych wszczepów. Najbardziej jednak intrygujący był wyraz twarzy – a raczej jego brak. Mężczyzna nie okazywał ani krzty emocji. Jeśli jakieś myśli animowały to ciało, to były one nadzwyczaj proste, jak u małego zwierzęcia. Ozzie musiał podejść do niego na dziesięć metrów, by w ogóle je wyczuć.

– Te, facio, zraniłeś wielu ludzi w mieście. Niektórym potrzebne ożywienie, a szpital ma mało kapsuł medycznych. – Ozzie musiał przekrzykiwać huk wodospadu, wlewającego się do jeziora u stóp kolumny. Powietrze przesyciła wilgoć. Półorganiczna koszula Ozziego lekko się usztywniła, stała się wodoodporna, ale czuł, że jego fryzura w stylu afro nasiąka wodą.

Mężczyzna wyciągnął rękę. Ozzie uniósł brwi.

- Muszą potwierdzić twoje DNA – rzekł mężczyzna.
- Ta, bracie. - Ozzie dotknął jego dłoni, umożliwiając bionicznym włóknom pobranie próbek komórek naskórka.
- Jesteś Ozzie – stwierdził mężczyzna.
- Naprawdę? Myślałem, że się tylko samookłamuję. - Stwierdzenie mężczyzny było samo w sobie interesujące: te akurat dane niezwykle trudno było zdobyć we Wspólnocie. Ozzie zadbał o to przed swoim wyjazdem, a ZAN wprowadził zakaz dostępu. Ktoś, kto je uzyskał, musiał być ważnym graczem.
- Nie, nie okłamywałaś się. Proszę, wyłącz zjawisko telepatii.
- Co takiego?
- Wyłącz zjawisko telepatii. Dzięki niemu chikoya namierzają Iniga.
- Ach, rozumiem. Sprytne. Nie.
- Przyproceedziłem Iniga do ciebie. Nie możecie razem efektywnie funkcjonować, jeśli stale przeszkadzają wrogie elementy.
- Stary, nie chcę funkcjonować ani efektywnie, ani w żaden sposób z tym gnojkiem.
- Musisz.
- Nie, facio, nie muszę.
- Zlikwiduję tę kobietę, jeśli nie wyłączysz.
- Jezu, pieprz się. Dlaczego? Kto to?
- Corrie-Lyn. Kiedyś członkini Rady Kleryków Żywego Snu, kochanka Iniga.
- To po co ją zabijać? - Ozzie miał złe przeczucia co do funkcjonowania myśli mężczyzny. Zastanawiał się, jaki rodzaj biologii mieści się w tej ludzkiej czaszce. I do kogo to należy.
- Ona jest moim środkiem nacisku. Jeśli się nie zastosujesz, będę zabijał innych, aż to zrobisz.
- W porządku. Założę na razie, że groźba jest realna. Czego Inigo chce ode mnie?
- Jeszcze nie wie. Mam rozkaz z innego źródła, żeby was połączyć.
- Cholera. Kto tego chce?
- Nie wiem.

– Daj spokój! Mówisz poważnie, facio?

– Tak.

– No, no! Więc czego się od nas oczekuje, jak już będziemy razem gadali?

– Nie wiem. Te instrukcje operacyjne zostaną zaktywowane dopiero, gdy odpowiedni etap misji osiągnie status aktywny.

– Nie jesteś człowiekiem.

– Byłem.

Taa, bardzo podłe uczucie.

– Znam ten rodzaj uwarunkowania. Na ludziach ostatni raz to przeprowadzał Gwiazdokrażca. Jestem prawie pewien, że pozbyliśmy się tego drania. – Ozzie uśmiechnął się złośliwie. – Ale nigdy nie wiadomo, co?

– Nie wiem, dla kogo pracuję.

– Więc muszę zaryzykować, co?

– Tak. I oszczędzić życie Corrie-Lyn.

– Hm! Znam chyba jedyny powód, dla którego twój szef chce, żebyśmy ja i ten kretyn mesjasz spotkali się tu razem: on, ona lub ono uważa, że możemy coś zrobić z Pustką. Z tego powodu, wyłącznie z tego powodu, wyłączę. Ciekaw jestem, co myślisz, co mogę zrobić. – Kazał swojemu u-adiunktowi deaktywować urządzenie. – To chwilę potrwa.

– Jak długo?

– Nie mam pojęcia. Z pół godziny. Nigdy przedtem nie było wyłączane.

– Poczekam.

Ozzie go obserwował. Mężczyzna nie żartował. Od czasu do czasu patrzyli na siebie, ale natychmiast odwracali wzrok; nie próbowali nawiązać rozmowy. Mężczyzna po prostu stał, zapuścił skanowanie polowe otoczenia; poza tym na nic nie zwracał uwagi. To nie było ludzkie. Jego procedury myślowe przypominały kod maszynowy w swojej prostocie. Pod pewnym względem Ozzi przyjął to z ulgą – uwarunkowania wykonywane przez Gwiazdokrażcę były inne.

Po chwili Ozzie poczuł, że przestrzeń mentalna się wycofuje, zapada sama na siebie. Przypominało to proces zamykania

gajafejsów. Umysły migoczące wokół blakły, większość z nich wyrażała smutek i przestach, gdy czuły zanikanie przestrzeni mentalnej. Strata była głębsza, niż przypuszczał, choć wiedział, że to tymczasowe. Tak długo obcował z przestrzenią mentalną, że stała się częścią jego życia.

– Zrobione – rzekł ponuro. Odsunął włosy z czoła. Wchłonęły sporo wilgoci i poplątane zwisały nieprzyjemnie jak szcurze ogony.

Na lewym policzku mężczyzny pojawił się tik. Powoli twarz odzyskiwała wyraz, jakby barwa wypełniała kontur rysunku do kolorowania. Westchnął przeciągle jak osoba, która widziała coś straszego.

– W porządku, teraz jest dobrze.

Absolutnie zafascynowany Ozzie spojrział na niego z ciekawością.

– Co się dzieje? – Kusiło go, żeby znów włączyć przestrzeń mentalną i czuć jego myśli. Ale powrót urządzenia do stanu poprzedniego trwały kilka dni.

– Wracają moje normalne procedury myślowe. – Mężczyzna spojrział nieco zdziwiony na nieprzytomną Corrie-Lyn. – To powinno objąć wszystkie części.

– W takim razie, co to za niewypał miałeś w mózgu poprzednio?

– Rodzaj trybu minimalnej funkcji, w razie obrażeń neuronalnych.

– To znaczy?

– W moim zawodzie jest duże prawdopodobieństwo, że podczas misji zostanie fizycznie uszkodzona struktura neuronalna. Ten tryb pomaga mi zachować funkcjonalność w niekorzystnych warunkach.

– Niezły reset. A na jakie niekorzystne warunki się tu natknąłeś?

– Zjawisko telepatii oddziaływało na mnie w niekorzystny sposób.

– Nooo, taaak. – Ozzie przeciągał samogłoski. – Do diabła, więc kim ty jesteś, facio?

– Aaron.

– Jasne. Pierwszy na liście, co?

Aaron się uśmiechnął.

– Tak. Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. W wersji minimalnej nie charakteryzuję się zbytym taktem.

– Stary, to bardzo ogólnie powiedziane, od wieku czegoś takiego nie słyszałem. Ale twierdziłeś, że nie masz pojęcia, po co tu jesteś.

– Częściowo prawda. Gdy Inigo się obudzi, będę wiedział, o co mam was dwóch poprosić. Przypuszczam, że chodzi o powstrzymanie fazy pożerania u Pustki.

– Aha, jasne... Mam czas przed lunchem. Czy mam powiedzieć swojej załodze na super okręcie wojennym, żeby gotowała się do lotu? A może wśliźniemy się przez tylną bramę i zwędzimy czarnemu charakterowi niechronione źródło energii?

Aaron uśmiechnął się jak nadzwyczaj wyrozumiały ojciec.

– Czy istnieją tylne drzwi do Ciemnej Fortecy?

– Stary, nie lubię cię.

– Zdaję sobie sprawę, że to niełatwe.

– Nie masz pojęcia, jak trudne.

Rano po przebudzeniu Araminta wychodziła czasem na balkon, skąd rozciągał się widok na rozległy Złoty Park. Z radością oglądała wschód słońca muskającego szczyty białych kolumn wzdłuż Kanału Górnego Zagajnikowego. Zwykle czekało na nią ponad tysiąc osób. Pozdrawiały ją, wiwatowały i przez gajaserę słały dziękczynne myśli. Ludzie nocą koczowali w parku ku utrapieniu władz miasta. Araminta prosiła Kleryków o pozwolenie na biwaki – wiedziała, że im większe tłumy ją obserwują, tym mniejsza szansa, że ktoś jej zrobi krzywdę. Wszystko, co widziała, słyszała, czuła przekazywała do gajasfery. W pierwszych dniach prowadziło to do powszechnego zakłopotania, gdy korzystała z toalety; szybko jednak nauczyła się blokować wszystko poza samym widokiem i bardzo uważała, gdzie kieruje wzrok. Zupełnie też nie myślała, jak to będzie, gdy dostanie miesiączki. Na szczęście wywołało to wzajemne

skrępowanie i nawet jeśli ktoś wtedy się z nią skontaktował, nie był na tyle prostacki, by o tym wspominać.

Cieszyła się, że potrafi kontrolować swój umysł; czasami wspomagała się programem mieszającym. Bez tej dyscypliny byłaby całkowicie wystawiona na zalew myśli z gajASFery. Myśli zarliwych wyznawców, których do siebie nie dopuszczała, wystarczyło jej, że o ich istnieniu informował ją potok wdzięczności. Jak najdalej trzymała się od innego potopu emocji, pochodzących od miliardów, miliardów ludzi, którzy jej nie podziwiali. A jednak nie mogła się oddzielić od nienawiści i hejtów. Cały czas była obiektem szkalowania i najwyższej odrazy ze strony większości własnego gatunku. Ekstremalnie intensywne, niesamowicie złe uczucia. Gardzili nią, uważając za wcielenie zła w ludzkiej postaci. Trudno temu odmówić racji, przyznawała słabo. Przecież miała zainicjować wydarzenia, które w efekcie najprawdopodobniej zabiją ich wszystkich.

Ciepło pomachała do tłumów w Złotym Parku i wróciła do apartamentu. Duży basen w łazience prawie nadawał się do pływania. I oczywiście nikt od Śniącej po Kleryka Konserwatora nie myślał nawet o zainstalowaniu przyzwoitego, nowoczesnego prysznicza sporowego w ustronnym kącie. Jeśli mieszkańcy apartamentów państwowych chcieli się umyć, naprawdę musieli użyć starych sposobów. Araminta weszła do wody o temperaturze ciała i obficie natarła się mydłem w płynie. I od razu przypominała sobie wtedy Edearda i jego lafiryndy, z którymi się zabawiał podczas ciemnych czasów, jakie na niego naszły w snach od trzydziestego do trzydziestego trzeciego. Kazała się włączyć prysznicowi i spłukała pianę, lekko zaniepokojona, że ta scena przypomina widowisko porno.

Gdy woda spływała jej po skórze, czuła oczywiście – i wbrew swoim wysiłkom – jak ze strony męskiej części Żywego Snu sączy się do gajASFery fizyczny podziw. Również kobiety wyrażały niemałe uznanie. Co gorsza, nawet wielu jej wrogów wysyłało sygnały przyjemności na widok jej ciała.

Gdy to się skończy, zamierzam pójść ścieżkami silfenów na drugą stronę Galaktyki i już zawsze żyć jak pustelnik. Spojrzała

na wisiołek między lśniącymi piersiami – och, dupa Ozzię! Odwróć wzrok! Nie był ciepły, a światło wewnątrz przygasło, jakby fluorescencyjna smużka została uwieczniona w kryształach, ale jednak dawała o sobie znać. Po drugiej stronie istniały nieskończona pociecha i mądrość silfeńskiego Ostrowa Matki. To przynajmniej dawało jakąś otuchę. Nie była zupełnie sama.

Trzej panowie Bovey uśmiechnęli się z łagodnym zrozumieniem, zasiadając w domu do późnego obiadu.

Kazała prysznicowi się wyłączyć i wyszła z basenu. Potem musiała się tylko wytrzeć ręcznikiem, przy czym cały czas patrzyła w sufit. Wydała cichy pomruk, była na siebie coraz bardziej zła. Pośpiesznie włożyła obcisłą koszulkę i figi, potem wcisnęła się w długą białą suknię. Pasek, zmodyfikowany przez służbę bezpieczeństwa pałacu, zawierał generator pola siłowego. Nalegali na to, a ona nie zamierzała oponować. Czysta i ubrana przeszła długim, bogato zdobionym holem do państwowego pokoju stołowego.

Pod oślepiająco jasnym sufitem stał olbrzymi stół na sto pięćdziesiąt osób z zastawą dla jednej. Edeard miał przynajmniej towarzystwo Hilitte, pomyślała. I jak dawałby sobie radę z funkcjami ciała, seksem, i w ogóle życiem, gdyby wiedział, że cały czas ma widownię? Nie była pewna, czy stół tych rozmiarów przygotowany dla dwóch osób wyglądałby mniej absurdalnie niż teraz z jedną zastawą. Ale wtedy przecież Edeardowi przy śniadaniu często towarzyszył Dinlay. Teraz Araminta miała tylko pięcioosobową supersprawną obsługę gotową spełnić każde jej życzenie. W kredensie pokrytym fornirem z orzechu bolowego czekało pełno autentycznych dań śniadaniowych w stylu Edearda z Trzydziestego Trzeciego snu. Pamiętała ostatnie sny, gdy został przepisowo wybrany na burmistrza. On i Kristabel nigdy nie jedli takiego śniadania, ale z drugiej strony Edeard nigdy nie zamieszkał w państwowych apartamentach. Może tutaj obsługa pałacu chciała wykazać się ironią. Jeśli tak, to jej subtelne znaczenie umknęło Aramincie.

Dla kaprysu zamówiła do croissanta czekoladę pitną. Dziewczyna w stroju pokojówki pomknęła do kuchni. Araminta

rozerwała rogalik, marząc o tym, jak to by było miło mieć tu kogoś do towarzystwa. To smutne, że z Cressidą nie ma kontaktu, ale Araminta w pełni rozumiała to, że jej kuzynka nie chce mieć z nią nic wspólnego.

W wielkiej filiżance przyniesiono czekoladę z czapą bitej śmietany i kropkami truskawkowej pianki. Wraz z pokojówką wszedł Darraklan. Miał na sobie ubranie starszego personelu Pałacu Sadowego: długą kamizelkę o barwie burgunda oraz białą koszulę i żółty, drojedwabny krawat. Sprawnie wcielił się w rolę szefa personelu pałacu i pomógł jej przy wprowadzeniu się.

– Dzień dobry, Śniąca. Kleryk Rincenso prosi o chwilę twojej uwagi.

Araminta zauważyła, że Darrklan w ogóle nie ma żadnych emisji w gajaserferze związanych z Klerykiem. Ale na swój odrażający, wazeliniański sposób Rincenso bardzo się starał dobić statusu faworyta. Mogła to wykorzystać. Na pewno by chciał zdobyć przewagę, wydając swoich kolegów, którzy w nią wątpili lub spiskowali przeciw niej.

– Niech wejdzie – powiedziała.

Kleryk wszedł do sali, gdy korona słońca Querencii rozbłysła na całym suficie. Jasne, falujące światło odbijało się od jego szat i podkreślało służalczy uśmiech. Skłonił się uprzejmie.

– Śniąca.

Araminta patrzyła na niego, popijając czekoladę. Przepyszna. Dzięki, Ozzie, bez wątpienia bycie mordercą Galaktyki ma swoje zalety.

– Znalazłeś ich?

– Tak, Śniąca. Kobieta była w rezydencji na Viotii. A on już był tutaj, nasze służby bezpieczeństwa go przetrzymywały.

– Po co?

Uśmiech Rincensa się rozszerzył.

– Uważano, że może cię osłaniać przed zespołem powitalnym.

– Aha. Nie osłaniał. Sama im się wymknęłam. – Zawiesiła głos dla lepszego efektu. – Nie było to aż takie trudne.

– Dla ciebie nie, Śniąca.

Był tak słodki, że prawie psuł jej smak czekolady.

– Czy on tu teraz jest?

– Tak.

– Wprowadź go.

Rincenso zawahał się.

– Śniąca, przesłuchiwano go bardzo starannie.

– Starannie? To znaczy... – Nie miała ochoty wnikać w szczegóły.

Naprawdę stałam się podłą despotką.

– Tak, przeprowadzono mu odczyt pamięci.

– Na Honiousa! Wprowadź go!

Mężczyzna wszedł do sali jadalnej podtrzymywany przez krępkiego strażnika w mundurze konstabla. Miał ciało Likena, ale jego duch był stanowczo wyniszczony. Gniew, jaki do niego czuła, momentalnie wyparował. Wstała i wysunęła krzesło obok siebie. Strażnik pomógł mężczyźnie usiąść. Ciało Likena nie wykazywało żadnych fizycznych obrażeń, ale kończyny mu strasznie drżały; kulił się jakby przed wszechobecnym oprawcą.

– Przepraszam. Nie wiedziałam – rzekła Araminta.

– Ty! – warknął z goryczą. – Z tobą zawsze coś było nie w porządku.

– Ty też byłeś silną osobowością.

– Nie to mi mówiłaś, gdy się rozstawaliśmy. – Rozejrzał się gniewnie po wielkiej sali. – To wszystko jest zarejestrowane. Wiesz, że mówię prawdę.

– Oddadzą ci wszystkie kopie. Wyrażam takie życzenie – oznajmiła władczo. Rincenso dyskretnie skinął głową. – Jeśli chcesz, możesz je zniszczyć.

– Ha! A jakie to będzie miało znaczenie, kiedy granica obejmie gwiazdy i wszystkich nas unicestwi.

– Na pewno sam zadałeś sobie pytanie, gdy ułatwiłeś intrygę Konserwatorowi Ethanowi. Potworna inwazja na Viotię miała jeden cel: znaleźć mnie. Co sobie wyobrażałeś? Że co Druga Śniąca zrobi po wejściu do Pałacu Sadowego?

Usiłował pokręcić głową, choć mięśnie mu spazmatycznie drżały.

– Jak wszyscy niewierzący uważałeś, że jesteśmy głupi, że daliśmy się zwieść – podjęła. – Przede wszystkim kierowałaś się

chciwością.

– Nie powodowała mną chciwość. Miałem strategię, logicznie planowałem.

– Likanie... to mnie nie interesuje. Dawno minęło to, co nas kiedyś łączyło. Jesteś tu teraz, by naprawić krzywdy.

– Zjeżdżaj do piekła ze swoimi przeprosinami. Życzę ci, żeby raiel-wojownicy rozpieprzyli waszą Flotę Pielgrzymki. A my, świętując waszą śmierć, będziemy mieli ubaw, jakiego nie zna historia.

– Nie przepraszałam cię za to przesłuchanie, sam je na siebie sprowadziłeś.

– Taaa? W takim razie poproszę raielów, żeby cię przekazali alfom. A wszyscy wiemy, co alfy robią z ludźmi.

Czuła, jak dopingują go miliardy osób pełnych nadziei, że jego pragnienia się spełnią.

– Jestem skłonna puścić cię wolno – oznajmiła.

– Co?

– Może odstawić na Viotię? Zamykamy nasz wormhol dziś lub jutro, skoro już wszyscy moi wyznawcy wrócili do domu. Władze Viotii będą miały wolną rękę, by cię przesłuchać w sprawie twojego udziału w niemoralnej uległości rządu wobec Kleryka Phelima i inwazji... À propos, Phelim wraca na Ellezelin i dołącza do Floty Pielgrzymki. Czyli kto zostaje? Kogo czeka proces, jak sądzisz? A jeśli ktoś mnie poprosi o wydanie twoich odczytów pamięci do przebadania, rozpatrzę to pozytywnie. Jakie dowody zdrady zostaną wykryte?

Cały się trząsł.

– Mówiłaś...

– Mówiłam, że chcę cię puścić wolno, ale najpierw trzeba naprawić krzywdy i tylko ty to możesz zrobić.

– Suka!

– Phelim aresztował twój harem. Już tu są. Mam do dyspozycji zespół najlepszych genetyków na Ellezelinie gotowych się nimi zająć. Jest jeden problem: nie odczytaliśmy twoich wspomnień z tak dawnych czasów.

Likan wpatrywał się wystraszony.

– Które trzy? Gdy się dowiem, zostaniesz uwolniony, masz na to moje słowo Śniącej. Statek zabierze cię, dokąd sobie życzysz. Możemy cię nawet wcześniej przeprofilować.

– W jakim celu? – jęczał bliski łez.

– Celem jest sukces. Czy sądzisz, że w końcu osiągnę sukces? Czy raczej zatriumfujesz ty ze swoim stylem życia? Wiem, jakiego wyboru dokonałby Nigel Sheldon. A ty?

Głowa mu opadła. Gdy ją po chwili uniósł, drżenia i tiki rozmyły się na zawziętej, wykrzywionej twarzy. Na Aramintę znów spođełba patrzył dawny Likan.

– Tak, madame Śniąca. Przyjmuję warunki. Zastosuję się. Ale pamiętaj, będę mógł cię prześladować, jeśli poniesiesz klęskę, bo taka żałosna, nieudolna pinda nie zdoła zrealizować tak wielkiej sprawy nawet za milion lat. Nie ma szans!

– Zobaczymy – odwarknęła.

– Marakata, Krisana i Tammary – powiedział Likan.

– Dziękuję.

– Zabiją cię twoi nowi przyjaciele, nawet jeśli ja pierwszy tego nie zrobię. Gdy dasz im to, czego chcą, zabiją cię. To cię przerasta. Byłaś nikiem, kiedy cię poderwałem i zerznąłem, i teraz nadal jesteś nikiem.

– A więc w każdym wypadku wygrywasz – odparła chłodno. W tyle umysłu Władca Niebios zainteresował się, dlaczego jest taka wzburzona.

– Pozbądź się go – rozkazała strażnikowi.

Brutalnie podniesiono Likana na nogi. W kosmoporcie Wielkiego Makkathranu czekał na niego statek. Araminta zorganizowała to poprzedniej nocy. Za pomocą u-adiunkta wysłała prywatne wiadomości do Phelima, Rincensa i Ethana. Z przekazu do gajASFery wymazała całą rozmowę z Likanem. Phelimowi zostało na Viotii niewiele oddziałoW, ale rozpaczliwie chciał się zrehabilitować, więc bardzo się starał. Wiedziała, że biedna Clemance i inne dziewczyny będą przerażone, gdy pochwyca je niedobitki zespołu powitalnego. Cała reszta planety radowała się z obalenia tyranii, je natomiast zapakują do kapsuły; nie będą wiedziały, dokąd ani po co jadą. Potem, bez ich

zgody, przepchnie się je przez wormhol do samego Ellezelinu. Jeśli Śniąca Aramintę uważa się teraz za diabła, to ta planeta na pewno jest jej królestwem.

Ale za parę godzin połączą się z Likanem – te, co chcą. Statek zawiezie je do wybranego przez niego Świata Wewnętrzznego. Zaopatrzyła je w pieniądze nie do wyśledzenia, dała nowe tożsamości. Nic innego nie mogła zrobić.

Trzy, które skrzywdził, spędzą parę miesięcy w łonie-zasobniku tu, w Wielkim Makkathranie; ich profil psychoneuralny zostanie przywrócony. Po wyjściu znów będą mogły dokonać własnych wyborów. O ile pozostanie coś z Galaktyki, gdzie będą mogły się wynurzyć. To nie ma znaczenia; postąpiła słusznie.

Spojrzała na Darraklana.

– Czy Ethan jest gotów?

– Tak, Śniąca.

– No dobrze.

Wstała. Coraz bardziej jej się nie podobał głupi, wydany przez Iniga zakaz lotu kapsuł nad Makkathranem². To oznaczało długie spacery albo jazdę gondolą (akurat to dość lubiła), albo jazdę konno – w żadnym wypadku nie zamierzała tego robić; jedyna przejażdżka na kucyku, gdy miała siedem lat, źle się zakończyła.

Gdy wychodziła tylnym wyjściem z Orchard Palace, otoczył ją oddział ochroniarzy w mundurach konstabli. Zeszli z szerokiego tarasu do ogrodów Raha, gdzie rosły pachnące róże i perfekcyjnie przycięte ogniocisy. Z biur wyglądali urzędnicy, gdy szła przez budynek parlamentu po drugiej stronie. Potem znalazła się na otwartej przestrzeni, szła przez most nad Kanałem Braterstwa do Ogdenu. To przynajmniej była krótka, prosta droga do Bramy Miasta. Ludzie gorączkowo biegli przez łąkę, by powitać Aramintę. Nie potrzebowała nawet programu mieszającego Likana, żeby przybrać wizerunek osoby nieco wyniosłej. Podała rękę kilku uprzywilejowanym, pełnym respektu wyznawcom, cicho podziękowała za ich wsparcie. Do reszty uśmiechała się z wdziękiem, gdy oddział torował jej drogę.

Przy Bramie Miasta stał znacznie większy tłum. Było też więcej strażników w zwykłych ubraniach. Przypuszczała, że

połyskująca, półorganiczna tkanina kryła wzbogacenia mięśni: wyglądali nadzwyczaj atletycznie, gdy spychali ludzi na bok. Tuż przy Kryształowym murze parkowały trzy kapsuły, w górze unosiło się pięć innych. Ethan stał przy drzwiach największej kapsuły. Skłonił się uprzejmie.

– Wnioskuje, że ranek minął dobrze.

– Jak najlepiej, dziękuję – odparła Araminta. – Jestem wdzięczna za twoją pomoc w organizacji opieki medycznej.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Śniąca.

Weszli do kapsuły i usiedli z przodu, strażnicy zajęli tylne miejsca. Maszyna leciała szybko wzdłuż wybrzeża, zostawiając Wielki Makkathran po jednej stronie, zmierzała ku szerokiemu estuarium na północy miasta. Towarzyszyły jej kapsuły sił bezpieczeństwa, więc żadna maszyna cywilna nie próbowała się zbliżyć. Dzięki temu przez przezroczysty kadłub Araminta miała otwarty widok na okolicę. Ponownie z zachwytem patrzyła na rozległą metropolię rozciągającą się na terytorium za Makkthranem².

Żywy Sen zbudował to wszystko z niczego, pomyślała. Jeśli potrafili tego dokonać, jeśli są tak kreatywni, to dlaczego chcą lecieć do Pustki? Możliwość resetu nie różni się zasadniczo od regeneracji, jaką stosujemy. Od ponad tysiąca lat ludzie potrafią zacząć wszystko od początku.

Ze smutkiem uświadomiła sobie, że wiąże się to z chciwością przyczajoną w sercach ludzi. W rzeczywistości był to wszechświat, w którym tylko ty mogłeś się regenerować, co dawało ci ogromną przewagę w sferze wiedzy i doświadczenia nad wszystkimi innymi. Regeneracja, telepatia, telekineza – to władza w najczystszej postaci.

– O, Pani – mruknęła, gdy ukazał się widok stoczni, w której budowano statki.

Przypomniała sobie, jak po raz ostatni oglądała ten rejon w dzienniku informacyjnym unisfery, gdy teren przygotowywały olbrzymie maszyny budowlane. Wtedy jednostki regrabowe pchały potoki zdartej ziemi i pokruszonych skał przez powietrze, a masywne boty pełzły po nagiej glebie, pchając grube słupy

konstrukcyjne i rozpylając całe akry betonu wiążanego enzymami.

Spodziewała się, że teraz zobaczy wielkie hangary, w których na wieżach wyrzutni będą się krzątały tysiące botów montujących miliony komponentów statku. Tymczasem statki, unoszące się na polach regravowych, składano na otwartej przestrzeni. Ale boty tu były. Dziesiątki tysięcy małych czarnych modułów krzątały się niczym pszczoły przy wejściu do ula.

– To coś innego – przyznała. Tym razem nie starała się powściągnąć emocji, które roily się z niej do gajASFery. – Czy to ty wszystko zorganizowałaś? – spytała Ethana.

– Chciałbym sobie przypisać zasługi – rzekł smętnie. – Ale plany Pielgrzymki zaczęto tworzyć jeszcze za czasów Śniącego Iniga. W istocie głównym czynnikiem napędowym dynamiki gospodarczej Ellezelinu było dostarczenie nam zasobów do budowy floty, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Te statki projektowano od ponad pięćdziesięciu lat, stale je ulepszano, gdy pojawiały się nowe rozwiązania techniczne. Narodowe Ministerstwo Przemysłu również musiało dostosować systemy produkcyjne do wymagań technicznych i zapewnić nam dostateczne zdolności produkcyjne. Pobliskie planety Wspólnoty narzekały, że nieuczciwie subsydiujemy nasze korporacje przemysłowe, ale myśmy się przygotowywali do tej chwili. Wszystkie części i elementy można wytworzyć albo lokalnie, albo w Świecie Strefy Wolnego Handlu.

– Niewiarygodne. – Tylko tyle potrafiła powiedzieć.

Czterdzieści kilometrów kwadratowych stoczni konstrukcyjnej było osłoniętych pięcioma warstwami pól siłowych zdolnych chronić teren przed wszelkimi znanymi broniami. W odróżnieniu od Colwyn City, które mogło rozwinąć kopułę pogodową, tutaj pole siłowe szło aż w głąb gruntu, gdzie spajało molekuły gleby i skał, by stworzyć ochronę przed potencjalnym podziemnym zagrożeniem.

Nad rozległym, betonowym terenem wisało swobodnie dwanaście walców półtorakilometrowej długości. Każdy z nich stanowił centrum własnego, dryfującego w powietrzu cybernetycznego roju. Kadłuby były już gotowe, a gruby

strumień napędzanych regramem maszyn przepływał przez wielkie iluminatory i włązy wejściowe. Co godzinę dostarczano na każdy statek tysiące ton sprzętu. Większość stanowiły identyczne ciemne sarkofagi do komór stazy: dwadzieścia cztery miliony sztuk. Wytwarzano je na całym Ellezelinie i na Światach Wolnego Handlu, informował Ethan; masowo produkowały je systemy replikatorów bardzo zbliżone do cybernetyki trzeciego poziomu von Neumanna.

– Musimy tylko zaopatrzyć komory w zasilanie i podstawowe płyny odżywcze. Zasadniczo statki to magazyny komór stazy z komorą napędu na rufie.

Kapsuła pomknęła do jednej z pięciu załadowni bagażu. Rozmieszczone w jednakowej odległości od siebie znajdowały się na okręgu na skraju pola siłowego. Kapsuła oraz pojazdy eskorty przeleciały przez serię wyrafinowanych skanerów, zanim wylądowały przy wejściu do trzydziestopiętrowego wieżowca biurowego; wokół podwórza stało pierścieniem pięćdziesiąt takich budowli. Na powitanie wyszła spora grupa doświadczonych konstruktorów prowadzona przez dyrektora generalnego Kleryka Taranse. Tym razem gajaserfa nie była przepelniona podekscytowaniem i admiracją dla Araminty. Wszyscy zaangażowani w projekt całkowicie mu się poświęcali, przekazując silne i bardzo zadowalające wrażenie spełnienia. Mimo to tysiące pracowników przerwały na chwilę swoje zajęcia i podeszły do okien, by ją obserwować. Araminta znów wcieliła się w rasowego polityka i podziękowała konstruktorom i dyrektorowi za ich nadzwyczajne osiągnięcia.

Przechodzili obok pierwszego potężnego walca. Powietrze było tu niezwykle suche, prawie jak na pustyni w pobliżu Milowej Głębi. Na to skojarzenie Araminta wspomniała Ranta. Co się teraz z nim dzieje? Daremnie szuka na pustyni swojego ukochanego trycykla, czy może kupił sobie nowy, szpanerski pojazd, dzięki któremu gwałtownie wzrósł jego status wśród rówieśników?

Suchość powietrza to nic w porównaniu z hałasem. Pod kopułą pracowało tyle maszyn, że cały czas panowało tu wszechobecne buczenie i szum. Ciężkie dudnienie większych urządzeń aż

rezonowało w klatce piersiowej. Wokół latało mnóstwo metalu na jednostkach regramu, wzbudzając gwałtowne podmuchy powietrza, i w alejach między kadłubami zderzały się ze sobą mikroklimatyczne wiry. Suknia i włosy Araminty cały czas trzepotały. Potężne pola regramu, podtrzymujące statki, wywoływały niepokojące wrażenia w jej uszach wewnętrznych. Wędrówka po placu była jak spacer podczas trzęsienia ziemi, gdy każdy krok wymagał utrzymania równowagi – parę kroków przez niewidoczne, kolidujące ze sobą pola doprowadzało do niespodziewanych nudności, z którymi procedury podrzędne w jej klastrach wielokomórkowych słabo sobie radziły.

By opanować zawroty głowy, wybrała w przestrzeni odległy punkt i skupiła na nim wzrok. Metalicznoszary kadłub zakrzywił się wysoko w górze, pysznił się rozmiarem i wagą – robiły wrażenie niemal tak wielkie, jak długość tego ciągnącego się w dal cholerstwa. Wzdłuż boku otwory wielkości drapaczy chmur były otwarte na całej długości; uwijały się przy nich roje botów, sanie towarowe śmigały do środka i wylatywały. Teraz, gdy Araminta mogła się im dokładniej przyjrzeć, zauważyła, że prawie wszystkie sanie transportują identyczne ładunki. Dwadzieścia cztery miliony medycznych komór stazy. W głowie się nie mieściło. To więcej niż populacja Wielkiego Makkathranu. Ale już nie Ellezelinu. A miliardy wyznawców w Wielkiej Wspólnocie...

– Słyszałam, że nazywacie to pierwszą falą – rzekła.

– Tak, Śniąca – odparł radośnie Kleryk Taranse.

Biologicznie wyglądał na człowieka w wieku lat pięćdziesięciu kilku, nawet włosy miał przerzedzone i pomarszczoną skórę. Araminta przypuszczała, że ten celowo postarzony wizerunek to próba nadania sobie aury doświadczenia i zaufania. Z drugiej strony wielu wyznawców Żywego Snu pozwalało sobie na starzenie, gdyż w rzeczywistym Makkathranie wszyscy się starzeli. – Teraz, gdy opanowano system produkcji, można to kontynuować po nadzwyczaj niskich kosztach. Ellezelin z pewnością może sobie pozwolić na dalszą produkcję.

– Ale przecież populacja Ellezelinu wyruszy jako pierwsza do

Pustki? Kto wtedy będzie podtrzymywał system ekonomiczny?

– Mamy nadzieję, że ostatecznie uda się ustanowić rodzaj mostu między Pustką a Wspólnotą – wyjaśnił gładko Ethan. – Taki konstrukt nie wykracza poza możliwości Serca.

Araminta przypomniała sobie, jak granica rozděła się, by połączyć mały statek Justine.

– Najprawdopodobniej. – Znów spojrzała w górę, gdy po raz kolejny znalazła się w miejscu kolizji fal regravu. Widok statku kosmicznego przyciągnął uwagę Władcy Niebios, jego niecierpliwe oczekiwanie narastało. Jednego pytania Araminta nigdy nie zada: Czy możesz dotrzeć tu, do nas?

– Podczas podróży muszę być przytomna – oznajmiła.

Ethan i Taranse uśmiechnęli się pobłażliwie. Nie lekceważąco, ale niewiele brakowało.

– Śniąca, sekcja podtrzymywania życia jest w centrum statku – wyjaśnił Taranse. – Na każdą przypadają trzy tysiące członków załogi. Wiele systemów trzeba konserwować, nawet gdy ma się smartkor i współpracujące boty.

– Oczywiście. To bardzo krzepiące.

– Kabiny zostaną wyposażone we wszelkie luksusy. Twoja podróż przebiegnie w całkowitym komforcie i bezpieczeństwie. Nie musisz się o nic martwić, Śniąca.

Zrozumiała, że on nie żartuje.

– Jak będziemy się kontaktować z Ellezelinem podczas lotu?

– Statki będą zostawiać stacje przekaźnikowe w niewielkich odstępach, tak jak to robi flota, by mieć łączność ze Stacją Centuriona. Prócz kanałów transwymiaryowych nasze stacje będą miały również gniazda konfluencyjne.

To Aramintę bardzo uspokoiło. Martwiła się, co by się stało, gdyby większość wyznawców zniknęła z zasięgu. Statki bez wątplenia zostaną obsadzone załogami lojalnymi wobec Ethana.

– Teraz potrzebujemy tylko ultranapędów i pól siłowych – rzekła, sprawdzając zegar w egzowizji. Zostało parę minut.

– Mam pełne zaufanie – odparł Ethan spokojnie.

– Och, jestem pewna, że Pustka chce, byśmy tam bez przeszkód dotarli – powiedziała Araminta.

Przystanął i spojrział na nią z ostrożnym podziwem.

– Słuszne było to, co powiedziałaś Ilanthe. Pustka będzie zawsze triumfowała. Byłem... ukontentowany twoją wiarą w Pustkę.

– Czy wiesz, co ona chce osiągnąć wewnątrz?

– Nie. Ale to będzie jakiś bezduszny, technokratyczny system, mający „ulepszyć” życie wszystkich. To złudzenie, o jakim jej rodzaj ciągle marzy. Dlatego nigdy tym sobie nie zawracałem głowy.

– Tak, też tak uważam.

Przez kilka nocy po przybyciu do Pałacu Sadowego Araminta próbowała wczuć się w myśli Ilanthe, by dotrzeć do sensu jej intencji. Bradley i Tancerz Chmur mówili, że silfeński Ostrów Matki wyczuwa wszystko, co się wynurza z Układu Słonecznego, ale albo Ilanthe jakoś się wymknęła percepcji Ostrowa Matki, albo silfeni nie dzielili się swoją wiedzą. Araminta uznała, że to ostatnie jest nieprawdopodobne.

– Są tu – oznajmił radośnie Kleryk Taranse.

W egzowizji Araminty wyskakiwały ikony z zarządu lotnictwa cywilnego. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak wiele informacji musi codziennie przetworzyć nawet taka jak ona nominalna głowa państwa. Nie miała pojęcia, jak sobie z tym radzili prawdziwi przywódcy państw. Przypuszczalnie używali rozszerzonej i wzbogaconej umysłowości.

Dwa tysiące kilometrów nad planetą wyskoczyło z hiperprzestrzeni trzydzieści siedem wielkich, komercyjnych frachtowców. Bezpieczny link z floty obronnej Ellezelinu informował ją, że frachtowce zostały otoczone przez pięć eskadr statków wojennych Ellezelinu w szyku obronnym. To był jedyny moment krytyczny, gdy mogli interweniować przeciwnicy Pielgrzymki. Póki frachtowce nie dostały się pod pola siłowe stoczni konstrukcyjnej, były wystawione na niebezpieczeństwo.

Frachtowcom dano pozwolenie na lądowanie. Jak można się było spodziewać, osiem statków wojennych przyczajonych na orbicie zrzuciło maskowanie, otworzyło ogień. U stóp Araminty pojawiło się dziwaczne liliowo-zielone światło, gdy jednocześnie

jej egzowizja wyświetlała raport z wydarzeń. Araminta odchyliła głowę, by obserwować, co się dzieje, ale kopuła już była nieprzezroczysta. Widać było tylko szybko rozszerzające się barwne kleksy na szarzącym niebie, niczym burze borealne jasne jak światło słoneczne.

Pojawiały się kolejne ikony, zapewniające Aramintę, że pola siłowe Wielkiego Makkathranu są uruchomione i chronią obywateli przed gradem twardego promieniowania siekącego z atmosfery. Araminta poczuła, jak z gajafejsów Ethana zaczyna się sączyć niepokój, i uśmiechnęła się współczująco. Flota Pielgrzymki mogłaby prawdopodobnie dotrzeć na miejsce, używając standardowych hipernapędów, ale bez pól siłowych zostałaby zamieniona przez raielów w radioaktywną mgłę.

Pustka potrafiłaby ich powstrzymać, pomyślała. Raiele nigdy nie zdołali jej pokonać.

U-adiunkt informował Aramintę, że admirał Colris, dowódca obrony planetarnej, otwiera bezpieczny kanał.

- Śniąca, wyeliminowaliśmy statki wroga.
- Czy naszym statkom nic się nie stało?
- Trzy poważnie zniszczone, osiem doznało czasowego przeciążenia, ale nadal są zdolne do lotów.
- Jak poważne są uszkodzenia?
- Odzyskamy załogi, proszę się nie martwić, Śniąca, jesteśmy do tego wyszkoleni.
- Dziękuję. Czy frachtowce doznały uszkodzeń?
- Nie, Pani niech będą dzięki. Okazało się, że te nowe pola siłowe są tak mocne, jak obiecywano.

Impuls zaskoczenia Araminty spowodował, że wszyscy w Wielkiej Wspólnocie podłączeni do gajafery zrobili wielkie oczy.

- Frachtowce są chronione polami siłowymi bariery solarnej?
- Tak, Śniąca.
- Rozumiem. Proszę przekazać załogom moje podziękowania.
- Naturalnie, będą wdzięczni za twoją troskę, Śniąca.

Ethan i Darraklan obserwowali, jak w górze pole siłowe stopniowo się wycofuje. Za nim niebo odzyskiwało nieskazitelny błękit. Kilka fioletowych scyntylacji płonęło w jonosferze, gdy

rozpadające się wraki pędziły w dół. Ethan otwarcie wyrażał zadowolenie i ulgę.

– To najlepsze statki, jakie mogą wystawić nasi oponenti – rzekł Kleryk.

– Tak – potwierdziła Araminta niezupełnie pewna, czy powinna się z tego cieszyć czy nie.

– Możemy od razu zacząć instalacje – powiedział Taranse.

– Ile to potrwa? – spytała.

– Spodziewamy się, że tydzień, jeśli systemy będą działały zgodnie z dostarczonymi przez nie elementami.

– Znakomicie.

W takim razie w końcu mogę spróbować powstrzymać to szaleństwo. Mam nadzieję, że wystarczy mi czasu.

Czekali w stoczni na lądowanie frachtowców. Taranse poszedł dopilnować wyładunku. Araminta z Ethanem obserwowali tę operację przez chwilę, stojąc przed wysokim biurowcem, gdzie parkowała ich kapsuła. Araminta była lekko rozczarowana, że to takie nudne. Cała dostawa składała się z gładkich metalowych skorup, których wygląd nie zdradzał zawartości. Dla niej wyglądały jak zwykle zbiorniki z wodą.

– Twoja wielka chwila wkrótce nadejdzie – powiedział Ethan.

Nie dziwiło jej to, że Kleryk tak uważnie jej się przygląda. Czują, jak jego wścibskie myśli wiją się w gajaserze, usiłując zdobyć wskazówki co do jej prawdziwych uczuć. Przypuszczała, że gdy dotrą do Pustki, Ethan stanie się wspaniałym telepatą.

– Istotnie – odparł spokojnie. – Skąd pochodzi ta dostawa, jak sądzisz?

– To teraz nie ma znaczenia. Najważniejsze, że tu jest.

– I że dzięki niej dotrzemy do Pustki. Tak. Teraz, jeśli chodzi o mnie i Władcę Niebios...

– Będę zaszczycony, mogąc lecieć z tobą statkiem flagowym, by służyć ci całym swoim wsparciem.

– A który to jest? – Machnęła od niechcienia w stronę szeregu statków.

– Tamten. „Światło Pani”.

Araminta uśmiechnęła się.

- Jasne. Ale czy nie powinien się nazywać „Światło Pani Dwa”?
 - Jeśli tego sobie życzysz, Śniąca.
 - Nie. Oryginał został zniszczony, a to był statek budzący respekt. Miejmy nadzieję, że nasza podróż będzie równie udana.
- Ethan uśmiechnął się. Najwyraźniej nadal nie potrafił przejrzeć gry Araminty. I dokładnie o to jej chodziło.
- Kapsuła uniosła się przez gęstą mgłę napływającą szybko z nad morza. Gdy tylko wznieśli się ponad nią, Araminta zauważyła zmianę w wyglądzie pól i lasów poza obrzeżami miasta. Bujne zielone łąki i pola niezdrowo pożółkły. Lasem pędziły długie linie wściekłego ognia.
- Co się stało? – spytała zdezorientowana.
 - Promieniowanie z bitwy – wyjaśnił Ethan. – Walka na orbicie rozegrała się bezpośrednio nad nami. Znanacy wyjaśnili mi ostatnim razem, że bronie statków kosmicznych są obecnie bardzo potężne.
 - Ostatnim razem?
 - Tuż przedtem, zanim się objawiłaś, nad Ellezelinem walczyły dwa statki. Nigdy nie udało się nam dowiedzieć, z jakiego powodu.
 - Wielk... – omal nie powiedziała „Ozzie” – Wielka Pani. A co z ludźmi, którzy utknęli poza miejskim polem siłowym? – Araminta uświadomiła sobie teraz, że mgła również stanowi element zjawiska. Wody powierzchniowe zagotowały się wskutek potopu energii.
 - Niedobrze. Większość wyznawców Żywego Snu nie ma bioniki ani wszczepów komórek pamięci.
 - Ponieważ Stąpający po Wodzie nie miał. – Zabrzmiało to niemal pogardliwie.
 - Właśnie. Ale kliniki są w stanie ożywić tych, którzy mieli.
 - Niech Pani weźmie w opiekę dusze tych, którzy nie mieli – powiedziała przerażona tym, jak pobożnie to zabrzmiało.
 - Jesteśmy bardzo daleko od Pani – zauważył Ethan.
 - Już niedługo.

– Araminta jest na nich oburzona – stwierdziła Neskia, gdy przekazywane wizje otoczyły ją, blokując częściowo widok kabiny „statku”. – To nie przeniknęło do gajasfery, ale zaręczam, że była przerażona, gdy Ethan jej powiedział, że ci debilni wierni nie wszczepili sobie komórek pamięci z powodu swej wiary.

– To brzmi sensownie – rzekła Ilanthe. – Ja również czuję oburzenie. Woleli zostać zwierzętami, choć sami mogliby się wznieść. Z pewnością nie zasługują na współczucie.

Głowa Neskii kiwała się z boku na bok, gdy długa szyja falowała wężowo.

– Jeśli naprawdę przejęła się sprawą Żywego Snu i stała się ich Śniącą, jak utrzymuje, to okazywałaby współczucie. A tu mamy dowód, że szykuje jakiś podstęp.

– Nie rozumiem, co może zrobić. Zobowiązała się jak niewielu przed nią. Rości sobie prawo bycia przywódcą Żywego Snu na podstawie obietnicy, że poprowadzi Pielgrzymkę. Gdyby się wycofała z danego słowa, sprowadziłoby to na nią zgubne konsekwencje. Najmniejsza to ta, że Ethan włamie się do jej umysłu i zmusi ją do komunikowania się z Władcą Niebios. Przy czym miałby milczące wsparcie wyznawców. Tak czy inaczej, ja uzyskam wejście do Pustki.

Obrazy w egzowizji pokazywały Neskii rdzeń inwersji spoczywający czysto w jedynej ładowni „statku”. Nie było tu połączenia z gajasferą, więc nie potrafiła określić zabarwienia myśli Ilanthe – jeśli nadal tak je można nazwać.

– Jej nawrócenie odbyło się zbyt szybko, jest zbyt pełne. Ja jej nie wierzę.

– Ani ja – przyznała Ilanthe. – Ale w kwestii zdobycia władzy politycznej odebrano jej wybór. Słyszałaś, co mówiła: ona ufa, że Pustka mnie pokona.

– A jak się dowiedziała o tobie? Była samotna i przed wszystkimi uciekała.

– Podejrzewam silfenów.

– Albo ma sprzymierzeńców wśród resztek frakcji. Gore jest nadal na swobodzie. Trzeci Śniący. To wskazuje na powiązania.

– Gore kazał Justine lecieć do Makkathranu. Nie wiadomo, co on

planuje, ale to wymaga połączenia między nim a jego córką, a nie Aramintą. Nikt z nas nie znał tożsamości Araminty, dopiero kilka dni temu się objawiła; nigdy nie była częścią planu Gore'a.

– On zamierza przejść w stan postfizyczny, prawda? Właśnie to robi na świecie macierzystym anominów. Tak to jest; mechanizm transcendencji anominów nadal tam musi być. Takie przejście nada mu moc zrujnowania wszystkiego.

– Jeśli taki ma cel, to poniesie porażkę.

– Skąd wiesz?

– Wiek temu badałam anominowy mechanizm transcendencji. Gore przy jego pomocy nie osiągnie transcendencji.

– Dlaczego nie? – spytała Neskia.

– Bo nie jest anominem.

Długa krtań Neskii zaszczębiotała z zachwytu.

– Nie miałam pojęcia.

– Proces, w który się zaangażowałam, traktuję bardzo poważnie. Wszystkie opcje zostały sprawdzone.

– Oczywiście. Wybacz. Ale powinnaś skłonić Mariusa, żeby go wyeliminował.

– Taka próba może się Mariusowi udać albo nie. Statek Gore'a bez wątpienia dorównuje statkowi Mariusa, a straż graniczna będzie interweniowała.

– Nie możesz ryzykować, że wtrąci się do Fuzji – upierała się Neskia.

– Mówisz to, bo nie rozumiesz, co zainicjuję, gdy wejdziemy do Pustki. Gore i wszyscy inni są nieistotni. Teraz liczy się tylko Araminta.

– Zainicjujemy fuzję. Rozumiem i zgadzam się.

– Nie. Fuzja to zmyłka. Rdzeń inwersji jest przeznaczony do wywołania znacznie większej rewolucji.

Neskia umilkła, zaniepokojona tą zmianą kierunku. Wszystko, czym się stała, było poświęcone progresywistycznemu celowi fuzji.

– Co? – spytała lekko zaskoczona, że kwestionuje cel Ilanthe. – Ale przecież...

– Słusznie wszyscy boją się Pustki, ponieważ do swego

funkcjonowania wymaga energii z zewnętrznego źródła. To uosobienie entropii, ostateczny wróg wszystkich rzeczy. Ale Pustka to piękna koncepcja – umysł nad materią jest szczytową cechą ewolucyjną. Proponuję osiągnąć pełną funkcjonalność Pustki bez tej wady, jaką jest wymóg potrzebnej energii. To będzie dar Progresywistów do egzystencji jako takiej.

– To znaczy?

– Zainspirował mnie Ozzie. Jego przestrzeń mentalna zmienia podstawową naturę czasoprzestrzeni, by zawrzeć funkcję telepatii. Nie wiem, jak dokładnie obmyślił te zmiany, by taka rzecz była wykonalna, ale jej implementacja to fenomenalne osiągnięcie, niestety niedocenione, bo obrażony Ozzie wycofał się ze Wspólnoty. Ale zmiana samej natury czasoprzestrzeni przez setki lat świetlnych to coś niezwykłego. To otworzyło perspektywy, jakich sobie wcześniej nawet nie wyobrażałam. Zdałam sobie sprawę, że powinnam wyznaczyć znacznie ambitniejszy cel niż tylko połączenie Frakcji Progresywistów z Pustką. Potencjał Pustki jest znacznie większy. To, że jest ona zamknięta za granicą, zależna od kurczącego się źródła energii, to katastrofa dla ewolucji istot rozumnych, wszędzie. Pustka musi zostać uwolniona, granica musi być odrzucona.

– Chodzi ci o to, żeby sprowadzić do Pustki wszystkie istoty rozumne?

– Wprost przeciwnie. Przestrzeń mentalna Ozziego jest tylko lokalną modyfikacją, zasilaną, jak przypuszczam, przez mechanizm kotwiczący Szpikulca; Pustka może funkcjonować, póki ma masę, którą może pożerać, a masy jest skończona ilość. Rdzeń inwersji zainicjuje trwałą zmianę. Pochwyci podstawową naturę Pustki i uformuje czasoprzestrzeń wedle tego wzorca, zmuszając samą rzeczywistość do transformacji. Zacznie się Pustkowy ostateczny wspaniały reset wszystkiego. Zmiana zaświeci w centrum tej Galaktyki i po pewnym czasie, po bardzo krótkim czasie, rozświetli cały wszechświat. Entropia przestanie istnieć, bo jej zasady po prostu nie będą częścią nowego kosmosu. A skoro same prawa czasoprzestrzeni zostaną na nowo ustanowione, prawdziwym sterowniczym rzeczywistości stanie

się rozumny umysł, umożliwiając ewolucji osiągnięcie szczytu niedostępnego nawet postfizycznym, jakich ten ograniczony, niedoskonały wszechświat może zrodzić.

- Zamierzasz zmienić podstawowe prawa wszechświata? - szepnęła zszokowana Neskia.

- Taki cel to szczyt ewolucji, transcendencja całego wszechświata. My będziemy inicjatorami i twórcami genezy, w której nasi mityczni bogowie skulą się z trwogi. Czy teraz rozumiesz, dalszego nie zawracam sobie głowy takimi błaznami jak Gore i jemu podobni? Po prostu zażyczę sobie, żeby przestali istnieć. I tak się stanie.

Czterdziesty siódmy sen Iniga

Triumf Stąpającego po Wodzie.

To Mattuel miał przywilej asystowania Edeardowi przy wejściu po długich krętych schodach na szczyt wieży. Edeard nie przyjąłby pomocy od innego dziecka czy wnuka, ani od prawnuków czy praprawnuków, a już z całą pewnością nie od prapraprawnuków – większość była tylko dziećmi. A Grolral, pierwszy z jego potomków piątej generacji, Grolral, którego uwielbiał, miał dopiero siedem tygodni i interesowało go tylko jedzenie i spanie. Mattuel był ulubionym synem – urodził się znacznie później od innych, półtora roku po poprowadzeniu Finitana. Nie był przez to ważniejszy – w tamtym czasie nikt z pozostałej siódemki nie dbał o takie rzeczy – ale Edeard widział w nim dowód, swego sukcesu, że przeżywa życie tak, jak sobie przysiągł. Do czasu gdy czterej Władcy Niebios pojawili się na niebie Querencji, wydarzenia na planecie tym razem szły nieźle. Miasta i duże wsie wyznaczyły wielkie parki na zgromadzenie tych, którzy poszukują przewodnictwa. Zaufano zapewnieniom Stąpającego po Wodzie, że Władcy Niebios nie lubią tak naprawdę wież w Eyrie, i wykorzystywali je tylko z szacunku dla dawnej rasy, która je ukształtowała. Parki, proste i tanie, nie stwarzały żadnych problemów ekonomicznych i nie powodowały małostkowych rywalizacji. Nikt już nie wędrował przez pół kontynentu do wież.

Jednakże dzisiejszy Makkathran jeszcze raz gościł tłumy niewidziane od stu lat. Ostatni raz tak wielu zgromadziło się na ulicach, gdy osiem ogromnych galeonów flotylli powróciło z podróży odkrywczej wokół świata. Edeard żeglował z nimi, przeżywając okazjonalne przypiływy nostalgicznego smutku, kiedy odkrywali linie brzegowe i morza, które przypominał sobie sprzed przeszło stulecia na własnej, osobistej linii czasowej. Tym razem przed wyruszeniem zagwarantował, że zniknęły problemy

dotyczące Querencji wskutek przybycia Władców Nieba. Nie próbowano zdominować ludzi, zmuszając ich do działania w interesie określonych grup. Nowsze pokolenie silniejszych mentalistów powitano chętnie i zintegrowano w społeczeństwie, którego dobrobyt wciąż wzrastał dzięki ekspansji Gildii Jajoformerów i obfitości genistarów. Tam, gdzie niegdyś znajdowały się zachodnie pustkowia, otwarto nowe ziemie. Nawet młodziaków z makkathrańskich Wielkich Rodzin zachęcano, by szukali fortuny wśród nowych okazji, by rozszerzali swoje firmy i posiadłości. Te procesy jednak będą trwały znacznie dłużej niż życie Edearda.

Ten dzień był dniem hołdu Querencji dla Stąpającego po Wodzie, podziękii za przemianę ich świata w świat oświecenia i możliwości. Tę erę nazywano już złotym wiekiem planety.

– Modłę się do Pani, żeby mieli rację – powiedział do Kristabel, kiedy obudzili się razem tego ostatniego ranka.

Spojrzała na niego ostrzegawczo, kiedy jedna z ich praprawnuczek pomagała jej szczotkować rzadkie pasma siwych włosów.

– Nie dziel się teraz ze mną swym ashwellskim optymizmem. Nie dzisiaj.

Rozbawiony docenił dowcip i mimowolnie się zaśmiał, co sprowokowało u niego brzydki atak kaszlu z głębi piersi. Dwie z pielęgnujących go nowicjuszek ułożyły go wygodniej na łóżku. Jedna wręczyła mu parującą miksturę do wdychania. Gotów odmówić ze starczego uporów jednak się poddał, wspominając ostatnie dni Finitana. Słodkie dziewczyny chciały jedynie pomóc. Wdychał parę i odczuł ulgę, gdy przekonał się, że dygotanie mięśni ustępuje.

– Tak, kochanie.

– Ha!

Uśmiechnął się znowu. Jedna z nowicjuszek zaczęła rozpinąć mu guziki nocnej koszuli.

– Jeszcze potrafię to zrobić, dziękuję – zaprotestował energicznie.

Nie potrafił. Nie tymi opuchniętymi, sękatymi rzeczami, w jakie

zmieniły się jego dłonie. Mikstury, do których picia zmuszali go doktorzy, nic już nie pomagały straszliwie zreumatyzowanym stawom. Ale, dzięki Pani, jego trzecia dłoń pozostawała więcej niż sprawna. Finitan też wspominał o czymś podobnym.

Kiedy zamrugał i rozejrzał się wkoło, wszyscy w sypialni popatrzyli na niego z niepokojem.

– Co takiego? – zapytał.

– Znowu tam odpłynąłeś – powiedziała Kristabel.

– Honious! Miejmy nadzieję, że dotrвам do ich przybycia.

Zasłużył sobie na następne pełne dezaprobaty spojrzenie Kristabel. Nowicjuszki odetchnęły nerwowo i zapewniły go, że dotrwa.

– Tak naprawdę myślałem o Finitanie, jeśli już musicie wiedzieć

– powiedział do tych wszystkich ludzi w sypialni.

– Pani droga, nie mogę sobie przypomnieć, jak on wyglądał – stwierdziła z żalem Kristabel.

– To było niemal dwieście lat temu – zauważył Edeard. – Ale wkrótce zobaczymy go znowu.

– Tak, tak się stanie.

Edeard znów się do niej uśmiechnął, blokując szczere oburzenie pełnych dobrej woli pomocników. Dalwzrokiem odnalazł pozostałych członków rodziny zebranej w salonach na górnych piętrach zigguratu, buzujących od sprzecznych emocji. Wbrew oczekiwaniom ich obecność przynosiła mu pociechę. Było ich wielu i wszyscy poradzili sobie dobrze w życiu – albo przynajmniej nie zesli na złą drogę. I właśnie to naprawdę o nim świadczyło.

W końcu on i Kristabel zostali ubrani w najlepsze szaty. Pomagano im w tym tylko trochę. Nie włożył czarnej peleryny Stąpającego po Wodzie – w jego wieku wyglądałby w niej śmiesznie. Ponadto czuł, że po jedenastu kadencjach burmistrza szaty urzędu będą odpowiedniejsze.

Zdołał wyjść z sypialni i dojść do pierwszego dużego salonu, ale to właśnie była granica, którą wytrzymały jego mięśnie bez porządnego odpoczynku. Trzecia ręka Mattuela ustabilizowała go, gdy opadł na wysokie krzesło z prostym oparciem. Już miał

rzucić młodziakowi gniewne spojrzenie, ale dał spokój. W istocie potrzebował tego wsparcia. Upadek na tyłek na początku ceremonii raczej nie dodawałby godności.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Nie żeby Mattuela można jeszcze było uważać za młodzieńca. Jego dwusetne urodziny świętowano kilka lat temu. Edeard niezupełnie pamiętał, kiedy dokładnie.

Członkowie rodziny pojedynczo podchodzili do niego i do Kristabel, by ich uściskać po raz ostatni i wypowiedzieć kilka słów otuchy. Taka tradycja pojawiła się w ostatnich stu pięćdziesięciu latach. To dobra tradycja, pomyślał Edeard. Oczyszcza powietrze, pozwala na pogodzenie się po zbyt szybko wypowiedzianych słowach i głupich waśniach. Nie żeby to mnie dotyczyło. Tę właśnie twardą lekcję otrzymał sto pięćdziesiąt lat temu i zapamiętał ją dobrze.

Teraz więc mógł ich pozdrawiać z zadowoleniem i przyjmować życzenia bezpiecznej podróży bez zbędnych żalów. Jeśli coś go smuciło, to widok, jak postarzały się jego dzieci. Rolar i Wenalee z pewnością poszukają przewodnictwa w czasie następnej wizyty Władców Niebios. Jiska, Natran i ich ogromna trzódka: jedenaścioro dzieci, pięćdziesięcioro siedmioro wnucząt i nie wiadomo ile dalszego potomstwa. Wiedział tylko, że tego ranka musiały być umieszczone na ósmym piętrze i przesyłać swoje pożegnania dalmową – po prostu na dziesiątym piętrze miejsca nie było.

Marilee, Analee i Marvane, nadal razem, z osiemnastką wspólnych dzieci. Edeard uściskał ciepło kapitana frachtowca, kiedy nadeszła jego kolej.

– Wciąż możesz pójść z nami, jeśli chcesz – proponował z chichotem. – Chyba przydałby ci się odpoczynek.

– Tato, to okropne.

– On nie chce odpoczynku.

– Miło go traktujemy.

– Kiedy jest dobry.

– A jeszcze lepiej, kiedy jest zły.

Marvane rozłożył szeroko dłonie.

– Widzisz?

– Zawsze widziałem – powiedział do niego czule Edeard.

Następni byli Marakas i Jalwina. Szczęśliwe małżeństwo od czterdziestu lat. Ale, z drugiej strony, Marakas miał mnóstwo praktyki – Jalwina to przecież jego siódma żona. Jednakże pod tym względem daleko mu było do Dinlaya.

Taralee podeszła w swych szatach Wielkiej Mistrzynie, choć trzydzieści lat temu wycofała się z Rady Gildii Lekarzy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała z troską. – Mam środki uspokajające, z liści foloksa.

– Nie, dziękuję – odparł stanowczo.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała z uśmiechem. – Żegnaj, tato.

– Do zobaczenia wkrótce.

Do zobaczenia wkrótce. Słowa powtarzane półgłosem rozbrzmiały pomrukiem w salonie. Po nich nastąpił chór życzeń pomyślności podjętych przez tych na dziewiątym piętrze i niżej, aż do trzeciego piętra. I nigdzie w zigguracie nie było Burlala. Jemu przynajmniej oszczędzono upokorzeń starszego wieku. Jego krótkie życie zawsze przepełniało szczęście.

Edeard starał się powstrzymywać płacz, kiedy dynastia wypowiadała formalne słowa pożegnania. Razem z Kristabel zostali delikatnie podjęci przez trzecie ręce i zniesieni po centralnych schodach. Setki krewnych przechylało się przez poręczę i hałaśliwie wiwatowało.

– Wiesz, my chyba naprawdę wygryźliśmy stąd w końcu twojego drogiego, starego wuja Lorina – powiedział, machając płamie zebranych twarzy.

– Dziękujemy za to Pani – odparła.

Największa gondola rodzinna czekała na przystani zigguratu na Wielkim Kanale Głównym. Usiedli na środkowej ławce i rozejrzeli się. Cały kanał obstawili ludzie, którzy Stąpającemu po Wodzie chcieli dobrze życzyć na jego drodze. Machali, klaskali i wiwatowali, kiedy on i Kristabel wyruszyli w bardzo krótką podróż do centralnej przystani w Eyrie. Wszyscy mieli na sobie najlepsze ubrania, zmieniając kanał we wspianiałą, kolorową

aleję.

– Pamiętasz łodzie kwiatowe z Festiwalu Przewodnictwa? – spytał żonę. – Były równie kolorowe. To był taki piękny dzień. Szkoda, że zakończyli tę tradycję.

– Nie miała wielkiego sensu, kiedy Władcy Niebios zaczęli przybywać – odparła Kristabel. – I mało prawdopodobne, bym to zapomniała. Właśnie tego dnia się spotkaliśmy, pamiętasz?

– Porwanie Mirnathy. – Wspomniał szczegóły tamtego dnia. Nie myślał o tym od dziesięcioleci. – Bise trzymał ją w Domu Błękitnych Płatków.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto ją w zasadzie porwał i trzymał w Fiacre.

Owain. Edeard wiedział o tym. Owain ze swoją kliką nakazał porwanie, ale nigdy nie mogłem opowiedzieć o tym Kristabel. Musiałbym wyjaśniać, co w końcu stało się z Owainem, Bisem i – niech mi Pani wybaczy – z panią Florrel. I dlaczego ich wyeliminowanie było sprawą podstawową. Co by powiedziała, gdyby знаła tajemnice tego wszechświata? Co by zrobiła? Co by zrobił każdy z nich?

– Obudź się – złażała go Kristabel. – Jesteśmy na miejscu.

– Nie spałem – poskarżył się, kiedy cumowano gondolę.

W górze nad kanałem zakrzywione wieże Eyrie dźgały czyste letnie niebo. Ci, którzy szukali przewodnictwa, uzyskali pomoc i dostali się na swoje miejsca na górnych platformach. Mattuel i kilku krewnych trzeciej generacji czekali na ulicy, przygotowywali swe trzecie ręce do poniesienia Edearda i Kristabel. Wszyscy szybko maszerowali za gondolą po powierzchni kanału – wszyscy mieli dostateczną siłę mentalną, by to robić.

Ulice między wieżami ciasno zapełniali przedstawiciele ze wszystkich krańców świata, którzy przybyli, by uhonorować Stąpającego po Wodzie i życzyć mu szczęśliwej podróży. Machali mu i wiwatowali. Na schodach kościoła Pani chór makkathrańskich nowicjuszek zaintonował pieśń, którą podjęło całe miasto.

Edeard poprosił Mattuela, by na chwilę się zatrzymał, kiedy

melodia rozbrzmiała w Makkathranie; po raz ostatni mógł rozkoszować się muzyką. Był to „Słodkogorzki lot” Dybala, ostatnia i najlepsza kompozycja starego muzykanta. Prosta i czepliwa stała się rodzajem hymnu, od czasu gdy kompozytor został poprowadzony przez Władców osiemdziesiąt lat temu.

– Dybal nareszcie godny szacunku – mruknął Edeard, kiedy pieśń się skończyła.

Ludzie pochylali głowy, stali w milczeniu w zwyczajowej minucie ciszy.

– Jak biedny Dybal by tego nienawidził – odpowiedziała rozbawiona Kristabel.

– Tak. Muszę mu to powiedzieć, kiedy tam dotrzemy.

Przyjaciele wybrali dobre miejsca wśród ludzi otaczających samą wieżę. Edeard zdołał lekko pomachać kilku znajomym twarzom. Nie było Salrany. Z jej powodu nadal czuł wyrzuty sumienia, choć obecnie stępione przez stulecia. Przyjęła przewodnictwo dziesięć lat temu. Wtedy z ogrodu na dachu Edeard obserwował nurkującego nad miastem Władcę. Niepokoił się, czy jej dusza zostanie przyjęta. Był pewien, że została, z czego się cieszył. Choć nigdy się nie pogodzili, ona w końcu znalazła własne spełnienie.

Ranalee również odeszła. Pełna pogardy i wrogości do samego końca. Na swój sposób osiągnęła wiele z zastępem potomków, których udane, zachłanne przedsięwzięcia szeroko i daleko rozciągnęły swoje wpływy.

Niesiony łagodnie w górę Edeard zamknął oczy.

Teraz właśnie muszę dokonać wyboru. To było dobre życie. Dziesięcioletni dzień jest tego dowodem. Czy cofnę się i przeżyję je znowu? I jaki byłby tego sens? Wiem, że mogę przeżyć te stulecia jeszcze raz, jeśli będę to robił odmiennie. Może teraz nastalaby pora, bym się cofnął do czasu przed śmiercią Owaina. Mógłbym pójść prosto do Ashwell i przeszkodzić w zabiciu mych rodziców. Salrana nigdy nie zostałaby zdemoralizowana...

Pokręcił głową. Tamto życie nie było dla niego. Wiele złych rzeczy musiałyby się znowu wydarzyć w takiej czy innej formie, tak by końcowe dwieście lat mogły być przeżyte w pokoju i

nadziei, którymi się cieszył w tej iteracji. Musiałby zmieniać wydarzenia, by uczynić je choć trochę znośnymi. Ryzyko było ogromne.

Przyjmę przewodnictwo.

Centralne schody wijące się w górę wieży były zbyt ciasne dla osób towarzyszących, więc to sam Mattuel miał honor zaniesienia ojca na szczyt. Towarzyszyła mu Pytia osobiście. Honalee niosła swoją babkę, a reszta rodziny otoczyła wieżę na dole.

– Dobra Pani, nie byłem tu na górze od czasu odprowadzenia Finitana – powiedział Edeard, kiedy zbliżali się do szczytu.

– Tak, ojczu.

– Wiesz, to ta sama wieża, z której zrzuciły mnie zbiry Owaina.

– Wiem, ojczu.

Edeard uśmiechnął się, kiedy pokonali ostatni zakręt i wyszli na jaskrawe słońce. Jak zawsze wiatr był o wiele silniejszy na otwartej platformie niż w dole na ziemi. Owiewając iglice, niewyraźnie gwizdał.

Stadko nowicjuszek i Matek skupiło się wokół wejścia na schody, każda bardzo się starała zobaczyć Stąpającego po Wodzie sadowionego na stosie wygodnych poduszek. Eskortowały innych szukających przewodnictwa, których pięćdziesiątka znajdowała się na platformie. Większość z nich spoczywała na podobnych poduszkach, choć kilkoro uparcie nalegało, że będą stać, oczekując przybycia Władcy.

– Był najwyższy czas, abyś się pojawił – powiedział Macsen.

Edeard pozdrowił starego przyjaciela, pochylając ku niemu dwa palce. Zastanawiał się, jak Matki i nowicjuszki Querencii zdołały przetransportować ogromnego Mistrza Sampalok po ciasnych schodach. Macsen obecnie wydawał się niemal kulisty. Od dwóch lat nie był w stanie samodzielnie wstać z łóżka.

Edeard spozjrzał na swych przyjaciół, pokorny i radosny, że będą podróżowali razem. Kanseen na posłaniu z poduszek obok Macsena; jej strasznie kruche ciało walczyło o każdy dech. Dinlay oczywiście stał, wychudzony, ale wyprostowany, godny aż do końca, w nieskazitelnym mundurze Głównego Konstabla. Sam.

Ku zdumieniu wszystkich jego ostatnie małżeństwo trwało trzydzieści dwa lata (rekordowo) i pozostawało nierozwiązane, ale jego żona była młodsza o osiemdziesiąt siedem lat.

– Wszyscy razem – powiedział Edeard.

– Bez względu na wszystko – odpowiedzieli chórem.

Pytia skłoniła się przed Edeardem.

– Stąpający po Wodzie, oby sama Pani błogosławiła twoją podróż. Na pewno wkrótce cię powita. To, co zrobiłeś dla tego świata, wymyka się wszelkim pochwałom. Serce oczekuje cię z niecierpliwością, tak jak twoi przyjaciele, którzy już tam zamieszkują. Idziesz tam z nieustającymi podziękowaniami nas wszystkich mieszkających na Querencii, dla których spełnienia tak ciężko pracowałeś.

Edeard spojrział w twarz Pytii, łagodną i poważną, jak chyba u wszystkich Pytii, ale promieniejącą troską. Troską, która rozciągała się daleko poza wieżę. Czy powinienem jej o tym powiedzieć? Z jakiegoś powodu nie mógł zaryzykować dezaprobaty tej kobiety, więc rzekł tylko:

– Dziękuję.

Nowicjuszek i Matki rozpoczęły schodzenie w dół po spiralnych schodach.

Macsen jęknął z ukontentowaniem, kiedy z powrotem opadł na poduszki.

– Dobra, teraz mamy minutę. Czy ktoś przyniósł wodę?

– Myślę, że na teraz masz już dość, kochanie – powiedziała Kanseen cichą dalmową.

Edeard, widząc jej urywany oddech, wiedział, że utrzymuje ciało przy życiu jedynie siłą woli. Podszedł Dinlay i ustawił się przy Edeardzie. Soczewki jego okularów były tak grube, że wyglądały na szklane kule. Edeard wiedział, że praktycznie jest ślepy. Jedynie dalwzrok pozwalał mu teraz na swobodne poruszanie się.

– Czy myślisz, że Boyd tam dotarł? – spytał Dinlay.

Edeard uśmiechnął się smętnie.

– Jeśli nie dotarł, będziemy musieli zorganizować przeszukanie Pustki, by go znaleźć.

– Jestem pewna, że Władca Niebios pomoże – powiedziała Kanseen dalmową. – On zasługuje na swoje miejsce w Sercu.

– To byłoby coś, prawda? – powiedziała Kristabel. – Podróż przez wszechświat, większa wersja naszej podróży dookoła świata.

– Tak, kochanie, to byłoby coś.

Zobaczył, jak odwraca głowę, by na niego popatrzeć, oczy zmrużone w tym, och, tak pięknie znajomym wyrazie.

– Czy coś nie gra?

– Nie, wszystko gra. Ale odpowiedzcie mi na pytanie, wszyscy: jeśli byłoby coś, o czym byście wiedzieli, zdolność, z pomocą której moglibyście zmienić wszystko, wasz sposób życia, wasze wierzenia, nawet wasz sposób myślenia, czy zachowalibyście wiedzę o tym dla siebie?

– Jaką zdolność? – spytał żywo Macsen. – Sposób, w jaki rozmawiasz z miastem?

– Nie, coś znacznie większego.

– Czy zmieniło to sprawy na lepsze? – spytała Kristabel.

– Po prostu przyniosło zmiany. Jak zostałyby wykorzystane, dla polepszenia lub ich pogorszenia, zależałoby od użytkownika.

– Nie możesz osądzać ludzi – stwierdził Dinlay. – Nawet ty, Stąpający po Wodzie, nie masz takiego prawa. Mamy nasze prawne sądy, by utrzymywać porządek, ale decydowanie o duszy osoby to coś, czego nie jesteśmy godni. Tylko Serce o tym decyduje.

– Jeśli taka zdolność istnieje, jest ku temu przyczyna – stwierdziła Kanseen dalmową.

– Tak sobie pomyślałem – powiedział Edeard.

Na dole miasto wstrzymało oddech, a potem wiwatowało, kiedy Władca Niebios pojawił się nad horyzontem. Ogromna fala zachwyconych błogosławieństw uniosła się z tłumów Makkathranu i osiągnęła apogeum. To wystarczyło, wlało w ciało Edearda ostatni przypływ siły. Wyciągnął swą trzecią rękę i przyciągnął do siebie przyjaciół. Trzymali się za ręce, kiedy Władca nadciągał znad Morza Lyot. Przed nim powstawał wiatr, łopotał ich szatami. Wszędzie wokół nich iglice zapalały.

Jaskrawa świetlna korona rozlała się na platformę, wypełniła powietrze iskrami, jakby same gwiazdy spadały na nich deszczem.

– Czy nas przyjmiesz? – spytał Edeard Władcę Niebios. – Czy poprowadzisz nas do Serca?

– Tak – odpowiedziało dobrotliwie stworzenie.

Łzy wdzięczności spłynęły Edeardowi po policzkach. Światło wzmocniło się, a cień Władcy Niebios spłynął na Eyrie. To była jego ostatnia szansa.

Światło rozbłysło, zalało mu oczy. Poczuł, że ciało zaczyna mu się rozpuszczać w sile wyzwolonej przez wieże. A jednak jego umysł pozostawał nietknięty. Jeśli coś się zmieniło, to tylko to, że umysł się wzmocnił; myśli stały się najjaśniejsze od wielu dziesięcioleci. Postrzeganie rozszerzyło się, obejmując całe miasto.

– Mam dla was ostatni podarunek – powiedział do pobłyskujących, zachwyconych umysłów w dole. – Wykorzystajcie go dobrze. – A potem pokazał im, jak podróżować z powrotem przez własne życie, by rozpocząć je od nowa, tam gdzie to wybrali.

– I w taki sposób zawsze wygrywałeś? – zapytał ze śmiechem Macsen.

Dusza Edearda jaśniała szczęściem. Wznosiła się obok niego do wielkich świetlnych fluktuacji przebiegających przez ciało Władcy Niebios. Widmowa postać Macsena powróciła do swojej przystojnej młodzieńczej formy.

– Nie zawsze. I nie w ciągu ostatnich dwustu lat. Przysięgam na Panią, że wasze osiągnięcia tutaj zawdzięczacie jedynie sobie.

– Co oni z tym zrobią? – Dinlay spojrział w dół na tłum cofający się od blasku rozpadających się ciał.

– Wykorzystają to najlepiej, jak mogą, oczywiście – stwierdziła Kanseen.

– Zrobiłeś rzecz właściwą – powiedziała mu Kristabel.

Edeard rzucił swe postrzeganie w górę, świadomy pieśni przyzywających mgławic. Wydawało się, że przemawiają bezpośrednio do niego, obiecując taką chwałę, że wypełniły go

poczuciem cudu i niecierpliwym oczekiwaniem.

– Są takie piękne – powiedział. – I wkrótce się tam znajdziemy.

Oscar odgryzł kawałek świderka czekoladowego, ale myślami był gdzie indziej: przeglądał wykresy astronawigacyjne, które u-adiunkt wydobyl mu z różnych plików. Po drugiej stronie swoich displejów w egzowizji widział Liatrisa McPeierla, który intensywnie trenował – nagi do pasa demonstrował idealny tors o rzeźbionych mięśniach, miło połyskujący od potu. Widok naprawdę rozpraszał; Oscar z trudem koncentrował się na transgalaktycznej nawigacji, gdy zaledwie parę metrów od niego radośnie wyginało się atletyczne ciało przystojniaka.

Liatris zakończył ćwiczenia i leniwie sięgnął po ręcznik.

– Idę pod prysznic – oznajmił i ostentacyjnie poruszył tyłkiem w stronę Oscara, a do gajaszfery uwolnił impuls udawanych, prowokacyjnych pożądliwych myśli.

Oscar energicznie odgryzł duży kęs ciastka, wdychając cukier puder, którym było posypane, i rozkastał się. Wyglądał dość głupio. Przeplukał gardło łykiem herbaty. W tym czasie Liatris sobie poszedł, a Beckia, w drugim końcu głównej kabiny, spojrziała na niego żałośnie.

– No co? – gderał Oscar.

– Liatris już kogoś ma tam w domu – odparła.

– Dom jest daleko stąd.

– Nikczemny gówniarz z ciebie.

– I dumny z tego. Chcesz zobaczyć moją tablicę wyników?

– Nie masz ani krzty godności.

Uśmiechnął się lubieżnie i kazał u-adiunktowi wydobyć z unisfery pliki z informacją o wszystkich lotach transgalaktycznych, znanych i takich, o których tylko krążyły pogłoski.

– Częściowo z tego powodu jestem uroczy.

– Masz jakieś urocze części?

Tomansio i Cheriton wyłonili się ze służby i pojawili w środku

kabiny. Mieli na sobie migotliwe togatury o dość krzykliwej, opalizującej powierzchni; emisję do gajafejsów ustawili na zero. Przekazywali wszystkim przesłanie, że są wiernymi obywatelami Viotii i nie mają nic wspólnego z Żywym Snem.

– Sytuacja wcale się tam nie poprawia – narzekał Cheriton.

Od paru tygodni zespół obserwował i czuł na własnej skórze wysiłki władz Viotii, które próbowały przywrócić normalne działanie służb publicznych i likwidować skutki zniszczeń powstałych podczas inwazji. Dodatkowym utrudnieniem były zamieszki: zlinczowano premiera dwa dni po wycofaniu się oddziałów Ellezelinu z Ludoru, stolicy Viotii. Źle się działo. Tłum szturmował budynek parlamentu, a strażnicy stali z boku i pozwalali, by górę wzięło wrodzone poczucie sprawiedliwości. Nikt z pozostałych członków gabinetu, obawiając się ciałoutraty, nie wystąpił i nie wydał instrukcji. Pomoc koordynowały głównie władze lokalne, czekając na ostygnięcie emocji.

Największych zniszczeń doznało Colwyn City. Naprawy trwały, ale infrastruktura ciągle kulała. Przy wymianie instalacji intensywnie pracowały boty i ekipy inżynierów, z całej Wspólnoty słano statki ze sprzętem. W handlu panował jednak zastój i wiele firm nie wznowiło działalności mimo namowy rady miejskiej.

– Dobrze sobie poradzili, zważywszy na powszechną apatię – rzekł Tomansio. – Dopiero za parę lat wszystko wróci do poziomu sprzed inwazji. Firma Likana jest teraz zamknięta, to dodatkowe utrudnienie; stanowiła olbrzymią część ekonomii. Minister skarbu będzie musiał interweniować, żeby odzyskała płynność finansową. A gabinet nie jest na tyle silny, by wspólnie podjąć decyzję. Potrzebne są wybory, by przywrócić zaufanie do rządu.

– To główny problem – stwierdził Oscar. – Jaki to ma sens? Za siedem godzin nasza wspaniale idiotyczna Śniąca zamierza wyruszyć z Flotą Pielgrzymki. Nie będzie wyborów, jeśli nic nie pozostanie z Galaktyki, w której mają być te wybory.

– Przypomnisz mi, po co tu nadal jesteśmy? – spytał Tomansio.

Oscar już chciał wygłosić swoje zwykłe płomienne błaganie o

nadzieję i wiarę, której podstawą miałyby być tamto pięciosekundowe, czyste wrażenie, gdy spotkał się oko w oko z Aramintą w Parku Bodant. Był całkowicie pewny, że ona w jakiś sposób pogrywa z Żywym Snem. Jego ludzie słyszeli to od niego wiele razy, a tymczasem on teraz bada drogi ucieczki z Galaktyki statkiem, jednym z najdoskonalszych, jakie ZAN kiedykolwiek zbudował.

– Nie wiem – odparł zdziwiony, jak trudno było mu to wyznać. Oznaczało, że misja się skończyła, że nic nie mogą zrobić, że nie ma przyszłości.

Zastanawiał się, co by powiedzieli Dushiku, Anja i drogi, dowcipny, nieprzewidywalny Jesaral, gdyby wylądował przed ich domem w zamaskowanym statku z ultranapędem i powiedział im, że muszą uciekać z Galaktyki. Tak dawno z nimi rozmawiał, że w zasadzie prawie o nich zapomniał. To było niewłaściwe. Naprawdę mógł bez nich przeżyć. Zwłaszcza teraz, gdy znów żyje prawdziwym życiem.

Jęknął skonsternowany. Och, ty zdradziecki, zdradziecki człowieku. Beckia słusznie zauważyła. Nie mam godności.

Cheriton, Tomansio i Beckia wymienili zakłopotane spojrzenia, gdy z gajafejsów Oscara wypłynął strumień sprzecznych emocji.

– Co zrobicie, kiedy ruszy rozszerzenie? – spytał ich.

– Rycerze Strażnicy przeżyją – rzekł Tomansio. – Przypuszczam, że przemieścimy się na nową planetę w nowej galaktyce.

– Musicie znaleźć taką planetę – odparł Oscar ostrożnie. – Do tego potrzebny dobry statek zwiadowczy. Ultradrive doskonale by się nadał.

– Owszem. Będziemy zaszczycceni, jeśli do nas dołączysz.

– To trudne – powiedział obolałym głosem. – Przyznać się, że całkowicie zawiedliśmy. Nie tylko nasza piątka, ale cały gatunek.

– Justine ciągle jest w Pustce – zauważyła Beckia. – Gore może jeszcze zatriumfuje. Najwyraźniej ma jakieś plany.

– Chwyta się jak tonący brzytwy – odparł Oscar. – To nie ma mocnych podstaw.

– Nie ma, ale ja wierzę, że trzeba mieć siłę przyznać się do porażki. Nie przejeźliśmy Araminty, ta podła suka dokonała, czego

chciała. Nasza rola się skończyła.

– Tak. – Ciągłe nie miał pewności, jak na to wszystko zareagują jego partnerzy życiowi. Nie był tak bezduszny, by odlecieć i nie zaproponować im podróży. Ale oni wszyscy mieli rodziny, co komplikowało ten exodus. A on był naprawdę sam. Obecnie chyba najbliższe więzi łączyły go z Paulą Myo. Uśmiechnął się na tę myśl.

Nagle wszystkie displeje w egzowizji Oscara zostały zmasane przez protokół nadrzędny i u-adiunkt raportował, że ktoś aktywował link z ultrabezpiecznym jednorazowym kodem.

– Niech to jasna cholera! – zaklął.

– Cześć, Oscarze – powiedziała Araminta. – Chyba chciałeś, żebym się do ciebie odezwała.

Do dyspozycji było wszystko: smartkory, nowoczesna cybernetyka, fabryki replikatorowe, legion botów i niewyczerpane zasoby rządowe, nie wspominając o pełnym miłości poświęceniu pracowników zaangażowanych w projekt. A jednak konstrukcję dwunastu olbrzymich statków pielgrzymkowych należało zaliczyć do osiągnięć fenomenalnych pod każdym względem. Przy czym myśl twórczą i nadzwyczajne siły produkcyjne skierowano głównie na samą budowę i niestety nie poświęcono stosownie wiele uwagi opracowaniu procedur załadunku dwudziestu czterech milionów szczęśliwców.

Mareble zalała się łzami, gdy oboje z Danalem otrzymali potwierdzenie, że przydzielono im miejsce na pokładzie „Snu Macsena”. W pokoju hotelowym padła na kolana i słała w gajaszferę, do Śniącej Araminty, gorące modlitwy dziękczynne za okazaną im znów łaskę. Przez następne dni szła przez życie oszołomiona szczęściem. Mózg koncentrował się na niesamowitych fantazjach o spacerze ulicami samego Makkathranu. To cud, że w ogóle pamiętała o jedzeniu. Potem swoje zachwyty i emocje skierowała na wspólne przygotowania do lotu. Wybrano ich i nie mogli zmarnować tej szansy. Całymi godzinami planowali, co ze sobą wziąć. Bagaż ograniczono do

metra sześciennego na osobę i zdecydowanie zalecano, by nikt nie brał żadnych urządzeń zaawansowanych technicznie.

W głębi duszy Mareble chciała zostać jajoformerem, jak sam Stąpający po Wodzie. Przez lata studiowała techniki, których używał w pierwszych snach. Była pewna, że zdoła dorównać jego talentom, gdy tylko znajdzie się w pobliżu ciężarnej samicy genistara-domyślnika. Spakowała podstawowe ubrania i sprzęty, a resztę cennej przestrzeni wypełniła wytrzymałą odzieżą; kurtki, spodnie i buty to podstawowy strój do pracy przy hodowli zwierząt. Ostatnie centymetry sześcienne wykorzystowała na praktyczne instrumenty weterynaryjne. Danal włożył do swojego kontenera trochę paczek luksusowego jedzenia oraz nasiona. Najwięcej miejsca zajęły staromodne książki wydrukowane na supermocnym papierze przez małą, specjalizowaną jednostkę replikatorową, którą kupił na tę okazję. Powiedział żonie, że chce zostać nauczycielem, dlatego spakował również ołówki, pióra oraz akcesoria do produkcji atramentu.

Załadunek rozpoczęto trzy dni po nadejściu napędów i generatorów pól siłowych. Mareble czułaby się nieswojo, wiedząc, że urządzenia pochodzą z podejrzanego źródła, ale widziała, jak Śniąca Araminta stawia czoło tej niepokojącej llanthe; nabrała wtedy ufności, że idea Pielgrzymki nie została skażona złowieszczymi planami frakcji. Araminta miała rację: Pustka zwycięży wszelką niegodziwość. Gdy dotarli kapsułą do stoczni konstrukcyjnej, Mareble opanowało beztróskie oszołomienie. Wkrótce spełnią się jej marzenia, którym poświęciła życie.

Kapsuła musiała siedem godzin czekać poza kopułą pola siłowego stoczni; trzysta metrów nad ziemią ustawiła się w konfiguracji przypominającej metaliczną chmurę szarańczy, której wszystkie jednostki czekały na pozwolenie lądowania. Gdy w końcu lądowali przy jednej z załadowni bagażu, boty wpakowały ich kontenery na wózki, które zaraz pomknęły w powietrzu. Mareble i Danal musieli iść przez obiekt wśród skanerów i pól czujnikowych, aż w końcu znaleźli się pod

kopułami przesłaniającymi wieczorne niebo bladofioletową aureolą. Wysoko przelatywały długie warkocze wózków, rozwidlały się, tworzyły sieć przypominającą rozgałęzione dopływy ciemnej rzeki; sunęły do wyznaczonego statku. Mareble, wpatrzona w skomplikowane, szybko płynące strumienie bagażu, myślała przygnębiona, że już nigdy nie zobaczy swojego osobistego kontenera.

Poniżej wózków warstwy solido-znaków unosiły się nad szerokimi alejami wśród statków, przekazywały wskazówki, dźgały przestrzeń migającymi strzałkami. U-adiunkt Mareble otrzymał serię instrukcji sterujących, dzięki którym miała trafić do wejścia na rampę 13 „Snu Macsena”. Ona i dwa miliony innych osób. Instrukcje brzmiały: stań w wypełniającej całą aleję kolejce szerokiej na trzysta metrów i przesuwaj się w niej przez pięć godzin.

Olbrzymie kadłuby statków zakrzywiały się wysoko w górze, w zapadającym zmierzchu powstawały między nimi mroczne, metalowe, bezkresne kaniony, w których Mareble czuła się jak uwięziona. Pola regrawu podtrzymujące statki pulsowały dziwnie, wywołując nieprzyjemne uczucie w żołądku. Nie zapewniono toalet. Nic do jedzenia ani picia. Żadnego miejsca odpoczynku. Hałas rozmów, narzekania, rozpaczliwy płacz dzieci – to wszystko działało na nerwy i przygnębiało. Tylko współdzielony w gajasferze nastrój wyczekiwania podnosił na duchu.

Pięć godzin stała stłoczona w grupie hałaśliwych kobiet, które przechwalały się swoim genetycznym przeprofilowaniem na dwudziestoletnie dziewczęta. Nosiły T-shirty z wyhaftowanymi napisami: Oddział Lasek Dinlaya; Bezecniejsza od Hilitte; Dam się wyDINlać.

Mareble i Danal wymienili ironiczne spojrzenia i zamknęli uszy na sprośny język i obleśny rechot. To zadziwiające, jak niektórzy rozumieli spełnienie, które miała im oferować Pielgrzymka.

Wreszcie po długim chaosie w Honiousowym stanie zawieszenia dotarli do podstawy rampy 13. Mareble odetchnęła z ulgą.

- Naprawdę to się dzieje - szepnęła do Danala, gdy zaczęli powoli podchodzić pochyłą rampą.

Dinlayowe dziewczyny szły za nimi, ale tutaj tłum nie napierał. Poniżej, z tyłu za nimi, aleją przesuwwały się tysiące ludzi. Mareble wznosiła się teraz ponad nimi w każdym sensie.

Danal uściśnął jej dłoń, a jego umysł wysłał falę wdzięczności.

- Dziękuję ci. Gdyby nie ty, nigdy bym tu nie dotarł.

Przez ułamek sekundy wspominała Cheritona i krótki, intensywny wspólny czas, gdy po aresztowaniu Danala szukała pociechy; pomyślała, jak on z kolei dał jej hart ducha, by mogła przejść przez okres niedoli i zamętu. W jakiś sposób udało jej się ukryć wyrzuty sumienia. Przecież nawet Stąpający po Wodzie miał chwile słabości, gdy próbował nakłonić świat do swojej błędnej idei jedności. Wyłonił się z tej próby jako zwycięzca.

- Oboje dotarliśmy - odparła. - Kocham cię. Obudzimy się w samym Makkathranie.

- Och, jakie to słodkie! - usłyszała głośny, rozbawiony ton.

Odwróciła się z bladym uśmiechem na ustach. Za nimi na rampie stał mężczyzna - nie spodziewała się, że zobaczy kogoś takiego; nie miała żadnych uprzedzeń, ale...

Wyższy od Danala miał na sobie kilt i jaskrawoszkarłatną kamizelkę ze złotymi guzikami. Na Querencii nigdy nie widziała ludzi tak ubranych. Już miała coś powiedzieć, gdy w jego gęstej, brązowej grzywce błysnęło srebrno-złote światło i to ją zdekoncentrowało.

- Mówią do mnie LionWalker - powiedział. - Ale tę etykietkę nadano mi dawno temu, zanim się pojawił nasz własny Stąpający po Wodzie, więc wszystko jest w porządku. Miło mi was poznać.

- Wzajemnie - odparł Danal sztywno. Również się przedstawił.

- Dwa gruchające gołąbki chcą się chajtnąć w kościele Pani? - spytał LionWalker.

- Mareble jest moją żoną. - Danal oznajmił to z taką dumą, że, nie zwracając uwagi na bezceremonialne zachowanie obcego, pełna uwielbienia uśmiechnęła się do męża, który mocniej objął ją ramieniem.

- Tak, no tak, ale małżeństwo pobłogosławione w tamtym

kościół byłoby prawdziwym błogosławieństwem, czyż nie? Uwierzcie komuś, kto widział wyjątkowo dużo różnych par, jakie sobie można wyobrazić, że małżeństwo potrzebuje wszelkiego wsparcia. – LionWalker wyjął starożytną srebrną piersiówkę. – Na zdrowie i dobrej podróży wam obojgu. – Pociągnął spory łyk. – Aha, dzięki temu podczas podróży nie zmarzną mi stopy.

– Nie potrzebujemy dodatkowego wspomagania – parsknęła Mareble.

– Skoro tak mówisz. Ale zauważ, że tylko osoby wyjątkowe nie potrzebują życiowych porad.

– Byłbym zobowiązany, gdybyś swoje kazania zachował dla siebie – rzekł mu Danal. – My kierujemy się przewodnictwem samego Stąpającego po Wodzie.

Dotarli na szczyt rampy. Mareble wyobrażała sobie wcześniej, że ten moment nastąpi w nieco godniejszych okolicznościach. LionWalker znów pociągnął łyżeczkę, łyknął lubieżnie i ruszył do wnętrza „Snu Macsena” spacerowym krokiem, jakby to był jego statek.

– Cóż – prychnął z oburzeniem Danal – niektórzy z nas muszą przejść znacznie dłuższą od innych drogę, zanim osiągną spełnienie.

W komorze za śluzą zobaczyli skrzyżowanie siedmiu korytarzy. Małe, zgrabne solidy latały płynnie wzdłuż ścian, wskazując rejon, gdzie rozlokowano wyznaczone kapsuły medyczne.

– Chodźmy. – Danal chwycił żonę za rękę.

Mrużąc oczy, patrzyła w głąb korytarza, gdzie zniknął LionWalker.

– Ja go znam – powiedziała z wahaniem.

To wspomnienie było nieuchwytnie. Wtem dziewczęta Dinlaya pobiegły swoim korytarzem, wrzeszcząc jak drużyna futbolowa wychodząca na boisko. Mareble zachichotała. Dała się prowadzić Danalowi po labiryncie statku. Instynktownie sięgnęła po przekaz Śniącej Araminty i znalazła ją stojącą na pokładzie obserwacyjnym „Światła Pani”. Samotna, zdecydowana, patrzyła przez wielką, zakrzywioną sekcję przedniej części kadłuba.

Mareble, spokojna, że jej idółka pilnuje całego Żywego Snu,

ruszyła naprzód ze wzmocnioną ufnością.

W egzowizji Trobluma pojawiła się ikona RI, domagając się połączenia. Przynajmniej prosi, zamiast się narzucać, pomyślał.

„Odkupienie Mellanie” nadal pozostawało w transwymiarowym zawieszeniu, zamaskowane, nad Viotią. Troblum nic nie mógł na to poradzić. Całkowicie go zaskoczyła zdrada i ucieczka Araminty do Żywego Snu. Zważywszy na to, jak długo im umykała, nagła zmiana frontu i przejęcie przywództwa nie mieściły się w akceptowanej przez niego logice. Zakładał, że to jakiś podstęp z jej strony, ale i tego nie potrafił zgłębić.

Czekał więc na jej końcową rozgrywkę, by mieć jasność sytuacji. Przecież gdyby poleciała do innej galaktyki i – co mało prawdopodobne – rozwiązała cały problem z Pielgrzymką, on by się o tym i tak nie dowiedział.

– Nawet jeśli nie odbędą Pielgrzymki, ciągle pozostają Progrosywiści, Ilanthe i Kotka – zauważyła Catriona.

– Rozwiązanie Pielgrzymki z definicji będzie musiało tamtych włączyć i zneutralizować – wyjaśnił cierpliwie.

– Myślałam, że zależy ci na odkryciu, co się stało z tamtymi transgalaktycznymi ekspedycjami.

– Owszem. Jednak skala czasowa się teraz skróciła i zanim dowiemy się, czy Aramincie udało się przedostać przez granicę, mogę sobie pozwolić na czekanie, by się przekonać, czy rozszerzanie zaczyna się zgodnie z przewidywaniami. Jeśli tak, potrafimy je wyprzedzić, skoro mamy ultranapęd.

– A Oscar? RI powiedziała, że wie, gdzie jest jego statek.

– To teraz nie ma znaczenia. Zostali tylko Gore i Ilanthe, dwaj prawdziwi gracze. To ich wojna.

– Boisz się spotkania z Oscarem?

– Nie. Tylko że to nie ma sensu.

– Mógłbyś stworzyć barierę solarną.

– Nie!

To była prawda. Całe dni spędzał na przeglądaniu plików w swojej spacji pamięci, analizował teorie i urządzenia, jakie

rozwinęli na stacji Progresywiŝtów, gdy budowali Rój. Nie widział sposobu obejŝcia, obezwładnienia bariery. Poza tym nie miał dostatecznych danych na temat poszczególnych komponentów Roju, by mógł sprawdzić, czy nie ma tam jakichŝ tylnych drzwi. Zresztą wiêkszoŝć konstrukcji powstała po jego odejŝciu, on tylko pomagał stworzyć system wytwórczy. Przez dekady na pewno dokonano tam wielu zmian i ulepszeń. Nie był na bieŝąco.

„Odkupienie Mellanie” wisiało wiêc nad Viotią; do czekania miejsce równie dobre jak kaŝde inne. Troblum bezowocnie analizował barierę, a potem nawet udało mu się trochę przespać. Czas poŝwiêcał przeglądom podstawowych systemów statku, modyfikacjom procedur konserwacji, fabrykacją nowych czêŝci zamiennych w małym, zaawansowanym technicznie replikatorze pokładowym. Z unisfery u-adiunkt ŝciągał mu mnóstwo plików; dzięki informacji i rozrywce ŝycie na wygnaniu w innej galaktyce bêdzie znoŝniejsze.

Gdy pojawiła się ikona RI, Troblum nie od razu autoryzował link. Przede wszystkim był zajęty. Poza tym... przez parę ostatnich tygodni powoli osiágał stan akceptacji. Wiedział, ŝe odleci. Tylko kwestia – kiedy. Nawet nie musiał podejmować tej decyzji. Zacznie się koñcowa faza rozszerzania Pustki i wtedy odleci. To aŝ tak proste.

Ta RI... to by znów wprowadziło komplikacje w jego ŝyciu.

– Znam cię – rzekła Catriona Saleeb. – Zeŝre cię ciekawoŝć, co RI ma do powiedzenia. A przecieŝ jest uprzejma, bo mogłaby się wedrzeć do połączy statku z unisferą.

– Tak – westchnęła Troblum.

Na displeju egzowizji skasował szkice projektów i spojrział na mikromanipulator, którego uŝywał: pod przezroczystą kopułą, w sterylnym ŝrodowisku, znajdowały się ŝwieŝo zreplikowane elementy, które Troblum powoli składał w projektor solido. Miał dostę do podstawowych programów, które pozwalały skonstruować sensowną osobowoŝć I-rozumną. To bêdzie on sam w młodszej, sprawniejszej fizycznie wersji zdolnej towarzyszyć Catrionie w łóŝku. Przeprojektował współzaleŝności

sensoryczne ze swoją własną biononiką, tak że były znacznie bardziej zaawansowane niż w wersji standardowej, umożliwiały absolutną pełnię doznań. Włączenie zindywidualizowanych modyfikacji zajmowało sporo czasu. Wymagało rozwiązania intrygującego problemu, który absorbował umysł Trobluma przez kilka dni. To było jak stawanie się multiczłowiekiem. Catriona mówiła, że również nie może się doczekać rezultatu.

U-adiunkt otworzył link.

– Muszę donieść o interesującym zdarzeniu – powiedziała RI.

– Co takiego?

– Oscara Monroe ktoś wywołał na zabezpieczonym kanale z salonu Boveya „Łazienki i Kuchnie”. To sklep w Colwyn City, w centrum handlowym z ładowiskiem.

– I co?

– Rozmówca twierdzi, że jest Aramintą. Połączenie ustanowiono, wykorzystując jednorazowy kod wydany przez Oscara. Tylko on i ta osoba go znały, nikt inny.

– Oraz ty. Czyli każdy przyzwoity wyspecjalizowany programista może go złamać.

– Dowiedziałam się tylko dlatego, że monitoruję wszystkie połączenia wychodzące i wchodzące z ukrytego statku Oscara. Gdy przejęłam wiadomość, złamanie kodu było trudne nawet dla mnie. To poza zasięgiem większości speców we Wspólnocie.

Troblum spojrzął spoде łba na maleńkie elektroniczne komponenty w obudowie mikromanipulatora, połyskujące jak diamenty.

– Ale to nie może być od Araminty. – U-adiunkt przesunął mu wcześniej do peryferyjnego obszaru egzowizji obrazy z wylotu Pielgrzymki. Troblum widział Flotę Pielgrzymki na Ellezelinie, gdzie wreszcie zakończono chaotyczny załadunek. Transmisje na żywo pokazywały Aramintę stojącą na pokładzie obserwacyjnym „Światła Pani”. – Ona jest na statku flagowym. Za chwilę wylatują.

– Właśnie. Więc dlaczego kod jednorazowy przekazany jej osobiście przez Oscara, został aktywowany z Colwyn City?

– Nie rozumiem tego. – Coraz bardziej pasjonująca stawała się zagadka, dlaczego Araminta uciekła do Żywego Snu. Troblum

lubił zagadki. Choć to niczego nie zmieniało. – Co mówili?

– Niewiele. Prosiła Oscara o spotkanie w restauracji w alei Daryad za piętnaście minut.

– Ale... – Troblum przesunął do środka bieżącą transmisję. Ochronne pola siłowe nad stoczną konstrukcyjną zmniejszały swoją moc, odsłaniając szeroko niebo, by kolosalne statki mogły wystartować. – Ona jest na pokładzie „Światła Pani”. Właśnie teraz oglądam przekaz.

– Tak. Więc albo sprowadzi całą Flotę Pielgrzymki na Viotię, na szybką wizytę, albo dzieje się tu coś innego.

– Co?

– Zainteresowało cię, Troblum? Rozważasz teraz kontakt z Oscarem?

– Nie odzywam się do niego. Wygląda mi to na jakąś sztuczkę z twojej strony.

– Jeśli, to jest trochę za późno.

– Czego ode mnie chcesz?

– Infiltruję węzły wewnątrz restauracji. Zespół Oscara zapuszcza sprawdzanie osłonowe dla szefa. Są w tym dobrzy, ale potrafię im się wymknąć. Czy chcesz obserwować spotkanie?

Troblum zamknął oczy. Obrazy z czujników statku pokazywały mu Viotię jako obszerną wstawkę w polu grawitacyjnym czasoprzestrzeni. Planeta była oddalona zaledwie o sto tysięcy kilometrów, choć RI o tym nie wiedziała. A może jednak wiedziała?

Zmartwienia i obawy, które przez ostatni tydzień powoli odpłynęły, znów nagle się pojawiły i serce zaczęło mu bić szybciej. Kropelki potu wystąpiły porami ciała, chłodząc skórę. Biononika gładko odpierała te aspekty fizjologiczne, ale nie potrafiła stłumić pełnych niepokoju myśli. Nie mógł zacząć się zastanawiać, o co tu chodzi. Nie rozumiem ludzi, pieprzyć to. Dlaczego Araminta to robi? Dlaczego próbuje zabić Galaktykę? Dlaczego wywołuje Oscara? A on przecież musi wiedzieć, że się z nim nie spotka.

– Powiedziałaś, że ludzie Oscara sprawdzają restaurację?

– Tak. Dwójka z nich fizycznie się pojawiła, ubezpieczają

budynek. On już wyruszył.

– Ale wie, gdzie jest Araminta. Wie, że nie będzie jej tam. To musi być pułapka, a on jednak w nią idzie.

– Pułapka przez kogo zastawiona? I po co? Dlaczego teraz? Żadna broń w Galaktyce nie może powstrzymać statków Pielgrzymki, wiemy to. Wasza Flota Wspólnoty nie potrafi się przedrzeć przez pola siłowe dostarczone przez Ilanthe. Raielewojownicy też nie.

– Twierdzisz, że to nie pułapka?

– Mówię ci, co się dzieje, i proponuję, żebyś wziął udział.

– Dlaczego? Dlaczego chcesz, żebym się angażował?

– Żeby w końcu osiągnąć to, o co mnie tak często niesłusznie oskarżano: że wpływam na bieg ludzkich spraw. Musimy wystawić więcej opcji przeciw Żywemu Snowi i Ilanthe. I Kotce oczywiście. Możesz odegrać w tym dużą rolę, Troblum. Chcesz tego?

Rzucił okiem na Catrionę, która znów go obdarzyła pełnym uwielbienia spojrzeniem. Oparł głowę na dłoniach. Ona jest nierealna. Wszystko, co mam, jest nierealne. Z siłą wzmocnioną przez biononiki nagle walnął pięścią w jednostkę mikromanipulatora. Rozległ się głuchy dźwięk i część drobniutkich komponentów zadygotała w środku. Pięść znów się wzniosła. Tym razem biononiki dodały wzorzec broni do uderzenia. Kopuła została roztrzaskana, delikatne mechanizmy w środku były nieodwracalnie zmiażdżone. Komponenty elektroniczne rozleciały się po pokładzie zniszczone przez brutalną siłę oraz powietrze, które zanieczyściło ich wrażliwą strukturę molekularną.

– Pokaż mi – powiedział do RI. – I kto to jest Bovey?

– Przyjdź sam – powiedziała dobitnie Araminta.

Oscar rozumiał jej odczucia, ale... są jednak sprawy zbyt poważne, by je powierzać dobrej woli i uprzejmościom. Umówili się w restauracji Andre Rice'a w alei Daryad. Antyczny, według standardów Viotii, budynek z drzewa i paneli węglowych stał

niecałe dwa kilometry od doków, gdzie „Rewanż Elvina” nadal stał w magazynie porzucony i niezauważany przez menadżerów, którzy próbowali przywrócić porządek w dokach. Oscar zajął miejsce pośrodku prawie pustej sali, której okna, wybite podczas zamieszek, właśnie wymieniono na nowe. Uważał, że powinni dostawić więcej stolików. Te nieliczne rozmieszczono dość rzadko. Może część rozszabrowano? Ale kto szabruje stoliki?

Pojawił się kelner-człowiek i przyjął od niego zamówienie. Oscar poprosił o sałatkę. Miał ochotę na wielką zapiekankę z wołowiny i nerek cielęcych – to jedli dwaj faceci przy narożnym stoliku – ale przecież przed chwilą skończył świderka czekoladowego z herbatą. Spacer między „Rewanżem Elvina” a restauracją zajął mu niecałe dziesięć minut. To nieco podejrzane. Czyżby Araminta знаła lokalizację ich statku? Ale skąd? Trudno pojąć.

Po drugiej stronie alei Daryad stała na czatach Beckia, buszując po sklepie, który ostatnio wznowił działalność. Cheriton zajął pozycję w uliczce na tyłach restauracji; skanował okolicę w poszukiwaniu oznak innych agentów, pułapki czy w ogóle czegoś odbiegającego od normy. Oscar ciągle nie rozumiał, co się dzieje. Gajaserfa wyraźnie pokazywała Aramintę stojącą na pokładzie obserwacyjnym „Światła Pani”; tam przebywała przez parę ostatnich dni. Ethan i Taranse, idąc ku niej przez puste pomieszczenie, kłaniali się równocześnie.

– Załadowanie skończone, Śniąca – meldował Taranse. Wyglądał jak człowiek wyczerpany, lecz nadzwyczaj zadowolony, który osiągnął cel swojego życia.

– Dziękuję – odparła. – Wykonaliście wspaniałą robotę. – Zwróciła się do Ethana: – Jesteśmy gotowi do startu?

– Tak – odparł Kleryk z wyraźną radością. – Wydaje się, że ultranapędy działają.

– Bardzo dobrze. Proszę powiedzieć kapitanom, żeby startowali i kierowali się do Pustki.

– Zostanie to wykonane.

– Czy są jakieś ślady Ilanthe?

– Nie, Śniąca.

– Nieważne. Jestem pewna, że da o sobie znać, zanim dotrzemy do granicy.

Odwróciła się do wysokiego, przezroczystego pasa kadłuba, akurat gdy deaktywowała się ostatnia warstwa pola siłowego stoczni. Na zewnątrz świeciło, jasny, złotawy blask oświetlał olbrzymie statki Pielgrzymki. Na ten widok Araminta się uśmiechnęła. Pokład zadrżał i „Światło Pani” uniósł się ze swego regramowego zawieszenia i wystartował w czyste niebo Ellezelinu.

– Jasna cholera! – mruknął Oscar.

Naprawdę nie miał pojęcia, co on tu teraz robi. Może Tomansio słusznie przypuszczał, że Żywy Sen wdarł się do umysłu Araminty, żeby usunąć wszystkie ewentualne problemy? Oscar wiedział, że to kupa bzdetów. Po co czekać aż do tej chwili?

Przyniesiono mu sałatkę. Spojrzał na nią bez entuzjazmu.

– O, życie znów staje się ciekawe – powiedziała Beckia. – Popatrz!

Jej link pokazywał pana Boveya wychodzącego z taksówki. Bovey czarnoskóry, w średnim wieku; Oscar rozmawiał z nim wcześniej.

– Tak! Wygrałem – stwierdził Cheriton. – Płać!

Drużyna zrobiła zakład o to, kto pojawi się w restauracji. Oscar postawił na nieuchwytną kuzynkę Cressidę.

– Coś podejrzanego? – wysłał zapytanie do reszty zespołu.

Liatris, latający nad Colwyn City w zmodyfikowanej kapsule, odparł, że teren jest czysty, żadnej tajnej działalności. Z „Rewanżu Elvina” Tomansio też raportował, że przeszukanie rejonu nie wykazało niczego podejrzanego.

Pan Bovey wszedł do restauracji i usiadł przy stoliku Oscara. Miał na sobie konserwatywny szary togatur, prawie bez migotania, dzięki czemu wyglądał dość dostojnie.

Biononika Oscara narzuciła na stół niewielką osłonę prywatności.

– Pan Bovey – zaczął Oscar tonem przygany, po czym zamierzał powiedzieć coś w stylu: co ona knuje?

Ale mężczyzna uśmiechnął się i uściśnął mu dłoń.

– Nie – powiedział życzliwie. – Pan Bovey jest tam, ma cię na oku.

Oscar odwrócił się. Dwaj mężczyźni jedzący zapiekanke pomachali mu z powagą.

– Nie rozu...

– Jestem Araminta. Raczej Araminta-dwa. To ciało pożyczone od jednego z narzeczonych. Właśnie to ciało, mówiąc dokładnie. Moje ulubione.

– Co? Jak? – Oscar chrząknął.

– Staję się mulitczłowiekiem. To ciekawy styl życia, nie sądzisz?

– Uśmiechnął się krzywo.

– Pieprzyć.

– Właśnie. Powiedziałaś, że możesz pomóc?

– Do jasnej, tak! – Skóra Oscara mrowiła, tak był zaskoczony. Nie mógł się powstrzymać, zaczął się radośnie śmiać. Może jest nadzieja. – Jeśli chciałbyś ze mną pójść... – Biononika i myślowe procedury podrzędne musiały regulować jego reakcje neuronalne, zmniejszając poziom adrenaliny, by mógł się odpowiednio skupić na misji. Musiał być skoncentrowany.

Araminta-dwa lekko wzruszył ramionami i wstał.

– Osłaniajcie nas – powiedział Oscar do Beckii i Cheritona. – Liatris, wyprowadź nas stąd.

– Daleko przed tobą.

Oscar nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł taką euforię i jednocześnie przerażenie. Jeśli mają być zatrzymani, to stanie się to teraz, gdy ta wersja Araminty zostanie zidentyfikowana jako właśnie on/a. Gdy szli do drzwi, chciał rozpostrzeć swoje wbudowane pole siłowe na pełną moc, aktywować wszystkie wszczepy bojowe. Zachowaj zimną krew. Zachowaj spokój. To błyskotliwy manewr. Nikt nie mógł przewidzieć, że ona to zrobi.

Liatris sprowadził ingrawową kapsułę na dół bezpośrednio na chodnik przed restauracją. Kilku przechodniów, którzy musieli się uchylić, spojrzęło na niego wściekle. Drzwi się otworzyły i Oscar dosłownie wepchnął Aramintę-dwa do środka. Szybko się wznieśli, zakręcając równocześnie w stronę doków.

Araminta-dwa rozejrzał się po wnętrzu i skinął pogodnie

Liatrisowi, który wyglądał jak rażony gromem.

– Wiecie, niektórzy uważają, że ingraw nie powinien być dozwolony w naszym mieście – powiedziała.

– Jasne – przyznał Oscar.

– Jest niebezpieczeństwo, że psuje głęboką strukturę geologiczną. Może dojść do trzęsień ziemi.

– Aha. – Oscar przygotował się na coś zupełnie innego i teraz całą sytuację odbierał jako surrealistyczną.

Kapsuła zanurkowała i zawisła przed magazynem Bootle i Leicester. Drzwi się odsunęły i wszyscy dali nura naprzód. Oscar wiedział, że to może zwrócić uwagę obsługi doków. To bez znaczenia. Najważniejsze, że mieli Aramintę. W zasadzie jedną Aramintę, a nie całą osobę. Może dlatego ona... on... jest trochę postrzelony.

Tomansio stał pośrodku kabiny statku, gdy trójka wynurzyła się przez śluzę. Podłoga się pod nimi zestaliła. Oscar mimowolnie szeroko się uśmiechnął.

– Mówiłem ci! – Delikatnie stuknął Tomansia palcem.

Wtedy biononika Oscara poinformowała go, że Tomansio przeprowadza niezwykle dogłębne skanowanie polowe Araminty-dwa. Już miał zaprotestować, ale zdał sobie sprawę, że sam powinien to zrobić jeszcze w restauracji.

– Czysty – stwierdził Tomansio. – Nawet bardzo czysty. Nie masz biononiki, nawet twoje klastry makromolekularne są prymitywne.

– Pan Bovey jest multiczłowiekiem – rzekł Araminta-dwa. – Nie jest zależny od technokratycznych systemów, wokół których kręcą się inne kultury Wspólnoty.

Tomansio spuścił głowę.

– Oczywiście. Ale musisz rozumieć, że to, co mówisz, trudno zaakceptować bez dowodu.

– Wiem. Patrz przeze mnie.

Przekaz Śniącej do gajASFery pokazał widok z przodu „Światła Pani”. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała krzywiznę planety oddalającej się, gdy statek wychodził niezgrabnie z atmosfery. Teraz o świcie linia terminatora była wyryta złotą

koroną, która ślizgała się zarówno po oceanach, jak i chmurach. Śniąca otworzyła usta.

– Zaufaj mi, Tomansio, jestem bardzo realna – powiedziała.

W całej gajaserze miliardy wyznawców Żywego Snu, którzy z zazdrością obserwowali początek Pielgrzymki, potwierdzały oddanie Śniącej. Dziesiątki milionów zastanawiały się, kim jest Tomansio.

Araminta-dwa spojrział na Tomansia, unosząc brwi.

– No i?

– W porządku, to było dość przekonujące. Dwuczłowiek. Kto by się domyślił?

– Nie ty – odparł Araminta-dwa.

– Miejmy nadzieję, że nie jestem w tym osamotniony.

Oscar znów się uśmiechnął.

– Miałem rację. Nie zdradziła nas.

– Oscar, uwielbiam cię – rzekł Tomansio – ale jeśli jeszcze raz to powtórzysz, wyrzucę cię na głowę do...

Oscar zachichotał.

– Dobrze, dobrze.

Smartkor pokazał mu dwie kapsuły, które dotarły do magazynu. Wskoczyli z nich Beckia z Cheritonem i ruszyli biegiem. Odrobinę mu to zepsuło humor. Kazał smartkorowi startować, gdy tylko tamci dwoje będą w służbie.

Tomansio spojrział na niego zaskoczony, gdy „Rewanż Elvina” gładko przebił dach i ruszył pionowo z przyśpieszeniem dwudziestu g. Wewnętrzna grawitacja nieco zrównoważyła siłę, ale wszyscy musieli szybko usiąść w fotelach, które się wytłoczyły z podłogi kabiny.

– To nieco drastyczne? – zapytał Tomansio.

– Taktycznie sprytnie. Stąd, na górze, możemy uciec w razie konieczności.

– Ty jesteś szefem.

Beckia i Cheriton wyłonili się ze śluzy i spojrzeli na Aramintę-dwa z niedowierzaniem, gramoląc się na swoje kanapy akceleracyjne.

Z Oscara wyciekała początkowa radość. Kontrola przestrzenna

Viotii kierowała ku nim mnóstwo zapytań i ostrzeżeń, ale nie ruszono za nimi w pogoń. Przestrzeń nad planetą była stosunkowo czysta, nie zagrażał im żaden ze statków wykrytych przez czujniki.

– Dobrze – zwrócił się do Araminty-dwa. – Do kurwy nędzy, co się dzieje?

– Wyczerpały mi się możliwości – odparł Araminta-dwa. – Stałem się Śniącą dla odwrócenia uwagi. – Na chwilę opuściła go pewność siebie. – Mam nadzieję. I wtedy ty wkraczasz.

– Nie kłamałem – oznajmił Oscar. – Jesteśmy tu, by pomóc, zrobić, co w naszej mocy.

– Dlaczego? Wiem, kim jesteś, sprawdziłem. Ale chciałbym wiedzieć, kto stoi za tobą.

– W porządku. To był ZAN, ale teraz jesteśmy samodzielni. Mieliśmy nadzieję, że coś się pojawi. I... ty się pojawiłeś.

– Czego potrzebujesz? – spytał Tomansio. – Zamierzasz roztrzaskać Flotę Pielgrzymkową o granicę czy coś w tym rodzaju?

Na dostojnej twarzy Araminty-dwa pojawił się smutny uśmiech, który postarzał.

– Na tych statkach są dwadzieścia cztery miliony ludzi. Idiotów, tak, ale to nadal ludzie. Nie zgładzę ich przecież w ramach przykładu dla reszty Galaktyki, żeby tam nie lecieli. Kiedy dotrą do granicy Pustki, zanim my zdołamy ich powstrzymać, będę musiał skłonić Władcę Niebios, by otworzył dla nich drogę. Więc rozumiesz, naprawdę potrzebuję pomocy.

– Jakiej? Powiedz – poprosił Oscar.

– Bradley sugerował, by znaleźć Ozziego. Powiedział, że Ozzie to prawdziwy geniusz i jeśli w ogóle ktoś mógłby wymyślić jakieś rozwiązanie, to właśnie my, współpracując.

Oscara przebiegł zimny dreszcz.

– Bradley? – spytał beztrąsko. Inni spojrzeli na niego z ciekawością. Jego emocje musiały coś zdradzić.

– Bradley Johansson – rzekł Araminta-dwa. – Spotkałem go na ścieżkach silfenów.

– Bradley Johansson żyje?

- Bradley jest teraz silfenem.
- Jasna cholera!
- Mówisz prawdę? – spytał Tomansio niemal ze złością.
Araminta-dwa spojrział na niego.
- Mówię prawdę. – Zwrócił się do Oscara: – Bradley powiedział mi, że razem walczyliście w wojnie Gwiazdokrażcy, powiedział, że mogę ci ufać, Oscarze. A ty mi pomogłeś wtedy w Parku Bodant.
- Bradley silfenem, coś takiego! – powtórzył Oscar zamyślony. – Obaj po swojemu przeżyliśmy Zemstę Planety.
- Żyje – szepnęła Beckia z niedowierzaniem. – Największy z nas wszystkich, nasz założyciel, wyzwoliciel ludzkości. Żyje! Czy zdajecie sobie sprawę, co... – Była zbyt wzruszona, by mówić dalej.
- Nie chciałem was rozczarować, ale on nie udzieli pomocy – oznajmił Araminta-dwa. – Najlepsze, co mógł zrobić, to wysłać mnie.
- Chciał, żebyś współpracował z Ozziem? – dopytywał się Oscar.
- Tak. Niepokoił się również z powodu tej Ilanthe-rzeczy, tego, czym się teraz stała. Nawet silfenów to bardzo martwi, choć nie zwykli się czymkolwiek przejmować.
- Niewiele wiadomo o Ilanthe – stwierdził Oscar. – Skoncentrujmy się więc na tym, co możemy osiągnąć. – Otworzył bezpieczny link do Pauli.
- Zawieź go do Ozziego – powiedziała Paula, gdy skończył swoje wyjaśnienia.
- Naprawdę?
- Bradley ma rację. Śniąca i Ozzie razem to potężna kombinacja.
- W takim razie zgoda.
- Araminta.... naprawdę spotkała Bradleya?
- Tak, tak twierdzi. Niezłe, co?
- Istotnie.
- Więc gdzie teraz przebywa Ozzie?
- Na Szpikulcu.
- Paula, serio? To siedem tysięcy lat świetlnych stąd.
- Wiem. Ale pomyśl, czy mamy coś innego? Jesteśmy w

rozpaczliwej sytuacji.

- Jasne. - „Rewanż Elvina” zakończył fazę początkowego przyspieszenia. Wchodził na szeroką eliptyczną orbitę nad Viotią. Oscar uśmiechnął się do Araminty-dwa. - Ozzie na Szpikulcu. Tam się leci pięć dni.

- No to lećmy.

- Świetnie. - Uśmiechnął się z ulgą.

- Mam dla ciebie przestrozę - powiedziała Paula, szybko studząc Oscara.

- Tak?

- Niejaki Aaron prawdopodobnie zawiózł Iniga na Szpikulcu w tym samym celu: by połączyć siły z Ozziem.

- Cholera. - Rozejrzał się po swoich ludziach i napotkał ich lekko oskarżycielski wzrok. - Inigo? Zależli Iniga?

- Tak. I mam nadzieję, że to dobra wiadomość. Jeśli da się razem połączyć Śniących, Pierwszego i Drugą, oraz Ozziego, to może rzeczywiście uzyskamy przewagę, jakiej potrzebujemy, by...

- Zlikwidować Pustkę? Rozwalić Flotę Pielgrzymki? Wyeliminować Ilanthe?

- Zadowolilibym się teraz każdą z tych opcji.

- Kto to jest ten Aaron i dla kogo pracuje?

- Niestety nie wiem. Ale logicznie rzecz biorąc, należy do frakcji wrogiej Pielgrzymce. Bądź ostrożny, on łatwo chwyta za broń i jest znany z tego, że używa jej agresywnie. W razie jego wrogich akcji twój zespół musi wiedzieć, jak ochronić Aramintę.

- Dobrze. A ty, Paula, co robisz?

- Rozpracowuję parę tropów, jak zawsze.

Oscar, lekko zawiedziony jej odpowiedzią, kazał smartkorowi osiągnąć prędkość nadświatłą i lecieć do Szpikulca. Potem zaczęli na serio przepytawać Aramintę-dwa.

- Co teraz zrobisz? - spytała RI Trobluma.

„Odkupienie Mellanie” śledziło statek Oscara osiągający prędkość nadświatłą. Nagle zniknął z egzowizji Trobluma. Żadne czujniki nie mogły go wykryć, gdy był w trybie

maskowania.

– Nie wiem – odparł niepewnie. Wstrząsnęła nim rozmowa między Oscarem i Paulą przechwycona przez RI. Oboje Śniący i Ozzie mają się spotkać, by rozwiązać problem. To dawało ulotną nadzieję. – A cóż ja mogę?

– Nikt nie wie tyle co ty o barierze solarnej. To im się może przydać.

– Nie wiem. – Sprawa go przerastała, a ponadto stawała się znów bardzo osobista. Jednakże rozwiązanie zagadki Araminty przyniosło mu nieoczekiwaną ulgę. Nikogo nie zdradziła, robiła, co się dało. Araminta, Inigo, Oscar i Ozzie razem. To będzie historyczne wydarzenie.

Podeszła Catriona i usiadła mu na kolanach. Miała na sobie cienką koronkową koszulkę i obcisłe dżinsy. Czuł ją przy sobie, jej ludzki zapach i piżmową woń, idealne ciało kilka centymetrów od oczu. To dawało pocieszenie.

– Powinniśmy lecieć – powiedziała miękko.

– Tak. – Nawet to poprawiło mu nastrój.

Czujniki pokazały Pauli, że statek „Rewanż Elvina” śmignął do hiperprzestrzeni i aktywował tryb maskowania. Ona oczywiście mogła go śledzić, ale niewiele innych statków w Galaktyce to potrafiło.

Minutę później statek, pozostający w zawieszeniu sto tysięcy kilometrów nad Viotią, również przesunął się w hiperprzestrzeń i ruszył za Oscarem z prędkością ultranapędu. Miał niewidzialność nie tak dobrą jak statek ZAN, ale napęd aż za dobry, a prawdziwym darem była jego masa. Był identyczny jak „Odkupienie Mellanie” – a ostatnio Paula widziała „Odkupienie” opuszczające Sholapur z prędkością zaledwie hypernapędu.

– I zostało tylko jedno – wymamrotała Paula.

Ostatni zamaskowany statek ruszył. „Alexis Denken” znał jego sygnaturę napędu z Sholapur, jak również jego znakomite maskowanie. Paula kazała smartkorowi lecieć za trzema statkami do Szpikulca. Potem otworzyła bezpieczne połączenie z

„Wysokim Aniołem”.

- Cześć, Paula – powitał ją Qatux.
- Nie możesz się przedostać przez barierę solarną?
- Nie. Nasza podróż tu była głównie symboliczna, deklaracja poparcia raielów dla reszty Wspólnoty.
- Nie oczekuję od ciebie pustych gestów politycznych.
- Jeśli w jakiś sposób możemy wpłynąć na to, by odwieść Żywy Sen od Pielgrzymki, jesteśmy zobowiązani to wdrożyć.
- Właśnie wystartowali.
- Wiem. Paula, jeślibyś chciała polecieć z nami, gdy ta Galaktyka się zapadnie, z chęcią cię zabiorę.
- Wiem, Qatuxie, że celem „Wysokiego Anioła” ma być ratowanie życia z tej Galaktyki, ale coś się dzieje. Instynkt mówi mi, że to bardzo ważne. Potrzebuję przysługi. Wielkiej przysługi.

Jezioro miało ponad dziesięć kilometrów średnicy. Linie brzegową tworzyły atrakcyjne szerokie zatoczki. Dwie trzecie otaczającego lądu pokrywały gęste, dzikie lasy, roślinność pięła się po skałach otaczających falujące lekko wody. Pozostałą jedną trzecią zajmowało miasto obcych; jego kule i iglice dominowały na linii horyzontu. Miasto opuszczone od tysiącleci. Jego żelazne konstrukcje przywodziły na myśl małe ludzkie dzielnice Octoronu. Tę metropolię jednak zaprojektowano ze znacznie większym rozmachem. Chyba nazbyt okazale: ludzie mieszkający w komorach nigdy nie próbowali się tu osiedlić.

Stara kapsuła Ozzięgo poszybowała nad smukłymi wieżowcami i opadła nad dużą półokrągłą przystanią w zatoce po drugiej stronie. Na wodzie leżało kilka wysepek. Polecieli ku największej, która miała szeroką piaszczystą plażę strzeżoną z obu stron przez skaliste klify. Za plażą ląd składał się z grupy długich wydm, a dalej teren wznosił się ku centralnej górze wyspy. Prosty, pobielony kamienny dom stał samotnie między wydmami a zalesionym stokiem. Otoczony z trzech stron werandą, nakrytą liściastym baldachimem gęstych pnączy rozpiętych na antycznym, zapadającym się, drewnianym rusztowaniu. Wysokie

panelowe okno przesłaniały drewniane żaluzje, nadając domowi wygląd wiejskiej prowansalskiej rezydencji.

Kapsuła wylądowała przed samotnym budynkiem. Aaron szybko go zeskanował. Za szerokimi szczelkowymi drzwiami, wychodzącymi z salonu na werandę, ktoś się czaił. Postać miała biononiki, ale nie zostały skonfigurowane jako broń. Były też dodatkowe wszczepy, których nie rozpoznawał, ale ich niskie zużycie mocy świadczyło o tym, że nie stanowią żadnego zagrożenia. W domu istniało trochę urządzeń technicznych, jednostka kulinarna, kapsuła medyczna, dwa bardzo wyrafinowane replikatory, flota staromodnych botów-pokojówek i pięć smartkorów – tak dużych nigdy nie spotkał. Krótko mówiąc, idealne ustronie dla kogoś takiego jak Ozzie.

– Dobrze, możemy wychodzić – powiedział Aaron.

Ozzie popatrzył na niego.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– No dobra, ale uważaj na kałamarnice-mutanty w jeziorze.

– Zdaję sobie sprawę, że nasze najście nie jest mile widziane, ale zaraz sobie pójdziemy. – Aaron jednak nie był tego taki pewien. W tyle głowy formowały mu się myśli w oczekiwaniu na moment, gdy Inigo odzyska przytomność. Szybko spojrział na śpiącego mesjasza, który wkrótce miał się obudzić.

– I pamiętaj, nigdy nie wychodź z domu nocą – ostrzegł Ozzie tonem niewinnym, choć z odcieniem kpiny.

– Dlaczego?

– Wampiry.

Aaron już miał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie wiedział, do jakiego stopnia zachowanie Ozziego wynika z jego irytacji, że zakłócono mu pustelnicze życie. Jeśli to autentyczne, może stać się nieprzyjemnie. Aaron miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Ozzie wyszedł z kapsuły, a Aaron musiał się zająć dwoma nieprzytomnymi osobami, leżącymi na owalnej skórzanej kanapie z tyłu sekcji pasażerskiej.

– Świetnie załatwione – mruknął, podniósł Iniga i klasycznym

chwytym strażackim przerzucił go sobie przez plecy.

Miał ochotę dać Corrie-Lyn uspokajający zastrzyk, albo i dziesięć, ale Inigo byłby z tego niezadowolony. A dwie napastliwe żywe legendy o rozdętym ego zirytowane na niego... to byłoby zdecydowanie niekorzystne.

Aaron zaniósł Iniga przez wydmy, po szarych drewnianych schodach na werandę. Zrzucił bezwładne ciało na leżak i wrócił po Corrie-Lyn.

Ozzie gdzieś zniknął. Szybkie skanowanie połowe niskiego poziomu ujawniło, że jest na piętrze w największej sypialni. Z kobietą. Aaron natychmiast przerwał skanowanie; próbował stłumić uczucie konsternacji z powodu postawy i zachowania Ozziego. Nie spodziewał się u niego aż tak nieracjonalnego uporu.

Inigo jęknął i poruszył się. Biononiki wspomagały szybkie odzyskanie pełnej przytomności. Usiadł, rozejrzał się po zacienionej werandzie i przez chwilę wpatrywał się w widok starożytnego obcego miasta po drugiej stronie zatoki.

– A więc dotarliśmy.

– Dotarliśmy.

Inigo wpatrywał się w Corrie-Lyn na leżaku obok.

– Jak ona się czuje?

– Stabilnie. Powinna się obudzić za jakieś pół godziny. Ty masz przewagę dzięki biononice.

Inigo powoli skinął głową.

– Dotrzymałeś słowa. Dziękuję.

– Wiem, że ona mnie nienawidzi, ale naprawdę nie jestem czarnym charakterem. Mam zadanie do wykonania.

– To prawda. – Inigo powoli wyginał ręce i nogi, krzywiąc się z powodu chemicznie wywołanej sztywności. – A co robisz dla rozrywki?

– Nic.

Inigo znów spojrział na miasto.

– Wygląda na opuszczone.

– Jest opuszczone. Ozzie w pełni realizował swoją legendę żyjącego odludka.

– Wielka Pani, rzeczywiście go znalazłeś?

– Tak.

Inigo rozejrzał się. Był podekscytowany.

– Więc gdzie on jest?

Aaron uniósł palec, uciszając go. Jak na sygnał, przez otwarte okno sypialni dobiegły rytmiczne jęki kobiety.

– Aha. Jaki on jest?

– Nie był zadowolony z mojego widoku, a zwłaszcza z twojego.

– Taa. Nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy. – Inigo wstał ostrożnie i podszedł do Corrie-Lyn. Zapukał szybkie skanowanie polowe. – Jaki jest plan?

– Powiem ci, jak Ozzie zejdzie na dół.

– Niech będzie.

Inigo wszedł do domu i znalazł kuchnię. Na widok jednostki kulinarnej, stojącej pośród historycznych sprzętów kuchennych, wybuchnął entuzjazmem i zarzucił ją skomplikowanymi zleceniami. Kilka botów-pokojówek poszło za nim na werandę, niosąc współczesne potrawy. Posiłek dla dwojga.

W końcu Corrie-Lyn, klnąc i jęcząc, otrząsnęła się ze środka usypiającego. Inigo odczuł ulgę. Przez chwilę się obejmowali. Corrie-Lyn rzuciła Aaronowi wściekłe spojrzenie.

– Drań.

– Żyjemy. Chikoya nie mogą nas zlokalizować. A ja znalazłem Ozziego.

– Gdzie on jest?

– Na pewno zaraz do nas dołączy.

– Nie jest zadowolony – wyjaśnił Inigo.

– Nie on jeden – warknęła, ale złagodniała, gdy Inigo zaprowadził ją do zastawionego stołu. – No, no, prawdziwe jedzenie. – Zawahała się.

– Jest autentyczne – zapewnił ją Inigo.

Uśmiechnęła się i zaczęła pochłaniać przystawkę z keanfisza, zanurzając frędzle w sosie śliwkowo-radorowym. Aaron poszedł do kuchni i zamówił w jednostce kulinarnej swój posiłek, który jadł samotnie przy heblowanym sosnowym stole.

Minęła godzina, a Ozzie ciągle nie pojawił się na dole. Dawał do

zrozumienia, że ich pieprzy, ale według Aarona poszło to trochę za daleko. Inigo i Corrie-Lyn wypili drugą butelkę wina i teraz szczebiotali uszczęśliwieni na werandzie, trzymając się za ręce jak młodzi na pierwszej randce. Brakowało tylko świec i zmroku. Światło komory nie zmieniło się, odkąd tu przybyli.

Aaron poszedł na górę i uprzejmie zapukał do drzwi sypialni. Brak odpowiedzi. Ozzie umyślnie demonstrował opór, co było zrozumiałe, ale nieakceptowalne. Aaron wszedł do pokoju. Panowała tu ciemność: wielkie drewniane żaluzje były zamknięte, a ich szczebelki opuszczone na dół. Ozzie z kobietą leżeli przytuleni na łóżku. Kobieta spała. Barwne wzorce na jej kosmicznie czarnym ciele świeciły fosforyzująco, przesuwając się w rytm oddechu. Aaron zamarł na chwilę. Wzorce przypominały mu tatuaże OO, technikę tak dawną, że nawet nie rozumiał, skąd się u niego wzięło to wspomnienie. Ozzie uniósł głowę i spojrzał na Aarona.

– Co, facio?

– Im szybciej zacniemy, tym szybciej skończymy.

– To środek nocy, idioto.

Aaron wskazał na światło wlewające się przez otwarte drzwi.

– Taa, no i co? Na Octoronie światło nigdy nie zachodzi. Tutaj, stary, sam sobie wyznaczasz dni. A teraz jest moja noc. Spadaj.

– Nie. Zejdiesz na dół i powitasz Iniga.

– A jeśli nie, to co?

– To będę nieprzyjemny.

– Pieprzony faszysta – gderał Ozzie, spełzając z łóżka. – Utop się we własnym gównie. – Odnalazł jedwabny szlafrok i mocno obwiązał się paskiem. – Jestem przyzwyczajony do respektu w swoim własnym domu, do cholery. – Przeczesał palcami gęste, zmierzwiłone włosy.

– Rozumiem. Odwróć się, człowieku, na chwilę, a cały cholerny wszechświat popada w barbarzyństwo.

Ozzie wściekle na niego patrzył. Aarona to rzeczywiście zdenerwowało. Procedury podrzędne przygotowały się do aktywowania biononik obronnych.

– Nie posuwaj się za daleko, straszdyło! – warknął Ozzie.

– Przepraszam, ale nie ułatwiasz mi życia.

Ozzie ciężkim krokiem przeszedł obok niego na korytarz.

– Nie do tego mnie stworzono.

– A ponieważ cały czas panuje tu dzień, to nie muszę się obawiać wampirów? – powiedział Aaron do Ozziego, który już schodził na dół.

Inigo i Corrie-Lyn obejrzeni się za siebie, gdy Ozzie wszedł na werandę. Mieli miny skruszonych uczniów.

– To nie był mój pomysł, ale naprawdę bardzo mi przyjemnie, że... – zaczął Inigo, wstając.

– Nie pieprz, dupku. – Ozzie ciężko klapnął na krzesło. Podejrzliwie spojrzął na resztki jedzenia i wziął kiełbasę z tantreny. – Do rzeczy.

– Dobrze. W takim razie, jaki jest plan? – spytał Inigo Aarona.

Aaron usiadł przy stole. Usiłował robić wrażenie rozsądnego mediatora.

– Mój pierwotny cel polegał na tym, żeby zawieźć cię do Pustki – rzekł do Iniga. – Intencja była taka: ustanowić link z Sercem lub Jądrem, czymkolwiek jest to, co tam rozumnie steruje funkcjami wysokiego poziomu. Gdy ten kanał komunikacyjny zostanie otwarty, jest nadzieja na zainicjowanie negocjacji.

Ozzie wzruszył ramionami.

– Ma to trochę dupowatego sensu. Wiemy, że nie możemy tego zestrzelić ani rozwalić. Kto by negocjował?

– Nie mam pojęcia, jaką formę przybrałyby negocjacje. Moje zadanie to zapewnić link. Potem... się zorientuję...

– Jak, w imię Pani, miałbym rozmawiać z Sercem? – spytał Inigo z niedowierzaniem. – Ludzie, czy nie współdzieliliście moich snów? Docierasz do serca tylko wtedy, gdy osiągniesz spełnienie.

– Wiem, że istnieje sposób – odparł Aaron. – To znaczy jestem pewien, że mam procedury, które muszę stosować, gdy dotrzemy do wnętrza.

Inigo rozłożył ręce i opadł na krzesło nadąsany.

– A nie mówiłam! – rzekła Corrie-Lyn z wyższością. – Ta cała misja to kompletna starta czasu. Zamordowałeś setki ludzi na próżno.

– Więc po co tu przychodzisz, stary? – spytał Ozzie. – Co ja mam do tego? Każdy, kto mnie zna we Wspólnocie, wie, że już się takim gównem nie zajmuję. A twój szef mnie zna, i to aż za dobrze.

– Jak się spodziewam, możesz pomóc na kilka sposobów. Jeden to statek z napędem ultra, którym polecimy do Pustki.

– Facio, musisz nadażać. Dobra, po pierwsze nie mam ultranapędu. Jeśli będę potrzebował takiego gówienka... powiedzmy, że mam układ z ZAN. Prześle mi, jak poproszę. Ale już nie możemy prosić, co? Po drugie, twoja zastępczyni – pokazał palcem na Iniga – właśnie wyleciała.

– Pielgrzymka? – spytała Corrie-Lyn z trwogą w głosie.

– O tak, dziecinko. To straszne durnie, naprawdę.

– Skąd wiesz? – spytał Aaron.

– Myraian zbiera te obrzydliwe plotki ze Wspólnoty.

– Myraian? Ta pani na piętrze?

– Taaa. Pani na piętrze. A powiem wam za friko, że jest teraz strasznie na was wszystkich wkurzona, zwłaszcza za psucie przestrzeni mentalnej, więc uważajcie, co mówicie. Mam prywatny link transwymiarowy ze Szpikulca do Wspólnoty. Więc nawet jak będziecie poza zasięgiem mojej gajASFery, nadal możecie skapować, co robi Araminta.

Inigo zignorował drwinę na temat gajASFery.

– Droga do Pustki zajmie im miesiące, więc...

Przerwał mu ostry śmiech Ozziego.

– Serio, stary, musisz nadażać. Zamierzam otworzyć sieć domową, żebyś miał dostęp. Nadgoń, a my znów pogadamy rano. No wiesz, zanim odejdziesz w obłoku rozpacz i porażki.

Zostawił ich na werandzie i poszedł na górę. W ostatniej chwili odrobinę otworzył swoje gajafejsy.

Inigo nie znosił arogancji, którą tamten emanował. Graniczyła z poczuciem wyższości. Standardowe ikony komunikacyjne wsunęły się do jego egzowizji, gdy węzły domu zaakceptowały jego u-adiunkta.

– Lepiej sprawdźmy, co się dzieje – powiedział.

– Dobrze. – Widać było, że Aaron jest wyraźnie zmartwiony,

mimo że jego gajafejsy niczego nie przekazywały.

Następnego ranka Ozzie zszedł na śniadanie w nieco lepszym nastroju. Gdy się tylko obudził, celowo wszystko opóźniał. Wraz z Myraian rzucili się na siebie jak poprzedniej nocy, a potem Ozzie drzemał przez rozkoszną godzinę. Potem prysznic; nie jakieś nowoczesne sporowe dziadostwo, które zlepiało mu włosy, ale prawdziwa gorąca woda i pachnący żel. Myraian nie przyłączyła się do niego, czego żałował, ale nie można mieć w życiu wszystkiego – w zasadzie można, jeśli żyjesz tak długo jak on, ale z drugiej strony uczysz się nie wymagać od ludzi zbyt wiele. Stanowili element przejściowy, bez całego tego stresu i napięcia, jakie każdy mimowolnie inwestuje w związek. Dużo czasu to trwało, nim zrozumiał, dlaczego kobiety zostawały z nim najwyżej kilka dekad, więc teraz wiedział, jak należy je właściwie traktować. Albo przynajmniej udawać, że je właściwie traktuje.

Dzięki resekwencjonowaniu Myraian wróciła do wieku około dwudziestu pięciu lat, potem podrasowała rozmaite chromosomy, by uzyskać wspaniałą figurę. Ponadto jej umysł prawie cały czas tworzył fantazje idealnego świata. To wszystko sprawiało, że Ozzie nie mógł się jej oprzeć. Niektórych rzeczy nie jest w stanie pojąć, ale na tym etapie mojego życia jest dla mnie idealna.

Teraz, wychodząc wreszcie z łazienki, ubrany w szorty i T-shirt, Ozzie z przyjemnością na nią patrzył. Miała na sobie cienką, długą do kostek spódnicę z niebieskiej bawełny i czarną siatkową koszulę – ponieważ skóra też była ciemna, wydawało się, że Myraian niczego na sobie nie ma. Skóroświeczne wzory przeświecały przez cienką tkaninę, tworząc dziwne dyfuzyjne zmarszczki.

– Fajna kombinacja – powiedział. – Coś jak połączenie Matki Ziemi z dominą.

– Dziękuję. – Potrząsnęła włosami. Unoszone przez pierzaste kłaczki długie pukle w kolorach blond, kasztanu i różu falowały w zwolnionym rytmie, jakby pod wodą.

Nie chciał nic tu dodawać, choć często strasznie marudziła.

– Chodź, zobaczymy, jak ronią łyzy do filiżanek z herbatą.

Wydeła usta.

– Zostań na górze. Powiem im, żeby nie gnębili mojego małego Ozziego.

– To nie są mili ludzie – powtórzył, mając nadzieję, że tym razem zapadnie jej to w pamięć. – Nie pozwól, żeby cię wykurzyli. I naprawdę, człowieku, nie zezłość ich. Nie chcę tego.

– Zjem ich, mniam, mniam – obiecała.

– Taaa.

Okay, może u niej to jednak nie umysł jest najbardziej atrakcyjny.

Zastał Aarona, Iniga i Corrie-Lyn w salonie. Rozwaleni na kanapach, lekko oszołomieni, przypominali mu paczkę studentów po całonocnej imprezie. Pamiętał to z CalTechu. Brakowało tylko pudełek po pizzy. Spojrzeli na Myraian, ale nikt się nie odezwał. Ozziego nie zdziwiło to, że pierwsza zaatakowała go Corrie-Lyn. Przypominała mu kilka jego byłych żon.

– Wiedziałeś! Wiedziałeś, że umrzesz podczas ekspansji, i nic nie zrobiłeś, żeby nam pomóc – rzuciła ostro.

– Normalnie na śniadanie biorę sok pomarańczowy, kawę i tost. Ludzie, najtrudniej porzucić stare zwyczaje, co nie? – Jego uadiunkt wydał instrukcje jednostce kulinarnej.

Corrie-Lyn tylko groźnie warknęła.

– Nie rozumiesz tego – powiedział jej Ozzie. – Nie rozumiesz mnie. Rany, mam ponad półtora tysiąca lat. Wszystko wiedziałem, dosłownie wszystko! Przeżyję perspektywę śmierci.

– A reszta Galaktyki? Ci wszyscy ludzie, którzy nie będą mieli szansy żyć tak długo jak ty? A dzieci?

– No, no, człowieku, wielka zmiana u jednego z najbardziej szczerych i oddanych apostołów Żywego Snu.

– Kleryk Radna – powiedziała Myraian nieobecny głosem. Jej pierzaste włosy unosiły się leniwie. – Kochanka Śniącego. Główny oskarżyciel w trybunale Edgemona do spraw herezji.

– To nie było... – Wściekła Corrie-Lyn zamilkła.

– Jeśli tak się martwicie tym, co sami na nas sprowadziliście, to dlaczego nie pognacie do waszej ukochanej Pustki, by tam szukać bezpieczeństwa? – prowokował ich Ozzie.

– Napawaj się swoim zwycięstwem – odparł Inigo spokojnie. – Pustka nie jest naszym zbawieniem. Myliłem się, uważając ją za symbol osiągalnej nirwany, życia doskonałego. Ani jedno, ani drugie. Nie. Miałem. Racji.

– Bzdury – mruknął Ozzie. Nieczęsto odbierało mu mowę, ale teraz to się stało, gdy usłyszał, jak mesjasz wyrzeka się dzieła swego życia. – Przygotuję wielki kubek kawy. Najlepiej będzie, jak zjemy razem śniadanie.

– Wszyscy dość dobrze rozumiemy zagrożenie ze strony Pustki – stwierdził Aaron, gdy boty-pokojówki, ślizgając się wokół stołu w kuchni, rozstawiały talerze i filiżanki. – Interesuje mnie, jak postrzegasz to, czym stała się Ilanthe. To może być istotny czynnik w ekspansji.

– Była przywódcą Frakcji Progresywiwistów. – Ozzie wziął od bota szklankę z chłodnym sokiem pomarańczowym. – Pierwotny pomysł polegał na tym, że oni wzniosą się do stanu postfizycznego dzięki Pustce. Tylko że... – podrapał się po głowie – Frakcja Progresywiwistów została uwięziona za barierą solarną wraz z resztą ZAN, nie mogą więc przeprowadzić całej koncepcji fuzji. A silfeński Ostrów Matki martwi się o Ilanthe, co dla mnie jest nowością. Nic nie potrafiło wkurzyć tej łagodnej bogini. Do teraz. Wyciągnijcie wnioski sami.

– Silfeński Ostrów Matki? – spytała Corrie-Lyn ostrożnie.

– Jasne, mała, jestem przyjacielem Silfenów. – Nie chciał, by zabrzmiało w tym samozadowolenie, wystarczył mu ton wyższości. – Wiem, co się dzieje w Galaktyce.

– Ozzie jest ojcem umysłu naszego gatunku – stwierdziła Myraian. Jej skóroświetność błyszczała dumnym jasnym fioletem.

Zapadła krótka, uprzejma cisza.

– Ze wszystkich wydarzeń najbardziej niepokoi mnie jej zaangażowanie – rzekł Inigo. – To było nieuniknione, że Żywy Sen zostanie skażony i zmanipulowany, gdy go przekażę Radzie

Kleryków. Właśnie dlatego opuściłem ten ruch. Ale nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego. Ultranaędy, pola siłowe, których nie da się sforsować... to nie tak miało być.

Aaron zwrócił się do Ozziego.

– Czy wiesz coś o tych technologiach?

– Nie moja dziedzina – odparł cicho Ozzie. Czekał.

– Kiedyś była – dobiegł głos ze wszystkich kierunków. Ozzie westchnął z irytacją. To był jego własny głos.

– Zamknij się, do cholery – powiedział głosowi.

– Chciałbyś, co? Nikt nie może uciec przed własną przeszłością. Kiedyś go dopadnie, faaacio.

– Co to jest? – spytał Aaron.

– Mówiłem ci, facio, jestem starożytny – odparł z irytacją Ozzie.

– Ludzkich ciał nie stworzono z myślą o tak długim życiu. Zauważyłeś frazę „z myślą”? Dawno temu w pierwszej epoce Wspólnoty, gdy mieliśmy do dyspozycji tylko rejuwenację, zwykle redagowaliśmy wspomnienia i zachowywaliśmy te nieważne. Potem przyszły spacje pamięci i chipy wzbogacenia neuronalnego. Biononiki niesamowicie zwiększyły pojemność nowej pamięci. Poza tym jest zawsze sieć rozszerzonej mentalności. – Wzniósł oczy i wpatrywał się gniewnie w przypadkowy punkt na suficie. – O ile chcesz nosić przy sobie ten cały chłam zatruwający twoje ciało. Ja nie chcę. Już nie.

– Więc mnie wyrzucił – rzekł głos. – Dosłownie. Jestem Ozzie. Rzeczywisty Ozzie.

– Jesteś cholerny mój-mózg-w-słouju i nie zapominaj o tym – powiedział Ozzie ze złością.

– Serio – mówił głos. – Ja jestem półtora tysiąca lat wspomnień, a ty co? Dwadzieścia? Który z nich jest najbardziej realny?

– Stary, tylko jeden z nas zachował osobowość! – krzyknął Ozzie w odpowiedzi. – Ja jestem biochemiczna, hormonalna, niezdarna, skurwysyńska dusza ludzka. A ty hardwarowa kopiarka zamrożona w przeszłości.

– Gardłuj do woli, ale to ja mam wiedzę i umiejętności, których potrzebują ci wspaniali i autentycznie zrozpaczeni ludzie. Pozbyłeś się całej poważnej fizyki, matematyki i bzdetów, które

zapychały ci twój mały, mięsny mózg. Przyznaj się, powiedz im to. Bądź mężczyzną. Na ile możesz nim być, skoro tyle ci brakuje.

– Ozziemu niczego nie brakuje – powiedziała Myraian cicho. – Oczyszczył się na poziomie duchowym, by znów stać się kompletnym. Ty jesteś skażeniem, które go wstrzymuje, nie pozwala rozwinąć skrzydeł wewnętrznemu aniołowi. Jest czysty już od wielu dekad i dzięki temu rozwinął się. – Uśmiechnęła się szeroko.

Ozzie dostrzegł, jak zwięzają się oczy Aarona, gdy ten zauważył małe kły, które odsłonił jej uśmiech pod każdym innym względem niebiański.

Aaron mrugnął i położył ręce na stole.

– Dobrze. Proszę, powiedz mi, że możesz uzyskać dostęp i przejąć tę wiedzę, której potrzebujesz, od... od siebie.

– Od mojego-mózgu-w-słoju? Oczywiście. Zachowałem autonomiczną integrację od smartkoru, który włożyłem w... w siebie.

Inigo uśmiechnął się do Ozziego z rozbawieniem. Ale i z szacunkiem.

– Jestem pewien, że możesz. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: jesteśmy ty, ja i on. – Wskazał palcem na Aarona. – Smartkor mądrała i dość dobry replikator. Nawet gdybyśmy wspólnie byli nie wiem jak dobrzy, sami o własnych siłach nie stworzymy broni, która by rozwaliła barierę solarną, ani ultranapędu, który by nas dowiózł do Pustki, zanim Araminta tam doleci. Nie wspominamy nawet o tej Ilanthe.

– Zgoda, stary. Ale po stronie korzyści: mogę was stąd bezpiecznie wydostać. Qatux ma wobec mnie zobowiązania. „Wysoki Anioł” wstąpi tu po drodze i zabierze nas do Andromedy czy gdzie tam on leci.

– Nie. Nie porzuca się nadziei po półgodzinie – rzekł Aaron. – I chyba nie muszę nawet nikomu grozić bronią, żeby sprawa ruszyła z miejsca. Muszę?

– Nie. – Inigo westchnął.

– Nasz cel to w jakiś sposób połączyć cię z Sercem Pustki – powiedział Aaron. – Teraz już nie jestem wybitnym samo-

myślicielem, ale za to wy jesteście najbardziej inteligentnymi ludźmi o niesamowitych talentach. Coś wymyślicie.

– Słusznie. Ozzie, a twoje zjawisko telepatii? – spytał Inigo. – Czy w ten sposób możemy rozmawiać z Pustką?

Ozzie odsunął pustą szklanekę i sięgnął po talerz z tostem.

– Dobra, wyjaśnię, jak to działa. Gajasfera to nośnik: przekazujesz swoje myśli na zewnątrz przez fejsy, a one mkną przez przestrzeń, żeby się połączyć z fejsami innych osób. Gniazda konfluencyjne to po prostu silne wzmacniacze i stacje przekaźnikowe, dzięki nim wszystko staje się „polem”. Wprawdzie to rozległe pole, ale gdy wyjdiesz poza Wspólnotę, pozostajesz sam. Są również inne, podobne pola w kosmosie, największe z nich to wspólnota silfenów. Ludzie, to naprawę rozciąga się na całą Galaktykę. Ja je odbieram. Ale nie jest tak gęste jak gajasfera, to się bierze z psychiki tego gatunku. Superelfy nie mają tej samej co ludzie nieodpartej ochoty na przekazywanie wszystkich nudnych bredni.

– Więc co? – spytał Aaron.

– Nie możemy wykorzystać gajasfery, ona się nie może rozciągnąć aż do centrum Galaktyki.

– Niezupełnie – wtrąciła Corrie-Lyn. – Flota Pielgrzymki rozrzuci po drodze ciąg gniazd konfluencyjnych. Zawsze taki był plan i Ethan tego elementu nie zmieni. Odegrają taką rolę dla gajasfery jak flotowe przekaźniki transwymiarowe dla Stacji Centurion. Chodzi o to, by otworzyć do Pustki stały kanał snów, żeby wierni, którzy nie lecą teraz statkami, mogli być świadkami, jak inni osiągają spełnienie, a potem za nimi pośpieszyć.

– A gdy tylko spróbujemy tego użyć, Ethan to zamknie – rzekł Inigo.

– W ostateczności – mówiła Corrie-Lyn. – Włamanie może trwać odpowiednio długo, zwłaszcza jeśli ty to zrobisz, prawdziwy oryginalny Śpiący. Ciągłe wywierasz największy ze wszystkich wpływ na ten ruch.

– Wątpię. Przecież pojawiła się Araminta – stwierdził Inigo.

– Tak, dobrze wiedzieć – przyznał Ozzie. – Teraz o przestrzeni mentalnej. To coś innego. Zmieniłem czasoprzestrzenną

strukturę kwantową, żeby mogła przewodzić myśl, tak jak powietrze przewodzi głos. Rzeczywiście, najlepiej to działa z myślami ludzi, z nimi na początku pracowałem, żeby to zsynchronizować. Obcy mają świadomość, że przestrzeń mentalna istnieje, ale dla nich jest ona jak wspólnota silfenów dla ludzi: mglista. Chyba że jesteś cholernym chikoya, wtedy uważasz, że to jest brama do myśli twoich przodków. Co takiego jest w kulturze ptakowatych, że czczą oni swoich przodków? Minęło już sto tysięcy lat od czasu, gdy ich skrzydła były na tyle duże, że mogły ich faktycznie unosić w powietrzu, a mimo to swoje habitaty w kosmosie zawsze budują tak, żeby panowało tam zero g, żeby mogli trzepotać skrzydłami z gracją kury spadającej z muru. Nawet tu żyją w komorze niskiej grawitacji.

- W końcu doznają oświecenia - powiedziała Myraian. - Zaslugujesz na to. Twój galaktyczny sen wszystkich nas wyprowadzi z ciemności.

- Dzięki, dziecinko. Chodziło o to, by mieć coś, co pozwoli ludziom na współdzielenie myśli w otwarty sposób. Gniazda konfluencyjne zatruwają czystość myśli, dopuszczają deformacje, myśli stronnicze, uwypuklają to, czego chciał autor, wypaczają całą prawdę.

- Czy musimy się tym teraz zajmować? - spytała Corrie-Lyn z pozorną beztroską.

- Tylko wyjaśniam motywację, żebyście zrozumieli. Z tego powodu zbudowałem przestrzeń mentalną. Ale z oboma konstruktami jest ten sam problem: zasięg. Mówiąc otwarcie: potrzebują mocy, by rozciągać się aż tak daleko.

- Co zasila przestrzeń mentalną? - spytał Inigo.

Ozzie skrzywił się.

- No, więc coś jakby dostosowałem mechanizm kotwiczący Szpikulca, żeby rozprzestrzeniał zmianę w czasoprzestrzeni, dzięki czemu przestrzeń mentalna działa. Istnieje urządzenie, w istocie rodzaj pasożyta. Ale jego emisje nie są kierunkowe. Nie możesz puścić wiązki jak laserem. Cała koncepcja przestrzeni mentalnej polegała na tym, by objąć wszystkie istoty rozumne w galaktyce.

- Ale nie objęła - stwierdził szorstko Aaron. - Obcy mają problem z używaniem przestrzeni mentalnej.

- Taa, facio, ale to jest dopiero pierwszy model. Muszę go trochę podregulować, i tyle. Teoria działa.

- Miał na to dekady - odezwał się głos z domowych smartkorów. - Od kiedy skonstruowaliśmy modyfikator kotwicy, wałęsa się, próbując odszukać swojego wewnętrznego głupka. Zero postępów.

- Wal się! - warknął Ozzie. - Eksperymentowanie z umysłami obcych może ci sprawiać frajdę, ale mnie to już nie bawi.

- Nie musisz z niczym eksperymentować. Po prostu byłeś przestraszony, i to wszystko. Przestraszony, że inne umysły i egzotyczne myśli znajdą sposób, by skorumpować przestrzeń mentalną, i stanie się to, co z gajaserą.

- Obserwuję psychospołeczne skutki wpływu przestrzeni mentalnej na kultury obcych i ty cholernie dobrze o tym wiesz. Prawdziwy sen galaktyczny, tego się nie robi pośpiesznie. Poprzednio popełniłem ten błąd.

- A rozmaici dziwacy, którzy szukają schronienia w Szpikulcu, są doskonałymi przedstawicielami swoich społeczeństw.

- Cholera, byłem kiedyś dogmatykiem.

- Byłeś kiedyś uczciwy wobec siebie. Cholernie dobrze wiesz, że szamotałeś się ze sobą, czy masz prawo narzucić przestrzeń mentalną gatunkom, które zupełnie nie rozumieją swojego miejsca we wszechświecie. To imperializm kulturowy w najgorszej postaci. Nasz sposób myślenia jest lepszy niż wasz, więc dołączcie do nas.

- Powszechne zrozumienie mogłoby zapobiec Pielgrzymce.

- Czy istnieje sposób zwiększenia mocy kotwicy? - spytał Inigo.

- Może przynajmniej czasowo.

- Nie ma mowy, stary. I nie potrzebuję potwierdzenia od mojego-mózgu-w-słóju. Jesteśmy teraz na granicy możliwości kotwicy. Do diabła, przecież zakres przestrzeni mentalnej to ponad dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych, to naprawdę cholernie fenomenalne. Zresztą nie wiadomo, czy Serce będzie pasować do przestrzeni mentalnej. - Upił łyk stygnącej kawy. -

Więc zostajesz nam ty.

- Ja? - spytał Inigo z powątpiewaniem.

- Ty śniłeś Pustkę z odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych. Bez wzmacniacza obwodów. Masz wbudowane połączenie. Jak to zrobiłeś?

- Nie wiem, nigdy tego nie rozumiałem. Najlepszym wyjaśnieniem, jakie kiedykolwiek słyszałem, jest to, że ja i Edeard jesteśmy w jakiś sposób spokrewnieni. Może, ale nigdy się tego nie dowiemy. Łączyłem się z jakimś człowiekiem. W Pustce nie pozostał już żaden człowiek. Władca Niebios bardzo wyraźnie to oznajmił, gdy Justine go spytała.

- Masz na myśli Władcę Niebios takiego jak ten, do którego Araminta się zwraca? Ona to potrafi. Czy ty kiedyś próbowałeś?

- Ona ma jakieś zaklęcie, ale jest ono inne od mojego.

- Czy próbowałeś? - powtórzył Ozzie z naciskiem.

- Nie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zwrócił się do Aarona. - A ty? Tak ci zależy na tym linku. Czy brałeś pod uwagę, żeby poszukać Gore'a? Trzeci Śniący, Boże, zmiłuj się. On ma działające połączenie z Justine, która jest dokładnie tam, gdzie chcesz.

- To poza... Nie brałem, to znaczy nie jestem świadomy żadnych sytuacji, w których miałbym kontaktować się z Gore'em.

- Ale są nowe okoliczności - powiedziała Corrie-Lyn kosztownie.

- Nie możesz myśleć samodzielnie. A Pani jedna wie, że nikt inny nie ma nic do powiedzenia w twoim wszechświecie.

- Aha, wielkie dzięki za wczorajszy spektakl - rzekł Ozzie. - Faktycznie macie już dwie sprawdzone metody przekazania waszego głosu do Pustki.

- Czy możesz dotrzeć do Władcy Niebios? - spytał Aaron Iniga.

- Śnienie to nie jest funkcja, którą się uruchamia naciśnięciem ikony „wykonaj”. Muszę przyznać, że najwyraźniej Araminta ma znacznie więcej ode mnie kontroli nad tą zdolnością.

- Żaden Władca Niebios nigdy nie poszedłby do Serca, nawet dla Śniącego - stwierdziła Corrie-Lyn. - Wiemy to z całą pewnością. Oni biorą tylko tych, którzy doznali spełnienia.

- Wątpię, czy on w ogóle zrozumiałby koncepcję przemawiania

do Serca w naszym imieniu – rzekł Inigo.

– Więc najlepiej będzie, jeśli zwiejesz z powrotem do Wspólnoty i poprosisz Gore’a o pomoc – zauważył Ozzie. – On działał tak, jakby wiedział, co robi.

– Moja misja polega na tym, by doprowadzić Iniga fizycznie do Pustki – oznajmił Aaron. – W ostateczności dopuszczalny jest kontakt mentalny, o ile umożliwi to przejście do następnego etapu. Ja od tej linii nie odstępę.

– Następnego etapu? Jakiego? – Ozzie był zafascynowany.

Aaron myślał przez chwilę z opuszczoną głową. Najwyraźniej czuł zakłopotanie z jakiegoś powodu.

– Gdy nawiążemy kontakt, będę wiedział, co robić.

– Facio, jeśli mam pomóc, muszę wiedzieć coś więcej. Słuchaj, mam tu w piwnicy naprawdę bardzo zaawansowany moduł medyczny. Co ty na to, żebyśmy cię do niego wsadzili i nieco odblokowali neuralnie.

– Nie.

Ozzie chrząknął z dezaprobatą. Nie był zdziwiony, ale zwariowane mentalne zaprogramowanie Aarona zaczynało go wkurzać.

– Do jakiej części Pustki masz mnie zaprowadzić? – spytał Inigo.

– Do Makkathranu – odparł Aaron bez wahania.

– Ciekawe. Nie do Gwiazdokrażcy. Czy ten cel nadal pozostaje aktualny, skoro wiemy, że Querencia nie jest już zasiedlona przez ludzi?

– Tak, tak mi się wydaje.

– Nigdy się nie interesowałem twoimi snami – rzekł Ozzie. – Co takiego w Makkthranie może nas skontaktować z Sercem?

– Nic – stwierdził Inigo zaintrygowany.

– Ponieważ nie mamy do dyspozycji statku z ultranapędem, a przestrzeń mentalna nie sięga stąd do Pustki, czy możliwe jest takie przesunięcie Szpikulca, aż znajdziemy się w zasięgu? – spytał Aaron.

Myraian zachichotała jak szalona.

– Pieprzysz, kpisz sobie ze mnie! – wrzasnął Ozzie.

– Czyli mechanizm kotwiczący nie jest napędem szybszym od

światła?

– Nie.

– To mało prawdopodobne, ale nie mamy pewności – odezwał się smartkor domu.

Aaron spojrział na Ozziego lekko zdziwiony.

– No, tak – burknął Ozzie. – Możemy zbadać niezmapowane funkcje, rozgryźć je i kazać mu lecieć na drugi kraniec Galaktyki. I to wszystko w tydzień. Facio, musisz pokonać swoją myślową blokadę i zacząć myśleć samodzielnie. Mechanizm kotwiczący Szpikulca jest większy niż cała komora, a to tylko ten kawałek, który znajduje się w czasoprzestrzeni.

– Muszę mieć pewność, że bierzesz pod uwagę wszystkie opcje – oznajmił Aaron.

– Traktuj to dosłownie. Nie zamierzam grzebać w mechanizmie kotwiczącym. Nie ma mowy, nie ma jak.

– Jeśli w ten sposób będziemy mogli się połączyć z Sercem, to to musi być zrobione.

– Facio, tam jest cały wszechświat możliwości. Przyjdź kiedyś i poeksploruj.

– Czy pomożesz nam znaleźć sposób połączenia się z Sercem? – spytał Inigo.

Przez dłuższą chwilę Ozzie przyglądał się badawczo twarzy eksmesjasza. Próbował coś z niej wyczytać, ale poniósł klęskę.

– Dobra, ja tego nie łapię. Miałem swoje wątpliwości, schrzaniłem kawał życia, więc od czasu do czasu stać mnie na to, żeby się do nich przyznać. Ale to? Kurwa mać, stary, co tu się stało? Głosiłeś ewangelię na tyle mocną, że przyciągnęła miliardy do waszej sprawy. Co się stało, że odwróciłeś się do nich plecami? Edeard to kawał kutasa, jasne, ale na końcu dobrze się dla niego skończyło. To moralne przesłanie, jakie rozpowszechniają wszystkie religie, standardowy slogan. Ludzkość triumfuje nad przeciwnościami losu. Dorzuć po drodze trochę cierpienia i ludzie dochodzą na sam szczyt. A twój bohater wygrał.

– Nie, nie wygrał – rzekł Inigo ze smutkiem.

– W porządku, kłamałem. Czasami rzucałem okiem na twoje

sny. Ostatni: człowieku, on poszedł do Serca, wiedząc, że świat, który za sobą zostawia, jest najlepszym, jaki można stworzyć. Ponadto dał każdemu szansę doskonalenia indywidualnego życia, tak jak on to zrobił. Czy to nie jest całkowita bezinteresowność? Gdyby tu żył trzy tysiące lat temu, zostałby prawdziwym świętym albo czymś gorszym.

– Doskonałość – oznajmił Inigo – to coś, do czego powinniśmy dążyć, ale nigdy nie powinniśmy jej osiągnąć. Nie ma czegoś takiego jak utopia. Ze swej natury życie to walka. Jeśli to odbierzesz, odbierzesz cel istnienia.

– Co się stało? – spytała błagalnie Corrie-Lyn. – Inigo, proszę, o czym śniłeś, gdy Edeard zaakceptował przewodnictwo do Serca? Powiedz nam. Powiedz mi. Ufam ci co do tego. Zawsze będę ufała. Zasługuję na to, by to wiedzieć.

– Śniłem o doskonałości.

Ostatni sen Iniga

Chcę latać.

Mój umysł podnosi me ciało. Tak oto lecę z wyciągniętymi ramionami, by czuć na twarzy wiatr. To przyjemne. Otwieram oczy. Trzydzieści metrów pode mną leży Wielki Kanał Główny. Jego długie koryto wypełnia woda ciemna, chłodna i kojąca. Światło słoneczne faluje na powierzchni kanału. W tej elegancji klasyczne gondole są drzazgami czerni. Pojawiły się tu tylko z tej okazji. Harmonijna pieśń gondolierów wznosi się w powietrze, słodka melodia, przywołuje starsze, wzruszające czasy.

Cześć.

Czczymy naszego wielkiego przodka, naszego Stąpającego po Wodzie. Tego dnia, tysiąc lat temu wznosił się do Serca, które wzywa nas wszystkich. Zatem my wszyscy, którzy pozostajemy na tym błogosławionym świecie, zbieramy się w tym starożytnym miejscu, by złożyć mu hołd.

Duma.

Jestem dumna, że jestem bezpośrednim potomkiem Stąpającego po Wodzie. Moje istnienie zawdzięczam jego bliźniaczkom. Radość czuję, bo miały pełne życie. Wnuczka ich wnuka to moja matka. Z tego czerpię jego szlachetność, jego siłę.

Moja rodzina.

Moja rodzina leci ze mną. Cała nasza siódemka unosi się nad starożytnymi budynkami tego szacownego miasta. Śmiejąc się, rozkoszując widokiem takiego cudu. Głęboko, głęboko pod nami umysł miasta drzemie ku krańcowi czasu. Smutek promieniuje z

jego powolnych snów. My też czujemy smutek, gdyż poddało się swemu zagubionemu przeznaczeniu. Okazujemy szacunek, bo miasto ma do tego prawo. Choć obecnie wszyscy mamy siłę, nikt miasta nie budzi.

Nasze życie.

Spędzamy życie w domu na zboczach nad morzem w dalekim Tolonanie. Wyspie odkrytej przez Stąpającego po Wodzie tak dawno temu. Miejsce pełne bujnej roślinności, ciepłe i piękne. Drzewa rozkwitają tu i kwitną przez cały rok, ich zapach przesycy powietrze. Winnice i sady nadal wspaniale rosną na tarasowatych zboczach, dając obfite plony. Żyjemy wedle tradycji, upamiętniając naszych przodków i ich walkę, by przynieść nam światło naszych dni. Owoce są soczyste i pachnące, wino jest słodkie. Nasze brzuchy napełniają się każdego dnia. Niczego nam nie brakuje. Doświadczamy wszystkiego. Za to wznosimy dzięki.

Wieże.

Jak piękne są szczyty wież w Eyrie, wysokie, a jednak zakrzywiające się z egzotycznym wdziękiem i stylem. Lecimy wokół nich jak śmigłe ptaki, kluczymy wśród iglic platformy z euforycznym śmiechem. A potem, nagle, skręcamy w górę, jak skręca esencja wstępujących do tych, którzy prowadzą. Co za emocje, jakie rozkoszne upojenie.

Moje wybory.

Rozpalać dar myślenia i rozważać bogaty wybór możliwości i szans, jakie przynosi rozumność. Nad wieloma rzeczami zastanawiałam się w czasie swego istnienia. Wiele widoków obejrzałam na tym świecie. Mieszkałam na wszystkich kontynentach. Próbowałam wszystkich jadalnych roślin, ściagałam się z szybkołisami, fruwałam z orłami, nurkowałam z

walrybami. Wszystkie pory roku przeżyłam i podziwiałam za zmiany, które przynoszą. Nauczyłam się doceniać przyrodę, a przez nią życie we wszelkich jego odmianach.

Mój świat.

Znam go całkowicie. Wymieniałam myśli ze wszystkimi dziesięcioma tysiącami z nas, którzy pozostaliśmy. Podziwialiśmy i dyskutowaliśmy to, co znamy, i to, do czego aspirujemy. Przebywałam we wzlotach fantazji bardziej pomysłowych niż to, co wymyśliłam sama. Pokazywałam miejsca, które nie istnieją w rzeczywistości, wywoływałam je z fałd mroku, który czai się pod naszym wszechświatem, i upiększałam je swoją fantazją. Słuchałam mrocznych ech przeszłości, które napełniły mnie trwogą. Kapałam się we łzach triumfu i rozkoszy, która powstaje z przeciwności losu. Napełniłam swą głowę wesołymi pieśniami sukcesu.

Przybywają.

Ci, którzy prowadzą, spadają z nieba w przypływie iskrzącego światła prześwietlającego mą własną czaszkę. Wraz z rodziną mknę w dół, gnamy po wąskich, poszarpanych ulicach Makkathranu. Szybko, tak szybko, że mury, okna i dachy zlewają się w jedną plamę barwy. Wywołuję skrzydła – wypływają z mych ramion i obracają się i skręcają w oszalamiającym pędzie powietrza. Me ciało obraca się i kręci z elegancją stworzonych do życia w powietrzu. Pierwszy raz od ponad wieku ulice i place rozbrzmiewają dźwiękami – naszymi okrzykami podziwu.

Nasze powitanie.

Lecimy nad morzem za miejskim portem. Zniżamy się i lawirujemy wokół armady eleganckich jachtów, które dowiozły nas do tego miejsca i o tym czasie ze wszystkich stron świata. Wielkie białe żagle wyginają się w łagodnej bryzie, dokładnie jak

robiły to za dawnych czasów. Dla sztuki, dla pełni formy. Takie przemierzające ocean piękności zasługują na coś więcej niż prosta funkcjonalność i tak właśnie jest. Jacht naszej rodziny potrzebuje jedynie mojej woli, by go napędzać, a jednak wydęte żagle przynoszą umysłowi wygodę i poczucie słuszności, odprężają jak dziecięca zabawka.

Zgromadzenie.

Wiatr dmie przed tymi, którzy nas prowadzą, gdy przemierzają powietrzną drogę, którą przemierzali już wielokrotnie wcześniej. Przynoszą falujące półcienie i żywe gwiazdne mrugania, by oszołomić i zmylić oczy, pchają swawolnie jachty po narowistych wodach. A my koziołkujemy swawolnie w ich kilwaterze. Nasze skrzydła łopoczą z powolnym wdziękiem. Skupiamy się razem i wiwatujemy umysłami i głosami. I te krzyki gubią się w wiecznej wspaniałości. Zgoda nie może trwać i wkrótce się rozdzielamy. Żegnam się z czwórką swoich krewnych, którzy dokonali swego życia tutaj na planecie obfitości i obietnicy. Żegnam się ze wspaniałym tysiącem, który ma złożyć ostateczny hołd w tym dniu, w tej chwili.

Odejście.

Zimne iskrzące światło wypływa z wież Eyrie, wielkie płomienie opalescencji, wyciągające się tęsknie, by pogłaskać wiecznozmiennie kryształowe ciała tych, którzy prowadzą. W rozbłysk wpływa esencja tych, którzy wzniosą się do Serca Pustki. Teraz, jak zawsze, moc wież wypycha ich w drogę, kiedy ich ciała rozkwitają w proch. A potem, migając, wznoszą się, by zamieszkać jako kolorowe cienie wśród fantastycznej geometrii kryształu. Odeszli do nagrody przeznaczenia.

Obniżam się.

Delikatnie, delikatnie, rozpuszczam swe skrzydła w nicość.

Hoduję ubranie wokół swej postaci. Łąduję w Złotym Parku i obserwuję umysłem i wzrokiem, jak ci, którzy prowadzą, pędzą z powrotem w pustą otchłań przestrzeni, która leży pomiędzy nami a mgławicami tego wszechświata. Jestem zadowolona, że oto następní z nas odeszli, by dołączyć do naszych przodków i wszystkich tych, którzy żyli wewnątrz tej wiecznej Pustki. Pustki dostatecznie łaskawej, by dostarczyć nam ciepłego, przytulnego domu wśród surowego chaosu płonącego na zewnątrz jej granicy. Jestem smutna, że teraz pozostało nas tak niewiele. Ale nie zniechęcona.

To, co pozostaje.

Jest mało. Nie urodzę już więcej dzieci. Moja dwójka pozostałych tu jeszcze dzieci też nie. Nasze czasy się skończyły. Każdy nowy umysł narodzony w tym świecie będzie się tylko dowiadywał tego, czego my już doświadczyliśmy. Jesteśmy teraz historią. Jesteśmy szczytową formą życia.

Tożsamość.

Komórki, z których się składam, bardzo pragną trwać dalej. Takie pragnienia są w nie wbudowane. One są mną, oplecione moją esencją. Uznaję, że to słuszne, gdyż zaprzeczenie byłoby odrzuceniem siebie. Cel wzrasta z wielu źródeł. Żadne nie powinno być ignorowane. Będę żyła jeszcze przez jakiś czas. Ale nie wiecznie.

Moja podróż.

Pozostała mi teraz tylko jedna podróż. Idę przez Złoty Park, podziwiając i doceniając czasy i wydarzenia, które się tutaj rozegrały. Bogata przeszłość stała się widmową pamięcią. Tyle cierpień, tyle wysiłków uczyniono, by doprowadzić mnie do tego miejsca i czasu. To moje środowisko i jestem wdzięczna tym, którzy przychodzili przede mną. Chciałabym, żeby wiedzieli, że

nic nie było daremne. Wszystkie wypowiedziane przez nich słowa, wszystkie ich czyny mnie ukształtowały. Jestem centrum ich istnienia i cieszę się, że nim jestem.

Hołd.

Moje podziękowanie jest proste. Mój umysł podnosi materię tego wszechświata, kiedy objawiam swoją wolę. Nagle Złoty Park jest pełen ludzi na ten jeden ostatni raz, kiedy przeszłość przecina się z teraźniejszością. Powietrze gęstnieje od dźwięków i zapachów. Lekko potrącają mnie ci, którzy nigdy mnie sobie nie wyobrazili, kiedy podążają w swoich sprawach. Oto Rah i Pani wysiadają z łódeczki, by patrzeć po raz pierwszy w zadziwieniu na kopuły Pałacu Sadowego. Tam idzie wyjątkowo ładna młoda dziewczyna Florrel, by usidlić swego pierwszego kochanka. Tutaj widzę, jak przygnębiony Akeem wlecze się z powrotem do swej gildii, stawia pierwsze kroki ku narzuconemu sobie wygnaniu. Salrana ukradkiem śpieszy na tamto brzemienne w skutkach spotkanie w tawernie Błękitny Lis. A tam Stąpający po Wodzie w całej swej chwale podąża za swą nigdy nie urzeczywistnioną miłością, wie w głębi serca, że zaraz będzie świadkiem przesładującego go stale niepowodzenia.

* * *

Miłość.

Kocham ich wszystkich, oddaję im cześć z oddalenia. I tak moje objawienie się kończy i miasto znów pustoszeje, zostają tylko ja i mnie podobni; spacerujemy po pustych ulicach, idziemy z powrotem do naszych jachtów, a potem do swoich domów. Nie powrócimy.

Życie.

Odniosłam w życiu sukces. Wkrótce, kiedy uporządkuję swój dom, wzniosę się ku tym, którzy prowadzą, wiedząc, że to, co miało być uczynione, zostało uczynione. Tutaj nie pozostaje teraz nic. Nic.

Przyszłość.

Co ma nadejść? Nie mogę znać rozwiązania najpiękniejszej ze wszystkich zagadek. Nie teraz. Ono nas oczekuje w Sercu Pustki. Pieśń, która z każdym mijającym dniem mocniej rozbrzmiewa.

„Ostatni Wyskok” wznosił się cicho w chłodne powietrze. Świtało. Dostawca schodził ze wzgórza. W oddali widział nad górami różowozłotą drzazgę rozżarzonego słońca. Na twarzy czuł ciepło. Pasemka mgły wznosiły się znad zwitków analogu trawy i wypełniały zagłębienia terenu widmowymi strumieniami. Miejscowe ptaki odzywały się już gardłowym świergotem, a gdy robiło się coraz jaśniej, zlatywały z czarnych drzew.

Dostawca z rozbawieniem obserwował ich niezgrabne wznoszenie się. Na tym świecie ewolucja nie całkiem się udała: brak wdzięku ptaki nadrabiały zwalistością.

Obok znów zaspane czworonogi chrząkały i otrząsały się, witając dzień na swój powolny sposób. Ociężałe zwierzęta rozmiarów ziemskich nosorożców i o podobnym wrodzonym temperamencie miały skórę porytą bruzdami i upstrzoną rdzawymi i szarymi plamami, a nogi grube jak tors Dostawcy. Nadzwyczaj wytrzymałe potrafiły sunąć naprzód przez cały dzień. Anominowie zaprzęgali je do pługów i wozów.

Dostawca ominął zwierzęta, zanim zauważyły, że chodzi przy nich coś dziwnego. Nie chciał wywołać wśród nich popłochu przed spotkaniem z miejscowymi, bo to by mu utrudniło zadanie.

Idąc w stronę wioski, czuł zapach dymu na wietrze. Nocne ogniska przygasły, został w nich żużel. Spełniły już swoje zadanie: odstraszyły dzikie zwierzęta w czasie długich godzin ciemności.

Czujniki „Ostatniego Wyskoku”, prowadząc pasywne skanowanie wioski podczas lądowania statku, ujawniły szeroki, półokrągły pas budynków na brzegach małej rzeki. Nie odkryły prawie żadnych kamiennych budowli z wyjątkiem kilku niskich, owalnych murów, które okazały się silosami zbożowymi. Wszystkie budynki skonstruowano z drewna. Dostawca miał

jeszcze około kilometra do wioski i dzięki wzbogaceniom siatkówki uzyskał wyraźny widok: domy stały na grubych palach parę metrów nad pylistym gruntem; dachy z gęsto splecionej suchej trzciny zwisały nad łukowatymi murami zbudowanymi z zakrzywionych owali wypolerowanych drewnianych ram, zawierających rodzaj utwardzonej, półprzezroczystej błony; wewnątrz domów Dostawca widział poruszające się cienie.

Dwoje anominów pilnowało jednego z pięciu wioskowych dołów na ognisko. Zastygli i nastroszyli swoje czułki. Byli to starsi osobnicy. Potrafił to określić: ich kończyny miały lawendową barwę, a dolne nogi zakrzywiły się do tyłu, przez co wydawali się niżsi. Młodzi mieli prawie jednolite miedziane ubarwienie, dorośli natomiast w kwiecie wieku przybierali odcień jadeitu – byli również więksi w odcinku tułowia. Najwidoczniej otyłość w starszym wieku dotykała nie tylko ludzi.

Dostawca wszedł do wioski; równocześnie jego u-adiunkt zapuścił ostatnie sprawdzanie przez jednostkę translatora wiszącą mu na szyi na złotym łańcuchu. Był to prostokąt wielkości dłoni, potrafiący wytworzyć dźwięki najwyższej częstotliwości używane w języku anominów. Antropolodzy kultury z floty resekwencjonowali swoje struny głosowe, by móc rozmawiać z tubylcami bezpośrednio, ale nie zakończyło się to pełnym sukcesem. Wysięk jednak doceniono. Anominowie naprawdę nie lubili maszyn bardziej skomplikowanych niż koło.

Dostawca analizował plik z egzowizji, zawierający profil właściwego zachowania.

– Pozdrawiam was w ten piękny poranek – powiedział, co przełożyło się na serię pisków i gwizdów przypominających świergot delfinów. – Podróżowałem z innego świata, żeby was odwiedzić. Proszę, byście przekazali mi opowieści o swoich przodkach. – Wykonał lekki ukłon, prawdopodobnie niedoceniony przez obcych.

Przewyższali go niemal o metr, zwłaszcza w pozycji wyprostowanej, jaką przyjmowali przy chodzeniu. Ich zwężona talia prawie zawsze wyginała się do przodu, a górny staw trójsegmentowych nóg składał je tak, by ciało zachowało

równowagę.

Jedna z postaci, której kończyny miały odcień fioletowy przechodzący w czerń, odpowiedziała:

– Pozdrawiam cię tego poranka, śródgwiezdny podróżniku. Jestem Tyzak. Jestem ojcem-starym tej wioski. Mogę ci poświęcić trochę czasu i wymienić z tobą opowieści.

– Dziękuję za okazaną uprzejmość – odparł Dostawca.

Nie potrafił ocenić, czy postawa Tyzaka świadczy o ekscytacji i zainteresowaniu. Poza kwestią otyłości nie było paraleli między ich budową a budową człowieka, żadnych analogii mowy ciała, drgań czy zrozumiałych gestów. Wyrazić takie gesty byłoby im trudno, pomyślał Dostawca. Skórę mieli podobną do łusek, co uniemożliwiało subtelniejsze ruchy mięśni. A klasyczne strzelanie oczami? Ich podwójne śluzowate czułki o jednolitej szarej barwie zawierały receptory światła; kiwając się, wystawały z małej, guzowatej głowy, składającej się głównie z otworu gębowego. Postrzegany przez nie świat interpretowały zupełnie inaczej niż człowiek. Mózg znajdował się w jednej trzeciej tułowia, między małymi rękami środkowymi a większymi głównymi ramionami na górze.

– Twój prawdziwy głos jest cichy – powiedział Tyzak.

– Tak. Nie potrafię wydobyć odpowiednich dzięków, by bezpośrednio z tobą rozmawiać. Przepraszam, że posiadam maszynę, która tłumaczy.

– Przeprosiny nie są wymagane.

– Mówiono, że nie pochwalacie maszyn.

Dwaj anominowie dotknęli swoich pazurków na środkowych rękach.

– Ktoś nie powiedział ci prawdy – rzekł Tyzak. – Jestem wdzięczny, że przybyłeś do naszej wioski, żebyśmy mogli przekazać ci prawdę.

– Ktoś z mojej rasy poinformował mnie o waszej niechęci do maszyn. Odwiedziliśmy was dawno temu.

– Zatem u waszego gatunku pamięć słabnie z czasem. Nie żywimy niechęci do maszyn, ale po prostu postanowiliśmy ich nie używać.

– Mogę spytać, dlaczego?

Górne i środkowe kolana Tyzaka zgięły się, przyjął pozycję kucną. Jego towarzysze odszedł.

– Naszą drogę życiową wyznaczył ten świat, on nas uformował – wyjaśnił Tyzak. – Wiemy, co się z nami stanie, gdy wybierzemy drogę życiową skoncentrowaną wokół maszyn i techniki. Nasi przodkowie osiągnęli wielkość, nawet tak wielką jak wy.

– Pod wieloma względami wasi przodkowie dotarli dalej niż my – stwierdził Dostawca. – Mamy wobec nich olbrzymi dług. Ochronili tak wiele gwiazd przed agresywną rasą, za co jesteśmy im na zawsze wdzięczni.

– Mówisz o jedności mieszkającej wokół dwóch gwiazd. Chciała pożreć całe pozostałe życie.

– Znasz ich?

– Nasza droga życiowa jest oddzielona od naszych wielkich przodków. Z tego powodu czujemy smutek, ale radujemy się z ich osiągnięć. Wyruszyli, by stać się czymś innym, czymś wspaniałym.

– A jednak nie poszliście za nimi. Dlaczego?

– Ta planeta nas stworzyła. Powinna określić naturę naszych dni ostatnich.

– Wygląda mi to na kolejną cholerną religię – powiedział Gore przez bezpieczny link.

– Bardziej przypomina nasze frakcje – odparł Dostawca. – W tutejszej wersji Progresywiści wyjechali i transcendowali, Naturalni Darwiniści natomiast chcieli się przekonać, jaki los wyznaczy im natura.

Z domów wychodzili anominowie. Sprawnie wyskakiwali przez wąskie drzwi kilka metrów nad gruntem. Po terenie poruszali się zadziwiająco zwinnie. Odbijali się na długich nogach i wykonywali szybkie susy, przy czym pochylali się niebezpiecznie do przodu.

Dostawca zauważył, że zachowują znacznie lepszą równowagę niż ludzie, choć ich ruchy przywodziły na myśl spacer gołębia.

Zbliżyła się do niego grupa młodych. Otoczyły go dzieci. Nie potrafiły zachować spokoju. Podskakiwały, trajkocząc głośno na

jego temat – tej obcej istoty o dziwnym ciele, dziwnie ubranej, ze słabymi szczypcami i futrem na czubku głowy. Dostawcę aż bolały uszy.

Tyzak wyjaśniał młodzieży, kim on jest.

– Skąd przyjechałeś? – spytało jedno z dzieci. Większe od kolegów, dorównywało Dostawcy wzrostem. Jego brzoskwiniowa skóra ciemniała, przyjmując lekki odcień zieleni.

– Z planety zwanej Ziemia. To lata świetlne stąd.

– Dlaczego tu jesteś?

– Szukam mądrości. Wasi przodkowie bardzo dużo wiedzieli.

Pisk dziecięcych głosów przybrał na sile. Tłumacz wyłowił z tego wzajemnie potwierdzające się:

– Tak. Tak. To prawda.

– Teraz jem. Dołączysz do mnie? – zaproponował Tyzak.

– To byłaby dla mnie wielka przyjemność – zapewnił go Dostawca.

Tyzak wstał szybko, roztrącając grupki podskakujących dzieci. Szybko ruszył w stronę jednego z domów. Zakrzywione dolne odnóża niemal toczyły się po ziemi. Dostawca biegł, dotrzymując mu kroku.

– Powinienem cię uprzedzić, że być może nie będę fizycznie w stanie jeść większości waszych potraw.

– Rozumiem. To mało prawdopodobne, żeby nasze rośliny pasowały do waszej biochemii.

– Znacie koncepcję biochemii?

– Nie jesteśmy ignorantami, śródgwiezdny podróżniku. Po prostu nie stosujemy naszej wiedzy w taki sposób, jak wy.

– Rozumiem.

Tyzak dotarł do swego domu. Wskoczył na wąski podest przy drzwiach. Dostawca spojrzął na grube, wspierające dom bale i wspiął się po jednym z nich w pobliżu podestu.

– Jesteście inni – stwierdził Tyzak, wchodząc do środka.

Membranowe okna wpuszczały dużo światła. Teraz, będąc w środku, Dostawca widział opalizujące wzory na naprężonej powierzchni i przypuszczał, że to jakiś rodzaj wyprawionej skóry lub kory. Dom Tyzaka miał trzy pomieszczenia. W największym,

do którego weszli, było mało mebli: pod ścianą stały proste skrzynie, poza tym jakieś dziwne kołyskowe stojaki, które Dostawca uznał za krzesła, i w centrum pięć ław ustawionych w pięciokąt, na każdej z nich grube, kamionkowe garnki.

Wydawało się, że w niektórych z nich, nieosłoniętych od góry, coś się gotuje. Bańki bulgotały, w powietrzu unosił się gryzący zapach gnijących, fermentujących owoców. Oczywiście Dostawcy łzawiły. Tak silnej woni nigdy jeszcze w życiu nie spotkał.

Po chwili zauważył, że w pokoju nie ma ani pieca, ani ogniska, choć było tu znacznie cieplej niż na zewnątrz. W naczyniach coś energicznie fermentowało. Zerknął do jednego z naczyń: kleista masa przypominała dżem, w którym owoce jeszcze się nie rozpadły na pulpę. Tyzak podniósł garnek, pochylił się, otworzył swoje małżowate usta i objął nimi brzeg garnka. Dostawca przez mgnienie oka widział setki małych, ruchliwych, żuwaczkowych zębów. Anomine krótkimi, szybkimi haustami wessał zawartość naczynia.

- Chciałbyś spróbować trochę mojej >brak bezpośredniego tłumaczenia: chłodno-gotowanej zupy/konserwy<? - spytał Tyzak. - Wiem, że rytuał dzielenia się jedzeniem ma znaczenie dla waszego gatunku. Musi być tu coś nieszkodliwego dla twojego układu trawiennego.

- Nie, dziękuję. A więc pamiętasz członków mojego gatunku, którzy wcześniej odwiedzili tę planetę?

- Wszelkie opowieści są nam drogie. - Tyzak wziął drugi garnek i objął go ustami.

- Nikt się mną nie zainteresował z wyjątkiem młodych mieszkańców.

- Opowiem historię o tobie na naszym zgromadzeniu. Opowieść rozejdzie się od wsi do wsi, gdy zbierzemy się razem. Za dwadzieścia lat cała planeta będzie znała twoją historię. Od tej chwili będziesz opowiadany wielokrotnie nowym pokoleniom. Nigdy dla nas nie będziesz stracony, podróżniku kosmiczny.

- Bardzo się z tego cieszę. Na pewno znasz mnóstwo opowieści.

- Znam. Jestem stary i dużo ich słyszałem. Tak dużo, że wiele z nich już zaczyna mi umykać. Dlatego wciąż je na nowo

opowiadam, żeby nie zostały utracone.

- To głupie - zauważył Gore. - W ten sposób tracą mnóstwo informacji. Wiemy, że kiedyś mieli kulturę piśmienniczą, nie da się rozwinąć techniki bez podstawowych symboli formalnych, zwłaszcza matematycznych. Dlaczego to odrzucili? Przez to ich historia ulegnie fatalnej deformacji, a potem zupełnie zniknie.

- Nie martw się - odparł mu Dostawca. - To, czego potrzebujemy, jest zbyt duże, żeby na zawsze zostało utracone. Na pewno nadal coś mają na ten temat.

- Taa, jasne, umieram z ciekawości.

- Chętnie posłucham opowieści o waszych przodkach - powiedział Dostawca do Tyzaka. - Chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że opuścili tę planetę, ten wszechświat.

- Wszyscy, którzy tu do nas przyjeżdżają, właśnie to chcą wiedzieć przede wszystkim. Znam wiele innych opowieści. Na przykład o Gazaku: odważnie uratował pięciu młodych, którym groziło utonięcie, gdy zawalił się most. Słuchałem Razula, jak opowiadał swoją własną historię: powstrzymywał stado > brak bezpośredniego tłumaczenia: równoważnik wilka< gdy jego siostry rodziły. Razul był już stary, kiedy uczestniczyłem we wspólnym zgromadzeniu, ale jego słowa pozostają prawdziwe. Mamy opowieści o tym, jak Fozif uleciał z tego świata na maszynie z płomieni, żeby chodzić po Ithalu, naszej sąsiedniej planecie; z naszego gatunku on pierwszy zrobił coś takiego. To nasza najstarsza opowieść, potem wyrastają z niej wszystkie historie o naszym gatunku.

- Którą chcesz mi opowiedzieć?

- Każdą o naszym pięknym świecie. To nasz cel życia. Żeby wszyscy wiedzieli wszystko.

- Ale czy to nie jest sprzeczne z tym, czym jesteście? Wiedza polega na czym innym, jest tam, gdzie technika i nauka, od których się odwróciliście.

- To historia o maszynach. Ta historia została opowiedziana. Jest skończona. Teraz przekazujemy opowieści o nas samych.

- Chyba rozumiem. Nie chodzi o to, czego dokonali wasi przodkowie, ale o poszczególne osoby, które tego dokonały.

– Zbliżasz się do naszej opowieści, do tego, żeby z nami żyć. Żeby usłyszeć opowieść o tym, czym jesteśmy dzisiaj, musisz posłuchać wszystkich naszych opowieści.

– Żałuję, że krótko będę na waszej planecie. Byłbym wdzięczny za jakąkolwiek opowieść o waszych przodkach i o tym, w jaki sposób opuścili ten wszechświat. Czy wiesz, gdzie nastąpiło to wielkie wydarzenie?

Tyzak przełknął zawartość kolejnego garnka. Podszedł do skrzyń, otworzył ich wieka na zawiasach i wyjął małe, pękate worki z tkaniny. Zaniósł je na ławki.

– Istnieje opowieść o wielkim rozstaniu, która nigdy u mnie nie zniknie. To dla nas bardzo ważne, ponieważ w ten sposób nasz gatunek się podzielił. Na tych, co odjechali, i na tych, którzy zadeklarowali przywiązanie do naszej planety i przeznaczenia, jakie dla nas stworzyła. Dotychczas żałujemy tego podziału, ponieważ nigdy się nie połączymy.

– Moi ludzie też są podzieleni na wiele rodzajów.

Dostawca obserwował, jak Tyzak wyjmuje z worków rozmaite owoce i korzenie, wrzuca do garnków, dolewa wody z wielkiego, stojącego w centrum dzbana, w końcu z małej torebki nabiera trochę bładoniebieskiego proszku i dodaje po szczypcie do garnków. Potrawy zaczęły bulgotać.

– Posłucham twojej opowieści o podziale – rzekł Tyzak. – To do mnie przemawia.

– Dziękuję. A opowieść o miejscu, z którego wyjechali wasi przodkowie? Bardzo bym chciał je poznać osobiście.

– Pójdziemy tam.

Dostawcę nieco zaskoczyła ta odpowiedź.

– To dobra wiadomość. Czy mam wezwać swój statek? Może nas zawieźć do dowolnego miejsca na tym świecie.

– Rozumiem tę propozycję jako uprzejmość z twojej strony, ale nie chcę podróżować twoim statkiem. Pójdę pieszo do miejsca rozstania.

– O, gównu! – powiedział Gore. – To może potrwać wiele miesięcy, nawet lat. Spróbuj nakłonić tego cholernego potwora, żeby ci powiedział, gdzie to jest. Powiedz mu, że się tam z nim

spotkasz, jeśli to konieczne.

– Żałuję, ale na waszej planecie nie jestem w stanie zejść zbyt daleko – wyjaśnił Dostawca. – Potrzebuję odpowiedniego dla siebie jedzenia. Może moglibyśmy się spotkać tam na miejscu?

– To tylko dwa dni drogi – rzekł Tyzak. – Dasz radę wędrować tak daleko?

– Tak, mogę tak daleko wędrować.

– Jasna cholera! – odezwał się Gore. – Twój nowy znajomy ma chyba na myśli miasto w odległym krańcu doliny. Nigdzie indziej, tylko tam.

Procedury podrzędne Dostawcy wydobywały pliki z jego spacji pamięci i rozrzuciły je po egzowizji.

– Cztery dni temu sprawdziliśmy tam budynek przy wielkim placu od zachodu. Ty tam wszedłeś. Wykryłeś formację materii egzotycznej, rodzaj stabilizatora małego wormholu. Niedziałającego. Uznaliśmy, że chyba był związany ze stacją orbitalną czy czymś, co już nie istnieje.

– To tylko pokazuje, jak głupio jest zakładać coś wstępnie na temat obcych – stwierdził Gore. – Znaleźliśmy pięćdziesiąt trzy podobne obiekty i wszystkie zlekceważyliśmy.

– Były w różnych miastach. – Dostawca przeglądał w egzowizji mapę planety. – Geograficznie równomiernie rozmieszczone. Sądzę, że mogą to być porzucone elementy sieci transportowej, w rodzaju starej pętli wokółziemskiej.

– Istniała przed twoimi narodzinami, ale ja z niej często korzystałem. Nieważne, ruszam teraz do tego miasta. Zamierzam przeskanować to draństwo co do jednego antyatomu. Dowiem się, jak to, do diabła, działa, zanim zdążysz zjeść obiad.

Tyzak wszedł do jednego z tylnych pomieszczeń. Dostawca uznał za mały cud to, że stary obcy nie zahacza czułkami o sufit, ale Tyzak poruszał się zwinnie i płynnie przeszedł przez drzwi.

– Co za fart, że wybraliśmy wioskę akurat blisko mechanizmu transcendencji – odparł Dostawca. Aż mu się w to nie chciało wierzyć. Prawdopodobieństwo takiego wyboru było zbyt małe.

– Najwyższy czas, by dopisało nam szczęście – odparł Gore.

Dostawca dobrze wiedział, że Gore w to nie wierzy. Może Tyzak

chce po prostu wykorzystać wormhol, żeby nas zabrać do mechanizmu wyniesienia? Może właśnie po to jest mechanizm transportowy? Nie, to bzdura. Jeśli nie chciał korzystać ze statku, żeby polecieć do miasta, to nie będzie korzystał z wormholu. Niech to cholera!

Anomine wrócił do głównego pokoju ubrany w zwoje grubej tkaniny o jaskrawych kolorach, ozdobione koralikami. Dostawca musiał przyznać, że ten strój to jednak osiągnięcie: zakrywał długi, wąski brzuch, a jednocześnie umożliwiał nogom i rękom całkowitą swobodę ruchów.

Wyruszyli od razu. Schodzili ze wzgórza przez wieś, przeszli rzekę łukowym mostem tak starym, że jego zewnętrzna kamienna okładzina już odpadała.

– Jak długo istnieje ta wieś? – spytał Dostawca.

– Siedemset lat.

Po drugiej stronie rzeki widział starannie utrzymane pola i sady. Dorośli anominowie szli powoli między rzędami drzew, wyciągali górne ramiona i obcinali owoce swoimi mocnymi pazurami jak szczypce. Pracowały głównie matki – Dostawca rozpoznawał je po ubarwieniu. Cykl życiowy anomina przebiegał liniowo od neutralnego młodego przez dojrzałą osobę płci żeńskiej do starszego osobnika płci męskiej. Każda faza trwała około dwudziestu pięciu lat. Dorosły bardzo rzadko przekraczał osiemdziesiątkę.

Tego Dostawca nie potrafił pojąć. Wiedział, że w przeszłości ta rasa osiągnęła absolutne mistrzostwo w manipulacjach genetycznych, co pozwalało im dowolnie przedłużać życie. To też zostało odrzucone i wyeliminowane, by rasa mogła kroczyć swoją pierwotną drogą ewolucji. Wśród ludzi nie było frakcji, która by kiedykolwiek kierowała się taką zasadą; nawet Naturalni lubili staromodne odmładzanie co trzydzieści lat. Pragnienie trwania przy życiu było głęboko wmontowane w ludzką psychikę i żadne profilowanie psychoneuronalne nie mogło go usunąć.

Jak nadzieja, pomyślał. Biorę udział w tej absurdalnej farsie Gore'a, ponieważ to daje mi nadzieję. To jedyny znany mi sposób,

dzięki któremu być może wrócę do Lizzie i dzieci. Jeden Ozzie wie, jakie szaleństwo planuje Ilanthe, gdy dotrze do Pustki, ale nikt inny nie ma pojęcia, jak ją powstrzymać. Gdyby tylko to nie było takie... niepewne. Gdybym tylko potrafił uwierzyć w to, co robię.

Dostawca uniósł głowę i westchnął. W prześwitach między chmurami, wysoko w górze na orbicie migotał starożytny pas ruin jak nieruchomy kosmyk srebrnego cirrusa. Szukam na niebie znaków i zwiastunów. Jakie to żałosne! I uważam, że anominowie są słabi i dziwni, bo ponownie skwapliwie przyjęli swoje prymitywne życie. Życie, które nie zagraża Galaktyce. Życie, które nie odrywa ojców od rodzin.

Otworzył link do Gore'a.

- Co zamierzasz zrobić potem? Kiedy zwyciężymy?

- Najpierw uwolnić się od tego cholernego, mięsnego zwierzęcia, wrócić do ZAN, gdzie znów będę mógł myśleć, jak należy.

- Ale czy problem nie leży właśnie w tym? Spójrz, do czego nas pchnął nasz ewolucyjny zapal.

- Myślisz, synku, że przeholowaliśmy? Że źródłem tego jest nasza buta?

- W pewnym sensie tak.

- Ha, w pewnym sensie. Kurwa, to pewne. Dlatego musimy to kontynuować, przesuwając granicę rozwoju ludzkości. Wszyscy musimy wzmocnić aż do maksimum nasze geny odpowiedzialności i racjonalności. To jedyny sposób spokojnego przeżycia w Galaktyce tak niebezpiecznej jak ta.

- To odwieczny argument.

- I absolutnie słuszny. Może jedyny argument w całej naszej historii, jaki zachował słusność. Gdyby nie edukacja i dążenie do poznania rzeczywistości, barbarzyńcy dawno już zapanowaliby nad światem.

- Ona akurat teraz usiłuje z powodzeniem coś takiego zrobić.

- Ilanthe? Typowy przypadek wyedukowanego barbarzyńcy, polityka o zbyt małej inteligencji, by poradzić sobie z sytuacją, o ambicjach przerastających zdolności. Typowy fanatyk sprawy,

synu. A to najgorsze typy, zawsze wiedzą, że mają rację. Kto się z nimi z jakiegoś powodu nie zgadza, jest złem i wrogiem i należy go zniszczyć.

Dostawca nigdy by nie przypuszczał, że coś takiego mu się przydarzy, ale idąc przez zagajniki i łąki na tej obcej planecie, mimowolnie się uśmiechnął.

– I tak to różne od twojego liberalizmu, co?

– Właśnie, synku.

Wkrótce pola uprawne przeszły w tereny zmierzwionej trawy. Tyzak prowadził w dolinie wąską ścieżką, która skręciła i teraz biegła równolegle do sporej rzeki oddalonej o kilka kilometrów. Dostawca widział w oddali wielkie, puste miasto leżące u wlotu doliny. W późnoporannej mgiełce ledwo rysowały się okazałe wieżowce i malownicze kopuły.

Widok. Czyste powietrze. Jasne światło słońca. Marsz ku określönemu celowi. Nie wiadomo, co było przyczyną, ale Dostawca znów zaczynał czuć sens życia. Wprawdzie jeszcze nie była to pewność siebie, ale na początek wystarczy.

– Mogę iść szybciej – powiedział do Tyzaka.

Wysoki obcy wydłużył krok, podskakując w swobodnym rytmie. Dostawca dorównywał mu rozpierany energią, jaką przynosiła ta prędkość. „Robię to”, powiedział w myślach do Lizzie i dzieci. „Idę do was. Obiecuję”.

Ozzie nie pozwolił sobie, by wymknęła mu się jakaś opinia. Myraian uśmiechnęła się na swój senny sposób.

– Słodkie. – Potem ponownie przeżywała Ostatni Sen Iniga.

Najbardziej poruszona była Corrie-Lyn. Uklękała przed Inigiem i patrzyła mu w oczy, prosząc wzrokiem, by potwierdził, że to nieprawda.

– Zdobyli wszystko – mówiła błagalnie. – Udało im się. Mieli piękne umysły.

– I to jest bezwartościowe – odparł jej. – Nie są już ludźmi, mają wszystko, czego chcą, a to im odbiera godność i cel. Ich życie to codzienna nuda. Zajmuje ich tylko przeszłość. Odwiedzają

miejsca, ponieważ już są one odkryte. To nie daje nowych doświadczeń, to ponura podróż nostalgiczna. Do niczego nie wnoszą swojego wkładu, ponieważ nie ma nic, do czego mogliby taki wkład wnieść.

- Osiągnęli spełnienie - powiedziała. - Ich umysły były tak silne. Inigo, oni latali!

- Ale dokąd lecieli? Do czego używali tej umiejętności? Żeby sprawić sobie przyjemność. Querencia stała się placem zabaw bożków bez charakteru.

- Udało im się strącić doczesne fizyczne kajdany, które krępują nasze życie. To dał im Stąpający po Wodzie. Żyli w przepychu, ale nie musieli nikogo wyzyskiwać, nie musieli niczego niszczyć. Rozumieli się i kochali nawzajem.

- Bo wszyscy byli tacy sami. To miłość do siebie.

- Nie. - Corrie-Lyn pokręciła głową i wyszła na werandę. Po chwili Ozzie usłyszał odgłos jej butów na skrzypiących drewnianych schodach do ogrodu.

Zaniepokojony Inigo wstał od stołu, by za nią pójść.

- Nie rób tego, facio - powiedział Ozzie. - Niech sama to przepracuje, to jedyny sposób, żeby zrozumiała.

Inigo wahał się przez dłuższą chwilę, potem powoli opadł na krzesło o wysokim oparciu.

- Niech to cholera - mruknął.

- Więc to tak było, co? A to pech! - skomentował Ozzie.

Inigo spojrział na niego z prawdziwym oburzeniem.

- Nie rozumiem - rzekł Aaron. - Osiągnęli coś, co przypomina klasyczne niebo na Ziemi.

- Fatalne, stary - powiedział Ozzie. - Sam tam byłem. Uwierz mi: plutokratowi o przyzwoitym mózgu i najlepszych dostępnych procedurach replikacyjnych we Wspólnocie pierwszej ery. Cały czas wino, kobiety i śpiew. Miałem o całe niebo lepiej niż tamci ludzie. No, może poza tym lataniem. Muszę przyznać: było bardzo fajnie. Zawsze się dziwiłem, dlaczego Edeard nie mógł tego zrobić. Stary, jeśli kiedykolwiek dotrę do Pustki, będę próbował tego od zmierzchu do świtu. To spełnienie najstarszych marzeń człowieka.

– Nie rozumiem – rzekł Aaron. – Osiągnęli spełnienie. Wszyscy. To wspaniałe. To ostateczne uzasadnienie ruchu Żywego Snu.

– Żuk gnojowy, tocząc kulkę do gniazda, jest spełniony. Facio, mówimy tu o różnych poziomach. Inigo, mam rację?

– Tak, masz rację.

– Posłuchaj, ostrożnie wypowiadaj życzenia. Na naszym poziomie rozwoju biologicznego utopia się nie sprawdza. Gdy już wszystko osiągniesz, nic nie pozostaje, tracisz sedno swojego człowieczeństwa: dążenie do czegoś. Potomkowie Edearda osiągnęli stan, gdy spełnienie było nieuniknione. Nie musiałeś się o nic starać. To mniej niż człowieczeństwo, zaczęli dewoluować. I na swój sposób to wiedzieli. W czasach Edearda populacja była mniejsza niż wcześniej i nadal malała. Nie było sensu mieć dzieci, bo nic nowego ich nie czekało. Nie byłyby w stanie wniesić do Serca żadnego istotnego ani głębszego wkładu.

– W takim razie, o ile rozumiem, ten Ostatni Sen pod żadnym względem nie pomaga naszej sytuacji – zauważył Aaron.

– Nie, twojej misji nie pomaga – stwierdził Ozzie, ciekaw, jak to wpłynie na dziwną mentalność Aarona. – Uważam jednak, że gdy opublikujemy Ostatni Sen, może to spowodować pojawienie się kilku wątpiących w Żywym Śnie. Miejcie jednak na względzie, że to byłyby osoby inteligentne, a takie stanowią mniejszość w tej religii.

– Za późno – powiedział Inigo. – Nawet jeśli większość by uznała, że rezultatem Pielgrzymki do Pustki jest przegrane, sterylne pokolenie, to i tak nie wpłynie to na samą Pielgrzymkę. Widziałeś reakcję Corrie-Lyn? Ona nie wierzy, że Ostatni Sen to oznaka porażki. Jeśli nie mogę jej przekonać...

– Porzucenie własnej wiary zawsze jest trudne. Spójrz, stary, na siebie.

Inigo zgarbił się na krześle i tarł dłońmi głowę.

– Tak, spójrzmy na mnie.

– Przykro mi, stary. Naprawdę. To był pieprzony upadek. Jak długo dusiłeś w sobie ten Ostatni Sen?

– Jakieś siedemdziesiąt lat.

– Ale jaja! To dobrze, że w końcu to z siebie wypuściłeś. Coś ci

powiem, dziś obaj upijemy się w sztok. To jedyny sposób, żeby zostawić ze sobą to gównno. I jeśli ktoś zechce w pełni zrozumieć, jaka to kolosalna katastrofa, to niżej podpisany.

- To prawie kuszące – przyznał Inigo.

- Możecie to zrobić potem – stwierdził Aaron. – Skoro doszliśmy do wniosku, że Ostatni Sen nie ma związku z naszą sprawą, musicie obaj się skoncentrować na tym, co jest osiągalne.

- Stary, ty nigdy nie zrezygnujesz, co?

- A czy ty się poddałeś, gdy pojawił się Śniący/a i wywalił twoją gajasferę?

- Proszę, nie próbuj na mnie tej gównianej psychologii motywacyjnej. To nie w twoim zakresie, kimkolwiek jesteś. Zapewniam cię, lepiej pozostań przy swoich psycholowych groźbach.

- Jak sobie życzysz. A ty pozostań przy swoich uprzejmościach i słuchaj, co ci powiem. Nasze zadanie to dostarczyć Śniącego do Pustki.

- Niekoniecznie – odparł Inigo. – Sądzę, że wiara Araminty w Pustkę nie jest całkiem niestosowna. Serce będzie w stanie pokonać Ilanthe.

- Tu masz rację – odparł Ozzie. – Silfeni wierzą w Aramintę, ja to czuję, stary. To teraz ich największa nadzieja.

- Powtórzę, to nie ma związku z naszą sprawą – powiedział Aaron.

- Nie zgadzam się – stwierdził Inigo z uporem. – Problem z Ilanthe pojawił się dopiero długo po tym, jak rozpoczęła swą misję. Ponieważ stała się bardzo ważnym czynnikiem, musimy ją uwzględnić. Inaczej byłoby to nieracjonalne.

- Nasza misja to doprowadzić ciebie, Śniącego, do Pustki.

- Nie. Mówię to z bólem, ale Inigo ma rację – rzekł Ozzie. – Ilanthe jest wyraźnie częścią oryginalnego problemu, choć twój mocodawca nie brał tego pod uwagę, gdy załadował ci do mózgu tę bzdurną misję. Stary, musisz pomyśleć o Ilanthe. Daj spokój, przecież w twojej metalowej czaszce musi być trochę miejsca na jakiś manewr.

- Zgoda, rozumiem, że ona stanowi czynnik w ostatecznym

wyniku. Ale jeśli nie dotrzemy do Pustki, nie możemy się z nią skonfrontować, racja? Więc może wy dwaj połączycie swoje genialne mózgi i rozwiążecie problem, jak dostarczyć Iniga do wnętrza.

- Nie da się zrobić - stwierdził Inigo. - Nawet ten statek z ultranapędem, który straciłeś na Hanko, nie dowiozłby nas do granicy Pustki przed Pielgrzymką. W zasadzie ten, kto pierwszy tam dotrze, zwycięży.

- Nie przesadzaj z tym, facio - rzekł Ozzie. - Jeśli dotrzesz pierwszy, masz szansę zwycięstwa. Ale nic nie jest pewne, zwłaszcza tam. Teraz, skoro nie możesz się tam dostać, musimy wszyscy zacząć myśleć o honorowym, ale szybkim odwrócić.

- To niedopuszczalne myślenie i strasznie mnie nuży powtarzanie tego w kółko - odezwał się Aaron. - Nie zmuszajcie mnie, żebym wam to wbijał do głowy, bo mam dość mówienia ogólnikami. Więc jak dostarczymy Śniącego do Pustki?

Ozzie się zgarbił. Agent zaczynał go, niestety, denerwować. Obawiał się, że nie będzie potrafił się oprzeć i doprowadzi Aarona do ostateczności choćby dlatego, żeby się przekonać, gdzie jest ta ostateczność. Zupełnie jak chikoya na Octoronie.

- Czy możemy zaplanować link telepatyczny na wszelki wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło? - spytał niewinnie.

Aaron zdjął rękę ze stołu. Wszczepy bojowe uwypukliły się na skórze nadgarstka.

- Nie próbuj.

Myraian zatrzepotała powiekami. Uśmiechnęła się z głębi jakiegoś narkotycznego stanu.

- Niegrzeczni chłopcy. Nie dostaniecie kolacji.

- Chcę kolację - powiedział Ozzie.

Aaron spojrzał na niego ostrzegawczo. Wszczepy się wycofały.

- W takim razie przeanalizujmy to delikatnie i nowocześnie. Jesteśmy nieco ponad osiem tysięcy lat świetlnych za statkami Pielgrzymki, „Lindau” się ostatecznie pochrzanił. Potrzebujemy więc czegoś szybkiego. Wspólnota niczego takiego nigdy nie wyprodukowała. Co można dostać na Szpikulcu?

Ozzie westchnął przeciągle.

- Ty, mój-mózg-w-słoju, słyszałeś go? Co my tam mamy?
- SI Szpikulca rejestruje obecnie trzysta osiemdziesiąt dwa zadokowane statki obcych – odparły smartkory. – O ile wiadomo, żaden z nich nie jest szybszy niż hipernapęd Wspólnoty. Najszybsze zarejestrowane przez czujniki to statki ilodich, osiągają dwadzieścia dwa lata świetlne na godzinę.
- Dla nas bezużyteczne – stwierdził Inigo.
- Wy dwaj możecie ukraść któryś z nich i wrócić do Wspólnoty
- zasugerował Ozzie. – Gdyby Inigo ukazał się ponownie publicznie, może twój szef się z tobą skontaktuje i powie ci, co, do cholery, robić.
- To byłaby ostateczność, gdyby zawiódł nawet link telepatyczny z Sercem – rzekł Aaron. – Powiedziałaś, że „Wysoki Anioł” cię zabierze na pokład, gdy zacznie się faza rozszerzania.
- Ozzie nagle pożałował, że chlapanął przedtem ozorem. Ten trop donikąd nie prowadził. A Aaron się nie odczepi, nigdy.
- Mógłby. Zależy, czy jest bardzo zajęty.
- Cytuję twoje słowa: „Qatux ma wobec mnie zobowiązania. „Wysoki Anioł” wstąpi tu po drodze i zabierze nas do Andromedy czy gdzie tam on leci”.
- Facio, mogę spytać. Gwarancji nie ma...
- Spytaj.
- Po co? Chcesz dostać się do Pustki. Qatux leci w przeciwną stronę. Daleko, daleko w przeciwną stronę.
- Raiele to jedyny znany gatunek, który może się przedostać poza granicę Pustki. Mogą nas tam zabrać.
- Mogą, ale nie zabiorą. Nie muszę nawet pytać.
- Zrób to dla mnie.
- Ozzie spojrział na Iniga z zastygłym uśmiechem „ratuj mnie”. Eksmesjasz wzruszył tylko ramionami i powiedział:
- Witaj w moim świecie.
- Niełatwo uzyskać połączenie – wyjaśnił Ozzie. Słabo to zabrzmiało. Wiedział, że przegrywa bitwę.
- Komuś, kto ma własny, prywatny kanał transwymiarowy do Wspólnoty? – powątpiewał Aaron.
- Nie zadziała – stwierdził Ozzie.

– Z tego powodu strasznie ci gratuluje. Juz teraz zaslugujesz na moralne zwyciestwo nade mna. Moze sie zamkne i zostawie cie w spokoju.

Ozzie spojrzal na niego wsciekle i kazal swojemu u-adiunktowi otworzyc link do „Wysokiego Aniola”.

– Proszę, żebyś rozszerzył ten koniec linku, niech obejmuje nas wszystkich – polecil mu Aaron.

Ozzie nie pamietal, zeby w ciagu ostatnich wiekow byl tak wkurzony. Nie chodzilo o to, ze nie chial pomoc dostac sie Inigowi do Pustki. Bardzo go jednak niepokoilo, ze musialby mu towarzyszyc, a Qatux nie zgodzi sie pozyczyc im statku, jesli rowniez Ozzie nim nie polecil. Ozzie nie chial leciec do Pustki z prostego powodu: o ile wiadomo, nikt sie stamtad nie wydostal.

„Wysoki Aniol” zaakceptowal polaczenie.

– Ozzi, kopę lat! – powiedzial Qatux.

– Tak. Posluchaj, darujmy sobie teraz „co u ciebie, kolego”. Potem to nadrobimy. Mam tu pare osob, ktore musza sie dostac do Pustki przed Pielgrzymka. Czy sa jakies szanse, ze ty lub twoi ziomale moga to zrobic?

– Ozzie, jak zawsze mnie zadziwiasz. Dlatego zawsze kontakt z toba to wielka przyjemnosc. Czy Aaron jest z toba?

– Jestem – odezwal sie Aaron. – Skad wiedziales?

– Link rozciaga sie na ponad siedem tysiecy lat swietlnych, przechodzi przez wiele wzlow w unisferze. Nie jest calkowicie bezpieczny. Wez to pod uwage. Ciesze sie, ze przezyles. Nasza wspolna znajoma Paula Myo caly czas informowala mnie o twoich podrozach.

– Aha, jasne.

– A ta druga osoba, czy to ten męzczyzna, ktorego szukales, gdy sie spotkalismy?

– Tak.

– Wspaniala wiadomosc.

– Ciesze sie, ze tak uwazasz. Mam nadzieje, ze rozumiesz, ze ta trzecia osoba moze zdoła zneutralizowac cala sprawe, jesli zawieziesz ich do Pustki przed Pielgrzymka. Czy mozesz to zrobic ty albo raiele-wojownicy?

– Nie.

– Moja propozycja jest poważna. Co ci szkodzi, żebyś nas przewiózł przez granicę? Dwóch ludzi, a tam zmierzają przecież teraz dwadzieścia cztery miliony.

– Żałuję, ale nie jesteśmy w stanie pomóc. To fizycznie niemożliwe. Nawet nasze statki nie mogą rozwinąć odpowiedniej prędkości. Ale mam alternatywną sugestię.

– Mianowicie?

– Ktoś tu leci na spotkanie z Ozziem. Ktoś prawdopodobnie ważniejszy od osoby, która jest już z tobą. Dotrze za trzy dni. Zalecam, żebyście na niego poczekali.

– Raczej nie mogę. Mam misję.

– Wielka szkoda.

– Ja na nich poczekał – powiedział Ozzie.

– Dziękuję ci, Ozzie. Towarzyszy im mój stary przyjaciel Oscar Monroe. Będzie gwarantem tego, co usłyszycie.

– Jasna cholera. Oscar? Naprawdę? Już wyszedł z kicia? A niech to, straciłem rachubę czasu.

– Cieszy się pełną wolnością. Mam nadzieję, że razem znajdziecie wyjście z tej okropnej sytuacji. Proszę, przekonaj towarzysza Aarona, żeby poczekał.

– Zrobię, co się da, facio.

Link się zamknął. Ozzie spojrzął z zadumą na Iniga.

– Ktoś ważniejszy od ciebie, co? Ciekawe, kto to. – Nie domyślał się, co go bardzo irytowało. Qatux nie kłamał. Ktoś ważniejszy od Śniącego, jeśli chodzi o Pustkę. Nie istniała nawet taka lista.

– Nie jesteśmy już tu bezpieczni – stwierdził Aaron. Wstał i aktywował wbudowane pole niskiego poziomu, tworząc cienki fioletowy nimb wokół swojej skradzionej kurtki mundurowej floty.

Ozzie zachichotał.

– Coś ci powiem o Pauli Myo. Prócz tego, że jednym spojrzeniem z odległości dziesięciu kroków potrafi zmrozić ci jaja, ta babka naprawdę wymiata. Nie zdziwiłbym się, gdyby to ona była twoim tajemniczym szefem. Swego czasu robiła rzeczy bardziej ekscytujące.

– Nie mogę dopuścić do tego, żeby moja misja została przerwana.

– Spokojnie, jeśli Paula by chciała cię powstrzymać, nie byłoby ciebie tutaj. Qatux kazał mi się wyluzować. Ten stary wielki-Q nie jest głupi. Musimy poczekać na Oscara. Facio, wyobraź sobie, że on nadal wałęsa się po świecie. Uwierz, moja ufność skoczyła o dziesięć kresiek.

– Na Honiousa, kto to Oscar Monroe? – spytał Inigo.

– Oscar Męczennik – powiedział Aaron cicho. – Poświęcił się, żeby Wilson Kime mógł sterować Zemstą Planety i uratować rasę ludzką przed rozkładem i wytępieniem. Jeśli rzeczywiście Oscar tu przyleci... – Zawahał się, czego Ozzie nigdy u niego przedtem nie widział.

– W takim razie chyba możemy zaczekać? – sugerował ciekaw, jaką reakcję to wywoła.

Jak na osobnika z ograniczoną pamięcią, było niezwykle dziwne, że Aaron (lub jego szef) miał dość miejsca, by wmontować rzeczy tak mało znane. Ale jednak informacja, że Oscar jest w drodze, potrafiła osłabić jego upartą fiksację na własnej misji.

Dopiero po zauważalnej pauzie Aaron powiedział:

– Musimy nadal rozważyć sposoby dostarczenia Iniga do Pustki. Tego nie można przerwać.

– Ale przecież możemy to robić tutaj, co? – nalegał Ozzie.

– To jest dopuszczalne – stwierdził Aaron po chwili wahania.

– Super. Możesz jednak zapomnieć o dostaniu się do wnętrza Pustki. Jeśli raiele nie mogą tu przylecieć, żeby cię zabrać, a potem prześcignąć Flotę Pielgrzymki, to nikt nie potrafi tego zrobić.

– Qatux mówił, że link jest podejrzany.

– Facio, co innego ostrożność, co innego paranoja. Chyba wszyscy wiemy, którą ścieżką ty podążasz.

– W porządku. – Aaron zwrócił się do Iniga: – Ethan powiedział Aramincie, że Żywy Sen ma nadzieję, że Pustka otworzy we Wspólnocie bramę dla pozostałych wyznawców.

– Owszem, ta koncepcja przewijała się wśród wiernych, zanim opuściłem ruch – przyznał Inigo. – Nigdy w nią specjalnie nie

wierzyłem.

– Jeśli możesz skontaktować się z jakimś Władcą Niebios, musisz poprosić, by do ciebie dotarł.

– O, Pani, daj spokój...

– Trzeba zbadać wszystkie opcje. Jeśli obecnie odmawia się nam fizycznego lotu do granicy, to musimy spróbować tego sposobu lub przynajmniej sprawdzić, czy jest możliwy. Musisz znów śnić Pustkę. To przecież nie pogorszy sytuacji.

Corrie-Lyn stanęła w drzwiach kuchni. Ozzie był pewien, że przez pewien czas stała za nimi.

– Będę z tobą, jeśli spróbujesz. – Podeszła do Iniga i objęła go. – Teraz i zawsze.

Oparł głowę na jej ramieniu.

– Dziękuję. Za wszystko. Za zrozumienie.

– Miałeś rację. Życie ich wszystkich było daremne, bezwartościowe. Otrzymali dar przekraczający nasze najbardziej szalone ambicje, a mimo to nigdy nie przyszło im do głowy, żeby spojrzeć na zewnątrz. Ich ciała latały, ale dusze dogorywały. To takie smutne. Nie możemy dopuścić, by taki los spotkał naszych wyznawców. Zostaną straceni, a Galaktyka upadnie. – Ujęła jego dłonie. – Śniący, wyprowadź nas z tego. Nie pozwól, by Pustka zniszczyła nam ducha.

– Kochanie. – Inigo pocałował ją czule.

To było tak intymne, że Ozzie czuł się niemal zakłopotany. Niemal. Kochankowie patrzyli na siebie tęsknie, uśmiechając się pełni szczęścia i ulgi. Nikt dla nich nie istniał.

– Facio!

Inigo i Corrie-Lyn uśmiechnęli się szeroko.

– Tak, Ozzie?

– Mam sugestię. Przekaż wyznawcom Ostatni Sen.

– Co?

– Corrie-Lyn ma rację: trzeba dać odpór. Więc zacznij, pokaż im, jak ich sen o Pustce prowadzi do strasznego błędu. Pokaż, że skazują swoje dzieci na duchową pustkę i wymarcie. Co takiego zawsze powtarzał ten twój chłopak? „Czasami musisz zrobić coś złego, żeby zrobić coś dobrego”. To będzie szok dla wszystkich

lojalnych wyznawców. Część zrozumie, część nie. Stary, kogo to obchodzi? I tak wszystkich nigdy byś nie przeprowadził na jedną stronę. Przynajmniej mocno dasz się we znaki Ethanowi i Ilanthe. A przy odrobinie szczęścia możesz wskrzesić bunt we flocie.

- Tak. - Corrie-Lyn nagle się ożywiła. - Zasługują na to, by wiedzieć. Tak długo czekali, byś znów się ukazał. Oddaj im ich prawdziwą nadzieję. Tego chciałby Edeard.

- Dobrze. - Inigo wstał. Jego gajafejsy się otworzyły i Śniący jeszcze raz przekazał swoje myśli. Wszystkie.

Dotarli do porzuconego miasta u wylotu doliny. Gdyby Tyzak był człowiekiem, to on i Dostawca zostaliby już najlepszymi przyjaciółmi. Dwa dni wspólnego marszu w terenie to okazja do stworzenia silnej więzi. Przez trzy godziny przemierzali zadbane pola i pastwiska wokół wioski, potem wyszli na naturalne łąki. Ponieważ pasło się tam niewiele zwierząt, splątany analog trawy rósł gęsto i wysoko, skłębione liście tworzyły trudny do przebycia dywan. W wielu miejscach wybijały silne, sięgające człowiekowi do kolan krzaki, których kolczaste liście zawierały słabą truciznę - Tyzak kluczył, starając się ich uniknąć, i droga się wydłużała, bardziej, niż chciałby Dostawca. Szedł jednak ze swoim przewodnikiem, opowiadając mu o rodzinie i swoim życiu.

- Mam wrażenie, że wasz gatunek też się podzielił, podobnie jak kiedyś nasi przodkowie - powiedział stary anomine.

- Z pewnością między naszymi historiami są podobieństwa. Z tego, co wiemy, byliście znacznie mniej zantagonizowani. To godne podziwu. Szkoda, że my do tego nie dążyliśmy.

- Istnieją historie o konfliktach między naszymi przodkami. Niektórzy uważają, że straciły swoją moc, gdyż opowiada się je urażonym tonem. Naprawdę byłoby dziwne, gdyby w naszej przeszłości zupełnie nie istniały żadne spory.

- To może być wspólna płaszczyzna. Wielu z nas lubi opowiadać o starych, dobrych czasach sprzed tysiąca lat. Spotkałem ludzi, którzy rzeczywiście wtedy żyli. Twierdzą, że mijające lata coraz

bardziej zniekształcają rzeczywistość.

- Któż chciałby, żeby o przodkach mówiono z pogardą? Oni przynieśli nas do obecnych czasów.

Nie tylko kolczaste rośliny, ale również strumienie opóźniały marsz. Tyzak ważył znacznie więcej od człowieka. Musiał uważać na podmokły teren. Wielu beztróskkich podróżnych utknęło w pułapce na zdradzieckim bagnie, wyjaśnił, gdy brnęli wzdłuż strumyka, szukając kamieni, by przejść na drugą stronę.

Dostawca przekazał mu tendencyjnie zredagowaną historię swojego życia, a Tyzak odwdzieczył się opowieścią o Gazuku na moście, który runął; o Razulu; o Dozulu i Fazku, i dziesiątkach innych strasznie nudnych przygód charakterystycznych dla sielskich społeczeństw. W końcu nadszedł czas na opowieść o Fozifie, znacznie bardziej liryczną od poprzednich. Dostawca z rozbawieniem myślał o tym, że pierwszy lot rakiety na inną planetę traktowany jest z taką czcią, gdy tymczasem wszystko, czego dokonali potem anominowie, podróżując wśród gwiazd, przekazuje się w kilku krótkich zdaniach. Miał jednak okazję wysnuć analogiczną historię o programie kosmicznym z okresu zimnej wojny i o Neilu Armstrongu. Usłyszawszy ją, Tyzak zamilkł na dobre czterdzieści minut.

Pierwszej nocy obozowali na skraju małego lasu, w którym rosły wysokie drzewa o zwisających szerokich gałęziach. Dostawca wyjął z pasa cylindryczny skraplacz wielkości dłoni. Urządzenie furkotało cicho, zasysając powietrze i wyciągając z niego wilgoć, wypełniało wodą torebkę, która wybrzuszała się przy jednym końcu jak żółtawy balonik. Gdy była już pełna, Dostawca napompował wodę do płaskich pakietów z koncentratem pożywienia. Nie smakowało to najgorzej, ale wolałby przegryźć coś gorącego. Tyzak przełknął ciapaję z paru garnków, które niósł w plecaku.

Zapał mrok, zwierzęta zaczynały się nawoływać. Dostawca wyjął plastikowy pakiet, który rozwinął się w namiot. Zaprosił Tyzaka, ale ten podziękował za miejsce w ciasnej przestrzeni; wolał spać na zewnątrz. Anominowie nie spali tak głęboko jak ludzie, raczej drzemali i z pewnością nie śnili.

Procedury podrzędne obudziły Dostawcę nieco po północy czasu lokalnego. Skanowanie polem bionicznym wykryło zbliżające się trzy spore zwierzęta. W oddali przy końcu doliny widział miasto migoczące żywą opalizacją, jakby domy zbudowano z witraży otaczających szczelinę światła. Widok kontrastował z czarnym klifem lasu ożywionego szelestem wiatru i odgłosami ostrego świergotu. Dostawca odwrócił się w stronę drzew, zrekonfigurował swoje biononiki, by wytworzyły skomplikowany impuls energii o małym natężeniu, i strzelił w nadchodzące zwierzęta; zaświergotały nerwowo i uciekły, łamiąc niskie gałęzie i niszcząc trawę. Dostawca nie wiedział, co Tyzak myśli o zabijaniu miejscowych zwierząt, więc strzał był raczej jak mocne uderzenie po nosie plus słaby kop elektryczny na dokładkę.

- Dziękuję. - Tyzak wstał z trawy, gdzie zrobił sobie posłanie. - Trzy >brak bezpośredniego tłumaczenia: nocne bestie< . Nawet ja miałbym problem, żeby nas obronić.

- Widzisz, maszyny mogą być czasami przydatne.

- Mam swoją >brak bezpośredniego tłumaczenia: pałkę-siekierę< do pomocy - powiedział anomine, unosząc kawałek drewna z paroma spiralnymi nacięciami na całej długości, zakończony groźnym, zakrzywionym kolcem. - Nigdy mnie nie zawiodła.

Dostawca odwrócił się w stronę promienistego miasta i otworzył link do Gore'a.

- Rozgryzłeś to?

- Częściowo. To cholerstwo stabilizuje wormhol zerowej średnicy, ale obecnie nie jest rozciągnięty. Czujniki „Ostatniego Wysoku” zaczynają badać jego strukturę kwantową, ale w stanie kolapsu to nie jest łatwe. Za kilka godzin zorientuję się, dokąd kiedyś ten wormhol prowadził.

- Więc to nie jest mechanizm transcendencji?

- Nie, chyba że prowadzi bezpośrednio do nieba anominów.

- Jeśli ma zerową średnicę, to nic fizycznego przez niego nie podróżuje.

- Wiem. Ale to dopiero początek. Prawdopodobnie coś

przeoczyłem. A co u ciebie?

– O, wspaniale. Jestem właśnie na harcerskiej wycieczce w lesie. Kiedyś musimy się razem wybrać.

Życzył Tyzakowi dobrej nocy i położył się w namiocie na cudownie miękkim materacu.

O świcie wyruszyli w drogę. W porannym świetle cienkie macki mgły pełzły doliną, naśladowując bieg rzeki. Potem słońce wyczyściło wzgórze i spaliło macki. Stały wiatr wiał znad miasta, które teraz połykiwało w porannym świetle.

Czekała ich daleka droga, ale Dostawca miał pewność, że dotrą tam przed zmierzchem.

– Czy masz opowieść o tym, dokąd ta planeta zaprowadzi wasz gatunek? – spytał starego anomine.

– Nadal żyjemy w tej opowieści. Stąd końca dojrzeć nie można.

– Na pewno macie jakieś wyobrażenie? Wasi przodkowie opuścili to miejsce, chcieli być kimś innym, a wy zostaliście, tę decyzję musiała wspierać jakaś mocna wiara.

– Jest wiele historii o nadziei opowiadanych w chwili podziału, które przetrwają wiecznie. Niektórzy wierzą, że w końcu staniemy się istotami o prostszych umysłach. Z takich istot ewoluowaliśmy. A planeta wysunie na czoło inny umysł.

– Czy to nie jest odwrotność ewolucji?

– Tylko z perspektywy jednego gatunku. Życie planety jest nadrzędne. Jest tak kruchym, rzadkim wydarzeniem, że powinno się je pieczołowicie pielęgnować, bo ma w sobie potencjał. Jeśli to oznacza rezygnację z naszej fizycznej dominacji na korzyść naszych następców, my to zaakceptujemy. Ten czas to dla nas daleka przyszłość. Z punktu widzenia ewolucji dopiero zaczęliśmy swoją podróż.

– Jak poznacie, że osiągnęliście punkt szczytowy? Że już powinniście się wycofywać?

– Nie poznamy. Moje życie to czas oczekiwania. Spodziewamy się, że będzie to trwało kilkadziesiąt tysięcy lat. Możliwe, że w końcu zrozumiemy samych siebie przez nasze opowieści. Wielu

uważa, że gdy osiągniemy zrozumienie, po prostu przestaniemy istnieć. Są też tacy, którzy uważają, że będziemy trwać w harmonii z planetą, aż słońce stanie się zimne i całe życie się zakończy. Nigdy się nie dowiem, jaki los nas spotka. Jestem tylko przez krótki czas prostym kustoszem naszego życia i jego istoty. To mój cel istnienia. Jestem zadowolony z tego oraz cudownych opowieści, które słyszę w krótkim czasie, jaki mi jest dany. Czy to samo możesz powiedzieć o swoim życiu?

- Tyzaku, jakże dobrze zdążyłeś mnie poznać. Nie, w moim życiu brakuje pewności i spokoju, jakie ty posiadasz. Może gdyby udało mi się poznać to, co bym chciał na temat twoich przodków, sprawy potoczyłyby się dla mnie lepiej.

- Żał mi Ciebie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, by twoja historia dobrze się zakończyła.

- Dziękuję.

- To lokalna gwiazda - powiedział Gore wczesnym popołudniem.

Dostawca spojrział w górę przez baldachim futrzastych gałęzi. Wraz z Tyzakiem przemierzali las w nieruchomym, gorącym powietrzu, ciężkim od ostrego zapachu pyłków roślin. Zmrużył oczy w ostrych sztyletach światła przebijających koronkę zwisających niebiesko-zielonych liści.

- Co z nią nie tak?

- Nic. Wormhol o zerowej średnicy sięgał kiedyś na odległość stu osiemdziesięciu milionów kilometrów. To nasza odległość od gwiazdy głównej. Na tej przestrzeni nie ma nic innego. „Ostatni Wyskok” przeprowadził skanowanie.

- To olbrzymi obszar jak na pojedyncze skanowanie. Czujnik mógł coś przeoczyć, zwłaszcza obiekt w trybie maskowania. A może ta stacja zmieniła orbitę.

- Rozumiesz jak człowiek. Przestań. Anonimowie nie mieli nic do ukrycia.

Dostawca zaśmiał się tak głośno, że wystraszył kilka niezdarnych ptaków ze szczytów drzew.

– Naprawdę dobrze ukryli mechanizm transcendencji, co nie?
– Nie jest ukryty, tylko my nie wiemy, jak na to spojrzeć, gdy ma się ich percepcję.

– To brzmi jak argument desperata.

Albo gorzej, kogoś mającego zwariowaną obsesję.

– Synu, idziesz z potworem przez las na obcej planecie, mając nadzieję, że cię to zaprowadzi do rodziny. Więc, proszę, nie mów mi o desperacji, dobra?

– Dobra. Ale wyjaśnij jedno: po co otwierać wormhol celujący w środek gwiazdy? Po drugiej stronie unicestwiłby planetę.

– To wormhol o zerowej średnicy, nic fizycznego przez niego nie przejdzie.

Dostawca doskonale sobie wyobrażał twarz Gore'a, gdy na złotej skórze przy oczach powstają drobne zmarszczki irytacji i zakłopotania.

– Dobrze, ale jaką informację może uzyskać z gwiazdy?

– Nie bezpośrednio z gwiazdy. Musi tam być jakiś czujnik unoszący się pod koroną. Albo głębiej. Wiemy, że oni uwielbiają eksperymenty badawcze.

– Owszem, ale pamiętaj, że jest nam potrzebny efekt końcowy. – Próbował się domyślić, jakie będzie następne pytanie Gore'a. Zniecierpliwienie wisiało w powietrzu.

– Kiedy wreszcie tutaj dotrzecie? – spytał Gore.

Dostawca uśmiechnął się do drzew.

– Za jakieś pięć godzin.

– Na litość boską!

– Mamy niezłe tempo – oponował Dostawca. – Tyżak nie należy do najmłodszych we wsi.

– Dobra. Poczekam.

Dostawca na wszelki wypadek nie wspomniał, że za pięć godzin dotrą zaledwie do granic miasta.

Zmierzch już wyssał z nieba witalność, gdy zaczęli marsz przez płaski, porośnięty trawą teren na obrzeżach miasta. Ta droga w osobliwy sposób denerwowała Dostawcę. W odróżnieniu od

ludzkich miast, tutaj zabudowa nie narastała stopniowo; granica strefy zurbanizowanej była wyraźnie zarysowana. W jednej chwili miał pod stopami podejrzenie płaski i jednolity teren trawiasty, a następny krok stawał na betonopodobnej ulicy i widział przed sobą bulwiasty drapacz chmur strzelający w popielate niebo. Wszędzie zapalały się światła. Potężne budowle nie miały okien jak w domach człowieka, ale częściowo przezroczystą powłokę. Dostawca usiłnie się w nią wpatrywał i wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch w delikatnych morowych włóknach, którymi przepleciona była powłoka; wyglądało to jak bardzo wolno poruszający się płyn. Wtedy się zorientował, że to technicznie zawansowana wersja membrany, jaką zauważył w wiejskich chatach anominów.

Im głębiej wchodzili w miasto, tym bardziej ciemniało niebo. Po kilku minutach otaczały ich masywne budowle. Dostawca, od czasu gdy dotarli do tego układu planetarnego, widział wiele miast anominów, więc ani układ miasta, ani sylwetki gmachów nie wywoływały w nim niepokoju. A jednak w towarzystwie Tyzaka inaczej wszystko postrzegał. To miejsce było... wcale nie tak opuszczone, jak się wydawało. Ciepłe, miękkie światło rozjaśniało ulice, tworząc mieszaninę wielobarwnych cieni tańczących po powierzchniach. Wielokrotnie miał wrażenie, że kątem oka dostrzega, jak cienie trzepoczą. Wrażenie, że jest obserwowany, było tak przemożne, że w końcu Dostawca kazał swej biononice zapuścić skanowanie polowe.

Nic nie wykazało, ale chłodna logika nie mogła rozwiązać trapiącego go poczucia.

– Czy macie opowieści o duchach? – spytał Tyzaka.

– Twoja maszyna tłumacząca ma problemy z tym słowem. Czy masz na myśli esencję, która nadal istnieje, gdy ciało umarło?

– Tak.

– Są historie o naszych przodkach, którzy przenieśli swoje myśli do maszyn, żeby nadal istniały, gdy ich biologiczne ciała się zepsują.

– Tak, ludzie to robią, ale nie o to mi dokładnie chodziło. Chodzi mi o istnienie bez formy fizycznej.

– Właśnie tam poszli po oddzieleniu. To sposób, jakiego szukasz.

– Nie. Niezupełnie. To coś z naszych legend, opowieści, które mogą być fikcją. Są nonsensowne, ale nadal trwają.

– Nie mamy opowieści o takiej rzeczy.

– Rozumiem. Dziękuję ci.

Tyzak sadył szybkie, długie susy i nawet się nie oglądał, by spojrzeć na Dostawcę.

– Ale to miasto przemawia do mnie małymi opowieściami.

– Naprawdę?

– Nie dźwiękiem. Ale jednak głosem.

– To interesujące. Jaką historię ci opowiada?

– Dokąd nasi przodkowie stąd wyjechali. W ten sposób znajdziemy to miejsce.

Dostawca chciał powiedzieć: „Ale wy przecież nie używacie maszyn”. Ponieważ wiedział, czym musi być komunikacja – przesyłaniem do czegoś w rodzaju klastrów wielokomórkowych, małą modyfikacją genetyczną, której anominowie pozostali na planecie mimo wszystko u siebie nie usunęli.

– Znów zrobiliśmy jakieś założenia – rzekł Gore. – Myśleliśmy, że Tyzak zna mechanizm transcendencji. Ale on chyba musi spytać jeszcze działające sztuczne inteligencje.

– Nie – powiedział Dostawca. – Nie zrobiłby tego. Dość dobrze go poznałem zeszłej nocy. Prędzej dałby się rozszarpać przez dzikie zwierzęta, niż użyłby odpowiedniej broni. To coś innego. – Dostawca zapuścił wszechstronne skanowanie polowe. – Nie ma żadnej transmisji, ja przynajmniej niczego takiego nie wykrywam. Mimo to przechodzą mnie ciarki po plecach w tym miejscu. Byłeś tu dwa dni. Czy nic cię nie zaniepokoiło?

– Duchy i gobliny? Nie.

Cały Gore, pomyślał Dostawca. Miasto ciągle wzbudzało niepokój, a Tyzak otrzymywał pewnego rodzaju informacje w taki sposób, że biononika Dostawcy nie mogła tego wykryć. Przeprowadził skanowania. Dźwiękowe. Chemiczne. Elektromagnetyczne. Wizualne/podprogowe. Mikrobiotyczne. Wibracyjne. Wszelkie zakłócenia, jakie ludzkie ciało mogłoby

odebrać jako dyskomfort.

Miasto nie wykazywało aktywności pod żadnym względem. A przecież gdy poprzednio Dostawca zwiedzał miasta anominów bez towarzystwa Tyzaka, niczego podobnego nie wyczuwał. Zatem jeśli zjawisko nie jest wywołane czynnikiem zewnętrznym... Całkowicie otworzył swoje gajafejsy i przeszukał własne myśli.

Znalazł to. Wisiąco poza zasięgiem jak obcy sen na obrzeżach gajafery generowanej przez gniazda, jakie zostawili w górze na orbicie. Umysł, ale spleciony z pojęć bardzo się różniących od tych, z jakich składa się ludzkie poznanie. Kolory, zapachy, dźwięki, emocje – wszystko było nie tak, rozbieżne z tym, co uznawał za poprawne.

– Cześć! – powiedział do tego.

Nastąpiła reakcja, był tego pewien. Warstewka dziwnych myśli skręciła się i obróciła. Powstało nawet słabe odczucie – nie myśl, nie wspomnienie, ale wrażenie: jakby zwierzę zwinięte do snu bardziej się skurczyło, gdy coś je szturchało.

Możemy się nawzajem zrozumieć.

Miasto tego nie chciało, bo on nie był częścią miasta, nie był częścią tego świata. Nie należał tu, nie kojarzył. Był obcy. W sennym umyśle nie było żalu ani nawet wrogości. Miasto nie miało na jego temat żadnych opinii; po prostu wiedziało, że on nie jest jego składnikiem ani jego celem.

– SI jest oparta na neuronach – powiedział do Gore’a. – Czuję ją w gajasferze. Jest semiaktywna, ale może reagować tylko na umysł anominów. Nigdy nie wydobędziemy z niej żadnej informacji.

– Cholera.

– Co za paradoks: jedno życzenie, jedna myśl tubylca i całe miasto ożywi się, dając im życie, jakiego już nawet sobie nie wyobrażają. A mimo to zadowolają się filozofią „byłem-już-tu-widziałem-to”.

Szli długim bulwarem coraz bardziej stromo pod górę. Smukłe łuki łączyły budynki po obu stronach, każdy łuk świecił jednolitą barwą, jakby nawinięto na nie rozdzielone pasma tęczy. W

egzowizji Dostawcy pojawił się plan miasta.

- Wiesz, idziemy w twoim kierunku.
- Taa, widzę to.
- Co więcej, idziemy prosto na ciebie. To nie może być przypadek.
- Synku, już przestałem się dziwić czemukolwiek, co nam serwuje ta planeta.

Kolejną godzinę nawigowali szerokimi ulicami. Tyzak szedł niezmordowanie, jednak pod koniec wykonywał susy już nie z taką energią jak rano. Nawet wspomagane biononiką mięśnie Dostawcy zaczynały wykazywać przeciążenie. Maszerowali już piętnaście godzin z kilkoma tylko krótkimi przerwami.

Landrynkowe rozproszone światło z budynków blokowało widok gwiazd. W końcu wyszli na otwarty plac w kształcie koła o średnicy siedmiuset metrów, otoczonego przez długie segmenty ogrodów gęstych zielonoszarych krzaków. Wieżowce i wydłużone kule ponadkilometrowej wysokości wyrastały na obrzeżach – sprawiały wrażenie, że pochylają się troskliwie nad placem.

Lekko absurdalne otoczenie dla „Ostatniego Wyskoku”, ale Gore tu wylądował, na skraju placu, w pobliżu opuchniętego walcowatego wieżowca o tępo zakończonym ciemnym zwieńczeniu. Złoty mężczyzna już kroczył ku nim przez plac na powitanie. Rzucił we wszystkie strony wielobarwne, rombowe cienie, które poruszały się wraz z nim jak płatki. Stał pośrodku placu i elegancko skłonił się staremu anominowi.

- Tyzaku, jestem zaszczycony, że poświęcisz czas, by opowiedzieć historię odejścia waszych przodków.

Dostawca uniósł brwi – zorientował się, że ostre, świergoczące dźwięki języka anominów wychodzą bezpośrednio z krtani Gore’a.

- To radość, że mogę to zrobić – odparł Tyzak. - Twoje zabarwienie jest inne. Jesteś bardziej zaawansowany od swojego kolegi?

- Nie, w tej postaci nie. Moje ciało pochodzi z dalekiej przeszłości. Okoliczności zmusiły mnie, bym je znów przybrał.

- Cieszę się, że to zrobiłeś. Jesteś interesujący.

- Dziękuję. Czy możesz nam powiedzieć, skąd opuścili tę planetę wasi najbardziej wyrafinowani przodkowie?

Dostawca omal się nie skrzywił na tę obcesowość.

- Właśnie stąd – odparł Tyzak.

Gore wycelował złoty palec w matowo-szklaną powierzchnię placu.

- Stąd?

- Tak.

Gore zatoczył pełny okrąg, patrząc niemal z wściekłością na świecąca powierzchnię placu.

- Więc dokładnie stoimy na maszynie, która zmieniła ich do ostatecznej postaci?

- Tak.

Biononika Dostawcy przeprowadziła głębokie skanowanie połowe materii, którą miał pod stopami. Gore robił dokładnie to samo. Plac był solidnym walcem sięgającym prawie pięćset metrów w głąb skalnego podłoża miasta. Miał dziwną strukturę atomową – pasma i warstwy wzbogaconych długołańcuchowych cząsteczek skręcały się i zwijały, wzajemnie przeplatały jak smugi dymu szarpane przez huragan. Wszystkie były zimne i inertne. Wydawało się jednak, że w minimalnym stopniu wpływają na podstawowe pola kwantowe. Efekt ten był tak mały, że prawie niezauważalny.

Dostawca nigdy czegoś podobnego przedtem nie widział. Smartkor na pewno nie potrafiłby zidentyfikować ani tego, ani żadnych funkcji, które ta dziwna molekularna struktura wytwarzałyby w stanie aktywności. Gdy otworzył swoje gajafejsy, wyczuwał łagodne myśli mechanizmu transcendencji, nawet bardziej abstrakcyjne od umysłu miasta. Zaklął zniechęcony, bo wiedział, że nigdy nie zaistnieje związek między tym a człowiekiem. Potrzebny jest Tyzak lub ktoś z jego gatunku, by nakłonić mechanizm do odzyskania świadomości i funkcjonalności.

- Naprawdę nie chcieli, by ktoś poszedł w ich ślady - powiedział zamyślony Gore.

- Wszystko na to wskazuje.

- Hmm... A teraz pojawiłem się ja. No dobrze. - Oparł dłonie na biodrach i spojrzał w górę na Tyzaka. - Proszę, poproś maszynę, żeby włączyła się dla mnie.

- Maszyna, która oddzieliła naszych przodków od nas, nie jest częścią mojego życia. Spełniła swój cel. Planeta ma dla nas inne przeznaczenie.

- I tylko tyle? To twoje ostatnie słowo?

- Jak mogłoby być inaczej?

- Galaktyka może zostać zniszczona, jeśli nie ustalimy, w jaki sposób wasi przodkowie opuścili ten wszechświat.

- Tej historii nie powtórzyłbym na żadnym zgromadzeniu. W naszym świecie brakuje do niej podstaw.

- A jeśli potrafiłbym dowieść, że jest prawdziwa?

- Jeśli to czeka naszą planetę, to znaczy, że to samo czeka również nas. Planeta nas dźwiga.

- Pieprzony fatalista - burknął Gore.

- Co teraz? - Dostawcy trudno było wytłumaczyć w głosie ton porażki.

- Przestań biadolić, zacznij myśleć. Po prostu musimy się do tego włączyć, to wszystko.

- Włączyć się?

- Do sieci sterującej, nie do maszyny jako takiej. Jeśli kontrolujesz wyłącznik mocy, rządzisz. Kropka.

- Tu nie ma mowy o procesorze sterującym. Urządzenie jest skrzyżowaniem gniazda konfluencyjnego z siecią meta-sześcienną. Nie można jej skorumpować, to cholera jest pół rozumne, pół ożywione.

- W takim razie fizycznie przetniemy połączenia i wstawimy do mechanizmu nasze własne układy sterujące. Teraz się zamknij. Czy przeprowadziłeś przegląd porównawczy innych wykrytych przez nas pięćdziesięciu trzech wormholi o zerowej średnicy?

- Co? Ja... nie.

- To posłuchaj, co jest grane. Każdy z nich znajduje się przy

otwartej przestrzeni podobnej do tego placu. Inaczej mówiąc, na tej planecie są przynajmniej pięćdziesiąt cztery mechanizmy transcendencji. To logiczne. Było bardzo wielu wysoko rozwiniętych anominów i trudno, żeby się zebrali w jednym punkcie, zwłaszcza jeśli rzeczywiście wszyscy powrócili z planet-kolonii. Podniesienie do stanu postfizycznego musiało trwać długi czas.

– Jestem pewien, że trwało długo.

– Dobrze. Jak oni to zasilali? Jeśli podciągasz się do statusu archanioła, potrzeba na to mnóstwo energii, zwłaszcza jeśli używasz do tego maszyny, która ma prawie pół kilometra sześciennego obwodów scalonych. – Odwrócił się w stronę bulwiastej budowli górującej nad „Ostatnim Wysokiem” i pogroził jej palcem. – Ale jeśli masz kabel podłączony bezpośrednio do najbliższej gwiazdy, to zasilanie jest twoim najmniejszym zmartwieniem.

– Aha, wormhol nie przenosi informacji...

– W żadnym razie. W fotosferze, a może głębiej, pływa syfon energii i przekazuje całą potrzebną moc wormholem o zerowej średnicy. Dobra, mnie to wystarcza. Lepiej sprawdźmy, czy syfon nadal tam jest.

Przez chwilę żadne słowa nie przychodziły Dostawcy na usta.

– Po co?

– Czego z mojego podejścia „nie poddaję się łatwo” nie możesz zaakceptować?

– Wormhol nie jest przedłużony. Wszystko jest sterowane przez maszyny mające własną psychikę, a to jest psychika nam przeciwna.

– Powoli. Najpierw wszystko sprawdzimy. Jeśli wszystko jest nadal w trybie gotowości, tak jak oni to zostawili, to wdrożymy strategię infiltracji. Człowiek stworzył najsprytniejszy software w Galaktyce, nasi specjaliści i maniacy mieli tysiące lat na doskonalenie swoich znamienitych dzieł. Niech Bóg ich błogosławi. I obstawiam, że są najlepsi ze wszystkich. A już na pewno od tak uroczej i szlachetnej rasy jak ta.

– Ale nie mamy ze sobą żadnego... – Dostawca dostrzegł wyraz

złotej twarzy Gore'a i jęknął. Zrozumiał.

- A jeśli nie uda mi się przywrócić czegoś tak kurewsko prostego jak zdeenergetyzowany wormhol, to jestem trupem i właśnie diabli wiodą mnie na pokuszenie. Teraz idziemy. - Ruszył przez plac w stronę „Ostatniego Wysoku”.

- Odlatujecie? - spytał Tyzak.

- Tylko na krótko - zapewnił Dostawca sędziwego anomine. - Musimy polecieć i coś sprawdzić. To zajmie niecały dzień. Poczekasz tu?

- Chcę usłyszeć zakończenie waszej historii. Zostanę tu przez pewien czas.

Dostawca miał ochotę wygłosić przeprosiny, ale powstrzymał się i pośpieszył za Gore'em.

W czasie gdy nurkowali w hiperprzestrzeń, a potem wyłonili się trzy miliony kilometrów od fotosfery gwiazdy, moduł kulinarny wytworzył risotto cytrynowe z kawałkami podsmażonych warzyw. Lizzie często to gotowała - stała przy piecu nad wielką patelnią, przez pół godziny wlewała wino i dodawała bulionu, a oni sobie rozmawiali o wydarzeniach dnia. Dostawca kazał modułowi przygotować talerzyk chleba czosnkowego, potem starł dodatkową porcję parmezanu na parujący ryż. W takich wypadkach Lizzie zawsze protestowała, uważała, że ser przytępia smak warzyw. Gore pokręcił głową, gdy Dostawca podsunął mu miskę.

- Cały czas martwisz się o Justine? - spytał Dostawca.

- Nie, nie martwię się o Justine - warknął Gore. - Jesteśmy nadal dość głęboko wewnątrz zjawiska czasowego, które jest jej potrzebne na dotarcie do Querencji.

- No dobrze.

- Nawet jeśli coś się stało, to nie możemy wysłać misji ratunkowej.

- Jeśli ta jędza Araminta nie przekona Władcy Niebios, żeby porzucił „Silverbirda”, to nie sądzę, żeby coś przeszkodziło Justine w locie.

– To i tak by nie powstrzymało mojej Justine. Najwyżej trochę ją spowolniło, nic więcej. Nie masz pojęcia, jaka potrafi być uparta.

– Ciekawe po kim to ma?

– Po matce. – Gore przesłał mu lekki uśmieszek.

– Serio?

– Nie mam pojęcia. Dopilnowałem, żeby to wspomnienie poszło na złom tysiąc lat temu.

Dostawca włożył do ust kromkę chleba czosnkowego i musiał zasysać powietrze, żeby ją ochłodzić.

– Nie wierzę.

– Synu, nie jestem postacią z jakiejś pieprzonej opery mydlanej. Nie mogę sobie na to pozwolić. Mój poziom bagażu emocjonalnego wynosi zero. Nie miałem do czynienia z tą kobietą od czasów, gdy Nigel obserwował, jak Dylan Lewis wykonuje swój imponujący krok.

– Co takiego?

– Och, ta dzisiejsza młodzież! Lądowanie na Marsie.

– A, jasne.

Gore westchnął z irytacją.

Dostawca nie był pewien, jaka część tego spektaklu jest specjalnie dla niego. Gdy nabierał widelcem porcję risotta, „Ostatni Wyskok” znów wyłonił się w czasoprzestrzeni. W jego egzowizji natychmiast wyskoczyły ikony ostrzegawcze wraz z serią danych z czujników zewnętrznych. Szybki przegląd statusu pokazał, że pola siłowe dadzą sobie radę z obecnym poziomem ekspozycji na promieniowanie i temperaturę. Hiperradarowe obrazy korony i fotosfery były rozmyte, zakłócone przez wielką grawitację gwiazdy. Nawet rezonans pola kwantowego był zdegradowany.

– Musimy podlecieć bliżej – stwierdził Gore.

Dostawca wiedział, że nie ma co z tym dyskutować. Pomknęli w kierunku gwiazdy z przyśpieszeniem dziesięciu g. Miał tylko nadzieję, że Gore nie będzie próbował zmierzyć się z żarem. Niewykluczone, zważywszy na to, w co wyposażony był złoty mężczyzna.

W odległości dziesięciu milionów kilometrów od gwiazdy nie

było strażników granicznych. Kilku z nich strzegących tej sekcji Układu Słonecznego anominów nie okazywało zainteresowania ich lotem. Nie wykryli również stacji innego typu, tylko chmurę śmieci asteroidalnych i wypalone jądra komet. Najbliższym dużym obiektem była planeta najbardziej wewnętrzna, siedemnaście milionów kilometrów od gwiazdy – wyschnięta skała, na której dzień trwał trzy i pół razy dłużej niż rok, wskutek czego w południe jej powierzchnia była na wpół stopiona. I tylko statek, który śledził ich od Bliźniaków Lwa, wykazał jakies zainteresowanie ich lotem badawczym; utrzymywał od nich stały dystans pięciu milionów kilometrów i cały czas pozostawał w trybie maskowania.

Bezpieczną granicę zdolności odchylenia promieniowania „Ostatni Wyskok” osiągnął mniej więcej milion kilometrów nad pulsującą plazmą fotosfery – teraz płynęli w cienkiej, ultraniestabilnej koronie. Olbrzymie wstęgi plazmy wypływały łukiem ze strasznego nuklearnego wiru poniżej, rozdzielały się na wystrzępione tajfuny cząstek gnających po liniach strumienia magnetycznego, grożąc zagarnięciem małego statku.

Czujniki sondowały to piekło, szukając anomalii w przegrzonym wodorze. Statek wykonał pełny oblot gwiazdy po orbicie równikowej, potem lekko się od niej odchylił i skanował kolejną sekcję powierzchni gwiazdy. Osiem orbit później znaleźli.

Soczewkowe pole siłowe dwa tysiące kilometrów pod powierzchnią strefy konwektywnej. Hiperradar ujawnił, że pole ma pięćdziesiąt kilometrów szerokości. Intensywna manipulacja grawitonowa utrzymywała je w miejscu, nie dopuszczając, by siła prądów wodoru wypchnęła je do fotosfery z prędkością stanowiącą znaczny procent prędkości światła.

– To na pewno nasz syfon mocy – stwierdził Gore.

Hiperradar pokazał im dziwne wzorce linii sił pola opływających dysk. Pole siłowe wydawało się nieco porowate, dzięki czemu na brzegu materia sączyła się do środka.

– Dlaczego nie stosują konwertera masa-energia? – zastanawiał się Dostawca.

– Sprawdź emisję neutrin; jedynie konwerter masa-energia da

tego rodzaju odczyty – stwierdził Gore. – Spójrz, obecnie zajmuje się wyłącznie stabilizacją pozycji. Zobacz, ile masy przekształca tylko w tym celu, ponieważ pewne jak komuch marudzący o równości, potem to, co jest pobierane, nigdzie nie wypływa. To największy za wszystkich konwerterów z turbonapędem.

– Dowiedliśmy, że to istnieje i nadal działa. Co teraz?

– Nasze pola siłowe nawet połowicznie nie rozwiążą sprawy, ale możemy się tam dostać i zinfiltrować tylko w jeden sposób: zlecieć w dół i połączyć, może nawet zadokować, a przynajmniej przyczepić się i zacząć wiercić w jego mózgu.

Dostawca spojrział na niego z lekkim przestraszonym.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Żałuję, ale nie, synku. Nie panikuj, replikator, który mam na pokładzie jest najwyższej klasy. Będziemy musieli wyprodukować zaawansowane generatory pola siłowego, żeby podnieść standard obrony „Ostatniego Wysoku”. Kiedy osiągną standard Gwiezdnego Nurka, opuścimy się w strefę konwektywną i przełączymy moc znów na mechanizm transcendencji. Cóż... gdy mówię „my”, mam na myśli ciebie.

– To robi wrażenie – powiedziała Catriona Saleeb.

– Tak.

Troblum nareszcie był zadowolony. Patrzył na pozbawiony cech szczególnych strój: matowoszarą zbroję o owalnym hełmie niemal dotykającym sufitu kabiny. Był duży, dodawał mu do postury dwadzieścia pięć procent. To nie miało znaczenia. Pasy elektromięśniowe mogły go z łatwością przemieszczać. Chodzenie będzie się odbywać bez wysiłku. Również latanie dzięki wbudowanej małej jednostce regravowej. Oczywiście nie było żadnych broni. Nie potrafił nawet myśleć w tym kierunku. Ale systemy obronne... Będzie bezpieczny w każdych okolicznościach. Innymi słowy może nawet stawić czoło Kotce i nie dać ciała, jak wtedy na Sholapurze.

Coś takiego powinienem skonstruować już dawno temu.

Na jego rozkaz dwa małe boty montażowe wpełzły pod strój

niczym przeskalowane pająki i czmychnęły. Troblum sięgnął do stołu po kanapkę z wędliną i sałatą.

Displej egzowizji wyświetlił mu Szpikulec, teraz oddalony zaledwie o trzy lata świetlne. Jego mechanizm kotwiczący tworzył olbrzymie zakłócenia, rozciągające się w czasoprzestrzeni i odkształcające pola kwantowe. Troblum uznał, że to fascynujące zjawisko. Coś zupełnie innego od ludzkiego hipernapędu. Niestety, „Odkupienie Mellanie” nie miało odpowiednich czujników, które mogłyby przeprowadzić wszechstronne skanowanie.

Zjadł kanapkę, popił holenderskim lagerem i zaczął wkładać zbroję. Gdy się wygodnie w niej lokował, statek wypadł z hiperprzestrzeni dwa tysiące kilometrów od zwróconej ku słońcu strony Szpikulca. Czujniki wizualne pokazywały fantastyczny zakrzywiony trójkąt obłożony metalicznymi komorami połyskującymi w jasnym świetle słońca – wyglądały jak srebrne pęcherze. Między nimi wiły się ciemne rury w skomplikowanych skrętach. Troblum natychmiast zrozumiał, dlaczego załoga statku floty, odkrywszy ten obiekt, uznała go za największy statek kosmiczny w Galaktyce – jego kształt był faktycznie aerodynamiczny. Po każdej stronie tego gigantycznego habitatu obcych przestrzeń była wypełniona niewyraźnym migotaniem Gorącego Pierścienia wychodzącego łukiem w nieskończoność; to wzmacniało wrażenie, że obiekt zastygł w połowie etapu wyłaniania się z podprzestrzeni.

Obleciał obiekt po słonecznej stronie, przyśpieszając, żeby zrównać swoją prędkość z nienaturalnym wektorem orbitalnym Szpikulca. Jasne błyski niebieskobiałego światła słonecznego odbijały się od lustrzanych faset żagłokształtnika, gdy „Odkupienie Mellanie” sunęło nad jego nierównymi segmentami. Czujniki skanowały lądowiska na serpentynach rur transportowych, w których panowało sprzyjające człowiekowi środowisko, i szukały specyficznej sygnatury. „Odkupienie Mellanie” na pewno nie byłoby w stanie jej wykryć, gdyby byli w trybie maskowania podczas lotu; Troblum miał nadzieję, że tamci właśnie przybyli na czas.

– Mamy ich – powiedział w końcu.
– Statek Oscara? – spytała Catriona.
– Taa... Wylądowali blisko Octoronu. Można się było spodziewać. To największe ludzkie osiedle. – Kazał smartkorowi wyznaczyć miejsce na pustym lądowisku dwa kilometry od statku Oscara. Gdy tylko wylądowali, włączyło się słabe, lokalne pole grawitacyjne, ale Troblum na wszelki wypadek nie wyłączał ultranapędu. Smartkor wycelował laser komunikacyjny w statek, który śledził od Wielkiej Wspólnoty. – Chciałbym mówić z Oscarem Monroe – poprosił, gdy jego u-adiunkt potwierdził, że połączenie zostało zaakceptowane.

– A ty to na pewno Troblum – rzekł Oscar.

Aż się wzдрыgnął pod wpływem gwałtownego impulsu strachu na dźwięk własnego imienia. Elektromięśnie wzmocniły ten odruch. Hełm zbroi uderzył o sufit kabiny. Procedury podrzędne natychmiast przygotowały rozkaz, by „Odkupienie Mellanie” popędziło prosto w hiperprzestrzeń i uciekło. Wystarczyła pojedyncza myśl, by to zainicjować.

– Skąd znasz moje imię?

– Paula Myo przypuszczała, że spróbujesz nawiązać kontakt.

– Skąd wiedziała...? – Nawet nie dokończył pytania. Zrozumiał, że RI go zdradziła i powiedziała Pauli.

– Do cholery, nie wiem – rzekł Oscar. – Napędza mi strachu, a znamy się od dawna. A ty z kolei skąd wiedziałeś, że lecę „Rewanżem Elvina”?

– Tak się nazywa twój statek? Jaki on był?

– Adam? Jak ja, zagubiony jak tylko prawdziwie młodzi ludzie mogą być zagubieni. O to chciałeś zapytać?

– Nie. Może byłbym w stanie pomóc.

– W jaki sposób?

– Wiem coś o Roju, pomagałem go skonstruować. Może Ozzie, Araminta i Inigo uznają, że to się przyda.

Zapadło długie milczenie.

– Jestem pewien, że by się przydało. Już skontaktowaliśmy się z Ozziem. Za dziesięć minut przylatuje kapsuła, żeby nas odebrać przy naszej służbie. Może byśmy zaraz potem podlecieli do ciebie,

co?

– Dobrze. Czekam na was.

Potem stał na bezkresnej, zaśnieżonej tundrze, zupełnie nagi, a jednak nie czuł bólu. W dali złowrogie szczyty gór strzegły granicy surowego, lodowego kraju, stanowiły geologiczny mur między cywilizacją a dzikim terenem, skąd pochodził. Nie czuł zimna, choć smagał go ostry wiatr niosący płatki śniegu. Przecież to był jego dom, jedyne schronienie przed cierpieniem, jakie niosło mu życie w innych rejonach.

Był dzień, ale słońce chowało się za niskimi szarymi chmurami przesłaniającymi całe niebo. Szedł po zmarzniętym gruncie, stopy zostawiały wyraźne wgniecenia na twardo upakowanym śniegu. Gdzieś z dala, spośród wzgórz surowego krajobrazu, dobiegł go tupot i parskanie koni. Nagle zza odległej grani wyłoniło się dzikie stado wielkich zwierząt; kiwały potężnymi łbami i siekły rogami mroźne powietrze. Uśmiechnął się zachwycony, wspominając czasy, gdy pędził na nich wierzchem dla czystej przyjemności, podróżował do sąsiednich wsi, spotykał się z przyjaciółmi, ćwiczył umiejętności jeździeckie i sformalizowane, starodawne techniki walki, chcąc osiągnąć mistrzostwo jak wszyscy młodzi. A potem...

To nie śnieg muskał go po twarzy. Chwytał wolno dryfującą w powietrzu cząsteczkę – rozpadła mu się między palcami. Popiół. Spod stóp, przy każdym kroku po miękkim podłożu, wznosił się pył. Popiół pokrywał ziemię, dusił trawę i drzewa. Niszczył bogaty, życiodajny teren. Płaszcz popiołu zleciał z wysokiego wzgórza, które okazało się ciałem olbrzymiego, skrzydlatego stworzenia. Pióra opadły jak jesienne liście, odsłaniając suchą skórę naciągniętą na solidny szkielet.

– Nie! – krzyknął. Królewskie orły należały do najokazalszych stworzeń na Far Away. Mnóstwo razy siedział okrakiem na orle i szybował pod wspianiałym, szafirowym niebem.

Pomarańczowe światło migotało nad zdewastowanym krajobrazem. Odwrócił się i zobaczył, jak góry wybuchają, ostre

szczyty rozpadają się i wypływa z nich lawa. Wielkie pióropusze eksplodują, dławiają niebo, prą dalej.

Na dywanie z popiołu widniały ślady stóp. Fetor palonego ciała narastał. Mężczyzna myślał, że zakrztusi się od mdłych wyziewów.

– To nie twoje sanktuarium – powiedziała. – Ja cię tu wychowałam. Tu jest twoje serce. To jest moje. Ty jesteś mój.

Nie mógł się odwrócić. Nie mógł spojrzeć jej w twarz. Bo to by oznaczało, że przegrał, że oładną nim ból i chora miłość.

Złote słońce rozchodziło się przez całuny duszących popiołów. Padła na niego samotna, płomienna smuga. Osłonił przed nią oczy i skulił się trwożnie.

– Daj spokój, synu – usłyszał łagodny głos. – To jest właśnie droga. To twoja przyszłość. Twoje odkupienie.

Chmury popiołów gwałtownie się nad nim kłębiły, przybierały kształt. Piękne złotawe światło nadal świeciło. Rozłożył ramiona, sięgając do...

– Nie! – Aaron obudził się i natychmiast usiadł, młóćąc rękami cienkie prześcieradło, którym był owinięty. – Pierdolone gówno! – Pocił się obficie oblepiony jedwabną tkaniną.

Sypialnia znajdowała się na piętrze domu Ozziego. Pojedyncze łóżko na środku, parę prostych, drewnianych mebli, okno szczelnie zamknięte dużymi okiennicami. Ale przy brzegu sączyło się światło. Dzięki temu zobaczył...

– Cholera! – jeknął.

Na końcu łóżka siedziała Myraian z podwiniętymi nogami i patrzyła na niego uważnie. Dziś miała zielono-niebieskie włosy. Fioletowe skóroświatło przenikało przez luźny top z białej koronki.

– Tracisz – powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Spojrzał podejrzliwie na jej kły. Wprawdzie spał przedtem, ale niemożliwe, żeby udało jej się do niego podkraść, biononiki by to odkryły. Taktyczne procedury podrzędne powinny go poinformować o każdym naruszeniu przestrzeni osobistej i przekazać mu instynktowną wiedzę, gdy się obudził. Do diabła, nawet instynkty naturalne powinny zadziałać. Od dawna nie był

tak zaskoczony. Niedobrze.

– Co tracę? – spytał kwaśno.

Biononika skanowała otoczenie, upewniając się, czy nie czai się jakaś niespodzianka w rodzaju uzbrojonego po zęby chikoya, oczekującego na dole na śniadanie.

– Zmysły.

Chrząknął i sturlał się z łóżka. Wyzwolił się w końcu z prześcieradła.

– Czyli dołączam do was.

– Śniłeś o domu, gdy ona po ciebie przyszła. Nie możesz się już dalej wycofać. Wycofanie w dzieciństwo będzie coraz gorzej chroniło. Żadne dziecko nie mogłoby się jej przeciwstawić.

Aaron zamilkł. Sięgnął po spodnie, które uszył my replikator Ozziego.

– Jej, czyli komu?

Zachichotała piskliwie.

– Jeśli ty tego nie wiesz, ja nie mogę wiedzieć.

– Jasne. – Próbował otrząsnąć się ze snu. Ale to było coś więcej niż sen i oboje o tym wiedzieli. Ponadto niepokoiło go to na podstawowym poziomie. Coś głęboko w jego umyśle było nie tak. Tej wojny nie rozumiał i z pewnością nie istniał taktyczny odwrót.

Chyba że znowu przejdę do stanu podstawowego.

Dzisiaj jednak potrzebne będą cierpliwość i dyplomacja. To nie były jego mocne strony, nawet przy włączonych wszystkich zdolnościach.

Myraian zeskoczyła z łóżka, wygięła do tyłu ramiona i splótła palce za plecami. Kiwała głową na boki w takt jakiegoś niesłyszalnego rytmu. Na Aaronie nie robiły wrażenia jej wygibasy à la księżniczka wróżek. Podejrzewał, że coś ukrywa.

– A więc jesteś fizykiem? – spytał.

– Jestem odpowiednia dla swojego Ozziego – odparła charakterystycznym głupiutkim głosikiem.

– Jasne. – Włożył czarny T-shirt.

– Powinieneś kogoś mieć. Wszyscy powinni. Aaronie, ten wszechświat nie jest dla samotników. Ponadto potrzebujesz

pomocy, żeby ją powstrzymać.

– Pomyślę o tym. – Włożył stopy w buty. Półorganiczne cholewki wzniosły się do kostek i zacisnęły.

– Są tu.

– Co?

– Statek. Oscar dzwonił jedenaście minut temu.

U-adiunkt powinien był monitorować sytuację i zawiadomić go o tym. Aarona niepokoiła ta seria taktycznych porażek. To nie mógł być całkowity przypadek.

– Super. Powiedział, kogo ze sobą przywiózł?

– Nie, ale mam ich tu sprowadzić. Zaraz wracam.

Chciał z nią jechać i osobiście powitać statek, ale nie mógł opuścić Iniga. Naraziłby go. Nie miał wyjścia, musiał czekać i zaufać Myraian.

To jak oksymoron.

Na dole w kuchni Ozzie i Inigo siedzieli przy dużym stole. Brudne talerze i sztućce zsunęli na bok. Ozzie pił kawę, Inigo trzymał kubek gorącej czekolady. Corrie-Lyn z bardzo znudzoną miną półyżęła na miękkiej starej sofie w rogu.

– Prapradziadek ze strony mojej matki rzekomo nazywał się Brandt – opowiadał Inigo. – Matka wspominała, że jej babka miała jakiś fundusz powierniczy, gdy rodzina mieszkała na Hanko. Nie wiem, co z tego to bajki o starej ojczyźnie i lepszym życiu dawno temu. Jeśli jakieś pieniądze kiedykolwiek istniały, zostały stracone podczas Wojny Gwiazdokrażcy i przenosin na Anagaskę. Przez tymczasowy wormhol ludzie mogli zabrać tylko to, co fizycznie mogli ze sobą unieść. Gdy dorastałem, nie mieliśmy dużo pieniędzy. Może pochodziliśmy z Brandtów, ale tron tej rodziny zostawił nas, byśmy sobie sami radzili.

– Brzmi jak dynastia, co? – rzekł Ozzie.

– Ale ukryłeś historię rodziny. – Aaron podszedł do modułu kulinarnego. – Byłem w muzeum Iniga w Kuhmo i nic tam nie mówią o związkach z dynastią.

– Wiesz, dlaczego to zrobiłem – rzekł Inigo. – Urodziłem się jako Elewat. Moja matka została w zasadzie zgwałcona przez jednego z radykalnych aniołów, moja ciotka też. A co, miałem pozwolić,

żeby Wielka Wspólnota ślinała się przy historyjce rodzinnej? A na pewno by tak było, moim wrogom bardzo by się to podobało.

– Jasne, kumam. Ale nawet jeśli pokrewieństwo z Brandtami oznacza związki rodzinne ze statkiem kolonistów, to nie wyjaśnia najważniejszego: jak statek dostał się do Pustki.

– Przypuszczam, że tak samo jak Justine.

– Nie. Ona znalazła się blisko granicy. To musiało być coś innego, jakaś teleportacja na dużą odległość.

– Statek kolonistów z dynastii mógł się znaleźć bardzo blisko, jeśli próbowali szybkiej drogi na drugą stronę Galaktyki.

– Nic z tego. Raiele działają jak policja drogowa, od kiedy ich inwazja poniosła porażkę. Zawracają każdego, nim zdoła dotrzeć do Zatoki. Pierwszy był „Endeavor” Wilsona.

– Nie przeczę, ale równie bezsprzeczne jest to, że statek człowieka dostał się od środka. Na tym oparliśmy naszą nadzieję, że Pustka będzie mogła otworzyć jakiś rodzaj portalu do Wspólnoty.

– Zrozum, tu teoria upada z wielkim sykiem źle pachnącego powietrza. Skąd Pustka wiedziała, że statek kolonistów tam jest? Ma chyba poważne problemy z koncepcją „zewnątrza”.

– To Władcy Niebios mają trudności z tą koncepcją. Nie możesz tego samego powiedzieć o Sercu. Ono musi być znacznie bystrzejsze.

– Ale to sugeruje percepcję, która w zasadzie może sięgnąć wszędzie. Jeśli Pustka potrzebuje umysłów, dlaczego nie teleportuje każdego rozumnego osobnika z jego macierzystej planety, gdy tylko powstanie u niego sensowna myśl?

– To nie musi być percepcja. Araminta śniła Władcę Niebios. Inne połączenia też są dla Pustki dostępne.

– Nie należą do Pustki, oni się podłączyli do silfeńskiego Ostrowa Matki, żeby przykuć uwagę Araminty.

– To nie przeczy...

Aaron wziął przygotowane przez moduł kulinarny kanapkę z bekonem i kubek kawy i przysiadł się do Corrie-Lyn.

– Ciągłe się tym zajmuje, co?

– Aha, tak – mruknęła.

To już bite pięć dni. Inigo wielokrotnie próbował śnić Władcę Niebios, ale wysiłek okazał się dotychczas bezowocny. Między próbami on i Ozzie sprzeczali się o naturę Pustki i usiłowali wymyślić sposoby przedostania się przez granicę. Tego samego chciał Aaron, ale nie był przygotowany na te koszmarne nudne rozmowy. Co chwila wyskakiwali z jakimś niedorzecznym poglądem, nad którym długo się rozwodzili. Nie rozwijali konkretnych koncepcji, raczej życzeniowe pomysły. W ciągu czterech dni żaden z ich nie stworzył ani jednej użytecznej idei.

– Rozmawiałaś z Myraian? – spytał.

– A ona rozmawia? Z sensem? – Corrie-Lyn nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Właśnie, trafiłaś w sedno.

– Przez unisferę obserwowałam Wielką Wspólnotę.

– I co?

– Ostatni Sen nie cieszy się uznaniem. Nowa Rada Kleryków Żywego Snu uznała go za fałszywy, ale wszyscy znają myśli Iniga. Wśród wiernych powstał poważny rozłam. Nie spodziewałam się, że aż tak wielu ludzi będzie zaniepokojonych rezultatem podróży do Pustki.

– Ale przecież wszyscy we Flocie Pielgrzymki są w stazie.

– Owszem. Czyli efekt jest zbyt późny, zbyt niewielki. Potwierdziło się to, co myśleli o nas niewierzący, ale oni się nie liczą, jak zawsze. Żadna z załóg statków pielgrzymkowych nie wykazuje najmniejszych oznak rebelii.

– Ach, cóż, przynajmniej wszyscy możemy umrzeć z czystym sumieniem. – Ugryzł kawałek kanapki z bekonem. Za dużo było w niej masła, spływało po palcach.

Corrie-Lyn spojrzała na niego dziwnie, marszcząc uroczy nosek.

– To nowość.

– Co takiego?

– Wspomniałeś o możliwości porażki. Nawet jeśli to był dowcip. Nie sądziłam, że możesz myśleć w ten sposób.

– Próbuję się wydawać ludzki, próbuję cię uspokoić. Standardowa taktyka.

– Twoje sny znów stają się coraz bardziej przykre?

– Przyznaję, że spanie nie jest dla mnie teraz główną atrakcją. A może to również przejaw zbyt wielkiej słabości.

– Teraz postawa obronna? Chryste, jeszcze przełamamy to uwarunkowanie.

Coś go przełamie, pomyślał posępnie. Gdy się obudził, strach ustąpił dopiero po kilku minutach. To było coś nowego, że lęk z koszmaru sennego prześladował go aż na jawie. Kolejny aspekt jej wzrastającej siły.

– Módl się, żebyś jej nie przełamała – wymamrotał i znów spojrzął w stronę stołu.

– Myślę, że w końcu uda mi się dowiedzieć – rzekł Ozzie. – Ciągłe mam wpływ na to, co pozostało z dynastii Brandtów, ale twoje dziedzictwo to sprawa bez większego znaczenia. Nawet jeśli jesteś dawno zagubionym Brandtem, to nie wyjaśnia, jak statek kolonii dostał się do środka. Ponadto zwróć uwagę, jak wielu innych Brandtów pozostało we Wspólnocie. Dlaczego akurat ty jesteś wyjątkowy?

– Czy wiadomo, ilu Brandtów pełniło służbę na Stacji Centuriona?

– To nie ma znaczenia. Twój talent nie pozwala ci rozmawiać z Władcą Niebios, a to jest nam teraz potrzebne.

– Wiedza ma znaczenie. Każda teoria musi być zbudowana na fundamencie faktów.

– Jasne, stary, ale to zły fundament.

– Musimy uzyskać pełną informację na temat Pustki...

Aaron łąpczywie przełknął resztki kanapki.

– Wyjdę i poczekam na nich na zewnątrz.

– Nie dziwię ci się – powiedziała Corrie-Lyn.

Stał na werandzie, patrząc w stronę przytłaczającego, obcego miasta po drugiej stronie spokojnej zatoki. Martwił się: prześladowały go sny, różne obrazy próbowały się wydobyć z jego podświadomości. Odparł ten niepokój, zapuszczając przegląd diagnostyczny swojej bioniki i procedur taktycznych – okrutnie zwiódł go dziś rano. Nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób Myraian dostała się do jego pokoju. Skanowanie połowe zarejestrowało ruch, ale to nie wystarczyło do zainicjowania

procedur alarmowych poziomu beta. Siedziała na końcu łóżka – brakowało dziesięciu centymetrów, by zainicjowały się procedury alarmowe poziomu alfa. Czy ta odległość to przypadek? Jeśli tak, to przypadki się gromadzą.

Jego u-adiunkt określił przynajmniej, dlaczego nie przechwycił rozmowy między Oscarem a Ozziem. Smartkory domu osłoniły ją bardzo wyrafinowanym oprogramowaniem. A więc Ozzie nie całkiem zrezygnował. Jest w grze.

Na tle ostro błyszczącej, półprzezroczystej korony sekcji Szpikulca pojawiła się kapsuła. Biononika filtrowała sygnały z siatkówek Aarona, by mógł utrzymać odbiór wizualny. Funkcją skanowania polowego omiótł kapsułę. Wewnątrz było siedem osób. Oczywiście Myraian, ponadto trzech mężczyzn i kobieta, mający biononikę skonfigurowaną w tryb obrony niskiego poziomu, przez co nie mógł uzyskać dobrej ostrości; jednakże biononika nie była aktywnie uzbrojona. Ponadto zwykły mężczyzna bez biononiki oraz potężny człowiek w zbroi z polem już włączonym – to właśnie skłoniło Aarona do uaktywnienia kilku własnych wszczepów bojowych.

Wysłał do kapsuły sygnał identyfikujący i dostał odpowiedź od wszystkich z wyjątkiem zwykłego mężczyzny. Wynioskował, że to ten ważniak, którego Oscar eskortuje na spotkanie z Ozziem.

Stara kapsuła osiadła na pasie fioletowo-zielonej trawy między jeziorem a domem. Otworzyły się drzwi i pasażerowie zaczęły kolejno wysiadać. Najpierw Myraian, machając wesoło ręką. Aaron to zignorował. Beckia i Tomansio zapuścili szybkie skanowanie polowe terenu; ciekawe, że Oscar tego nie zrobił. Dopiero potem wypuszczono Naturalnego człowieka. Był nieco starszy od powszechnego we Wspólnocie standardu i wyglądał dość dostojnie. Jako ostatni wyłonił się Troblum w pancerzu – musiał się nieco skulić, by przejść przez drzwi.

Ozzie, Inigo i Corrie-Lyn wyszli z domu i stanęli za Aaronem, obserwując przybyłych. Ozzie się uśmiechał.

– Do diabła! To naprawdę Oscar – powiedział dość głośno. – No, stary, długo cię nie było.

Oscar wycelował w Ozziego palec wskazujący, uśmiechając się z

zakłopotaniem.

Aarona jednak zamurowała reakcja Tomansia, który patrzył prosto na niego z wyrazem niedowierzania na przystojnej twarzy.

- Ty! Żyjesz – dyszał Tomansio.

- Jak nigdy dotąd, stary – rzekł Ozzie radośnie. Odwrócił się do Iniga: - Widzisz, legendarny geniusz za każdym razem pokona mesjasza.

- Pieprz się! – odparł mu Inigo.

- Chyba nie... – Corrie-Lyn patrzyła to na Tomansia, to na Aarona.

- Buntownik – szepnęła Tomansio. Nie odrywał wzroku od Aarona.

W umyśle Aarona mignęło szybkie wspomnienie, jakby przedzierało się cicho przez jakąś ważną błonę: *ona* leży przy nim na łóżku uśmiechnięta do niego kokieteryjnie. Tę samą kobietę spotkał w Żółtym Parku w dniu, gdy Ethana wybrano na Kleryka Konserwatora. Inne włosy, ale to na pewno ona.

Zła wiadomość.

- Co takiego? – wychrypiał. – Jak mnie nazwałeś?

Ozzie i Inigo patrzyli teraz na Aarona nachmurzeni.

- Buntownik. To ty. Tak!

- Nie, to niemożliwe! – krzyknęła Beckia.

- Kto? – spytał Oscar zaintrygowany.

- Lennox. Lennox McFoster, jak to możliwe? Skąd się tu wzięłeś? – pytał Tomansio z wściekłością.

- Rycerze Strażnicy szukali cię całe wieki – rzekł Cheriton. – Gdzie się podziewałeś?

- Wybaczcie, ale nie wiem, o czym, do diabła, mówicie – powiedział Aaron.

Upłynęło dziesięć minut, ale mężczyzny Naturalnego ciągle jeszcze nie przedstawiono, a Troblum nie rzekł ani słowa. Rycerze Strażnicy, zdumieni spotkaniem z Aaronem, ostro się spierali co do jego tożsamości. Twierdzili, że jest synem

legendarnego Bruce'a McFostera, który został złapany i skorumpowany przez Gwiazdokrażcę, a potem zabity przez Gore'a Burnellięgo. Lennox był wtedy dzieckiem – jak mówili – wychowanym przez matkę Samanthę na Strażnika. Stał się jednym z pierwszych neofitów wedle wizji Kotki, z determinacją szukał nowej roli dla Strażników Jaźni, gdy ci balansowali na krawędzi samodestrukcji.

Aaron słuchał ich zdenerwowany. Imiona i wydarzenia z pewnością gdzieś były utrwalone w jego umyśle, ale nie w świadomej części. Nie wątpił, że pierwotnie mógł należeć do Rycerzy Strażników. Sprawność, jaką oni mieli, on posiadał aż w nadmiarze. Co nadawało kłopotliwej wiarygodności pozostałym elementom historii...

– Jakim buntem dowodziłem? – zainteresował się. Nie powinien o to pytać. To nie miało znaczenia.

– Katedra Pantar – powiedział Troblum dziwnie obojętnym tonem. – To na Narroginie. Rycerze Strażnicy zostali tam sprowadzeni do wsparcia niektórych miejscowych ruchów politycznych. Sama Kotka przejęła dowództwo w terenie. Wzięto zakładników. Przedstawiono warunki i nieprzekraczalny termin. Ale mimo wszystko Kotka rozpoczęła masakrę zakładników. Zabijała nawet ich dzieci. Ty ją powstrzymałeś. Postawiłeś się Kotce.

– Wtedy cały nasz ruch się zmienił – wyjaśniła Beckia. – W końcu dostrzeżliśmy jej wady. Odrzuciliśmy jej przywództwo. Ale nie twoje.

– Większość z nas ją odrzuciła – powiedział Cheriton z lekkim zakłopotaniem. – Powstał rozłam. Przecież ona założyła naszą grupę, wydobyła nas z bezhołwia, jakie zapanowało po Wojnie Gwiazdokrażcy i zjednoczyła nas z Barsoomianami. Choć legenda mówi, że to był twój pomysł.

Aaron wiedział, że znów musi zająć się swoją misją. Powinien się dowiedzieć, kim jest ten Naturalny człowiek i sprawić, by wszyscy przekonali Ozziego i Iniga. Zaprowadzić Iniga do Pustki. To była jego dziedzina, tylko to miało znaczenie. Ale teraz ten przymus osłabł. Teraz za jego myślami czał się jej uśmiech.

Czasami widział go nawet nie zamykając oczu.

Zła wiadomość.

Ona faktycznie nie żartowała.

– Czy ja ich uratowałem? – spytał cicho.

– Kogo?

– Dzieci. Powiedziałaś, że zabijała dzieci, gdy ją powstrzymałem.

Tomansio i Beckia wymienili zakłopotane spojrzenia, co wystarczyło mu za odpowiedź.

– Czy cokolwiek pamiętasz z tego, co się potem działo? – spytał Cheriton.

Aaron wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam nawet samego wydarzenia. Kompletna... pustka – skłamał, gdy gdzieś w jego umyśle migotał obraz wielkiego, kryształowego sufitu.

– Nigdy cię nie złapano – rzekł Tomansio. – Nigdy nie osądzono. Nikt nie wiedział, co się z tobą stało.

– Nawet ja sam, jak się wydaje – stwierdził Aaron. To rzeczywiście przemawiało do jego poczucia ironii.

– Ktoś ci to zrobił – powiedziała Beckia z naciskiem. Z jej gajafejsów wyciekało dużo złości. – Ktoś ci popieprzył mózg na galaktyczną skalę.

– Czy to mogła być ona? – zastanawiał się Tomansio.

– Nie – odparł Aaron. Nie wiedział, skąd pochodzi ta pewność, ale ją miał. – To mój wybór, że jestem, jaki jestem. I zachowam tę osobowość, bez względu na to, za kogo mnie uważacie.

– Ale przecież nie funkcjonujesz zbyt dobrze – zauważyła Corrie-Lyn. – Twoje uwarunkowanie się degeneruje.

– Przeżyję – oznajmił z determinacją. – Muszę wypełnić moją misję.

– Na czym ona polega? – spytał Oscar.

Aaron wskazał Iniga.

– Śniącego trzeba zaprowadzić do Makkathranu wewnątrz Pustki. Albo przynajmniej musi ustanowić kontakt z Sercem.

Oscar i trzech Rycerze Strażnicy spojrzeli na Naturalnego mężczyznę. Ten zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę do Iniga.

– Śniący, jestem Araminta-dwa. – Jej gajafejsy uwolniły potok myśli i emocji, w tym przekaz z pokładu obserwacyjnego „Światła Pani”.

– Wielka Pani – burknął Inigo.

– O, tak, to niezłe, co, stary? – Ozzie uśmiechnął się.

– Jestem tu, by pomóc. Pielgrzymkę trzeba powstrzymać – oznajmiła Araminta-dwa.

– A teraz im powiedz, kto zasugerował, żebyś połączyła siły z Ozziem – powiedział Oscar z triumfalną miną.

Od tej chwili wszyscy zaczęli ze sobą rozmawiać, zauważył Aaron. Choć czasami było to niewiele ponad „O, rety!” albo „No, no!”, gdy wyciągano różne opowieści. Siedzieli przy stole w kuchni Ozziego i próbowali przekąsek i napojów z modułu kulinarnego. Wszyscy z wyjątkiem Trobluma, który stał i nie chciał wyjść ze swojej zbroi.

– Spotkałem Kotkę. – Tylko tyle miał do powiedzenia na ten temat. Wszyscy uznali, że to dobre wyjaśnienie jego ekstremalnej paranoi.

Jedyne stwierdzenie, jakie wypowiedział, brzmiało:

– Ozzie, to wielki zaszczyt cię poznać. Jestem potomkiem Marka Vernona.

– Tak? To miło, facio – odparł Ozzie i wrócił do rozmowy z Aramintą-dwa. – Usiłowaliśmy dojść do tego, czy Pustka może zabrać ludzi do środka za pomocą jakiegoś teleportowania. Możesz spytać o to Władcę Niebios?

– Mogę – potwierdził Araminta-dwa.

Aaron cały czas obserwował Trobluma. Wielki mężczyzna kiwnął się nieco, gdy Ozzie go zlekceważył. Nie było żadnych emisji do gajafsfer. W zasadzie nie można było stwierdzić, co dokładnie znajduje się w pancerzu.

Według Oscara Troblum pomógł zbudować Rój. Ozzie i Inigo w ogóle się tym nie zainteresowali. Aaron był zainteresowany – o ile ta informacja pomogłaby wydostać Ziemię z więzienia. Na razie jednak umieścił ją daleko na liście ewentualnych akcji

mających związek z doprowadzeniem Iniga do Pustki. Uznał, że skoro raiele nie mogą pokonać bariery solarnej, to na pewno zajmie to znacznie więcej czasu niż jego podstawowa misja.

– Czy w jakiś sposób ty lub Serce możecie do mnie dotrzeć i sprowadzić mnie do waszego wszechświata? – spytała Araminta-dwa Władcę Niebios.

Aaron dostrzegł zdumiewającą, złotawą sieć pyłu mgławicowego, świecącą z dziesiątków przyćmionych migotliwych punktów, gdy gwiazdy kuliły się do swych punktów zapłonu. Władcy Niebios świecili na tle dryfujących wirów, w pełni rozszerzyli swoje próżniowe skrzydła.

– Zbliżasz się – powiedział Władca Niebios. – Czuję, jak rośniesz. Wkrótce tu będziesz. Wkrótce osiągniesz spełnienie.

– Szybciej będę z tobą, jeśli sięgniesz po mnie.

– Serce sięgnie po was wszystkich. Serce pragnie was wszystkich.

– Nadal jestem poza twoim wszechświatem. Obawiam się, że nie mogę do ciebie dotrzeć. Czy mógłbyś sięgnąć do mnie, tak jak kiedyś do innych z mojego gatunku?

– Tamci z was wzrosli tu na planetach skalistych. Moi krewniacy zabiorą was tam.

– Ale najpierw musimy do ciebie dotrzeć. Czy możesz to wspomóc?

– Czuję, jak rośniesz. To już wkrótce.

– Jak pierwsze osoby z mojego gatunku przybyły do twojego wszechświata?

– Wynurzyli się, jak wszyscy.

– Czy Serce pomogło im się wynurzyć?

– Serce pragnie wszystkich, którzy się tu pojawiają.

– Nie mogę już do ciebie dotrzeć. Moja podróż do twojego wszechświata skończy się, jeśli Serce mi nie pomoże. Poproś je, żeby do mnie sięgnęło, proszę. Pragnę odwiedzić świat, na którym poprzednio przebywały osoby mojego gatunku.

– Przybędziesz.

Araminta-dwa usztywnił swoje myśli.

– Nie przybędę.

- Cały czas się zbliżasz. Twoja podróż jest nieprzerwana. Będziemy cię witać. Będziemy cię prowadzić.

Araminta-dwa warknął i pokręcił głową, gdy obecność Władcy Niebios osłabła, stała się mamrotaniem w tle na samym skraju percepcji.

- Niech to Ozzie pierniczy!

- Mogę, jeśli chcesz, ale wątpię, stary, czy to pomoże - powiedział Ozzie.

Araminta-dwa spojrział na niego speszony.

- Wybacz, siła przyzwyczajenia.

- To prawie nie ma znaczenia - stwierdził Inigo. - Gdy zacząłeś rozmawiać z Władcami Niebios, stało się jasne, że oni po prostu nie pojmują koncepcji „zewnątrza”. Ich myślenie nie jest stosownie skonfigurowane.

- Ale Serce czy jądro, czy to, co steruje tym miejscem, ma odpowiednie myślenie - rzekł Oscar. - Słuchało ciebie, gdy prosiłeś o wpuszczenie Justine do wnętrza. To była wspaniała noc.

- Prośba została jednak przekazana przez Władcę Niebios - zauważył Ozzie. - I znacznie łatwiej ją było pojąć.

- Musimy więc pomyśleć, jak prościej sformułować wiadomość - rzekł Inigo. - Musimy tylko stworzyć rodzaj kanału do Serca. Wtedy dokładnie zrozumie, o co nam chodzi.

- Facio, już prościej nie da się sformułować - protestował Ozzie.

- Trudna sprawa to przekonać Władcę Niebios, żeby przemówił w naszym imieniu.

- To bardzo podejrzane - powiedział Inigo. - Trudno uwierzyć w to, że coś, co potrafi manipulować strukturą Pustki, tak jak Władca Niebios, nie jest w stanie pojąć nowych koncepcji.

- Proces kontroli wydaje się instynktowny - kontrował Ozzie. - Bezpośrednia siła woli jest siłą napędową wszelkich modyfikacji zachodzących w Pustce.

- Tak, ale...

Zaczynali się kłócić i Aaron czuł, jak w piersi wzbiera mu westchnienie. Jej uśmiech stał się drwiący.

- Ja mogę was tam zawieźć na czas - odezwał się Troblum.

Wszyscy odwrócili się do wielkiej, górującej nad nimi szarej postaci. Myraian zachichotała cichutko.

Ozzie odrzucił wielki pukiel włosów opadający mu na czoło.

– Facio, jak to zamierzasz zrobić?

– Mam na statku nadświetlny silnik planetarny anominów.

Zapadło milczenie.

– Silnik jaki? – spytał Ozzie.

– Anominowie nie zbudowali generatorów pola siłowego pary Dysona, nabyli je od raielów. Żeby przesunąć je na miejsce, użyli nadświetlnego systemu na tyle mocnego, by przesunąć planetę. Mam go. Albo jego kopię. W zasadzie jest to kopia tego, co, jak mi się wydaje, oni zbudowali.

Aarona nie obchodziło to, że inni nie dawali temu wiary.

– Czy to jest szybsze od ultranapędu? – spytał.

– Tak. Faktycznie natychmiastowe. To wormhol.

– Wormhol na tyle duży, żeby przesunąć przez niego planetę? – Ton głosu Ozziego wznosił się z niedowierzania.

– Tak.

– Niemożliwe.

– Przeciwnie, to doskonale możliwe – oznajmiły smartkory domu.

Ozzie warknął i z wściekłością spojrzął w sufit.

– Struktura wormholu zależy od źródła zasilania – wyjaśniały smartkory. – Im większą dysponujesz mocą, tym większy rozmiar możesz osiągnąć... teoretycznie.

– Racja – przyznał Troblum.

– Dobrze, w takim razie czym zasilasz ten pieprzony wormhol? – spytał Ozzie.

– Nową. Nic innego nie jest w stanie osiągnąć potrzebnego maksimum wydajności.

– No, facio, to bardzo poręczne. Pokręcimy się tu i zobaczymy, czy się na jakąś nową natkniemy.

– Nie musisz – powiedziały smartkory tym samym głosem, ale lekko chełpliwym tonem.

– Aha. – Aaron się uśmiechnął. – Bomba „nowa”.

– Tak, z odchyłoną funkcją energii – wyjaśnił Troblum.

- Sprytnie – zauważył Inigo.
- Ty sobie kpisz ze mnie jak cholera! – wrzasnął Ozzie.
- Uważam, że to zadziała – upierał się Troblum.
- Chcesz powiedzieć, że tego nie wypróbowałeś? – spytał Tomansio.

Myraina znów zaczęła chichotać, tym razem głośniej.

- Nie. Jeszcze nie.

- I to pomoże nam dotrzeć do jądra Galaktyki wcześniej od Floty Pielgrzymki? – nalegał Aaron.

- Powinno. Przewidywałem przetransportowanie planety wielkości Saturna na odległość pięciuset lat świetlnych w ramach testu. Ale są jeszcze parametry zmienne. Jeśli zmniejszy się średnicę wormholu....

- To zwiększy się zasięg – dokończył Inigo. – Zatem obiekt wielkości statku...

- Szacuję, że możemy przedłużyć wormhol od około dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy lat świetlnych. Jeśli zainicjujemy to teraz, wyprzedzimy Flotę Pielgrzymki.

Ozzie wstał.

- No dobrze. Moja rola się skończyła. Powodzenia wszystkim.

- Nie jedziesz z nami? – spytał Inigo.

- Facio, zwróć uwagę, jestem starzejącą się, zbędną ozdóbką z połową mózgu. A poza tym... – Zmarszczył czoło i pstryknął palcami. – Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... a, tak... chcę pozostać przy życiu!

- Ozzie, będziesz cennym członkiem każdego zespołu, który chce zapobiec fazie ekspansji – rzekła Corrie-Lyn.

- Wcale nie. – Myraian uśmiechnęła się słodko do Corrie-Lyn. – Ozzie zostaje tutaj, przytulę go i będzie bezpieczny.

- Nie mogę się z tym spierać – oznajmił Ozzie triumfalnie.

Aaron zastanawiał się, czym właściwie była Myraian. Początkowo uznał, że to uwielbiająca Ozziego grupie z problemem alkoholowym. Ale po kilku dniach zdał sobie sprawę, że ma ona dużo do powiedzenia w ich relacji. Bez wątplenia to dziwna relacja, ale tak to już było z Ozziem. Choć Aaron miał zredukowane wspomnienia, pamiętał, że Ozzie potrafi być

ekstremalnie pokręcony, a były to wspomnienia przestarzałe, sprzed paru wieków.

– W porządku, Ozzie nie jest konieczny. Inigo i Araminta-dwa są niezbędni. Ja muszę jechać. Troblumie, ile jeszcze osób może się zabrać twoim statkiem?

– Zaraz, co ty?! – warknęła na niego Corrie-Lyn.

– Zajmuję się sprawami praktycznymi – wyjaśnił Aaron. – Żeby misja się powiodła, muszą być spełnione podstawowe warunki. W tej podróży absolutny priorytet mają Śniący i Druga Śniąca.

– Do diabła, kto cię tu powołał na kierownika? – spytał Tomansio.

– Masz realny plan, jak wyłączyć Pustkę? Na pewno wszyscy chętnie się z nim zapoznamy.

– Wszystko wskazuje na to, że twój plan to niewiele. Wiesz więcej o samym sobie niż o tym, co robisz.

– Ale jakiś plan mam. I pamiętaj, że jestem Buntownikiem. Jedynym Rycerzem Strażnikiem, na którym możesz polegać bardziej niż na innych. Nawet na sobie samym.

– Może i byłeś Buntownikiem, ale niech mnie dunder świśnie, jeśli wiem, czym jesteś teraz. A ty tego na pewno nie wiesz.

Wszyscy spojrzeli na Ozziego, który śmiał się żywiołowo.

– Co takiego? – spytał Tomansio.

– Serio? Czy wy słuchacie samych siebie? Śniący. Męczennik. Druga Śniąca. Buntownik. Jezu! Brakuje wam tylko masek, czapeczek z lycry i mamy regularny konwent superbohaterów. Troblum przynajmniej już sprawił sobie kostium. Nawiasem mówiąc, niezły, wielkoludzie.

– Czy twierdzisz, że nie powinniśmy jechać? – spytał Tomansio.

– Wedle wszelkich reguł prawdopodobieństwa i statystyki nie powinniście dotrzeć nawet tutaj. Żadne z was, bo jesteście ciemni jak tabaka w rogu. Ale dotarliście i ktoś wie, co robi, gdy ładuje jakiś tam swój plan do mózgu Buntownika. O ile się zdołałem zorientować, wy jesteście ostatnią naszą szansą, by powstrzymać Ilanthe i Pustkę. Nie wiem, co ma na myśli mocodawca Aarona, gdy dotrzecie do Makkthranu, ale... Tomansio, Aaron ma rację. Jeśli nie macie własnej koncepcji, to zakasać rękawy i do dzieła

przy tym planie, który już powstał. Oscarze, wytłumacz dzieciakom... Już raz ty i ja bezpośrednio staliśmy wobec sytuacji, gdy szanse było marne. Ty potrafisz poznać, kiedy sprawa jest poważna.

- Taa - zrzędził Oscar. - Ozzie ma rację. To chyba nasza jedyna szansa. Oboje Śniący razem? Jeśli w ogóle ktoś może to powstrzymać, to będą oni. Jakoś.

Tomansio wzruszył ramionami.

- Dobra. Mówię tylko, że nie wiemy, po której stronie stoi Buntownik.

- Logicznie rzecz biorąc, jest to frakcja przeciwna ProgrewywiŃtom - rzekł Inigo. - Przetrwiałem to wszystko. Ja naprawdę mam do niego zaufanie.

- Ha! - wtrąciła swoje Corrie-Lyn.

- W porządku, słuchaj Troblum, ile osób może pomieścić twój statek? - spytał Cheriton. - I czy rzeczywiście ma skrzydła?

- Systemy podtrzymywania życia wystarczą dla piętnastu osób, ale będzie wtedy ciasno. A to są promienniki nadmiaru ciepła - wyjaśnił Troblum.

- Jest nas tylko dziesiątka, czyli wszyscy z łatwością się zmieścimy - stwierdził Oscar.

Ozzie odchrząknął.

- Nadal nie myślicie. Ile czasu zajęło Justine dotarcie do fałszywego Far Away?

- A niech to! Czas Pustki - powiedział Aaron.

- Słusznie, stary. Zatem rzeczywiste pytanie brzmi: ile komór medycznych ma Troblum na pokładzie? Ponieważ będzie wam potrzebna staza, gdy przejdziecie przez granicę.

- Jedną - rzekł Troblum.

- W „Rewanżu Elvina” jest pięć - powiedział Oscar. - Zainstalowane na wypadek wielu równoczesnych ofiar.

- Nigdy nie pokładałeś w nas wiary - skomentował to Tomansio z uśmiechem. - Czyli potrzebujemy dodatkowo czterech komór. Ozzie, czy tutaj są dostępne jakieś komory stazy?

- Obecnie nie - odparł Ozzie podejrzanym głosem. - Pierwszy raz od dekad wszystkie są zajęte. Spokojnie, mój

replikator potrafi wyprodukować kilka sztuk. Zgadza się, mój mózgu-w-słoiku?

- Już zaczęły - odparły smartkory domu.
- Myślę, że nasz replikator również potrafi to wyprodukować - rzekł Oscar. - Dzięki temu szybciej wyruszymy.

Troblum nadal nie zdejmował swego opancerzonego skafandra. Oscar nie wiedział, co o tym sądzić. U-adiunkt Pauli przesłał mu pokaźny plik na temat byłego agenta Progresywiwistów, ale informacje prowokowały tylko kolejne pytania.

Dobrze, że Tomansio przesłuchiwał Aarona. Ale Oscara znacznie bardziej niepokoił wielkolud, którego skazy osobowościowe mogłyby wypełnić podręcznik psychologii. Co? System nadświatlny zdolny przesuwać całe planety? Gazowe giganty? Daj spokój!

Ale nie trzeba się tym teraz przejmować. Teraz mieli wytyczony cel. Jeśli wszystko zadziała i nieznany mocodawca Aarona przemówi do Serca, to za tydzień skończy się ten cały koszmar Pustka-Pielgrzymka.

Tak, tak się stanie.

Ozzie miał jednak rację. Tylko to jedno im pozostało. Oscar siedział przy stole w kuchni, nie narzekał, nie prowadził analiz, jadł wyprodukowane przez moduł kulinarny bajgle z łososiem. Miło by było pogadać z Ozziem, pomyślał. Wprawdzie nigdy nie byli sobie bliscy, ale łączył ich kawał wspólnej historii. Nic z tego: Ozzie cały czas spędzał z Inigiem na dyskusjach. A w krótkich przerwach Tomansio wypytywał Aarona.

Od smartkorów domu - dość dziwaczny koncept nawet jak na standardy Ozziego - oraz Liatrisa wyszła wiadomość, że nowe komory medyczne zostaną wytworzone w ciągu godziny. Potem trzeba je zainstalować na „Odkupieniu Mellanie”. Ta nazwa też Oscarowi przypominała coś, o czym chętnie by zapomniał. Ale przecież jeśli ktoś jest tak stary jak ja, to chyba wszystko mu się ze sobą kojarzy.

- Mam nadzieję, że nigdy nie restartujesz przestrzeni mentalnej

– powiedział Inigo ożywionym tonem. Głośno. Wszyscy przerwali rozmowy i zaczęli słuchać. – To koniec ludzkości, to wysyłanie umysłu na zgniłą gałąź ewolucji.

– Czy psychologia to trend ewolucyjny? – burknął Ozzie. – Daj spokój!

– Narzucasz to każdej istocie rozumnej. Z gajaszery indywidualna osoba może się przynajmniej wycofać. Przestrzeń mentalna nie daje takich opcji. To mentalny faszyzm, a najgorsze, że uważasz, że to dla nas dobrodziejstwo. Rozwiń przestrzeń mentalną nad całą Galaktyką, a zmienimy się w społeczność z Ostatniego Snu. Nie rozumiesz: utopia to nuda, a nuda to nasz prawdziwy wróg. I ciebie, i Pustkę trzeba powstrzymać. Myliłeś się co do współdzielenia myśli, tak jak Edeard w swojej mrocznej fazie. Obaj zostaliście uwiedzeni przez Serce, przez jego wersję doskonałości, a to nic innego jak poskromienie i zniewolenie ludzkiej duszy.

Aaron z talerzem gofrów usiadł obok Oscara, który nachylił się do niego i szepnął:

– Liatris mówi, że replikator skończy pracę za osiemnaście minut.

– Może jednak przyśpieszenie czasu ma swoje zalety w Pustce – mruknął do niego Aaron.

– Czy oni tak cały czas?

– Pięć dni bez przerwy. Zachęcałem ich do analizy wszystkich opcji.

– A co sądzisz o naszym wielkim, milczącym przyjacielu? – Oscar lekko skinął głową w stronę wielkoluda w pancernym skafandrze.

– Na razie jestem neutralny. Akceptuję jego obawy co do Kotki. Jeśli na swoim statku go nie zdejmie, to podejmę jakieś decyzje.

– Jasne. I naprawdę nie wiesz, co się stanie, gdy dotrzemy do Makkathranu?

– Nie. Ale podoba mi się twój optymizm.

Oscar znów na niego spojrział. Chciałby uznać, że może coś orzec. Ale ludzka powłoka Aarona była owinięta wokół czegoś bardzo dziwnego – prawie pustki jako takiej. On raczej

naśladował osobowość, niż posiadał własną. Corrie-Lyn jawnie mówiła o jego psychicznych kryzysach.

– Indywidualność nie może przetrwać tak jak dotychczas – protestował Ozzie. – Rasa ludzka musi stać się kolektywna. Do cholery, dysponujemy bombami „nowa”, m-rzapiami Hawkinga, bombami kwantowymi, mamy tyle broni, że możemy zmieść Galaktykę na proch i nie trzeba nawet, żeby Pustka ruszyła dupą. Moc trzeba powstrzymać. Spytaj tego tam Buntownika. Czy kiedyś nie zastanowiliście się nad tym, co się stanie, gdy ktoś taki jak Kotka zdobędzie to wszystko i zrobi demolkę? Dla zabawy! Społeczeństwo tak wyrafinowane technicznie jak nasze musi mieć wbudowany mechanizm obronny. A jest nim zaufanie, stary. I tylko to daje gwarancję. Przestrzeń mentalna sprawi, że zaufanie będzie nieuniknione. Naprawdę będziesz w stanie kochać bliźniego swego.

– Przestrzeń mentalna to dokładnie to samo, co danie psychopacie statku wojennego Floty Wspólnoty. W kosmosie żyją obcy, których procesy myślowe są diametralnie różne od naszych. Oni by uznali, że chcesz przejąć nad nimi władzę albo ich ewangelizować i zmienić ich kulturę.

– Bzdura bzdurą pogania, co ty wiesz o...?

Czerwone ostrzeżenie taktyczne wyskoczyło w egzowizji Ozziego i Iniga, a myślowe procedury podrzędne dostarczyły do umysłu Oscara identyfikację problemu. Wokół domu Ozziego powstawała T-sfera.

– Jasna cholera!

Jego wbudowane pole rozwinęło się. Równocześnie zobaczył, jak zbroja Trobluma staje się czarna jak najgłębsza noc. Sukinsyn, to technologia bariery solarnej.

Pełna funkcja skanowania polowego wykryła siedemnastu chikoya teleportujących się na trawiasty stok nad brzegiem jeziora. Szybkie uzupełniające skanowanie ujawniło, że są ciężko opancerzeni, a broń mają aktywną.

– Liatris, chodź nas zabrać. Natychmiast.

– Już lecę – odparł Liatris.

Kolejnych dwudziestu trzech chikoya teleportowało się – dom

był całkowicie otoczony. Drużyna sześciu zaatakowała przez trawnik od frontu domu. Oscar już miał spytać Tomansia, jaką formację ataku chce zastosować, gdy jego skanowanie polowe raportowało, że dzieje się coś bardzo dziwnego ze strukturą kwantową Ozzięgo. Zalane akceleratorami nerwy reagowały szybko, obracały nim, grafika celownicza przesunęła się przez strefę anomalii i skoncentrowała na Ozziem, który już stawał się przezroczysty, gdy cząsteczki jego ciała zmieniały się, rzedły. Zostało go na tyle dużo, że na jego widmowej twarzy pojawiła się przeproszająca mina. Uniósł dłoń i pomachał bez entuzjazmu.

– Zaczekaj! – krzyknął Oscar. – Opuuszczasz nas? – spytał z najwyższym niedowierzaniem.

– Ta quasi-rzecz naprawdę już nie jest mną – odparł Ozzie słabo.

– Ależ jest! Ty jesteś Ozzie. Pomóż nam.

– Wy już w zasadzie zajęliście się problemem. Ale pewnego dnia może znów do was dołączę. Nie spodziewajcie się zbyt wiele. – I jego zarys zniknął. Jakiś rodzaj zakłócenia poruszył zasadnicze pole kwantowe. Coś, co przekraczało zdolności analizy funkcji skanowania polowego.

– Ja pierniczę! – sapnęła Beckia. – Dokąd poszedł?

– Nie ma znaczenia – powiedział Tomansio. – Buntowniku, zabezpieczasz Śniących. Reszta, zbieramy się, żeby ich powitać. Rozstawić się po rombie, wykurzyć ich z domu.

Oscar przedarł się z chrzęstem przez ścianę kuchni prosto na werandę i wylądował dobre piętnaście metrów dalej na ciemnej trawie, na stoku schodzącym do jeziora. Po prawej miał Tomansia – biegł do zagajnika na skraju ogrodu. Po lewej – Beckię, gdzie teren wyginał się do góry, przechodząc w chropawy grunt. Oscar z radością skonstatował, jak dobrze jest dopasowany do zespołu i automatycznie wie, gdzie zająć pozycję.

Nigdy wcześniej nie widział żadnego chikoya, a tu od razu sześciu. Widok szokował, ale on koncentrował się tylko na taktycznej analizie uzbrojenia i zdolności manewrowych. W jego umyśle mała, podstępna sekcja zastanawiała się, jak Dushiku i Jesaral oceniliby olbrzyma w gruzłowatym, czarnym pancerzu

nacierającego na nich z omiatającymi teren, gotowymi do strzału łuskowatymi broniąmi. Miał tylko w egzowizji strukturyzowany obiekt-cel, a procedury podrzędne koordynowały sterowanie ogniem z wszczepów bojowych Oscara. Obwody skafandrów chikoya zostały zbombardowane elektronicznymi emisjami, dezorientując czujniki i robiąc siekaninę z odczytów. Wystrzeliły promienie energetyczne i impulsy deformujące. Dwóch chikoya padło do tyłu, z ich zbroi leciał gęsty dym, z otwartych ran tryskała ciemnofioletowa krew. Pozostali, ostrzeliwując się, szukali osłony.

Masery siekły wbudowane pole siłowe Oscara, ale pole z łatwością odchyłało promienie. Nagle klastry wielokomórkowe ostrzegły go, że jest skanowany przez systemy celownicze – skoczył wysoko, a tam, gdzie stał pół sekundy temu, wybuchło podłoże, zdetonowane przez laser elektronowy. W szczycie swojej trajektorii Oscar wykonał salto, skręcił ciałem w lewo, wylądował w przysiadzie i jednocześnie posłał silny impuls deformujący w stronę chikoya, który trzymał potężny karabin promieniowy.

Rycerze Strażnicy kryli się i skakali z prędkością podkreconą przez akceleranty i wspomaganie bioniczne mięśni. Zaatakowali ogniem, wypierając chikoya z domu.

Gdy Oscar biegł po wypalanej trawie, jeden z obcych przesunął w ślad za nim promień neutronowy, który żłobił glebę i kamienie, wzbijając tuż za Oscarem wachlarze lawy i płomieni. Oscar wypuścił grad mikropocisków. Coś wybuchło, fala uderzeniowa powaliła go, promień neutronowy zniknął.

– Czy ktoś wie, czego chcą? – spytała Beckia, przetaczając się za grupę głązów.

Po chwili wyleciała stamtąd łukiem ławica inteligentnych min, które zbombardowały grupę chikoya pełznących między głązami na stoku ponad Beckią.

– Śniącego – odparł Aaron.

– Po co? – spytał Oscar.

Dwaj chikoya zaatakowali go bezpośrednio, ich masery i karabiny maszynowe strzelały zawansowanymi granatami,

wybuchającymi wokół na ziemi i w powietrzu, gdy Oscar krył się w rowie odwadniającym prowadzącym do jeziora. Wskoczył i elektronowym laserem strzelił prosto w magazynek umocowany poniżej brzucha przeciwnika. Eksplozja rozerwała obcego na strzępy. Z góry zaczęły spadać płaty ciała i fragmenty pancerza.

– Nigdy tak daleko nie dotarłem w rozmowie – rzekł Aaron.

Na displeju taktycznym Oscar widział, jak Rycerze odpierają chikoya od domu w nierównym półokręgu. Jednakże po drugiej stronie, w pobliżu domu, kilku wrogów nadal pełzło naprzód. Cheriton z trudem wyłuskiwał ich z miejsc, gdzie się kryli na stromym, zalesionym stoku.

– Liatrisie, gdzie jesteś?

– Jeszcze dwie minuty – obiecał Liatris.

Chikoya zaczęli się przegrupowywać przy brzegu jeziora. Kilku brodziło w płytkiej wodzie. Oscar już wyznaczał cele dla swoich smartbroni, gdy nagle skanowanie polowe pokazało mu Myraian zmierzającą ku napastnikom tanecznym krokiem między dymiącymi szczątkami na trawniku. Zaryzykował i wysunął głowę z rowu, by ją obserwować. Wykonywała skoki i obroty jak podczas wyrafinowanego baletu. Jej ramiona falowały wężowo, a zwiewna bluzka o skrzydlatych rękawach owijała się wokół ciała. Chikoya wycelowali w nią swoje lasery.

– Co, do diabła...? – rzucił Oscar. Jego skanowanie polowe nie wykrywało żadnego wbudowanego pola siłowego. – Kryj się! – wrzasnął do niej. Wariatka musiała się czegoś naćpać, zupełnie nieświadoma, co się dzieje.

Tańcząc, śpiewała świergoczące strofy, jakich Oscar mógłby się spodziewać u silfenów, ale nie u człowieka. Wokół jej stóp ziemia marszczyła się, gdy kawałki gliny i żwiru kotłowały się po uderzeniach pocisków kinetycznych, które chybiały celu. Wszystkie chybiały – chikoya w żaden sposób nie mogli w nią trafić. Uzbrojeni obcy zaczęli się cofać, gdy kobieta się do nich zbliżała. Ostrzał ustał. Myraian zakończyła swój zwariowany taniec tuż przed jednym z potężnych obcych. Zachichotała, rozwarła szeroko ramiona i skłoniła się z wdziękiem; przez cienkie ubranie jej skóroświatłość rozsiewała egzotyczną

pomarańczową barwą. Chikoya ani drgnął, jego czujniki skafandra sondowały ją starannie. Kobieta wzniosła się na czubki palców, drobniutka i słaba w porównaniu z górującym nad nią potworem w zbroi. Pocałowała go w hełm.

Chikoya padł na ziemię. Martwy.

Myraian oddalała się w piruetach. Oddział chikoya otworzył do niej ogień. Tym razem też nie mogli wcelować. Była prawie niewidoczna za chmurą rozbłysków detonacji granatów i fioletowymi, jonowymi smugami kondensacyjnymi.

Oscar zorientował się, że musi oddychać.

– Dajmy jej wsparcie – rozkazał Tomansio.

Na oddział chikoya poleciała kaskada smartbroni. Rozstąpili się i uciekli, zostawiając ofiary na brzegu. Myraian skakała radośnie po płyciźnie, goniąc chikoya jak żołnierz z batalionu szturmowego wróżek, kopała pianę. Puchate tenisówki miała poplamione szaroniebieską krwią obcych.

Oscar wyskoczył z rowu i patrzył z niedowierzaniem. Dwaj chikoya gonieni przez Myraian teleportowali się.

– Jasna cholera! – wymamrotał. Czym ona jest? Akurat teraz precyzyjne określenie niezbyt go obchodziło. Czuł tylko ulgę, że ona jest po ich stronie.

Pięć kilometrów nad nimi ostro hamował „Rewanż Elvina” w wybuchu jaskrawofioletowego światła. Powyżej Oscar dostrzegł poszarpaną czarną dziurę wybitą w sklepieniu komory Szpikulca; powyginane metaliczne odłamki długo spadały w ciszy i przez udręczone powietrze docierały do samego gruntu. Cienkie pasma mgły wyrastały z gęstości wokół rozdarcia, rozciągały się i wiły, wlewając się w próżnię daleko w górze. Świecąca kula kometarna nagle rozbłysła, wypychając osiem jaskrawych pseudogondol oślepiającego płomienia. Oddzieliły się od statku i przyśpieszyły w dół w stronę oblężonego domu. Bionika Oscara wyczuła, jak boty bojowe omiatają otoczenie czujnikami.

Chikoya musieli się zorientować, co się dzieje. Kolejnych trzech się teleportowało.

– Na Ozziego, pieprzone potwory! – krzyknął Cheriton.

Siedmiu z nich, stojących wyżej na stoku, wypuściło w niego zaporowy ogień promieni energetycznych i morderczą salwę kinetyczną, niebezpiecznie pchając jego wbudowane pole siłowe ku granicy wydajności.

- Cel główny: eliminacja wrogów otaczających Cheritona - rozkazał Tomansio Liatrisowi.

Z burzliwego nieba wystrzeliła rozjarzona dzida i uderzyła we wzgórze za domem. Kilku chikoya buchnęło w górę. Energiczne płomienie objęły drzewa i krzaki porastające stok. Cheritona nadal namierzało czterech chikoya.

Skanowanie pokazało Oscarowi centrum T-sfery tworzącej się wokół jego kolegi.

- Kontrprogram - wrzasnął.

- Nie da się - odparł Cheriton.

Oscar, Tomansio i Beckia natychmiast wystrzelili serię smartpocisków ponad dachem domu. Biononika Cheritona, odpierającego tak intensywny atak, nie byłaby w stanie kontrprogramować T-sfery i równocześnie utrzymać jego wbudowanego pola siłowego. Boty bojowe znów dały ognia, eliminując kolejnych chikoya. Tym razem uderzenie energii wywołało długą linię pożaru w lesie, ogromne ciepło podpałało całe drzewa. Kłęby gęstego dymu całkowicie uniemożliwiały obserwację wizualną, jednak funkcje skanowania polowego potrafiły się przez nie przedrzeć - na displeju egzowizji mógł obserwować teleportowanie Cheritona.

- Cholera, Liatris, gdzie oni go zabierają? - spytał. - Gdzie jest centrum T-sfery?

Boty bojowe znajdowały się zaledwie pięćset metrów nad ziemią. Strzelały bezustannie, zwiększając zasięg pożaru, który teraz obejmował pół domu. Pozostali przy życiu chikoya teleportowali się stąd błyskawicznie.

- Centrum znajduje się w komorze Farloy, około tysiąca dwustu kilometrów stąd wzdłuż Szpikulca. To jedna z głównych osad chikoya.

- Czy odbierasz stamtąd jakiś sygnał? - spytał Tomansio.

- Nie. Czy mam tam lecieć i przeprowadzić szczegółowe

przeszukiwanie sensorami?

– Nie – odparł Tomansio.

Oscar obserwował ścianę ognia, która pełzła w dół stoku, pożerając przydomowe drzewa. Obrazowanie cieplne pokazywało mu niepokojący rozkwit temperatury na ścianach. T-sfera skurczyła się do zera. Musiał przyznać, że Tomansio miał rację. Choć nie było to łatwe.

– Łąduj przy domu – powiedział Liatrisowi. – Musimy bezpiecznie umieścić Śniących na pokładzie, zanim cała armia chikoya się tu teleportuje. Aaronie, proszę, zabierz ich stąd.

– Zrozumiałem – rzekł Aaron.

Oscar obrócił się i przeszukał linię brzegową. Na poczerwiałym trawniku leżało dziewięciu martwych chikoya, dwaj w wodzie. Biononika nie wykryła żadnych śladów Myraian. Pokręcił głową zdumiony tą fantastyczną kobietą. Może to dziwne, ale był zadowolony, że zniknęła. Nie musiał o niej myśleć.

„Rewanż Elvina” huczał z nieba, wysyłając falę uderzeniową, która rozbiła ocalałe okna domu i rozrzuciła dachówki po terenie. Zawisł pięć metrów nad zniszczonym ogrodem. Oscar i pozostali Rycerze Strażnicy skupili się, gotowi osłaniać Aarona prowadzącego dwóch Śniących, Corrie-Lyn i Trobluma przez werandę i dalej do statku. Śluza statku wybrzuszyła się, wszedł do niej Inigo, potem Corrie-Lyn.

Dwa wielkie boty transportowe wysunęły się z domu, każdy niósł komorę medyczną. Płomienie objęły już dach i lizały krokwie. Przez ziejące otwory okien na piętrze wydobywały się kłęby dymu.

– Co robimy? – spytał Oscar Tomansia, gdy wycofywali się w stronę statku. – Idziemy za nim?

– Nie. To prawdziwy Rycerz Strażnik, nie oczekuje tego od nas. To by naraziło misję na szwank.

– Jezu, co oni z nim zrobią?

– Na miejscu chikoya martwiłbym się, co on z nimi robi. Ludzka biononika jest o niebo wredniejsza od wszystkiego, co mogą mieć wszczepione chikoya.

Komory medyczne gładko wzniosły się do statku. Zostawali

tylko Oscar, Tomansio i Beckia. Otoczyło ich pole siłowe statku.

– Ale oni wybrali akurat jego. – Oscar nie mógł się wyluzować nawet w ochronnej osłonie. – Celowo. Musieli wiedzieć, że on nie jest Śniącym.

– Może uważali, że to ja – powiedział Aaron. – Przed waszym przybyciem miałem z chijoya niezłe starcie.

– To bez znaczenia – stwierdził Tomansio. Skinął na Oscara, by wszedł pod otwartą śluzę. – Mamy zadanie do wykonania.

– To nie jest bez znaczenia – upierał się Oscar, gdy dryfowali do środka kadłuba. Czuł, że czegoś nie dostrzega, i to go złościło. – Chyba może przesłać stamtąd jakiś sygnał? Liatris, czy widzisz oznaki wymiany ognia w komorze Farloy?

– Nie. Nic nie dociera.

Oscar wsunął się do kabiny. Śniący i nieszczęsna, roztrzęsiona Corrie-Lyn spojrzeli na niego z niepokojem. Troblum niemal dotykał hełmem sufitu. Nadal tkwił w swoim skafandrze teraz o barwie sfatygowanej szarości.

Przybyła Beckia, tuż za nią Tomansio. W kabinie było ciasno, choć meble zostały wycofane.

– Wylatujemy – powiedział Tomansio. – Daj spokój, Oscar, lecimy.

Oscar powstrzymał się od bezpośredniego komentarza i kazał smartkorowi lecieć z powrotem przez dziurę, którą Finitan zrobił w kopule nad nimi.

– Możemy zrobić jeden oblot – powiedział.

– Mogli go już teleportować do dowolnej komory na Szpikulcu – powiedziała smutno Beckia. – Albo nawet na statek. Może już lecieć z prędkością nadświatlną.

– Na pewno nie. – Oscar przeglądał zapisy czujników, gdy przelatywali przez minihuragan otaczający dziurę i wynurzali się w kosmosie. – W ciągu ostatnich dziesięciu minut nic tu nie leciało z prędkością nadświatlną.

– Oscar, przestań – powiedział Tomansio. – Odszedł i mam nadzieję, że zabrał ze sobą całą bandę tych drani chikoya. Gdy wrócimy na Far Away, przyjdź na ceremonię ożywienia, bardzo proszę. Damy mu nowe ciało i załadujemy do niego

zabezpieczony magazyn pamięci. Przez cały wieczór będzie ci docinał, że się o niego martwiłeś.

Oscar chciał w coś rąbnąć pięścią.

– Dobrze.

Ale wiem, że coś jest nie w porządku.

Skoncentrował się na czujnikach statku. „Odkupienie Mellanie” opuściło lądowisko w tym samym czasie, co „Rewanż Elvina”. Teraz przebywało pięć tysięcy kilometrów nad ciemną stroną Szpikulca. Wydał polecenie smartkorowi, żeby tam poleciał.

– Troblum, jesteśmy teraz bezpieczni.

– Dobrze – odparła postać w pancerzu.

– Możesz zdjąć hełm.

Zapadło milczenie, postać się nie poruszyła. Potem poziome linie malmetalu na hełmie rozwarły się, trzy segmenty się rozdzieliły i wreszcie rozwarły.

Oscar usiłował zachować obojętność. Twarz Trobluma była gruba i nalana, skórę miał chorobliwie bladą. Ociekał potem. Nierówna szczecina porastała mu policzki i brodę.

– Cześć! – pozdrowił widzów zakłopotany. Nikomu nie patrzył w oczy.

– Dziękujemy za pomoc. Jesteśmy bardzo wdzięczni – rzekł Inigo.

Troblum skinął krótko głową. Milczał.

Oscarowi wcale się nie podobało to, że musi zdać się na niego. Nie potrafił się wczuć w jego psychikę. Troblum nie był sympatyczny, co Oscar wnioskował na podstawie kilku jego zdań. Ale nic na to nie mogli poradzić. Zobowiązałem się. Znowu. Miejmy nadzieję, że tym razem nie umrę.

– Więc jak chikoya cię znaleźli? – spytał Liatrix Iniga.

– Mnóstwo ludzi w Octoronie na pewno wiedziało, gdzie mieszka Ozzie – powiedział Aaron. – W zasadzie dziwi mnie, że aż tyle czasu im to zajęło.

– Cieszę się, że przybyłeś przed nimi – powiedziała Corrie-Lyn. Ciągle drżała, choć dostała wysuwane krzesło i siedziała cała skulona. – Gdyby nie to, nie mielibyśmy żadnej szansy.

– Nie ma pewności – wtrąciła Beckia. – Nie poradzili sobie z tą

Myraian.

– Czy jest silfenem? – spytał Tomansio.

– Nie – odparł Araminta-dwa. – Wiedziałbym o tym. Była człowiekiem.

– Chyba „była” to celna forma – rzekł Oscar. – Nie jest postfizyczna, ale z pewnością to więcej niż Elewatka.

– A skoro mówimy o niefizyczności, to co z Ozziem? – spytał Aaron.

– Jedna Pani wie – odparł Inigo. – Moja wiedza z fizyki jest o całe wieki przestarzała, ale to, co on zrobił, było wyjątkowo zaawansowane.

– Transmutował swój stan kwantowy – rzekł Troblum. – W jakiś sposób wyszedł poza czasoprzestrzeń.

– Osobista nadświatłość? – Corrie-Lyn niedowierzała.

– Prawdopodobnie nie. Do tego musiałyby sfazować czas.

– Więc jest postfizyczny? – spytał Oscar.

– Raczej nie w sensie klasycznym, ale nie mam na to dowodów empirycznych – stwierdził Inigo. – Normalnie postfizyczni, gdy przejdą w ten stan, nie kręcą się wśród ludzi. A on był oddany sprawie pomagania rasie ludzkiej na różne sposoby. Wiem, bo długo o tym dyskutowaliśmy.

– To na pewno – burknął Aaron.

„Rewanż Elvina” ustawił się obok „Odkupienia Mellanie”. Oba statki manewrowały przez kilka sekund, aż ich śluzy się szczelnie zetknęły. Pierwszy przeszedł Troblum z zaskakującą szybkością. Przepuścili go bez komentarza, choć tajemniczy Elewat wszystkich wprowadzał w zakłopotanie.

Potem przez śluzy przeszedł Oscar. Wynurzył się w kabinie prawie takich samych rozmiarów jak ta, którą opuścił. Czekala tam bardzo atrakcyjna dziewczyna w staromodnym ubraniu. Oparła dłonie na zbroi Trobluma i z niepokojem pytała, czy nic mu się nie stało. Na ten widok Oscar zmarszczył czoło. Nie było mowy o towarzyszcze. A nawet przy najlepszych chęciach nie mógłby sobie wyobrazić takiej partnerki Trobluma. Może to córka? Ale jego kartoteka nie wspominała o rodzinie.

Do kabiny wtoczyli się pozostali i wszystkich lekko zdziwił

widok dziewczyny. Emisje z gajafejsów zostały pośpiesznie zredukowane.

– To Catriona – wymamrotał Troblum.

– Cześć – powitała ich nieśmiało.

Tomansio wpatrywał się w urządzenie elektroniczne na wysuniętym stoliku. Oscarowi też wydało się dziwnie znajome. Procedurami podrzędnymi przeprowadził przeszukiwanie porównawcze w spacji pamięci.

– Aha – szepnął. Przetawiał siatkówkę na odbiór podczerwieni. Potwierdziło się: Catriona to projekcja solido.

Teraz wsunął się bot transportowy z komorami medycznymi i wszyscy usuwali mu się z drogi. Za nim pojawił się drugi bot. Oscar pomyślał, że ktoś będzie musiał przejść w stazę, zanim dotrą do Pustki. A zważywszy, że w zasadzie jestem teraz zbyteczny...

Troblum otworzył niski właz do zejściówki.

– Możemy tu wstawić część komór.

– Nie masz tu więcej miejsca? – spytał Inigo podejrzliwie.

– Gdy wystartuje planetarny napęd nadświatlny, możemy wykorzystać przednią ładownię. Do tego czasu musimy się tu ścisnąć.

Komory medyczne nadchodziły. Dwie wcisnęły się do wąskiej zejściówki. Troblum kazał ścianie działowej wytłoczyć cienkie półki; akurat wystarczyło miejsca na trzy duże ciemne sarkofagi ustawione jeden nad drugim. Ludzie musieli teraz stać ściśnięci niewygodnie.

– Dołączę do was później – powiedziała Catriona i zniknęła.

Troblum udawał, że tego nie zauważył. Otworzył skafander i upchnął go w szerokim walcu bagażowym, który teleskopowo wysunął się z pokładu. Pod spodem miał togatur. Oscar nigdy nie widział czegoś tak sfatygowanego.

– Są tu nisze sypialne? – spytała Beckia.

– Trzy – odparł Troblum.

– Jedna dla mnie – powiedziała szybko.

Corrie-Lyn chciała drugą. Nikt jakoś nie prosił o osobistą niszę Trobluma.

Ostatnią kapsułę medyczną przytwierdzono, śluza zamknęła się płynnie. W kabinie panowała ciasnota.

– Więc jak to działa? – spytał Tomansio.

– Potrzebny jest niezamieszkały układ planetarny – wyjaśnił Troblum. – Ponadto, promieniowanie z nowej może wysterylizować pobliskie układy planetarne. Dlatego, dla bezpieczeństwa, potrzebujemy gwiazdy położonej piętnaście lat świetlnych od jakiegokolwiek układu odpowiedniego dla człowieka. W promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych są trzy kandydaci, godzina lotu.

– Wybierzmy w takim razie najbliższy – powiedział Inigo.

– Ten jest najdalej od Pustki.

– Aha. Więc jak daleko... – Umilkł zdziwiony.

Oscar nagle zdał sobie sprawę, że w gajaserferze pojawiła się osobista emisja. Na podstawie emocjonalnej zawartości zidentyfikował Cheritona. Wrażenie gwałtownej paniki sprawiło, że jego serce drgało ze współczucia. Emisja wzmocniła się do przekazu.

– Cześć – mówiły cicho myśli Cheritona. Dominowała potrzeba otuchy.

Inigo i Araminta-dwa wymienili znaczące spojrzenia.

– Jesteśmy tu – odpowiedziały ich umysły jednocześnie.

– Nie! – wrzasnął Aaron. Wzniósł pięść w bezgłośnej złości i spojrzał wściekle na dwóch Śniących.

Przekaz nie zawierał obrazu, dźwięku, ani zapachu, tylko skonsternowane drobne myśli Cheritona. Był sam, niezdolny do odczuć z własnego ciała. Jedynie trening i wspianała samokontrola nie dopuszczały strachu.

– Ach – przemówił inny umysł z irytującym spokojem. – Nie pomyślałam o połączeniu przez gajaserferę. Widzę, że macie niezwykłą liczbę gajafejsów z ciekawymi drobnymi modyfikacjami w strukturze.

Oscar pomyślał, że nowy głos może w ogóle nie należeć do człowieka. Nigdzie nie można było znaleźć najdrobniejszego odcienia emocji.

– Wejdz w nadświatlną – powiedział Tomansio do Trobluma. Na

twarży wielkoluda pojawiło się przerażenie. Trząsał się.

W kabinie zmaterializowała się Catriona i przytuliła go mocno.

Przekaz rozszerzył się, gdy oczy Cheritona się otworzyły. Patrzył w górę na ciemnoszary sufit. Nad nim pojawiła się bardzo rozmazana głowa. Obraz się stopniowo ogniskował, gdy niemrawe oczy Cheritona reagowały na blady, owalny kształt. Twarz kobiety otoczona krótkimi, ciemnymi włosami uśmiechała się dobrotliwie.

– O, kurwa! – jęknął Oscar.

– Cześć, chłopcy i dziewczęta – powiedziała Kotka. – Wyczuwam was tam. Jakie to cudowne, że tak się martwicie o swojego przyjaciela.

– Nie mogę się poruszyć – mówił Cheriton.

Zaczynał tracić samokontrolę. Drobne impulsy strachu przerywały transmisję, jakby przekazywała wstrząsy elektryczne.

– Przykro mi z tego powodu. – Kotka wsunęła w obraz jedną rękę. Umazaną krwią. Z koniuszków palców kapąły krople. – Ale teraz nie mogę dopuścić, żebyście mi uciekli, czyż nie?

– Cheritonie, musisz uruchomić swoje bioniczne przeciążenie – powiedział Tomansio bardzo spokojnym tonem. – Wybacz. Odbędziemy ceremonię odnowy, gdy wrócimy do domu. Przysięgam ci.

– Nie mogę. – Powróciły nieszczęsne myśli Cheritona. – Nie mogę.

– Mamy twoją kopię zabezpieczoną. Niczego nie stracisz.

– Nie mogę.

Rozwarły się drzwi niszy sypialnej, wyskoczyła z niej Corrie-Lyn i przywarła do Iniga, ledwo powstrzymując łzy.

– Cheritonie – kontynuował Tomansio. Jego myśli stały się surowe. – Musisz to zrobić. Ona cię zinfiltrowa. Misja zostanie narażona na szwank.

– Pomóżcie mi.

– Ojejku! – Uśmiech Kotki zawisł nad nimi, sącząc mróz, choć Kotka była daleko stąd. Jej usta rozszerzyły się w smutnym uśmiechu. – Biedny chłopak mówi prawdę. Nie może popełnić

samobójstwa. To słabość, a wszyscy wiemy, co ja myślę na temat bycia silnym, czyż nie? Więc mu pomagam. Użyłam dużych nożyc do jego połączeń bionicznych. – Spojrzała na lśniąca szkarłatem dłoń, jakby zaskoczona jej barwą. – Chyba przypadkowo przecięłam również kilka nerwów. No cóż, mówię „przecięłam”, a mam na myśli „rąbnęłam”. Ale pozytywne jest to, że teraz nic nie będzie boleć, więc to miłe z mojej strony, czyż nie?

– Ty diabelska dziwko – przesłał jej Tomansio. – Jak się to wszystko skończy, znajdę cię.

Kotka zaśmiała się.

– Mierz siły na zamiary. Ciekawa jestem, co znaczy „to”. Tak mnie ekscytuje wasze zgromadzenie. Chciałabym do niego dołączyć.

– Włącz nadświatłą – rozkazał Aaron ostro. – Musimy mieć przewagę czasową. Ona się dowie.

– Tak – przyznała Kotka. – Zostawcie go. Zostawcie go ze mną. Samego. Razem się nieźle zabawimy.

– Lećcie – powiedział Cheriton. – Lećcie już. To się szybko skończy. Nie przeżyję tego, co ona mi zrobiła.

– Zaraz, mój drogi, to wielkie kłamstwo. Mam kapsułę medyczną i nie boję się jej użyć. Razem spędzimy ze sobą prawie wieczność. Mogę nawet zrobić z ciebie drugiego Aarona. Czego więcej ci trzeba?

– Nigdy.

– Cudowne. Uważasz, że jesteś silny.

Przekaz został natychmiast zalany ostrymi obrazami ze wspomnień Cheritona. Zaskoczony Cheriton był nagle siedmiolatkiem, jadł przy stole posiłek z rodzicami i dwiema siostrami. W miłej atmosferze rodzice rozmawiali z dziećmi zainteresowani tym, co się wydarzyło w ciągu dnia, zachęcali do rozmowy. Cudowny okres życia przesycony szczęściem. Nagle ojciec wstał.

– Chodź tu – skinął na Cheritona.

Gdy chłopiec wstał, ojciec aktywował kilka wszczepów bojowych.

– Nie! – błagały oszalałe myśli Cheritona. – Nie, nie, to jestem ja, to jest moje życie.

– To było nudne, mój drogi. Jesteś przez to słaby, dla mnie nic niewart. Zamierzam zrobić z tego coś znacznie bardziej interesującego i nieco bardziej paskudnego.

– Przestań! – powiedział Aaron.

– Bo co? – spytała Kotka na tle rozpaczliwego szlochu młodego Cheritona.

Skwierczenie ognia z broni ogłuszało, przesłaniało krzyki sióstr. Z powodu fetoru Oscar omal nie zwymiotował.

– Obecnie już nie istnieją, więc wymażmy ich z pozostałej części twojego życia, dobrze? – rzekła Kotka. – A robiąc to, pomyślę, czym ich podmienić. Chyba czymś pysznym. Co sprawi, że mnie pokochasz.

– Oni są realni. – Tomansio przesłał cały ładunek przekonania. – Uwierz w to, Cheritonie. Poznaj prawdę. Oni nie umarli w ten sposób.

Przekaz zdegenerował się do chaotycznie wirujących obrazów, dźwięków i wrażeń. Błyskające widoki rodziny Cheritona przesunęły się i wyblakły do szarej nicości.

– Sprowadź ich z powrotem! – zawodził Cheriton.

– Troblumie, wywieź nas stąd – powiedział Tomansio.

Troblum tylko mocniej przywarł do Catriony.

– Ona chce mnie. Tak będzie zawsze, zawsze. Nigdy nie przestanie. Znam ją. Zbadałem, czym ona jest. Spytaj go. – Wskazał na Aarona.

– Ja nie wiem – odparł Aaron. – Właśnie to zrobiono ze mną.

– Sprowadzić z powrotem... kogo? – spytała Kotka cicho. Jej umysł promieniował miłym niepokojem. – Kogo, mój drogi?

– Co? – Myśli Cheritona były w zamęcie.

– Jeśli ona chce ciebie, to jest tylko jedno miejsce, gdzie możesz być bezpieczny – powiedział Oscar z naciskiem do Trobluma. Niepokoiło go, że ten wielki mężczyzna jest tak zrozpaczony i nie myśli logicznie. – Zabierz nas tam – nalegał.

– O, proszę – powiedziała Kotka z entuzjazmem.

Z mózgu Cheritona wyszarpnęło się kolejne wspomnienie. Tym

razem Oscar zobaczył siebie na pikniku przy małym strumieniu. Teraz Cheriton był ojcem. Byli z nim jego żona i synek.

W myślach Cheritona bąbelkował niepokój. Wiedział, że coś jest źle, choć scenka była cudowna.

– Zakończ to – powiedział Tomansio. – Z łatwością potrafisz wyciągnąć to, czego potrzebujesz.

– Ale w ten sposób ja zagram pierwsze skrzypce – oznajmiła Kotka. – Jeśli mój Cheriton ma do mnie należeć, nie może żywić uczuć do nikogo innego, czyż nie?

– Przestań!

– Troblumie, zabierz nas stąd. – W tonie Aarona brzmiała groźba.

– Proszę – szepnął Araminta-dwa.

Na straszliwe upokorzenie Cheritona reagował emocjami na niesamowitym poziomie. Oscar czuł, jak w oczach wzbierają mu łzy.

– Jaki ojciec, taki syn – powiedziała Kotka.

Cheriton spojrział w dół i zobaczył, że trzyma samopowtarzalną strzelbę.

– Nie! – wrzasnął. – Nie, nie, nie, nie. Powstrzymaj ją, w imię Ozziego, nie pozwól jej tego zrobić.

– Nie możemy go zostawić – szlochała Corrie-Lyn. – Nie z nią. Nikt nie jest w stanie sam tego wytrzymać, to nieludzkie.

Rubinowy laser celujący wypchnął się z pięści Aarona. Plama bryzgnęła na projektor solido.

– Teraz! – syknął.

– Troblumie! – szlochała Catriona.

Palec Cheritona nacisnął spust. Nieprzyjemne kliknięcie rozeszło się echem po kabinie statku.

– To nie jest realne – zapewniał Inigo. – Musisz o tym wiedzieć, Cheritonie, i pamiętać.

– Drogi Jezu! – jęczał Oscar.

– Rób to, skurwysynu! – wrzasnął Aaron.

„Odkupienie Mellanie” śmignęło w hiperprzestrzeń.

Justine: rok czterdziesty piąty

Justine przyjęła wygodniejszą pozycję siedzącą, tym razem czując każdy swój przeżyty rok. Tak długie zawieszenie czynności życiowych było zabójcze. Bolały ją wszystkie mięśnie. Przysięgłaby, że słyszy skrzywienie stawów, kiedy nimi porusza. Głodowe skurcze rywalizowały z mdłościami.

Procedury wtórne poinformowały ją, że ostatni raz wyszła z komory medycznej piętnaście lat temu, na krótką inspekcję „Silverbirda”. Displeje egzowizji i pomocnicze programy dostarczyły jej szybkiego przeglądu obecnego statusu statku. Większość systemów na pokładzie pracowała w granicach dopuszczalnych parametrów, choć degradacja w ciągu ostatnich czterdziestu lat stała się zauważalna.

U-adiunkt polecił jednostce kulinarnej wyprodukowanie napoju proteinowego na bazie bananów. Złapała plastikowy kubek trzecią ręką i przeniosła przez kabinę. Parę minut po spożyciu brejowatej substancji rzeczywiście poczuła się nieco lepiej. Mięśnie nadal bolały, ale dzięki bionicznemu wsparciu wygramolenie się z komory okazało się względnie łatwe. Chwiejnie pobrnęła do boksów łazienkowych i kazała wyciągnąć kabinę prysznicową. Nie prysznic sporowy, ale przyzwoity, oryginalny, gorący strumień, pod którym mogłaby stać i czuć wodę bijącą o skórę. Gorąco wsiąkało w jej ciało, pokonując toksyczną sztywność, która narosła w czasie stazy. Potem wtarła żel, ciesząc się uczuciem oczyszczania, jakby naprawdę zmywała z siebie letarg. Czuła przyjemne mrowienie skóry. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że chyba nadaje scenę namydlonej dziewczyny pod prysznicem do większości rasy ludzkiej. Przez Tatę!

– O, cholera!

Szybkie spłukanie zimną wodą natychmiast usunęło wszelkie skojarzenia erotyczne. Wyszła z kabiny i wzięła gruby ręcznik. To

całe dzielenie się sprawami cielesnymi wymagało pewnego przyzwyczajenia. Nie żeby była szczególnie pruderyjna, ale jednak wszystkie wrażenia zmysłowe...

Sucha i ubrana w skromne, półorganiczne spodnie i bluzę usadowiła się w ulubionym fotelu i przeglądała obrazy z zewnętrznych czujników. Nadal podróżowali z zero przecinek dziewięć szybkości światła, mknąc przez układ planetarny. Dwie godziny lotu przed nimi znajdowała się nienaturalnie biało-niebieska plamka świata odpowiedniego dla ludzi. Sensory znalazły pustynną planetę Nikran orbitującą czterdzieści pięć milionów kilometrów bliżej gwiazdy, a Bransoleta Gicona, niemal z drugiej strony gwiazdy, przedstawiała sobą jasne skupisko świetlnych punktów. Justine uśmiechnęła się. Nie było wątpliwości – Władca Niebios zabierał ją bezpośrednio na Querencję.

Na sąsiednich gwiazdnych polach widniały mgławice znane z tyłu snów Iniga: spektakularna niebiesko-zielona plama Morza Odyna, ukoronowana szkarłatnymi rafami; Buluku, kręta rzeka fioletowego gwiazdowego pyłu, nękana burzami z niesamowitymi błyskawicami długimi na pół roku świetlnego; i oczywiście żarzące się, splecione topazowo-pąsowe fałdy, które tworzyły Honiousa w całej jego złowieszczej wspaniałości.

Justine – skoro już tu rzeczywiście dotarła – doświadczała czegoś podobnego do *déjà vu*. Jakby nagle bajka z dzieciństwa okazała się prawdą i kolorowe potwory, o których czytała, wynurzyły się ze stronik książki. Nie było to straszne, lecz ekscytujące. Prawdziwe pionierstwo.

A może lepszym określeniem byłaby „archeologia”.

Sięgnęła dalmową do Władcy Niebios.

– Dziękuję ci, za przywiezienie mnie na ten świat. Mój statek może teraz polecieć i samodzielnie wylądować.

– Mogę zabrać cię bliżej – zaproponował wielkodusznie.

– Czułabym się szczęśliwsza, gdyby mój statek wylądował samodzielnie. Jestem tu teraz. Jestem zadowolona, za co ci dziękuję.

– Jak sobie życzysz – odparł Władca Niebios.

Justine przygotowała się. Niewiele to pomogło. „Silverbirdem” znów miały dziwne przyśpieszenia, kiedy Władca Niebios wykorzystywał swoje zdolności manipulowania temporalnego. Drastycznie wyhamowali. Gwiazda przed nimi odzyskała żółtą promienność. Przesunięte ku czerwieni gwiazdy z tyłu rosły i rozmiarami, i intensywnością. Chmury i czapy polarne Querencii pociemniały, a ocean nabrał barwy głębokiego szafiru. Wokół kadłuba „Silverbirda” zawirowały opalizujące barwy – to skrzydła próżniowe Władcy przemykały tuż obok. A potem odległość między statkiem a Władcą szybko rosła.

– Uważaj na mój rodzaj. Niedługo będą tutaj – wysłała Justine. W odpowiedzi dostała pogodny błysk potwierdzenia.

Justine skupiła się na planecie. Władca Niebios odleciał, kiedy „Silverbirda” dzieliło pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od planety i szybko się do niej zbliżał. Justine kazała smartkorowi stworzyć trajektorię prowadzącą na orbitę o inklinacji dwudziestu stopni na wysokości tysiąca kilometrów. Pamiętała, że Makkathran znajdował się na brzegu strefy umiarkowanej. Obrana orbita powinna pozwolić na zobaczenie miasta nieuzbrojonym okiem. Z jakiegoś powodu nie mogła sobie wyobrazić jego zniknięcia. Makkathran był czymś stałym. Stanowił schronienie dla każdej rasy, która miała nieszczęście wpaść do Pustki. Istniał tam na długo przed przybyciem ludzi. Była pewna, że pozostaje tam również teraz.

Gdy tylko „Silverbird” rozpoczął hamowanie 15 g, włączyła znów gniazdo konfluencyjne. Zasiłała je nie pamięcią, a raczej wiarą, nadzieją na granicy obsesji, że wszystko na pokładzie statku będzie działało.

Może to tylko żałosne życzenie, ale a nuż wystarczy, bym właściwie wylądowała.

Z tą myślą w tle zaczęła rozważać wyposażenie potrzebne po wylądowaniu. Replikator zabrzęczał i wkrótce zaczął wypuszczać rozmaite ubrania na wszystkie pory roku. Następnie żywność: przetwory owocowe, suszone lub marynowane mięsa, na wpół upieczony chleb w szczelnych pojemnikach, podstawowe pakiety wolnych od bakterii posiłków, które prawdopodobnie długo się

nie popsują, soki i pojedyncze butelki wina. Aby móc to wszystko przygotować, kazała replikatorowi wyprodukować mały grill do barbecue i torby węgla drzewnego. Potem wyciągnęła naprawdę stare wspomnienia z kampingów w liceum, kiedy mieli tylko proste narzędzia, jak kompas, zapalniczki, garnki, talerze, kubki, sztuce. Płyn do zmywania. Mydło. Szampon! Kilka par przyzwoitych butów. Noże rozmaitych rozmiarów, łącznie z najgrubszym scyzorykiem armii szwajcarskiej, jaki tylko mogła wyciągnąć z pamięci smartkoru. Takim scyzorykiem mogłaby zbudować następny gwiazdolit, gdyby tylko się domyśliła, jak uruchomić wszystkie zawarte w nim gadżety. Lina. Staromodny namiot. Lista bez końca. Justine odhaczała pozycje aż do chwili, kiedy „Silverbird” wszedł na wyznaczoną orbitę. Potem siadła w fotelu i obserwowała projekcje wysokiej rozdzielczości świata przesuwanego się w dole.

Podczas zbliżania się do planety smartkor rozsądnie zmapował podstawowe elementy topografii, obejmując około dwóch trzecich kontynentów. Nie mogła jednak skorelować tego, co widzi, z żadnym z krajobrazów Edearda. Linie brzegowe, które powinny dostarczyć najważniejszych podpowiedzi, widziane z orbity wydawały się nieznanym. Okrążyła pięć razy planetę, nim zaczęła przelatywać nad górami, przypominającymi pasmo Ulfsen, które Edeard przecinał po raz pierwszy z karawaną Barkusa podczas podróży do Makkathranu. Z Salraną, pomyślała smutno. Ich tragicznym, skazanym na niepowodzenie romansiem nigdy wcześniej się nie przejmowała, ale teraz, w miejscu gdzie się rozegrał, poczuła w sobie zaskakujący rezonans emocjonalny.

Głupie mięsne ciało, zakłęta i skupiła się na rzutowanym obrazie.

Bez wątplenia następne góry to Donsori. W pole widzenia wpłynęła równina Iguru, bujnie porośnięty, zielony przestwór z dziwnymi małymi stożkami wulkanicznymi. I oto on, rzucony na linię brzegową: Makkathran.

Patrzyła na wielki miejski krąg, zachwycając się znajomym układem jego dzielnic otoczonych ciemnymi łukami kanałów. Światło słoneczne połyskiwało na kryształowym murze,

ujawniając go jako cienką linię opasującą miasto, zanurzającą się w iskrzące morze Lyot w dzielnicy Portowej o charakterystycznym kształcie rybiego ogona.

Pod jej kierownictwem smartkor przeprowadził końcowe sprawdzenia systemów napędowych. Z wyjątkiem ultranapędu wszystkie pracowały ze sprawnością powyżej osiemdziesięciu procent. Usterki były minimalne.

– Sprowadź nas na dół – poleciła Justine smartkorowi.

Gwiazdolot rozpoczął fazę końcowego hamowania. Zostawała jedyna decyzja odwlekana od czasu przybycia statku na orbitę: czy zabrać broń? Justine była dość pewna, że zdoła odeprzeć dowolne zwierzę swoją trzecią ręką. Ale jeśli rzuci się na nią całe stado psów albo szybkolisów? Upłynęło tyle czasu i psy raczej straciły wszelkie cechy udomowienia. I nie chodziło jedynie o zwierzęta. Nie miała pojęcia, kto przybędzie do Makkathranu w ciągu następnych kilku tygodni, lat czy dekad – jak długo będzie musiała tutaj przebywać, zanim plan Gore’a się zrealizuje.

Zestawy schematów technicznych przepływały przez jej egzowizję. Wybrała jeden i przerzuciła go do replikatora. Dwie minuty później z wnętrza wyslizgnął się pistolet półautomatyczny z gwarantowanym mechanizmem niezacinającym się. Następnie wynurzyło się pięć magazynków wymiennych i pięć pudeł kul, co naprawdę powinno wystarczyć.

Ingraw zlikwidował orbitalną szybkość „Silverbirda”, pozwalając, by pojazd opadł pionowo. Statek uderzył w górną atmosferę, której rzadkie cząsteczki cicho wyły od gwałtownych zderzeń. Za zapadającym w głąb pojazdem ciągnął się długi, falujący ogon świecących jonów.

Bursztynowe powiadomienia egzowizyjne ostrzegały Justine, że polom siłowym grozi przeładowanie. Podzieliła się z gniazdem konfluencyjnym swoim rozpaczliwym pragnieniem, by generatory pól wytrzymały. Siłą woli zmuszała je do tego. Bursztynowe komunikaty zgasły.

Na wysokości piętnastu kilometrów włączył się regrab, zwalniając opadanie. Zaczęła dokładnie oglądać miasto, gdy napływały obrazy. Kiedy czujniki rozpoczęły sondowanie

otaczających skał, głębsze skany czujnikowe były rozmazane. Nie otrzymywała wyraźnego obrazu, co znajduje się pod Makkathranem, choć mogła już wyróżnić niewyraźne nitki kilku tuneli podróżnych, przecinających promieniście stare pole lawy tworzące równinę Iguru.

Nadal nie wiem, co to takiego, pomyślała z łagodną irytacją. Ale wszystko, co manipulowało grawitacją – to, co napędzało Edearda w tunelach – musiało być w tym wszechświecie wtrętem zaawansowanej techniki. Właśnie to myśli miasta wyznały Edeardowi, kiedy go poinformowały o resetującej zdolności Pustki. Tej nocy, kiedy Salrana go zdradziła, przypomniała sobie, żałując, że odrzuceni kochankowie obchodzą ją aż tak bardzo. Słuchaj, dziewczyno, to było tysiące lat temu. Ich ciała są prochem, a ich dusze imprezują w Sercu.

I znowu niezbyt pocieszające myśli. Jeśli tutaj umrę, to albo zgasnę, wędrując w kosmosie, albo zostanę wchłonięta przez Serce. Lub Honiousa.

Zła na siebie za okazanie słabości skoncentrowała się na mieście rozwijającym się przed nią na projekcjach. Główną troską było teraz znalezienie lądowiska. Chciałaby obejrzeć tyle miejsc. Wyróżniała teraz duże budynki. Kopuły Pałacu Sadowego w Anemone, dziwnie skręcone wieże w Eyrie trzymające wartość wokół kościoła Pani. Przerzuciła wzrok na Sampalok i, oczywiście, tam na centralnym placu stał sześcioboczny budynek stworzony przez Edearda z ruin rezydencji Bisego.

– O, cholera! – powiedziała cicho. – To jest prawdziwe.

Nie była pewna, czy to lęk, czy determinacja kazały się jej teraz skupić należycie. Gruby pas łąk między kryształowym murem i zewnętrznym pierścieniem kanałów – Wysoka Fosa, Niska Fosa, Tycho lub Andromeda – był możliwym kandydatem, choć łąki strasznie zarosły. Widziała tam w dole kępy drzew, których z pewnością nie było w czasach Edearda. Według oglądów radarowych i skanów masowych to, co z dużej wysokości wyglądało na trawę, w rzeczywistości okazywało się głównie krzakami i pnączami.

Wobec tego Złoty Park. Stare płaskie pola za rzędem

nieskazitelnych białych kolumn, były równie krzaczaste jak łąki zewnętrzne, a martożowce obramowujące oryginalne alejki rozmnożyły się i zdziczały. Radar jednak pokazywał, że istniało tam wiele względnie równych miejsc.

„Silverbird” nadal opadał, lekko skręcając, by ustawić się odpowiednio względem zachodniej części parku, położonej między łukami kanałów Górnego Zagajnikowego i Czempiona.

Dwie ikony ostrzegawcze informowały, że jednostki regramu muszą pobrać dodatkową moc, aby utrzymać stałą szybkość opadania. Tak jakby wzrastała grawitacja, ściągając statek w dół.

A jak wyrazić życzenie zmniejszenia ciężenia?

Pojawiły się dalsze ostrzeżenia, meldując o usterkach w systemach drugorzędnych. Czują narastającą wibrację, więc kazała fotelowi, by trzymał ją mocniej. Fotel reagował niemrawo.

– O, cholera, spadamy – jęknęła.

Statek znajdował się tylko kilometr nad miastem i nabierał prędkości. Nic zabójczego, pomyślała. Jeszcze nie. Nogi do lądowania wypączkowały z kadłuba. Coś chce, bym wylądowała bez szwanku. Szybkość niepokojąco wzrastała. Justine wysłała smartkorowi zestaw instrukcji, układając własne procedury do lądowania w stylu Pustki.

Pięćset metrów i „Silverbird” miał rufę skierowaną w dół, tak jak powinien. Dziobem wykreślał małe łuki, gdyż statek lekko się kiwał. Radar omiótł dokładnie wybrane przez nią miejsce lądowania. Sondowanie potwierdziło stabilność i solidność podłoża.

Jej myśli uderzyły w gniazdo konfluencyjne, żądając normalności. Energia z rezerwowych studni mocy została skierowana do jednostek regramu, zmuszając je do pracy na granicy bezpieczeństwa. Zobaczyła, jak wieże Eyrie są na jednym poziomie ze statkiem, a potem, w Toselli, Niebieska wieża wznosiła się już ponad statkiem.

Ostatnie sto metrów było przykładem idealnego lądowania. Względna prędkość zero statek osiągnął dziesięć metrów nad dziką roślinnością. A potem zejście pół metra na sekundę, aż nogi lądownicze dotknęły gruntu. Gąbczaste pokłady liści i mchu

zostały zgniecione i dopiero, gdy każda noga potwierdziła, że spoczywa na twardym podłożu, jednostki regramu się wyłączyły.

Jakby z solidarności, na całym statku zakwitły sygnały spadku mocy. Justine nie niepokoiło to specjalnie. To było nic w porównaniu z czymś tak dramatycznym i traumatycznym jak jej lądowanie na kopii góry Herculaneum.

- Houston - powiedziała poważnie do milczącej kabiny. - Tu baza w Żółtym Parku. „Silverbird” wylądował.

Araminta przebywała na pokładzie obserwacyjnym „Światła Pani” od samego początku Pielgrzymki. Pomieszczenie miało tę samą powierzchnię co Sala Malfit w Pałacu Sadowym na Ellezelinie i dwa razy większą wysokość. Araminta starała się jak najmniej korzystać z fotela. Wołała stać i patrzeć przed siebie przez rozległą, przezroczystą sekcję kadłuba. Nie było nic do oglądania. Nie było tam nic, od czasu gdy hiperprzestrzeń owinęła masywny statek. Na zewnątrz panowała pustka, jeśli nie liczyć okazjonalnych kaskad niebieskich iskier, przesuwających się przez stworzoną przez ich hipernapęd dookólną pseudomaterię. Zapytany o nie Taranse wyjaśnił, że są to niedoskonałości szczeliny pola kwantowego. Co powodowało te niedoskonałości, nie powiedział i prawdopodobnie nie wiedział tego sam. Aramincie raczej się one podobały – stwarzały złudzenie, że na zewnątrz znajduje się jakaś materialna substancja, a mrugające niedoskonałości oznaczają, że wyprawa posuwa się w niej naprzód.

Przez pięć dni obserwowała, jak nicość przepływa obok, i przekazywała ten obraz miliardom swoich wyznawców w Wielkiej Wspólnocie. Szóstego dnia zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach, ramiona dygotały. Smutek, który wypromieniowywała w gajasferę, był tak głęboki, że większość oglądających ją osób załkała ze współczucia. Byli przerażeni, zalewali troską gajasferę. „Co nie gra?” – pytały zdumione miliardy, gdyż na pokładzie obserwacyjnym prócz Araminty nie było nikogo ani niczego. „Kochamy cię, Śniąca. Czy możemy pomóc? Pozwól sobie pomóc, proszę”.

Araminta nie udzielała im odpowiedzi. Stała nieugięcie przed rozpadającymi się świetlnymi plamkami, niema i zrozpaczona. Kiedy członkowie jej osobistego sztabu weszli na rozległą lśniącą podłogę, odesłała ich szorstkim gestem. Odesłała bez słowa

nawet lojalnego Darraklana.

Tak jak przewidziała, pojawił się Ethan i rozpoczął samotny marsz w jej stronę. Ci, którzy dzielili jej przerażenie, czuli, jak jej cierpienie znika. Araminta się wyprostowała. Nie próbowała wytrzeć łez z oczu. A potem jej wyznawcy stali na miękkim trawiastym terenie, opadającym do obramowanego wysokimi wydmami wybrzeża. Słońce połyskiwało na leniwych falach przemierzających czyste wody oceanu. Przed nią stał silfen, majestatyczny i złowieszczy ze swymi rozciągniętymi ciemnymi, skórzastymi skrzydłami i uniesionym wysoko ogonem.

- Możesz to zrobić - zapewnił ją.

- Wiem.

Wisiolek wokół jej szyi rozbłysnął wesołym, błękitnym światłem potwierdzenia. A Ethan stał przed nią na pokładzie obserwacyjnym, z oczyma zmrużonymi przed zimnym światłem promieniującym z wisiora na łańcuszku, który teraz spoczywał na jej białej szacie.

- Druga Śniąca - powiedział formalnie.

- Kleryku Ethanie.

Pełna nienawiść skierowana przez wyznawców Żywego Snu ku ich eksKonserwatorowi, oszałamiała intensywnością. Zawahał się, a potem się opanował z pewnym siebie uśmiechem, który dla jego publiczności był po prostu potwierdzeniem jego hańby.

- Może zechciałabyś powiedzieć swoim ludziom, co cię aż tak przeraża - zasugerował gładko.

- Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - spytała.

- Tak, Śniąca.

- Jest tylko jedna osoba na świecie, która mogła ci o tym powiedzieć.

- Rzeczywiście. Jednak posłaniec nie jest ważny. Ważne jest to, co mi powiedziała.

- W tym wypadku wiadomość i posłaniec stanowią jedność. Również sposób, w jaki ta wiadomość została uzyskana, ma znaczenie. To ta osoba jest przyczyną.

- Niemniej nazwała cię fałszywą.

- Ilanthe kłamie. Tym właśnie się stała: węzem wśród nas

wszystkich.

– Czy to prawda? Jest was wielu?

– Ja jestem.

– Muszę więc zakwestionować twoje intencje.

– Oczywiście, że musisz. A jednak dotrzymam słowa. Poprowadzę Pielgrzymkę do Pustki, tak jak obiecałam.

– Usiłujesz nam przeszkodzić – fuknął.

– Poszukuję naszego prawdziwego przeznaczenia. Usiłuję sprawić, aby pobożni uniknęli szaleństwa i losu Ostatniego Snu. Dążę do tego, by Pustka osiągnęła własne spełnienie.

– Pozwalając na wejście tych, którzy ją zniszczą. To nie może się wydarzyć.

– Mówię ci teraz to, co powiedziałam Ilanthe i co również powiedziałam Inigowi. Nasz los rozstrzygnie się wewnątrz Pustki. Pustka o nim zdecyduje. Nie ty ani nikt inny. Zostałam wybrana jako instrument otwarcia ścieżki do Pustki, to wszystko. Nie jestem portierem. Wszyscy, którzy szukają własnego spełnienia, jakiegokolwiek natury, mogą swobodnie wstąpić do Pustki. Nie jestem w prawie odmawiać im przejścia jedynie dlatego, że ich wizja różni się od twojej i od wizji Żywego Snu. Nikogo nie osądzam, Kleryku. Odmienne od ciebie, nie uważam się za nieomylną.

Niepewność Ethana nie mogłaby być bardziej widoczna, nawet gdyby pozwolił jej błyszczeć przez gajafejsy.

– Rozmawiałaś z Inigiem?

– Oboje jesteśmy Śniącymi. Jesteśmy razem nawet teraz. Czy twoja najdroższa Ilanthe nie powiedziała ci tego?

– Ilanthe nie jest moją przyjaciółką.

– A jednak jej ulegasz, czymkolwiek jest, jakiegokolwiek są jej cele. Śniący Inigo przekazał Ostatni Sen jako ostrzeżenie. Czy naprawdę myślisz, że o właśnie takim ponurym przeznaczeniu powinniśmy marzyć dla naszych dzieci? O monotonnym bytowaniu znudzonych supermenów?

– Wierzę, że mamy prawo wybierać naszą przyszłość. Pragnę przeżyć swe życie na Querencii, osiągnąć spełnienie i zostać poprowadzonym do Serca. Ty, Oscar i Aaron usiłujecie temu

zapobiec.

Araminta obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

– Czasami, by zrobić rzecz słuszną, trzeba czynić rzeczy niesłuszne.

Ethan rozejrzał się po ogromnym pokładzie obserwacyjnym, jakby w poszukiwaniu sprzymierzeńców.

– Jeśli odmówisz nam Pustki, źle się to dla ciebie skończy. To obiecuję. Swoje życie oddałem w służbie Żywego Snu. Wszystko, co zrobiłem, wszystko, co poświęciłem, prowadziło do rozpoczęcia tej Pielgrzymki. Nie będę tolerował zdrady.

– Wstąpisz do Pustki, Kleryku. Będziesz spacerował po Querencii. Masz na to moje słowo. A teraz może byś poszedł i zapytał Ilanthe, jakiej przyszłości pragnie dla nas wszystkich. A może nie ufa ci na tyle, by odpowiedzieć.

Skinął obojętnie głową.

– Tak jak mówisz, Pustka w ostatecznym rachunku zatriumfuje. Nie martwię się o intencje Ilanthe. Wszystko, co robi ktokolwiek z nas, nasze błahe spiski i intrygi są nieistotne w obliczu majestatu Pustki.

– Cieszę się, że mamy na to wspólny pogląd. A teraz nie zwracaj mi już głowy. – Odwróciła się od niego i czekała. W końcu usłyszała, jak odchodzi.

Gajaserę omywały zakłopotanie i przerażenie. Jej wyznawcy chcieli, żeby wyjaśniła, co się dzieje, co robi Śniący Inigo.

Zobaczycie – zapewniła ich. W Pustce będzie prawda.

To była żółta gwiazda, której mizerna rodzina planet składała się z pary bezpowietrznych skalistych światów i pojedynczego gazowego giganta, którego okrążała ponad dwudziestka księżyców. Żaden z nich nie miał nigdy szansy zrodzenia życia. Postarały się o to niewłaściwe orbity i brak lotnych substancji organicznych. Teraz po prostu bez końca krążyły, czekając, aż gwiazda przejdzie przez swą główną sekwencję, rozedmie się do czerwonego giganta i pożre je wszystkie.

„Odkupienie Mellanie” wynurzyło się z hiperprzestrzeni

osiemdziesiąt milionów kilometrów od gwiazdy i natychmiast aktywowało swoje systemy maskowania. Wewnątrz zatłoczonej kabiny panował ponury nastrój. Oscar wątpił, czy dłużej wytrzyma taką huśtawkę emocjonalną. Pozostawienie biednego Cheritona Kotce dla wszystkich okazało się traumą, choć, co dziwne, Aramintę-dwa dotknęło to najbardziej. Gdy odlatywali ze Szpikulca, łzy ciekły mu po twarzy strumieniem. Nie pomagały pocieszenia Corrie-Lyn ani Iniga.

A potem obaj Śniący nagle byli równie zaskoczeni, kiedy sen Justine o lądowaniu w Makkathranie pomknął przez słabe połączenie, które mieli z Pustką.

– Udało jej się! – wykrzyknęła zaskoczona Beckia, kiedy „Silverbird” delikatnie siadł w Żółtym Parku i sen zanikł.

– Zawsze uważałem, że się jej powiedzie – oznajmił Oscar. – Pamiętam ją ze swego pierwszego życia. Klan Burnellich robił wrażenie.

– Czy ona figuruje w twoim planie? – spytał Tomansio Aarona.

– O ile wiem, to nie. Jej podróż z pewnością nie włącza żadnych alternatyw czy nakazów. Kontynuujemy, jak uzgodniliśmy.

Oscara ciekawiło, czy Catriona odeszła na czas krótkiego przelotu. Troblum, kiedy już działał samodzielnie, nie zamienił z nikim nawet dziesięciu słów, a z pewnością niczego już nie zdradzały jego gajafejsy. W istocie Oscar nie był pewien, czy Troblum w ogóle posiada gajafejsy.

– Teraz doprowadzę urządzenie do stanu aktywności – oznajmił Troblum.

– Wspaniale. Jak długo to potrwa?

– Parametr wormholowy trzeba zreformtować. Pracowałem nad tym podczas lotu. Załadowanie go nie powinno potrwać dłużej niż kwadrans. Po tym po prostu musimy zapuścić to w niebo.

– Ile czasu to zajmie?

– To zależy od odległości, z jakiej to zapuścimy. Smartkor przegląda promieniowanie korony, by ostatecznie określić bezpieczną odległość, ale sądzę, że będzie to około miliona kilometrów. Samo urządzenie zostanie zaktywowane, kiedy

osiągnie górną warstwę korony. Potrzebuje ono tylko rozsądnej warstwy plazmy, by rozpocząć reakcję łańcuchową wewnątrz niestabilności kwantowej. Oparłem tę część na naszych standardowych bombach „nowa”.

– Troblumie. Ile czasu zajmie sformowanie wormholu? Licząc od teraz.

Opanowanie Tomansia naprawdę robiło wrażenie na Oscarze.

– Och. Około dwudziestu pięciu minut.

– Dobra robota – powiedział Aaron, jawnie rozbawiony tłumioną frustracją Tomansia. – A jak daleko sięgnie nowy wormhol?

– Sądzę, że teraz, kiedy mam nowy profil, na dwadzieścia osiem tysięcy lat świetlnych.

– Czyli znajdziemy się dwanaście do piętnastu tysięcy lat świetlnych przed Flotą Pielgrzymki – powiedział Araminta-dwa.

– Czy to da ci wystarczająco dużo czasu? – spytał Aarona.

– Wiem tylko tyle, że musimy dostać się do Makkathranu.

Oscar spojrzał na niego z namysłem.

– Gore stanowczo nalegał, by Justine poleciała do Makkathranu.

– To jedyne miejsce wewnątrz Pustki, o którym na pewno wiemy, że nadaje się dla ludzi.

– Gore kazał jej tam lecieć, po tym jak wylądowała na replice Far Away.

– Powiedział dosłownie „to miejsce, gdzie skupiają się ludzie w Pustce” – wtrąciła Beckia. – Co jest logiczne. Właśnie tam lecą wszyscy.

– Założę się, że Ilanthe tam nie leci – burknęła Corrie-Lyn.

– Nie wiemy, czy replika Far Away w dalszym ciągu tam jest – zauważył Tomansio. – Justine resetowała Pustkę do chwili, zanim zaczęła o tym śnić.

– Myślę, że wszyscy reagujecie zbyt mocno – powiedział Inigo. – Albo przynajmniej przykładacie do całej sprawy zbyt wielkie znaczenie. Makkathran jako cel podróży nie został wybrany zupełnie przypadkowo, ale w każdym razie wyboru wielkiego nie było.

– Czy pamiętasz, żebyś kiedykolwiek spotkał się z Gore’em? –

spytał Liatris Aarona.

– Nie pamiętam nic.

Liatris był lekko zmieszany.

– On zabił twojego ojca.

– To nie jest istotne.

– Bruce McFoster był agentem Gwiazdokrażcy, kiedy Gore go wyeliminował – powiedział Tomansio. – Rzeczywistego Bruce’a zabito jeszcze przed laty, kiedy został pojmany przez Gwiazdokrażcę.

– Ale musisz przyznać, że zbiegi okoliczności zaczynają...

– Oho! – przerwał im Araminta-dwa.

Wszyscy umilkli, kiedy przekazywał scenę z pokładu obserwacyjnego „Światła Pani”, gdzie zdeterminowany Ethan maszerował ku Aramincie. Podczas ich scysji Inigo objął Aramintę-dwa za ramiona.

– Jestem tutaj – szepnął, przepychając swe poparcie przez zespole w gajaserze. – Nie okazuj mu słabości. Teraz ty jesteś Śniącym. Twoje przekonania są słuszne. To Pustka zadecyduje o losie nas wszystkich.

Oscar gwałtownie westchnął, gdy skrzydlaty silfen załśnił mu w myślach.

To Bradley. Wiedział o tym i uśmiechnął się. Kawał drogi, chłopie. Świetnie wyglądasz.

Odpędzony Ethan odszedł. Wszyscy w „Odkupieniu Mellanie” spontanicznie bili brawo. Po chwili nawet Troblum dołączył się do aplauzu.

Tak więc ma gajafejsy, pomyślał Oscar.

Araminta-dwa uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Dziękuję – powiedział Inigo. Corrie-Lyn go pocałowała.

– Troblumie, ruszajmy – polecił Tomansio.

– Urządzenie jest prawie w stanie aktywnym. Jeszcze pięć minut.

Aaron uśmiechnął się zachęcająco.

Chwiejny dobry nastrój Trobluma minął. Wielka okrągła twarz pobladła.

– Och, nie! – wydyszał.

U-adiunkt Oscara wyciągał obraz czujnikowy ze smartkoru. Troblum zezwolił wszystkim na dostęp na poziomie ogólnym.

Opływowy statek z ultranapędem, podobny do „Rewanżu Elvina”, wynurzył się w odległości dziesięciu kilometrów. Otworzył połączenie komunikacyjne. Oscar przygarbił się. Wiedział.

– Cześć, kochani! – powitała ich Kotka.

Impuls udręki przeszedł przez kabinę.

– Jakie mamy środki obronne? – spytał Aaron.

Troblum pokręcił głową. Był bliski płaczu.

– Broń?

Troblum zaczął dygotać. Nogi ugięły się pod nim i opadł na kolana.

– Nie mogę pozwolić, by mnie złapała. Nie mogę.

– Czego chcesz? – spytał Kotkę Oscar. Gdyby chciała ich śmierci, już byliby martwi.

– Na pokładzie macie ze sobą cały ładunek talentów, kochany Oscarze. Nieczęsto jestem pod wrażeniem, ale akurat tym razem jestem skłonna to przyznać. Jesteście niezli.

– Co zrobiłaś z Cheritonem? – spytała Corrie-Lyn.

– Nie przerywaj dorosłym – fuknęła Kotka. – Bo dostaniesz za to klapsa, tam gdzie najbardziej boli.

Oscar gorączkowym ruchem dłoni uciszył Corrie-Lyn. Rzuciła mu gniewne, oburzone spojrzenie.

– Poinformowałaś o nas Ilanthe – powiedział Oscar.

– Och, przepraszam. Czy coś zepsułam? Myślę, że pięknie załatwiłaś tego małego gówniarza Ethana, Araminto.

– Czego chcesz?

– Wiesz czego, Oscarze. Tego co zawsze: nieco zabawy.

– Zaprosimy cię na przyjęcie z okazji zwycięstwa.

– Nie przeciągaj struny. Pustka jest miejscem, gdzie to wszystko się zakończy. Chcę brać w tym udział, a wy mnie tam zabierzecie.

– Co robi Ilanthe? – spytał Oscar.

– Całe swe metalowe serduszko wkłada w coś, co nazywa fuzją.

– Nie. To nie to. Ona stała się czymś innym – powiedział Araminta-dwa.

– Wkrótce będziecie mogli ją o to sami zapytać.
– Czy Kotka może nam wyrządzić krzywdę, kiedy będziemy wewnątrz Pustki? – spytał Aaron Iniga.

– Oprócz rozwalenia nas wszystkich na kawałki?

– Z pewnością masz umysł silniejszy niż Kotka.

Inigo rzucił zaniepokojone spojrzenie równie zatrwożonemu Aramincie-dwa.

– Po prostu nie wiem.

– Oscarze, kochanie, to niegrzecznie kazać damie czekać.

Oscar nie wiedział, co robić. Przyszła mu na myśl sarkastyczna odpowiedź, która w tym wypadku mogłaby okazać się fatalna. A nikt nie oferował żadnych sugestii. Nagle się wzdrygnął, przywarł do podłogi. Przestrzeń na zewnątrz płonęła twardym promieniowaniem: wystrzelono salwę z potężnej broni. Jego uadiunkt przejrzał wydarzenia, analizując je przy milisekundowej dyskretyzacji czasu. Zobaczył, jak inny statek z ultranapędem materializuje się między statkiem Kotki a „Odkupieniem Mellanie”. Statek natychmiast otworzył ogień i jednocześnie rozszerzył swe pole siłowe, odchylając salwę zwrotną od „Odkupienia Mellanie”.

Kanał łączności otworzył się.

– Oscarze, zabieraj się stąd, do cholery – powiedziała Paula. – Kotkę zostaw mnie.

– Ruszaj! – wrzasnęła Oscar do Trobluma.

Po raz drugi w ciągu godziny „Odkupienie Mellanie” uciekało w nadprzestrzeń.

– Chcesz się mną zająć? – spytała Kotka. W jej głosie brzmiała kpina.

Paula sprawdzała gorączkowo status obrony „Alexisa Denkena”. Pola siłowe zmagają się z uderzeniem energetycznym w pierwszej wymianie ognia. Wyposażenie statku Kotki – cokolwiek to było – okazało się silniejsze, niż oczekiwała. Bronie promieniowe w jakiś sposób przenosiły nieco swej energii przez hiperprzestrzeń, omijając pola siłowe. Lokalna grawitacja

wyprawiała dziwne rzeczy, jej skręty wywierały nienaturalne naprężenia na „Alexisa Denkena”, z którymi nie mogły sobie poradzić kompensatory pokładowe.

– Zawsze się tobą zajmuję – wysłała odpowiedź Paula. Na jej polecenie smartkor odpalił parę bomb kwantowych. Pomknęły w dal z przyśpieszeniem dwieście g. – A to jest ostatni raz.

Osiemdziesiąt kilometrów dalej kawałek kosmicznego śmiecia, który bomby obrały sobie za cel, miał mniej niż trzydzieści metrów średnicy. Cała jego masa została przekształcona w energię w formie ultratwardego promieniowania. Przez mikrosekundę intensywność promieniowania była porównywalna z intensywnością pobliskiej gwiazdy.

W egzowizji wyskoczyły ostrzeżenia, kiedy pola siłowe się natężyły, by odchylić przerażający strumień radiacji. Paula wprowadziła statek z powrotem do hiperprzestrzeni i pomknęła ku gazowemu gigantowi. Kotka pognała za nią. Żaden ze statków nie próbował się maskować.

Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad kotłującymi się szarymi i różowymi chmurami Paula zatrzymała się i „Alexis Denken” zawisł w transwymiarowej stazie, a jego generatory pól siłowych zaczynały się stabilizować.

Jeden z wielkich księżyców zewnętrznych gazowego giganta eksplodował. Bomba kwantowa zamieniła jego dwa duże stożki wulkaniczne bezpośrednio w energię. Powstała detonacja rozłupała księżyc aż do rdzenia. Cały glob się rozpękał. Obszerne fragmenty statecznie odpyły od siebie, a miliardy skalnych odłamków bezładnie wypadły z rozszerzających się szczelin do strumieni czystej energii. Szkody fizyczne nie miały znaczenia. Bomby kwantowe wyposażono w funkcję odchylenia energii i teraz wysyłały znaczący procent mocy wybuchu do hiperprzestrzeni.

Kolosalna fala energii egzotycznej walnęła w statek. Boleśnie uderzona Paula poleciała przez kabinę. Przeciężony ultranapęd „Alexisa Denkena” zawiódł i statek wypadł w normalną czasoprzestrzeń. Na zewnątrz pozostałości księżycy tworzyły gigantyczną, przezroczystą sferę uderzeniową o średnicy

dwudziestu tysięcy kilometrów, która żarzyła się żłowieszczym, widmowym błękitem i puchła z połową szybkości światła. Statek Kotki mknął, wylatując z jaskrawej zorzy. Jego pola siłowe migotały żłowrogim szkarłatem, gdy kierował się prosto na „Alexisa Denkena”. Ciemne pociski waliły w przód z przyśpieszeniem stu g.

Smartkor zidentyfikował je jako m-rzapię Hawkinga. Pola siłowe nie uchroniłyby Pauli przed nimi.

Ekspłodował następny księżyc. Popłynęły od niego fale energii egzotycznej, blokując możliwości powrotu do hiperprzestrzeni. Paula pchnęła „Alexisa Denkena” prosto w dół ku gazowemu gigantowi, przyśpieszając z pięćdziesięcioma g. Wewnętrzne kompensatory grawitacji mogły ją osłonić przed mniej więcej trzydziestoma. Jej fizyczne ciało musiała wspomóc bionika, kiedy druzgocząca siła próbowała zgnieść ją w pulpę mięsa na pokładzie. Mimo wzbogaceń miała ogromne trudności z oddychaniem, a jej lewa noga wyginała się pod niewielkim kątem – prostowana wydała nieprzyjemny dźwięk.

Pod sobą Paula miała jeden z małych wewnętrznych księżyców – pokrytą kraterami skałę o średnicy dwustu kilometrów. Księżyc znajdował się trzy tysiące kilometrów od niej w prostej linii, ale spokojnie oddalał się po swej orbicie. Wypaliła w niego bombę kwantową, modyfikując format pola wynikowego. Kiedy broń się aktywowała, zamieniła w energię ćwierć kilometra sześciennego masy dokładnie w rdzeniu księżyca. Księżyc natychmiast się rozpadł. Miliony skalistych szrapneli wybuchły na zewnątrz z mikro-nowej w nadszybkim, morderczym obłoku. Cząsteczki wyparowywały w locie, wypuszczając ekspandujące płomienie jonów w kolorze topazu i indygo niczym pierwotne komety. Przestrzeń wypełnił gęsty rumosz zenergizowanej masy. M-rzapia Hawkinga wleciały w nią i rozpoczęły wchłanianie potopu żwawych atomów. Obłok gazu czy odłamki skał, nie miało to znaczenia – horyzont zdarzeń wsysał wszystko. Tor pocisków nieco się wahał. Napędy próbowały to skompensować, ale ich skuteczność padała z powodu niemal wykładniczego wzrostu masy napędzanych przez nie obiektów.

„Alexis Denken” umykał spod spodniej strony piekielnej ognistej kuli, pędząc prosto we wzburzoną masę chmur poniżej.

„Odkupienie Mellanie” śmignęło z powrotem w przestrzeń ćwierć miliona kilometrów ponad żółtą gwiazdą. Wisiało tam parę sekund. Przednia ładownia otworzyła się, a pole siłowe kadłuba zaczęło musować fioletowymi wzorami naprężeń. Planetarne urządzenie napędu nadświatelnego, PUNN, wyskoczyło ze statku i Troblum wprowadził statek natychmiast w transwymiarową stazę.

– Jak długo? – zapytał Aaron.

– Dziesięć minut do inicjacji – odparł Troblum. Catriona znowu mu towarzyszyła, a jej piękna twarz wyrażała tragiczną troskę. – Ustalanie się potrwa dłużej. I nie, nie mam pieprzonego pojęcia, jak długo. Nic więcej nie mogę zrobić. Teraz po prostu siedzimy i czekamy.

Oscar śledził sygnał powrotny hiperradaru. Skrzywił się, kiedy jeden z księżyców gazowego giganta rozleciał się w rozkwicie energii egzotycznej. To była dopiero walka, walka tak wredna jak walka Justine z raiem-wojownikiem. O, cholera!

– Zaraz, zaraz!

Wszyscy spojrzeli na niego. W zatłoczonej kabinie to zatrzymało.

– Nie sądziłeś, że ten statek przeżyje to, czym rzuci w niego Kotka – powiedział do Trobluma. – Dlaczego?

– Bo nie mógłby – odpowiedział Troblum.

Catriona skierowała agresywne spojrzenie na Oscara. Zignorował to.

– Ale dysponujesz techniką bariery solarnej. Ona może wytrzymać każdy atak broni Wspólnoty.

– „Odkupienie Melanii” nie ma ochrony tego typu.

– Ale... twoja zbroja ma.

Więc założyłem, że statek również będzie ją miał. Cholera!

– Tak. Zbudowałem tylko swoją zbroję. Ale aż dotychczas nie mogłem wykorzystać projektu, który Progresywiści zrobili na

podstawie Czarnej Fortecy. To by odkryło, czym dysponujemy.

Oscar chciał złapać Trobluma za togatur i potrząsnąć ogromnym mężczyzną.

– Ale jeśli nie mamy tego rodzaju pola siłowego, jak, do cholery, ci się wydaje, że zdołamy przedostać się za raelów-wojowników.

– Oni nas przepuszczą. Prawda? – powiedział Troblum zaintrygowanym tonem, niemal urażony. – Jeśli im wyjaśnimy, że naszą misją jest wyłączenie Pustki.

– Cholera – warknął Tomansio.

– Troblumie, daj mi pełny dostęp do swoich połączeń transwymiarowych – rozkazał Oscar bardzo stanowczo. – Natychmiast.

– Co robisz? – spytał Inigo.

– Wywołuję jedyną osobę, która może zdoła nam pomóc. – Skrzywił się, kiedy następny z księżyców gazowego giganta wybuchł w tsunami energii egzotycznej. – Jeśli ta osoba nadal żyje.

„Alexis Denken” uderzył w górną atmosferę przy szybkości pięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Paula nakazała natychmiastowe hamowanie, kiedy zanurkowali ku pierwszej warstwie wzburzonych obłoków. Efektu raczej nie było. Dezintegrujące gazy żłobiły pięćsetkilometrowy, żarzący się ślad w ich kilwaterze. Gigantyczny wskaźnik dla czujników Kotki. Jeśli te wyjątkowe wstrząsy traktować jako wskaźnik, jak wielki łomot dostaje statek, bardzo by one niepokoiły. Siły przyspieszeniowe nadal wgniały Paulę w pokład.

Wysoko w górze pierwsze płonące szczątki małego skalistego księżycza leciały za nią w dół; oślepiające świetlne punkty kłębiące się w atmosferze, wyrzucające rozległe pióropusze czarnego dymu. Potężne uderzenia rozbijały je na tysiące drobniejszych kawałków, które następnie coraz bardziej się rozpadały. Rozległa równina ognia elektrycznego opadała ku chmurom. Podstawowa energia przekształcona uderzeniem stworzyła olbrzymie błyskawice, które płonęły, biegnąc przez

tysiące kilometrów górnych warstw atmosfery.

Utrudniało to korzystanie z czujników. Ale nim zapadła się w drugą warstwę obłoków, hiperradar zlokalizował ścigający ją wprost w dół statek Kotki.

Paula pośpiesznie zmieniła kierunek. Ustawiła efekt napędowy jednostki regramu pod kątem, próbując wyrównać trajektorię, ale nadal kierowała się w dół.

- Widzę cię! - zawołała Kotka przez połączenie nasycone zakłóceniami.

- Jeśli teraz się zatrzymasz i zadokujesz przy mnie z wyłączonymi polami siłowymi, po prostu umieszczę cię w zawieszeniu życia razem z twoim oryginałem - odparła Paula. - Wszystkie inne działania doprowadzą do twojej likwidacji.

- Droga Paulo, to właśnie w tobie uwielbiam. To profilowanie psychoneuralne jest w gruncie rzeczy instalacją ślepej głupoty. Przyjdź do mnie. Mogę ci to usunąć.

Czujniki „Alexisa Denkena” wykryły odpalenie kolejnego m-rząpia. Teraz cały gazowy gigant został skazany na zagładę, choć jego ostateczna destrukcja zakończy się za kilka tygodni. Paula podejrzewała, że Kotka chciała zagwarantować, żeby wściekle sztormy gazowej planety nigdy nie dostarczyły żadnej kryjówki. Paula odpaliła bombę kwantową, a następnie ukośnie przebiła czwartą, ostatnią warstwę chmur nad planetą. Poniżej znajdowała się strefa idealnie czystego wodoru rozciągająca się na kilkaset kilometrów. Przeszywały ją od czasu do czasu ogromne pionowe słupy błyskawic. U ich podstaw, powyżej granicy ciśnień, gdzie składniki atmosfery zostały wreszcie zgniecione do cieczy, wirował powolnie smog z węglowodorów. Cały ten widok zniknął w świetlnym płomieniu, gdy aktywowały się bomby kwantowe.

- Jaka niegrzeczna, moja droga - drwiła Kotka. - Teraz kolej na mnie.

Hiperradar pokazał Pauli dwa pociski wznoszące się od statku Kotki i przecinające łukiem chmury, gdzie gęstość była zredukowana. Oczywiście mogły przyspieszać znacznie bardziej niż biedny „Alexis Denken”, który przebijał się przez zwarty

wodór.

Pociski zaczęły znowu opadać.

– O, kurwa! – warknęła Paula i zanurkowała, zbliżając się do warstwy smogu.

Jej smartkor strasznie ją zadziwił, raportując, że wzywa ją Oscar przez połączenie transwymiarowe.

– Jestem nieco zajęta – odpowiedziała mu.

– Doceniam to. Ale mamy kłopoty.

– Nie działa?

– To prawie nie ma znaczenia. Statek nie ma ochrony przeciwko raielom-wojownikom. Czy możesz poprosić Quatuxa, żeby się za nami wstawił?

Pociski okazały się bombami kwantowymi. Aktywowały się sto kilometrów przed statkiem. Solidny mur energii, jedynie częściowo opóźniany i pochłaniany w ogromnie gęstych niższych warstwach atmosfery, mknął ku „Alexisowi Denkenowi”. Paula zanurkowała w węglowodanową zupę.

– Zrobię, co będę mogła – obiecała. Ironia całej sytuacji działała rozweselająco na odległą część jej mózgu.

Uderzenia i wstrząs wywołały u niej chwilową utratę przytomności. Storturowane ciało było na granicy wytrzymałości. Kiedy odzyskała przytomność, statek nadal posuwał się naprzód, ale ociężale, choć jednostki ingrawu i regrawu pracowały z maksymalną mocą. Pole siłowe działało niemal z przeciążeniem, a Paula znajdowała się na głębokości jedynie pięciu kilometrów. Z nosa ciekła jej krew. Mała medyczna ikona w egzowizji meldowała, że również uszy krwawią. Występowały też obrażenia wewnętrzne.

Statek Kotki przecinał czysto strefę wodorową, aż znalazł się bezpośrednio nad „Alexisem Denkenem”. Osiem pocisków opadało w smog po eleganckich krzywych trajektoriach, rozchodząc się w idealnym wzorcu pajęczych nóg. Paula zdała sobie sprawę, że pociski zadziałają jak klasyczne bomby głębinowe. Jeśli nie wyrzucą jej w górę na otwartą przestrzeń, impuls ciśnienia zmiażdży kadłub. Pięknie!

Gdzieś wewnątrz gwiazdy, przez supergęstą materię wznosiła się nicość. PUNN zapoczątkowało daleko poniżej fotosfery ostateczną sekwencję przemiany masy w energię. Gigantyczna fala uderzeniowa spływała teraz powoli w dół, ku rdzeniowi gwiazdy, gwałtownie przyspieszając reakcję fuzji. Poziomy energetyczne z tych przyspieszonych reakcji szybko narastały. Nawet olbrzymia grawitacja i ultraskompresowany wodór we wnętrzu gwiazdy nie mogły tego powstrzymać.

Ale kiedy uciekająca energia powoli napierała ku górze, do gry weszły inne, dziwniejsze siły. Rozkwitły funkcje urządzenia związane z egzotyczną materią, zasilane przez własne wzmocnione reakcje gwiazdy. Jak pasożyt rośnie w miarę zjadania swego nosiciela, tak urządzenie wywierało niepowstrzymany nacisk na infinitezymalny punkt czasoprzestrzeni, która się po chwili rozłamała. Otworzyła się gardziel wormholu. Za nią korona gwiazdy ciemniała, gdyż coraz więcej mocy zostawało wydrenowane przez hiperprzestrzeń dla podtrzymania nowej manifestacji energii egzotycznej. Koniec wormholu wyciągał się ku zaprojektowanym współrzędnym wyjściowym odległym o przeszło dwadzieścia osiem tysięcy lat świetlnych. Połowa gwałtownie ekspandującej fotosfery spadała w ciemność, kiedy wormhol rozwijał coraz bardziej swoją moc wyjściową.

Troblem naprawdę uśmiechnął się do obrazu z czujników, gdy „Odkupienie Mellanie” wynurzyło się w czasoprzestrzeni. Zakrzywione płetwy statku żarzyły się intensywną magentą, wyrzucając ciepło, nadal sączące się przez pola siłowe. Dokładnie z przodu powierzchnię zgwałconej gwiazdy zniekształcał nadciągający wybuch nowej. Jednakże sam wierzchołek zniekształcenia spadał kaskadą w noc, kiedy masa i energia zniknęły w rozpadlinie wymiarów. W środku tej pustki świeciła drobna gwiazda koloru indyga, a promieniowanie Czerenkowa dawało poblask z egzotycznej pseudomaterii wormholu.

– Stabilizuje się – wydyszał.

– Jak długo się utrzyma? – spytał łagodnie Inigo.

Troblum wstrząsnął się.

– Niedługo – przyznał.

Przez chwilę żałował, że nie wykorzystał konfiguracji pierwotnej, wormholu szerokiego na tyle, by połączyć gazowego giganta. Ten miał średnicę jedynie kilometra. Ale rozciągał się na dwadzieścia osiem tysięcy lat świetlnych.

Działa. Miałem rację. Miałem rację we wszystkim. Co do anominów, raielów. Co do wszystkiego.

– Zwyciężyłem – powiedział cicho, a potem to wykrzyczał. – Kurwa, zwyciężyłem. I wszechświat o tym wie.

– Zabierz nas przez niego – poprosił Aaron.

Troblum wytarł rękawem oczy, pozbywając się wilgoci.

– Jasne – potwierdził.

„Odkupienie Mellanie” ostro przyśpieszyło, wlatując w mgiełkę wormholu.

Egzowizja Kotki pokazała, jak osiem bomb kwantowych aktywizuje się pięćdziesiąt kilometrów pod powierzchnią oceanu skompresowanych węglowodorów, gdzie tytaniczne fale ciśnienia zwały się i wypiętrzyły.

Hiperradar nieprzerwanie skanował, próbując w tym całym zamieszaniu odszukać „Alexisa Denkena”. Ale ciecz węglowodorowa pod tym ciśnieniem była dziwną materią, a ogromna deformacja energetyczna utrudniała skanowanie. Jeśli Paula nie wyrwie się na swobodę w górę do warstwy wodorowej, zginie. Żaden statek nie mógłby wytrzymać sił niosących się teraz przez węglowodory.

Nadal nic.

Erupcja węglowodorów rozerwała smog. Przypominało to wybuch doskonale okrągłego wulkanu. Stożek ciągle rósł – na pięć, dziesięć, dwadzieścia kilometrów. Kiedy wzniósł się do strefy wodorowej, gdzie panowało niższe ciśnienie, zaczął gwałtownie wrzeć, wypływając kolumny mgły niczym spaliny startującej rakiety. W ciągu sekund strefa wodorowa została na setki kilometrów zagracona dziwaczными chemicznymi

naleciałościami. Obrazowanie w paśmie optycznym zostało zredukowane do zera, kiedy tłusta para wzniosła się wokół statku Kotki. Jednostki regrawu natężyły się, by utrzymać pozycję w szalejących wokół wichrach.

– W takim razie pieprz się! – powiedziała Kotka do zimnego, gigantycznego stosu pogrzebowego Pauli.

Czujniki pokazywały, że przypływ wciąż wzrasta, co zaskakiwało, ale nie stanowiło zagrożenia. Zwieńczenie przypływu osiągnęło setkę kilometrów i ściągało na siebie kanonadę potężnych błyskawic z brzucha wysokich chmur.

Wytrysnęły fale jak góry i ociężałe sunęły po zboczach „krateru” do oceanu poniżej. Kotka nadal nic nie widziała, ale czujniki statku dostarczały jej wspaniałych obrazów graficznych. Węglowodory odpływały od czegoś solidnego, czegoś rozległego, co nadal wbrew logice wznosiło się w górę.

– Co za... – prychnęła.

Obraz zarysował się wyraźniej. Czternaście grzybopodobnych kształtów strząsało z siebie pelerynę lepkiej cieczy i brudnych oparów, by odsłonić krystaliczne kopuły, które służyły im za dachy. Były przytwierdzone do głównej bryły tej rzeczy, która mierzyła niemal sześćdziesiąt kilometrów długości.

„Wysoki Anioł” opuścił niestabilną rozpadlinę w oceanie węglowodorów, zrzucając z siebie burzę wrzącego smogu.

Kanał komunikacyjny otworzył się bez żadnej autoryzacji u-adiunkta Kotki.

– Cześć, Catherine Stewart – powiedział Qatux.

– Kurwa.

Posłała statek na wspinaczkę z przyśpieszeniem 70 g, nie mogąc nawet wrzeszczeć pod piekielną siłą zgniatającą jej ciało. Kości pękały, mięśnie i błony ciała rwały się.

– Nie pamiętasz mojej żony, prawda? – spytał Qatux.

– Twojej żony? Nie.

– Więc już sobie nie przypomnisz.

Egzowizja pokazała Kotce impuls energetyczny strzelający z „Wysokiego Anioła” prosto w górę. Impuls uderzył w statek...

Strzał był dostatecznie silny, by zniekształcić czasoprzestrzeń w

szczególny sposób, tak, że choć gwiazdolot został rozerwany na strzępy w ciągu milisekund, czas wewnątrz eksplozji ciągnął się i ciągnął... Dla Kotki nadzwyczaj koszmarny moment własnej śmierci trwał przez straszliwe godziny, minuta po minucie. Chociaż nigdy sobie tego nie uświadomiła, było to dokładnie tyle samo czasu, przez ile umierała Tiger Pansy tysiąc sto dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu.

Dziewięć tysięcy lat świetlnych od granicy Pustki i pięć lat świetlnych od najbliższej gwiazdy zakończenie wormholu zawirowało i otworzyło się, wylewając łagodne światło indygo w przestrzeń międzygwiazdną. Trzydzieści sekund później wypłynęła z niego opływowa sylwetka „Odkupienia Mellanie”.

– Pieprzyć Panią! – wykrzyknęła Corrie-Lyn. – Udało się.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem i ucałowała Trobluma, zanim zdążył ją powstrzymać.

Za nimi słabe światło zgasło. Wormhol zamknął się. Nie było dotychczas ludzi bardziej od nich izolowanych i samotnych. Zrozumienie tego stanu szybko rozniosło się po kabinie, wzmocnione przez drobną, spontaniczną gajasferę. Odebrało im wszelkie poczucie euforii.

W niewygodnej ciszy, jaka nastąpiła, Inigo szybko uściśnął Corrie-Lyn.

– Co według was się wydarzyło? – spytał Araminta-dwa.

– Najważniejsze, że ta zwariowana suka nie poleciała za nami – stwierdził Oscar.

– A Paula?

Oscar musiał się uśmiechnąć.

– Wierście mi, jeśli ktokolwiek w tym wszechświecie umie o sobie zadbać, jest to Paula Myo.

– Co teraz robimy? – spytał Inigo.

– Nie ma wątpliwości – odparł Aaron. – Lecimy do Pustki.

– Chciałem powiedzieć: co robimy z raielami-wojownikami?

– Mamy dwie opcje – oznajmił Oscar. – Jeśli Paula przeżyła, możemy już mieć zezwolenie na swobodny przelot. Jeśli nie,

naprawdę robimy to, co sugerował Troblum, i ładnie poprosimy.

– Dotarliśmy aż dotąd – powiedziała Corrie-Lyn.

– Taki rodzaj szalonego optymizmu mi się podoba – skomentował Oscar. – Lecimy, Troblumie.

– Musimy zacząć instalować komory medyczne – zauważył Tomansio.

Oscar uśmiechnął się szeroko.

– Kolejny optymista.

– Mam po prostu podejście praktyczne. – Tomansio poklepał jedną z kapsuł ułożonych na stosie przy ścianie działowej. Nie musiał sięgać daleko.

– Kolejne pytanie – powiedział Liatrix. – Kto będzie spał przez następną część podróży?

– Ja bardzo chętnie – powiedział Oscar. – Pod warunkiem, że wyciągniecie mnie, kiedy przelecimy przez granicę. To muszę zobaczyć.

– Wchodzimy w nadświatłą. – ogłosił Troblum. – Każę botom przygotować przednią ładownię.

– Jak daleko mamy do gwiazd Muru? – spytał Aaron.

– Sto sześćdziesiąt godzin.

Paulę teleportowano do prywatnych kwater Qatuxa, za co była wdzięczna. Z pewnością sama nie mogłaby iść. Na lewej nodze miała grubą ogrzewającą powłokę. W rozmaite części korpusu wetknięto jej dwanaście półorganicznych bąbli. Ich cienkie włókna przechodziły przez skórę, by połączyć się z systemami bionicznymi głębiej wewnątrz ciała, pomagając w naprawianiu uszkodzonych komórek. Okryta luźnym płaszczem kulała, jak stara kobieta, co, jak przyznała ponuro, było określeniem dość właściwym.

Fotel dostosowany do ludzkich kształtów wzniósł się cicho z jasnoniebieskiej podłogi. Paula usiadła. Bezpośrednio przed nią srebrnoszara ściana wciąż falowała jak ciecz. Przez te dziwne fluktuacje twarz Tiger Pansy uśmiechała się do Pauli radośnie.

Teraz możesz spokojnie odpoczywać, pomyślała Paula.

Gdziekolwiek jesteś.

Ściana rozstąpiła się i wszedł Qatux. Wyciągnął średniej wielkości mackę i łopatkowym końcem dotknął policzka Pauli. Dotyk zostawił na chwilę poczucie ciepła i może też poczucie sympatii i troski.

– Czy jesteś bardzo uszkodzona? – szepnął Qatux.

– Tylko w swojej dumie.

– Ach – westchnął raiel. – Najstarsi są najlepsi.

– Dzięki za pomoc.

– A jednak jej prawdziwa osobowość leży śpiąca w Paryżu.

– Tam gdzie powinna być. Niewskrzyszona do działania jako agitator jakiegoś ludzkiego ruchu politycznego. Choć w żadnym wcieleniu chyba nigdy nie robiła tego, co jej kazali.

Para macek poruszyła się. Mógł to być wyraz wzburzenia.

– Jak powiedziałaś, wszechświat musi zostać od niej uwolniony.

– Jeśli coś mogło ją ostatecznie wyeliminować, to z pewnością „Wysoki Anioł”. Statki floty mają odpowiednią siłę ognia, ale ona by je wykryła.

– To niezupełnie to, do czego moja rasa zamierzała wykorzystać ten statek-arkę, ale żyjemy w nadzwyczajnych czasach.

– Mam nadzieję, że nie wpędziłam cię w kłopoty, Qatuxie.

– Nie. Nam, raielom nie brakuje empatii. Jednak wierzę, że niektórzy z ludzi w rezydencji są lekko zszokowani wydarzeniami. Nie wspominając już o naozunach.

Paula nie mogła sobie przypomnieć żadnej rasy zwanej naozunami.

– To dobrze. Najwyższy czas zrobić zamieszanie w różnych sprawach.

– Obydwoje wyrośliśmy, Paulo.

– Z pewnością powinnam tego oczekiwać. Mieliśmy na to dość dużo czasu.

Powietrze wychodzące z ust Qatuxa cicho świsnęło.

– Rzeczywiście.

– Czy wormhol otworzył się, jak przewidział to Troblum?

– Tak.

– Nareszcie. Coś nam poszło dobrze. Cokolwiek, u diabła, by to

było. Mam tylko nadzieję, że sterujący Aaronem wie, co czyni. Przy okazji muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

– Tak.

– „Odkupienie Mellanie” musi się dostać do Pustki. Czy możesz spowodować, by raiele-wojownicy przepuścili ją przez Zatokę bez szkody? Szczerze wierzę, że może to być nasza jedyna szansa, by zapobiec katastroficznej fazie ekspansji.

– Wyjaśnię im, dlaczego powinni ich przepuścić. Nie mogę zrobić nic więcej.

– Dzięki. – Potarła powłokę na swej nodze, wiedząc, że nie pozbędzie się w ten sposób swędzenia. – Dokąd teraz lecimy?

– Z powrotem do Wspólnoty.

– Więc nie do innej galaktyki?

Paula poczuła lekką ulgę. Raiel widocznie nadal nie tracił nadziei.

– Nie. Ten czas jeszcze tutaj nie nadszedł. Jak mówiłaś, istnieje niewielka szansa, że nam się poszczęści.

– A co ze sferami Ciemnej Fortecy? Czy są zdolne zatrzymać Pustkę?

– Nie wiemy. Ale musisz zrozumieć, Paulo: raiele-wojownicy spróbują powstrzymać Flotę Pielgrzymki. Nie pozwolą sobie na sentymenty, na oszczędzanie życia tamtych ludzi, skoro ich działania zagrażają całej Galaktyce.

– Rozumiem i nie mam ci tego za złe. Musimy być odpowiedzialni za siebie. Jeżeli stosunkowo niewielu ludzi chce zagrozić całemu życiu w Galaktyce, nie mogą być zaskoczeni, jeśli inni spróbują ich powstrzymać.

– A jednak twój rodzaj nie zrobił tego.

Paula zwiesiła głowę, głównie ze wstydu, ale było w tym także poczucie frustracji.

– Wiem. Ci z nas, którzy mogli to zrobić, robili, co mogli. Poziom konspiracji nas zaskoczył. Pod tym względem zawiedliśmy.

Raiel znowu dotknął jej policzka.

– Nie mam ci tego za złe, Paulo.

– Dziękuję – odpowiedziała z wysiłkiem.

– Mam pewne przywileje jako kapitan statku-arki. Mamy

łącność z raelami-wojownikami. Czy chcesz obejrzeć środki obronne przy jądrze Galaktyki w działaniu? Wydaje mi się, że ostatni bastion naszego gatunku dostarczy nam niezłego widowiska.

Dostawca cierpliwie czekał, kiedy transporter przepłynął przez plac i wzniósł się do luku w środkowej części „Ostatniego Wyskoku”. Część sprzętu na transporterze ledwo mieściła się w luku, ale transporter zdołał wsunąć się w końcu do środka. Boty montażowe, które replikator wyprodukował przed paroma dniami, rozładowały transporter. Kiedy rozpoczęły proces łączenia sprzętu, Dostawca poszedł nadzorować ten proces.

Znowu był użyteczny, co bardzo podniosło go na duchu. Jego wiedza fizyczna i inżynierska nie stawiała go na równi z Ozziem i Nigelem, ale dzięki ostatniej tajnej misji, polegającej na analizie poziomów technologii, miał dostateczne kompetencje, by nadzorować integrację. Systemy wyprodukowane przez replikatora miały wzmocnić „Ostatni Wyskok”. Dać statkowi siły wystarczające do odseparowania się od energii gwiazdy z odległości zero. Całą procedurę obmyślił pewien bardzo specyficzny rodzaj szaleńca. Projekt w pamięci smartkoru został opracowany przez Agencję Astronomiczną Wielkiej Wspólnoty dla jej programu „Gwiezdny Nurek”. Żadna z sond wysłana przez agencję nie miała nigdy na pokładzie ludzkiego pasażera.

Dostawca spojrział przez plac na miejsce, gdzie Gore rozmawiał z Tyzakiem. Miał wrażenie, że obserwuje głęboko wierzącego kapłana i zatwardziałego ateistę, którzy zwarli poroże w starciu. Ich konwersacja, kłótnia czy dyskusja – cokolwiek to było – trwała już od kilku dni. Pokazywali nawet obrazki dla podkreślenia swoich argumentów. Gore wziął nawet z „Ostatniego Wyskoku” portal holograficzny i pokazywał Tyzakowi rozmaite obrazy Pustki, Zatoki, gwiazdy Muru, kul DF, a nawet widoki Makkathranu, Władców Niebios i mgławic Pustki wzięte ze snów Iniga.

Cały czas Gore przekonywał anomina do rozmowy z

mechanizmem transcendencji. Potem otrzymali sen Justine z lądowania na Makkathranie i determinacja Gore'a przeszła wszelkie granice. Dostawcy trudno było uwierzyć, że znany mu Gore ma aż tyle cierpliwości. Ale z drugiej strony nawet on sam wymachiwał rękami, kiedy „Silverbird” wylądował w Złotym Parku. To dopiero wydarzenie!

Tyzak był zainteresowany. Pewne elementy tej historii uważał za fascynujące. Ale nic nie skłaniało go do współpracy, by zapobiec śmierci Galaktyki. Stary anomin upierał się, że przyszłość, a zwłaszcza przyszłość jego rasy może być określona wyłącznie przez samą planetę. To wykluczało wykorzystanie reliktu z przeszłości.

– To w żaden sposób nie wpłynie na twoją przyszłość – mówił Gore. – Wszystko, czego mi trzeba, to odrobiny pomocy od maszyny, której wy już nawet nie używacie. Czy wasze wierzenia zabraniają miłosierdzia?

– Rozumiem twój problem, ale prosisz mnie, bym porzucił całą swoją filozofię, powody mego istnienia i zanurzył się z powrotem w przeszłości, którą całkowicie odrzuciliśmy.

– Ty zapukasz do drzwi. Próg przekroczą tylko ja.

– Próbujesz rozdzielić cały akt na etapy. To nie do przyjęcia. Każdy akt wyrzeczenia się jest ostateczny.

– Jak pomaganie innym może być wyrzeczeniem się siebie?

– Chodzi o metodę, jak bardzo dobrze wiesz, przyjacielu Gore. Jak sądzisz, jak twoi przodkowie zareagowaliby na tę prośbę? Ich hojność pomogła wcześniej innym gatunkom, kiedy izolowaliście obce alfy.

– Nie mogę tego wiedzieć, ale podejrzewam, że ożywiliby maszynę dla ciebie.

– Właśnie.

– Ale oni odeszli. I stanowili aberrację w naszej prawdziwej linii ewolucyjnej.

– Wasza bierność oznacza, że możecie zabić biliony żyjących istot. Czy w ogóle was to nie trapi?

– Jest to powód do zmartwień.

Dostawca zeszytniał. To był pierwszy przypadek choćby

najmniejszego ustępstwa ze strony Tyzaka na rzecz racjonalności. W każdym razie racjonalności według pojęć ludzkich.

– Fortece kosmiczne, które strzegą waszego systemu słonecznego, miasta, które nigdy nie popadają w ruinę. Ta drzemiąca maszyna pod naszymi stopami, wszystkie te rzeczy zostały zostawione przez przodków, których odrzucasz. Oni chcieli, żebyście mieli wybór, dlatego właśnie wam to wszystko zostawili. Wiele dóbr obróciło się w pył. – Gore machnął niedbale ręką w stronę lśniącego pasa szczątków okrążających planetę. – Ale te właśnie konkretne wytwory pozostają, ponieważ oni wiedzieli, że pewnego dnia możecie ich potrzebować. Bez fortec rozmaite gatunki łupłyby bogactwa, które zostawili za sobą wasi przodkowie. Wielką częścią ewolucji jest integracja. Izolacja to nie ewolucja, to zastój.

– Nie jesteśmy izolowani – odparł Tyzak. – Żyjemy zgodnie z wolą planety, każda sekunda naszego życia jest określona przez planetę. Ona doprowadzi nas do naszego przeznaczenia.

– Ale ja pokazałem wam, co stanie się z waszą planetą, jeśli zacznie się faza ekspansji Pustki. Będzie zniszczona, a wy razem z nią. To nie jest naturalne, to wydarzenie zewnętrzne, przypadek czystej złośliwości, zatrzymanie ewolucji nie tylko tutaj, ale w każdym układzie gwiazdnym Galaktyki. Taka rzecz nie może być uwzględniana w waszych wierzeniach w ewolucję prowadzoną przez planetę, gdyż nie pochodzi z planety. Jeśli naprawdę życzyście sobie kontynuować ewolucję na tym świecie, musicie ten świat chronić. Wasi przodkowie pozostawili wam zdolność odpierania tego, co nienaturalne. Nie musicie robić nic, tylko poproście maszynę, by się zbudziła. Ona i ja załatwimy resztę.

Dostawca wstrzymał oddech.

– Bardzo dobrze – powiedział Tyzak. – Poproszę.

Gore odchylił głowę do tyłu, by spojrzeć staremu anominowi prosto w oczy i westchnął.

– Dziękuję ci z głębi serca.

Dostawca pośpieszył do nich. Zapadł już zmrok, zanikające światło wieczoru omywało plac zimną, szarą iluminacją.

Wszędzie wokół nich imponujące budynki miejskie reagowały na nadchodzącą noc własnym, wewnętrznym blaskiem. Białe, kolorowe smugi lśniły nad podobnym do igloo schronem, który rozstawili niedaleko zaparkowanego statku i w którym uruchomili replikator. Drugi, mniejszy schron mieścił aparat intruzyjny stworzony przez Gore'a na wypadek, gdyby mechanizm transcendencji okazał się niechętny do współpracy.

Smartkor „Ostatniego Wyskoku” zameldował, że inicjuje głęboki skan mechanizmu transcendencji funkcjami polowymi i mapuje jego podprogramy i ścieżki sterowania. Dostawca nie mógł się powstrzymać od naiwnego optymizmu. Czuł ulgę postaci rysujących się profilem na tle pstrokatego oświetlenia głębokiego miejskiego kanionu po drugiej stronie placu. Chwila była niemal symboliczna, pomyślał. Dwa skrajnie różne gatunki w końcu zbliżają się w obliczu przeciwności. Gdybym tylko nie był takim cynikiem.

Gdy do nich docierał, zobaczył, jak coś porusza się w migotliwym kanionie za nimi. Wszczępy siatkówkowe dostarczyły lepszej rozdzielczości.

– Nie ma mowy, cholera! – warknął.

To był silfen, jadący wierzchem na jakimś ogromnym czworonożnym zwierzęciu o szkarłatnym futrze. Sam silfen był odziany w długi, wspaniale jarmarczny miodowy płaszcz, ozdobiony tysiącami iskrzących klejnotów.

– Gore!

Gore odwrócił się.

– Co takiego?

Było już za późno. Silfen zniknął, skręcając na skrzyżowaniu.

– Nieważne.

Tyzak się nie poruszał. Dostawca skoncentrowany na swej własnej nikłej świadomości myśli miasta ledwo mógł wyróżnić inny strumień świadomości, gdzieś tam dalej. Myśli w nim, podobnie jak myśli miasta, były precyzyjne i chłodne. Jednakże niezupełnie z dystansem, gdyż zawierały wyraźne zainteresowanie, dlatego je obudzono.

– Czuje cię – powiedział mechanizm transcendencji. – Jesteś

Tyzak.

- Tak, jestem.

- Czy życzysz sobie transcendencję z twego fizycznego bytu?

- Nie.

- Ja istnieję właśnie w tym celu.

- Pragnąłbym transcendować - powiedział Gore mechanizmowi.

- Jesteś obcy. Nie mogę ci pomóc.

- Dlaczego nie?

- Jesteś obcy. Ja istnieję, by podnieść anominów do ich następnego etapu w życiu.

- Nasza biochemia jest w zasadzie ta sama. Jestem rozumny. To nie byłoby dla ciebie trudne.

- Nie. Tylko anominowie mogą się podnieść za moim pośrednictwem.

- Czy jesteś rozumny?

- Jestem świadomy.

- Istnieje możliwość, że wydarzenie w sercu Galaktyki może zniszczyć tę planetę i wszystkich anominów, którzy przeżyli. Jeżeli zostaną podniesiony do następnego etapu życia, będę zdolny zapobiec temu wydarzeniu.

- Jeśli zajdzie takie zdarzenie, pozostałym anominom zostanie udzielona pomoc w transcendencji, jeśli właśnie tego zapragną.

- Czy nadal masz moc, aby to zrobić?

- Tak.

- A reszta z nas? Pozostawisz wszystkie istoty rozumne na śmierć?

- Ja podnoszę anominów. Nie mogę osiągnąć reszty Galaktyki.

- Możesz osiągnąć mnie.

- Ty nie jesteś anominem.

- Czy nie jesteś w stanie sięgnąć ponad swoje pierwotne ograniczenia?

- Jestem, czym jestem. Istnieję, by podnieść anominów do następnego etapu życia.

- Taa. Zrozumiałem.

Myśli mechanizmu transcendencji cofnęły się, jego świadomość

skurczyła się do stanu senności, w którym spędzał mijające wieki.

– Nie otrzymałeś odpowiedzi, których się spodziewałeś – powiedział Tyzak. – Smucę się z tego powodu. Ale opowieść maszyny jest odwieczna. Teraz się nie zmieni.

– Taa, wiem. Do zobaczenia rano.

Gore wstał i skierował się na powrót do „Ostatniego Wysokoju”.

To zaskoczyło Dostawcę. Również wstał i pośpieszył za Gore’em, żałując na próżno, że czuje się jak uczeń podskakujący wokół swego wszechwiedzącego mistrza guru.

– Co teraz?

Zmieniająca się opalizacja miasta rzucała dziwne refleksy na złotą twarz Gore’a. Jeśli jego twarz przekazywała jakieś emocje, Dostawca nie mógł ich rozpoznać.

– Dysponujemy dość dobrym schematem jego funkcjonowania. Na szczęście mechanizm, kiedy sprawdzał główną dostawę mocy, włączył do tego schematu drogę do wormholu.

– Ach. Więc możesz go zhakować?

– Nie wiem. Jest ekstremalnie złożony, czego zresztą oczekiwałem po maszynie z własną psychiką. Ale przynajmniej wiemy, jak próbować. Istnieją połączenia fizyczne, które są krytyczne dla jego programów. Można się do nich włamać.

– Chcesz teraz to rozpocząć?

– Z pewnością nie. Inne systemy na tej planecie dzielą świadomość o sobie. Wątpię, czy miałbym więcej niż kilka minut przewagi, zanim one położą kres złowrogiemu, obcemu wtargnięciu.

– Och, dobrze. Więc najpierw musimy reaktywować syfon?

– Syfon i wormhol. Jak długo potrwa dokończenie generatorów zmodyfikowanego pola siłowego?

– Kilka dni – odparł z niechęcią Dostawca.

– Dobrze. Musimy być gotowi do uruchomienia tej części planu, natychmiast kiedy wszyscy w Pustce znajdą się na miejscu.

– Wszyscy w Pustce? Masz na myśli statki Pielgrzymki?

– Nie. Spodziewam się przybycia współpracownika.

– Współpracownika? W Pustce?

- Tak.
- Kiedy?
- Justine nas zawiadomi.

Okręt raielów był wielki. Aaron badał wyjście hiperradaru. Większość obrazu była zamazana, uniemożliwiła odczytanie szczegółów. Jakaś mała część umysłu Aarona nie miała pewności, czy pragnie poznać szczegóły. Co z mojej strony raczej nie jest przejawem siły, pomyślał z chłodnym rozbawieniem. Tę część psychiki Rycerzy Strażników najwyraźniej utraciłem. Jednakże nie niepokoił się tą sprawą. Nawet imię Lennox nic nie znaczyło; wyczuwał instynktownie, że to dobrze – chciał być wolny od tego, czym był. Ona zamieszkiwała tam, w przeszłości, prześlizgiwała się przez wygnane wspomnienia, szydziła, krwawiła trucizną, pozostawiając za sobą jedynie cień. Teraz tylko w tym miejscu mogła go zranić.

Przypomniał sobie ostatnie przerażone myśli Cheritona. Błaganie.

Nieistotne. Końcowy wniosek, który napełnił go mnóstwem wiary w siebie. Nadal jestem tutaj, nadal ja.

Okręt raielów-wojowników dostosowywał swój kurs do kursu „Odkupienia Mellanie”. Dziesięć lat świetlnych przed nimi znajdowały się gwiazdy krańców Muru, ciasno zapakowana mnogość kulistych skupisk, wyrzucających zasłonę płonącego światła, które uniemożliwiały jakiegokolwiek spojrzenie na Zatokę za nimi i prawdziwie ciemne jądro Galaktyki.

- Co teraz? - spytał Troblum.

Jego pozostali pasażerowie wydawali się niepewni. Oscar i Rycerze Strażnicy znajdowali się w stazie, chociaż Corrie-Lyn odmówiła opuszczenia Iniga, a, jak podejrzewał Aaron, raiele mogą potrzebować dowodu od oryginalnego Śniącego. Czyli została piątka nadal rozbudzona i aktywna i choć wszystkie kapsuły medyczne zainstalowano w ładowni, nadal panowała ciasnota. Aaronowi to nie przeszkadzało, ale widział, jak denerwuje to innych. Nieistniejąca osobowość Trobluma nie

pomagała, a jeśli chodzi o ilość jedzenia, którą wielki mężczyzna pochłaniał przy każdym posiłku...

– Jeszcze nie rozwalili nas jak kupę gówna – stwierdził Aaron. – To musi być dobry znak. Wobec tego spytamy ich, czy pozwolą nam przelecieć przez Mur i wlecieć do Pustki.

– Co im powiesz? – spytała Corrie-Lyn. Obecność raielów-wojowników wpływała na jej nastrój. Gdy przebyli wormhol, odczuła nieśmiałą ulgę, która zniknęła natychmiast, kiedy napotkali okręt wojenny.

Aaron zignorował Corrie-Lyn.

– Inigo, Araminto, myślę, że ten jest dla was.

Obydwaj Śniący wymienili spojrzenia: „do diabła, o co chodzi?”.

Araminta-dwa westchnął.

– Zgoda.

Aaron otworzył swe gajafejsy, by poczuć, jak Drugi Śniący sięga do gigantycznego okrętu. Bierna jazda w połączeniu z myślami Araminty uzmysłowiła mu aspekt gajasfery, którego wcześniej nigdy nie znał. Z pewnością czuć tam było jakąś formę świadomości i nie była to świadomość ludzka. Była na to zbyt opanowana. Czuł także bezpośrednie połączenie z Władcą Niebios, co wywołało w jego nerwach chłodny dreszcz. Już tak blisko.

– Jesteśmy ludzkimi Śniącymi – powiedział raielom Araminta-dwa.

– Tak. Jesteście dwoma Śniącymi. Trzeci waszego rodzaju jest daleko stąd. A część was jest gdzie indziej.

– To prawda – przyznał Araminta-dwa lekko zaskoczony tym podsumowaniem. – Chcemy podróżować do Pustki. Wierzymy, że uda nam się przeszkodzić w fazie ostatecznego pożerania.

– Wiemy o tym. Qatux rozmawiał z nami. Możecie lecieć.

– Dziękuję ci.

– Rozumiecie, że statki, które także prowadzicie, zostaną przechwycone.

– Tak, rozumiem to.

– Jeśli nam się uda, miliony waszego rodzaju zostaną zniszczone. Dlaczego nie próbujecie ich uspokoić?

– To nie takie proste. Wierzę jednak w to, co robimy. Wierzę, że to, co robimy, usunie zagrożenie, jakie stanowi Pustka dla tej Galaktyki, i nikt nie straci przy tym życia.

– Jak sobie życzysz.

– Poprosiłbym o jeszcze jedną rzecz. Istnieje istota zwana Ilanthe, podróżująca z Flotą Pielgrzymki, istota, której natura nie jest jasna. Jeśli istnieje jakiś sposób niedopuszczenia jej do Pustki, nalegałbym, żebyście go zastosowali.

– Jesteśmy świadomi obecności Ilanthe. Pozostajemy czujni w tej sprawie.

– Dziękuję wam.

Okręt raielów-wojowników odleciał.

– Jest szybki – rzekł Troblum z podziwem. – Szybszy niż my. Ciekaw jestem, jaką mają teorię napędu.

Inigo położył dłoń na ramieniu wielkiego mężczyzny.

– Kiedy to się skończy, jestem pewien, że z radością oprowadzą cię po całym okręcie.

Na twarzy Trobluma pojawił się krzywy uśmiech. Wyraźnie chciałby się wywinąć od tego dotyku.

Zażenowany Inigo szybko cofnął dłoń. W myślach usprawiedliwiał się, choć nie powiedział ani słowa.

Corrie-Lyn spojrzała przenikliwie na Aarona.

– Więc teraz wiesz, co wydarzy się w Pustce?

– Jeszcze tam nie jesteśmy.

– Wkrótce będziemy – powiedział Araminata-dwa. – I Władca Niebios o tym wie.

Oscar i Rycerze Strażnicy zostali wyciągnięci ze stazy na samo przejście. W kabinie znowu panował tłok, ale tym razem nie było to takie złe. Tym razem wszyscy byli podnieceni i żartowali. Chcieli zobaczyć, co jest na zewnątrz kadłuba, czekali z niecierpliwością, by być wewnątrz tej upartej, zagadkowej granicy.

„Odkupienie Mellanie” zwolniło, kiedy zbliżyło się do czarnej ściany. Wypadło z hiperprzestrzeni piętnaście lat świetlnych od

niej. Taka sama odległość dzieliła od niej „Silverbirda”, kiedy otworzył się dla niego wyciągnięty stożek.

Każdemu wyskoczyły w egzowizji ostrzeżenia radiacyjne. Daleko za nimi pętla świeciła niebezpiecznym kolorem bordo, kiedy wysokoenergetyczne fotony waliły nieustannie w mroczną masę wirującą przez płaszczyznę Zatoki. Wszędzie wokół statku pasma napromieniowanej materii kłębiły się, dążąc ku granicy niczym ocean z jedną wieczną falą przyplływową.

Araminta-dwa wyglądał na zdenerwowanego, choć znajdował się w ciągłym kontakcie z Władcą Niebios. Nadal spleciony z myślami Drugiego Śniącego Aaron czuł, jak zainteresowanie i oczekiwania wielkiego stworzenia wzrastają.

– Pamiętaj, poproś go, by wciągnął nas gdzieś blisko Querencji – powiedział Tomansio. – Nie chcemy podróżować czterdzieści lat, jak Justine.

Nie spojrzął znacząco na kabinę, wszyscy jednak znali jego opinię o niezawodności statku. Może wpływała na to bliskość Pustki, ale wszyscy bardzo blisko dzielili się teraz uczuciami.

Araminta-dwa skinął głową, a potem przemówił do Władcy Niebios.

– Przybyliśmy. Proszę, połącz się z jądrem. Proszę cię, nakłoń je, by zabrała nas do twojego wszechświata, byśmy mogli osiągnąć spełnienie.

– Czekałem tak długo na tę chwilę – powiedział Władca Niebios.

– Kiedy przybędziemy, musimy być blisko solidnego świata, gdzie mieszkali ludzie.

– Było kilka takich światów – odparł Władca Niebios.

Inigo spojrzął na Aramintę-dwa zszokowany, kiedy jej skupienie na krótko osłabło.

– Cholera – powiedział cicho Tomansio.

– Myślałem, że był tylko jeden – powiedział głośno Oscar.

– Było więcej niż jeden? – spytała z niedowierzaniem Corrie-Lyn. – Ile?

– On zabrał Justine na Querencję – powiedział Aaron. – Bądź dokładny.

– O co ona zapytała... – Araminta-dwa potrząsnął z irytacją

głową i znowu się skupił. – Świat, którego szukamy, to ten, gdzie członek naszej rasy już nas oczekuje. Ona przybyła ostatnio. Na tym świecie jest miasto, miasto, które nie powstało w Pustce.

– Znam świat, którego szukacie – odrzekł Władca Niebios.

– Mam nadzieję, że zna – powiedział Troblum. – Ponieważ startuje.

– Czy tam będziesz? – spytał Araminta-dwa. – Potrzebuję cię tam, żebyś mnie poprowadził. Bez twojej pomocy nigdy nie osiągnę spełnienia.

– Przybywam – obiecał Władca Niebios.

Hiperradar pokazał im powierzchnię granicy rozszerzającą się z szybkością nadświatłą, wielką wypukłość wznoszącą się prosto do gwiazdolotu. Tak jak planetarny nadświatłny wormhol, ale na niewyobrażalnie wielką skalę. Obserwowali w milczeniu, jak gładka korona się otworzyła. Jeszcze raz wspaniałe, falujące światło mgławicy jaśniało na żalostną pustkę Zatoki, rzucając pojedynczy promień eleganckiej świetlistości na „Odkupienie Mellanie”.

Statek gorliwie przyśpieszył, przechodząc przez mały otwór. Za nim granica znowu się zamknęła, odcinając blade światło. Wierzchołek ponownie się zapadł i złączył z monotonną powierzchnią nieskończonego mroku.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Aaron.

Czujniki optyczne gwiazdolotu działały idealnie, pokazując wokół gwiazdy i mgławice. Nie było ani śladu granicy.

– Pracuję nad tym – odparł Troblum. Obficie się pocił.

– Powiedz nam w przybliżeniu – zaproponował Tomansio.

Filizanka herbaty unosiła się w powietrzu dziesięć centymetrów od jego wyciągniętych palców. Uniosła się nieco, a potem zakołysała na boki. Uśmiechnął się uszczęśliwiony. Z jego umysłu promieniowały zadowolenie z siebie i satysfakcja, by wszyscy to sobie odebrali.

– Och, cholera! – wykrzyknęła Corrie-Lyn.

Jej umysł szybko migotał w polu dalwzroku wszystkich

obecnych, jego połysk powierzchniowy ciemniał, kiedy powolnie tłumiała wybujałe emocje, osłaniała je tarczą przed mentalnym odbiorem, niczym matka obejmująca rękami płaczące dziecko. Przebłyśki obrazów i wspomnień uparcie wylewały się na zewnątrz: Edeard usiłujący skryć swoje myśli, techniki, jakie stosował. Po krótkiej chwili jej umysł stał się nieprzeniknioną, twardą osłoną, spod której nic nie wyciekało. Żadna pojedyncza emocja, wspomnienie ani wrażenie.

Przez długą chwilę wszyscy usilnie próbowali tej samej techniki, uzyskując różne wyniki. Nikogo nie zdziwiło, kiedy obaj Śniący osłonili się idealnie. Ale Oscar, choć bardzo się starał, po prostu nie umiał opanować bujnych myśli, najwyżej nieco złagodził ich wydźwięk.

– Edeard tej grupy – powiedział smętnie. – On nigdy nie mógł się w pełni ochronić. Osobiście widzę to jako oznakę wyższości nad waszą gromadą.

Wszyscy pozwolili, by wymknął się im strumyczek rozbawienia. Z wyjątkiem Trobluma. Jego tarcza była bardziej mroczna niż większości, myśli pod nią były zawikłane, a emocje nie przypominały niczego znajomego.

Aaron był zadowolony z własnej ochrony, choć inni rzucali mu zaciekawione spojrzenia.

– O co chodzi? – spytał. Jego dalmowę i głos cechowała jednakowa intensywność.

– Jest tak, jakbyś prowadził wojnę – odparła Corrie-Lyn. – Twoje myśli jaśnieją na zewnątrz, jednak nie trzymają się kupy, ponieważ mają tyle sprzecznych ze sobą aspektów. Jesteś uosobieniem gniewu i konfliktów.

Uśmiechnął się do niej swym dawnym, pobłażliwym uśmiechem.

– Ale nadal funkcjonuję.

– Więc? – spytał Tomansio. Jego niepowstrzymana ciekawość zarażała wszystkich. – Jesteśmy w Pustce. Co dalej?

– Makkathran – odparł poważnie Aaron.

Tomansio warknął sfrustrowany.

Araminta-dwa spojrział na coś daleko poza ściankami kabiny.

– Jest tutaj – powiedziała zadziwiona.

Dalwzrok Aarona czuł zbliżanie się Władcy Niebios, dobrotliwą koncentrację myśli, która onieśmiałała samym swym rozmiarem. Wydawało się, że zaprzecza niepokojom. Dzielił się satysfakcją na takim poziomie, że niemożliwe było jej odparcie.

– Jesteś tutaj – powiedział do Araminty-dwa.

– Część mnie. Reszta pójdzie za mną, kiedy przyprowadzę tych, którzy szukają spełnienia.

– Moi krewni pozdrawiają cię. Witają tych, którzy mają dołączyć do nas tutaj, w Pustce.

– Makkathran – szepnął Aaron.

– Czy zaprowadzisz nas do świata, o którym rozmawialiśmy wcześniej?

– Tak.

Aaron instynktownie wyciągnął rękę, by się czegoś złapać i stanąć pewnie. „Odkupienie Mellanie” kręciło się wokół, grawitacja zmieniała się dziwnie, to rosnąc, to słabnąc. Przekazy egzoobrazowania z kamer kadłuba pokazały mu ogromne krystaliczne fałdy ciała Władcy, żwawo rotujące na tle zginającej się wstęgi fioletowej fosforescencji – mgławicy Buluku. A potem gwiazdy w przodzie pojaśniały, kiedy Władca Niebios uruchomił swe funkcje przyśpieszania temporalnego, a statek mknął ku gorącym niebieskim punktom świetlnym z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Za nimi Pustka przesunęła się do matowego karminu.

Araminta-dwa ostro wciągnął powietrze, płaską dłonią przyciskał serce.

– Co się dzieje? – spytał go Oscar.

– To bardzo dziwaczne, jakbym był rozdzielany na dwoje. Wydajecie się szybcy, a jednak nie jestem powolny, przynajmniej część mnie nie jest. Flota Pielgrzymki ledwo się porusza, póki się na niej nie skupię. Hrrr, niech to Ozzie, to takie dziwne.

– Różnica w szybkości przepływu czasu – wyjaśnił Troblum. – Jesteś świadomy po dwóch stronach granicy Pustki, co oznacza, że żyjesz z dwiema różnymi szybkościami. Będzie to trudno pogodzić.

– Lepiej wejdź w stazę – powiedział Tomansio.

Pik niepokoju w głosie Araminty-dwa wystarczył, by wszystkich uciszyć.

– Przepraszam, ale nie – powiedział. – Ja – to ciało – musi to przetrwać. Jeżeli to ja będzie zawieszona, to oznacza, że zostanie tylko ona. Będę tam sam. Jeśli przyjdą po mnie z tymi *rzeczami* infiltrującymi mózg, nie będzie dla mnie żadnej ucieczki.

Tomansio skinął ze zrozumieniem głową.

– Jak daleko jesteśmy od Querencii?

– Kierujemy się do układu gwiazdowego oddalonego mniej więcej o trzy miesiące świetlne – powiedział Troblum. – Chyba to Querencia.

– Trzy miesiące. Cóż, to lepiej niż trzy lata.

– Albo trzydzieści – powiedział Oscar. Wypuszczał współczucie i troskę.

Araminta-dwa poszukał na oślep jego dłoni.

– Dziękuję ci, Oscarze.

Teraz do wszystkich ujawnianych przez niego uczuć dołączyło zażenowanie.

– Chyba udam się prosto do kapsuły medycznej – powiedział Oscar. – Kto jeszcze?

– My również – zgłosił się Tomansio.

Inigo i Corrie-Lyn skonsultowali się na jakimś nieznanym poziomie.

– Prześpimy to – powiedział Inigo. – Nie ma dla mnie żadnego zadania przed dotarciem do Makkathranu, co?

– Nie – potwierdził Aaron. – A ty? – spytał Trobluma.

– Co ja?

– Więc w porządku. Ja, Araminta-dwa i Troblum czuwamy przez resztę lotu.

– Jestem pewna, że razem będziecie bardzo szczęśliwi – powiedziała Corrie-Lyn. Jej tarcza mentalna nie przepuszczała na zewnątrz żadnych uczuć.

Nie miało to znaczenia. Aaron wiedział, jak bardzo Corrie-Lyn śmieje się wewnątrz.

Wszyscy we wspólnocie rozpaczliwie chcieli wiedzieć, o co, do diabła, chodziło w sprzeczce między Aramintą i Ethanem. Była wieloma? Tak jak wielocłowiek? Ale nie była. Czy miała na myśli innych Śniących? Utrzymywała, że jest z Inigiem. I dlaczego postanowił teraz opublikować Ostatni Sen? Czy Araminta poprosiła go o to?

Nie wiedział tego nikt. I choć wyraźnie oddana Żywemu Snowi, Araminta zdecydowanie odmówiła wyjaśnień swym zdesperowanym zwolennikom we Wspólnocie i swym równie hałaśliwym oponentom. Co dziwne, Ethan również niczego nie zdradził.

Pielgrzymka leciała więc ku Pustce z szybkością pięćdziesięciu lat świetlnych na godzinę bez żadnych zmian. Było jasne, że nic nie może jej powstrzymać z wyjątkiem raielów-wojowników.

Albo, jak sugerowali niektórzy, Justine i Trzeci Śniący. Gore z pewnością miał jakieś pomysły. Z nim także trudno było nawiązać kontakt.

Dni, gdy trwał lot Floty Pielgrzymki, były dziwne. Cała Wspólnota wiedziała, że jeśli lot się uda, będzie to koniec wszystkiego, że jeśli będą mieli szczęście, to Serce uświadomi sobie ich istnienie. I gdy Pustka będzie pożerać przestrzeń, Serce przeniesie ich nieuszkodzone gwiazdy i planety przez granicę do wewnątrz. Pozbawione przewodnictwa ZAN światy Elewatów nastawiły systemy swych replikatorów na produkcję armad gwiazdolotów, przygotowując się do ucieczki z Galaktyki. Na światach Zewnętrznych wszyscy, którym szczęście dopisało na tyle, że mieli własny gwiazdolot, modyfikowali go do podróży międzygalaktycznych. Plan rządu Wielkiej Wspólnoty polegał na nakazaniu wszystkim zaktualizowania magazynów bezpiecznej pamięci. Magazyny miały zostać przewiezione na statkach floty do gromady gwiazdnej wybranej na siedzibę Nowej Wspólnoty. Ten plan działania odwoływał się do ducha Nowych⁴⁷ światów sprzed tysiąca lat. Wiedza o tym, że twoja nowa tożsamość zostanie wskrzeszona w obcej galaktyce w jakimś bliżej nieokreślonym czasie w przyszłości, nie dodawała zbyt wiele.

Wszyscy bowiem wiedzieli, że będą w takim wypadku obserwować swoją bezpośrednią zagładę spadającą im na głowy z niebios.

Dziwne dni. Nawet jeśli nie liczyć wypowiedzenia wojny totalnej przez Imperium Ocisenów. Dalszych gróźb podjęcia wrogiej działalności przez osiem z rozumnych gatunków, z którymi Wspólnota się kontaktowała. Apeli o pomoc techniczną i gwiazdoloty od dalszych trzech ras, z hancherami włącznie.

Dziwne dni. Dezorientacja dodatkowa, „Wysoki Anioł” znowu pojawił się na orbicie Icalanise, a jego ludzcy mieszkańcy zaczęli rozgłaszać sprawozdanie ze swego pobytu w atmosferze gazowego giganta, łącznie z krótką walką, jaką obserwowali przez smog, walką, na której temat „Wysoki Anioł” odmówił komentarzy.

Dziwne dni, w których ci, którzy pierwsi wywołali ten kryzys, zaczęli się wahać. Wyznawcy Żywego Snu pozostawieni z tyłu, pod wpływem Ostatniego Snu zaczęli kwestionować swoje zaangażowanie do tego stopnia, że otwarcie sprzeciwili się przygotowaniom floty dla drugiej Pielgrzymki. Wielu z nich uznało, że nowe statki powinny być raczej użyte do ucieczki przed ekspandującą granicą niż do szukania schronienia wewnątrz niej, gdzie ich ostateczna przyszłość wcale nie była taka pewna.

Dni, które nie przyniosły najmniejszej zmiany tym, którzy już lecieli we Flocie Pielgrzymki. Godzina po godzinie nadal wyrzucali po drodze stacje przekaźnikowe, zapewniające bezpośrednią łączność elektroniczną z Ellezelinem i unisferą, jak również rozciągające przez Galaktykę kontakty gajasferowe.

Araminta widziała tylko rozproszone migoczące turkusowe punkty przepływające obok, na zewnątrz pokładu obserwacyjnego. Hiperradar pokazywał, jak zatłoczone pasmo gromad kulistych tworzących Mur powiększa się i zbliża. Potem pojawiła się jasna sygnatura kwantowa statków nadświatlnych zbliżających się od centrum Galaktyki. Było ich ponad pięćdziesiąt. Nawet to nie naruszyło chłodnego opanowania Śniącej, kiedy prowadziła swych wyznawców ku obiecane

przeznaczeniu.

Dostęp przez unisferę do przekazów z czujników ostro wzrósł, kiedy cała Wielka Wspólnota chciała zobaczyć, co z tego wyniknie. Gajafejsy otworzyły się szeroko, by odbierać przekazy Araminty.

Obrazowanie i wrażenia skończyły się bez ostrzeżenia. Dwieście lat świetlnych za Flotą Pielgrzymki osiem stacji przekąźnikowych równocześnie zawiodło. Nikt nie wiedział, co się dzieje.

Paula wiedziała. Siedziała w prywatnej kwaterze Qatuxa, obserwując displej podobny do projekcji portalu holograficznego. Raiele-wojownicy uśmiercili przekąźniki Żywego Snu. Teraz główna siła ataku skupiała się na dwunastu gigantycznych statkach.

W ciągu następnych dziewięciu godzin unicestwiono osiemnaście gazowych gigantów, a ich umierającą masę przekształcono w energię egzotyczną. Jej część wywołała fale zniekształceń mknące przez hiperprzestrzeń. Inną część poddano niewiarygodnie złożonemu formatowaniu, tworząc spójne promienie wycelowane w konkretne statki Pielgrzymki.

Pola siłowe typu pola bariery solarnej, ochraniające statki, oparły się wszelkim taktykom ataku, wszelkiej broni, którą raiele dysponowali. Tego należało się spodziewać. To najlepsze, co dało się stworzyć. Progresywiści odtworzyli metodą odwrotnej inżynierii barierę uzyskaną z generatora Alfego Dysona i ulepszyli ją. Kiedy Flota Pielgrzymki przebyła połowę zatoki, raiele-wojownicy wycofali się, pozwalając Pielgrzymce na dalszy lot bez przeszkód.

– Tego dnia czuję wstyd – powiedział Qatux.

– Ja jestem wściekła – odparła Paula. Potarła dłonią twarz. Była nieprzyjemnie znużona oglądaniem przerwanej próby przejęcia floty. – Czy znaleźli jakiś ślad Ilanthe?

– Niestety nie. Jeśli tam jest, to wyjątkowo dobrze zamaskowana.

- Cholera! Wiemy, że wybrała statek zaopatrzony w maskowanie wysokiego poziomu. Ale nigdy nie oczekiwałam, że wymknie się waszej klasie wojowników.

- Nawet gdyby wykryli statek, nic nie mogliby zrobić. Pola siłowe zbudowane przez Progresywistów są idealne.

- Więc nie pozostało już nic innego?

- Nasze okręty wojenne porzucają Zatokę, którą patrolowały przez ubiegłe miliony lat. Teraz pozostała już tylko jedna możliwość: obudowa.

- Co to takiego?

Qatux machnął jedną z dwóch wielkich macek w kierunku świecących obrazów wiszących w pomieszczeniu.

- Zobacz. Zaczyna się.

Od czasu gdy ich armadzie inwazyjnej nie udało się pokonać Pustki, a nawet z niej powrócić, raiele przygotowywali się na to, co uważali za nieuniknioną, katastrofalną fazę ekspansji. Strategia opierała się na największych maszynach, jakie raiele kiedykolwiek skonstruowali. Ludzie nazywali je sferami DF. Pierwszy raz spotkali je przy Alfie Dysona, gdzie generowały osłonę, która uwięziła cały Układ Słoneczny Alf. Drugi raz spotkali się z nimi przy Stacji Centurion, co sugerowało, że mają one wiele funkcji.

Kiedy raiele ustawili swe urządzenia produkcyjne w killkunastu układach gwiazdnych, sfery o rozmiarze gazowych gigantów zostały umieszczone w całym Murze. W okresie stu tysięcy lat wyprodukowano ich ponad milion, z których jedynie siedem kiedykolwiek przeznaczono do innych zadań. Dwie wypożyczono anominom, trzy gatunkom, które stanęły wobec podobnych trudności, a dwie wykorzystano do uwięzienia gwiazd, które stawały się nową; dzięki temu ochroniono pobliskie cywilizacje niepodróżujące w kosmosie, które zostałyby wymazane przez promieniowanie.

Teraz dzięki statusowi Qatuxa, Paula miała widok na ich aktywację. Podczas ostatniej krótkiej ekspansji Pustki, kiedy

Araminta odmówiła Władcy Niebios, wszystkie sfery DF przesunęły się na bliską orbitę wokół gwiazd, które wcześniej okręzały, przygotowując się do swej fazy końcowej. Teraz zaczęły generować olbrzymie pola grawitacyjne, zwiększając gradient grawitacyjny wokół swoich gwiazd-gospodarzy, przyspieszając szybkość scalania.

W całym Murze gwiazdy supergiganty rozjaśniały się, gnając przez widmo, by osiągnąć niebieskobiały punkt szczytowy.

– Zwiększone poziomy ich mocy zostaną skonsumowane przez nasze systemy obronne do wytworzenia pasm ciemnej siły, bardzo podobnej do pól siłowych, jakie wasi Progresywiści nauczyli się wytwarzać – wyjaśnił Qatux. – Połączą się w bransoletę i w końcu rozszerzą do sfery, która zawrze całą Zatokę.

– Obudowa – powiedziała cicho zdumiona Paula.

Raiele stworzyli prawdziwy cud; do dziś sądziła, że taki projekt mogliby podjąć jedynie postfizyczni. Prawie zrobiło się jej żal raielów: poświęcenie całej swej rasy dla takiego przedsięwzięcia oznaczało, że nie mają oni nic innego. Ich zaangażowanie w sprawę pokonania Pustki uwięziło ich równie skutecznie, jak gdyby znajdowali się wewnątrz niej.

Po kilku godzinach w połyskującym pasmie gwiazd okrążających komnatę pojawiły się filigranowe czarne linie mnożące się w jego wewnętrznej krawędzi, zlewające się powoli w szeroką bransoletę.

– Czy to powstrzyma Pustkę? – zapytała, obserwując powolny postęp linii.

– Nie wiemy. Nigdy nie próbowaliśmy użyć tego wcześniej. Mamy nadzieję, że wytrzyma dostatecznie długo, aż Pustka, resetując się, by spełnić marzenia wszystkich wewnątrz, wykorzysta całą pozostawioną w Zatoce masę. Kiedy paliwo się wyczerpie, Pustka się zawali. Jeśli zdoła się przedostać przez obudowę, powstała ekspansja może okazać się tak szybka, że zagarnie wszystkie statki próbujące opuścić Galaktykę.

– Tak więc, jeśli to zadziała, wszyscy wewnątrz Pustki umrą?

– A Galaktyka będzie żyć nadal.

Justine: rok czterdziesty piąty, dzień trzydziesty pierwszy

Poranek wysłał przez wielkie okno sypialni strumienie złotawego słonecznego światła. Justine obudzona tym najściem jęknęła i przewróciła się w śpiworze na drugi bok. Gąbczasty materac łagodnie zafalował. Pomyślała sennie, że Edeardowi udało się ten mebel doprowadzić do absolutnej doskonałości. Gruba plama słońca sunęła z wolna po podłodze, nieubłaganie zbliżając się do Justine. Obserwowała leniwie jej ruch, wiedząc, że powinna wstać. Ale poranne wstawanie nigdy nie było mocną stroną jej psychiki. Pierwsze trzydzieści lat imprezowania na Wschodnim Wybrzeżu ugruntowało w niej przyzwyczajenie, którego nie zdołała przełamać w czasie niemal tysiąca lat życia w mięsnym ciełe.

W końcu otworzyła śpiwór, przeciągnęła się z ziewnięciem i stoczyła z łoża. Nieprzesuwalne wielkie łoże stanowiło jedność z podłogą. Jednakże sypialnia była wielka, odpowiednia dla Mistrza i Mistrzynie Sampalok.

Justine poczłapała boso do panoramicznego okna i spojrzała w dół na centralny plac dzielnicy. Jakże tu niezwykle czysto! Stwierdzała to wciąż podczas swoich wędrówek po mieście. Oczywiście kurz i liście gromadziły się pod budynkami, w rozmaitych szczelinach i wąskich przesmykach, ale nigdy nie dochodziło do etapu zakorzeniania się na nich chwastów. Przypuszczała, że miasto wchłaniało wszelkie większe złoza brudu. Wcześniej, w czasach Edearda, to zespoły geszypów usuwały śmiecie wytwarzane przez ludzkich mieszkańców.

Patrząc na igrające małe fontanny, widziała zwierzęta przemykające chyłkiem skrajem placu. Zaczynały dzienne polowania lub poszukiwanie żywności. Nie myliła się co do psów – kilka nieprzyjemnych stad prosperowało w Makkathranie.

Tutejsze zwierzęta gnieździły się w pustych budynkach. Miasto je najwyraźniej tolerowało.

Justine naciągnęła dżinsowe szorty i czysty pomarańczowy T-shirt, po czym udała się do salonu, który wykorzystywała jako bazę. Ustawiła tam swój sprzęt, łącznie z prostym krzesłem biwakowym, które wytworzył statkowy replikator w jednym z rzadkich okresów funkcjonowania. Jedyne krzesło, które pozostało w Makkathranie, powiedziała sobie rozbawiona. Wzięła ćwierćlitrowy samopodgrzewający pojemnik z kawą z regału na żywność i usadowiła się w prostej konstrukcji z płótna i aluminium. Pół minuty po wyciągnięciu pętelki kawa zaczęła parować. Justine sączyła ją ze smakiem, odwijając folię z posmarowanego masłem croissanta migdałowego. Miała też dżem, ale nie mogła się zmusić do przyniesienia go. Ustalony plan dnia obejmował szybkie śniadanie, obiad z pakietu, a wieczorami – dla zabicia czasu – długie rozpalanie piecyka do barbecue i sporządzanie czegoś bardziej złożonego. Mimo wszechobecnego w mieście pomarańczowego oświetlenia nie ryzykowała wychodzenia nocą.

Po półgodzinie zaczęła się przygotowywać. W małym plecaku miała jedzenie, ubranie nieprzemakalne, proste narzędzia i silną latarkę. Na pasku zawiesiła nóż, pistolet automatyczny i magazynek zapasowy. Przypięła paralizator. Przetestowała go szybko wcześniej – między zębami trzeszczał satysfakcjonująco łuk elektryczny. Obok latarki było to jedno z niewielu urządzeń elektrycznych działających bezusterkowo.

Justyna, już przygotowana do konfrontacji z nowym dniem, zeszła czterema segmentami szerokich schodów do holu wejściowego. Drewniane drzwi w łukowej bramie dawno zniknęły, zgniły wieki temu. Jednakże dekoracyjna krata zamykająca się na nich pozostała nietknięta. Justine uznała, że wykute gurkwino tworzące kratę musiano wykonać z wyjątkowo czystego żelaza. Rdzy było bardzo niewiele, a większość ozdobnych liści pozostała nienaruszona. Dostatecznie mocne potrafiły powstrzymać każde wielkie zwierzę przed nocnym wejściem; głównie dlatego tu zamieszkała.

Ciekawiło ją, dlaczego krata nadal pozostała na miejscu. Przecież inne ludzkie wytwory przymocowane do ścian zostawały po kilku latach wypchnięte i odrzucane. Ale kiedy przyjrzała się kracie uważnie, zobaczyła, że jej masywne zawiasy składają się w znacznej części z substancji miasta. Otwarcie kraty wymagało wykorzystania mnóstwa oleju i całej telekinetycznej mocy Justine, ale w końcu się powiodło.

Teraz krata rozwarła się łatwo pod pchnięciem trzeciej ręki Justine.

Wyszła na plac. Naparło na nią gorące, wilgotne powietrze, aż pot wystąpił jej na czoło. Był środek lata, więc słońce paliło nad miejskimi wieżami, minaretami i kopułami. Justine założyła okulary słoneczne i przeszukała otoczenie dalwzrokiem. W pobliżu nie było zagrożeń. Wypłoszyła parę filszcurów i kilka ziemskich kotów. Morskie ptaki krążyły nad głową i ich ostre nawoływania odbijały się echem na pustych placach i uliczkach. Starannie zamknęła za sobą wrota i poszła jedną z szerokich ulic odchodzących od placu w kierunku Średniego Stawu.

Na ścianach nie pozostały żadne oznaczenia, więc przyporządkowanie oryginalnych nazw do rozmaitych ulic i przejść zajęło jej trochę czasu. Wkrótce zrozumiała, że zdoła zidentyfikować zaledwie drobną ich część. Nawet sny nie oddawały w pełni ogromnej złożoności licznych uliczek i pasażów tworzących dzielnicę Makkathranu. Przez parę tygodni po wylądowaniu Justine czuła bezgraniczne zdumienie na widok tego miejskiego labiryntu. Sen Iniga, najbliżej to wrażenie oddający, to ten, w którym Edeard i Salrana, przybywszy do miasta, szli przez Ilongo i Tosellę.

Teraz maszerowała po krętej ulicy Zulmal, która prowadziła do bulwaru wokół Średniego Stawu. Szerokość ulicy zmieniała się niemal z każdym krokiem. Justine przypomniawszy sobie, że głównie były tu sklepy. Pasowało to do szerokich, wysuniętych z fasady okien na parterach budynków. Nie było już drzwi. Zniknęły przed wiekami razem z całym wyposażeniem wewnątrz. Początkowo ogólny brak gruzu i odpadów ciekawił ją, dopóki nie uświadomiła sobie, że miasto wchłaniało wszystko, co zagrażało

zatkaniem kanałów ściekowych i wytworzeniem wzniesień gleby, na których mogłyby rozwijać się trawy i mchy. W budynkach znajdowała jednak jakieś resztki, przeważnie metalowe. W większości domów walały się po podłodze sztuczne czy fragmenty biżuterii, jedyna pozostałość po mieszkańcach, którzy porzucili je tak dawno temu. Najlepiej zachowały się obiekty z cennych metali. Żelazne piecyki, które posiadała większość gospodarstw domowych, rdzewiały i rozłaziły się do nierozpoznawalnych, zapadających się grud. Uważała na rozrzucone dookoła długie ostre kawałki naczyń stołowych i szkła. Cieszyła się wtedy z grubych podeszew swego obuwia. Wydawało się dziwne, że te zmatowiałe, niemal nierozpoznawalne bibeloty stanowiły jedyny dowód, że kiedyś ten świat zamieszkiwała cała ludzka cywilizacja. Justine uważała, żeby melancholia nie zmieniła się u niej w poczucie samotności i lęku. Stamtąd już tylko mały krok prowadził do prawdziwego strachu, takiego, że miałyby ochotę wrócić na „Silverbirda” i do stazy – zakładając, że komora medyczna działałaby odpowiednio. Pustkowa niechęć do techniki zyskiwała z wolna przewagę nad małym stateczkiem stojącym w Żółtym Parku – nawet gniazdo konfluencyjne w niektóre dni zawodziło. Była przekonana, że obecnie jedyny sposób powrotu w kosmos, to zrestartowanie Pustki jeszcze raz do czasu sprzed lądowania „Silverbirda”.

Tuż przed wylotem ulicy Zumal na bulwar Justine zatrzymała się i spojrzała na jeden z budynków. Przechodziła obok niego kilkanaście razy, idąc na swe codzienne misje badawcze, ale nigdy wcześniej nie pomyślała o jego związku ze snami. To była piekarnia, gdzie pomyłona, mściwa Mirayse zamordowała Boyda. Dalwzrok Justine sięgnął w głąb sklepu. We frontowych pokojach nie znalazła nic. Ale na tyłach słabo dostrzegła wzniesienie rdzewiejącego metalu – kiedyś z pewnością były to piece chlebowe.

Oczywiście Edeard postrzegał duszę Boyda, zwlekającą po śmierci z odejściem. Nie czuła nic podobnego, choć teraz to całe wspomnienie zmroziło ją. Z intelektualnego sanktuarium ZAN znacznie łatwiej było szydzić i pogardzać prostotą ikon Żywego

Snu niż rzeczywiście stać w uświęconym sercu ruchu i doświadczać osobiście realności tych ikon. Kiedy tak patrzyła na otwartą bramę starego sklepu, zrozumiała w końcu, dlaczego Inigo polecił skonstruowanie Makkathranu². Był to ostateczny akt czci i oddania. Obce miasto stanowiło ucieleśnienie triumfu Edearda: cudzoziemiec z jakiejś rolniczej prowincji przybył tutaj i dał obywatelom nadzieję – sami nie wiedzieli, że ją stracili – i w dodatku zainspirował miliardy, z których istnienia w ogóle nie zdawał sobie sprawy. Cała jej wyniosła, zracjonalizowana pogarda nigdy nie zdołała umniejszyć jego fenomenalnych dokonań. Tutaj, idąc po jego śladach w sensie bardzo dosłownym, zrozumiała, jak pod wieloma względami jest mała w porównaniu z nim.

Kiedy w końcu dotarła do bulwaru, odzyskała nieco poczucia własnej wartości, ale tamta chwila samooceny sprowadziła na nią dojmujące poczucie samotności.

No, tato, gdzie jesteś? Z pewnością wszystko, na co czekałeś, musiało się do tej pory już wydarzyć.

Dotychczas dość skutecznie wypełniała sobie czas: zakładanie obozu w rezydencji w Sampalok, penetrowanie reszty miasta, testowanie i rozwijanie zdolności mentalnych. Sporo zajęć. Zwiedzała miejsca naprawdę znaczące – ziggurat Culveritów, Pałac Sadowy o bajecznych sufitach z obrazami astronomicznymi, posterunek konstabli w Jeavons i, oczywiście, Dom Błękitnych Płatków, dziwnie rozczarowujący, gdy nie miał już charakterystycznego baru, drzwi i grubych kotar. Bez wyposażenia wydawał się pozbawiony swej istoty. Również opera w Lilylight sprawiła zawód; jej ogromny amfiteatr, pozbawiony prywatnych łóż Wielkich Rodzin stłoczonych na tarasach, nie miał stylu, odczuwanego w snach. Nadal jednak kopuła sufitu z białymi i fioletowymi stalaktytami robiła wrażenie. Niestety, Justine zabrakło odwagi, by zaśpiewać, kiedy stała pod nimi na scenie.

Jednakże obecnie zniknęła u niej chęć odwiedzania licznych, ważnych dla Żywego Snu budowli. Okazując emocje i szacunek dla tych miejsc, tylko wzmacniała fundamenty wiary tej sekty.

Muszę znaleźć coś, co ma znaczenie dla mnie.

Powierzchnia Wielkiego Kanału Głównego zarosła zielono-fioletowymi bujnymi roślinami wodnymi. Od czasu do czasu rośliny drgały, gdy prześlizgiwał się między nimi filszczur, ale poza tym pozostawały idealnie nieruchome. Tylko środek Średniego Stawu był czysty – tam ciemne wody poruszały się z wolna, gdy niewielkie fale z morza Lyot wpływały do dzielnicy portowej.

Justine często myślała o zbudowaniu łodzi czy tratwy do żeglugi po kanałach. Mając narzędzia i trzecią rękę, zrobiłaby to bez większych trudności, a przynajmniej miałaby jakieś zajęcie.

Czy Rah i Pani też mieli to szczególne poczucie oczekiwania, kiedy po raz pierwszy wstąpili do Makkathranu? Coś w ludzkiej naturze po prostu wzywało, by zająć i wykorzystać to puste miasto.

Z łodzią to był dobry pomysł, myślała Justine, zarówno terapeutyczny, jak i praktyczny. Tylko że Justine nigdy w życiu nie pracowała fizycznie i o ciesielce nie wiedziała zupełnie nic.

Może jutro.

Przeszła przez różowy most nad Kanałem Szlaku Handlowego na kraniec Parku Pholasa. Stamtąd musiała iść kilka minut wzdłuż Kanału Bzowego, aż doszła do garbatego mostu do Fiacre. Wzniesione przez ludzi mosty z metalu i drewna musiały być pierwszymi strukturami, które zniknęły po odejściu ich budowniczych. Teraz musiała wykorzystywać przejścia wytworzone przez samo miasto. Jedyna próba odegrania Stąpającego po Wodzie i ustabilizowania powierzchni kanału telekinezą nie okazała się wielkim sukcesem. Ależ musiano się śmiać w całej Wspólnocie, gdy poszła na dno! Przy założeniu, że tata nadal śni to wszystko dla nich.

Kontynuując marsz równoległe do Wielkiego Kanału Głównego, sondowała dalwzrokiem materię miasta pod stopami. Postrzegając ją jako gęsty, brązowoszary, niemal jednorodny cień. Gdzieś jej do Edearda, ale przynajmniej potrafiła złapać widok tuneli pod kanałami, co napełniło ją wielką dumą, choć odbierała je jako obraz egzowizyjny wyjątkowo niskiej jakości. Potem,

kiedy dodała funkcje pola bionicznego do falującego widma, uświadomiła sobie niewyraźnie nawet głębsze szczeliny pod stopami, które reprezentowały tunele podrózne.

Tu jednak osiągnęła granicę postrzegania. W żaden sposób nie mogła wyczuć drzemającego umysłu miasta bardzo głęboko pod nimi, nie mówiąc już o jego zbudzeniu. Zastanawiała się, czy laser neutronowy „Silverbirda” mógłby wciąć się dla niej w tunel podrózny i jak na to zareagowałby Makkathran. Skany funkcji polowych potwierdzały, że pomarańczowe oświetlenie miasta zasilał prąd elektryczny. Ten dowód istnienia pewnej bazy technicznej przekonywał, że tunele podrózne mogłyby zawieźć ją znacznie bliżej do centrum sterowania miasta – czymkolwiek miasto okazałoby się w rzeczywistości.

I znowu, to projekt na przyszłość. Gdybym tylko wiedziała, ile czasu upłynie, zanim ktoś tu przybędzie. Z pewnością Flota Pielgrzymki do tej pory już wyruszyła. Tego właśnie musiał oczekiwać tata, kiedy kazał mi tu przylecieć.

Większość budynków w Fiacre pokrywały liany i pnącza wyrastające z głębokich koryt ustawionych wzdłuż ulic. Ponieważ nikt ich nie przycinał, obecnie całkowicie opanowały konstrukcje, do których kiedyś miały być tylko dodatkami. Zamknęły wejścia i zakryły okna. Niektóre uliczki stały się płataniną gęstej roślinności. Nawet po szerszych ulicach było trudno spacerować. Na szczęście ścieżka nad brzegiem Wielkiego Kanału Głównego pozostawała stosunkowo czysta.

Otwarty most nad Kanałem Zagajnikowym był tak gładki, że nawet szorstkie podeszwy obuwia Justine się ślizgały. Mgliście przypominała sobie, że w czasach Edearda miał linowe poręczce i przyszpilone drewniane listwy. Ale ostrożnie przeszła i nie wpadła do wody. Tak dostała się do Eyrie. Wysokie wieże łączyło dalekie pokrewieństwo z ludzkim stylem gotyckim, choć nikt na Ziemi nigdy nie zbudował niczego tak pokrzywionego. Przechodząc szerokimi przejazdami u ich stóp, odchyłała głowę w górę, próbując dostrzec iglice tworzące korony na szczytach. Nie patrzyła pod właściwym kątem, ale nie wdrapała się na żadną wieżę, by mieć widok z góry. Dzisiaj nie.

Kiedy dotarła do kościoła Pani, był już późny ranek.

Lepszym określeniem byłaby „katedra”, pomyślała.

Od wielkiej centralnej kopuły z kryształowym szczytem odchodziły promieniście trzy długie skrzydła, każde z pięcioma poziomami balkonów, rozpieranych szczupłymi, żłobkowanymi filarami.

Drzwi zniknęły, podobnie jak wszystkie ławy. Justine wkroczyła do wnętrza bardziej zdenerwowana niż zwykle przy zwiedzaniu słynnych budynków. Słońce wpadało pionowo przez ogromny, przezroczysty środek kopuły, tworząc jasną mgiełkę nad srebrnobiałą podłogą. Kilka genistarów w domyślnej formie rzuciło jej zaciekawione spojrzenie i pocłapało do szerokiego bocznego krużganka, gdzie gniazdowały. Oczywiście nie pozostały już żadne wyrzeźbione genistary. Tworzenie geszympów albo geogarów to następne możliwe dla niej zajęcie, choć czuła mdłości na myśl, że najprawdopodobniej sfuszeruje rzeźbienie. Nawet mistrz Akeem w szczytowej formie miał stały procent niepowodzeń.

Wydało się jej, że za jasnym snopem światła w centrum kościoła zobaczyła jakiś ruch. Dalwzrok i siatkówkowy zoom nic nie wykryły, ale niepewność pozostawała. Coś w kościele niepokoiło ją, niczym bardzo niski i niezupełnie słyszalny dźwięk.

To głupie. No, dziewczyno. Weź się w garść.

Pomaszerowała prosto przez intensywną świetlną plamę. Gigantyczna marmurowa statua Pani przetrwała, stojąc samotnie w miejscu, gdzie niegdyś był ołtarz. Za nią otwierał się jeden z krużganków. I znowu Justine wydało się, że tam w cieniach coś się poruszyło. Na ramionach miała gęsią skórę. Poszła naprzód, tym razem ostrożniej. Z wolna pociągnęła trzecią ręką zabezpieczającą klapkę kabury. Na wszelki wypadek...

Przesunęła się we wględny mrok krużganka i poczekała, aż dostosują się jej siatkówki. Dalwzrok wskazywał, że nie ma tam nic prócz pustego powietrza. Wtedy zza oddalonego o dwadzieścia metrów filara wyszedł jej ojciec.

Justine wydała cichy szloch ulgi. Postąpiła krok naprzód i

zamarła. Obok ojca wynurzył się wielki obcy.

- Tata?

- Cześć, kochanie. Cieszę się, że tu dotarłaś. Nie żebym się niepokoił, ale...

Uśmiechnął się półuśmiechem tak znajomym i wyczekiwany, że Justine chciała natychmiast podbiec do ojca i go uściskać. A jednak...

- Czy to anomin?

- Tak. Przedstawiam ci Tyzaka. Powoli zaczyna interesować się naszą historią.

Anomin zaświergotał coś w wysokich tonach.

- Powiada, że rad cię widzieć – przetłumaczył Gore.

Justine westchnęła.

- A już myślałam, że to wszystko ma jakiś sens.

- Zaufaj mi. Doskonale sobie radzisz. À propos, to było dobre lądowanie. Pięknie wyliczone.

- Co się dzieje, tato? Czemu jestem tutaj?

- Jesteś moim połączeniem do Pustki. Dlatego jesteś elementem zasadniczym. W drodze są ludzie.

- Flota Pielgrzymki?

- Tak, udało im się wyminąć raielów-wojowników. Ale leci ktoś jeszcze. To ważne, Justine. Oni powinni przybyć przed flotą. Oni nawet już mogą być w Pustce.

- Dobrze – powiedziała niepewnie. – Kto to taki?

- Inni Śniący.

- Kpisz sobie? – Nie dostrzegala w tym sensu. – Naprawdę?

- Taa. Mój stary kontakt poinformował mnie, że są blisko, albo przynajmniej dotarli do granicy. Ale jeśli się przedostaną, skierują się na Makkathran.

- Ale dlaczego? Czemu oni?

- Ponieważ to właśnie ich potrzebuję tam na miejscu razem z tobą.

- W porządku, tato. Będę na nich uważać.

- Dziękuję.

- Czy masz jakieś pojęcie o terminach?

- Nie bardzo. Przepraszam, moja droga. Będziesz musiała po

prostu to przeczekać.

– Czy muszę coś przygotować?

– Nie, po prostu przeżyj, bez względu na to, jak długo to potrwa.

– Myślałam, że mogę spróbować nawiązać łączność z umysłem miasta. Choćby wiercić w dół do głębokich tuneli – powiedziała z nadzieją w głosie.

– To bezcelowe.

– Nic mi nie powiesz?

– Powiem, obiecuję. Ale zmagam się z niewielkim lokalnym problemem, który może stać się nieprzyjemnie fizyczny, jeśli zbyt wcześnie odkryję karty. I muszę cię ostrzec, że z Flotą Pielgrzymki leci Ilanthe.

– Ha! Ta suka. Załatwię ją, jeśli spróbuje ze mną jakichś sztuczek.

W złotych rysach Gore'a odbił się niepokój.

– Nie załatwisz jej, kochanie. Ona nie jest już tym, czym była. Przyjęła inny aspekt, co może oznaczać kłopoty, mnóstwo kłopotów. Nawet silfeni niepokoją się tym, co ona wyrabia.

– Aha. W porządku.

Justine wcale się to nie podobało. Gore'a niełatwo było skłonić do ostrożności.

– Kocham cię, moja droga.

– Tato, proszę, uważaj na siebie.

– „Ostrożność” to moje drugie imię.

– Myślałam, że brzmi ono „Buldożer”.

– Ostatnio stawiam mnóstwo dywizów. To znak czasu.

Uniósł ramię i stopniowo stał się przezroczystry. Po chwili zniknął zupełnie, a Tyzak razem z nim.

Justine wpatrywała się w miejsce, gdzie byli, a potem potrząsnęła głową, jakby wychodząc z transu.

– O, cholera!

Bez powodzenia próbowała stłumić niepokój. Ale przynajmniej wyznaczył jej jasny cel. Pozostań przy życiu.

– Miło to wiedzieć – powiedziała cicho.

Poczucie, że czegoś nie rozumie, nie przychodziło Justine łatwo: ostrzegało, że nad czymś nie panuje, i w ogóle nie układało się w

żadne ramki.

Justine odwróciła się i poszła z powrotem do ogromnej centralnej części kościoła. Jeśli miała mieszkać w Makkathranie dłuższy czas, musiała opracować wiele praktycznych aspektów swego pobytu, nie mówiąc o przygotowaniu na wypadek, gdy systemy „Silverbirda” w końcu zawiodą ostatecznie. Podstawa to zaopatrzenie się w żywność na dłuższy czas. Była przekonana, że na Iguru włóczą się jakieś owce i kozy, a siedem dni temu na Niskiej Fosie dostrzegła chyba kurczaki. Na pewno znajdzie też nasiona do uprawy. Wszystkie Wielkie Rodziny utrzymywały przy swych rezydencjach ogrody kuchenne. Rośliny powinny w jakimś kształcie przetrwać. I rybołówstwo... Uśmiechnęła się szeroko. Łowienie ryb trzecią ręką będzie łatwe.

Nawet jeśli nie będzie łatwe, to mogła przeżyć. Przecież miasto musiało być równie zaniedbane, kiedy przybyli tutaj Rah i Pani. Justine uśmiechnęła się i spojrzała w górę na twarz Pani.

– I zobacz, co zrobiłaś z tym miejscem – powiedziała do statui.

Pani patrzyła na nią z niezmiennym, posępnym wyrazem twarzy. Uśmiech Justine stopniowo zbladł. Coś zauważyła w tych rysach teraz, gdy mogła przyjrzeć się im z bliska – Edeard nie był jednak częstym gościem w kościele. Musiała sięgnąć głęboko we wspomnienia – nawet nie zdawała sobie sprawy, że jej ciało je zachowało, ale podświadomość skrzesała połączenia.

– Nie – szepnęła zszokowana. Uchwycona przez rzeźbiarza Pani była o wiele starsza niż w czasie, kiedy Justine ją spotkała, i wtedy miała zupełnie inne włosy, nie mówiąc już o figurze. – Och, nie. – Oczy Justine napełniały się łzami. Rozpoznała! – To ty, prawda? – Ramiona jej zadrżały, zaczęła chichotać. – To ty. Jasna cholera, to naprawdę ty! – Chichot przeszedł w histeryczny śmiech. Musiała trzymać się za brzuch, tak bardzo bolał. To była Pani, otoczona czcią i wielbiona przez dwie odrębne cywilizacje. Uosobienie godności i wdzięku. – TAK! – wrzasnęła i dźgnęła pięścią powietrze. A potem radosny śmiech zgiął ją wpół. Bezradnie machała dłońmi, próbując wytrzeć łzy.

Co możesz wiedzieć, wszechświat ma jednak poczucie ironii.

Rzadki deszcz niebieskich iskier spadających kaskadą przez pseudomaterię hiperprzestrzeni ustała, gdy odłączono zasilanie silników ultranapędu „Światła Pani”, a statek na powrót wpadł w czasoprzestrzeń. Czerń parła na rozległą przezroczystą przednią ścianę pokładu obserwacyjnego. Promieniowanie rozżarzonej pętli międzygwiazdnych resztek za statkiem biło w zwykłe pole siłowe chroniące go przed wrogim działaniem Zatoki. Przy brzegach przezroczystej ściany tworzyła się nieprzyjemna dla oczu bordowa poświata. Araminta założyła okulary słoneczne i przez polaryzujące soczewki patrzyła na większą ciemność cztery lata świetlne przed nimi.

Ethan, nieskazitelny w swoich szatach Kleryka, stał obok i wypuszczał do gajASFery bojaźń bożą i niecierpliwość. Taranse, Darraklan i Rincenso czekali lojalnie za swoją Śniącą, również przygnębieni widokiem bariery. Wcześniej wątpili w to, że kiedykolwiek zobaczą ją osobiście.

– Przybyliśmy – powiedziała Araminta do Władcy Niebios. – Proszę, poproś Serce, by po nas sięgnęło.

Władca zareagował impulsem niemal ludzkiego szczęścia.

Displeje egzowizji ukazywały Aramincie obrazy ze statkowego hiperradaru. Granica Pustki falowała, wyciągała się w górę z nadświatłą szybkością. Sięgała po Flotę Pielgrzymki. Po nią. Szczyt odkształcenia rozwarł się.

Łagodny wicher mgławicowego światła omiótł dwanaście statków Pielgrzymki.

Hiperradar wykrył jeszcze jeden statek, który wynurzył się z trybu maskującego, malutki wobec oczekujących Goliatów, ale z nieprzenikalnym polem siłowym.

– Zastanawiałam się, gdzie byłeś – powiedziała Araminta.

– Przecież wiedziałeś – odpowiedziała zgodnie z prawdą Ilanthe.

Przypomnienie kosztów zwycięstwa gwałtownie ostudziło radość Ethana.

– Co teraz? – spytał.

– Wchodzimy – poinformowała go Araminta. – Razem. Prawda?

– Prawda – powiedziała Ilanthe.

– Taranse, zabierz nas do środka – poleciła Araminta.

Sennie skinął głową. „Światło Pani” przyśpieszyło do wewnątrz, a pozostałe statki poleciały w ślad za nią.

– Panie – zawołał umysł Ethana, a jego myśli wzmacniały trzy statkowe gniazda konfluencyjne, wzmacniane z kolei przez pozostałe gniazda we flocie. – Proszę, zabierz nas na skalisty świat, który kiedyś zamieszkiwali ci z naszego gatunku.

– Cholera! – Araminta rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Odpowiedział szyderczym zadowolonym uśmiechem.

– Śniąca, czy przeoczyłaś tę część prośby? – spytał kpiąco.

Araminta patrzyła, jak nasila się światło mgławic, a wycieńczony czerwony poblask znika z brzegów przezroczystej ściany. Gdzieś za nimi granica zamykała się ponownie. Po raz pierwszy od wielu dni przekleństwo mdłości i dezorientacji, spowodowanych życiem na dwóch szybkościach, ustąpiło. Jej myśli stały się precyzyjne.

– I wydaje się, że twoja wyjątkowość się skończyła – kontynuował Ethan.

Dalwzrok ukazywał Aramincie jego myśli, ropiejącą tam obnażoną złośliwość. Można się było nią napawać. Ethan z wolna pojmował możliwości oferowane przez Pustkę i przypominał sobie techniki stosowane przez Edearda. Dalwzrok Araminty ujawniał również, co Ethan ukrywa w licznych fałdach swej szaty.

– To prawda – przyznała. – Ale to pozwala nam naprawdę żyć jak w Pustce.

Ethan sięgnął po swój ukrywany staromodny pistolet. Trzecia ręka Araminty uniosła Kleryka i rzuciła nim przez salę obserwacyjną. Lecąc przez powietrze, wrzeszczał – w równym stopniu z bólu, jak ze strachu. Wrzask ucichł, gdy Ethan walnął twarzą, a potem całym ciałem w ścianę. Zwalił się niezgrabnie na

ziemię, pojękując z bólu połamanych kości. Z ust i nosa kapą mu krew.

– Kiedy Rah i Pani przybyli do Makkathranu, by narzucić swe rządy, mieli do dyspozycji jedynie politykę i brutalną siłę – powiedziała niedbale Araminta, idąc ku Ethanowi, który niezgrabnie próbował odsuwać się od niej. – Jakże to stosowne, że my również będziemy zaczynać z tymi samymi darami.

Ethan próbował ścisnąć jej serce. Araminta z łatwością to udaremniła. Wyciągnęła przed siebie rękę z dłonią zwróconą ku górze. Ethan został raptownie poderwany z podłogi. Palec dziewczyny wykonał przyzywający gest – mężczyzna został przyciągnięty w jej stronę.

– Miałaś rację – powiedziała do Aarona. – Potrzebowałam treningu. To podstępny gówniarz.

Taranse, Darraklan i Rincenso zachowywali się bardzo cicho. Każdy z nich starał się ustawić własną mentalną tarczę, by Śniąca nie odczytała ich myśli.

– Ty nie wierzysz – syknął Ethan przez skrwawione wargi. – Nigdy nie wierzyłaś.

– Ale ty we mnie wierzysz, prawda? – przynagliła go ochryłym głosem, wspominając ohydny przymusową dominację Tathala z dwudziestego szóstego snu, stosując tę zdolność przeciwko wykręcającemu się umysłowi Kleryka. – To ja doprowadziłam was do bariery. To ja wezwałam Władcę Niebios. To ja wiodę was do Querencii. Czyż tak nie jest?

– Tak – zbulgotał Ethan.

– I jesteś wdzięczny za ten akt bezinteresownej hojności, prawda?

– Tak.

– Jak mógłbyś nie kochać osoby, która w końcu umożliwiła przeżywanie snu?

– Nie mógłbym.

– Kochasz mnie, Ethanie? Ufasz mi?

– Tak. O, tak.

– Dziękuję ci, Ethanie, z głębi serca. – Opuściła go ostrożnie na podłogę i miło uśmiechnęła się do swej zdumionej publiczności.

– Eks-Konserwator chyba potknął się z tego całego podniecenia. Zaprowadźcie go, proszę, do ambulatorium.

Taranse nerwowo skinął głową i ukląkł, by pomóc Ethanowi. Z pomocą Darraklana postawili go na nogi między sobą.

Araminta, ponieważ nie mogła okazać słabości, patrzyła na nich z obojętnym uśmiechem. Daleko, na „Odkupieniu Mellanie”, Araminta-dwa rzygał flakami z powodu okrucieństwa, które właśnie popełnił.

– Śniąca, spójrz – zadziwiony Rincenso wskazywał przód pokładu obserwacyjnego.

Po drugiej stronie przezroczystej ściany stado Władców Niebios zbliżało się do floty pielgrzymów. Mimo lęku i wstrętu, jaki odczuwała do tych stworzeń, wydawali jej się wspaniali, kiedy wypływali na tle rzadkich gwiazd.

Gdy tylko granica się za nimi zamknęła, Ilanthe kazała „statkowi” otworzyć wrota ładowni. Czuła, jak zdolności właściwe dla materii Pustki przenikają rdzeń inwersji. To, co zwierzęcy ludzie na Querencii opisywali jako dalwzrok, pozwalało jej umysłowi badać materię bezpośrednio, planować skutek, jaki jej myśli na nią wywierają, planować zmiany i reakcje, które niosły ze sobą. Ta symbioza fascynowała – Ilanthe już dowiedziała się więcej niż po stuleciu zdalnej analizy głupich snów Iniga. Kwantowa architektura Pustki diametralnie się różniła od struktury zewnętrznego wszechświata. Miała jednak tragiczną wadę – wymagała energii z zewnątrz do utrzymania nawet swego podstawowego stanu. Kiedy aktywowano funkcje zawarte w jej nadzwyczajnie złożonych polach kwantowych, poziomy konsumowanej energii były o wiele większe, niż Ilanthe oczekiwała.

– Przepowiadacze katastrofy mieli rację – powiedziała Neskii. – Pielgrzymkowe zwierzęta zlikwidowałyby Galaktykę swoimi żądaniami resetu.

– Zapobiegiesz temu? – spytała Neskia.

Ilanthe z dystansem oglądała, jak troska wiruje w umyśle jej

skądinał wiernego pracownika. Nawet Elewata tak postępowego i złożonego jak Neskia zdradzały pozostałości zwierzęcych emocji.

– Mój sukces spowoduje, że ten problem przestanie być istotny.

Ilanthe obserwowała zbliżające się stado Władców Niebios. Stworzenia wielkości góry rozpostarły szeroko swe opalizujące skrzydła próżniowe. Przyśpieszając w kierunku floty, rozpraszały się szybko na tle rozrzuconych nielicznych gwiazd. Pełgające, skręcone włókna mgławic, zniekształcone dziwacznym soczewkowym efektem skrzydeł Władców, migotały i przesuwwały się niczym niebiańskie płomienie. Ilanthe badała prawdziwą funkcję tych skrzydeł, to, jak zakorzeniały się w materii Pustki, manipulując lokalną grawitacją i przepływami czasu. System napędu o wiele subtelniejszy niż prymitywna zdolność „telekinezy” polegająca na manipulacji położeniem masy. I wymagający mniej energii, zauważyła z aprobatą.

Kiedy jej myśli spróbowały skopiować tę samą interakcję z materią Pustki, jakiegoś aspektu jednak brakowało. Wobec tego zażyczyła sobie wzniesienia na zewnątrz w kosmos, wykorzystując tę samą technikę, którą potomkowie Edearda wykorzystywali w Ostatnim Śnie. Rdzeń inwersji natychmiast odleciał od „statku”. Metoda zadziałała, co satysfakcjonowało, ale brakowało jej elegancji i możliwości Władców Niebios.

Ilanthe poczuła, że postrzeganie Władców Niebios skupiło się na rdzeniu inwersji. Stworzenia próbowały zrozumieć, czym jest. Myślami stworzyła doskonałą tarczę wokół skorupy rdzenia, blokując ich sondowanie.

– Pozdrowienia – powiedziała obojętnie do najbliższego Władcy Niebios i zaczęła ku niemu przyśpieszać.

Dzięki własnej zdolności postrzegania słyszała, jak Araminta i kilkoro innych z Floty Pielgrzymki gorączkowo nawołują Władców Niebios do ostrożności, twierdząc, że Ilanthe jest niebezpieczna. Ich odpowiedzi okazały się interesujące, odsłaniały całkowity brak racjonalnego intelektu. Władcy unikali tego tematu. Wydawało się, że nie rozumieją znaczenia kryjącego się pod pojęciami. To nie należało do ich świata, dlatego ich

mentalne słownictwo nie przyswajało takich rzeczy. Albo były to sztuczne konstrukcje zaprojektowane przez jądro do specjalnego zadania zbierania dojrzałych umysłów, albo kiedyś były to rozumne kosmiczne istoty, które cofnęły się w rozwoju w ciągu niezliczonych tysiącleci uwięzienia. Nie mając już nowych doświadczeń wewnątrz Pustki, żadnych wyzwań, by się z nimi zmagać, ich umysły skurczyły się do instynktownych reakcji.

- Jestem spełniona – powiedziała Ilanthe Władcy Niebios, kiedy zbliżyła się do niego. – Proszę, zabierz mnie do Serca.

- Nie wiem, czy jesteś spełniona – odrzekł Władca Niebios. – Jesteś dla mnie zamknięta. Otwórz się.

Niepewne kosmyki kolorowych skrzydeł próżniowych przepływały wokół rdzenia inwersji, kiedy sunął ku połyskującemu, krystalicznemu ciału Władcy. Ilanthe postrzegała teksturę jego dziwnie zniekształconej geometrii, rodzaj struktury plastra miodu ze zwykłej materii i czegoś podobnego do sił egzotycznych. Oba komponenty znajdowały się w ciągłym przepływie, co dawało wyraźną niestabilność powierzchniową. Struktura intrygowała. Choć subtelnie złożone, myśli, które tę strukturę ożywiały, były niewydolne. Determinacja Ilanthe, wzmocniona neuralnymi ścieżkami dostępnymi w rdzeniu inwersji, była o wiele mocniejsza.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś stworzył się przede mną – powiedziała mu.

- Niczego nie ukrywam.

- Ależ tak, ukrywasz.

Wsunęła swoje utwardzone, celowe myśli pomiędzy czyste i proste podprogramy Władcy. Miłośnie owijała się wokół nich. Mocno chwyciła.

- Co robisz? – spytał.

Zdławiła jego konfuzję, tłumiąc jego głębokie instynkty, by ułatwić działanie aplikacji, które zabiorą go daleko od tego miejsca.

- Twoje wtargnięcie nie pozwala mi funkcjonować. Psuję się po kawałku. Wycofaj się.

- Pomagam ci stać się czymś o wiele większym. Razem jesteśmy

synergiczni – obiecała. – Zaprowadzę cię na szczyt spełnienia.

A potem rozpoczęła ucztę.

– Kończę się – oznajmił Władca Niebios.

– Stop! – krzyknęła Araminta. – Zabijasz go.

– Nie nauczyłaś się niczego o Pustce? – odparła Ilanthe.

Mroczne widma wślizgnęły się między radosne iskry próżniowych skrzydeł Władcy, mnożyły się i rozprzestrzeniały. Rozciągnięty obłok cząstek, który tworzył fizyczny aspekt skrzydeł, rozpękł się, ciemne mroźne drobiny rozproszyły się w przestrzeni niczym burza czarnego śniegu. Teraz ciemne płomienie drżały na rozedrganej, wielorakiej powierzchni Władcy, wgrzyzały się do wnętrza.

Przeskakując lukę w przestrzeni, wszystko wlewało się teraz do rdzenia inwersji. Taka ekstyrpacja pozwoliła Ilanthe ować zdolnościami i wiedzą gatunku Władców.

W tej chwili prawie żałowała, że nie zachowała ludzkiej twarzy. Ależ by się teraz uśmiechała! Obżarta i wzbogacona esencją Władcy Niebios, z niemal absolutnym władztwem nad tym dziwnym kontinuum. Manipulacja funkcjami zaczęła scalać się z jej osobowością na poziomie instynktownym. Słyszała zew mgławic, transwymiarowych punktów odpływu racjonalności, przepychających się skrętnie przez kwantowe pola Pustki, łapczywie szukających inteligencji z obietnicą wzniesienia się do czegoś większego, jeszcze niedostrzegalnego. To musiało prowadzić do nadrzędnej świadomości, wiedziała o tym. Do samego Serca. Z tego jądra można kierować wszystkim.

Lokalną przestrzeń zalewały rozpacz i odraza po zgonie Władcy Niebios.

– Wkrótce będziecie mi dziękować – poinformowała nic nieznaczące ludzkie umysły.

Jeden z nich różnił się od innych. Mała jej część rozpoznała Śniącą Aramintę, której myśli wyciągały się jakoś w dal, nie wykorzystując materii Pustki. Nie miało to znaczenia.

Jeszcze raz myśli Ilanthe wpłynęły do wzorca, by manipulować temporalnymi i grawitonicznymi funkcjami Pustki, tym razem prawidłowo. Szeroki obszar wokół rdzenia inwersji zaczął się

iskrzyć, kiedy otaczający pył został schwytyany w wywołane zjawisko. Pył dryfował w światłocieniowych spiralach. Ilanthe mocno przyśpieszała, jednocześnie neutralizując przepływ temporalny wokół skorupy rdzenia inwersji. Flota Pielgrzymki w ciągu sekund skurczyła się do nicości, a Ilanthe osiągnęła dziewięć dziesiątych prędkości światła. Przed nią syreni śpiew mgławicy, którą ludzie na Querencii ochrztili Morzem Odyna, stał się dostrzegalnie silniejszy.

Araminta nie drgnęła podczas tego całego okrucieństwa, które działo się niecałe dziesięć kilometrów od „Światła Pani”, a ona nie mogła z tym absolutnie nic zrobić. Widziała, jak próżniowe skrzydła Władcy Niebios przygasają do kruchej szarej karykatury swej poprzedniej wspaniałości, a potem nawet to wątłe światło zostało zduszone. Cały czas w jej umyśle rozbrzmiewała żałosna dezorientacja Władcy.

To było nie do zniesienia. Spod jej słonecznych okularów popłynęły łzy.

– Ja jestem za to odpowiedzialna, ja przywiozłam tu tego potwora.

– Nie – zapewnił ją Aaron. – Zostałaś zmanipulowana przez Ilanthe, tak jak my wszyscy. Nie jesteś winna.

– Ależ jestem – szepnęła Araminta.

– Śniąca, to nie twoja wina – powiedział poważnie Darraklan. – To Ethan uległ słodkim obietnicom tej rzeczy. Ona go skorumpowała. Jesteś bez winy. Po prostu wypełniłaś swe przeznaczenie.

Na zewnątrz, za pokładem obserwacyjnym, pozostali Władcy Niebios powoli krążyli wokół zimnej skorupy swego zmarłego krewniaka. Czują ich żałobne myśli, kiedy przeczesywali przestrzeń, szukając jego duszy. Jednakże Ilanthe wchłonęła wszystkie aspekty Władcy, niczego nie zostawiła.

– Tak mi przykro – rzekła Araminta zrozpaczonym Władcom.

– Nie ma go – nadeszła chóralna żałobna odpowiedź. – Naszego krewnego nie ma. Nie poszedł do Serca. Inny go skończył.

Czemu?

– Inny jest niespełniony i zły – wyjaśniła im Araminta. – To właśnie przynosimy, gdziekolwiek się udajemy.

Władcy Niebios odskoczyli w tył.

– Potrzebujemy ich – powiedział przestraszony Rincenso. – Śniąca, proszę. Flota teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje przewodnictwa.

– To koniec. – Głos jej się rwał. – Ethan miał słuszność – nie wierzę. Ponadto to już nie ma znaczenia. Inigo to zaczął i to zakończy. Przynajmniej ja uważam, że tak powinno być.

Araminta-dwa spojrział na Aarona, szukając poparcia, ale ten gniewnie pokręcił głową.

– Co takiego? – zaprotestowała Araminta. – To wielki i wspaniały plan, prawda?

– Flota nie jest częścią planu – stwierdził Aaron.

– Przeprowadziłam ją bezpiecznie przez barierę. To wszystko. Tyle tylko obiecywałam.

– Weź Władców Niebios do pomocy – rozkazał Aaron. – No, nie rezygnuj teraz.

– Pomocy w czym? – spytał Araminta-dwa. – Jesteśmy niemal przy Querencji. Nic więcej się nie liczy. Nie potrzebujecie mnie teraz, a ja nigdy nie potrzebowałam floty.

– Mówiłeś o odpowiedzialności – odparł Aaron. – Te miliony durnych wyznawców Żywego Snu powierzyło tobie swe życie.

– Czekanie w kosmosie im nie zaszkodzi. To nie potrwa długo. Mimo wszystko to zaraz się skończy.

– A jeśli się nie skończy tak, jak byśmy chcieli?

Z drugiej strony ciasnej kabiny „Odkupienia Mellanie” Araminta-dwa spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Ty to mówisz? Ty masz wątpliwości?

– Zawsze wiedziałem, co muszę zrobić, nawet jeśli nie wiedziałem dlaczego. To wygodne. – Twarz wykrzywiło mu cierpienie. – Przypomniłam sobie teraz zbyt wiele o niej i teraz mnie to zżera. Uwolniły się wspomnienia nocy i opuszczenia. Ona rozkwita, żywiąc się nimi. Muszę znowu pozbyć się tej wiedzy. Muszę być wolny, muszę być czysty. Albo martwy. W tej chwili

przyjąłbym śmierć z zadowoleniem. Ty, Corrie-Lyn, Inigo, inni, wszyscy twierdziliście, że muszę się odnaleźć, być wiernym sobie. Nie jestem. Nie mogę być. Muszę być, tym, co mi podarowano w zamian za nowe życie. To jestem ja. A żadne z was tego nie akceptuje.

– Ale...

– Sprawy idą źle! – Aaron niemal krzyczał.

Tego właśnie Araminta stale obawiała się od chwili, gdy Corrie-Lyn opowiedziała jej o niemal zupełnym załamaniu Aarona w przestrzeni mentalnej. To on zgromadził ich razem i niez mordowanie pchał w Pustkę z powodu jakiegoś planu stworzonego przez jego mocodawców. Wiedział, co robić. Choć jego wiara w to zadanie była sztuczna, zagarnął ich ze sobą. I oto tu byli, niemal na wyciągnięcie ręki od wyznaczonego celu, a on całkowicie się załamuje z powodu własnej historii i wątpliwości przez nią zasiewanych.

– Porozmawiam z Władcami Niebios – powiedział poważnie Araminta-dwa. – Naprawię to. Flota Pielgrzymki wylądaje na Querencii. Będą bezpieczni.

Aaron skinął głową, krzywiąc się.

– Dzięki.

W myślach Darraklana pojawiło się podniecenie. Patrzył z zaciekawieniem na Aramintę. Zdała sobie sprawę, że część sugestii Aarona mogła wyciec spod jej tarczy.

– Śniąca? – To było niemal błaganie. Jak oni wszyscy zainwestował w nią wszystko, co miał.

– W porządku – powiedziała Araminta i wyciągnęła dłoń, by jej dotknął. – Porozmawiam z Władcami Niebios. Doprowadzę nas do Makkathranu. – Odwróciła się znowu do przezroczystej ściany pokładu obserwacyjnego i skupiła na pograżonych w żałobie władcach. – Szukamy spełnienia – oznajmiła im spokojnie. – Szukamy przewodnictwa.

Wszędzie panował spokój. To niedobrze.

Dostawca chciał jakiegoś dowodu, że prawdziwe jest to

niewyobrażalne nuklearne piekło, które szalało zaledwie dwadzieścia metrów od miejsca w kabinie „Ostatniego Wyskoku”, gdzie siedział.

– To cię naprawdę niepokoi – powiedział Gore przez kanał transwymiarowy. – Twoje emocje pobudzają gajaserę. Może byś posłuchał jakiejś kojącej muzyki.

– ODPIEPRZ SIĘ.

I nadal „Ostatni Wyskok” pozostawał zupełnie spokojny. Dostawca rozpaczliwie pragnął dowodu, że naprawdę opuszcza się w fotosferę gwiazdy średniej wielkości. Nie żeby wielkość gwiazdy w tych okolicznościach miała jakiegokolwiek znaczenie. Trochę wstrząsów by nie zaszkodziło. Może od czasu do czasu skrzypnięcie naprężonej konstrukcji. I ciepło. Doprawdy w kabinie powinno być bardzo, bardzo nieprzyjemnie gorąco.

Nie było na to szans. Hiperwzmocnione pola siłowe owijające kokonem statek albo będą działały, albo nie. Żadnych stanów pośrednich. Dostawca bohatercko by je przetrwał, zaciskając zęby i znosząc drobne niewygody. I przecież zawsze mógłby z łatwością pocieszyć się odświeżającym prysznicem sporowym, czy uciąć sobie małą drzemkę w sypialni statku. Ależ to doskonały pomysł, właśnie tak zrobię!

„Ostatni Wyskok” kierował się wyłącznie hiperradarem. Inne czujniki nie miały najmniejszego zastosowania. Nie mogłyby nawet sterczeć z ultrasrebrnej stuprocentowo odbijającej powierzchni najbardziej zewnętrznego pola siłowego. Nic materialnego nie zdołałoby przetrwać plazmy fotosfery.

Czyli tylko hiperradar. Displej egzowizji pokazywał fotosferowe makrohuragany szalejące wokół statku, cząsteczkowe sztormy tak straszne i wielkie, że ich skręty i przypiły stawały się przewidywalne. Smartkor mógł wobec tego śledzić i przewidywać wektory uderzeń szkwałów magnetosfery oraz gwałtowne zmiany gęstości ośrodka wokół nich, pozwalając jednostkom regrawu i ingrawu kompensować te zjawiska i utrzymywać statek na kursie.

Schodzili pionowo w dół, przemieszczając się przez kanonadę uciekającej plazmy ku syfonowi – obecnie trzy tysiące

kilometrów poniżej „Ostatniego Wysoku” – zanurzonego w strefie konwektywnej, gdzie temperatura przewyższała dwa miliony stopni Celsjusza, a gęstość ośrodka wynosiła tylko jedną dziesiątą gęstości wody. I życie stanie się ekstremalnie niebezpieczne, ponieważ, jak ze złośliwą satysfakcją zauważył Gore, fotosfera to jedynie rozgrzewka. Dostawca ciągle nie wiedział, jak traktować to poczucie humoru.

Myślamy trzymał się talizmanu – programu „Gwiazdny Nurek”, który przez wieki osiągnął pewne sukcesy. Sondy „Gwiazdny Nurka” nie były wprawdzie najbardziej regularnymi misjami Agencji Astronomicznej Wielkiej Wspólnoty. Osłona z klejonej hiperprzestrzeni, udoskonalana dla programu przez ponad osiemset lat, ledwo gwarantowała sukces po wejściu do strefy konwektywnej.

Dostawca wolałby odbyć najpierw kilka lotów próbnych, każdy następny nurkujący nieco głębiej od poprzedniego, naukowo przeanalizować wyniki, zobaczyć skuteczność działania generatorów rozciągniętego pola siłowego. Pobór mocy. Tolerancja energetyczna. Odporność na ciśnienie. Uskoki hiperprzestrzeni. Ale nie...

– To albo zadziała, albo nie – powiedział Gore. – Nie ma tu nic połowicznego.

Należało jednak być ostrożnym. Dostawca przyjął do wiadomości argumenty Gore’a. Przyznawał, że nie warto dodatkowo pobudzać ciekawości śledzącego ich statku. Żaden Progresywista nie pozwoliłby na akcję powstrzymania Ilanthe w jej próbie fuzji z Pustką.

Dwa i pół tysiąca kilometrów.

Dostawca wystartował pięć godzin po ostatnim śnie Justine i nie zrozumiał, co w posągu Pani okazało się tak niesamowicie zabawne. Gore – oczywiście! – uśmiechnął się z samozadowoleniem, powiedział: „Któżby się spodziewał?” i zniknął.

Obydwoje wiedzieli zatem, kim ona była. Bez wątplenia jakąś postacią z zamierzchłej historii.

– Jak ci idzie infiltracja? – spytał Dostawca.

- Wszystko ustawione - odparł Gore. - Nie zacznę rzeczywistego fizycznego procesu, dopóki nie zapewnisz sterowania syfonem.

- Co z tego rozumie Tyzak?

- Dla niego to po prostu jeszcze jeden system czujnikowy.

- Może powie mu prawdę?

- Synu, robimy, co musimy, by chronić nasz gatunek - i jego. On robi, co musi, by zagwarantować sobie swój sposób życia. To nie są negocjacje dyplomatyczne w celu znalezienia wspólnego stanowiska. Tak nas genetycznie skonstruowano, byśmy byli, czym jesteśmy. Akurat teraz nie mamy wspólnego celu. Kurwa, wielka szkoda, ale tak się właśnie sprawy mają.

- Wiem. Miałem nadzieję, że spotkanie z Justine wpłynie na zmianę jego stanowiska. Gdyby mógł zrozumieć nasze wyzwania.

- Na tym właśnie to polega: on rozumie. Ale to nie znaczy, że może się zmienić w stopniu, jaki jest nam potrzebny, i z pewnością nie w czasie, którym dysponujemy.

- Wiem. Naprawdę powiesz mi, kim jest Pani?

- To nie ma związku z obecną sytuacją. Ponadto to cię rozprasza.

- Taa, prawda.

„Ostatni Wyskok” znajdował się obecnie trzysta kilometrów nad powierzchnią strefy konwektywnej. Pobór mocy wzrastał, w miarę jak napęd walczył z monstrualnymi przyływami plazmy pędzącej wzdłuż łopoczących linii pola magnetycznego, starając się utrzymać statek w pozycji stabilnej. Własne ciężenie gwiazdy również było problemem. Statek zaopatrzone w pięć dodatkowych jednostek ingrawu, których jedynym celem była neutralizacja strasznej miążdżącej siły. Działały one teraz z maksymalnym obciążeniem. Gdyby jedna z nich zawiodła nawet na sekundę, Dostawca stałby się grubą na molekułę kałużą z krwi i mięsa.

- Oto jest.

Dostawca przygotował się, kiedy „Ostatni Wyskok” zbliżał się do strefy konwektywnej. Nie miała ona ściśle określonej granicy. Fotosfera po prostu stała się gorętsza i odpowiednio zmieniała się

jej gęstość.

Ultranapęd „Ostatniego Wysoku” włączył się, kiedy temperatura otoczenia podniosła się znacznie ponad względny chłód fotosfery. Wyrzucał nadmiar energii z pól siłowych w hiperprzestrzeń. Szybkość procesu wzrastała niemal wykładniczo. Inżynierowie „Gwiezdnego Nurka” w krótkim czasie zrozumieli, że połączenie rozpraszania energii przez pola siłowe z egzotycznym komponentem jest jedynym sposobem radzenia sobie z obciążeniem powodowanym tak ogromną temperaturą.

– Trzyma się – powiedział zaskoczony Dostawca, kiedy statek rozpoczął schodzenie przez strefę konwektywną.

Teraz największe niebezpieczeństwo stanowiła granulacja, której bąble rozkwiatały na tysiąc kilometrów niemal bez ostrzeżenia i pędziły ku fotosferze. Jednym z głównych celów sond „Gwiezdnego Nurka” było badanie czynników, wpływających na ich dojrzewanie. Nawet teraz, po stuleciach badań i obserwacji, przewidywanie tych zjawisk było nauką bardzo mało ścisłą.

– Dzielny chłopak – rzekł spokojnie Gore. – Tak trzymać.

– Dobrze.

Dostawca dygotał. Przetarł czoło dłonią, przerażony ilością zebranego tam potu, a potem kazał swojej biononice zainicjować eliminator adrenaliny. Musiał się skupić, a strach obniżał zdolność jasnego myślenia. Taa, jakby pozostanie trzeźwym i czujnym w czymś pomagało. Jedna usterka systemu, jeden niepewny składnik, jedna źle napisana linia programu i wszystko się skończy w mikrosekundę. Przynajmniej nie dowiem się o tym. Póki mnie nie ożywią. Tylko i tak mnie nie ożywią, ponieważ, według Gore’a, to jest właśnie ostatnia szansa Galaktyki. Cholera, tęsknię za dziećmi.

Tym razem wilgoć na policzkach nie pochodziła z czoła.

– Więc, jak ci się wydaje, kiedy Inigo dotrze do Makkathranu? – spytał, aby oderwać myśli od śmierci, która z pewnością za chwilę uderzy. Nadal był zdumiony wiadomością przekazaną Gore’owi przez Paulę Myo, że Inigo, dziwaczna duo-mnoga

Araminta i zespół jej agentów jakoś wyprzedzili statkiem Trobluma Flotę Pielgrzymki.

– Wkrótce, synu. Nim się spostrzeżesz, wydostaniesz się stamtąd i będziesz przy swoich dziewczynkach.

– Taa, z pewnością.

Świadomość, że robi coś, by pomóc Lizzie i dzieciom, była teraz jego jedyną satysfakcją. Z drugiej strony byłoby straszne tkwić wewnątrz bariery solarnej razem z nimi, nie wiedząc, co się dzieje na zewnątrz, czy jest jakaś nadzieja. Niewiele, lecz wystarczy, tak obiecał rodzinie. Gore dokonał niemałego cudu, uzyskując pomoc Iniga. Dzięki temu Dostawca przekonał sam siebie, że istnieje szansa. Bardzo mała, ale realna. Teraz musiał tylko załatwić spotkanie z syfonem.

Jeszcze pięćdziesiąt minut manewrowania przez makroprzypływy zabójczego środowiska strefy konwektywnej i pięćdziesięciokilometrowy krąg syfonowego pola siłowego znalazł się dokładnie pod „Ostatnim Wyskokiem”. Hiperradar ukazywał strumień wodoru podgrzanego do dwóch milionów stopni, przelewający się przez krawędź pola. Dostawca prowadził statek nad zakrzywioną górną powierzchnią gigantycznej soczewki siłowej, a potem powoli w dół, aż nos dotknął krawędzi.

– Tu właśnie jest słaby punkt – powiedział Gore. – Pokaż, co potrafisz.

„Ostatni Wyskok” posuwał się naprzód, aż jego pole siłowe rzeczywiście dotknęło pola ochronnego wokół syfonu. Wtedy właśnie Dostawca w końcu poczuł jakieś fizyczne aspekty lotu. Kiedy statek został złapany między pole siłowe i mknącą obok plazmę, w kabinie rozbrzmiało niskie dudnienie. Dostawca poczuł drgania pokładu i uśmiechnął się niewyraźnie. Może mimo wszystko spokój był lepszy.

Czujniki ledwo zdołały przeskanować półprzepuszczalny segment pola siłowego, do którego statek był dociskany. Smartkor próbował sondować kwantową sygnaturę syfonu, śledząc widmowe zarysy gigantycznego generatora skrywanego wewnątrz pola siłowego. Mapa jego struktury powstawała

powoli. W końcu stała się wystarczająco dokładna, by Dostawca mógł rozpocząć etap drugi.

„Ostatni Wyskok” zaktywował kilka kanałów transwymiarowych, skierowanych z imponującą dokładnością na sieć sterowania syfonem. Stworzono połączenia niskiego poziomu i zainicjowano analizę oprogramowania.

– To nie jest ten sam rodzaj półrozumności, która steruje mechanizmami transcendencji – zameldował Dostawca. – Przypomina raczej programy rozłożonej SI, chociaż paralele z genetycznym oprogramowaniem Wspólnoty są nikłe.

– Czy można je zhakować?

– Jest tu mnóstwo zabezpieczeń, łącznie z możliwością przełączenia na zewnętrzne sterowanie ręczne, ale smartkor mówi, że ma kilka pakietów infiltrujących, które powinny zadziałać.

– Uruchom je.

To Gore. Z taką właśnie myślą Oscar się zbudził. Pokrywa medycznej kapsuły cofnęła się, ukazując zamazaną postać patrzącą na niego w przyćmionym zielonkawym świetle ładowni. Gore spodziewa się, że ktoś dołączy do Justine i właśnie do tego dąży Aaron. To Gore steruje Aaronem.

Twarz nad nim wyostrzyła się w oblicze Araminty-dwa, którego umysł był bardzo podniecony.

– To Gore – wychrypiał Oscar. Po stazie miał sztywne mięśnie i zenująco pełny pęcherz.

– Co Gore? – spytał Araminta-dwa.

– Mocodawca Aarona, albo przynajmniej jeden z nich.

– Och. Masz na myśli, że to dlatego, że kieruje wszystkich do Makkathranu? Taa, doszedłem do tego przed kilkoma miesiącami. Nawet Aaron się z tym zgodził.

– Ach. Dobrze. Muszę się wysikać.

Oscar uniósł się na łokciach do postawy wyprostowanej i niemal walnął głową w sufit przedniej ładowni. Między okazałymi szafkami medycznymi pozostawało mało miejsca.

Oscar zobaczył, że trzy z nich są już puste.

Myślałem, że to ja wyjdę jako pierwszy.

– Wszystko w porządku?

– Mniej więcej – odparł Araminta-dwa bardzo pośepnie.

Oscar przyjrzał mu się dokładniej. Śniący miał na sobie workowatą niebieską koszulkę i szarozielone spodnie uszyte ze sporym zapasem tkaniny. Przez chwilę Oscar myślał, że włożył na siebie stare ubranie Trobluma, a potem zorientował się, że to styl rozmyślnie kobiecy.

– Co się dzieje? Czy przybyliśmy?

– Nasz Władca Niebios hamuje, wprowadza nas na orbitę Querencii. Troblum już wykrył radiolatarnię „Silverbirda”, wiemy więc, gdzie jest Makkathran. Nie potrzebujemy orbit obserwacyjnych.

– To dobrze. – Naprawdę musiał pójść do toalety.

– Aaron ledwie się trzyma – wyrwało się Aramincie-dwa.

– Czemu?

– Jego wspomnienia o Kotce wrywają się na zewnątrz. Śpi coraz dłużej, dręczą go koszmary. Wczoraj był przytomny jedynie przez pięć godzin. A jego ciało wykazuje jakiś rodzaj reakcji psychosomatycznej, myślę że wzmocnionej przez zdolności mentalne.

– O, cholera.

Oscar zgarbił się i ruszył schodnią do kabiny głównej. Jego u-adiunkt połączył go ze smartkorem i displej w egzowizji ukazał mu planetę, rozszerzającą się dość szybko, w miarę jak hamowali, wchodząc na orbitę.

Odległa o siedemdziesiąt trzy minuty? I podróżowaliśmy trzy i pół miesiąca. Nieźle.

Dotarł do kabiny, gdzie czekali na niego Inigo, Corrie-Lyn i Tomansio.

– Muszę iść. – Wskazał nerwowo kabinę łazienkową. Pomachali, ofiarowując współczujące myśli.

Właśnie zapinał spodnie, kiedy zaatakował go potop wrażeń zmysłowych; obce myśli wcinające się czysto przez jego podstawową tarczę mentalną, niosące światło przyprawiające o

zawrót głowy, uczucia, dźwięk, smak, połączone z pierwotnym strachem, który sparaliżował mu dłonie i cisnął w życie kogoś innego.

To był bajeczny urlop. Wieczorem wynajęli łódź turystyczną, jedną z setek przycumowanych przy przystaniach w Tridelta City, i ruszyli w górę rzeki Dongara na nocną imprezę ze spektaklem tubylców. Rdzenna bioluminescencyjna roślinność planety zachwycała, żarząc się żywymi barwami na tle mrocznego nieba. A salony na łodzi oferowały mnóstwo szalonej zabawy, i nawet najbardziej zblazowani pasażerowie byli pod wrażeniem.

Wysiedli o świcie i poszli do hotelu na szczycie starej Wieży Kinoki, trzy kilometry nad błotnistymi wodami rzek opływających miejskie ostrogi. Dzień spędzili na jedzeniu, spaniu i dzikim seksie. Kotka nie miała zahamowań; dodatkowy powód, że ją tak kochał. Prowokująca i śmiała wymęczyła go i ciągle chciała więcej, mówiąc mu, czego oczekuje po jego biednym starym cielem.

– Pozwól mi na jedną małą przerwę.

Zaśmiał się i sięgnął po nieco schłodzonego wina. Ale butelka, kopnięta, leżała na boku. Popatrzył na nią przygnębiony i kazał swemu u-adiunktowi połączyć się z...

Kotka przetoczyła go na plecy i siadła na nim okrakiem. Radosna zwycięska mina rozjaśniła jej słodką twarz.

– Zła odpowiedź – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Dłonią objęła jego przegub, palce parzyły mu skórę. Wrzasnął, a spalone ciało przyspawało się do materaca. Złapała jego drugą dłoń i opaliła ją również.

– Nikt mi nie odmawia – poinformowała go.

Znowu wrzasnął, kiedy rozsunęła mu nogi, tak że włókniste resztki jego własnego, tłącego się ciała utrzymywały go nieruchomo. A potem dłońmi zręcznie głaskała go po torsie. Usztywniła palce i dźgnęła nimi w dół, jak nożem. Kości trzasnęły, a w głębokich dziurach wezbrała krew.

– Kiedy nie będzie już twego ciała, zabiorę ci umysł, a w końcu duszę – obiecała.

Wrzeszczał i wrzeszczał, z całej siły wykręcał się, by uciec, wyzwolić się...

– Cholera! – Oscar rzucił się do tyłu i walnął skronią o ściankę niewielkiego przedziału. – Au! – Przycisnął dłoń do powstającego siniaka, a biononika śpieszyła z pomocą uszkodzonemu ciału. Wtedy zobaczył czerwone znaki wokół przegubu. Spoglądał na nie wstrząśnięty. Miały identyczny kształt jak obrażenie, która Kotka zadała Aaronowi we śnie. – Do diabła. – Pokuśtykał na zewnątrz do głównej kabiny. Trzymał ręce w górze i z niedowierzaniem pokazywał kolegom swe rany.

– Taa! – powiedział bezlitośnie Tomansio. – Musisz się tego wystrzeżać. Mnie dopadł pół godziny temu. Pokładam tylko wiarę w Ozziem, że nie są to prawdziwe wspomnienia.

W kabinie rozległ się stłumiony krzyk. Wszyscy spojrzeli na zamknięte drzwi przedziału sypialnego, gdzie Aaron walczył z własnym umysłem.

– Nie można go obudzić?

Oscar miał najsilniejszą tarczę, jaką mógł wytworzyć, a mimi to czuł koszmar wylewający się z umysłu śpiącego mężczyzny.

– Raz tego spróbowaliśmy z Troblumem – powiedział Araminta-dwa. – Nigdy więcej. Na szczęście moja trzecia ręka jest silniejsza niż jego. – Uśmiechnął się nerwowo. – Prawdę mówiąc, to właśnie dzięki Aaronowi trenowałem i rozwinąłem swoje zdolności.

– Tracimy go – powiedział Inigo – A jeśli go stracimy...

– Nie. Nie stracimy go, nie dla niej. Dopóki nie dotrzemy do Makkathranu. On jest silniejszy od tego. Wiem – zapewniła ich Corrie-Lyn.

– Taa, ale coś takiego? – Tomansio wskazał przedział sypialny.

– Niecałe dwie godziny i będziemy spacerować po ulicach Makkathranu- odparła Corrie-Lyn. – Jego podświadomość wie o tym.

– To jego podświadomość stanowi problem – szepnął ponuro Oscar. – Gdzie jest Troblum?

– Tam, gdzie był przez większość lotu – powiedział wyniośle Araminta-dwa. – W swoim przedziale sypialnym.

– On też ma problemy? – Pytanie zabrzmiało, zanim Oscar naprawdę zdał sobie sprawę, o co pyta.

Błysk rozbawienia połączony z łagodnym poczuciem winy zamigotał w kabinie, przelotny serdeczny kontakt, współdzielony po równo przez wszystkich.

– W porządku. – Oscar bardzo się starał, by żadne myśli nie powędrowały w stronę przedziału wielkiego mężczyzny. – Dlaczego?

– Nie chciałbym zgadywać, ale ma ze sobą projektor solido.

– Oj, to musiała być dla was wspianała podróż.

– Cudowna – przyznał Araminta-dwa. – Niemal żałowałem, że nie jestem na „Świetle Pani”.

– Czy Flota Pielgrzymki przedostała się do wnętrza?

– Tak, mniej więcej tydzień temu. Później miałem nieco kłopotów z Ethanem, ale teraz to sprawa załatwiona.

Oscar był ciekaw, ale instynkt kazał mu się powstrzymać od pytań.

– A Ilanthe?

– Och, tak, to jest tutaj. Zabiła Władcę Niebios i skonsumowała jego zdolności.

– Jezu. Więc gdzie jest teraz?

– Inni Władcy Niebios powiadają, że jest w drodze do Serca.

Oscar niemal żałował, że nie pozostawiono go w stazie.

– Obudźmy innych – powiedział.

Aaron wynurzył się ze swego przedziału sypialnego, dokładnie w chwili gdy Beckię wyjmowano z szafy medycznej. Oscar spojrzął na niego raz i głęboko westchnął. Stan Aarona był zły. Twarz wyglądała, jakby uczestniczył w kolizji kapsuł. Skórę pokrywały mu blizny i siniaki. Oczy miał przekrwione.

– Cieszę się, że cię widzę – skłamał Oscar.

Aaron spojrzął na niego ponuro.

– Gdzie jest Troblum? – Nie czekając na odpowiedź, walnął pięścią w drzwi przedziału Trobluma.

Oscar zauważył, że wszystkie palce Aarona są czarne i krwawią.

Troblum wynurzył się, rozlewając po kabinie urazę. Spojrzał na wszystkich ponuro i spuścił wzrok jak krytykowany nastolatek.

– Posadź nas na planecie – powiedział Aaron. – No, nie mamy czasu na twoje osobiste bzdety. Musisz się na tym skoncentrować. Justine przy lądowaniu napotkała pewne trudności.

– Jestem gotowy – stwierdził ponuro Troblum.

Fotele antyprzyspieszeniowe wynurzyły się z podłogi.

– Jeśli już mówimy o osobistych bzdetach... – Czy myślałeś o tym, co wylewasz w Pustkę? – spytał Tomansio neutralnym tonem.

– Co takiego? – warknął Aaron.

– Cóż, miejmy tylko nadzieję, że twoja była dziewczyna nie została zreplikowana podobnie jak Kazimir. Bardzo bym nie chciał wpaść na nią tam na dole.

Oscar zacisnął dłonie na oparciu fotela. Pierwsze bursztynowe ostrzeżenia zamigotały w jego egzowizji. Kilka systemów miało usterki. Żałował, że nie pozostawiono go w stazie aż do wylądowania, kiedy akurat te piekielne męki byłyby już poza nimi.

W mieście anominów panowało późne popołudnie i powietrze już zaczynało stygnąć. Gore wciągnął na siebie czarny kaszmirowy sweter i szedł obok systemu intruzyjnego, rozłożonego na placu niczym wielka pajęczyna. Sznurowy kleiły się i w różowożółtym świetle słonecznym połyskiwały czernią. Gore, analizując poszczególne sznurowy swymi funkcjami polowymi, wykrywał kilka niedoskonałości wśród długich łańcuchowych molekuł, splecionych razem wokół swych aktywnych włókien penetrujących. Jakość produktu okazała się wysoka, co robiło wrażenie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że konstruktorzy replikatora nigdy nie przewidywali podobnego zastosowania.

Dyskretnie spojrział na Tyzaka. Wielki, stary anomin przykucnął na tylnych nogach po drugiej stronie placu, niedaleko małego obozowiska Gore'a. Nadal nie miał pojęcia o rzeczywistym celu

tej sieci.

Chyba nieufność i podejrzliwość są mocniejsze u ludzi niż u anominów. To wstyd, ale proszę, to daje nam przewagę. A jednak... to oni stali się postfizyczni. Chociaż nie ta odmiana. Tak jakby wyhodowali z siebie dwa szczepy: przebojowców i poczciwców.

Niezła teoria. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić Tyzaka i jego gatunku osiagających stan postfizyczny.

Może to prawdziwa biologiczna ewolucja. Osiągnąć szczyt i opaść do fazy spokojnego wymierania, bez znaczenia, skoro twoje prawdziwe spełnienie wzniosło się z tego wszechświata. Może czasoprzestrzeń nie ma innego celu niż być zarodkiem rozumności.

Myślał o wykrytych przez statki badawcze gatunkach, które zeszły ze szczytów wiedzy i intelektu, nie wykonując skoku do postaci postfizycznej. Nie mógł sobie przypomnieć dokładnie ich liczby, ale chyba nie było ich zbyt wiele.

Coś przedarło się hałaśliwie przez czyste powietrze nad miastem, przynosząc falę radości i ulgi. Tyzak nie słyszał tego. Dlatego...

Gore uśmiechnął się z zadowoleniem. Czuł zaskakujący – jak na ciało jedynie mięsne – spokój, kiedy jego u-adiunkt otwierał połączenie do Dostawcy.

– Jak idzie?

– Dobrze, o dziwo, nadal żyję. Tutaj bez zmian. Pakiet interwencyjny załadowany. Czekam tylko na twoje słowo, by go aktywować.

– Aktywuj.

– Co takiego?

– Zainicjuj wormhol i zacznij sekwencje zasilnia syfonu. Będziemy wkrótce potrzebowali tej energii.

– O, cholera. W porządku, spróbuję.

– Dziękuję. Za wszystko. – Gore zamknął oczy, otworzył umysł i obserwował niebo.

Soniczny huk rozniósł się przez Makkathran bez ostrzeżenia. Spłoszone lokalne ptactwo krążyło po niebie, łopocząc skrzydłami. Spanikowane zwierzęta w całym mieście zaczęły nieprzyjemnie ryczeć. Justine spojrzała w górę i z wielką ulgą uśmiechnęła się szeroko. Chciała, żeby tata o tym wiedział – życzenie to wylało się z niej silnie wzmocnione mentalnymi zdolnościami danymi przez Pustkę. Zajęło to chwilę, a potem zobaczyła śnieżnobiałą smugę kondensacyjną, rysującą piękną linię prostą na turkusowym niebie. Jej ciemny koniec widniał już na morzem Lyot. Linia zaczęła zakręcać i wracać ku Makkathranowi.

– Nareszcie!

Statek zniknął za wysokim murem otaczającym ogródek na dziedzińcu rezydencji Sampalok. Justine nakazała dwóm geszympom, by nadal grabiły nową grządkę warzywną. Zabawne małe stworzenia majtały prymitywnymi narzędziami tam i z powrotem po glebie, jak im kazała. Wyrzeźbienie ich dało jej ogromną satysfakcję, choć pierwszy geszymp miał jedno ramię dłuższe niż drugie, a drugi chyba miał trudności ze słuchem.

Justine pośpieszyła na centralny plac i stanęła na specyficznym miejscu, które wykorzystywała przez ostatnie siedem tygodni.

– Zabierz mnie w dół – poprosiła miasto.

Grunt pod jej stopami zmienił się, a ona spadła przez materię miasta do tunelu podróznego pod spodem. I to było właśnie to – najbardziej satysfakcjonujące osiągnięcie chyba w całym jej życiu. Nadal nie mówiła do miasta, ani nawet nie poczuła jego pierwotnego umysłu, zakopanego czort tylko wie ile kilometrów pod budynkami i kanałami. Ale w końcu zdołała narzucić swe myśli na prostsze programy, które regulowały fundamentalne aspekty miejskiej struktury. Czymkolwiek Makkathran był w rzeczywistości, jego sieć zarządzająca była ujednorodniona. Dalwzrok pokazał jej, że elektryczność zasilala oświetlenie oraz niektóre systemy pomp. Manipulowano grawitacją, by działały tunele podrózne. Wszystko to potwierdzało początkową wiarę ogółu, że miasto przybyło spoza Pustki. Ale w dalszym ciągu nie powiedziało jej nic z tego, co chciała wiedzieć.

Opuściła się w jaskrawo iluminowany tunel podróży, wcisnęła na nos okulary słoneczne i poprosiła miasto o zabranie jej do Złotego Parku. Grawitacja zaczęła się zmieniać i Justine się pochyliła. Kiedyś się pomyliła i spadała stopami naprzód. Nie chciała powtórzyć tego błędu. Latanie głową w przód to coś zupełnie innego. Znacznie bardziej ekscytujące, niż przekazywały to sny Iniga. Wysunęła przed siebie pięści i, wykonując lotniczy korkociąg, wesoło pohukiwała.

Wynurzyła się w Złotym Parku obok jednego z białych słupów nad Kanałem Zewnętrzny Kręgu. Połączone kopuły Pałacu Sadowego lśniły wypolerowanym połyskiem. Czekwała. Po wszystkich tygodniach niecierpliwego wyczekiwania, kiedy już prawie się przygotowała, że czekać będzie dziesięciolecia, w końcu poddała się cielesnemu przyływowi niepokoju, kiedy obserwowwała pojawienie się gwiazdolotu nad dzielnicą portową. Teraz leciał znacznie wolniej, choć krańce skrzydeł nadal zostawiały niewyraźny ślad pary na bezchmurnym niebie Makkathranu. Chwileczkę... skrzydła?

Gwiazdolot zatoczył krąg nad dzielnicą Ysidro i rozpoczął ostre schodzenie. Ma takie same trudności jak wcześniej „Silverbird”, uznała Justine. Lot nie był tak stabilny, jak powinien, ponieważ Pustka powodowała usterki jednostek napędowych. Raz czy dwa Justine gwałtownie westchnęła, kiedy statek ostro zachybotał. W końcu wyskoczyły długie rozpórki lądownicze. Statek spadł ostatnie dziesięć metrów, ślizgał się po grubej warstwie traw i wreszcie zatrzymał się niecałe sto metrów od „Silverbirda”.

W środkowej części statku otworzyła się okrągła śluza, a z niej wyslizgnęły się staromodne aluminiowe schodki. Ludzie człapali w dół, emanując radością i niedowierzaniem – dalwzrok Justine rozpoznawał to z łatwością. Jej odczucia były identyczne.

Zbliżała się. Na trawie stała ich dziewiątka, zaskakująca liczba jak na tej wielkości statek, nawet jeśli korzystali za stazy. A

potem ich dalwzrok ją spostrzegł i odwrócili się do niej, żeby ją powitać, gdy podbiegała.

Powitalne okrzyki dotarły do niej, gdy dzieliło ją od nich jeszcze dwadzieścia metrów. Kilkoro entuzjastycznie machało jej rękami. Dwoje nawet ruszyło ku niej biegiem. Wszyscy radośnie się uśmiechali.

Nie wszyscy, poprawiła się i zsunęła okulary słoneczne na czoło.

Stojący z tyłu duży mężczyzna z potężną tarczą wokół myśli nie uśmiechał się. Ani drugi, który wyglądał jak po zażartej przegranej bójce ulicznej. Ale wszyscy inni byli szczerze uszczęśliwieni na jej widok i to wystarczało.

Ten z przodu rozłożył szeroko ramiona i wylewnie ją uściskał. W jego twarzy było coś dziwnie znajomego...

– Justine Burnelli! – wykrzyknął. – Minęło sporo czasu.

I ten uśmiech był tak grzesznie przekorny, że nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała również szerokim uśmiechem.

– Przepraszam. Kim...?

– Spotkaliśmy się na przyjęciu z okazji odlotu „Drugiej Szansy” – wyjaśnił z szelmowskim uśmiechem. – Oscar Monroe, przypomnij sobie.

– Och, ojej, Boże. Oscar? To naprawdę ty? Myślałam, że jesteś ciągle... To znaczy... – Wzruszyła z zakłopotaniem ramionami.

– Tak, wypuścili mnie osiemdziesiąt lat temu. Nie rozgłaszałem tego specjalnie.

– Dobrze cię widzieć, Oscarze – powiedziała szczerze. – Muszę się przyznać, że się ciebie nie spodziewałam.

– Nikt się mnie nie spodziewa. Myślę, że to całe sedno bycia mną w obecnych czasach.

Zaśmiała się, a potem spojrzała nad jego ramieniem na innych.

– Inigo, prawda?

– Taa.

Inigo nie brał udziału w uściskach. Wyciągnął formalnie dłoń. Właśnie wtedy Justine zdała sobie sprawę, że może odrobinę przesadza, odgrywając Królową Dzikiego Miasta. Miała na sobie tylko wysokie buty, małą czarną górę od bikini i rodzaj

dżinsowych szortów. Z pasa zwisały jej oścień do bydła, pistolet i maczeta. Słońce opaliło jej skórę na ciemnomiodowy kolor i jednocześnie niemal całkiem wybieliło włosy, których od przybycia tutaj nigdy nie układała. Teraz po prostu związała je z tyłu rzemykiem w luźny koński ogon. Spora zmiana jak na kogoś, kto na początku dwudziestego pierwszego wieku wydawał rocznie sto tysięcy dolarów na pielęgnację ciała, o strojach nie mówiąc. Podsumowując: musiała wyglądać jak straszdyło.

Nieco skrepowana pozwoliła Oscarowi przedstawić sobie wszystkich pozostałych. Araminta-dwa – dwa! – był interesujący, Rycerze Strażnicy mniej więcej tacy, jak się spodziewała, o Troblumie nie miała zdania, do Corrie-Lyn od razu nabrała lekkiej niechęci, a Aaron po prostu ją przerażał. Nie ją jedną, sądząc po sposobie, w jaki wszyscy inni reagowali na niego.

– W porządku. – Corrie-Lyn zwróciła się do Aarona: – Udało się. Jesteśmy tutaj. A teraz, na miłość Pani, powiesz nam, dlaczego tu jesteś?

Justine oczekiwała, że Aaron przynajmniej chytrze się uśmiechnie, jak każdy normalny człowiek, lecz on zwrócił podbite oczy ku Inigowi.

– Jesteśmy tutaj po to, byś mógł wywołać Jego.

– Co takiego? – zapytał zaskoczony Inigo. – Och, słodka Pani! Nie mówisz poważnie.

– Mówię. Jedynie on może nam teraz pomóc. I ty masz jego prawdziwą pamięć – jesteś z nim połączony. Zwłaszcza tutaj. Możesz sięgnąć do pamięciowej warstwy Pustki, tam gdzie on był. Nawet nie musisz już resetować Pustki, co było pierwotnym zamiarem. Wiemy to teraz. Justine pokazała to z Kazimirem.

Corrie-Lyn podeszła do Iniga i ujęła jego dłoń.

– Zrób to – szepnęła z uczuciem.

– Stąpający po Wodzie odszedł – stwierdził Inigo z głębokim smutkiem – Teraz jest snem. Niczym więcej.

– Możesz sprowadzić go z powrotem – oznajmił Aaron. – Musisz to zrobić.

...aby wylądować na ziemi, u stóp wieży Eyrie. Zawiodły go stawy skokowe, potknął się i padał naprzód. Silne trzecie dłonie wyciągnęły się, by go ustabilizować. Ale nie było tłumy, jaki był zawsze, jaki powinien być. Nie było rodziny. Nie było Kristabel.

– Na Honiousa! Pomyliłem się – wyjąkał Edeard żałościwie.

Chcąc uniknąć koszmaru szpitala przy uliczce Połówki Bransolety, źle ocenił kręte przejście przez pamięć Pustki i skończył w... Spojrzał na małą grupę obserwujących go ludzi. Byli ubrani tak dziwnie – a jednak nie. Dalwzrokiem omiótł otoczenie. Na wieży nie było Finitana. Przeczesał budynki w Haxpen i Fiacre i zobaczył, że są puste. Pozbawione swego zwykłego telepatycznego gaworzenia miasto milczało. Nigdzie nie wyczuwał żadnych umysłów, prócz umysłów dziewiątki ludzi bezpośrednio przed nim.

– Nie! – Obrócił się ku zigguratowi, gorączkowo sondując każdy pokój na dziesiątym piętrze. Nie było w nich ludzi, mebli...

– Gdzie oni są?! – ryknął. – Gdzie jest moja rodzina? Kristabel!

Cofnął trzecią rękę gotów zadać natychmiastowy cios.

Ktoś z dziwnej grupy podszedł do niego. Miał myśli spokojne, przyjazne, dodające otuchy. Wysoki mężczyzna o przystojnej twarzy – twarzy znanej, choć ciemniejszej niż wcześniej, i o włosach brązowych, a nie rudawych, jakie powinny być. Te szczegóły były nieistotne, ponieważ ta twarz nie mogła w żaden sposób się tu znajdować, nie w świecie realnym.

Trzecia ręka Edearda opadła i znikła.

– Nie – szepnął. – To nie może się dzieć. Jesteś snem.

Mężczyzna uśmiechnął się. Miał w oczach łzy.

– Tak jak ty.

– Inigo?

– Edeard!

– Bracie. – Uściskali się, Edeard obejmował mężczyznę, jakby od tego zależało jego życie. Inigo był w tej chwili jedyną sensowną rzeczą w świecie: był kotwicą. – Trzymaj mnie – błagał Edeard. – Nie puszczaj. Świat rozlatuje się na kawałki.

– Nie rozlatuje się, ręczę za to. Jestem tutaj, by cię przez to przeprowadzić.

Myśli Edearda wirowały pełne paniki, oszołomienia.

– Życie, które wiodłeś – wykrztusił.

– Jest niczym w porównaniu z twoim – zapewnił go Inigo.

– Ale... te światy, które mi pokazałeś, cuda, które tam się znajdują. Czy to wszystko jest realne?

– Tak. To wszystko jest realne. To wszechświat poza Pustką. Miejsce, z którego pochodzi statek, który przywiózł Raha i Panią.

– Och, Pani droga.

– Wiem, że to szok. Przepraszam za to. Nie było sposobu, żeby cię ostrzec.

Edeard skinął głową i cofnął się, by przyjrzeć się temu człowiekowi, o którym sądził, że znajduje się na zawsze poza wszelkim zasięgiem.

– Myślałem, że jesteś kimś, kogo Pani posłała, by mnie pocieszać, kiedy śpię. Ty mi pokazałeś, jakie życie można zbudować, jeśli się tylko spróbuje. I ja próbowałem, tak mocno...

– Głos mu się załamał. Był bliski płaczu.

– Zrobiłeś znacznie więcej, Stąpający po Wodzie – powiedziała młoda kobieta. Miała ciemnorude włosy, ładną piegowaną twarz i patrzyła na niego z taką czcią, że był zdumiony. – Udało ci się.

Edeard zerkał zawstydzony na Iniga.

– Wiesz, co uczyniłem, od czego uciekam.

– Wszyscy znamy twoje życie. Dlatego właśnie tu jesteśmy.

– Możecie mi pomóc? Dlatego przybyliście?

– Nie potrzebujesz naszej pomocy – oznajmił Inigo. – Twój triumf był wspaniały. Całe planety zachwycają się twoimi osiągnięciami tutaj, w Makkathranie.

– Nie rozumiem. Spieprzyłem sprawy tak, jak Owain, Buate i im podobni zawsze twierdzili, że spieprzę. Stałem się taki jak, oni, niech mnie pochłonie Honious.

– Nie, nie spieprzyłeś – rzekła poważnie kobieta. – Edeardzie, posłuchaj. Po tym, jak zawiodła próba zbudowania jedności, twój następny wysiłek, by przynieść Querencji pokój i spełnienie, zadziałał. Nigdy już nie resetowałeś Pustki. Nie potrzebowaleś tego robić. Ty, Kristabel i twoi przyjaciele, wszyscy zaakceptowali przewodnictwo do Serca w starszym wieku. To

był piękny widok.

– Mówisz o tym tak, jakby się już wydarzyło.

Edeard spojrział na nią z zaciekawieniem. W jego umyśle zbierały się bardzo nieprzyjemne podejrzenia.

– Edeardzie. – Inigo uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

– Przybyliśmy do Pustki dopiero co. Tutaj czas płynie znacznie szybciej niż na zewnątrz. Dlatego właśnie zaledwie kilkaset lat, które tam upłynęły, można porównać do tysiącleci tutaj. Jesteś naszą przeszłością. Wyjąłem cię z pamięci Pustki.

– Chcesz powiedzieć, że już przeżyłem swe życie? Całe swe życie?

– Tak.

– Ale... – Jego dalwzrok znowu omiół otoczenie, rozpaczliwie chcąc znaleźć jeszcze kogoś. – Gdzie są wszyscy? Jeśli odniosłem sukces, tak jak utrzymujecie, co stało się z ludźmi, którym starałem się pomóc? Ich wnukowie powinni nadal tu być. Czy opuścili miasto?

Inigo wyglądał na zakłopotanego.

– Stworzyłeś społeczeństwo, w którym każdy mógł osiągnąć spełnienie. W końcu wszyscy ludzie zaakceptowali przewodnictwo. Ostatni udał się do Serca kilka tysięcy lat temu.

– Umarli? – Nie mógł w to uwierzyć. – Umarli wszyscy? Na Querencji mieszkały nas miliony.

– Wiem.

– Czemu mnie wywołałeś? – spytał gorzko Edeard.

– Potrzebujemy twojej pomocy.

– Ha! Więc Honious wie, że wybraliście niewłaściwego człowieka. Finitan jest wart więcej ode mnie, czy nawet Dinlay. A nawet jeśli nie mieliście wyboru, powinniście przywołać z powrotem tego przyszłego Edearda, o którym wspomnieliście, tego triumfującego.

– Wybrałem cię bardzo starannie. Jesteś dokładnie tym Edeardem, którego potrzebuję.

– Dlaczego?

– Determinacja – powiedział bez ogródek Inigo. – To jesteś ten ty, który postanowił, że nigdy nie da się pokonać, bez względu na

wszystko. Ty, ty dzisiejszy, jesteś najlepszym Stąpającym po Wodzie, jaki był kiedykolwiek. To jest właśnie chwila, na której zbudowałeś swój triumf.

– Trudno mi w to uwierzyć – rzekł Edeard słabym głosem.

– Naprawdę mi przykro, że musieliśmy się spotkać właśnie w taki sposób. Ale rzeczywiście bardzo potrzebujemy twojej pomocy.

– Jakiej? Jak, na miłość Pani, mogę pomóc ludziom, którzy mają moc podróżowania między wszechświatami?

Widział, jak Inigo już zamierza odpowiedzieć, gdy jeden naprawdę dziwny, z pobitą twarzą i storturowanymi myślami, wystąpił naprzód.

– Jestem Aaron i przybyłem tutaj, by cię prosić, żebyś nas zabrał do Serca.

Edeard omal nie roześmiał mu się w twarz, ale męczyzna cierpiał tak bardzo i był w tak skrajnej rozpacz, że wyraźnie mówił prawdę.

– Po co?

– Ponieważ Serce musi być tym, co steruje Pustką. Muszę z nim porozmawiać albo musi to zrobić Inigo, albo nawet ty. Ktokolwiek z nas, kogo będzie słuchać.

– Co byś mu powiedział?

– Zabijasz nas. Wyłącz się.

Inigo znów objął Edearda ramieniem.

– Wyjaśnianie tego zajmie chwilę – powiedział łagodnie.

Jasne słońce zniżało się do zachodniego horyzontu, okrywając wieże Eyrie znajomą wiśniową mgiełką. A jednak nieznaną, myślał smutno Edeard. Makkathran, w którym się znalazł, był rzeczywiście smutny. Budynki były takie, jak być powinny – och, ale reszta dzielnic i kanałów! Nie zostały zrujnowane – bajkowe miasto nigdy by na to nie zezwoliło – ale stały się nędzne. Bez swych obywateli miasto było ubogim widmem siebie samego z czasów świetności. I po ludziach, którzy tu mieszkali, zostało tak mało: jedynie sparciałe ozdóbki i uparty kurz. Sczeźli,

przekazując tak mało ze swych osiągnięć – to niesłychanie przygnębiało. Tak jak świadomość, że został teraz na zawsze oddzielony od nich wszystkich. Choć przypuszczał, że mógłby zresetować Pustkę jeszcze raz, jakoś nie miał ochoty zanurkować z powrotem w to, co było. Ponadto, według Corrie-Lyn, już zwyciężył w bitwie swego życia. I jeśli rozumiał, co mówił jego mentalny brat Inigo, był odpowiedzialny za rozpętanie destrukcji prawdziwego wszechświata na zewnątrz.

– Przyleci więcej statków? – zapytał.

– Tak – przyznał Inigo. – To moja wina. Byłem zadurzony w twoim życiu.

Siedzieli na schodach przed centralnym kościołem Pani, każdy z gości starał się mu pomóc zrozumieć historię Iniga o tym, co dzieje się w Galaktyce na zewnątrz i czym rzeczywiście jest Pustka. Trwało to wiele godzin.

– Pokazałeś ludziom moje życie. – Edeard nie oskarżał, ale...

– Zrobiłem to. Ty nigdy nie powiedziałaś nikomu o moim.

– Myśleliby, że jestem szalony, nawet Kristabel. Latające wozy. Ludzie, którzy żyją wiecznie. Setki zamieszkanym światów. Mechaniczni słudzy zamiast genistarów. Miasta, przy których Makkathran wyglądałby jak mała dzielnica. Cywilizacja, gdzie sprawiedliwość jest dostępna dla wszystkich. Obcy. Więcej gwiazd na niebie, niż można zliczyć. Nie, takie cuda mojej rozgorączkowanej imaginacji najlepiej było trzymać wewnątrz czaszki. Tylko że to nie była moja imaginacja, to wszystko byliście wy.

– Mam nadzieję, że niosłem pomoc, jakieś wsparcie.

– Owszem. – Edeard w końcu zdobył się na odwagę, której do tej pory mu brakowało, i zadał pytanie. – Ta przyszłość, w której żyłem, tam gdzie w końcu uzyskałem przewodnictwo do Serca... czy Burlal był jego częścią?

– Nie. Przykro mi, Edeardzie. Był tutaj tylko tamten jedyny raz.

– Rozumiem. Dzięki za szczerłość.

– Stąpający po Wodzie, proszę, czy mógłbyś zabrać nas do Serca? – powiedział Aaron.

Napięcie w jego głosie, jego wściekłe myśli, grożące wyrwaniem

się z jego głowy, to wszystko denerwowało Edearda.

– Rozumiem potrzebę powstrzymania Pustki. Jeśli mógłbym to zrobić, zrobiłbym to.

– Jest sposób, by porozmawiać z Sercem – powiedział Aaron przez zaciśnięte zęby. – Kiedy tam dotrzemy, wiem, że się porozumiem.

– Jak?

Aaron walnął się w twarz. Raz, drugi, trzeci. Z nosa pociekła mu krew.

– Nie powie mi! – wrzasnął wściekle. – Nie mogę już tego znaleźć.

Edeard trzecią ręką chwycił dłonie Aarona i popchnął je w dół.

– To moja misja! Ja jestem misją. Mam cel. Muszę być silny. Jej się to podoba. Kocha mnie.

Tomansio stanął przy znękanym agencie.

– Hej, wszystko w porządku. – Wyciągnął do niego ręce. – Mamy dwa statki i Stąpającego po Wodzie. Możemy wziąć...

Aaron zwiotczał i opadał naprzód, nieprzytomny. Tomansio podtrzymał go.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Edeard.

– Bardzo podstawowy środek uspokajający. Na szczęście nasza bionika jest tu zdegradowana. Inaczej mielibyśmy niezłą bójkę.

– Rozumiem.

Nie bardzo rozumiał. Ale ci wojownicy z zewnętrznego wszechświata robili wrażenie. I mieli honor. Przypominali mu pułkownika Larose'a z makkathrańskiej milicji.

– I co teraz? – spytała z westchnieniem Corrie-Lyn. – Nasz ulubiony psychol będzie z wściekłości rozbijał nawet kwanty, kiedy się zbudzi.

– Neuralna infiltracja w tym środowisku... bardzo bym tego nie chciał – przyznał Tomansio. – Pierwsza usterka i prawdopodobnie rozerwiemy mu umysł na strzępy. Ponadto myślę, że sposób, w jaki jego umysł został zrekonfigurowany, wyklucza tę technikę wypytywania. Informacja jest ukryta w podświadomości.

– Mamy dwa statki. I wiemy, że musimy polecieć do Serca.

Naszym problemem zawsze pozostaje znalezienie przewodnictwa. – Oscar uśmiechnął się szeroko do Edearda. – Tu zaczyna się twoja rola.

– Wszystko sprowadza się do spełnienia – rzekł Inigo. – Jeśli Władca Niebios uzna, że Edeard jest spełniony, poprowadzi go.

– Jego duszę – powiedziała ostro Corrie-Lyn.

– Tego nie wiemy – odparł Inigo. – Ludzie nigdy wcześniej nie byli zdolni do latania wewnątrz Pustki. Może pokaże drogę ciału ożywionemu.

– Zapytam – oznajmił Araminta-dwa.

Przekazywał myśli w sposób, do którego Edeard nie był przyzwyczajony. Z podobną wyrazistością nie spotkał się nigdy. Było mu trudno odrzucić uczucie, że tak naprawdę znajduje się w ciele Araminty-dwa, oddycha razem z nim, czuje razem z nim. I było tam widmowe postrzeżenie, które go rozpraszało, wrażenie stania w gigantycznym pomieszczeniu z metalu i szkła, obserwowania mgławic na zewnątrz. Stado Władców Niebios prowadzących niesamowite gwiazdoloty. Postrzeżenie tamtego umysłu migotało pod połączeniem, które Araminta miała z Władcą prowadzącym flotę i jego świadomością pustki.

– Czy muszę opuścić ciało, by być prowadzonym do Serca? – zapytała.

– Musisz być spełniona – odpowiedział z miłością Władca Niebios. – Wtedy cię poprowadzę. Czuję, że wkrótce. Twój umysł jest silny. Wierzysz, że znasz swoją drogę. Rozumiesz siebie. Brakuje ci jedynie pewności.

– Jeśli to będę miała, jeśli uzyskam to, czego potrzebuję dla spełnienia, zabierzesz mnie, mnie żywą, w tym statku?

– Zrobię to.

Edeard drżał, kiedy dziwaczny przekaz się skończył. Miał wrażenie, że powiew zimowego wiatru omiótł kościół. Spojrzał z zaciekawieniem na Aramintę-dwa.

– Możesz dalrozmawiać przez Pustkę?

Niewiarygodna siła umysłu.

– Niezupełnie. To było moje drugie ciało. A jeśli chodzi o Władcę Niebios, jesteśmy połączeni, tak jak kiedyś ty z Inigiem.

– Rozumiem – skłamał. Moje drugie ciało! Powiedział to tak niedbale. Jakże żałował, że tym razem nie ma tu Macsena. Macsena, który złagodziłby ten zamęt zabawnym powiedzeniem i śmiechem, i świat znowu stałby się taki, jak trzeba.

– Teraz sprawdzimy, czy ten Edeard jest spełniony – powiedział Oscar. – A jeśli jest, zabierzesz go do Serca.

– Tak się wydaje – zgodził się Inigo.

– Jeszcze nie. – Justine wstała. – To jest zbyt ważne, by o tym gdybać. Potrzebujemy bardzo jasnego określenia, co mamy tutaj osiągnąć. Chodźcie za mną.

I poszła ku otwartemu wejściu do kościoła.

Edeard zauważył, że każdy śledzi młodą blondynkę zaintrygowanym wzrokiem. Niektórzy wzruszyli ramionami, ale wszyscy posłusznie poszli za dziewczyną. Justine mówiła tonem rozkazującym.

Kiedy ich sobie przedstawiono, Edeard zlekceważył zmysłową dziewczynę. Irytowała go, traktował ją obojętnie. Prymitywnie ubrana, z niedbałą fryzurą, przypominała mu prawdziwych bandytów żyjących w dziczy za prowincją Rulan. Ale w miarę jak mijało popołudnie, zrewidował swoją opinię. Przede wszystkim należała do wiecznych Wspólnoty. Wyglądała na zaledwie nastolatkę, ale była starsza od wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli w Makkathranie. I mimo braku odpowiedniego stroju miała godność i postawę, która onieśmieliłaby panią Florrell. Podejrzewał również, że była wystarczająco bezwzględna, by rozerwać na strzępy Ranalee w dowolnej walce – uczciwej lub nie.

Powietrze w kościele było chłodniejsze niż na zewnątrz. Widok nagiego – jeśli nie liczyć posągu Pani – wewnątrz pogłębiał u Edearda uczucie odosobnienia i samotności. Zaledwie dzień własnego czasu temu był burmistrzem i miasto ugięło się pod jego wolą. Wiedział, że ci ludzie chcą dobrze, ale nie mógł powstrzymać urazy za sposób, w jaki wyrwali go z jego prawdziwego życia. Gdyby to był ktokolwiek prócz Iniga... – ale z drugiej strony, tylko Inigo mógł zrobić coś takiego.

Dziwniejszy od ogołoczonego kościoła był czekający na nich,

stojący pośrodku, złoty mężczyzna. Był widoczny jedynie dzięki dziwnie przenikliwemu przekazowi od Justine, od którego Edeard nie mógł zupełnie się osłonić, a jednak jego dalwzrok nie znalazł nic w miejscu, gdzie stał mężczyzna. Przynajmniej z początku.

– Dusza! – zakrzyknął Edeard, wzmocniwszy swoją percepcję.

– W zasadzie sen. Jestem Gore. Cieszę się, że w końcu cię poznałem, Stąpający po Wodzie. Jesteś człowiekiem robiącym wielkie wrażenie.

– To Gore nas tutaj przywiódł – wyjaśnił Inigo. – Różnymi metodami. Nie wszystkie były przyjemne.

– Dopilnowałem tylko, żebyś nie uciekł od swojej odpowiedzialności, synu.

– Mój ojciec – oznajmiła z dumą Justine.

– Musicie trzymać Aarona w śpiączce – powiedział Gore do Tomansia. – Jego uwarunkowanie neuralne nigdy nie miało być aż tak silne, by wytrzymać spotkanie z Kotką. Nie spodziewałem się tego. Cholerna llanthe.

– Lennox – rzucił zimno Tomansio – Nazywa się Lennox. Jeden z naszych założycieli. I jako taki bardzo ważny dla Rycerzy Strażników. Co mu zrobiłeś?

– Dokładnie to, o co prosił – oznajmił Gore. – Bóg jeden wie, jaki numer wycięła z nim Kotka, ale kiedy moi ludzie go odzyskali, był niemal zupełnym świrem. Starliśmy, co się dało, z jego osobowości, ale uraz przesaczył się w podświadomość. To zwykle można było stłumić, pod warunkiem, że nie otrzyma zbyt wielu bodźców skojarzeniowych. Ale co do kompletnej terapii, zapomnijcie o niej. Zrobiłem, co mogłem. Załatałem go ponownie i wysłałem go, by robił to, co kocha, do czego został stworzony. Prowadzi wszystkie brudne, tajne misje potrzebne Frakcji Konserwatywnej, by utrzymywać dobrą, starą Wielką Wspólnotę na właściwej drodze. Nie jestem jego szefem, jestem jego partnerem, na litość boską.

– Tato, Serce?

– Aa, racja. – Gore popatrzył na całą grupę. – Plan jest dość prosty. Jak powiedział Aaron, polecicie i zainteresujecie tę

cholerną rzecz, przemówicie jej do rozsądku. Trzeba jej wytłumaczyć, że popełnia galaktyczne ludobójstwo.

– I to wszystko? – spytał Oscar.

– Masz lepszy pomysł?

– Noo... nie.

– Więc przyjmujemy ten. Jedna mała modyfikacja. Lecę z wami. Może znalazłem coś, co przekona tę rzecz.

– Co?

– Nowy początek. Ale musimy działać szybko. Cholera wie, co tam w środku knuje Ilanthe.

– W porządku, tato. Władca Niebios poprowadzi ciało Edearda, przy założeniu, że jest spełniony.

– To był pierwotny pomysł. Potrzebujemy kogoś, o kim wiemy, że jest spełniony.

– Rozumiem.

– Wezmę Iniga i Stąpającego po Wodzie do „Silverbirda” – zaproponowała Justine. – Jest w lepszym stanie niż „Odkupienie Mellanie”. Myślę, że znowu wystartuje. Jeżeli nie, możemy zresetować Pustkę do kilku dni przed moim wylądowaniem tutaj.

– Nie – powiedział Gore. – Weźcie ten statek. Teraz jest w pełni zaaklimatyzowany w Pustce, tak więc jego działanie nie będzie już problemem. I prawdopodobnie będziemy potrzebowali jakiejś poważnej pieprzonej siły ognia, jeśli natkniemy się na Ilanthe.

– Ten statek?

Gore rzucił jej pełne litości spojrzenie.

– Jak sądzisz, na czym w tej chwili stoisz?

Edeard, kiedy tak stał u szczytu obszernych schodów kościoła Pani, a pozostali zgromadzili się wokół niego, wreszcie poczuł, że znowu powraca do życia. Cały ten czas wydawał się dziwny, jak sen napędzany kestrkiem. Nie było nic, czego mógłby się uchwycić, nic, co by go upewniło, że żyje. Nawet spotkanie z Inigiem, które mogłoby mu się przydarzyć w Sercu, co jeszcze wzmacniało poczucie nierealności.

Ale teraz...

Czyste podniecenie przyśpieszało mu rytm serca, tłocząc w ciało gorącą, mocno pulsującą krew. Uśmiechał się i przesyłał swój dalwzrok w dół pod ulicę, obok tuneli podróźnych, omijając dziwne przepusty i żarzące się linie energetyczne, które przenikały całą konstrukcję w dół i w dół... Umysł Makkathranu nadal drzemał, tak niezmienny jak budynki i kanały. Jego gigantyczne myśli pulsowały powolnym, posępnym rytmem.

Myśli Stąpającego po Wodzie wzniosły się entuzjastycznie, kiedy przekazywał swoje postrzeżenie nowym znajomym. Witał z radością czystą ekstrawagancją, zuchwałość tej chwili. Ależ by to się spodobało Kristabel i Macsenowi, a co do bliźniaczek...

– Wiem teraz, czym jesteś – powiedział wielkiemu śpiącemu. Wlewając szczerą, czystą wiarę w to, co mówi. Dzieliąc się sobą całkowicie. – Wiem, po co przybyłeś do tego wszechświata. I musisz wiedzieć, że inni poszli tutaj za tobą. Wydaje nam się, że teraz możemy to zakończyć. Możemy dokończyć to, co zacząłeś.

Rozległe myśli przyśpieszyły, ich szerokie włókna łagodnej zadumy zaczęły się zbiegać w spójną całość. Świadomość Makkathranu się zbudziła.

– Ty? Pamiętam cię. Myślałem, że umarłeś razem z resztą twego rodzaju.

– Przywołano mnie z powrotem. Zdaje się, że jestem twą drogą do Serca.

– Wiele zapomniałeś. Będę rad, jeśli mój koniec nastąpi tutaj.

Edeard poczuł, jak duchowy brat chwyta jego dłoń. Ufność Iniga i jego pewność były zdumiewające.

– Nie lecimy tam, by nas wchłonęło – przekazał Inigo Makkathranowi z niezłomną pewnością. – Jesteśmy tutaj, by to skończyć. Czas, którego się obawiałeś, nadszedł. Miliony z mojego gatunku są w drodze do tego świata. Wiedzą o jego sekrecie i wszyscy chcą jak najprędzej resetować Pustkę wedle swego kaprysu. Faza pożerania, która po tym nastąpi, skonsumuje Galaktykę.

– Nie można tego zatrzymać – oznajmił Makkathran. – Pustka jest tym, czym jest.

– Istnieje szansa. Wierzę, że nadal możemy przemówić jej do rozsądku.

– Pustka nie słucha. Próbowaliśmy. Obserwowałem, jak mój rodzaj ginie dziesiątkami tysięcy, kiedy próbowali przekroczyć ostateczną barierę. Na nic się to nie zdało. Płomienie ich zagłady w tamtych dniach przyćmiły światło mgławicy.

– Do Pustki przybyła pewna istota, która może sprawę pogorszyć. Faza pożerania się rozpoczęła. I wreszcie mamy malutką, bardzo kruchą okazję, by porozmawiać z jądrem, z pierwotną rozumnością. Ona zaakceptuje jednego z nas, jeśli Władca Niebios poprowadzi go do Serca. Pomóż nam, proszę. Osoby twojego gatunku są nadal tam na zewnątrz, po drugiej stronie bariery, bardzo się starają. W ciągu tych wszystkich epok od chwili ich przybycia nigdy się nie zachwiali. Jesteśmy im dłużni tak wiele. Jesteśmy im winni tę ostatnią próbę.

– Mój rodzaj nadal żyje?

– Tak.

– Tak myślałem. Nie tak dawno temu wydało mi się, że słyszę jednego. Zawołałem, ale zamiast niego przybyła wasza rasa.

– Proszę – powiedział Edeard. – Poprowadzono mnie do Serca już wcześniej. Gotów jestem do każdego poświęcenia, by mnie znowu poprowadzono, klnę się na Panią.

Myśli Makkathranu fluktuowały, zalewając ich odwiecznym smutkiem. Edeard czuł pokorę wobec wszystkiego, co miasto musiało znieść w obliczu swojej straszliwej straty.

– Nie oczekiwałem, że znowu przydarzy mi się jakaś zmiana – oznajmiło miasto. – Nie oczekiwałem, że ktoś da mi nadzieję, jakkolwiek małą. Nie oczekiwałem, że zrobię to, do czego zostałem stworzony: do jeszcze jednej wyprawy przeciw największemu wrogowi. Przynieśliście mi to wszystko. Za to powinienem okazać wdzięczność. Jeśli Galaktyka ma zginąć, jest właściwe, bym zginął wraz z nią. Zabiorę was.

– Dziękuję ci – powiedział Edeard.

– Dziękujemy ci – powtórzyli chórem pozostali.

Czekali zbici w grupę na szerokiej wolnej przestrzeni przed kościołem Pani, sondując okolicę dalwzrokiem w oczekiwaniu pierwszej zachodzącej zmiany. Czekali z żywiołowym podnieceniem uczniów, którzy wiedzą, że za chwilę zobaczą coś wyjątkowo widowiskowego.

Justine spostrzegła to pierwsza.

– Tam! – zawołała, przynaglając innych umysłem. – Tam, popatrzcie, kryształowy mur.

Wszędzie wokół miasta, wysoki, przezroczysty złoty mur, określający kraniec miasta, rósł. Gnał w niebo ze zdumiewającą szybkością, kiedy miasto wyraziło swą wolę. Potem ludzie odchylali głowy do tyłu, by podziwiać, jak mur zakrzywia się nad nimi. W pół godziny zniknął ostatni kurczący się krąg czystego nieba. Kryształ połączył się ze sobą. Miasto zostało przykryte idealną kopułą.

Makkathran wykorzystywał swe życzenia. Umysł większy od gór włączył podstawową zdolność Pustki do lokalizowania masy, prosząc, by materia poruszała się w sposób, w jaki chciał.

Na zewnątrz, poza odizolowaną dzielnicą portową, morze Lyot się rozstało. Dwa rozległe wodne tsunami pomknęły od siebie, wezbrały, oddalając się od brzegu, odsłaniając dziesiątki mil morskiego dna. Manipulować wodą było łatwo. Makkathran kontynuował. Obnażone morskie dno pękło z wyciem destrukcji, które w promieniu pięćdziesięciu mil podarło na strzepy wszelką materię organiczną. Szczeliny pogłębiły się, przecinając odwieczne pokłady lawy, i pomknęły w głąb lądu, rozbijając równinę Iguru.

Oscar śmiał się bezradnie, kiedy ziemia zatrzęsała się wściekle, powodując potężne osuwiska w odległych Górach Donsori. Ten rodzaj póthisterii okazał się zaraźliwy. Edeard opadł na kolana i szczyrzył zęby w uśmiechu. Fale mknęły po kanałach, wypluskując wodę ponad brzegi, gdy siła trzęsienia ziemi narastała. Widział kołyszące się szczyty wież Eyrie. Wzburzone powietrze uderzało chmurami w zewnątrz kopuły.

– Cieszysz się teraz, że cię przywołaliśmy?! – wołał Oscar, zagłuszając ryk.

Równina Iguru i odkryte dno morskie zostały rozbite w jedną płaską strefę pofałdowanych gruzów. Wszystkie dziwne małe wulkany rozpadały się jak góry lodowe i osuwały w kłębiące rumowisko. Miasto gwałtownie szarpnęło, wznosząc się sto metrów w górę, kiedy okowy lądu zostały w końcu przerwane.

Wszyscy krzyknęli w radosnym szoku, gdy impet przewrócił ich i przycisnął do podłoża. Edeard pokazał Oscarowi uniesiony kciuk.

– Och, Pani, jeszcze jak! – dalodpowiedział ponad łoskotem przenikającym kryształ ochronny. Jak zniszczenia wyglądały na zewnątrz, w ogóle nie mógł sobie wyobrazić.

Rozszalałe chmury ześlizgnęły się po bokach zakrzywionego kryształu, a miasto pod kopułą wznosiło się coraz wyżej. Kopuła stanowiła po prostu szczyt ogromnego okrętu wojennego.

Makkathran, ostatni ocalały z armady raielów, wzniosł się z powrotem w niebo, z którego spadł milion lat temu, i skierował w czystą próżnię kosmosu.

Gore Burnelli nieczęsto wyrażał podziw dla innych ludzi, zwłaszcza jeśli chodziło o ludzi mięsnych. Ale musiał przyznać, że Araminta sprawuje się doskonale, żyjąc w dwóch różnych strumieniach czasowych. Chociaż sam był jednym z pionierów ulepszonej umysłowości, przekonywał się, że jemu przychodzi to z trudem.

Segment jego umysłu przeznaczony do połączenia z Justine pędził naprzód, oglądając się na ślamazarne wydarzenia na ojczystym świecie anominów z pewną pogardą. Byłoby bardzo łatwo pozbyć się niemrawego ciała i żyć szybko i swobodnie w Pustce. Musiał bardzo się skupiać na innych aspektach swego umysłu i na obowiązkach, którym te aspekty służyły, by odrzucić tę ideę. Pokusa ciągnęła z nieubłaganą siłą przyływu.

Przez mgnienie oka obserwował z wejścia do kościoła Pani, jak Makkathran odlatuje z Querencii, a potem przyśpiesza za Władcą Niebios, który jedynie kilka godzin wcześniej prowadził „Odkupienie Mellanie”.

Displeje egzoobrazowania otoczyły go, śledząc postęp włókien infiltrujących, kiedy prześlizgiwały się przez strukturę molekularną mechanizmu transcendencji, mknąc przez ścieżki sieciowe i penetrując delikatne połączenia. Przełączył pierwszoplanową uwagę – na połącze kodu oczekujące na inicjalizację, tak by pakiety mogły wślizgnąć się do obcego oprogramowania i, naśladując podprogramy, skorumpować je. Jego przyśpieszony umysł obserwował, jak symbole szybko się przełączają. Mógł rzeczywiście śledzić, jak analizują one pierwsze impulsy śmigające przez połączenia.

Nadeszło wezwanie – na które odpowiedział jeszcze innym segmentem działającym wewnątrz jego mięsnej czaszki.

– Jesteśmy w środku – powiedział Dostawca. – Ustalam sterowanie nad wszystkimi zasadniczymi systemami syfonu. Sterowanie ręczne odłączyłem. Działa sekwencja pełnej inicjalizacji wormholu. Generacja mocy wzrasta. Muszę pobierać ją wolno – nie mam jeszcze gdzie jej przesyłać.

– Dobra robota.

– Nie wiedziałem, że Makkathran to statek raielów.

– Czym innym mógłby być? Nie odwiedziłeś nigdy „Wysokiego Anioła”?

– Tak naprawdę to nie.

– Och. Cóż, te kopuły naprawdę mówią same za siebie. Są identyczne.

– Oczywiście.

– Marius się pojawił?

– Nie mam żadnego porządnego czujnika, który by działał tutaj, w najbardziej wewnętrznym kręgu. Hiperradar działa, ale jest bezużyteczny. On nadal musi przebywać w trybie maskowania.

– Uważaj na niego. Jeśli w końcu się zorientuje, że możemy powstrzymać jego ukochaną Ilanthe, nie odbierze tego dobrze.

– O, cholera. Dobrze, będę uważał.

Makkathran doznał Władcę Niebios, zanim ten przeciął orbitę Nikrana, ledwie trzy miliony kilometrów od pustynnej planety.

Edeard stał na placu w centrum Sampalok, patrząc na mały brązowy glob, który wisiał nad rezydencją. Widok wzbudził w nim zaskakująco silną nostalgię. Ledwie wyróżniał niektóre cechy na powierzchni planety, tak jak robił to innego dnia, kiedy siedział w Sali Malfit i czekał, aż zostanie wywołany przed burmistrza, który mu wręczy brązowe naramienniki. Koledzy z oddziału kpili sobie z niego za pytania o innych ludzi mieszkających na Nikranie. Nigdy się nie dowiedzieli, tak jak on, że ludzie żyją na tysiącach światów. A teraz już się nie dowiedzą.

A może wiedzą? Któż wie, co widzą z Serca?

Najtrudniej było zaakceptować rewelację Iniga, że Pustka to zagrożenie wszelkiego życia.

– Zawsze nienawidziłem tego przeklętego przez Panią cholerstwa – powiedział Inigo, patrząc na sześcioboczną rezydencję.

– Rezydencji? – spytała zaskoczona Corrie-Lyn.

– Nie, arkologii w Kuhmo. Przytłaczała wszystkie dni mego życia, kiedy dorastałem. Dlatego ofiarowałem Radzie Miejskiej pieniądze na wyburzenie tej szkarady, by w przyszłości nie prześladowała dzieci.

– Wypełniała twój umysł – potwierdził Edeard. – Właściwie nie wiedziałem, jak wygląda prawdziwa ludzka architektura, i tamtego dnia się śpieszyłem. To wydało się oczywistym wyborem.

– Dzięki Pani, że nie zbudowałeś tego w pełnych rozmiarach.

– Widziałam świątynię, którą kazałeś wybudować na jej miejscu – zauważyła ironicznie Corrie-Lyn. – Nie była o wiele lepsza.

Inigo odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

– I to ma być wdzięczność.

Edeard wyczuwał, jak w umyśle Justine narasta troska. Zobaczył, jak stoi ona blisko Gore'a, którego złota twarz stężała od niepokoju.

– Co się dzieje?

– Jakies wydarzenia poza naszą kontrolą – wyjaśniła Justine. – Musisz o to zapytać Władcę Niebios.

Stworzenie – migocąca plama przy Nikranie – za którym lecieli,

znajdowało się nadal niemal milion kilometrów od nich. Edeard patrzył na nie niechętnie. Jeśli stworzenie oznajmi, że nie jest spełniony, Inigo będzie musiał sięgnąć do warstwy pamięci i wyciągnąć wersję Edearda spełnionego. Niewielu rzeczy był już pewien, ale wiedział, że spotkania ze swoim przyszłym ego przeżywać nie chce.

– Spróbuję.

Poszukał Władcy Niebios i wyczuł go na krawędzi postrzegania. Zwykle myśli stworzeń były spokojne i zadowolone. Nigdy wcześniej nie czuł w ich umysłach takiego zamętu. Władca rozpaczał nad swym krewniakiem, który uległ Ilanthe, a kolosalny, ścigający go okręt również niepokoił. Istniały starożytne wspomnienia przodków o takich rzeczach: o czasach chaosu.

– Nie obawiaj się niczego ze strony tych, z którymi podróżuję. Miasta też się nie obawiaj – zapewnił Władcę Edeard. – Towarzyszą mi, kiedy szukam spełnienia.

– Poznaję teraz to miasto – odparł Władca Niebios. – To tacy jak ono niszczyli ten wszechświat. Nie znaleźliśmy umysłów, ponieważ oni wrzucili planety życia w ich macierzyste gwiazdy. Żadne inne życie nie wyłoniło się tutaj, jedynie wasz gatunek.

– Te czasy już dawno minęły. Wiesz, że więcej z mego gatunku już tutaj jest. Umysły znowu się pojawiają.

– Tak jak inny, który zabija.

– Właśnie dlatego chcę dotrzeć do Serca. Zaniosę mu ostrzeżenie przed innym. Wierzę, że jestem spełniony. Wierzę, że Serce mnie zaakceptuje. Czy to słuszne?

Władca Niebios długo zwlekał z odpowiedzią.

– Jesteś spełniony – potwierdził. – Poprowadzę twoją esencję do Serca.

– Poprowadź mnie do Serca takiego, jaki jestem. Ten statek mnie tam zawiezie. Polecimy za tobą.

– Ja i moi kewnicy prowadzimy do Serca jedynie esencję umysłów.

– Poprowadź mnie do Serca. Ono zdecyduje, czy zaakceptuje mnie takiego, jaki jestem. Albo dopiero wtedy, kiedy porzucę swe

ciało i stanę się czystym umysłem.

– Poprowadzę cię.

– Dzięki.

Za kryształową kopułą gwiazdy zaczęły zakreślać krótkie łuki. Makkathran zakręcał, by polecieć za Władcę Niebios. A potem znowu zaczęli przyspieszać. Edeard przeżył długą chwilę oszołomienia. Znowu spojrział w górę i zobaczył grupkę gwiazd bezpośrednio nad szczytem kopuły. Wszystkie stały się jasnoniebieskobiałe. A wszechświat wokół nich był czarny.

– Lecimy za wolno – rzekł Gore. – Ilanthe ma przewagę nad wami o tydzień czasu Pustki. Jezus wie, jak blisko jest teraz.

– Wiemy, że podróżujemy tak szybko, jak mogą Władcy Niebios – stwierdziła Justine.

– Taa, ale oni nie są, ściśle mówiąc, mocarzami intelektu, co nie? Spytaj Makkathranu. On miał miliony lat, by się zorientować, co w Pustce uchodzi za czasoprzestrzeń.

Justine rzuciła Edeardowi pytające spojrzenie.

– Zapytam – powiedział.

– Szybciej? – spytał Makkathran, Jego myśli wyrażały ciekawość. – Zostaliśmy zaprojektowani dla wszelkich wyobrazalnych stanów kwantowych, z wyjątkiem, oczywiście, tego tutaj. Tutaj nadrzędny jest umysł, pomaga uwieść wiele słabszych umysłowości. Dawno temu zaobserwowałem podstawowe więzi między racjonalnością i wielowymiarową siecią, która włącza w siebie funkcjonalność tego wszechświata. Prędkość jest aspektem strumienia czasowego, który z kolei jest określany przez myśl. Kluczem jest wzorzec aplikacyjny, a takie klucze w istocie dość łatwo określić.

Za kopułą światło eksplodowało z nicości. Mijane gwiazdy zaczęły mknąć niczym sztywne błyskawice. Świeące obłoki mgławic formowały huraganowe zawijasy, oddalając się po spiralach w olśniewających, kolorowych płomieniach.

– Myślę, że to oznacza „tak” – wybełkotał pełen podziwu Oscar, kiedy kolorowe fale światła przepływały po jego twarzy.

– Czy my lecimy szybciej, czy Pustka zwalnia? – zapytała niepewnie Corrie-Lyn.

– W naszej sytuacji nie ma to większego znaczenia – odparł Inigo. – Liczy się tylko wynik końcowy.

Równoległe do rozmowy z Dostawcą Gore monitorował dane, które oprogramowanie infiltracyjne po kryjomu magazynowało. Mechanizm transcendencji, kiedy włókna kontynuowały swą inwazję w jego strukturę, uruchomił skanowania wewnętrzne. Gore wypuścił pierwszą porcję pakietów, strumień na niskim poziomie, który szybko wkręcił się w podprogramy interpretujące skany. Podprogramy fałszowały wyniki kontroli, tak by mechanizm transcendencji nie zorientował się, że coś jest u niego nie tak na poziomie molekularnym.

Sen: Makkathran wszedł w prędkość nadświatlną wśród widowiskowego świetlnego sztormu.

Obserwacja wizualna: Tyzak przemierzał podskokami plac, starając się omijać połyskujące, czarne elementy sieci, które cicho brzęczały.

To wszystko, czego potrzebuję, pomyślał wyższy wtórny segment umysłu Gore'a. W spacji pamięci uaktywnił się podprogram tłumaczący z języka anomine.

– Przybyli inni – powiedział Tyzak.

– Z twojej wsi?

– Nie. Inni. Gwiazdni podróżnicy, podobni do ciebie, ale bardzo różni. Nie znam ich historii.

– Proszę, pokaż mi ich.

Tyzak wrócił po placu tą sama drogą, którą nadszedł. Jedna z jego kończyn wyciągnęła się, wskazując szeroką ulicę.

Było ich ośmioro. Stali w poprzek ulicy sto metrów od placu. Pastelowe światło z budynków po obu stronach połyskiwało na ich ekstrawaganckich, wysadzanych klejnotami, długich płaszczach. Jeden z nich uniósł długą dzidę i lekko się skłonił.

– Silfeni – westchnął Gore. Miałby ochotę pokazać im środkowy palec, ale zamiast tego jedynie pochylił głowę. – Po prostu ich ignoruj. To najwięksi podglądacze w Galaktyce.

– Po co mieliby przybyć?

– By mnie obserwować.

Pakiet infiltrujący błysnięciem zasygnalizował problem z podprogramami, które próbował modyfikować. Musieli istnieć ukryci wartownicy, ponieważ podprogramy analizujące opierały się wszelkim próbom modyfikacji. Zaczęły się przekształcać z niepokojącą częstotliwością. Oznaczało to, że pakiety nie mogą się umiejscowić – nie istniała stabilna konfiguracja, by się do niej dopasowały. A wartownicy wprowadzili do skanów bardziej złożone procesy, badające, czemu zostały włączone algorytmy odpornościowe. To doskonale mogło zaniepokoić główną świadomość mechanizmu transcendencji. Gore zacisnął złote wargi.

– Och, cholera. No to zaczynamy.

Marius, zawieszony w transwymiarowej stazie, dwa miliony kilometrów nad gwiazdą anominów, skierował odczyty czujników swego statku do konstelacji półautonomicznych wtórnych podprogramów. Choć statek Dostawcy dokonał zadziwiającego wyczynu, wlatując w warstwę konwektywną gwiazdy, nie było to główną troską Mariusa. Po prostu nie rozumiał snu Justine.

To, że Gore jakoś wmanewrował Inigo i Aramintę-dwa do Pustki, naprawdę robiło wrażenie. Ale potem wrażenie osłabło. Przemówienie Sercu do rozsądku, co jak twierdził Gore było ich ostatecznym celem, musiało być celem błędnym. Co do tego miał pewność.

A potem wskrzeszono Stąpającego po Wodzie.

– To niezwykle – przyznał Marius.

A to jeszcze nic w porównaniu z przebudzeniem Makkathranu i wzlotem miasta z gigantycznego, wypełnionego lawą krateru, który statek stworzył, kiedy rozbił się tam po inwazji armady.

A Gore oznajmił, że muszą wyprzedzić Ilanthe w drodze do Serca. Makkathran dokonał rzeczy niemożliwej: wszedł w szybkość nadświatlną wewnątrz Pustki.

– Nie – powiedział zaniepokojony Marius. Cokolwiek

planowałyby Gore na czas, kiedy znajdą się wewnątrz Serca, on nie mógł na to pozwolić. Ryzyko było mikroskopijne, niemniej istniało.

Powierzył monitorowanie snu podprogramom drugorzędnym i całą uwagę znowu skierował na odczyty z czujników. Statek Dostawcy nie ruszył się. Nadal był przyczepiony do chronionego tarczą okrągłego obiektu wewnątrz strefy konwektywnej. Wymyślony przez Gore'a związek między tym a Makkathranem wymykał się zrozumieniu, ale najwyraźniej był w tym jakiś cel. Nikt nie poświęcał czemuś tak wiele wysiłku bez powodu.

Jego dylemat polegał na tym, że nie wiedział, czy Gore jest na pokładzie statku, czy z powrotem na planecie. Dlatego proces eliminacji będzie musiał być zarówno dosłowny, jak i prosty. Najpierw statek. Jeśli sen będzie trwał dalej, Gore znajduje się na ojczystym świecie anominów.

Mariusz polecił smartkorowi porzucenie maskowania. Włączyły się aktywne czujniki i wykonały dokładniejszy skan statku wewnątrz strefy konwektywnej. Mimo że statek zaopatrzone w tarczę „Gwiezdnego Nurka” do walki z gorącym jego wielowarstwowe pola siłowe wzmocniono jedynie o dwadzieścia procent. Pozostawały wrażliwe na uderzenia bojowe. Jedyny prawdziwy problem Mariusza polegał na wyborze broni, która zdołałaby sięgnąć w tak skrajne środowisko. Mariusz aktywował nadające się do tego urządzenia.

Oczekiwali na tę chwilę na placu w Sampalok, tuż przed wejściem do rezydencji. Inigo i Corrie-Lyn trzymali się za ręce i prywatnie dzielili myślami. Araminta-dwa nie oddalał się od Oscara – dawali sobie wzajemnie osobliwe wsparcie i pociechę. Trzej Rycerze Strażnicy stworzyli zwartą grupę, czujną i nerwową. Justine i Gore stali ramię w ramię, dumni i wyzywający – ich zdecydowanie lśniło równie jasno jak błysk dziwacznym mijanych gwiazd na zewnątrz. Wreszcie – co dość dziwne – Edeard, przy Troblumie, który ponuro wydał wargi jak naburmuszone dziecko.

Kaskada opalizującego światła ustała równie szybko, jak się pojawiła. Edeard patrzył na szczyt kopuły wstrząśnięty widokiem rozpościerającym się za kryształem. Makkathran szybował przez kosmos nad centrum Morza Odyna. Bezpośrednio nad szczytem kopuły wzburzone jezioro akwamarynowego pyłu stabilnie migotało, ożywione głębinowymi prądami i płomiennymi aureolami protogwiazd. Wokół wybrzeży morza fioletowe rafy rozciągały się na lata świetlne, wąskie splecione warkoczce fluorescencji, które poszerzały się na końcach, tworząc jedwabiste zasłony wokół uwięzionych gwiazd.

– Słodka Pani, nigdy nie sądziłem, że ujrzę taki widok – jęknął Edeard z niedowierzaniem.

Wreszcie jego umysł usłyszał syreni zew. Nie był to śpiew, ale poczucie niepoliczalnej ilości umysłów stopionych w pokoju i przyjaźni, bezpiecznych jako jedność. Razem stanowili całość i połączyli się z materią Pustki na jakimś ostatecznym poziomie egzystencji. Obietnica należenia do takiego związku napełniła go radością. Znużenie i konflikty życia fizycznego skończyłyby się, a on byłby częścią większego istnienia, które sięgało doskonałości. Pragnienie przyłączenia się do nich, dołączenia swej natury, było tak silne, że jeśli trzecia ręka mogłaby go wznieść z placu i przez kryształ, poleciałby do Serca tu i teraz, by uzyskać ostateczną doskonałość. Nie przypominało naiwnego wyobrażenia niemal fizycznego nieba, którego się spodziewał, gdzie dusze trzymają się swych dawnych kształtów i żyją w przepychu w mieście złotych wież. Taki rodzaj życia był w gruncie rzeczy do osiągnięcia tam, na Querencii, jeśli ktoś zdecydowanie i często próbował i odwiedzał swą własną przeszłość, aż do ostatecznego wyeliminowania własnych niepowodzeń i rozczarowań. Nie, Serce spoglądało w przyszłość i w los, który był świeży i różny od wszystkiego, co wydarzało się wcześniej. On by uczestniczył w tworzeniu tego wszystkiego.

– Wszyscy wychwalają to zbikowane hippisowskie gówno? – warknął Gore. – Boże, zmiłuj się.

Edeard próbował się opanować w obliczu równie bluźnierczej

provokacji.

– To wspaniała nagroda za życie przeżyte zgodnie z własną naturą.

– Uhm. Cóż, nie zapominajmy, po co tu jesteśmy. Musimy dostać się do środka.

– Nie istnieje fizyczna lokalizacja – poinformował ich Makkathran, kiedy Edeard poprosił, by podlecieli bliżej. – Przynajmniej nie w stosunku do materii Pustki na tym poziomie. Serce leży raczej „poza” wszystkim niż „za” czymś. To jest ostateczna bariera, ta, która pokonała nas poprzednim razem.

– Poproś je, by nas wpuściło – powiedział Oscar.

Edeard powoli skinął głową. Mimo wszystko niechętnie inicjował wydarzenie, które może doprowadzić do końca całej Pustki. Co, jeśli oni kłamali? Wiedział, że to głupi brak pewności siebie. Dobry stary ashwellski optymizm, nawet tutaj. Inigo nie kłamie, nie mnie.

– Jak coś tak wspaniałego może mieć taką skazę, żeby zagrażać wszelkiemu życiu?

– Ponieważ nie wie, że stanowi niebezpieczeństwo – odparł Gore.

– Jakże to?! – krzyknął. – To niesamowite. Zbiorowisko bilionów i bilionów umysłów. Jak możesz być tak arogancki i próbować zmienić jego ścieżki?

– Te życia, które skonsumowało, przesypiają jedynie swoje istnienie. Dusze, które doprowadzono tutaj, zostały zdradzone. Mądrość, którą przynieśli, wieczne życie, które im obiecano, to wszystko jest marnowane.

– W porządku.

Edeard sięgnął do Serca. Jestem tutaj, powiedział mu. Jestem gotowy. Jestem spełniony. Zabierz mnie do siebie. Wstrzymał oddech. Nic się nie stało. Jestem tutaj, powtórzył.

– Przestań się starać – powiedział Oscar. – Pozwól tylko ogarnąć się pragnieniu. Uspokój się i poddaj temu.

– Już tam jesteś – powiedziała Corrie-Lyn. – Sam posłuchaj.

– Bardzo dobrze – powiedział Edeard.

Brzmiało to głupio, ale zamknął oczy, potem wycofał swój

dalwzrok, pozwalając, by do jego wnętrza wsączyła się obecność Serca. Sam słuchał. Prawdę mówiąc, tam byli inni, których chciał słyszeć, do których chciał dołączyć: Kristabel, Macsen, Dinlay, Kanseen. Akeem! Czy czekał? Czy znalazł swoją drogę? Z pewnością byłby tam Finitan. I Rolar, i Jiska, i bliźniaczki, Dylorn i Marakas, i słodka Taralee. Może nawet Salrana, która może w końcu przestanie się z nim kłócić – nadal nie mógł zapomnieć tamtej nocy, kiedy odkrył prawdziwą naturę Pustki. W pawilonie, po jej śmierci, jej dusza wpadła w panikę, kiedy zdała sobie sprawę, że zabłądziła. Może...

– Bariera opada – powiedział Makkathran.

Edeard otworzył oczy i zobaczył, jak Morze Odyna znika w oddali. Światło po prostu zniknęło i otaczała ich nicość. Idealna, jednorodna czerń. Myśli serca spotężniały. Edeard instynktownie wzmocnił swą tarczę. Jego umysł rozszerzał się, poruszał, by objąć Serce, wypływać na zewnątrz, by do niego dołączyć.

– Edeardzie! – krzyknął Inigo.

Przerażenie brata było silne. Zawahał się.

– Edeardzie, wracaj. – Inigo go zmuszał, nasycił ich więź miłością.

Ponownie otworzył oczy. Tym razem solidna rezydencja Sampalok wydawała się niewyraźna. Kiedy uniósł dłoń, stawała się coraz bardziej przezroczyta.

– Ono go wchłania – powiedział Gore. Z umysłu złotego mężczyzny wypływał niepokój. – Edeardzie, musisz się trzymać.

– Bez ciebie zostaniemy odrzuceni – ostrzegł Makkathran.

– Edeardzie, czy tam w środku wyczułeś coś, co mogłoby z nami rozmawiać? – spytał Gore. – Jeden spójny umysł?

Edeard musiał się zaśmiać.

– Serce jest większe niż światy. Jest powszechne. Leży za wszystkim w Pustce. I nadal rośnie.

– Pieprzyć to – warknął Gore. – Jeśli wyrosło tak duże, straciło spójność. W porządku, Edeardzie, nie zawsze tak wyglądało. Chcę, byś się cofnął do czasu, gdy było mniejsze.

– Co takiego?

– Wejdz do warstwy pamięci, prześledź ją aż do powstania. No,

synu, możesz to zrobić.

– Oprzyj się na mnie – rzekł Inigo. Schwycił dłoń Edearda, nasycając go siłą i miłością. – Pomogę ci.

– Ja też, Stąpający po Wodzie – powiedziała Corrie-Lyn.

Jej stanowczość i hart ducha sprawiły, że Edeard uśmiechnął się z wdzięcznością.

Nadeszli Oscar i Rycerze Strażnicy.

– Wszystko, czego będziesz potrzebował – obiecał szczerze Tomansio i Edeard pożałował, że nie znał dłużej tego wojownika.

Justine, uśmiechnięta i zdeterminowana, dodała swą esencję, podnosząc go na duchu. Nawet Troblum tu był, niezawodny i zdecydowany.

Gdziekolwiek byli, istniała tu warstwa pamięci, a to najbardziej zaskoczyło Edearda. Dziwnie niezagracona, łatwa do postrzegania, do wędrówki nią wstecz. Zanurkował w przeszłość, zasmucony tym, że zmieniło się tak mało. A potem nagle Serce nie było już tak wielkie. To było przed nadejściem ludzi. W dalszym ciągu zanurzał się wstecz, pracując coraz mocniej.

Pojawiło się wiele zmian, rozdzielonych od siebie eonami, a potem występujących jeszcze rzadziej. Każdy obcy gatunek przybywający do Pustki wkładał coś na swój sposób do ekspansji. Żaden nie przyniósł prawdziwej spójności. Edeard czuł, że coś tu nie gra, że stopienie zawsze działało w kierunku przeciwnym do celu Serca.

W końcu myślał tylko o locie tunelami podróznymi, o szybowaniu w nieznane, zadowolając się po prostu samym aktem podróżowania. Bardzo się zdziwił, kiedy to się skończyło. Warstwa pamięci stała się jakoś cieńsza, mniej zagracona. I tam, dokładnie u początku Pustki, kiedy Serce się kształtowało, znajdowały się miliony połączeń do indywidualnych umysłów. One mogły komunikować się z Sercem. One tworzyły połączenie, drogę do środka. Doścignął jednego i objął go, wyniósł w górę, do warstwy tworzenia, dostrzegając, jak istota znowu nabiera formy.

Edeard odłączył się od warstwy pamięci, strząsnął z siebie poufałe kontakty swych nowych przyjaciół i zaskoczony zrobił głęboki wdech. Bezpośrednio przed nim, w wyjściu na ulicę

Zulmal, sześciometrowy obcy odwijał swe niepokojąco wijące się kończyny, a jego myśli wrzały zaskoczeniem i podejrzliwością.

– Ojej! – jęknął Oscar i cofnął się o krok. Mimo to uśmiechał się wylewnie.

– Pierwotny Byt – oznajmił Edeard. Był zastraszony tyloma zakrzywionymi ostrymi zębami na szczycie grubego centralnego pnia. Obcy otwierał swe połyskujące ustne membrany, by gwizdać z przyprawiającą o ból głośnością.

A potem coś poruszyło się w nicości na zewnątrz kopuły. Ciemna sfera nękana fioletowymi rozbłyskami wślizgnęła się gładko nad statek.

– Co robicie? – spytała Ilanthe.

Marius był zafascynowany Sercem i myślami, które wyśpiewywało. Naprawdę tylko tak się dało to opisać. W pewnym sensie odczuwał ulgę, że jest ono tak rozległe, tak wyniosłe. Głupi plan Gore'a, by z nim rozmawiać, zmusić je do zobaczenia tego, co Gore uważał za rozsądne, nie mógł się nigdy powieść w takim środowisku. Złoty mężczyzna sikał pod wiatr.

A potem stał na centralnym placu Sampalok, obserwując przez Justine, jak Gore każe Stąpającemu po Wodzie przeszukać warstwę pamięci, by znaleźć młodsze, bardziej dostępne Serce.

– Nie, nie, nie – wyśpiewywał z przerażeniem.

W egzowizji oglądał broń statku. Wybrał parę bomb kwantowych o funkcji odchylenia energii. One zaktywizują się w fotosferze i wyślą falę ogromnego zniekształcenia energii egzotycznej, by uderzyła w statek Dostawcy. Jego osłona z programu „Gwiazdny Nurek” nigdy nie wytrzyma podobnego uderzenia. Bez względu na to, czym jest plan Gore'a, uruchomiony tam, w dole, w strefie konwektywnej, zostanie on unicestwiony. To da Ilanthe okno czasowe na wdrożenie fuzji.

Dwa wystrzelone pociski pomknęły z przyśpieszeniem stu pięćdziesięciu g. Jego egzowizja wyrzuciła obraz z czujników, pokazujący, że hiperprzestrzeń anormalnie wybuchła pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od jego własnej pozycji. Jeden z olbrzymich

strażników granicznych zmaterializował się z deformacji przestrzeni. Jego koncentryczne skorupy z eliptycznych pasm płonęły wzmocnionym neonowym światłem. Najbardziej zewnętrzne pasma ciemniały od krzykliwej zieleni do promiennego karminu. Czujniki Mariusa wskazywały, jak widmo szalejącej energii wewnątrz strażnika granicznego skacze niemal poza skalę. Strażnik wystrzelił w pociski z bombami kwantowymi, które rozpęły się w dynamiczny pióropusz pary.

– Cholera! – Marius całkowicie strząsnął sen i wysłał swój statek ku strażnikowi z przyśpieszeniem trzydziestu siedmiu g. Broń wycelowała w jaskrawą aureolę. Otworzył ogień.

Bez względu na to, jak ciężkie miotał przekleństwa, jak szybko jego rozszerzony umysł aktywował pakiety infiltracyjne, Gore wiedział, że to nadchodzi. Nic nie mógł z tym zrobić. Jego szalone przechwałki na temat hakerów Wspólnoty okazały się czcze i puste. I wszystko w Galaktyce z tego powodu zginie.

Chyba że...

– Cholera. Ruszaj. Zainicjuj wormhol. Kurwa, pchnij trochę mocy w moim kierunku. Zrób to. Zrób natychmiast.

Nakazał pakietom się aktywować, przejąć sterowanie.

Za późno. Gore postrzegał, jak ze stłumionego mamrotania miasta wyłania się znowu ta chłodna świadomość. Obserwowała otoczenie zastępem dziwnych zmysłów.

– To wrogі akt – oznajmił mechanizm transcendencji. – Próbujesz ukraść moją podstawową naturę. Nie jest ona przeznaczona ani dla ciebie, ani dla twojego rodzaju, i to z ważnych powodów.

– Taa. Tak twierdzisz. Tak jak ci powiedziałem, Pustka zaraz się rozszerzy i unicestwi ten układ gwiazdny. – Sen pokazał mu wielki Pierwotny Byt w Sampalok, wściekle trzęsący swoim grubym muskularnym cielskiem, kiedy próbował zorientować się w sytuacji. A potem nad głowami pojawiła się Ilanthe. – Och, kurwa-dziewica, nie! – błagał Gore. Nie, nie ona, nie teraz. Porażka była silniejsza niż cios fizyczny, powaliła go na kolana na

środku placu. Wszędzie dokoła niego połyskujące czarne pasma sieci infiltracyjnej zaczęły się tlić, napełniając powietrze rzadkim, kwaśnym dymem. – Zabijasz nas! – wrzasnął w noc. – Chciałem tylko pokazać Sercu, to wszystko, tylko pokazać kutafonowi, że jest alternatywa, dowieść, że może ewoluować.

Tyzak podchodził ostrożnie do niego, z rozważą przekraczając potrzaskującą sieć.

– Mam to! – zawołał Dostawca. – Syfon został aktywowany. Wormhol ustawiony. Udało się nam!

– Odlatuj – powiedział mu Gore bezbarwnym głosem. – Odleć do świeżej galaktyki, takiej, która nie jest przeklęta, tak jak ta. Nie pozwól, żeby wszechświat o nas zapomniał.

Trzeci strażnik graniczny implodował wśród parzącego płomienia fioletowego promieniowania Czerenkowa. Połamane pasma z koncentrycznych skorup odwinęły się, wypuszczając z wielką szybkością gęste skrzące się gazy. Marius wykrył następną piątkę – materializowały się z własnych, oddzielnych rozdarć hiperprzestrzeni. Sprowadził statek w okolice po szybkiej krzywej, ścigając szczątki, które rozlatywały się po ostatniej implozji. Z bitwami tak blisko gwiazdy był zawsze kłopot: brakowało odpowiedniej masy, na którą podziałyby bomby kwantowe.

Czujniki wykryły trzy największe kawałki skorupy. Wypuścił pociski do każdego z nich. Bomby kwantowe z funkcją odchylonej energii aktywowały się, zmieniając kłębiącą się masę w energię. Egzotyczne zniekształcenia rzuciły się na egzotyczną pseudomaterię i uderzyły w dwóch strażników, kiedy ci ciągle jeszcze wychodzili z hiperprzestrzeni. Nieznośne transformacje zmiażdżyły strażników aż do gęstości neutronowej. Wraki natychmiast wybuchwały, wychodząc ze swojego niemożliwego stanu kompresji, nasycając lokalną czasoprzestrzeń nadzwyczaj gwałtowną burzą neutronową.

Siedem promieni energetycznych paliło po polach siłowych ochraniających statek Mariusa. Jego egzowizja wyświetlała ostre

ostrzeżenia przed przeładowaniem. Wystrzelił następne dziewięć m-rzapi Hawkinga, przeciwko którym ocaleni strażnicy graniczni nie mieli środków obrony. Patrzył wściekle, jak atakujący otworzyli małe wormhole, które połączyły pięć m-rzapi. Następna salwa promieni energetycznych namierzyła jego statek. Pociski mknęły ku niemu z dziewięćdziesięcioma g, a on mimo to nie zdołał zniszczyć statku Dostawcy.

Czujniki donosiły o wormholu o zerowej średnicy, który utworzył się między gwiazdą a macierzystym światem anominów. Smartkor odrzucił hipotezę, że jest to broń. Marius nakazał pilny przegląd. Wormhol pochodził z tajemniczego obiektu – napotkał go statek Dostawcy.

To musiał być jakiś system zasilający. Co mogło wymagać aż takiego poziomu energii? Mechanizm transcendencji! Marius wiedział to z całkowitą pewnością. Gore znalazł sposób, by go włączyć. Stawał się postfizyczny. Tylko to mogło zagrozić fuzji.

Marius aktywował ultranapęd statku i pomknął ku gwieździe. Wynurzył się tuż nad wirującymi wstęgami fotosfery, gdzie kipiały wzbudzone atomy z mnóstwa miejsc i rozbłysków, tworząc wiatr słoneczny. Wszystkie ostrzeżenia o parametrach pól siłowych wykazywały stan krytyczny, bo statek otrzymał pełny podmuch promieniowania i gorąca. Marius odpalił dwie bomby „nowa” prosto w dół, a potem odskoczył w hiperprzestrzeń.

Za nim strażnicy graniczni zbierali się masowo nad fotosferą. Osiemnaście gigantycznych maszyn pomknęło z hiperprzestrzeni. Odpalali na bomby „nowa” wystarczająco wiele broni, by rozwalić księżyc. To nic nie dało. Według projektu bomby „nowa” miały funkcjonować na obrzeżach gwiazdy, natomiast bronie strażników po prostu bezużytecznie pompowały więcej energii do szalejącego solarnego pieca.

Trzydzieści sekund przed ich detonacją Marius już znajdował się poza układem anominów. Nowa zlikwiduje stację zasilającą, a później rozszerzy się dalej, unicestwiając kilka minut później macierzysty świat anominów. Misja Progresywidów była bezpieczna.

Edeard nie miał pojęcia, na kogo zwracać uwagę. A gdyby nawet wiedział, czy miałyby to znaczenie? Zdumiewający Pierwotny Byt prostował się. Kilka niewielkich czarnych błon na szczycie swego pnia obrócił ku ludziom. Skierował również ku nim potężny dalwzrok.

Nad kopułą ta rzecz – Ilanthe również ich obserwowała. Edearda przestraszyło to, do jakiego stopnia różniła się od ludzi. Dalwzrokiem nie potrafił nawet musnąć jej tajemnic, ale jej moc była oczywista. Wydawało się, że Serce wygina się wokół lśniącej powierzchni Ilanthe.

Teraz najbardziej niepokoił go Gore. Złoty mężczyzna potykał się, padał na kolana. Jego mózg emitował bolesny lament, jakby gwałcono jego duszę.

– Tato! – krzyczała gorączkowo Justine. – Tato, o co chodzi? Co się dzieje?

– To mnie złapało – odpowiedział słabym głosem Gore. – Skurwysyn znalazł pakiety infiltrujące.

– Mogłam ci powiedzieć, że mechanizm anominów jest uparty – oznajmiła z samozadowoleniem Ilanthe.

Pierwotny Byt postąpił krok ku ludziom, jego trzy stopy tupnęły o powierzchnię placu z taką siłą, że Edeard czuł to w kościach.

– Co to za miejsce? – pytał dalmową Pierwotny Byt. – Czym jesteście? Nie jesteście nami.

Inigo stawiał czoło imponującemu stworzeniu.

– To twoja przyszłość. Jesteś odtworzony z pamięci Pustki.

Dalwzrok Pierwotnego Bytu znowu sondował otoczenie, jego nadzwyczajny zasięg pozwalał na skanowanie miasta i dość głębokie wkopanie się w główny korpus okrętu. Próbował również badać Ilanthe, ale odchyliła go bez wysiłku.

– Jesteście omega? – zapytał zaskoczony.

– Nie – odparł Inigo. – Powstaliśmy na zewnątrz Pustki.

– Jak to możliwe? Na zewnątrz nie ma nic, jedynie martwa materia.

– Czy jesteście twórcami? Czy to twój gatunek to zbudował?

- Tak.

- My i wielu innych zostaliśmy wciągnięci do wnętrza, byście mogli badać naszą racjonalność.

- Nie jest tak. Nie możecie istnieć, jeśli nie ukształtowała was omega.

- Istniejemy i Pustka nas nie stworzyła. Pustka nas zabija.

- Nie rozumiecie swojego celu. Właśnie dlatego zostałem przywołany tutaj. - Pierwotny Byt tracił pewność.

- Nie. Możesz komunikować się z Sercem, umysłem, który nas otacza. Właśnie dlatego...

- Poczekajcie - przerwał Troblum. Zignorował skupione na sobie spojrzenia pozostałych. - W waszych czasach w Galaktyce były inne gatunki rozumne?

- Jesteśmy tylko my. Jesteśmy pierwsi, a kiedy osiągniemy omegę, będziemy ostatni.

- Pierwotny Byt. Pierwsza rasa, która wyewoluowała w Galaktyce. Sprzed ilu lat on pochodzi? - dziwił się Oscar.

- Jest bardzo, bardzo dawny - stwierdziła cicho Justine. - Nigdy nie przypuszczaliśmy, że ktoś tak dawny w ogóle może istnieć.

- Od twojego czasu niezliczone gatunki wyewoluowały w całej Galaktyce - powiedział Inigo. - Byliście pierwsi, ale już nie jesteście sami.

Myśli Pierwotnego Bytu zawirowały w zdumieniu.

- Nie jesteście nami? Jesteście oryginalni?

- Tak jest.

Czarne membrany załopotały wzburzone. Połyskujące, miódopodobne kropelki pojawiły się na ich końcach.

- Dlaczego jesteście tutaj?

- Ta rzecz, którą zbudowaliście, Pustka, teraz zagraża całej Galaktyce. - Gore znowu wstał. - Rozumiem, dlaczego ją zbudowaliście - by ewoluować w coś nowego, coś wspaniałego. Nie wyewoluowaliście. Zamiast tego ona zaabsorbowała tysiące umysłów różnych typów, które ją pociągnęły we wszystkich kierunkach. Ona nie może ewoluować, nie w tym stanie.

- Właśnie - wtrąciła Ilanthe. - Spytaj te stworzenia, czego chcą od ciebie. Chcą, byś przestał. Chcą, żeby wszystko, co osiągnąłeś

w drodze do omegi, zwiędło i zginęło. Nie mają nic innego do zaoferowania. Ja mam.

– Dlatego mnie wywołałicie? – spytał Pierwotny Byt. – Aby zakończyć naszą ewolucję?

– Ta ewolucja nie może przebiegać dalej w obecnym kształcie – stwierdził Inigo. – Ona konsumuje masę Galaktyki, aby napędzać swoje istnienie. W końcowym rachunku pożre wszystkie gwiazdy i razem z nim umrą gatunki przy nich zrodzone.

– Jeśli natychmiast nie zadziałasz. Skomunikuj się z połączonym umysłem i powiedz mu, by przyjął moją inwersję – powiedziała Ilanthe.

– Co to jest ta twoja inwersja?

– Wezmę materię Pustki i zaimplantuję ją w polach kwantowych, które określają budowę wszechświata na zewnątrz. Ten rdzeń zainicjuje reakcję łańcuchową, która rozpowszechni zmianę w całej czasoprzestrzeni. Entropia zostanie wyeliminowana. Umysł stanie się nadrzędny. Każda istota rozumna zyska okazję osiągnięcia własnej omegi, jakiej oczekiwaliście dla siebie. Wasze dziedzictwo stanie się narodzinami nowej rzeczywistości.

– Co za kurewski żart! – wydyszał Gore. – Każda fala transformacji pola kwantowego po prostu się odwróci, kiedy już rozszerzy się poza strefę początkowego wkładu energii. Zostaniesz tylko z zapadającym się miniświatem, który oddzieli się od rzeczywistości tuż po implozji.

– Nie, jeśli entropia zostanie wyeliminowana.

– Nie możesz wyeliminować entropii w całej nieskończoności. Do cholery, na tym właśnie polega „nieskończoność”. Jest na wieczność i trwa zawsze.

– Poproś połączony umysł, by dał mi parametry rządzące Pustką – powiedziała Ilanthe do Pierwotnego Bytu.

– Nie rób tego! – Gore wyciągnął rękę ku Pierwotnemu Bytowi.

– Nawet o tym nie myśl. Twoje szaleństwo zniszczy to całe nadskupisko.

– A co oferujesz ty? – szydziła Ilanthe. – Koniec ich podróży ku omedze?

- Od kiedy zbudowaliście Pustkę, setki gatunków wyewoluowały do stanu postfizycznego, który nazywacie omegą - powiedział Gore. - Można to zrobić, ale nie w ten sposób. Przykro mi, ale popełniliście błąd, budując Pustkę. Musicie spowodować, że Serce zaprzestanie pożerać masę swoją granicą, zawiesić funkcje Pustki, ustabilizować się. Pokażemy wam, jak osiągnąć prawdziwą ewolucję w inny sposób.

- Nie możesz - protestowała Ilanthe. - Każdy gatunek musi znaleźć swój własny sposób.

Pierwotny Byt nie odpowiedział. Z cienkich listków wokół jego ust wydobywał się gwizdzący dźwięk, kiedy powietrze wiało wokół jego zębów. Edeard miał świadomość, jak myśli istoty pulsują na zewnątrz, by zostać zabsorbowanymi przez Serce. Nie mógł tego naśladować. Wiedział, że nigdy nie zdoła porozumieć się z Sercem bezpośrednio.

- Mrok nas zaćmiewa - powiedział w końcu. - Coś rośnie na zewnątrz naszej granicy, całun, który odmówiłby nam wszechświata.

- Raiele-wojownicy - wyjaśniła Ilanthe. - Przysięgli, że usiłują się odciąć cię od źródła energii, zagłodzić się na śmierć. Staną się nieistotni dzięki zmianie, którą mogą zainicjować. Z czasem, w nowym wszechświecie, nauczą się święcić wasze wyzwolenie.

- Czy chcecie nas zniszczyć? - spytał Pierwotny Byt.

- Domagamy się, byś zakończył swoją absorbcję Galaktyki, grożącą wytępieniem wszelkiego życia - odparł Makkathran. - Jeśli nie zrobicie tego dobrowolnie, mamy prawo was zatrzymać.

- Nie musicie nic zatrzymywać - powiedziała Ilanthe. - Inwersja wszystko omija. Wszyscy osiągniemy obietnice naszej ewolucji. Daj mi sterujące parametry.

- Poczekaj! - zażądał Gore. - Chyba moja alternatywa stała się właśnie dostępna. - Uniósł złotą głowę i uśmiechnął się słodko i złowrogo do Ilanthe. - I zgadnij, kto to umożliwił. - I zaczął śnić o swoim życiu tam, na zewnątrz Pustki.

Dostawca patrzył z przerażeniem, jak bliźniacze sygnatury

kwantowe rozszerzają się z prędkością nadświetlną. Marius odpalił w gwiazdę bombę „nowa”. Nie do wiary! To było ludobójstwo.

Funkcje odchylenia energii zabsorbowały energię wyzwoloną z pierwszego impulsu aktywacyjnego, modyfikując go, by osiągnąć efekt anihilacji. Objętość wnętrza gwiazdy o rozmiarach superjowiszowego gazowego giganta została przemieniona bezpośrednio w energię. Strefa konwektywna spęcała dookoła swej granicy. Był to pierwszy akt sekwencji, w której wyniku rdzeń gwiazdy zostanie ściśnięty poza swą stabilność.

Monstrualne fale uderzeniowe pędziły w kierunku „Ostatniego Wyskoku” z szybkością niemalświatłą.

– Niech to Ozzie pieprzy!

Zanim zdążył to powiedzieć, jego przyśpieszone myśli nakazały smartkorowi włączyć ultranapęd. Nie przewidywano, że będzie operował w gwiazdnym polu grawitacyjnym, ale Dostawca już i tak uważał się za martwego.

Wszechświat najwyraźniej nienawidził takiej aberracji i wysłał mściwe siły, by dziko rwały sprawcę. Wreszcie kabinę ożywiały hałasy, drżenia i ostrzeżenia, tak jak wcześniej wydawało mu się, że chciał. Ścianki działowe pękały, setki drobnych szczelin otwierały się szeroko. Iskry i spreje maziowatych cieczy przesywały powietrze, ubijane przez cyklon fal grawitacyjnych, które gwałtownie ciągnęły Dostawcę we wszystkich kierunkach. Wrzasnął przerażony...

Dwie sekundy. Czas, który zajęło ultranapędowi wyszarpanie „Ostatniego Wyskoku” z niewiarygodnego gradientu grawitacyjnego gwiazdy. Czas, w którym zadziwiająca ilość bólu wzbierała w systemie nerwowym Dostawcy. Czas, w którym przeciążone komponenty statku musiały trzymać się razem. Większość z nich się trzymała.

Świat Dostawcy uspokoił się. Grawitacja wygasła swe dzikie fluktuacje. Wibracje wstrząsające kadłubem statku zanikły; jego wrzask przeszedł w ciche skomlenie.

A tam daleko, we śnie, Ilanthe błagała Pierwotny Byt, by dał jej klucz do natury Pustki.

– Gore! – zawołał.

– Co się dzieje? – zapytał złoty mężczyzna. – Z syfonu płynie moc.

– Do diabła, chcesz powiedzieć, że to przeżyłeś?

– Przeżyłem co?

– Mariusa! Słodki Ozzie, on użył bomb „nowa”. Gore, gwiazda staje się nową. To się już zaczęło. Ten pieprzony zwariowany świr zabił wszystko w układzie. Tyzak! Ostrzeż Tyzaka. Przylatuję cię zabrać. – „Ostatni Wyskok” w tym momencie zbliżał się już do macierzystego świata anominów. Dostawca projektował trasę, która doprowadziłaby go do miasta, gdzie zostawił Gore’a.

– Oni wiedzą – rzekł Gore.

Trzeci Śniący opuścił Makkathran, by śnić o mieście anominów. Fantastyczne światła w pustych budynkach pałały teraz słoneczną glorią. W swoich ostatnich minutach miasto budziło się z wyzwaniem, by stawić czoło swej zagładzie. Gore odwrócił się do Tyzaka, który patrzył na kilka spokojnych gwiazd widocznych bezpośrednio nad placem. Niewielka plama ciemnego nieba bladła, a światło budynków stawało się coraz silniejsze. Wreszcie stare myśli obcych sunęły przez wariant gajASFery, który ustalił się wokół planety. Wszystkie systemy i urządzenia pozostawione przez anominów włączały się. Tysiące strażników granicznych materializowały się na orbicie.

Dostawca wiedział, że to wszystko na próżno. Teraz już nic nie mogło ocalić planety.

– To byliśmy my – powiedział Gore Tyzakowi. – Ludzie. My to zrobiliśmy. Tak mi przykro.

– Ty tego nie zrobiłeś – odparł Tyzak. – Twoja pieśń pozostaje czysta.

– Dzisiaj zawiodłem tyle razy.

– Chyba masz odnieść swój największy sukces. Zdaje się, że oni tak myślą.

Gore zobaczył, że plac otaczają setki silfenów i wszyscy trzymają się z dala od brzegu mechanizmu transcendencji.

– To właśnie jest los, który zgotowała nam nasza planeta –

powiedział Tyzak. – Nie oczekiwałem tego, ale co jest, to jest. I może planeta wiedziała cały czas, do zrobienia czego zostanie wezwana. Odejdę, wierząc właśnie w to.

Anominowie zaczęli się teleportować, pojawili się na całym placu. Setki z nich, a potem tysiące. Podekscytowani młodzi głośno piszczełi. Tak było w każdym mieście na planecie.

– Gore, co się dzieje?- spytał Dostawca.

Gore uśmiechał się do Tyzaka wśród tłoczących się wokół niego anominów.

– Leć do domu – powiedział Dostawcy. – Zaslugujesz na to.

– Gore...?

Gore zamknął połączenie transwymiarowe. Zwinął z powrotem do swego umysłu wszystkie swoje drugorzędne podprogramy. Teraz została tylko jedna świadomość, dzięki czemu był bardziej zbliżony do człowieka niż podczas tyłu wieków. Jego sen pokazywał mu Justine z wyrazem niepokoju rozlewającym się na pięknej twarzy. Ona wiedziała.

Tyzak wywołał mechanizm transcendencji.

– Czuję cię – powiedział mechanizm transcendencji. – Jesteś Tyzak.

– Tak jest.

– Czy życzysz sobie osiągnąć transcendencję z twojego fizycznego istnienia?

– Tak.

– Tato? – spytała Justine.

Myśli Gore'a uspokoiły się. Wyciągnął ramiona i popłynął wolno przez plac do oczekującego Pierwotnego Bytu.

– To jest ewolucja – powiedział wielkiemu obcemu. – Omega, której szukaliście tak długo.

– Nie, tato, nie możesz. Nie jesteś anominem.

Justine zaczęła biec. Trzecia ręka Edearda złapała ją.

– Dzisiaj nim jestem – powiedział łagodnie Gore.

– Nie – łkała. – Tato, proszę.

Daleko poza granicą Pustki mechanizmy transcendencji na

macierzystym świecie anominów wchłonęły energię grzmocącą z eskalującej nowej. Zaadaptowały ją i oferowały pozostałościom swego gatunku i jednemu obcemu, który czekał z nimi.

Gore czuł, jak jego umysł zaczyna się zmieniać, wznosić. Uzyskiwał elegancką perspektywę wszechświata.

– Tak to trzeba robić – powiedział Pierwotnemu Bytowi, kiedy się rozdzielali.

Wcześniej zebrał wszystko, co wykonywał mechanizm transcendencji, metodę i wynik, ku któremu teraz mknął. Połączenie było teraz takie wątłe, tak go przesycił przejmujący żal Justine, kiedy utrzymywała przekaz między nimi dwoma.

– Oto czym możecie się stać. To jest przeznaczenie. Zostawcie swoją przeszłość za sobą i odzyskajcie początkowe marzenie. Tak jak... – Przekazał całe doświadczenie swej transcendencji Pierwotnemu Bytowi, który z kolei podzielił się nim z Sercem. I po chwili już go nie było.

Edeard stał na czele grupy zwrócony ku Pierwotnemu Bytowi.

– Musisz wybrać – powiedział przytłaczającemu obcemu, świadomy, że Serce skupia się na nim. Ilanthe też.

– Robimy to – odparł Pierwotny Byt. – Wybieramy ewolucję. Właśnie dlatego stworzyliśmy to miejsce. To jest to, do czego aspirowaliśmy tak dawno temu. Każde inne postępowanie to zdrada wszystkiego, czym byliśmy i do czego dążyliśmy. Nie ma innej drogi.

– Dziękuję ci.

– To zły wybór – oznajmiła Ilanthe.

– Powinnaś pójść z Sercem – powiedział jej Inigo z obrzydzeniem. – W tym wszechświecie nie ma dla ciebie miejsca. Chciałaś być bogiem – oto twoja szansa. Jeśli ono cię przyjmie.

– Możecie pójść z nami – zwrócił się Pierwotny Byt do rdzenia inwersji. – Oferujemy zabranie was wszystkich.

– Nieee... – odparł Oscar. – To nie dla mnie. Nie jestem jeszcze na to gotowy.

Inigo patrzył na Pierwotny Byt w zamyśleniu.

– Nie – błagała Corrie-Lyn. Ujęła jego dłonie i przytuliła się do niego. – Nie rób tego. Nie mogę się tym stać ani nie mogę znowu cię stracić.

– Kiedy dotrzemy do domu, będziemy musieli zapłacić honiowsowo wiele.

– Stawię temu czoło razem z tobą.

– W porządku. – Wyciągnął dłoń do Edearda. – A ty?

– Muszę zobaczyć światy, które ukazałeś mi na chwilę. I... – Edeard uśmiechnął się z zakłopotaniem. – I tyle rzeczy pragnąłbym zrobić.

– Ktoś jeszcze? – spytał Inigo.

– Justine? – powiedziała niepewnie Corrie-Lyn.

Justine wytarła wilgoć z oczu.

– Nie. To koniec. Wracajmy do domu.

Gwiazdy Muru świeciły teraz z jasnością równą reszcie Galaktyki – niebieskobiały kołnierz skuwający Zatokę. Wewnątrz powłoka powstrzymująca była niemal gotowa. Pasma ciemnej siły stworzone przez obronę raielów zespoliły się. Pozostało jedynie kilka luk, a one szybko się zmniejszały. Wewnątrz mrocznej powłoki zautomatyzowane monitory raielów kontynuowały obserwację granicy Pustki, tak jak to robiły przez ostatni milion lat. Pozostawała spokojna, odkąd przeszła przez nią Flota Pielgrzymki.

– Zaczyna się – szepnął Qatux.

Paula próbowała opanować oszołomione myśli. Sen Gore'a wywołał u niej zawroty głowy, zachwyt i niesamowite wrażenie. Przez chwilę chciała być tam, stać w Sampalok z Pierwotnym Bytem, powiedzieć Sercu, że chce do niego dołączyć.

„Dzięki”, powiedziała bolesnej nieobecności w gajaserze, tam gdzie kiedyś był Trzeci Śniący. „Mimo wszystko, zasługujesz na to, by być pierwszym z naszego gatunku, który osiągnął transcendencję. Mam tylko nadzieję, że tam nie odczuwa się zbytnej samotności”.

Westchnęła głęboko i skupiła się na displeju dominującym nad

prywatną komnatą Qatuxa. Powierzchnia granicy Pustki zmieniała się. Wąska grań podniosła się z równika, rozciągając się aż do świecącej pętli. Tak jak wcześniej, umierająca masa rozkruszonych gwiazd upadła na horyzont zdarzeń.

- Tym razem będzie inaczej - obiecała Paula. - Tym razem wchłonie ona energię, by zasilić ewolucję.

- Czuję, że masz rację - zgodził się Quatux.

Całość pętli została objęta, wchłonięta przez granicę. Grań zaczęła się wycofywać. Potem sama Pustka kurczyła się. Grawitacja, główny czynnik wzmacniający granicę, osłabła. Nieprzenikalny płaszcz, który pokonywał tak długo naturę, spadł i Pustka leżała obnażona w jądrze Galaktyki.

- Ojej! - westchnęła Paula zadziwiona.

Pustka osiągnęła transcendencję.

Kiedy zniknęła, kiedy normalna czasoprzestrzeń odzyskała to, co straciła, ogromne okręty raielów wleciały do środka, by zbadać mrok, który zostawił po sobie ich wielki wróg. W Zatoce praktycznie nie istniała materia, nie było żadnego promieniowania, światła. Żadnych mgławic.

Dokładnie w centrum okręty znalazły pojedynczą, jasną gwiazdę z samotną, odpowiednią dla ludzi planetą. I jednego ze swoich.

Statek wojenny raielów wślizgnął się w czasoprzestrzeń nad Icalanise, przytłaczając swymi rozmiarami oddalonego o pięćset kilometrów „Wysokiego Anioła”. Qatux i Paula teleportowali się do niego, materializując się w okrągłym pomieszczeniu o średnicy ponad stu metrów. Podobnie jak w kwaterze raielów na „Wysokim Aniele” sufit tu ukryto, tworząc wrażenie, że pomieszczenie rozciąga się w górę w nieskończoność.

Paula z zainteresowaniem patrzyła na oczekujących raielów-wojowników. Zakładała, że będą więksi od Qatuxa. Okazało się jednak, że mają tylko dwie trzecie jego wielkości, ale w miejscach, gdzie skóra Qatuxa robiła wrażenie wyprawionej, mieli twarde niebieskoszare segmenty. Pod ich powierzchnią mrugały światełka, sprawiając wrażenie, że jest to sztuczna zbroja. A może już obecnie jest to modyfikacja genowa, jak u ludzi klastry wielokomórkowe, pomyślała Paula.

Neskia stała między raielami. Jej szyja kołysała się z boku na bok jak uniesiony pionowo wąż. Złote pierścienie, tworzące na szyi tuleję, zachodziły gładko jeden na drugi, nie odsłaniając ani kawałka ludzkiego ciała. Metalicznoszary, powierzchniowy połysk jej skóry został przytłumiony. Na widok Pauli jej powieki mrugnęły. Mogło to oznaczać zaintrygowanie. Paula nie była pewna. Z pewnością zaskoczyła ją wiadomość, że agentka Progresywiistów poddała się raielom-wojownikom bez żadnych problemów.

- Byłaś zamieszana w ustanowienie bariery solarnej - powiedziała Paula.

Neskia milczała.

- Proszę, chciałabym natychmiast dostać kod dezaktywacji.

- A co potem?

- Będiesz przedmiotem śledztwa w sprawie swoich działań.

- Prowadzonego przez sam ZAN. Nie mam więc silnej

motywacji do przekazania kodu, prawda?

– Odczytywanie pamięci nigdy nie jest miłe.

– Drobną niewygodą. Ale nigdy nie zdołacie wyciągnąć kodu. Mam w swej biononice kilka programów samodestrukcji.

– Zatem twoje pozycje są nie do zdobycia. Gratulacje. Wobec tego zastanawia, dlaczego pozwoliłaś, by cię pochwycono. Twój statek ma zdolności supermaskowania, postanowiłaś ich nie wykorzystywać. Dlaczego?

Szyja Neskii stała się sprosta i sztywna.

– Nie mam dokąd pójść.

– Nie wzięła cię ze sobą.

– Najwyraźniej.

– Ale z drugiej strony stan postfizyczny drogą fuzji nigdy nie był jej celem.

– Teraz jestem tego świadoma.

– Jakiej chcesz ugody?

– Całkowitego immunitetu. Prawa osiedlenia się na dowolnym wybranym przeze mnie świecie. I pozostanę właścicielką „statku”.

– Nie dla warunku o „statku”. Masz wieczny zakaz brania udziału w jakiegokolwiek działalności wywrotowej. Pozwolisz na usunięcie całej bojowej biononiki. Nie zainstalujesz jej ponownie ani żadnego innego ubogacenia obronnego. Będziesz natychmiast raportować mojemu biuru wszystkie próby kontaktu z organizacjami przestępczymi lub zakazanymi.

– Wolność tworzenia związków politycznych i wstępowania do nich jest podstawowym prawem Wielkiej Wspólnoty.

– Bez ZAN Wspólnota, jaką znamy, nie może istnieć. Mam szczerą zamiar chronienia go przed ekstremalnymi ideologami.

– Czy ZAN wygna Progresywiistów?

– Przypuszczam, że członkowie podejrzani o działalność nielegalną zostaną zawieszani. Reszta będzie miała swobodę w dążeniu i rozpowszechnianiu tego, w co wierzą. Tak jak głosi prawo.

– Bardzo dobrze, zgadzam się. – U-adiunkt Neski wysłał kod do Pauli, łącznie z instrukcjami zastosowania go w ustalonym

miejscu poza Układem Słonecznym.

- Dzięki – powiedziała Paula. – Więc jesteś nią zirytowana?
- Łagodnie rzecz ujmując. Ryzykowałam wszystko, poświęciłam życie sprawie, a teraz okazuje się, że ta sprawa nigdy naprawdę nie istniała.
- Co będziesz robiła?
- Znajdę prawdziwą Frakcję Progresywnistów. Nadal wierzę w ewolucyjne przeznaczenie ludzkości.
- Jakże może być inaczej.

„Rewanż Elvina” opuścił się z niskich szarych chmur, jednostajnie spryskujących zmierzwioną wiejską zieleń. Oscar polecił statkowi, by wylądował na trawie w pobliżu zagajnika tyczkowatych drzew rankatowych.

Spłynął w dół ze służy i rozejrzał się z zadowoleniem. Widok owalnego domu, takiego jak zawsze, wywołał w nim nieoczekiwany przypływ nostalgii. Kiedy był daleko, myślał coraz mniej o Jesaralu, Dushiku i Anji, aż zaczął wierzyć, że już mu na nich nie zależy. Teraz był tutaj i nie chciał wyjeżdżać znowu.

Gwałtowne uczucia zaskoczenia i niepokoju wdarły się do gajasfery. Oscar uśmiechnął się cierpko, kiedy Jesaral popędził w dół spiralnych schodów w centralnym słupie domu i biegł przez murawę.

- Wróciłeś! – wrzasnął Jesaral. Zarzucił mu ręce na szyję i zaczął go całować z młodzieńczym zapałem. Szalejące myśli erotyczne przenikały przez jego gajafejsy. – Och, na Ozziego, jakże za tobą tęskniłem.

- Dobrze być w domu – przyznał Oscar.

Dushiku i Anja pośpieszyli ku niemu.

- Nie mogłem w to uwierzyć, kiedy pokazałeś się we śnie Gore'a – powiedział cicho Dushiku, mocno ściskając Oscara. – Byłeś w Pustce! To byłeś ty w Makkathranie dokładnie na koniec.

- Tak, to byłem ja – przyznał. Rzeczywiście miło było raz się tym pochwalić.

Anja w końcu dostała się do niego.

– Czyli jesteś kimś w rodzaju galaktycznego superagenta?

– Niekiedy – przyznał. – Na szczęście niezbyt często.

Drugi statek spadł przez obłoki i szykował się do lądowania przy „Rewanżu Elvina”.

– Kto to jest? – spytał Dushiku zrezygnowanym tonem.

– I po co gwiazdolotowi skrzydła? – spytał Jesaral.

– To nie są skrzydła, to są rozpraszacze ciepła, i to jest mój nowy partner.

Anja lekko się cofnęła. Dushiku tylko spojrzął z dezaprobatą, a Jesaral już ładował swoje oburzenie.

– Partner w interesach – zapewnił ich pośpiesznie Oscar.

„Odkupienie Mellanie” wylądowało gładko. Śluza otworzyła się. Wysunął się z niej zestaw aluminiowych schodków.

Jesaral rzucił Dushiku znaczące spojrzenie i wyduł wargi. Oscar objął oboje ramionami, ciesząc się z błysków zazdrości.

Aluminiowe stopnie wyginały się pod ciężarem Trobluma. Krople deszczu szybko spływały po jego sfatygowanym togaturze. Krótко skinął głową zaskoczonym partnerom Oscara i szybko odwrócił wzrok.

– Jakich interesach? – spytała zaciekawiona Anja.

– Eksploracja – oznajmił z zadowoleniem Oscar – Wspólnota przez wieki wysłała mnóstwo statków z kolonistami. Pomyśleliśmy, że właśnie nadszedł czas, byśmy zobaczyli, co stało się z niektórymi z nich. I kto wie, co jeszcze kryje się po drugiej stronie Galaktyki. Wilson nigdy nie obejrzał tego dokładnie.

Anja wzniosła oczy ku niebu i westchnęła z dezaprobatą. Mimo to postąpiła krok naprzód i wyciągnęła dłoń do Trobluma.

– Bardzo mi miło.

– Eh, dziękuję.

Spojrzał z przestrachem na jej dłoń. Nieważne. Anja już patrzyła na drugą postać, która ukazała się na szczycie schodów. Była tak zdziwiona, że zapomniała zapobiec wyciekowi emocji przez swoje gajafejsy.

– To moja narzeczona – powiedział Troblum.

– Bardzo mi miło. – Catriona Saleeb uśmiechała się nerwowo, kiedy zeszła ze schodów i po omacku szukała dłoni Trobluma.

Oscar wiedział, że wypuszcza niewłaściwe myśli, ale nie mógł nic na to poradzić. On pierwszy poparł Trobluma, kiedy Catriona stała się rzeczywista. Troblum dostrzegł tę ostatnią nikłą szansę, w czasie kiedy Serce zdecydowało się już pójść za Gore’em, a jeszcze nie poddało się transcendencji. Nie analizował tego i ani przez moment nie żywił wątpliwości. Po prostu to zrobił, wykorzystując warstwę twórczą Pustki, by zmienić swoje solido w ciało i krew. To chyba najbardziej ludzka rzecz, jaką Troblum uczynił w swym życiu.

Oscar był pewien, że to nie potrwa, że Catriona w końcu wyrośnie ze swych początkowych myśli. Ale z drugiej strony efemeryczność to kwintesencja ludzkich działań. Sztuka polega na tym, by czerpać zadowolenie z chwil, kiedy sprawy układają się właściwie.

„Silverbird” siadł delikatnie w pobliżu Tulipanowej Rezydencji. Jego nogi lądownicze prawie nie wgniotły żwirowego podjazdu przed wspaniałym portykiem wejściowym. Justine spłynęła ze śluzu i zaczerpnęła cudownie kojącego, starego ziemskiego powietrza. Przeżyła chwile, kiedy myślała, że może się to już nigdy nie zdarzyć. Kazimir wydawał okrzyki radości, kiedy opuszczał się za nią na ziemię. Od chwili gdy wywołała go z powrotem z warstwy tworzenia Pustki, szybko odkrył, jakie przyjemności daje sterowana grawitacja.

Stał nieruchomo i usta same otworzyły mu się szeroko, gdy gapił się na niedorzecznie ekstrawagancką budowlę.

– To jest twój dom?

– Tak, tutaj właśnie się urodziłam i mieszkałam od tamtego czasu.

To niemal była prawda. Nie chciała psuć nastroju. Naiwnemu Kazimirowi zajmie chwilę przystosowanie się do wszystkiego, co oferowała Wielka Wspólnota. A kto może lepiej wypełnić rolę jego przewodnika i nauczyciela?

– Chciałbyś się rozejrzeć?

– O, tak! – Machnął rękami na potwierdzenie. – Kto jeszcze tu mieszka?

– Ach, w tej chwili nikt. Niestety, dom stał się trochę jak muzeum. Znajdziemy ci sypialnię, w zasadzie apartament. Jest kilka doskonałych w zachodnim skrzydle.

Ujął ją za dłoń i rzucił jej tamto błagalne spojrzenie swoimi ślicznymi, wielkimi, pełnymi uwielbienia oczyma.

– Będiesz w pobliżu, Justine?

– Uhm. – Znowu się zarumieniła. No, dziewczyno, złap byka za rogi. – Trochę tu zostanę, by się upewnić, że z tobą wszystko w porządku. Będę dosyć zajęta. Akurat teraz trzeba mnóstwo rzeczy uporządkować.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ocaliłaś Galaktykę. Ludzie pozwolą, żebyś teraz miała czas dla siebie. Na pewno.

– Prawdopodobnie.

Drzwi wejściowe tworzyły wielkie smolisto czarne płyty z twardego drewna inkrustowane wzorem winorośli o złotych liściach. Zatrzymała się, kiedy rozwarły się na oścież.

Nigdy nie zauważyłam tego wcześniej: to jest tak podobne do wrót w rezydencji w Sampalok. Oscar klął się, że jego pierwsza wyprawa badawcza będzie próbą znalezienia poprzednich mieszkańców Makkathranu. Nadal nie mogła zrozumieć jego partnerstwa z Troblumem.

Ale z drugiej strony w Pustce wszystko jest możliwe. Kazimir o tym świadczył. I Catriona.

Zaciekawiony Kazimir zerknął do środka, kiedy włączyły się światła na całej długości przepastnego holu.

– Kiedy zbudowano ten pałac?

– Przeszło tysiąc lat temu – odpowiedziała z dumą.

– Wielkie nieba – powiedział cicho, kiedy weszli do środka.

– Tutaj jeździłam na wrotkach – powiedziała z sentymentem. – To znaczy wtedy, kiedy byłam w twoim wieku, czy może trochę młodsza. Tata wtedy krzyczał na mnie i...

Przerwała w pół słowa. Przez jej ciało przebiegł dreszcz tak

silny, że musiała przytrzymać się framugi drzwi. Szok, jakiego mogło doznać tylko prawdziwe ciało z krwi i kości, omal nie wywołał u niej łez.

W drzwiach do białego pokoju stał Gore. Jak zawsze jego solido było wersją z dwudziestego czwartego wieku: ciało o złotej skórze ubrane w czarną koszulę i spodnie.

– Tata? – wydyszała.

Jej miły, racjonalny, uporządkowany umysł wiedział cały czas, że Gore będzie tutaj na nią czekał, że ZAN zreanimuje jego osobowość, gdy tylko potwierdzi jego ciałoutratę na świecie ojczystym anominów. Ale tam, w Makkathranie, jego transcendencja była tak rzeczywista, tak namacalna. Jej mięsne ciało i umysł wiedziały, że umysł i ciało jej ojca przeszły dalej, do czegoś lepszego, że jej tata umarł, że wszystko późniejsze jest tylko wynikiem sprytnej techniki.

Czasami podstawowe ludzkie ciało i krew były zbyt bolesne.

– Wykonałaś tam wspianałą robotę – powiedział. – Nie każdy, operując w mięsnym ciele, wytrzymałby aż taki stres. Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła słabo.

– Więc co z tym – moje oryginalne ciało zostało upieczone w nowej. Cholerny Marius w gruncie rzeczy jest gorszy od Ilanthe, na swój własny, żałośnie małostkowy sposób. To dziwne, nie przypuszczałem, że będę tęsknił za czymś takim, ale chyba będzie mi brakować tego ciała. Cholerna rzecz, była jak psychiczna ostateczna sieć ratunkowa. Sądzę, że powinienem wyklonować inne. Nie żebym kiedykolwiek znowu je wykorzystał.

– Dobry pomysł.

– I mam zamiar odbyć długą rozmowę z Dostawcą. Może uzupełnić brakujące szczegóły. Połączyłem się z jednostkami pamięci na asteroidzie Ozziego, gdy tylko ZAN wyjął mnie z magazynu stazy. One zaktualizowały mnie aż do chwili, kiedy wyruszyłem na „Ostatnim Wyskoku”. Ale nie ma dokładnego zapisu tego, co wydarzyło się na ojczystym świecie anominów, między tamtą chwilą i momentem, gdy ten stary facet Tyzak włączył mechanizm transcendencji. Sądząc po tym, jak się to w

końcu rozegrało, musiały tam być jakieś poważne problemy.

– Taa, też tak to odebrałam.

– Właśnie. Nie uwierzyłybyś, jaki zamęt tutaj wznieca Frakcja Radykalnych Darwinistów. Przebiegli mali gówniarze, przydałaby mi się pomoc, by ich ochrzanić. Wrócisz teraz do domu?

Justine objęła ramieniem bardzo cichego Kazimira i rzuciła złotemu mężczyźnie wyzywające spojrzenie.

– Jeszcze nie teraz, tato. Muszę tutaj dokończyć kilka spraw. To może chwilę potrwać.

Statek z ultranapędem trwał w transwymiarowej stazie pięć milionów kilometrów od Bliźniąt Lwa. Marius nie był pewien, czemu wybrał akurat to jako cel swego lotu. Prawdopodobnie jego podświadomość uznała, że nikt się nie domyśli, że przyleci akurat tu.

Nie miał pojęcia, co powinien teraz robić. Jednorazowe analizatory, które włożył do unisfery, dostarczały mu wyczerpującego obrazu politycznych następstw transcendencji Pustki i upadku bariery solarnej.

ZAN spełnił swą groźbę i zawiesił Frakcję Progresywistów. Przedstawicielom ZAN wydano instrukcje, by zlokalizowali i aresztowali pozostałych agentów frakcji. Lista była bardzo obszerna. Znajdował się na jej początku, oskarżony o ludobójstwo. Władze tego po cichu nie zapomną nawet po paru dekadach czy stuleciach. Na pewno nie, jeśli Paula Myo była w to zaangażowana. Czyli będzie musiał całkowicie opuścić Wspólnotę.

Nie miał dobrego wyboru. Nie wiedział, gdzie są jakieś kolonie ani jaki typ społeczeństw się na nich rozwinął. Mógł zacząć ratować innych Progresywistów z listy i zorganizować opór. To byłoby niebezpieczne, ale miał wysokie kwalifikacje do takiej pracy.

Zapłonęły ostrzeżenia.

Statek został wyrwany z powrotem do czasoprzestrzeni, zanim

przyśpieszone programy myślowe Mariusa zdołały się zorientować, co się dzieje. Czujniki nie wykrywały niczego z wyjątkiem drobnej anomalii przestrzennej bezpośrednio przed kadłubem. A potem przestały działać, napęd również. Sieć statku się załamała. Wyłączyło się ciążenie, pozostawiając go w nieważkości. Światła w kabinie zgasły. Nie miał dostępu do swego u-adiunkta. Skan pola bionicznego odkrył, że system podtrzymywania życia został wyłączony.

Otworzyło się połączenie do jego klastra wielokomórkowego.

- Jesteś aresztowany – poinformował go admirał Kazimir.
- Tymczasowo – odparł Marius. – Ona powróci.
- Na pewno nie. Nikt z nich nigdy nie wrócił.

Araminta posadziła wielką kapsułę pasażerską obok rozciągniętego białego domu i nagle pewność siebie ją opuściła. Nawet mała niespodzianka, którą dla niego przygotowała, wydała jej się tandetna. W żaden sposób nie mogła przewidzieć, jak zareaguje. Jasne, pomógł jej wcześniej, ale to było wtedy, gdy maniacy Żywego Snu zagrozili jego ojczystemu światu i jego życiu.

Teraz Żywego snu już tu nie było dzięki niej i dzięki podstępowi, w którym jej pomógł. Ellezelin zapłaci rekompensaty za wszelkie szkody fizyczne spowodowane przez jego wojska podczas inwazji. Inigo to obiecał, kiedy tam wrócił, by znów objąć prezydenturę, z której wcześniej abdykował. Rozmontowywanie ruchu Żywego Snu potrwa długo, ale on był najlepszym – bo jedynym – kandydatem do wykonania tego zadania. Po transcendencji Pustki każdy mu ufał, że zrobi to właściwie.

Dwoje z niej zeszło na trawę: jej oryginalne ciało oraz Araminta-dwa. Rozejrzała się czworgiem oczu, napawała się swojskością.

Pan Bovey nie marnował czasu po jej wyjeździe. Dom został naprawiony i pomalowany. Ale przecież jeśli ktoś potrafił przeprowadzić szybki remont wysokiej jakości, to na pewno on

mający rozległe kontakty w branży. Kilkoro z niego wyszło z domu i biegło ku niej. Wszyscy się uśmiechali, co spowodowało, że poczuła w swych gardłach ucisk. Nadal ją kochał! Teraz, kiedy pomyślała, że wszystko może być w porządku, mimo wszystko, pomyślała, że mogłaby zapłakać – łez byłoby mnóstwo. Gajasfera nagle wypełniła się ulgą wysyłąną przez onów głośno i wyraźnie.

Osiem onów okrążyło dwoje z niej. Młody blondyn rzucił jej niepewne spojrzenie.

– Wróciłaś.

Jego niepewność to było już zbyt wiele. Po prostu zarzuciła ramiona wokół niego. A potem się całowali.

– Dokonałaś rzeczy niewiarygodnych – mówił do Araminty-dwa azjatycki on. – Nigdy się nie cofnęłaś, ani na sekundę. Ellezelin, „Światło Pani” – wciąż dążyłaś naprzód. To było fantastyczne.

– Zmusili mnie do tego – wyjaśniła. – Tylko w ten sposób mogłam przeżyć.

– Odchodziłem od zmysłów z niepokoju, kiedy raele zniszczyli połączenie. Wtedy Gore zaczął śnić, a ty byłaś na Makkathranie. To było... – Wszyscy onowie na murawie śmiali się z podziwem. – Na Ozzięgo, byłaś niewiarygodna. Przez chwilę ty rządziłaś całym wszechświatem.

Uśmiechnęła się do niego skromnie, choć z samozadowoleniem.

– Czy myślisz, że to było ekscytujące?

Blond młodzik odchrząknął.

– Dostyc.

– Pozwól mi cię zwrócić. Trzymaj się.

Zamknęła oczy, skupiając się na sposobie, w jaki jej myśli rozchodziły się przez gajasferę. Powoli i starannie wycofała się z pożyczonego ciała. Kiedy otworzyła oczy, on był tuż przed nią, z tym, och jakże znajomym, uśmiechem na twarzy. Potem spojrzał w dół na siebie.

– Dziękuję ci. Dobrze się nim opiekowałaś.

– Z pewnością tak. – Araminta puściła blond młodzieńca i podeszła do oryginału – cały czas myślała o nim w taki sposób. Tylko nieco dziwaczne było całowanie ciała, w którym się przebywało kilka sekund wcześniej. – Bycie przez pewien czas

mężczyzną okazało się interesujące – powiedziała zalotnie niskim głosem.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Dowiedziałam się o... odruchach. – Nadal była do niego przytulona. – Zwłaszcza o tych mimowolnych.

– Uhm. – Głos miał ochrypliwy.

– I byłam również niegrzeczna, kiedy byłam daleko.

– To zawsze była jedna z twoich najlepszych cech.

– Nie rozumiesz. Kiedy już dowiedziałeś się, jak to wykorzystywać, Pustka mogła zrealizować wszystkie twoje życzenia. Naprawdę mogła. Wszystko. A ja nie miałam dość siły, by oprzeć się pokusie. Miej na uwadze, że nie tylko ja tak czułam. Większość z nas korzystała z tego, przy końcu pobytu. W rezydencji Sampalok mieliśmy prawdziwy mały festiwal fantazji.

– Och. – W jego głosie brzmiało rozczarowanie. – No cóż, mieliście do tego prawo, bo ocaliliście nas wszystkich.

– Dokładnie tak sobie pomyślałam. – Araminta już nie pamiętała, jakie to zabawne droczyć się z panem Boveyem. Ale biedak cierpiał, na co przecież nie zasługiwał. On, taki szlachetny.

– Obserwowałam, jak Justine, Edeard i Troblum wyciągają swoje utracone miłości z warstwy tworzenia niczym króliki z kapelusza.

Pan Bovey nachmurzył się.

– Eee...

– Więc pomyślałam, że nie straciłam nikogo z tych, których kochałam, ale ktoś, kogo kocham, może docenić znacznie więcej mniech. – Posłała mu szelmowski, pełen samozadowolenia uśmiešek i spojrzała na kapsułę. Wychodziły z niej pozostałe one.

Pan Bovey patrzył z radością i niedowierzaniem, jak piętnaście identycznych Aramint maszerowało przez ogród do niegów.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, jakie typy mnie miałabym, gdybym była mnoga? – spytała. – Uznałam, że ten typ nie jest taki zły.

– Jest absolutnie doskonały.

– Dobrze. Więc teraz wszyscy wy możecie wziąć wszystkie mnie

do łóżka.

– Och, tak!

– Proszę, natychmiast.

„Ostatni Wyskok” opadł gładko przez podłg, zimowg pogodę i wylgłdował obok domu w Holland Park. Dostawca nie tracił czasu na spacer, teleportował się prosto do salonu.

– Tataaaa!

Dziewczynki rzuciły się na niego. Małe ręce objęły go z zaskakujg sięg. Lepkie pocałunki zwilżyły mu twarz. Mała Rosa skakała wokół, krzyczg, by zwrócić na siebie uwagę, bo starsze siostrzyczki blokowały jej dostę. Podniósł ją i mocno przytulił.

Lizzie stała w drzwiach, uśmiechała się do niego wilgotnymi oczami.

– Wróciłem – powiedział do niej.

– Tak – powiedziała. – I, chłopcze, musisz mi coś wyjaśnić. Czy kiedyś, kiedykolwiek...

Pocałował żonę.

Świat oczywiście okazał się miły. Klimat umiarkowany. Faliste tereny trawiaste, wysokie, pokryte śniegiem góry i wielkie lasy.

Ich trójka przebywała tu już parę dni. Szli nieśpiesznie po wąskiej ścieżce, gdy usłyszeli śpiew.

– Są tutaj – powiedziała Araminta do Aarona.

Nie zareagował. Tomansio ciągnął go tam, skąd dochodziły niesamowite, nieczłowiecze melodie. Aaron nie protestował, po prostu milczgco szedł ze swymi przewodnikami, tak jak to robił od czasu, gdy opuścili Makkathran. Nie dręczyły go już koszmary. Nic go nie dręczyło. Jego umysł wyłączył się za jego zgodg.

Rycerze Strażnicy chcieli go zabrać z powrotem na Far Away, gdzie miałyby do dyspozycji najlepsze kliniki, moduły medyczne, edytorzy pamięci i najlepszych lekarzy. Mówili, że znowu zmontują Lennox'a buntownika. Araminta zaprotestowała, Aaron już przecierpiał dosyć techniki, potrzebował prawdziwego

leczenia. I zabierze go do jedynej osoby, która to potrafi. Tomansio był zaskoczony tą sugestią i bardzo szybko się zgodził.

Kilkudziesięciu silfenów obozowało na rozległej polanie. Ustawiono półkole szerokich namiotów. Na szczycie wysokich słupów powiewały długie heraldyczne flagi. Pośrodku półkola płonęło wielkie ognisko. Kilku silfenów siedziało wokół, grając na fletopodobnych instrumentach. Już tańczyli.

Araminta nie zdziwiła się, kiedy zobaczyła wśród nich ludzką kobietę. Kobieta miała na sobie strój silfenów: prostą białą koszulę ze smokami, misternie wyhaftowanymi złotymi i turkusowymi nićmi, luźną, wielowarstwową, uformowaną w kwiatowe płatki spódnicę, która wirowała i wydymała się w czasie tańca. Twarz miała radosną, zasłuchaną, zatraconą w muzyce. Faliste złote włosy powiewały wokół jej głowy. Araminta dostrzegła długi podbródek i dobrze zarysowane kości policzkowe – podobne do jej własnych.

– A niech to Ozzie! – wymamrotał Tomansio. Oglądał tę scenę jakby urzeczony przez elfy.

A potem Tancerz Chmur i Bradley skierowali się ku nim. Araminta pośpieszyła naprzeciw. Tancerze otoczyli ją z trelami aprobaty i pozdrowień.

– Dobrze się spisałaś – powiedział Bradley.

– Dziękuję wam – odparła. – Dzięki za wiarę we mnie.

– W twoim przypadku to było łatwe. – Okrągłe usta Tancerza utworzyły rurkę do śmiechu.

– Przyprowadziłam kogoś – oznajmiła.

– Wiemy o tym.

– Pomóżcie mu, proszę. Cierpi z powodu strasznych demonów w głowie, tak jak kiedyś cierpiełaś ty – powiedziała Bradleyowi.

Skrzydła Bradleya rozpostarły się szeroko.

– A jeśli silfeni mogli mnie wyleczyć...

– Na to właśnie liczyłam.

– Może iść z nami – powiedział Tancerz Chmur. – Dokąd pójdzie, nigdy nie można przewidzieć.

– Ma pewny chód – zapewniła Araminta. – Zobaczcie, co uczynił dla wszystkich.

– Och, jak wyrosłaś. Jesteś świetna, Araminto. Pan Bovey to szczęściarz.

Uśmiechnęła się lekko zawstydzona.

– Myślę, że lepiej pójdę i porozmawiam z twoim drugim przyjacielem, zanim wybuchnie – oznajmił Bradley.

Araminta zaśmiała się, widząc jak przestraszony jest Tomansio, gdy Bradley do niego podszedł. Najtwardszy superwojownik onieśmielony przez swego idola... À propos... Prześlizgnęła się przez tancerzy, kołysząc się do rytmu. Gdzieś przy końcu półkola namiotów dwaj najwięksi silfeni, jakich widziała, zagrali na bębnach, wybijając zniewalający rytm.

Kobieta przyzywała ją obydwoma dłońmi do siebie.

– Jestem Mellanie! – zawołała, przekrzykując muzykę.

– Tak, wiem.

– Naturalnie. Jestem z ciebie dumna, Araminto.

– Dzięki. Wiele to dla mnie znaczy.

– To wszystko się teraz skończyło, więc zatańczmy.

Statki-arki i okręty wojenne raielów przybyły z odległych końców Galaktyki. Zebrały się na orbicie wokół gwiazdy, gdzie kiedyś znajdowała się stacja Centurion. Widziane stąd niebo nie zmieniło się. Gwiazdy Muru nadal świeciły ze swoją normalną intensywnością, zupełnie nie zapowiadając zmian, jakie w nich właśnie zaszły. Upłyną wieki, nim ich skok jasności stanie się widoczny dla obserwatora stojącego przy ruinach posterunku obserwacyjnego.

Paula towarzyszyła Qatuxowi, kiedy teleportowali się do Makkathranu. Przybyli do Złotego Parku, gdzie w górze morskie ptaki Querencii nadal łopotały skrzydłami, wołały się z niepokojem, szukając morza, którego już nie było. Paula wykonała pełny obrót, podziwiając, jak każdy turysta, wysokie białe słupy i rozległe kopuły Pałacu Sadowego.

– Nigdy się nie spodziewałam, że postawię nogę w tym miejscu – powiedziała.

Qatux patrzył na rysujące się w dali wieże Eyrie.

– Ja też nie – odparł.

Przeszli razem przez zarośnięty park wzdłuż wygiętego Kanału Czempiona, aż do Stawu Birmingham. Paula знаła aż za dobrze wszystkie związane z Edeardem wspaniałe wydarzenia, które rozegrały się nad stawem i kanałem, a jednak milczała, wiedząc, że Qatux przybył tu tylko dla jednej rzeczy.

Kiedy szli nad brzegiem Wielkiego Kanału Głównego do Wysokiego Stawu, Paula spojrzała ponad nasyconą wodorostami wodą na charakterystyczny ziggurat Culveritów. Wtedy w pełni zrozumiała melancholię Justine wywołaną widokiem opuszczonego miasta. Była podekscytowana samą tą wizytą, ale obserwować to miasto w szczytowym okresie działalności Stąpającego po Wodzie, patrzeć, jak dojrzewają intrygi, i spotykać ludzi, których znała jedynie ze snów – to byłoby wspaniałe.

Przekroczyli Kanał Rynkowy mostem, którego nie pamiętała, i doszli do samego Eyrie. Kiedy spojrzała w górę na pokrzywione wieże, widziała przez kryształową kopułę rozległą konstelację statków raielów, zgromadzonych opiekuńczo wokół swego starożytnego towarzysza.

– Co teraz będzie? – spytała.

– Zdecydujemy o tym razem – powiedział jej Qatux. – Przypuszczam, że zmiana okaże się dla nas ciężka. Pustka dostarczała nam celu tak długo. Była częścią tego, czym się staliśmy.

– Wiecie, że zawsze będziecie mile widziani we Wspólnocie.

– Wasza uprzejmość dobrze o was świadczy. Jednak jesteśmy odpowiedzialni za inne gatunki mieszkające w „Wysokim Aniele” i w innych statkach-arkach.

– Zabierzecie ich do domów?

– To możliwe. Niektórzy nie mają już światów macierzystych, do których mogliby powrócić. Zasugerowano, żebyśmy zaakceptowali nasze pierwotne zadanie i rozproszyli się po nowych galaktykach, by rozpocząć na nowo.

– A ty, Qatuxie, co z tobą? Czy raiiele nadal mają świat macierzysty?

- Tak. Ale nikt z nas by go nie rozpoznał. Od czasu gdy ogłosiliśmy wojnę z Pustką, dwie tamtejsze rasy stały się rozumne. Nie ma dla nas powrotu.

- Może tak jest najlepiej. Ja próbowałam raz wrócić do domu. Wyrosłam za bardzo, kiedy byłam poza nim. Ze wszystkimi się tak dzieje.

W końcu stanęli przed kościołem Pani. Qatux zawahał się na schodach prowadzących do wejścia.

- Nie musisz tego robić - powiedziała Paula.

- Muszę.

W kościele panowała cisza. Światło przenikało przez przezroczysty środkowy dach, pozostawiając przedśionki w cieniu. Tuż na granicy srebrzystej mgiełki wyraziście wyłaniał się biały marmurowy posąg Pani. Paula patrzyła w górę na poważną, dobrze zobrazowaną twarz i na kąciki ust uniesione w pełnym zachwyty uśmiechu.

- Tutaj wygląda ona tak odmiennie - powiedziała. - Ale z drugiej strony, spotkałyśmy się tylko raz. Rozdzieliłyśmy się natychmiast po przybyciu na Far Away.

- Pamiętam - powiedział Qatux. - To był dzień, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy.

- Nie pochwalałam tego.

- Kochałem ją nawet wtedy. Była taka barwna, z tyloma wadami, tak pełna życia. Nauczyła mnie czuć ponownie. Zawdzięczam jej wszystko.

- Jak się tutaj w końcu znalazła?

- Oczywiście ożywiono ją, gdy Kotka z nią skończyła. Dostarczyłem wspomnień jej ciała, gdyż dzieliłem z nią wszystko, co czuła, aż do końca. Właśnie dlatego rozstaliśmy się. Nie pozostało nam już nic, co moglibyśmy poznać.

- Więc wsiadła na statek kolonizacyjny Brandtów, aby zacząć nowe życie. Tylu Brandtów było rozczarowanych Wspólnotą po Wojnie Gwiazdokrąży, że jakoby jedna piąta ze starszych członków dynastii ją opuściła. Na pokładzie na pewno chętnie ją przywitani. Musiała czuć się dość samotnie, biedactwo.

- Tak było najlepiej. Kiedy przelatywali wokół Muru,

Makkathran musiał ją jakoś usłyszeć. Wziął ją za raiela, ponieważ nasze umysły dzieliły tak wiele, i to wylewało się na zewnątrz.

– A Pustka zrobiła resztę. Tak jak robi zawsze.

– Tak. – Qatux wyciągnął mackę i pogłaskał policzek posągu. – Żegnaj, ukochana. – Odwrócił się i wyszedł z kościoła.

Paula nie mogła się oprzeć i jeszcze raz spojrzała przez ramię. By się upewnić, czy się nie pomyliła. Przez chwilę mogłaby przysiąc, że posąg uśmiecha się szeroko w ten zabawny, beztroski sposób, w jaki Tiger Pansy zawsze się uśmiechała, gdy czuła się szczęśliwa. Ale była to tylko gra świateł.

Z serpentynowej drogi na pogórzu Salrana patrzyła przez równinę Iguru, nie rozumiejąc, co widzi. Ale przecież tego dnia wiele rzeczy ją zadziwiło.

Ktoś za nią zakasłał. Obróciła się nerwowo.

– Edeard! – zawołała, bo to był on... ale inny, starszy. Z niczym jednak nie można było pomylić tego nieśmiałego, pełnego nadziei uśmiechu. Choć bardzo się starała, nie mogła go wyczuć dalwzrokiem, a stał bliżej niż pięć metrów. Również nie miała już trzeciej ręki. – Co się stało? – zapytała błagalnie.

Edeard spojrział w dół, na chłopczyka, którego trzymał za rękę. Chłopczyk popatrzył w górę z uwielbieniem. Ich twarze miały kilka cech wspólnych.

– Edeard! – powtórzyła błagalnie. Wydało jej się, że się rozpłacze.

– To takie trudne – powiedział. – Wiem, przeszedłem przez to sam, ale jeśli kiedykolwiek mi wtedy ufałaś, proszę, uwierz mi, że wszystko z tobą jest w porządku. Nic nie wyrządzi ci krzywdy.

Nieśmiało zrobiła krok w jego stronę.

– Gdzie jesteśmy? Gdzie jest Makkathran? Czy było trzęsienie ziemi?

Odwróciła się, by popatrzeć na straszne zniszczenia, które dotknęły równinę Iguru. Farmy, sady i winnice zniknęły, starte z powierzchni przez dymiącą pustynię szarych skał, która rozciągała się aż do linii brzegowej. Ale dziwniejsze od tego były

statki. Przynajmniej myślała, że to są statki, bo czym innym mogły być? Dwanaście metalowych potworów leżało wokół krawędzi zniszczenia, choć trudno sobie wyobrazić, że coś o takich rozmiarach potrafi latać.

– Jesteśmy w domu – powiedział Edeard. – Choć naprawdę to nie jest dom, już nie. Makkathran odszedł. Ale nikt nie zginął. Oni wszyscy żyli, Salrano, żyli takim zadziwiającym życiem. A teraz mamy szansę przeżyć swoje życie. Razem.

– My? – spytała nadal beznadziejnie zdezorientowana.

– W istocie nas troje. – potargał głowę chłopca. – To jest Burlal, mój wnuk.

– Wnuk? Co ty, Edeardzie? Nie rozumiem.

– Wiem. Może zrobiłem źle, że to uczyniłem bo, Pani mi świadkiem, był to postępek bardzo egoistyczny. Ale czasami, by zrobić coś dobrego...

– ...musisz uczynić coś złego.

– Tak. Skończyłaś właśnie szkolenie w Szpitalu Ufford, prawda?

– Miałam odejść jutro, ale obudziłam się tutaj. – Nachmurzyła się. – Nie, musiałam jakoś się tu dostać. Edeardzie, czy to mi się śni?

Ujął jej dłoń, za co była mu wdzięczna. Zdziwiły ją własne odczucia, ale przecież jego dotyk zawsze tak na nią działał, a ona strasznie za nim tęskniła przez te długie miesiące z dala od Makkathranu.

– Nie jesteśmy już snami, kochanie. Jesteśmy tak prawdziwi, jak tylko można być. I tutaj, w tym czasie, ze wszystkich wybrałem ciebie. Wybrałem ciebie z teraz, ponieważ nadal jesteś prawdziwą sobą. Mój brat nauczył mnie tej sztuczki.

– Jaki brat?

Zaśmiał się.

– Tyle trzeba wyjaśnić i nie jestem pewien, od czego zacząć. Nigdy ci nie powiedziałem, że miałem sny. Każdego dnia śniłem o życiu na zewnątrz Pustki. To właśnie stamtąd przybyły te statki. Z zewnątrz, gdzie wszechświat trwa wiecznie.

– Tak jak Rah i Pani?

– Tak. Dokładnie jak oni. I my troje odlecimy na jednym z tych

statków. On odleci, odleci stąd. Będziemy mieszkali tam, Salrano, tam pośród gwiazd.

Uśmiechnęła się szeroko, bo mówił takie głupstwa. Ale widziała, jaki jest szczęśliwy, i to się jej podobało.

Edeard objął ją za ramiona i było to fantastyczne. Tyle lat czekała na taki szczerzy, otwarty gest. A potem zobaczyła nadchodzącego drogą wysokiego, dziwnie ubranego mężczyznę. Miał na sobie koszulę w kolorowe kwadratowe wzory i jaskrawą szkarłatną kamizelkę. Szczupłe, zakrzywione linie srebrnego i złotego światła jaśniały przez jego gęste brązowe włosy.

Zatrzymał się przed nimi, obejrzał ich od stóp do głów i natychmiast szeroko się uśmiechnął.

– Znam cię – powiedział Edeard rozbawiony. – Jesteś Lionwalker. Kierowałeś stacją naukową mego brata, kiedy pierwszy raz śniliśmy o sobie.

– Tak, to byłem ja. Pozdrawiam cię, Stąpający po Wodzie. I, oczywiście, ciebie też młoda Salrano. A ty to Burlal. Nie myślę się?

Chłopiec mocniej przywarł do nogi Edearda i ostrożnie skinął głową.

– Gratulacje, Stąpający po Wodzie. Gratulacje to nawet za mało. To był dopiero widok! Właśnie spędziłem noc tam wysoko, na szczycie góry, gdzie powietrze jest najczystsze. Nie chciałem niczego przepuścić. Przecież nie każdego dnia jesteś świadkiem, jak cały wszechświat ewoluuje, prawda?

– To również mój pierwszy raz – poinformował go Edeard.

– No tak, to już koniec. – Lionwalker Eyre uśmiechnął się szelmowsko do Salrany. – Dla takiego starego romantyka jak ja to miłe, że widzę was dwoje znowu razem. – Pogroził palcem Edardowi. – Nie zepsuj tego znowu, chłopcze.

– Nie zepsuję – obiecał cicho Edeard.

– Najlepiej już sobie pójdę. Spodziewam się, że wy dwoje macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

Energicznie ruszył drogą.

– Poczekaj! – zawołał za nim Edeard. – Dokąd idziesz?

– Naprzód – odparł Lionwalker, machając im ręką. – Zawsze naprzód.

